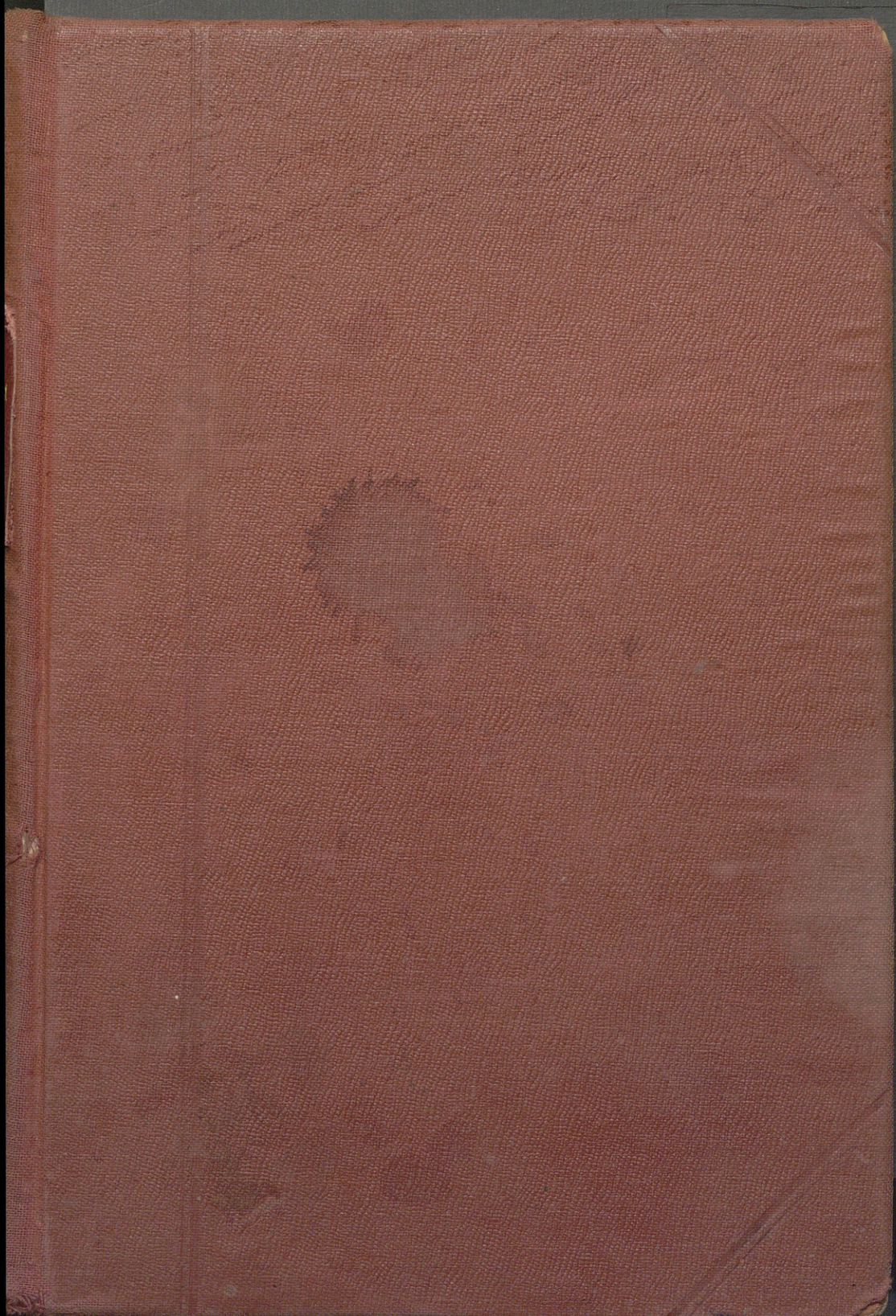

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19




Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

DAWID LLOYD GEORGE

WSPOMNIENIA WOJENNE

TOM II

WARSZAWA — *1938*

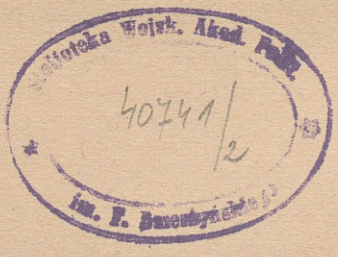
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Tytuł oryginału angielskiego:

WAR MEMOIRS

Tłumaczył

ANTONI PAŃSKI



Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa

PRZEDMOWA DO TOMU DRUGIEGO

Tomy I i II *) moich *Wspomnień Wojennych* doprowadzały opowieść do ustąpienia gabinetu Asquitha. Tomy III i IV *) poświęcone są działalności rządu, utworzonego przeze mnie, aż do końca r. 1917.

Opisywanie tych spraw nie jest dla mnie wcale przyjemne: wręcz odwrotnie. Wiele rzeczy pisałem z najwyższą niechęcią. Uważałem bowiem w interesie prawdy za konieczne opowiedzieć fakty, rzucające bardzo krytyczne światło na ludzi, których pamięć czczona jest przez rodaków dla ich licznych i wybitnych zalet. Moją niechęć ujawnienia tych nieprzyjemnych prawd, dotyczących osób na wysokich stanowiskach, zwiększa jeszcze fakt, iż niektórzy z nich już nie żyją i nie mogą się bronić. Dlatego skłonny byłem przekazać innym napisanie prawdziwej historji wypadków, jakie omawia tom niniejszy. Ponieważ jednak wszyscy ci wybitni aktorzy wojny, sami albo za pośrednictwem upoważnionych przez siebie osób, opublikowali jeszcze za życia własną wersję tych historycznych wypadków, przy czym nie szczędzili w niej wcale ludzi, z którymi się nie zgadzali (w tej liczbie — a raczej przede wszystkim — mnie), uważałem że mam prawo ogłosić znane mi fakty i sprostować w ten sposób fałszywe wrażenia. Ponadto, jestem zdania że jeśli ktoś podejmuje się pisania historii — nie może zrobić tego uczciwie, jeżeli wypowiada tylko słowa uznania a powstrzymuje się od słów potępienia, gdy

*) W wydaniu polskim z tomów I i II utworzono tom I, z III i IV — tom II. *(Przyp. tłum.)*

jedno i drugie dotyczy osób, które odgrywały kierowniczą rolę w opisywanych wydarzeniach. A prawo i obowiązek zarówno krytyki, jak pochwały postępowania takich osób nie ustaje z chwilą ich śmierci. Dotyczy to wojskowych tak samo jak polityków.

Niezależnie jednak od względów natury ogólnej, istnieją co najmniej dwa powody, nakazujące ogłoszenie faktów teraz a nie później. Jak zauważył mądrze Macaulay, wiedza o przeszłości „ma wartość tylko o tyle, o ile pozwala nam słusznie przewidywać przyszłość". Atmosfera świata — na Wschodzie i na Zachodzie — przepojona jest w chwili obecnej podejrzliwością, obawą i rywalizacją między narodami, a taki stan rzeczy prowadził zawsze dotąd do wojny. Narody zbroją się do wojny. Wszystkie niemal bez wyjątku państwa powiększają swoje zbrojenia. Wszelkie próby zahamowania tej groźnej ekspansji narzędzi mordu zakończyły się fiaskiem. Zbroją się państwa, posiadające już olbrzymie siły militarne, i państwa które były rozbrojone. Narody przygotowują się do wojny wbrew traktatom, jakie podpisały, i czynią to w gorączkowym pośpiechu, który można wytłumaczyć tylko ogólnym przekonaniem, że wojna jest bliska. Nie ma nikogo ktoby wierzył, że pokój uda się jeszcze długo utrzymać. W tej sytuacji jest rzeczą zasadniczą, aby wszystkie narody wiedziały, zanim zdecydują się na wojnę, co wojna znaczy. Każdy naród rozpoczyna wojnę z jednakową wiarą w ostateczne zwycięstwo swoich sztandarów: porażka jest zawsze niespodzianką dla zwyciężonych. Czynniki których nie brano pod uwagę — braki w zasobach, defekty w zaopatrzeniu własnych armij, albo przewaga armij nieprzyjacielskich w dziedzinach, o których wcale nie myślano, błędy dowództwa, nie umiejącego wykorzystać wszystkich możliwości, wreszcie gra przypadku, której największy ganiusz nie może przewidzieć ani opanować — wszystko to sprawia że wynik wojny jest tak samo wątpliwy, jak wynik poważnej choroby. Dobry lekarz może doprowadzić do wyzdrowienia chorego o bardzo słabej konstytucji —

lekarz zły lub drugorzędny może zmarnować szanse pacjenta o najsilniejszej budowie. Słuszność sprawy, o którą się walczy, odgrywa we wszelkiej walce swoją rolę — ale nie jest bynajmniej czynnikiem decydującym w każdym poszczególnym konflikcie między sprawą słuszną i niesłuszną.

W r. 1915 byłem na ważnej konferencji w Paryżu wraz z Asquithem, lordem Kitchenerem, Balfourem i sir Edwardem Grey'em. Kiedy wracaliśmy do Londynu, na dworcu żegnał nas w imieniu rządu p. Combe — „le petit père Combe" — mały, osiemdziesięcioletni ale bardzo żywy staruszek. Optymizmu i zapału p. Combe nie zdołały w najmniejszym stopniu osłabić przekleństwa jakie od lat rzucali nań wierni, dotknięci jego atakami na kościół. Kiedy tylko wszedł do wagonu salonowego, w którym siedzieliśmy, zaczął wygłaszać przemówienie na temat wojny i jej perspektyw—przemówienie pełne ufności i nadziei. Zakończył hymnem pochwalnym na cześć „Sprawiedliwości, Wolności, Prawa i Zwycięstwa". Balfour przypatrywał mu się z ledwie ukrywaną pogardą i powiedział do mnie: „On musi w bardzo dziwny sposób interpretować historię, jeśli sądzi że „Sprawiedliwość, Wolność i Prawo" są synonimami „Zwycięstwa".

Przeszłość usprawiedliwia niestety tę cyniczną uwagę Balfoura. Zwycięstwo może nie zawsze odnosiły „większe bataliony" — ale nie zawsze również uzyskiwała je słuszniejsza sprawa; jest historycznym truizmem, że słuszna sprawa walczy często napróżno przeciw przeważającej sile czy sprawności swoich wrogów, lub przeciw brakom i głupocie swoich sojuszników. Ludzie więc, którzy powierzają losy swego kraju wojnie, decydują się na ryzyko, którego rozmiarów sami nie mogą przewidzieć i które może okazać się fatalne w skutkach i dla nich i dla ich ojczyzny. Żadna inna procedura rozstrzygania spornych problemów nie jest równie kosztowna i równie niepewna. Niech ci, którzy wątpią w słuszność tego twierdzenia, przeczytają z uwagą dzieje Wielkiej Wojny i zobaczą,

że byliśmy już na samym skraju katastrofy i że uratowało nas przede wszystkim niewiarogodne szaleństwo naszych wrogów. Ale nie można zawsze liczyć na to, że nasz przeciwnik będzie robił większe błędy niż my.

Druga nauka, jakiej nie możemy lekceważyć w tym świecie uzbrojonych narodów, sprowadza się do tego, że jeśli ludzkości nie uda się na nieszczęście usunąć wojny ze swych dziejów i jeśli i my wciągnięci będziemy w nową wojnę — musimy poświęcić baczną uwagę temu, aby nie popełnić znowu błędów, które kosztowały nas tak drogo w wojnie ostatniej. To jest również powodem, dla którego w sposób tak dokładny i pedantyczny opisałem wielkie organizacje, zaimprowizowane w czasie wojny w celu wyzyskania wszystkich zasobów kraju. Zapoznanie się z historią tych wysiłków jest rzeczą niezbędną dla każdego, kto chce się dowiedzieć, jakie są najlepsze metody zorganizowania narodu — zarówno w czasie wojny jak w czasie pokoju.

Niezależnie jednak od tego, czy chodzi o sprawozdanie z faktów, o potępienie czy o pochwałę — muszę podkreślić doniosłość jednej reguły: że wszelkie opisy tego rodzaju mogą być pożyteczne tylko wtedy, jeśli są prawdziwe. Jeżeli z szacunku dla czczonych wspomnień albo drogich nam iluzyj ukryjemy prawdę i przysłonimy defekty laurami gloryfikacji — nie nauczymy się niczego, i następnym razem możemy już nie uniknąć katastrofy tak, jak uniknęliśmy jej wtedy — to znaczy niemal o włos.

Ubolewałem więcej, niż mogę wyrazić słowami, nad tym że muszę powiedzieć nagą prawdę o krwawej drodze, jaką okupiliśmy zwycięstwo. Ale powiedzieć ją musiałem — inaczej bowiem fałszywe i wobec tego niebezpieczne iluzje panowałyby w dalszym ciągu.

Pisałem o ludziach i wypadkach to co o nich sądzę; mogło to skłaniać mnie do krytyki, gdzie inni znajdowali pod-



„Nowy kapelmistrz zaczyna uwerturę 1917 roku"
(Rysunek w „Punchu" po mianowaniu Lloyd George'a premierem)

stawy do pochwał, i do pochwał, gdzie inni mogli wypowiadać słowa krytyki. Ilekroć pozwoliłem sobie na wypowiedzenie jakiegoś surowego sądu, starałem się przed tym jak najdokładniej — przy pomocy dokumentów z owych czasów — sprawdzić czy nie myli mnie pamięć; zapytywałem też uczestków opisywanych wypadków. Ale drogi i granice pamięci zacierają się i zamazują z czasem, i najbardziej wiarogodny świadek nieraz się myli — jeśli pamięci jego nie wzmacnia „zapis który pozostaje". Na szczęście mam w swoim posiadaniu — dzięki skrupulatnym sekretarzom — wielką liczbę memoriałów, zapisek i listów, dotyczących wojny i pokoju i sporządzonych w czasie opisywanych wydarzeń.

Cała wartość, jaką mieć mogą moje wspomnienia dla przyszłego historyka wojny, zależy od dokładności pamięci ludzkiej oraz od stopnia, w jakim wspomnienia te oparte są na dokumentach i innych świadectwach współczesnych.

Niestety, nagana przyciąga bardziej uwagę ludzką niż pochwała. Oceniam krytycznie kilku — tylko kilku — polityków i generałów. Krytyka wywołuje sprzeciwy, a sprzeciwy uzyskują rozgłos, który usuwa w cień pozostałą — większą i bardziej istotną — część mojej pracy. Jeśli jednak wypowiadałem słowa krytyki, opisywałem też z przyjemnością wielkie zasługi Bonar Law, Balfour, Churchill, Cecil, Geddes, Maclay, Reading, Smuts, Borden, Hughes. Milner, Northcliffe, Fisher, Lee of Fareham — oto niektórzy z pośród wielu polityków i administratorów, którym pochwała się należy i którym jej nie szczędziłem. Opisałem sukcesy generałów takich jak Plumer, Allenby, Maude i Cowans, rozjaśniające ponury obraz nieudolności militarnej kilku innych wodzów. Mieliśmy ludzi wybitnych, których wady przyczyniły się do powiększenia naszych trudności; w tym wypadku zwracałem również uwagę na wielkie zalety tych ludzi. Co się zaś tyczy milionów żołnierzy i oficerów, których nieopisane męstwo i wytrwałość ratowały kraj od następstw każdego błędu, popełnianego przez polityków, generałów i admirałów — jeśli

w niedostateczny sposób wyraziłem im swój podziw, powodem jest jedynie nieumiejętność wyrażenia w należyty sposób emocji, jakiej znów ulegam, kiedy uprzytamniam sobie raz jeszcze ich bohaterstwo.

PROPOZYCJA POKOJOWA WILSONA

20 grudnia 1916 r. ambasador Stanów Zjednoczonych zakomunikował rządom koalicyjnym notę pokojową Prezydenta Wilsona. Nota zaczynała się od stwierdzenia, że Prezydentem kierują wyłącznie motywy przyjaźni i że wystąpienie jego nie ma żadnego związku z propozycjami pokojowymi państw centralnych. Dalej Prezydent wypowiadał opinię, że każde z państw wojujących powinno wyłożyć swoją koncepcję warunków pokoju, które pozwoliłyby zakończyć wojnę i nie dopuściły do jej powtórnego wybuchu. Jeśli sądzić z oświadczeń oficjalnych — stwierdził Prezydent — wszystkie państwa wojujące dążą do tego samego celu. „Obie strony pragną, aby na przyszłość małe narody i państwa miały swoje prawa i przywileje tak samo chronione i zabezpieczone przed wszelką agresją czy naruszeniem, jak narody wielkie i potężne, prowadzące teraz wojnę. Każda strona chce zabezpieczyć się na przyszłość — wraz z wszystkimi pozostałymi narodami — od powtórzenia wojen podobnych do obecnej, oraz od wszelkiej napaści czy jakiegokolwiek samowolnego wykroczenia..." Aby tego rodzaju cele mogły być osiągnięte, musi być najprzód zawarty pokój, oparty na należytych podstawach. Stany Zjednoczone są również żywo zainteresowane w rychłym zawarciu pokoju, i z tego względu Prezydent wzywa do wymiany poglądów na temat warunków pokoju, *które dotąd nie zostały przez żadną stronę publicznie wyłożone.*

W konkluzji Prezydent Wilson podkreślał, że sam on nie wysuwa żadnych warunków ani nie proponuje swojego po-

średnictwa w tym względzie, lecz występuje jedynie z propozycją ustalenia poglądów stron wojujących, co pozwoli wszystkim zorientować się, jak daleko jesteśmy od możliwości zawarcia pokoju.

Wspólna odpowiedź państw Koalicji, zakomunikowana rządowi amerykańskiemu 10 stycznia 1917 r., składała hołd szlachetnym uczuciom, jakie inspirowały notę amerykańską oraz stwierdzała, że zadowalające zakończenie wojny nastąpić może tylko na zasadzie warunków, gwarantujących sprawiedliwy i trwały pokój. Sugestję noty amerykańskiej — podkreślała odpowiedź — że obie strony wojujące dążą do tych samych celów, obala sam przebieg wojny, w trakcie którego prawa małych narodów zostały pogwałcone przez państwa centralne; wymieniona tu była Belgia, Luksemburg, Serbia, Armenia, Syria, jak również naloty Zeppelinów, okrucieństwa wojny podwodnej, sprawa Miss Cavell i kapitana Fryatta, oraz inne pozycje z katalogu zbrodni niemieckich.

W odpowiedzi na prośbę Prezydenta Wilsona, aby rządy sformułowały swoje warunki pokoju, nota Koalicji wymieniała następujące sprawy, których uwzględnienie w traktacie pokojowym uważała za rzecz konieczną:

Przywrócenie niezawisłości Belgii, Serbii i Czarnogóry wraz z należnym im odszkodowaniem; ewakuacja okupowanych terytoriów Francji, Rosji i Rumunii oraz wypłacenie tym państwom odpowiedniego odszkodowania;

Reorganizacja Europy przeprowadzona w sposób trwały i oparta na zasadzie poszanowania odrębności narodowych, na prawie jakie mają wszystkie narody — wielkie i małe — do całkowitego bezpieczeństwa i pełni swobodnego rozwoju ekonomicznego, oraz na postanowieniach terytorialnych, ustalonych w petraktacjach międzynarodowych i mających na celu obronę lądowych i morskich granic państw przeciw niezasłużonej napaści;

Restytucja prowincyj, oderwanych dawniej od państw Koalicji siłą lub wbrew woli ich mieszkańców;

Uwolnienie Włochów, Słoweńców, Rumunów, Czechów i Słowaków z pod panowania obcego;

Uwolnienie ludów, uginających się pod morderczym jarzmem tyranii tureckiej, oraz usunięcie z Europy państwa Sułtana, które okazało się tak zasadniczo obce cywilizacji Zachodu;

Wprowadzenie w życie niedawnej deklaracji Cara o odrodzeniu Polski;

Zabezpieczenie Europy przed wiszącą nad nią brutalną groźbą pruskiego militaryzmu.

Belgia, niezależnie od podpisu pod wspólną notą, przesłała własną odpowiedź, w której zwracała uwagę na sposób, w jaki została potraktowana przez Niemcy i podkreślała, że nie może zgodzić się na warunki pokojowe, które nie dawałyby jej zadośćuczynienia za doznane krzywdy i nie zabezpieczały na przyszłość.

Wraz z odpowiedzią państw Koalicji posłane zostało pismo Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, które ambasador Anglii w Waszyngtonie wręczyć miał rządowi Stanów Zjednoczonych. Pismo wyjaśniało i komentowało notę Koalicji.

W piśmie swoim Balfour podkreślał, że warunki pokojowe muszą być tego rodzaju, aby naprawiały zło, które doprowadziło do wybuchu wojny. To pociąga za sobą konieczność zrewidowania mapy Europy, usunięcia z niej barbarzyńskiego państwa tureckiego oraz unicestwienia niemieckiego militaryzmu. Gdyby traktat pokojowy miał pozostawiać potęgę militarną Niemiec nienaruszoną, to wobec wyczerpania i osłabienia Europy utrzymanie pokoju stałoby się rzeczą jeszcze bardziej wątpliwą, niż było przed wojną.

Porozumienia i traktaty międzynarodowe nie stanowią same przez się wyjścia z sytuacji — dowodzą tego losy Belgii. Silne państwo może się do traktatów nie przyłączyć, albo podeptać je. Jeśliby tego rodzaju postępowanie miało być w rezultacie wojny ukoronowane sukcesem, byłoby rzeczą bezna-

dziejną starać się później nie dopuścić doń przy pomocy traktatów.

„Chociaż więc naród angielski, wraz z Prezydentem, pragnie gorąco pokoju — nie wierzy jednak, aby pokój mógł być trwały, jeśli podstawą jego nie będzie zwycięstwo sprawy Sprzymierzonych. Trudno bowiem oczekiwać trwałego pokoju, jeśli niespełnione zostaną trzy następujące warunki:

Pierwszy — aby istniejące przyczyny zakłóceń w stosunkach międzynarodowych zostały, jeśli to możliwe — usunięte, a w każdym razie osłabione;

Drugi warunek — aby agresywne cele i brutalne metody postępowania państw centralnych straciły na popularności wśród ich własnych narodów;

Trzeci wreszcie warunek — aby wszelkie postanowienia traktatowe, dotyczące zniesienia lub ograniczenia zbrojeń, związane były z określonymi sankcjami, mogącymi pohamować najzuchwalszego napastnika".

Baufour wyrażał przekonanie, że tego rodzaju polityka zgodna jest z niejednokrotnie wypowiadanymi poglądami Prezydenta — i stwierdzał, że gotowi jesteśmy ponosić w dalszym ciągu olbrzymie ofiary z krwi i mienia, nie dlatego abyśmy chcieli odnieść nad innym państwem bezpłodne zwycięstwo, ale dlatego że uważamy to za jedyną drogę do trwałego pokoju.

Nasza odpowiedź Ameryce i Niemcom*) była pierwszym

*) Mowa tu o odpowiedzi na notę, wręczoną przez Bethmann-Hollwega na ręce Chargé d'Affaires St. Zjednoczonych w Berlinie w d. 12 grudnia 1916 r. i proponującą rządom Koalicji wszczęcie rokowań pokojowych. Nota podkreślała sukcesy militarne państw centralnych i nie zawierała żadnych konkretnych warunków pokoju. Rządy państw Koalicji udzieliły jednobrzmiącej odpowiedzi odmownej. Tekst tej noty i opis pertraktacyj, jakie toczyły się w związku z nią między rządami Koalicji, podany jest przez Autora. *(Przyp. tłum.)*

publicznym stwierdzeniem przez Koalicję wszystkich celów, jakie pragnie osiągnąć w wojnie. Zawierała ona właściwie cały Traktat Wersalski: restytucję wszystkich prowincyj, zdobytych przez wroga siłą oręża, oraz zaanektowanych wbrew pragnieniom mieszkańców; zasadę samookreślenia w zastosowaniu do narodów ujarzmionych; żądanie od Niemiec reparacyj i odszkodowań; przedsięwzięcie kroków, które zapewniłyby poszanowanie prawa i pokoju i uniemożliwiły gwałt dokonany w r. 1914. W jednym brzemiennym zdaniu Balfour przepowiedział istnienie Ligi Narodów, uzbrojonej w sankcje międzynarodowe.

Odpowiedzi te wyjaśniły światu, że państwa Koalicji zdecydowane są nie zawierać pokoju, dopóki militaryzm pruski nie zostanie zdruzgotany. Wywarły one niewątpliwie wpływ na postępowanie Ameryki, przyspieszając jej interwencję po stronie Koalicji. Odpowiedzi zostały przyjęte przychylnie przez amerykańską opinię publiczną; atmosfera po drugiej stronie Atlantyku uległa od tej chwili wyraźnej zmianie.

Niezależnie zupełnie od słuszności żądań Koalicji, był w tej sprawie pewien moment osobisty, którego nie należy lekceważyć. Prezydent Wilson był szczerym idealistą i człowiekiem szlachetnych intencyj i poglądów — ale był także człowiekiem, skłonnym do odczuwania głębokiej urazy, skoro jego duma została zadraśnięta, lub dążenia—unicestwione. Były pewne oznaki, że nie podobał mu się bynajmniej sposób, w jaki Niemcy uprzedzili jego ofenzywę pokojową i ogłosili przed nim swoją notę — choć zawiadomił ich prywatnie o swoim zamiarze zwrócenia się do Europy w sprawie pokoju. Jeszcze bardziej zirytował go fakt, że Niemcy potraktowali jego notę w sposób lekceważący, gdyż nie udzielili na nią wcale wyczerpującej odpowiedzi. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że sposób postępowania Sprzymierzonych był dlań bardzo przyjemny: dołożyli oni wszelkich starań, aby możliwie najszybciej odpowiedzieć na jego notę w sposób szcze-

im. F. Bujerzyńskiego

gółowy i starannie przemyślany; w tym celu najprzód każde z państw rozważało ją oddzielnie, a potym obradowali nad nią wspólnie przedstawiciele wszystkich państw sprzymierzonych — aby móc dać odpowiedź tak konkretną, jak to tylko było możliwe w danym stadium wojny. Nie można bynajmniej ręczyć, że to pełne szacunku postępowanie nie wywarło swojego wpływu na człowieka o temperamencie i wrażliwości Wilsona; dlatego musimy brać ten moment pod uwagę, gdy chcemy zbadać, co skłoniło go po tak krótkim czasie do porzucenia jego dotychczasowego stanowiska — pacyfizmu „zbyt dumnego na to aby walczyć" — którego bronił w czasie wyborów i dzięki któremu został obrany powtórnie Prezydentem Stanów.

Niemcy odpowiedziały na notę Wilsona dopiero 31 stycznia 1917 r., w miesiąc po ogłoszeniu odpowiedzi Koalicji, w poufnym piśmie ambasadora von Bernstorffa do pułkownika House. Odpowiedź Niemiec brzmiała:

Waszyngton, 31 stycznia 1917 r.

„Szanowny Panie Pułkowniku!

Otrzymałem z Berlina depeszę, polecającą mi wyrazić Prezydentowi podziękowanie Rządu Jego Cesarskiej Mości za wręczone za Pana pośrednictwem pismo. Rząd J. C. Mości żywi całkowite zaufanie do Prezydenta i ma nadzieję, że Prezydent odwzajemnia mu się tym samym uczuciem. W dowód tych uczuć polecono mi zawiadomić Pana poufnie, że rząd J. C. Mości bardzo chętnie przyjmie pośrednictwo, łaskawie zaofiarowane przez Prezydenta, w doprowadzeniu do skutku konferencji pokojowej państw wojujących. Rząd mój nie jest jednak obecnie skłonny opublikować swoje warunki pokojowe, ponieważ wrogowie nasi opublikowali żądania, które zmierzają do upokorzenia i zniszczenia Niemiec i ich sojuszników. Rząd mój uważa, że dopóki nieprzyjaciele

nasi wysuwają publicznie żądania tego rodzaju, sugerowalibyśmy tylko słabość, która w rzeczywistości nie istnieje, gdybyśmy ogłosili nasze warunki — i przedłużylibyśmy tylko w ten sposób trwanie wojny. Aby jednak okazać zaufanie Prezydentowi Wilsonowi, rząd mój pragnie za moim pośrednictwem poinformować go *osobiście* o warunkach, na jakich gotowi bylibyśmy przystąpić do pertraktacyj, gdyby wrogowie nasi przyjęli naszą propozycję z 12 grudnia.

Restytucja części Górnej Alzacji, zajętej przez Francję.

Poprawienie granicy, która zabezpieczałaby Niemcy i Polskę przed Rosją strategicznie i ekonomicznie.

Restytucja kolonij w formie umowy, która dawałaby Niemcom posiadłości kolonialne, odpowiadające liczbie ich ludności i ich interesom gospodarczym.

Restytucja części Francji, zajętych przez Niemcy, z zastrzeżeniem zmian linii granicznej o charakterze strategicznym i ekonomicznym oraz odszkodowania finansowego.

Restytucja Belgii ze specjalnymi gwarancjami bezpieczeństwa dla Niemiec, które byłyby ustalone w pertraktacjach z Belgią.

Obustronne odszkodowanie gospodarcze i finansowe, dokonane na podstawie wymiany zdobytych przez obie strony terytoriów, które byłyby zwrócone z chwilą zawarcia pokoju.

Odszkodowanie dla niemieckich firm i osób prywatnych, które ucierpiały na skutek wojny. Zaniechanie z chwilą zawarcia pokoju wszelkich porozumień i postanowień gospodarczych, tamujących normalną wymianę handlową i zawarcie zamiast nich rozumnych traktatów handlowych.

Swoboda mórz.

Warunki naszych sojuszników idą w tym samym kierunku.

Rząd mój godzi się również wziąć udział po zakończeniu wojny w drugiej konferencji międzynarodowej, zwołanej w myśl orędzia Prezydenta do Senatu.

Rząd mój byłby chętnie odłożył blokadę podwodną, gdyby mógł to uczynić. Było to jednak zupełnie niemożliwe wobec poczynionych przygotowań, których nie można było odłożyć. Rząd mój przekonany jest, że blokada podwodna doprowadzi do bardzo szybkiego zakończenia wojny.

Na razie rząd mój uczyni wszystko co możliwe dla obrony interesów amerykańskich i prosi Prezydenta o kontynuowanie jego wysiłków pokojowych; rząd mój przerwie blokadę podwodną z chwilą, gdy stanie się rzeczą widoczną, że wysiłki Prezydenta doprowadzą do zawarcia pokoju, będącego do przyjęcia dla Niemiec.

Z poważaniem

J. Bernsdorff.

P. S. Nie otrzymałem na czas tłumaczenia oficjalnego tekstu odpowiedzi na notę Prezydenta, a chciałem jak najszybciej zakomunikować Panu powyższe najważniejsze informacje, mianowicie — że blokada będzie przerwana, jeżeli uda się zwołać konferencję pokojową na warunkach możliwych do przyjęcia".

List ten, w którym Niemcy wysuwały żądania aneksji terytorjów francuskich i rosyjskich i kontrybucji od Francji i Rosji, suwerennej władzy nad Belgią oraz ustąpienia im części kolonij francuskich i angielskich, a poza tym zapowiadały nieograniczoną wojnę podwodną — nie był wogóle propozycją pokojową. Włochy nie były w nim wcale wymienio

ne — jeśli pominąć zdanie, z którego wynika, że Austria wysuwa podobne żądania co Niemcy. List był wyzwaniem do walki aż do końca — i tak też musiały zrozumieć go, chcąc nie chcąc, Stany Zjednoczone.

NIEBEZPIECZEŃSTWO WOJNY PODWODNEJ

Jakie wrażenie musi mieć człowiek, który odgrywał kierowniczą rolę w prowadzeniu tej straszliwej wojny, a potym podejmuje się opowiedzieć o jej przebiegu — o wszystkich jej okropnościach, o wielkim niebezpieczeństwie i cudownym ocaleniu? Jego wrażenia podobne są do uczuć podróżnika, zwiedzającego miejsca, przez które kiedyś pomagał przeprowadzać łódź — bez mapy, bez znajomości terenu i bez doświadczenia: bo ani on ani nikt z załogi nie znał biegu rzeki, jej głębin i mielizn, jej raptownych i nieoczekiwanych zakrętów, nie znał siły i kierunku jej wirów podwodnych, ani skał, ukrywających się pod jej powierzchnią.

Strumień, którym trzeba było prowadzić łódź, był z natury rzeczy mało zbadany. Teraz, pisząc te wspomnienia, idę jak gdyby jego brzegiem — od małego źródła, z którego się zaczynał, aż do oszalałego potoku wód, w który się zamienił. W tej chwili zbliżam się do najwęższego i najbardziej niebezpiecznego przesmyku w całej tej wariackiej podróży — przesmyku z wynurzającą się w samym środku skałą, zagradzającą — według wszelkich pozorów — drogę. Ostatecznie o skałę tę uderzyła się i rozbiła w kawałki łódź niemiecka; ale wzdrygam się na myśl, że o mały włos byłoby to spotkało nas. Kampania podwodna okazała się zgubą Niemiec; strach pomyśleć, że była bardzo bliska osiągnięcia swego celu — zniszczenia potęgi morskiej Anglii, ze wszystkimi konsekwencjami, jakie tego rodzaju katastrofa pociągnęłaby za sobą dla państw Sprzymierzonych i dla ludzkości.

Wszyscy, patrzący z perpektywy czasu na niemiecką

kampanię podwodną, skłonni są uważać ją jedynie za jeden z najdonioślejszych w skutkach błędów Niemiec. Prawdą jest, że okazała się w końcu fatalnym błędem, który przyspieszył ich ostateczną porażkę; ale marża popełnionego błędu była bardzo nieznaczna i nie wiele brakowało, aby obliczenie okazało się słuszne. Były całe tygodnie, w ciągu których wodzowie niemieccy mieli o działalności łodzi podwodnych dokładne informacje, pozwalające im spodziewać się ostatecznego zwycięstwa — podczas gdy Angia i jej sojusznicy pełni byli niepokoju, który w pewnym momencie przerodził się w prawdziwą trwogę. Były chwile, w których najbardziej opanowani z naszych wodzów sądzili, że możemy łatwo przegrać wojnę i że zrobimy dobrze, zawierając pokój, póki jeszcze mamy jakieś okręty na morzu.

Wkrótce po bitwie nad Marną dla bardziej przewidujących umysłów niemieckich stało się rzeczą jasną, że Niemcy nie mogą osiągnąć zupełnego zwycięstwa, dopóki Anglia panuje na morzu, i że blokada może zmusić państwa centralne do przedwczesnej kapitulacji, jeśli trójząb Neptuna nie zostanie wydarty z rąk brytyjskich. Już Rzym rozumiał doniosłość tego czynnika w walce z potęgą morską; Napoleon niezupełnie zdawał sobie zeń sprawę. Ale w czasach Napoleona ludność państw kontynentalnych była o wiele mniejsza, same państwa — o wiele bardziej samowystarczalne, a poziom zaspokojenia niezbędnych potrzeb — znacznie niższy. Wojna odbywała się z większymi przerwami i wymagała bez porównania mniej sprzętu technicznego; nie pochłaniała też tylu ludzi ani w polu, ani poza obrębem linij bojowych. Nie można więc było wówczas zmusić Francję głodem do kapitulacji. W tej jednak wojnie Niemcy zaczęli uświadamiać sobie, że nie będą w stanie wojować bez końca, jeśli blokada nie zostanie przełamana. Odczuwali już trudności w dziedzinie tak niezbędnych dla wojny artykułów, jak miedź, nafta i kauczuk; brakowało im również niektórych przedmiotów codziennego

użytku, wielu wygód i większości artykułów luksusowych — w zaopatrzeniu zarówno ludności cywilnej jak wojska.

W chwili, kiedy na skutek głupoty państw Koalicji najsłabsze dotąd miejsca w systemie obronnym mocarstw centralnych — na Wschodzie i Południo-Wschodzie — zostały tak wzmocnione, że Niemcy mogły na razie nie żywić obaw o swoją pozycję militarną w najbliższej przyszłości — dowództwo niemieckie, zarówno lądowe jak morskie, myślało coraz więcej i więcej o blokadzie. Był to podwójny problemat: chodziło przede wszystkim o przełamanie blokady Niemiec, a następnie — o przeprowadzenie z kolei blokady Anglii. Gdyby Niemcy byli w stanie osiągnąć natychmiastowe rozstrzygnięcie militarne, mogli nie troszczyć się o to co zrobi flota brytyjska. Ale porażka nad Marną, niepowodzenie w pierwszej bitwie pod Ypres i zwłaszcza — opór, na jaki natrafili ostatnio pod Verdun, przekonały główną kwaterę niemiecką, że przełamanie frontu Sprzymierzonych na Zachodzie jest rzeczą niemal niemożliwą. Równie poważne i o wiele bardziej krwawe niepowodzenia armij koalicyjnych w ich licznych próbach przełamania frontu niemieckiego — którego broniło tylko dwóch żołnierzy na każdych trzech atakujących — wzmocniły jeszcze to wrażenie. Wojna stawała się coraz bardziej walką wytrzymałości obu stron, a w tej walce kleszcze, zaciskane przez Anglię na morzach, dawały Koalicji zdecydowaną przewagę. Zarówno więc Naczelne Dowództwo, jak Admiralicja niemiecka rozważały, oddzielnie i we wspólnych naradach, zagadnienie przełamania blokady, i — jeżeli to możliwe — odwrócenia jej ostrza w drugą stronę. Sztaby armij myślały oczywiście przede wszystkim o możliwościach, jakie dawałyby pewne operacje lądowe. Wyraźną pomoc stanowił podbój Rumunii; nie mógł on jednak zapełnić rosnącej luki między potrzebami a podażą. Dawał państwom centralnym zboże i naftę w ilościach poważnych, ale jeszcze niewystarczających. Nieograniczone możliwości ukazywała im Rosja: czekało tu na nich zboże, nafta i miedź w ilościach ogrom-

nych; ale podbój tych terytoriów wymagał czasu. Trzeba było najprzód pozbyć się armii rosyjskiej, a potym wprowadzić jakiś porządek w zrewolucjonizowanym kraju. Ponadto, trzeba było poważnie ulepszyć niedostateczny transport rosyjski. A tymczasem jakieś kroki trzeba było przedsięwziąć natychmiast. Niedostateczne racje żywności, jakie otrzymywała ludność niemiecka, zostały ostatnio jeszcze zmniejszone. I podczas gdy zapasy Niemiec wyczerpywały się stopniowo, wszystkie zasoby i bogactwa świata stały otworem dla państw Koalicji. Należało uderzyć w ich komunikację na morzu: do takiego wniosku doszły kierownicze koła niemieckie.

Pewien czas upłynął, zanim Niemcy zdali sobie sprawę, jak potężną bronią w ich ręku są łodzie podwodne. Z początku polegali tylko na swoich krążownikach, minach i innych starych metodach walki z naszą flotą handlową.

Sądzę że admirałom, stojącym na pokładach olbrzymich okrętów wojennych, łódź podwodna wydawała się zrazu tylko zabawnym eksperymentem; nie traktowali jej bardzo poważnie, jako broni w walce o panowanie na morzu. Myśleli, że może być co najwyżej pomocą dla okrętów liniowych, jako niewidzialny wywiadowca, ewentualnie — w szczęśliwym wypadku — uszkodzić, a przy wyjątkowo szczęśliwym zbiegu okoliczności — zatopić jakiś zabłąkany nieprzyjacielski okręt wojenny. Kiedy jednak ostatni z wędrujących po morzach krążowników niemieckich ukrył się w bagnach nadbrzeżnych Afryki, aby w ten sposób ujść nieprzyjacielskiej pogoni, Admiralicja niemiecka zaczęła z większą ufnością spoglądać na małego podwodnego drapieżnika, który w ciągu miesiąca zdołał zatopić więcej okrętów nieprzyjacielskich, niż samotne krążowniki w ciągu całej swojej sławnej, ale krótkiej kariery. Gdy zaś Niemcy uprzytomnili sobie w pełni doniosłość tej broni, zaczęli konstruować łodzie podwodne znacznie większego typu i budować je na wielką skalę.

Łódź podwodna starego typu, z jej ograniczonym zapasem płynnego paliwa, nie mogła oddalać się zbytnio od Kanału

La Manche i Morza Północnego; podróże jakie mogła odbywać były ograniczone zarówno w przestrzeni jak w czasie. Nowy typ natomiast mógł przepływać Atlantyk. Pierwsza łódź tego typu, spuszczona w czerwcu 1916 r., przepłynęła Atlantyk i dotarła aż na amerykańskie wody terytorialne. Zanim wróciła, popełniła wielkie głupstwo, zatapiając pięć okrętów w pobliżu latarni morskiej w Nantucket. Był to charakterystyczny przykład psychologii pruskiej: postępek ten bowiem miał na celu zastraszenie Ameryki i doprowadzenie jej do uległości, wywołał zaś wzrost antagonizmu wobec Niemiec i wytworzył wrogi nastrój, który doprowadził w końcu do wojny. Niemcy jednak cieszyły się z tego wyczynu. Sfery kierownicze były zdania że straty, jakie spowodują łodzie podwodne nowego typu, będą tak znaczne, że nawet jeśli Ameryka zechce wziąć udział w wojnie, to do czasu, kiedy armie jej będą skompletowane, wyekwipowane i wyćwiczone nie będzie wogóle okrętów, któreby mogły przewieźć te armie do Europy. Czy obliczenia te były tak bardzo fałszywe?

Byliśmy oczywiście zaalarmowani rozwojem wypadków. Kiedy pojawiało się coraz więcej dużych łodzi niemieckich, krążyły one wokół wszystkich dróg morskich, prowadzących na wyspy brytyjskie—od Zatoki Baskijskiej do Islandii i przenikały do wszystkich zakątków Morza Śródziemnego; liczba zatopionych okrętów — ginących niemal wyłącznie od ognia działowego łodzi niemieckich — rosła w sposób zatrważający. Mapy Admiralicji, przedstawiające wody na północ i południe od Irlandii, jak również zatoki wokół Kanału La Manche, stawały się coraz czarniejsze od punktów, w których łodzie podwodne dawały znać o swoim istnieniu. Również na Morzu Śródziemnym liczba zatopionych okrętów była coraz większa.

Wszystkie nasze plany obrony przeciw wojnie podwodnej były na nic, gdyż nowe łodzie operowały na Atlantyku o setki mil od obszarów, patrolowanych przez nasze okręty, a nie mieliśmy dosyć torpedowców nawet na patrolowanie

najbliższych mórz: trzeba było ochraniać od ataków podwodnych wielkie pancerniki, i to zadanie absorbowało przeważającą część naszych torpedowców. Nie mogłem nie przypominać sobie wówczas starań, przedsiębranych przez niektórych z nas przed wojną, aby skłonić Admiralicję do budowania większej liczby torpedowców i zużycia na to części tych ogromnych sum, jakie przeznaczała ona na budowę superdrednotów.

Tonaż brutto naszych okrętów, zatopionych w ciągu ostatnich czterech miesięcy 1916 r., wynosił 632 tys. ton. Admiralicja niemiecka obliczała, że nieograniczona wojna podwodna pozwoli jej wkrótce podwyższyć tę sumę do 600 tys. ton miesięcznie i że po czterech miesiącach takich strat Koalicja prosić będzie o pokój na wszelkich znośnych warunkach.

1 lutego 1917 r. rząd niemiecki, ośmielony sukcesami łodzi nowego typu, których posiadał już całą flotę, wymierzył Anglii i całej Koalicji — zależnej od naszego transportu morskiego — najcięższy cios: zaczęła się nieograniczona wojna podwodna. Wszystkie statki handlowe, płynące z portów lub ku portom państw Sprzymierzonych, miały być zatapiane bez uprzedzenia. Nie bez racji Niemcy spodziewały się, że po czterech miesiącach takiej wojny w niezbędnych materiałach, dostarczanych morzem nie tylko dla nas, ale i dla innych państw Koalicji, powstaną takie luki, że będziemy musieli prosić o pokój.

Czy były to ze strony Niemców nadzieje przesadne? Już przecież w końcu r. 1915 brakowało nam dostatecznej liczby okrętów do przewozu materiałów, niezbędnych dla armij i ludności państw Koalicji. A w ciągu roku 1916 sytuacja pogorszyła się znacznie.

Jak tylko Niemcy wzmogły swoją kampanię podwodną wczesną jesienią 1916 r. i liczba zatopionych statków zaczęła rosnąć, sytuacja stała się tak ponura że p. Runciman, ówczesny minister przemysłu i handlu, uznał za konieczne ostrzec radę ministrów, że jeśli okręty sojusznicze i neutralne zata-

piane będą dalej w tym tempie, nie wytrzymamy wojny zbyt długo.

Na posiedzeniu Komisji Wojennej rządu w d. 9 listopada 1916 r. Runciman zakomunikował, że jego zdaniem *„nasz transport morski załamie się kompletnie w czerwcu 1917 r."* Natychmiast po posiedzeniu Komisji sporządził zresztą memoriał, w którym oświadczył, że poddał rewizji swoje obliczenia i że załamanie to — jak obecnie sądzi — nastąpić musi znacznie wcześniej.

W następnym memoriale, przedstawionym Komisji Wojennej 22 listopada 1916 r., Runciman stwierdzał że palącą potrzebą chwili jest zmobilizowanie dostatecznej liczby okrętów dla przywozu zbiorów z Indyj i z Australii — od wypełnienia bowiem tego zadania zależy możność wyżywienia Anglii, Francji i Włoch w ciągu następnego lata. Potym następowało zdanie bardzo niepokojące: „Nie dysponujemy w tej chwili okrętami, niezbędnymi do tego celu". Potrzeba 100 okrętów miesięcznie w ciągu sześciu miesięcy, poczynając od listopada; a tymczasm, pisał Runciman — po czterotygodniowym wysiłku Departament Transportu zdołał zapewnić sobie niespełna 30 okrętów. Dodawał jeszcze, wyjaśniając swoją rozpaczliwą ocenę sytuacji, że wszystkie obliczenia opierał „na założeniu, iż nie zawahamy się — dla osiągnięcia tego celu — zlikwidować zupełnie wszelki prywatny handel zamorski".

Runciman zakładał też w swoich obliczeniach, że w roku 1917 straty miesięczne, spowodowane wojną podwodną, będą takie same jak *w pierwszych ośmiu miesiącach r. 1916.* Gdybyśmy chcieli sprowadzać więcej materiałów, niezbędnych do produkcji wojennej, albo gdyby nasza marynarka handlowa miała topnieć w szybszym tempie — sprawa przedstawiałaby się jeszcze gorzej.

W rzeczywistości straty nasze w ciągu ostatnich czterech miesięcy 1916 r. wynosiły 632 tys. ton brutto — to jest były o 32 tys. ton większe, niż całkowite straty pierwszych ośmiu

miesięcy; a z każdym tygodniem coraz więcej niemieckich łodzi podwodnych nowego typu pojawiało się na morzu.

Jak już zaznaczałem tonaż okrętów, budowanych przez nas miesięcznie, wynosił przeciętnie 52 tys. ton; traciliśmy zaś miesięcznie na skutek działalności łodzi podwodnych dwa i trzy razy tyle. W tym stanie rzeczy niemożliwością było zapewnić siłom Koalicji przewagę techniczną, bez której nie mogliśmy myśleć o zburzeniu ufortyfikowanych pozycyj niemieckich, bronionych przez dzielnych i wyszkolonych żołnierzy. Wyposażenie techniczne armii angielskiej możnaby było ledwo utrzymać na dotychczasowym poziomie kosztem niezbędnych dostaw żywności dla krajów sojuszniczych. Na skutek niedostatecznej liczby okrętów Włochy odczuwały dotkliwy brak materiałów amunicyjnych; brakowi temu nie można było zaradzić, nie zagrażając naszej własnej sytuacji żywnościowej. Właśnie fakt, że rząd niemiecki nie mógł wyżywić swojej ludności, wywołał niezadowolenie, które osłabiło a w końcu zupełnie złamało *morale* żołnierzy niemieckich. Niemcy obliczali, że będą w stanie wywołać te demoralizujące objawy w krajach Koalicji, zanim jeszcze ucierpi w podobny sposób ich własna ludność. Nie było to wcale obliczenie bezzasadne, jeśli przyjrzeć się liczbom naszych strat w zatopionych okrętach i ilości naszych zasobów.

Czy w operacjach obronnych, podejmowanych przez nas przeciw niebezpieczeństwu łodzi podwodnych aż do tego czasu, były jakieś sukcesy, które uprawniałyby nas do przypuszczenia, że niebezpieczeństwu temu zdołamy się przeciwstawić? Mogliśmy osiągnąć pewną chwilową ulgę, wycofując wszystkie nasze siły z Morza Śródziemnego i z Mezopotamii. Sztab generalny powitałby z radością tego rodzaju przesunięcie, jako tryumfalne potwierdzenie jego dalekowzroczności. Każda katastrofa ma dla kogoś swoje strony dodatnie. Gdyby nastąpił koniec świata zgodnie z przepowiednią jakiegoś kalendarza, autor kalendarza zdążyłby jeszcze przeżyć chwilę rozkosznej satysfakcji. Ale wycofanie się z Morza Śródziemnego

oraz z Egiptu nie dałoby koniec końców wielkiego zadowolenia nawet sztabom. Zyskalibyśmy w ten sposób tonaż okrętowy, równy stratom jednego miesiąca z okresu nieograniczonej wojny podwodnej — ale za jaką cenę! Nacisk na Austrię i Bułgarię na Bałkanach, który wraz z załamaniem się Turcji doprowadził do początku końca w r. 1918 — musiałby ustać. Austria mogłaby poświęcić się całkowicie przewidzeniu, zorganizowaniu i wyzyskaniu Caporetta. Musielibyśmy wycofać się całkowicie z walki z Turcją — to zaś znaczyłoby, że wobec całego świata i wobec skierowanych na nas oczu Wschodu stwierdzamy, iż Turcy, z pomocą Niemiec, pokonali ostatecznie Wielką Brytanię. Kanał Suezki, a w konsekwencji i Egipt nie mogłyby być bronione i dostałyby się w ręce Turków. Niemiecka łódź podwodna zadałaby nam w ten sposób cios jeszcze straszliwszy, niż my zadaliśmy Bonapartemu, gdy flota angielska pod Abukirem przecięła połączenia Francji z Egiptem. I w dodatku — wszystkie te ofiary nie uratowałyby nas na Zachodzie, jeślibyśmy nie zdołali opanować niebezpieczeństwa łodzi podwodnych. Gdybyśmy nawet potrafili ochronić i zabezpieczyć transporty przez Kanał La Manche — nie wystarczyłoby to, gdybyśmy poza tym nie byli w stanie obronić okrętów, przywożących żywność i surowce amunicyjne z dalekich lądów do portów angielskich, francuskich i włoskich. Ameryka zostałaby również pozbawiona dowozu niezbędnych dla niej materiałów, a później — odcięta od swoich armij.

Pod koniec r. 1916 straty brytyjskiej marynarki handlowej, poniesionej na skutek akcji nieprzyjaciela (głównie łodzi podwodnych) wynosiły 738 okrętów o tonażu brutto 2.300.000 ton—utraciliśmy zatem prawie piątą część tonażu okrętowego, jaki posiadaliśmy w chwili wybuchu wojny. Pod koniec roku 1916 mieliśmy tylko niespełna 50 proc. tego tonażu, jakiego potrzebowaliśmy według obliczeń ministra handlu i przemysłu dla przywozu najniezbędniejszych artykułów. Nic dziwnego, że zdaniem Runcimana nie mogliśmy w ten sposób

prowadzić już wojny zbyt długo. I mimo tych ciągłych i ciężkich strat, mimo ich nieustannego, niepokojącego wzrostu, mimo że Admiralicja widziała iż straty te mogą w każdej chwili jeszcze poważnie wzrosnąć, jeśli Niemcy zastosują nieograniczoną wojnę podwodną, którą zaczęli nam grozić już w lutym 1915 r. — nie zostały przedsięwzięte żadne środki przeciwdziałania, któreby dawały jakikolwiek, najsłabszy bodaj efekt.

Admirał Jellicoe wypowiedział następujący pogląd w memoriale, przedłożonym Admiralicji pod koniec października 1916 r. — to znaczy na trzy miesiące przed zapowiedzią niemiecką nieograniczonej blokady.

> „Istnieje jak sądzę poważne niebezpieczeństwo, że straty naszej marynarki handlowej, wraz ze stratami flot neutralnych, mogą z początkiem roku 1917 spowodować ogromne luki w dowozie niezbędnych dla nas i naszych sojuszników artykułów spożywczych i innych, i że to zmusi nas do przyjęcia warunków pokoju, nie znajdujących usprawiedliwienia w sytuacji militarnej na kontynencie i nie odpowiadających naszym pragnieniom".

Admirał Beatty oświadczył, że niebezpieczeństwo to „zagraża losom całego narodu i jest poważną przeszkodą w doprowadzeniu wojny do pomyślnego zakończenia".

Sprawozdania dowódcy floty i ministra przemysłu i handlu na każdym posiedzeniu naszej Komisji Wojennej pełne były kompletnej rezygnacji; Komisja wysłuchiwała ich, niby ponurej litanii.

Cóż proponowali uczynić nasi admirałowie dla odwrócenia niebezpieczeństwa, obezwładniającego stopniowo Koalicję? W jednym z rozdziałów późniejszych zajmę się żałosną postawą ministra przmysłu i handlu wobec tej części problemu, która dotyczyła jego resortu; co się zaś tyczy Admiralicji — stwierdzała ona w memoriale, złożonym rządowi Asquitha w listopadzie 1916 roku:

„Ze wszystkich zagadnień, z jakimi Admiralicja ma do czynienia, najpoważniejszym i najbardziej niepokojącym jest niewątpliwie zagadnienie obrony statków handlowych przed atakami łodzi podwodnych. *Jak dotąd, nie wynaleziono żadnej skutecznej odpowiedzi na tego rodzaju ataki — i być może, żadna skuteczna odpowiedź nie zostanie nigdy wynaleziona. Na razie musimy zadowalać się paliatywami*".

Innymi słowy: nie widzimy, jak można uratować życie pacjenta — ale potrafimy przedłużyć jego agonię, a może i uczynić ją nieco lżejszą!

Ten paralityczny dokument sporządzony został w dwa lata po rozpoczęciu przez łodzie podwodne ich niszczycielskiej działalności; w tym momencie Niemcy nie posiadali jeszcze większej liczby łodzi nowego typu, ani nie zaczęli swojej nieograniczonej kampanii podwodnej. W chwili gdy drżąca ręka pisała ten raport, straty naszej marynarki handlowej wynosiły 175 tys. ton miesięcznie. Kiedy liczba nowych łodzi niemieckich podwoiła się i Niemcy zaczęli stosować swoją bezwzględną blokadę — straty nasze stawały się coraz większe, aż dosięgły w jednym miesiącu cyfry 526.000 ton, jeśli chodzi o okręty angielskie, a 867.000 ton — o okręty wszystkich państw sprzymierzonych i neutralnych.

Jaka była różnica między metodą, stosowaną przez Niemców w wojnie podwodnej aż do lutego 1917 r. i tym co zaczęło się od tej chwili? Dopóki łódź podwodna musiała przed zatopieniem okrętu stwierdzić, jakiej narodowości jest okręt — wymagało to pewnego czasu, zwłaszcza przy niesprzyjającej pogodzie. Pociągało to także za sobą wahania i niepewność dowódcy łodzi, który mógł narazić się na kłopoty, jeśli na przykład zatopiłby statek amerykański, sądząc że ma do czynienia z angielskim lub francuskim. Parę zaś minut wahania i zwłoki umożliwiało często napastowanemu statkowi ucieczkę; zwiększało także ryzyko, że zagrożony statek przejdzie —

przy pomocy swoich dział — do kontrataku. Kiedy jednak dowódca łodzi miał rozkaz zatopienia każdego napotkanego okrętu, bez względu na flagę pod jaką okręt płynął — nie było powodu do żadnego wahania ani straty czasu. W rezultacie od tej chwili liczba zatapianych statków wzrosła potrójnie.

Jednym z najsmutniejszych następstw nowej kampanii był znaczny wzrost liczby ofiar wśród naszych marynarzy. Kiedy okręt tonął, ugodzony pociskiem, marynarze musieli bez względu na pogodę szukać ratunku w opuszczonych łodziach. Nawet kiedy działo się to w pobliżu brzegów — ryzyko dla marynarzy było bardzo poważne; ale gdy atak następował w Zatoce Biskajskiej albo gdzieś na Atlantyku, o dziesiątki mil od jakiegokolwiek lądu, szanse ratunku były już niewielkie, a w czasie złej pogody — nie uchodził z życiem prawie nikt. Było to jedno z nowych okrucieństw, wprowadzonych przez Wielką Wojnę do praktyki działań wojennych. Dawniejsze wyrzucanie załogi za burtę przez piratów było bardziej humanitarne: agonia nie trwała tak długo. Niemcy — w obronie swego postępowania — wskazywali na dzieci, zagłodzone przez blokadę. Wojna jest rzeczą okrutną.

Czy pesymizm admirałów angielskich był uzasadniony? Oficjalna „Historia Wojny na Morzu", mówiąc o niepowodzeniu Admiralicji w zwalczaniu łodzi podwodnych, stwierdza że „aż do początku r. 1917 nasze wysiłki, zarówno natury ofenzywnej jak obronnej, były nie tylko niewystarczające, ale całkowicie bezskuteczne". Na morzach otaczających Anglię oraz na Morzu Śródziemnym tropieniem łodzi podwodnych zajmowało się około 3000 torpedowców, patrolujących statków pomocniczych, motorówek i bark rybackich. Od stycznia 1916 r. do lutego 1917 udało im się pochwycić wszystkiego 7 łodzi; ponadto kilkanaście łodzi zatonęło, natknąwszy się na miny, oraz doznało różnych uszkodzeń na skutek burzy i t. p. W ciągu tych dwunastu miesięcy Niemcy stracili ogółem tylko 25 łodzi — niemal wyłącznie mniejszego

typu; było zaś rzeczą wiadomą, że budowali coraz więcej łodzi i to nowego typu, większych rozmiarów, a od lipca te nowe łodzie operowały już we wzrastającej liczbie na morzach. Dowództwo naszej wielkiej floty wojennej zdawało sobie dobrze sprawę z tego niewidzialnego niebezpieczeństwa; flota nie opuszczała swoich basenów, ogrodzonych stalową siatką i barierami, bez odpowiedniej eskorty torpedowców, których potrzebowała co najmniej 100 (biorąc pod uwagę konieczność remontu i t. d.); bez tej eskorty flota — jak twierdzi jej dowódca Naczelny — narażałaby się na zbyt wielkie ryzyko w razie spotkania z głównymi siłami floty niemieckiej. Żaden angielski okręt wojenny nie opuszczał swojej bazy bez eskortujących go i patrolujących wokoło małych statków. Jeśli w okresie przed pokonaniem niebezpieczeństwa łodzi podwodnych „Brytania panowała nad falami" — czyniła to, trzymając swój trójząb Neptuna w bardzo drżących rękach. Po bitwie pod Jutlandią admirał Jellicoe doszedł do przekonania, że dla jego Armady olbrzymich drednotów jest rzeczą zbyt ryzykowną „przedsiębranie długotrwałych operacyj na południe od Dogger Bank", gdyż niebezpieczeństwo min i łodzi podwodnych jest tu zbyt wielkie. Flota nasza nie miała więc pojawiać się w południowej części Morza Północnego — chyba żeby była do tego zmuszona pojawieniem się głównych sił floty niemieckiej. Gdy więc okręt admiralski chował się w jakiejś bezpiecznej zatoce — flaga bojowa zatknięta była na szybkich torpedowcach i chybotliwych barkach rybackich. Oto prawdziwie nowoczesny „duch Nelsona"!

Atmosfera tego rodzaju nerwowości i strachu panowała w naszej flocie, zanim jeszcze Niemcy spuścili na morze poważniejszą liczbę swoich nowych, wielkich łodzi. Trzeba dodać, że nasza potężna flota nie próbowała nigdy skierować swoich ciężkich dział na bazy łodzi podwodnych we Flandrii; kiedy ośmieliłem się uczynić tego rodzaju propozycję, odrzucono ją z miejsca.

25 maja 1917 r. przedstawiciel Admiralicji zakomuni-

kował na posiedzeniu gabinetu informacje, otrzymane w sprawie kampanii podwodnej od pewnego dowódcy łodzi niemieckiej. Oficer ten stwierdzał, że wszystkie stocznie niemieckie budują w tej chwili wyłącznie łodzie podwodne; że w niedługim czasie produkcja stoczni wynosić będzie 20 łodzi miesięcznie; że w budowie znajduje się już około 300 łodzi; że skompletowanie dla nich załogi nie nastręcza trudności — tworzą ją bowiem marynarze okrętów wojennych, którzy przechodzą dwumiesięczny kurs w specjalnej szkole, a następnie trzytygodniową praktykę w łodzi podwodnej, po czym uważa ich się za dostatecznie wyszkolonych.

Gdybyśmy nie znaleźli wówczas jakichś środków obrony, niedostrzegalnych dla przerażonych oczu naszych admirałów, którzy nauczyli się myśleć o wojnie morskiej, jako o serii spotkań á la Trafalgar (w których trzy nasze super-drednoty miałyby przeciw sobie dwa super-drednoty nieprzyjaciela); gdybyśmy, powtarzam, nie wprowadzili w życie pomysłów, które nigdy nie zrodziły się w ich mózgach, które częściowo zwalczali, a następnie wykonywali niechętnie i z opóźnieniem — obliczenia niemieckie okazałyby się zupełnie dokładne. Przewidywane przez nich miesięczne rozmiary naszych strat — 600.000 ton — zostały przekroczone już w kwietniu 1917 r., w którym straty państw sprzymierzonych i neutralnych wyniosły 886.000 ton.

Gdy tylko utworzony został nowy rząd pod moim przewodnictwem, jednym z pierwszych zagadnień, jakimi zajęliśmy się, była sprawa wojny podwodnej. Było dla nas rzeczą jasną, że bezradny pesymizm Admiralicji okaże się usprawiedliwiony, jeśli nie zdołamy wynaleźć jakichś nowych, bardziej skutecznych metod odparcia i pokonania łodzi podwodnej. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli to nam się nie uda — Koalicja nieuchronnie przegra wojnę, i to w bardzo krótkim czasie.

Rozważaliśmy szereg propozycyj zaradzenia niebezpieczeństwu; niektóre z nich, przedłożone przeze mnie już przed

tym Komisji Wojennej rządu, otrzymały teraz potężne poparcie ze strony kontrolera transportu morskiego. Oto te propozycje:

a) Wprowadzenie systemu konwojowania wszystkich okrętów handlowych od chwili, kiedy wchodziły w strefę niebezpieczeństwa;
b) budowa nowych okrętów w największych ilościach, na jakie pozwalają nasze zasoby stali i rąk roboczych;
c) reorganizacja transportu morskiego i urządzeń portowych w celu pełniejszego wyzyskania istniejącego tonażu okrętowego;
d) uzbrojenie okrętów handlowych w szybsze i skuteczniejsze działa i haubice;
e) ulepszenie metod wynajdywania łodzi podwodnych i pościgu za nimi;
f) zaprzestanie wszelkiego zbędnego dowozu;
g) poważne zwiększenie krajowej produkcji środków żywności, drzewa i rudy — połączone ze zredukowaną konsumcją tych artykułów.

O metodach, wymienionych w punktach od (b) do (g), będzie mowa w rozdziałach późniejszych. Obecnie pragnę opowiedzieć o niezrozumiałych i niesłychanych trudnościach, na jakie natknęliśmy się ze strony Admiralicji, gdy żądaliśmy wprowadzenia bodaj tylko na próbę systemu konwojowania okrętów handlowych. Zaczynam od tej metody, ponieważ — kiedy została ostatecznie przyjęta — zredukowała natychmiast i w sposób decydujący rozmiary naszych strat; jednocześnie zaś plan ten wywołał najbardziej nieprzejednany i długotrwały opór Admiralicji. Przesądy jej w tej kwestji szczególnie trudno zrozumieć wobec faktu, że bezpośrednio po bitwie pod Trafalgar główną funkcją naszych okrętów wojennych było eskortowanie statków handlowych poprzez morza,

na których grasowali Francuzi; konwojowanie zatem odpowiadało tradycjom naszej floty z jej największych dni.

Pierwsza próba przełamania ślepego uporu admirałów miała miejsce na posiedzeniu Komisji Wojennej rządu w d. 2 listopada 1916 r.; na posiedzeniu obecny był ówczesny dowódca naczelny floty, admirał sir Henry Jackson, oraz wiceadmirał sir H. F. Oliver, ówczesny szef Sztabu Admiralicji. Na posiedzenie przybył też specjalnie do Londynu z miejsca postoju floty sir John Jellicoe. Rozważano sprawę ataków łodzi podwodnych na statki handlowe i wysłuchano sprawozdania o stratach marynarki handlowej państw sprzymierzonych i neutralnych na skutek wojny podwodnej. Zostało stwierdzone, że nie budujemy w dostatecznie szybkim tempie nowych okrętów, ani nie otrzymujemy w dostatecznej liczbie internowanych lub przychwyconych na morzu okrętów nieprzyjacielskich, abyśmy mogli tą drogą zrównoważyć ponoszone straty — i uznano to za najpoważniejszy moment w całej sytuacji.

Następnie, z inicjatywy Bonar Law i mojej, rozpoczęła się dyskusja nad możliwością wprowadzenia systemu konwojów. Sir John Jellicoe odpowiedział, że nie jest zwolennikiem konwojów, ponieważ „stanowią one zbyt wielki cel dla ataków". W dalszej dyskusji sir Henry Oliver, odpowiadając na przemówienie Bonar Law, stwierdził że system konwojowania stosowany jest na Morzu Śródziemnym przez nas, jak również przez Francuzów i Włochów, że jednak okazało się rzeczą niecelową posyłanie naraz więcej niż jednego statku pod konwojem; Francuzi próbowali posyłać większą liczbę i stracili parę okrętów.

Wysunąłem wówczas koncepcję tuzina statków, konwojowanych przez trzy okręty wojenne. W odpowiedzi sir John Jellicoe oświadczył, że *nie uda się nigdy utrzymać statków handlowych dostatecznie blisko jeden drugiego, aby przy pomocy paru torpedowców można je było skutecznie osłaniać; z okrętami wojennymi sprawa przedstawia się inaczej, gdyż*

te mogą iść zwartą formacją. Runciman dodał, że *konwojowanie pociąga za sobą wielkie marnotrawstwo, jeśli chodzi o okręty;* na czasie nic się nie zyskuje, ponieważ konwój musi płynąć z szybkością najwolniejszego ze statków.

Oto oficjalna notatka o decyzji Komisji Wojskowej, powziętej wbrew protestom moim i Bonar Law:

„Eksperci morscy podkreślili że metody, jakie okazały się względnie skuteczne dopóki łodzie podwodne operowały głównie w bliskości wybrzeży, nie dadzą się zastosować teraz, gdy mogą one operować na otwartym morzu, w dużej odległości od swej bazy.

System konwojów daje pomyślne wyniki tylko w wypadku, kiedy można każdemu konwojowanemu okrętowi dawać oddzielną eskortę. Francuzi próbowali konwojować kilka okrętów przy pomocy jednego torpedowca, i w rezultacie okręty zostały zatopione. Statki wojenne, przyzwyczajone do poruszania się w szyku zwartym, mogą być do pewnego stopnia chronione przez eskortę torpedowców, ale statki handlowe oddalają się zbytnio jeden od drugiego, i system konwojów nie daje się do nich zastosować. *Minister handlu i przemysłu podkreślił że z gospodarczego punktu widzenia system konwojów jest nadzwyczaj niedogodny, gdyż cały konwój musi płynąć z szybkością najwolniejszego okrętu, a jednocześnie przybycie wszystkich okrętów do portu musi spowodować zator i zamieszanie. Z tych względów Komisja Wojenna nie zaakceptowała systemu konwojów do ogólnego użytku".*

Minister handlu, mówiąc o stracie czasu jaką powoduje system konwojów, pominął zupełnie stratę czasu, powstającą na skutek zatrzymywania się okrętów przed portami, wokół których operują łodzie podwodne. Nie wspomniał też o tym, że okręty tracą wiele czasu, nakładając umyślnie drogi, aby ominąć niebezpieczne okolice mórz; z tego względ-

du było na przykład bardzo trudno aprowidować statki w węgiel w Port Said. W gruncie rzeczy argumenty Runcimana sprowadzały się do tego, że lepiej jest aby okręt spoczywał na dnie morza, niż żeby miał opóźnić swoje przybycie do portu przeznaczenia, oraz że im więcej okrętów zatonie po drodze, tym mniejszy będzie zator w portach.

O ile pamiętam, zapytałem sir Johna Jellicoe, czy ma jakiekolwiek plany obrony przeciw niemieckim łodziom podwodnym, operującym na pełnym morzu — i usłyszałem w odpowiedzi, że takich planów nie ma. Mamy — mówił Jellicoe — uzbrojone statki handlowe, ale te nie mogą działać ofenzywnie, ponieważ nie widzą łodzi, płynących pod wodą. Poza tym Jellicoe wysunął projekt zorganizowania pływających posterunków informacyjnych, które w razie potrzeby dawałyby okrętom wskazówki, jaką drogą mają płynąć.

Potym nastąpiła długa dyskusja na temat skuteczności zbrojenia okrętów handlowych dla celów obronnych. Sir John Jellicoe był zdania, że jest to najlepsza metoda ochrony tych okrętów. Doszliśmy wówczas do wniosku, że zwiększenie w tym celu produkcji odpowiednich dział jest sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Minister zaopatrzenia podjął się zebrania odpowiednich informacyj i postanowiono urządzić w bliskim terminie konferencję na ten temat przedstawicieli Ministerstwa Zaopatrzenia i Admiralicji.

Ta „sprawa pierwszorzędnego znaczenia" nie posunęła się naprzód w ciągu najbliższych paru tygodni — potym zaś nowy rząd wziął ją energicznie w swe ręce.

Ilustracją tego, do jakiego stopnia wojna podwodna zmniejszała nasz tonaż okrętowy, było oświadczenie lorda Grey'a na tym samym posiedzeniu Komisji Wojennej. Grey zakomunikował mianowicie informacje, otrzymane od posła francuskiego w Chrystianii; poseł donosił, że — jak się właśnie dowiedział — Norwegia ustąpi prawdopodobnie wobec gróźb Niemiec i już wycofuje swoje statki z mórz. Usłyszeliśmy wówczas, że straty Norwegii wyniosły do tej chwili

13 i pół proc. całej jej marynarki handlowej. Wycofanie się statków norweskich z przewożenia transportów dla Koalicji byłoby dla nas ciężkim ciosem; incydent ten wskazuje poza tym, do jakiego stopnia groźba ataków łodzi podwodnych działała zastraszająco na najodważniejsze nawet narody marynarskie świata.

Mimo to, w ciągu pierwszych miesięcy 1917 r. Admiralicja nie mogła się zdecydować na zmianę swojej taktyki.

W styczniu 1917 r. sprzeciw Admiralicji wobec systemu konwojów nie osłabł w najmniejszym stopniu. W wydanej wówczas oficjalnej instrukcji Admiralicja stwierdzała:

> „Gdzie to jest tylko możliwe, statki powinny płynąć pojedyńczo, eskortowane w razie potrzeby. Systemu konwojowania większej liczby okrętów nie zaleca się w żadnym rejonie, gdzie możliwy jest atak łodzi podwodnych. Jest rzeczą widoczną, że im większa jest liczba okrętów konwojowanych, tym większe szanse skutecznego ataku podwodnego i tym trudniej dla eskorty takiemu atakowi zapobiec.."

W „Oficjalnej Historji Wojny" czytamy, że instrukcja ta dokładnie odzwierciadla poglądy członków Admiralicji, gdyż „wszyscy jej wyżsi urzędnicy, zajmujący się sprawą ochrony marynarki handlowej, wypowiadali w sporządzonych przez siebie zapiskach te same, albo prawie te same poglądy". Naczelnik wydziału handlowego, sir Richard Webb, był przeciw konwojom; naczelnik wydziału operacyjnego, sir Thomas Jackson, nie wypowiadał zdecydowanego poglądu; naczelnik wydziału obrony przeciw łodziom podwodnym, admirał Duff, był zdecydowanie przeciwny; zgadzał się z nim sir John Jellicoe i pozostali członkowie Admiralicji.

Stwierdziłem później, że chociaż przytoczona instrukcja mogła odpowiadać poglądom admirała dowodzącego angielską flotą podwodną, została jednak napisana i rozesłana bez

uwzględnienia opinii czynnych w tej flocie oficerów. Admiralicja posiadała bowiem w owym czasie raporty od doświadczonych dowódców łodzi podwodnych, tłumaczące, dlaczego łodzi podwodnej trudno jest zaatakować konwój okrętowy.

Admiralicja nie chciała wogóle słyszeć o eskortowaniu okrętów; jedyna metoda obrony, na jaką się zdobyła, polegała na ustaleniu czterech zasadniczych stref morskich, o kształcie trójkątów, których wierzchołkami były cztery wyznaczone porty wysp brytyjskich: Falmouth, Berehaven, Instrahull (w Północnej Irlandii) i Kirkwall; przestrzeń wewnętrzna każdego z tych trójkątów w pobliżu wybrzeży była patrolowana przez okręty wojenne. Metoda ta okazała się nie tylko bez wartości, ale stała się wręcz pułapką dla marynarki handlowej. Obecność naszych patrolujących okrętów wojennych była dla łodzi podwodnych wskazówką, że w tej okolicy można spodziewać się nadejścia statków handlowych, a nagromadzenie tych ostatnich na stosunkowo niewielkiej przestrzeni pozwalało łodziom podwodnym na szybkie i obfite żniwo. Zwłaszcza trójkąt, przylegający do południowo-zachodnich brzegów Irlandii, stał się wkrótce grobem licznych okrętów.

Ówczesny kontroler transportu morskiego, w sporządzonej na moją prośbę notatce, tak opisuje działanie owego planu:

„Admiralicja polecała okrętom zbliżanie się do brzegu w określonych punktach, które były najwidoczniej dobrze znane Niemcom; ich łodzie podwodne czekały w pobliżu i topiły jeden okręt za drugim.

Może Pan pamięta sprawę okrętów z cukrem: kierowano je wszystkie do jednego punktu na wybrzeżu Atlantyku, gdzie łodzie podwodne zatapiały je jeden po drugim tak długo, aż w kraju — jeśli mnie pamięć nie myli — mieliśmy zapasy cukru wszystkiego na tydzień".

Czasem statek handlowy przybywał na miejsce, gdzie powinien był czekać nań okręt wojenny, aby mu wskazać dalszą drogę — ale żadnego okrętu wojennego nie zastawał. Tak wyglądały owe „pływające posterunki informacyjne", o których mówił sir John Jellicoe na posiedzeniu Komisji Wojennej rządu. „Posterunki" pływały często nie tam, gdzie były potrzebne, i wobec tego informacji udzielać nie mogły. Czasem pozostawiony bez wskazówek statek handlowy wysyłał depeszę iskrową z zapytaniem, gdzie ma płynąć; depesze takie przechwytywali i odcyfrowywali Niemcy i w rezultacie, gdy statek płynął zgodnie z otrzymaną odpowiedzią, zastawał na miejscu nie przewodnika ,ale czyhającego nań pirata. Jednym słowem, kapitalny plan Admiralicji napędzał często statki, jak trzodę owiec, pod nóż rzeźnika.

Kiedy się patrzy na tę sprawę z perspektywy czasu, wydaje się rzeczą zupełnie zdumiewającą, że system konwojowania okrętów nie został wcześniej przyjęty. A jednak, mimo że inne metody Admiralicji okazywały się bezcelowe a nawet katastrofalne, i straty nasze rosły w sposób zatrważający — Admiralicja odmawiała w dalszym ciągu kategorycznie zastosowania do ochrony statków handlowych tego systemu, który stosowała do swoich własnych okrętów wojennych.

Admirałowie motywowali to stanowisko różnymi względami; niektóre z nich już wyżej przytoczyłem, ale były i inne argumenty, równie fałszywe, a jeszcze bardziej fantastyczne. Doradcy Admiralicji znajdowali się w owym czasie pod wpływem całej serii dziwacznych nieporozumień. Jednym z głównych ich błędów było przekonanie, że statki handlowe nie potrafią „trzymać się szyku", że zatem będą wpadać jeden na drugi, albo na eskortujące okręty, powodując niebezpieczeństwo dla całego konwoju, albo też — aby uniknąć takiego zderzenia — oddalać się od siebie i od eskorty, tracić ją z oczu, a potym, błądząc w pojedynkę, padać łatwo ofiarą łodzi niemieckich. Nie doceniano zupełnie kwalifikacyj tych doświadczonych marynarzy, umiejących prowadzić swoje okręty po-

przez burzliwe i zamglone morza, otaczające Anglię. Żaden podróżny, który kiedykolwiek widział, jak transportowiec z ciężkim ładunkiem manewruje w czasie burzy między skałami Zatoki Biskajskiej, nie mógł wątpić że marynarze, prowadzący te zanurzające się w falach i pochylane wichrem statki, dadzą sobie z powodzeniem radę we wszelkich okolicznościach. Byłem zdziwiony że kapitanowie wielkich parowców pasażerskich, do których najpierw zwrócił się o wyrażenie opinii sir John Jellicoe, podzielali jego obawy co do możliwości „utrzymywania szyku" przez małe transportowce. Przemawiało przez nich po prostu to samo poczucie wyższości, które każe umundurowanemu szoferowi Rolls Royce'a patrzeć z pogardą na człowieka, prowadzącego swój „fordzik".

Admirałowie uważali więc, wbrew wszelkim naukom historii, że statki płynące razem w konwoju narażone będą na większe niebezpieczeństwo, niż gdyby odbywały drogę pojedyńczo; poza tym zaś przesadzali znacznie liczbę okrętów wojennych, potrzebnych do eskorty. „W owym czasie — mówi „Oficjalna historia Wojny" — w Admiralicji przeważała opinia, że dla eskortowania określonej liczby statków handlowych potrzeba dwa razy tyle okrętów wojennych. Doradcy Admiralicji nie podzielali poglądu, *który już wtedy miał licznych zwolenników,* że wystarczy stosunkowo słaba eskorta".

Największy jednak błąd popełniała Admiralicja w swoich obliczeniach, dotyczących liczby okrętów angielskich, które krążyły po morzach i wymagałyby eskorty. Nie była to przytym jakaś skomplikowana i sporna sprawa, która dawała się ująć tylko w przybliżeniu, z możliwością popełnienia wielkiego błędu. Trzeba było poprostu umieć dodać odpowiednie pozycje w istniejącej statystyce. Błąd, na którym opierała się polityka Admiralicji — była to po prostu omyłka arytmetyczna, której nie popełniłby zwykły kancelista w jakimś biurze okrętowym. A jednak taka właśnie omyłka zbiła zupełnie z tropu naszych admirałów i nie pozwalała im całe

miesiące widzieć właściwej drogi postępowania. Zdrowy rozsądek, albo zajrzenie do rejestru Lloyda i wykonanie zwykłego dodawania wystarczyłyby, aby dowiedzieć się o stanie rzeczy. Ale aż do połowy r. 1917 w naczelnych władzach Admiralicji nie było nikogo, kto posiadałby odpowiednie do tego zadania kwalifikacje.

Oto na czym polegał ów błąd rachunkowy, na skutek którego o mało nie przegraliśmy wojny — a mogło się to stać łatwo, gdyby nikt na czas nie wyjaśnił sprawy admirałom. Od pewnego czasu Admiralicja, z polecenia rządu, ogłaszała co tydzień liczbę okrętów, zatopionych przez łodzie podwodne; aby zaś to niepokojące sprawozdanie brzmiało możliwie optymistycznie, dołączała doń cyfry, dostarczane przez urzędy celne i dotyczące liczby okrętów, które w ciągu tygodnia weszły do portów brytyjskich i wyszły z nich. Aby możliwie powiększyć te cyfry, wliczano tu również liczne przyjazdy i odjazdy najmniejszych nawet stateczków przybrzeżnych, krążących między sąsiednimi portami—tak że otrzymywano w rezultacie około 2500 przyjazdów i tyleż odjazdów na tydzień. Cyfry te nie wprowadzały zapewne w błąd naczelnych władz niemieckich, chociaż niewątpliwie przyczyniały się do podtrzymywania na duchu kupców neutralnych i zniechęcania ludności krajów nieprzyjacielskich. Niestety jednak, zdołały one oszukać samą Admiralicję! Chwila zastanowienia powinna była powiedzieć admirałom, że cyfra 2500 statków — ani żadna do niej zbliżona — nie mogła oznaczać statków dalekobieżnych, przybijających tygodniowo do naszych portów. Faktycznie przybywało do nas tygodniowo 120—140 statków oceanicznych. Ale Admiralicja nie zastanawiała się wcale nad swoimi groteskowymi cyframi. A przyjmując je za dobrą monetę, admirałowie mieli rację gdy stwierdzali, że byłoby rzeczą zupełnie niemożliwą dawać eskortę wszystkim okrętom, wchodzącym i wychodzącym z naszych portów — gdyż eskortowanie takiej fantastycznej liczby statków przekraczało znacznie możliwości naszej floty.

Mieliśmy więc z jednej strony pewne siebie Niemcy, prowadzące śmiertelną walkę z naszym transportem morskim -- a z drugiej otumanioną i bezradną Admiralicję, twierdzącą że nie może nic na to poradzić.

1 lutego 1917 r. nastąpiło ogłoszenie przez Niemcy nieograniczonej wojny podwodnej; Niemcy zawiadomiły o tym Stany Zjednoczone w memoriale, który brzmiał:

> „Od 1 lutego 1917 r. wstrzymana będzie wszystkimi dostępnymi środkami i bez dalszego wypowiedzenia wszelka komunikacja morska w następującej strefie blokady wokół Anglii, Francji, Włoch i we wschodniej części Morza Śródziemnego..."

Strefa, wymieniona w memoriale, obejmowała wszystkie morza i oceany, otaczające Wyspy Brytyjskie, Francję, Belgię i Włochy, z wyjątkiem niewielkiej części Morza Śródziemnego, przylegającej do Hiszpanii.

O skutkach, jakie oświadczenie to wywołało w Ameryce, mówić będę w jednym z następnych rozdziałów.

W pierwszych tygodniach nowej kampanii wydawało się, że spełni ona wszystkie nadzieje tych, którzy się na nią odważyli. W pierwszym tygodniu lutego 1917 r. w Kanale La Manche i w najbliższej przylegającej doń od zachodu strefie morskiej zatopionych zostało 35 statków, brytyjskich i innych. W ciągu lutego i marca zatopione zostały (głównie na skutek akcji łodzi podwodnych) 232 statki handlowe brytyjskie, o tonażu brutto 663.000 ton. W kwietniu straty nasze — w ciągu tego jednego miesiąca — wyniosły przeszło 526.000 ton; poza tym, nasi sojusznicy i państwa neutralne tracili miesięcznie ponad 200.000 ton.

Zamiast stać się bodźcem do jakiegoś przeciwdziałania, sytuacja ta wywołała jeszcze większe otępienie Admiralicji. Przeciwstawiała się ona jednak w dalszym ciągu systemowi konwojów. Admirałowie podobni byli do lekarzy, którzy nie

są w stanie mimo wszelkich wysiłków powstrzymać postępów choroby, osłabiającej stopniowo organizm pacjenta, i nagle stwierdzają w rozwoju choroby nową, nieoczekiwaną i poważną komplikację. Rzecz prosta, uważają teraz sytuację za beznadziejną; ale radzą w dalszym ciągu stosowanie dotychczasowej kuracji, odrzucając wszelkie inne sugestje. Ambicja zawodowa nie pozwala im przyjąć metod leczenia, na które się uprzednio nie zgodzili. Trudność przekonania ich, aby spróbowali jakiegoś oczywistego środka, płynie stąd że środek zalecają laicy — został natomiast odrzucony z pogardą i drwinami przez zawodowców. Czy słyszeliście kiedykolwiek o lekarzu, który przyznawałby, że lekarstwa zapisywane przez znachora były w jakimś wypadku lepsze od jego lekarstw i że przez cały czas on się mylił, a znachor miał rację? Członkowie Admiralicji byli uznanymi najlepszymi specjalistami w swoim zawodzie; czy można było oczekiwać, aby przyznali się wobec ludzi, którzy powierzyli im swoje troski i zaufali im, że ich sposoby postępowania okazały się gorsze od sposobów, zalecanych przez amatorów? Jeśli będziemy mieć na uwadze tę zawodową drażliwość, nie możemy zbyt surowo krytykować admirałów za ich niechęć przyznania się do tego, że odmawiając zastosowania systemu konwojów popełniali błąd, który mógł łatwo sprowadzić naszą zgubę. W miarę jak sytuacja, wobec której okazywali taką okrutną tępotę, stawała się coraz groźniejsza — upór ich jeszcze się zwiększał.

Co jednak wobec takiej oficjalnej postawy Admiralicji mógł uczynić gabinet? Z chwilą, gdy w grę wchodzi życie człowieka, trudno jest interweniować amatorowi i przeprowadzać bezwzględnie swój punkt widzenia wbrew opinii najlepszych specjalistów. O ile większego potrzeba na to zuchwalstwa, gdy chodzi o życie całego narodu! Można było oczywiście zawezwać innego specjalistę. Ale czyj autorytet w sprawach morskich mógł równać się z autorytetem admirała Jellicoe? Admirał Beatty zyskał sobie pewien rozgłos, jako pierwszorzędny marynarz „zuchowatego" typu; ale nawet dziś większość ofice-

rów marynarki nie uważałaby jego opinii za równie miarodajną jak opinia Jellicoe, który przecież zajmował wówczas jeszcze bardzo niedawno swoje stanowisko i mianowany został na nie właśnie na skutek niepowodzenia poprzednika w walce z łodziami podwodnymi. Jellicoe musiał mieć możność wykazania swoich kwalifikacyj. Uznałem że warto stracić nieco czasu i cierpliwości, aby przekonać Jellicoe o słuszności stanowiska, zajmowanego przez Bonar Law, kontrolera transportu morskiego sir Maurice Hankey'a i przeze mnie. Za wiele czasu tracić jednak nie mogliśmy, gdyż liczby zatopionych statków naszych rosły w sposób zatrważający.

Namawiałem pierwszego lorda Admiralicji, sir Edwarda Carsona, aby nalegał na wypróbowanie systemu konwojów. Carson był osobiście zwolennikiem uczynienia takiej próby, ale oświadczył mi że w Admiralicji nikt stanowiska jego nie popiera. Eksperci byli jednomyślnie i zdecydowanie przeciwni eksperymentowi: wchodziła w grę stara historia — ambicja i reputacja zawodowa. Wybitni, doświadczeni marynarze zaangażowali się w sposób kategoryczny i bezwarunkowy, i to nie tylko wobec kolegów — fachowców, ale i wobec opinii sfer postronnych — wszelkiego rodzaju cywilów, amatorów, polityków i t. p. Wypowiedzieli wszem wobec i każdemu z osobna swoje zdanie, „powzięte po należytej rozwadze", że system konwojowania jest niemożliwy do przyjęcia i niebezpieczny zarówno dla konwojowanych okrętów, jak dla ich eskorty. Pocóż więc było tracić jeszcze czas na tego rodzaju śmieszne i ryzykowne eksperymenty?

Sir John Jellicoe i admirał Oliver byli obaj ludźmi zdolnymi, orientującymi się w sposób bezkonkurencyjny w technice swego zawodu. Ich ostrożność i rozwaga podnosiły jeszcze autorytet ich opinij. Jak mówi walijska wersja pewnego znanego tekstu, „powolność ich wiadoma była każdemu"; a flegmatyczny brytyjczyk skłonny jest często uważać powolność myślenia za oznakę zdrowego rozsądku. Z chwilą jednak gdy powstaje sytuacja, dla której nie istnieją precedensy i w której

wobec tego doświadczenie znaczy o wiele mniej, niż pomysłowość, śmiałość i szybkość decyzji — ludzie tego typu są przeszkodą dla wszelkiej skutecznej akcji. Samo ich doświadczenie często ich obezwładnia; a z drugiej strony znajomość technicznych szczegółów i reputacja, jaką się cieszą, nadają im autorytet, który laikowi trudno jest przełamać lub zlekceważyć. W sytuacji niezwykłej zdolny ale pozbawiony pomysłowości i wyobraźni specjalista jest osobą bardzo niebezpieczną.

Sir Edward Carson nie miał pola do przejawienia swoich talentów adwokackich w postępowaniu z takimi ludźmi. Nie mógł przecież poddawać ich swoim pytaniom krzyżowym i zbijać ich poglądów tak, jak to czynił w stosunku do niewygodnego świadka. Z drugiej strony — jakiś wydany przez niego kategoryczny nakaz mógł spowodować podanie się do dymisji całego składu władz Admiralicji, co równało się poważnemu kryzysowi. Autorytet sir Johna Jellicoe we flocie był wielki. Co robić? Postanowiłem odbyć poufną rozmowę z Carsonem, Jellicoe i admirałem Duff, kierownikiem departamentu obrony przeciw wojnie podwodnej, i zaprosiłem ich wszystkich 13 lutego 1917 r. na śniadanie na Downing Street. Przedstawiłem im memoriał, który miał być podstawą naszej dyskusji. Memoriał, zredagowany przez sir Maurice Hankey'a po kilku naradach ze mną, rozważał dokładnie wszystkie argumenty za i przeciw systemowi konwojów i domagał się bezwarunkowo przyjęcia tego systemu, jako najlepszej metody obrony wobec groźnego niebezpieczeństwa niemieckiej wojny podwodnej. Oto wyjątki z memoriału:

„Rozwinięty poniżej zasadniczy projekt wymaga w ostatecznym wyniku całkowitej reorganizacji obecnych czynności Admiralicji, mających na celu przeciwdziałanie wojnie podwodnej, chociaż na razie mógłby być przyjęty w skromniejszym zakresie. Mianowicie projekt zmierza do wprowadzenia starannie obmyślonego syste-

mu konwojów i do oddania do dyspozycji na ten cel wszystkich jednostek wojennych, przeznaczonych do obrony naszych dróg handlowych, z wyjątkiem tylko jednostek, mających ochraniać przed atakami podwodnymi flotę wojenną. Dalej projekt domaga się oddania do dyspozycji konwojów wszystkich środków technicznych, jakimi rozporządzamy dla zwalczania wojny podwodnej — a więc naszych łodzi podwodnych, armat, sieci, przyrządów do mierzenia głębokości, moździerzy, hydrofonów i telegrafu bez drutu. Projekt zmierza do skutecznego wyzyskania w konwojach naszych torpedowców, zarówno szybszych jak wolniejszych, a po pewnym czasie przewiduje zorganizowanie specjalnych statków ratowniczych, wyposażonych w odpowiedni sprzęt i towarzyszących konwojom. Memoriał zawiera też propozycje pewnych badań technicznych, związanych ze zwalczaniem niebezpieczeństwa łodzi podwodnych — badań z których część nie byłaby przedsiębrana po raz pierwszy"...

Dalej memoriał rozważał obiekcje, podnoszone przeciw systemowi konwojów, i przeciwstawiał im znacznie poważniejsze obiekcje wobec systemu panującego — następnie zaś ciągnął:

„Tudno dostrzec, jak przy dzisiejszym systemie zdołamy kiedykolwiek uniknąć strat, których rozmiary ograniczone są tylko ilością łodzi i torped posiadanych przez nieprzyjaciela. Zdrowe zasady strategiczne wymagałyby oczywiście zagrodzenia wrogowi drogi niedługo po opuszczeniu przezeń portu, i autor niniejszego był od pierwszych dni wojny gorącym zwolennikiem nieograniczonego stosowania min — będących „okopami morza". Jednakże na początku wojny Admiralicja była całkowicie nieprzychylna zwalczaniu łodzi podwodnych przy pomocy min i w rezultacie obecnie, w połowie

trzeciego roku wojny, nasze zapasy min absolutnie nie odpowiadają potrzebom sytuacji".

Sprawdzenie wykazało że z 20.000 min, jakie w owej chwili posiadaliśmy, tylko 1500 było zdatnych do użytku. Jak powiedział pewien marynarz, gdy okręt jego natknął się przypadkowo na taką minę, i żadna eksplozja nie nastąpiła: „To stara, poczciwa mina z *Vernon* *) — nie wybuchnie, choćby się waliło w nią młotem".

Przed wojną Admiralicja tak była pochłonięta budową wielkich, coraz większych pancerników, że zupełnie lekceważyła produkcję zasadniczych broni takich jak miny, pociski przebijające pancerze ochronne, torpedy — i w rezultacie mieliśmy to wszystko w gatunku gorszym niż Niemcy. Admiralicja lekceważyła sobie także mniejsze jednostki bojowe. Gdyby pieniądze, które pochłaniała budowa jednego drednota, wydano na dodatkowe torpedowce — miałoby to dla nas w czasie wojny duże znaczenie, brak nam było bowiem wszelkiego rodzaju małych statków patrolujących.

W zakończeniu memoriał stwierdzał, że

„system konwojów, jeśli dałby się zastosować, ma jak się zdaje pewne wyraźne zalety w porównaniu z systemem wyżej opisanym. Nieprzyjaciel nie może nigdy znać dnia ani godziny przybycia konwoju, ani drogi, którą konwój przybędzie. Najbardziej zagrożone a niezbędne do przebycia odcinki możnaby było przepływać nocą. Można trzymać się w wielu wypadkach wód głębokich, w których miny podwodne nie mogą być zakładane. Na przedzie konwoju mogą iść poławiacze min

*) Mowa o okręcie szkolnym „Vernon", stojącym w Portsmouth, na którym odbywały się (i odbywają w dalszym ciągu) kursy obchodzenia się z minami i torpedami.

albo statki z barierami przeciwminowymi. Statki wiozące ładunek o największej wartości mogą być umieszczane w najbezpieczniejszym miejscu konwoju. Statki państw neutralnych i wogóle statki nieuzbrojone szłyby pod ochroną okrętów uzbrojonych. Nieprzyjacielska łódź podwodna będzie wiedziała, że zamiast storpedowania bezbronnej ofiary czeka ją nieunikniona walka, w której może być pokonana; będzie też musiała wyrzec się raz na zawsze atakowania na powierzchni.

System konwojów daje wielkie możliwości pomagania sobie wzajem przez statki handlowe, niezależnie od obrony jaką im zapewnia eskorta. Nieprzyjaciel, zamiast mieć do czynienia z jednym małym działem, może znaleźć się pod ogniem, powiedzmy, dziesięciu dział, porozmieszczanych na dwudziestu okrętach. Każdy statek handlowy może być zaopatrzony w granaty głębinowe, a ponadto między każdymi dwoma statkami mogą być zawieszone torpedy do wyrzucania pocisków wybuchowych przy pomocy włączonego prądu elektrycznego. Jeden czy dwa okręty z barierami mogą uchronić tuzin okrętów od miny. Konwojowi mogą towarzyszyć... specjalne statki ratownicze, które udzielałyby pomocy statkom uszkodzonym przez minę lub torpedę, a w każdym razie ratowałyby załogę.

Najlepiej może charakteryzuje system konwojów fakt, że jest on niezmiennie stosowany we flocie wojennej i w jej transportach".

W dyskusji, która odbyła się w czasie śniadania i trwała dwie godziny, Jellicoe powtórzył raz jeszcze swoje znane nam już obiekcje przeciw konwojom; obiecał jednak zwołać naradę najkompetentniejszych kapitanów okrętów handlowych, aby usłyszeć ich opinię o możliwości wprowadzenia tego systemu. Obiecał też uznać za miarodajne dla

siebie rezultaty dwóch eksperymentów z konwojami, które właśnie rozpoczęto: jeden między portami angielskimi i norweskimi, drugi — między angielskimi i francuskimi.

Ale ustalenie istotnych rezultatów tych eksperymentów wymagało czasu, na razie zaś Admiralicja znalazła potwierdzenie swoich poglądów w fakcie, że eksperyment norweski nie miał w swej początkowej fazie pomyślnego przebiegu. Tego że konwoje nie były należycie zorganizowane, że zatem nie uczyniono wcale próby w odpowiednich warunkach — admirałowie nie chcieli brać pod uwagę; stwierdzali, że eksperyment nie powiódł się i że „mówili to przecież odrazu".

Natomiast próba konwojowania statków do Francji dawała rezultaty pomyślne. Transporty węgla z Anglii do Francji ucierpiały bardzo na skutek ataków łodzi podwodnych pod koniec 1916 r. i Francuzi prosili o eskortowanie ich. Było wielkim szczęściem dla Anglii, że zorganizowanie eskorty powierzono bardzo inteligentnemu młodemu oficerowi, który nie cierpiał na właściwą zawodowcom psychiczną arteriosklerozę. Kapitan (obecnie admirał) Henderson zasłużył sobie na wielką wdzięczność Sprzymierzonych. Przy pomocy niewielkiej liczby uzbrojonych kutrów rybackich zorganizował on codzienne konwojowane transporty, płynące do Brestu, Cherbourga i Hawru. Pierwsze próby zaczęły się 7 lutego 1917 r., i w ciągu trzech miesięcy — marca, kwietnia i maja — przeprowadzono przez te niebezpieczne wody 4013 statków; w ciągu tego czasu zatopiono statków dziewięć— to znaczy jeden statek zatopiony przypadał na każde 446.

Był to rezultat bardzo pomyślny; ale jeszcze donioślejszy był pośredni efekt eksperymentu. Aby wykonać powierzone mu zadanie, kapitan Henderson musiał wejść w ścisły kontakt z Ministerstwem Żeglugi i tu omawiał z urzędnikami Ministerstwa szczegóły niezbędnych zarządzeń, współpracując z nimi w sposób zgodny i harmonijny. Tymczasem doświadczenie jakie zdobył w dziedzinie organizacji konwojów utwierdziło go w przekonaniu, że jest to bezsprzecznie najlepsza me-

toda przeprowadzania okrętów przez niebezpieczne okolice. Henderson przekonał się, że w gruncie rzeczy cały konwój nie stanowił wcale dla łodzi podwodnej dogodniejszego celu, niż pojedyńczy statek: łódź nie mogła liczyć na więcej niż jeden wystrzał w dogodnych warunkach, gdyż natychmiast potem była atakowana przez eskortę, a jeśli unosiła się na powierzchni — również przez działa uzbrojonych okrętów handlowych. Poza tym, ostrzeżenie wysłane drogą iskrową pozwalało całemu konwojowi omijać okolicę, w której sygnalizowano operującą łódź podwodną. Wreszcie — dzięki systemowi konwojów łódź podwodna podchodziła pod torpedowce, zamiast żeby torpedowce uganiały się za nią po Atlantyku, wypatrując jej peryskopu.

Henderson starał się otrzymać informacje z różnych departamentów Admiralicji o rozmiarach naszego handlu zamorskiego i o portach, z którymi handel ten był prowadzony, — żadnych jednak zadowalających danych nie otrzymał. Wówczas zwrócił się do Ministerstwa Żeglugi; tu skierowano go do p. Leslie, ajenta okrętowego, który zaofiarował nowemu Ministerstwu swoje usługi i który wraz z Alfredem Salterem sporządził sobie kartotekę okrętów, aby móc o nich i ich podróżach udzielać informacyj, jakich normalnie w czasie pokoju udzielała firma Lloyda. Kapitan Henderson był tym, który stwierdził — bez zdziwienia zresztą — że statystyka Admiralicji, dotycząca przychodzących i wychodzących okrętów handlowych, prowadzi do najzupełniej fałszywych wniosków. Na Wyspy Brytyjskie i do portów w kanale La Manche zawijało ogółem dziennie około 20 okrętów oceanicznych, z czego 15 przypadało na Wyspy Brytyjskie; innymi słowy, statków tych było nie 2500, lecz 140 — to znaczy liczba, dla której można było łatwo zorganizować konwoje.

Ministerstwo Żeglugi podjęło z entuzjazmem myśl systematycznej organizacji konwojów, i kapitan Henderson wraz z p. Leslie opracowali dokładny plan takiej organizacji. Kontroler żeglugi, sir Joseph Maclay, wielokrotnie domagał się

wypróbowania tego systemu, ale Admiralicja sprzeciwiała się dalej projektowi w jakiejkolwiek postaci. Pewnego poranka, gdy kontroler wchodził do sali posiedzeń gabinetu spotkał wychodzącego admirała Jellicoe. Admirał zatrzymał go i oświadczył, że konferował z 12 kapitanami okrętów handlowych i że żaden z nich nie popiera pomysłu konwojów. Konferencja ta zorganizowana została bez żadnego porozumienia z Ministerstwem Żeglugi i bez zapytania Maclay'a o zdanie co do wyboru jej uczestników; nie dano też Maclay'owi możności zetknięcia się z wybranymi przedstawicielami marynarki handlowej i omówienia z nimi sprawy. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną że forma, w jakiej Jellicoe przedstawił im swoje pytanie, napełniła ich obawą, że nie potrafią nigdy w sposób właściwy spełniać tego o co zapytywał — mianowicie „utrzymywać szyk" i manewrować wspólnie z innymi statkami, czego wymagało poruszanie się w konwoju; Jellicoe bowiem był sam głęboko przekonany, że potrafią to tylko marynarze wojskowi. Gdy sprawozdanie o tej konferencji zostało mi z tryumfem przedstawione, nie powiedziano mi, że kontrolera żeglugi nie radzono się wcale ani co do nazwisk kapitanów, których należy zaprosić, ani co do typu statków, jakie powinny być na konferencji reprezentowane, i że przedstawicieli statków mniejszych nie uznano w ogóle za godnych uczestnictwa w tak wysokim zgromadzeniu.

Wiosną 1917 r. straty wśród statków, płynących do Norwegii, stały się znowu tak poważne, że w Longhope zwołana została konferencja dla omówienia metod obronnych. Oficerowie floty, obecni na tej konferencji, byli jednogłośnie zdania, że zamiast dotychczasowego systemu dorywczej i niesystematycznej ochrony należy zorganizować stałe konwoje. Sprawozdanie z konferencji przedstawione zostało kierownictwu Admiralicji, które nie okazało się bynajmniej jednomyślne; ale admirał Beatty mocno poparł stanowisko oficerów i domagał się rozszerzenia systemu konwojów i na inne transporty morskie. Wnioski konferencji w Longhope zosta-

ły rozważone 11 kwietnia przez Admiralicję, która zgodziła się — na próbę i w drodze wyjątku — na wprowadzenie systemu konwojów w handlu z państwami skandynawskimi. Od kwietnia do grudnia 1917 r. konwojowane statki odbyły między portem Humber a Norwegią około 6000 przejazdów; zatopionych zostało około 70 okrętów, t. j. ponad 1 procent. W marcu i kwietniu oczekiwałem na rezultaty eksperymentu francuskiego i na intensywniejsze uzbrajanie statków handlowych; po rozmowie z Jellicoe i Duffem miałem nadzieję na bardziej energiczną politykę ze strony Admiralicji. Ale nadzieje moje zostały zawiedzione.

Postawę Admiralicji brytyjskiej w tym okresie ilustruje dobrze rozmowa, jaka nastąpiła w kwietniu między admirałem Jellicoe i admirałem amerykańskim Simsem. Kiedy stało się rzeczą prawdopodobną, że Stany Zjednoczone wmieszają się do wojny, Sims przysłany został do Londynu dla nawiązania kontaktu z Admiralicją; przybył do Liverpoolu 9 kwietnia i udał się odrazu do Londynu na spotkanie z Jellicoe. Oto sprawozdanie admirała Simsa z niezwykłej rozmowy, jaką między nimi nastąpiła.

„Po przywitaniu, admirał Jellicoe wyciągnął z szuflady papierek, który mi pokazał. Było to obliczenie strat, poniesionych w tonażu okrętowym w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Z obliczenia wynikało, że straty okrętów brytyjskich i neutralnych wyniosły 536.000 ton w lutym i 630.000 ton w marcu, rozmiary zaś strat w kwietniu pozwalały przypuszczać, że wyniosą w tym miesiącu 900.000 ton. Były to straty trzy i cztery razy większe od ogłaszanych w prasie. Byłem — wyrażając się łagodnie — zdziwiony tą rewelacją; prawdę mówiąc osłupiałem, bo nigdy nie wyobrażałem sobie, że sytuacja jest taka okropna. Wyraziłem moje zdumienie admirałowi Jellicoe.

„Tak", odpowiedział takim tonem jak gdybyśmy

mówili o pogodzie a nie o przyszłości Wielkiej Brytanii, „nie będziemy mogli prowadzić dalej wojny, jeżeli tak dalej pójdzie".

„Jak temu przeciwdziałacie?" — zapytałem.

„Robimy wszystko co możemy. Staramy się wszelkimi sposobami powiększać nasze siły, przeznaczone do zwalczania łodzi podwodnych; mobilizujemy do tego celu wszystkie możliwe okręty. Budujemy torpedowce i inne statki tego rodzaju z jak największym pośpiechem. Ale sytuacja jest bardzo poważna, i będziemy potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy."

„Wygląda na to, że Niemcy wygrywają wojnę" — zauważyłem.

„Wygrają ją, jeżeli nie uda nam się zahamować tych strat — i to zahamować bardzo szybko".

„Czy nie ma z tej sytuacji żadnego wyjścia?" — zapytałem.

„Absolutnie żadnego, tak jak w tej chwili nam się sprawa przedstawia", oświadczył Jellicoe.

22 kwietnia 1917 r. Jellicoe przedstawił gabinetowi długi memoriał o „Niebezpieczeństwie wojny podwodnej i zagadnieniu aprowizacji". Memoriał stwierdzał, że rosnące straty naszej marynarki handlowej, na skutek min i ataków łodzi podwodnych, wymagają niezwłocznego przeciwdziałania i podjęcia wszelkich możliwych kroków; co się jednak tyczy konkretnych zaleceń w tej rozpaczliwej sytuacji — Jellicoe stwierdzał że „jedyną pomocą możliwą w tej chwili jest otrzymanie maksymalnej liczby kotrtorpedowców i innych typów statków patrolujących ze Stanów Zjednoczonych". Narazie, zanim nie będą przedsięwzięte inne środki atakowania łodzi podwodnych, jedyną paliatywą jest powiększenie liczby małych statków, które zmuszałyby je do możliwie najdłuższego przebywania pod wodą. Jellicoe nie robił nawet żadnej

aluzji do konwojów, jako możliwego środka przeciwdziałania. Wyliczał różne metody atakowania łodzi podwodnych, które były przedsiębrane i przyznawał, że miny okazały się tu bezużyteczne.

Straty tymczasem rosły w takim tempie, że ze 100 okrętów dalekobieżnych, które opuszczały Anglię, 25 nie wracało.

Admirał Sims był zdecydowanym zwolennikiem konwojów. 19 kwietnia, zdając swemu rządowi sprawę z sytuacji, opisywał wszystkie dotychczasowe metody i ich fiasko, oraz podkreślał, że nie zgadza się z poglądem Admiralicji, jakoby system konwojów był nie do urzeczywistnienia.

> „Admiralicja twierdzi również, że nie da się przeprowadzić aby okręty handlowe szły w zwartym szyku — przynajmniej jeżeli chodzi o większą liczbę okrętów — na skutek niedoświadczenia ich załogi i trudności związanych z utrzymaniem stałej szybkości. Nie zgadzam się osobiście z tym poglądem; sądzę, że po nabyciu pewnej wprawy okręty handlowe mogłyby zupełnie dobrze trzymać się szyku".

Sprawa była gorąco dyskutowana na trzech posiedzeniach gabinetu w dniach 23—25 kwietnia. Powołując się na nasze ciężkie straty, wspomniałem o możliwości wprowadzenia konwojów, co — jak zaznaczyłem — popierają admirałowie Beatty i Sims.

Jellicoe odpowiedział, że sprawa ta jest rozważana; jedną z głównych przeszkód w przyjęciu tego systemu jest brak kontrtorpedowców. Zaznaczył też, że istnieje możliwość przysłania nam do pomocy kontrtorpedowców amerykańskich; sześć otrzymało już rozkaz odpłynięcia do Anglii, ale do wprowadzenia konwojów potrzeba o wiele większej ich liczby. Jellicoe dodał, że próba systemu konwojów, dokonana przez Dowództwo Głównej Floty, nie dała zupełnie zadowalających rezultatów: dwa statki w dwóch różnych konwojach

zostały już storpedowane i zatopione (dotyczyło to konwojów skandynawskich); w końcu obiecał, że o dalszym przebiegu sprawy poinformuje gabinet.

Było to stanowisko, charakterystyczne dla naszych morskich doradców. Sprawa była wciąż „rozważana". Jeżeli z kilkuset statków, konwojowanych w ciągu miesiąca, dwa zostały zatopione, wydawało się to Admiralicji rzeczą o wiele okropniejszą, niż utrata kilkanastu nieeskortowanych statków w ciągu jednego dnia, chociaż w tym wypadku tak samo jak w tamtym statki były pod opieką naszej floty.

Było rzeczą oczywistą, że Admiralicja nie ma zamiaru przedsięwziąć żadnych zdecydowanych posunięć w sprawie konwojów. Omówiwszy tę sprawę z sir Edwardem Carsonem, zawiadomiłem gabinet, że mam zamiar udać się do Admiralicji i ruszyć sprawę zdecydowanie z miejsca. Umówiłem się z członkami władz Admiralicji, że przybędę do nich na posiedzenie, na którym omówię z nimi wszystkie dotychczasowe środki zwalczania łodzi podwodnych; zastrzegłem sobie przy tym prawo zawezwania na posiedzenie każdego oficera — niezależnie od jego rangi — od którego chciałbym otrzymać informacje.

Perspektywa, że w ich własnym sanktuarium ktoś zlekceważy sobie ich zdanie, pobudziła admirałów do nowych kroków; przewidując nieuniknioną decyzję, rozpatrzyli teraz szczegółowiej plany i liczby, przygotowane przez kapitana Hendersona przy pomocy p. Normana Leslie. Wtedy po raz pierwszy zaczęli uświadamiać sobie, że cyfry na których od sierpnia 1914 roku opierali swoją strategię są absurdalne, i że wobec tego system konwojów nie przekracza ich możliwości.

Gdy więc przybyłem do Admiralicji, zastałem admirałów w nastroju nawróconych przeciwników. Omówiliśmy całą sprawę szczegółowo i doszliśmy do wniosków, które w następujący sposób zreferowałem gabinetowi:

„Z zadowoleniem dowiedziałem się od admirała Duffa, że zmienił całkowicie swój pogląd na system konwojów; sądzę, że admirał Jellicoe też się z nim zgadza, a w każdym razie jest za uczynieniem eksperymentów w tym kierunku. Admirał Duff nie jest zresztą entuzjastą tego systemu; ale cały szereg okoliczności skłonił go do uznania, że eksperyment powinien być w każdym razie uczyniony—z czym jak sądzę zgadza się większość moich kolegów. Jedną z takich okoliczności jest fakt, że z chwilą gdy Stany Zjenoczone przyłączyły się do nas — Duff uważa za możliwe skompletowanie eskort, które przedtem trudno było zorganizować. Dalej, jak wykazało doświadczenie, nie można polegać na tym, że okręt handlowy uniknie ataku łodzi podwodnej, robiąc zygzaki lub gasząc światła; tego rodzaju środki obrony, dostępne dla pojedyńczego okrętu, okazały się więc mało pewne. Ponadto, w rezultacie badań przeprowadzonych wspólnie z reprezentantem kontrolera transportu admirał Duff stwierdził, że liczba okrętów, dla których trzeba będzie zorganizować konwoje, jest mniejsza niż sądził. Poprzednio admirał Duff oświadczył mi, że rozmiary ostatnich strat nie usprawiedliwiają jeszcze eksperymentu z konwojami, który — jak mnie ostrzegł — może skończyć się wielką katastrofą; obecnie jednak obliczył, że nawet jeśliby tracił po trzy okręty z każdego konwoju, straty nie będą większe od obecnych, i wobec tego uważa eksperyment za usprawiedliwiony...

Bardzo żałuję, że musi upłynąć pewien czas zanim konwoje zostaną całkowicie zorganizowane, i sądzę że Admiralicja powinna jaknajprędzej pospieszyć się z tą sprawą.

Ponieważ poglądy Admiralicji w tej kwestii pokrywają się obecnie całkowicie z poglądami gabinetu, i ponieważ konwoje zaczęły już kursować na niektórych dro-

gach, a na innych są w stadium organizacji — sprawa nie wymaga w tej chwili dalszych komentarzy"...

Twierdzenie o „całkowitej zgodności" poglądów Admiralicji z poglądami gabinetu okazało się jednak zbyt optymistyczne. Jak wynika z zacytowanej wyżej mojej notatki, ani admirał Jellicoe ani admirał Duff nie wierzyli zasadniczo w celowość konwojów, i zgodzili się jedynie na ostrożne wypróbowanie tej metody. Zostali przekonani wbrew swej woli, i w głębi duszy zachowali swą dawną opinię.

Admirałowie nie zostali skłonieni do działania, ale jedynie do prób działania; w tym co robili czuło się opieszałość i niechęć. Postępowali jak ludzie, którzy bynajmniej nie pozbyli się swoich wątpliwości i którzy wobec tego okazują przesadną ostrożność i źle ukrywaną nadzieję, że ich dawniejsze przewidywania zostaną jednak potwierdzone przez fakty. Gdy konwoje spotykało jakiekolwiek niepowodzenie, zawiadamiali o tym gabinet z miną, oznaczającą: „A nie mówiliśmy?" Nie mogę znaleźć żadnej wzmianki o tym, aby Jellicoe kiedykolwiek oznajmił nam o powodzeniu konwojów — w wypadkach, w których były należycie zorganizowane.

W tydzień czy dwa po zdecydowaniu się Admiralicji na próbę konwojów odbyło się posiedzenie gabinetu z udziałem admirała Jellicoe, admirała Duffa, sir Wiliama Robertsona i kapitana Hendersona. Wysłuchałem wywodów admirałów o braku krążowników i kontrtorpedowców, których można by było użyć do eskorty, ale mimo to domagałem się zorganizowania na próbę konwoju z Gibraltaru. Jellicoe twierdził że liczba 100 kontrtorpedowców, dołączonych do głównej floty, nie może być zmniejszona, i że nie można również osłabiać floty mającej bazę w Harwich; dowodził przy tym, że taka liczba kontrtorpedowców jest konieczna wobec brzmienia instrukcyj, udzielonych Admiralicji i dowódcy floty w sprawie ewentualnej bitwy z główną flotą niemiecką, i że

jeśliby tę liczbę zmniejszono — instrukcje musiałyby ulec zmianie.

Kapitan Henderson zauważył, że gdyby konwoje zostały zorganizowane natychmiast, Niemcy potrzebowaliby zapewne trzech miesięcy czasu, aby ustalić najlepszą metodę wynajdywania i atakowania ich, a my mielibyśmy czas na budowę nowych jednostek i na dalsze przemyślenie sprawy.

Po tej dyskusji postanowione zostało zorganizowanie pierwszego próbnego konwoju z Gibraltaru na wyspy Brytyjskie. Wszystkie statki, odpływające z Morza Śródziemnego do wschodnich portów angielskich, zostały przetrzymane przez cztery dni, i 10-go maja konwój wyruszył: składał się z 17 okrętów handlowych i dwóch wojennych, *Mavis* i *Rule*, które w tym celu przybyły z kraju.

Dopiero 17 maja — w trzy tygodnie po decyzji gabinetu — Admiralicja zdecydowała się wyznaczyć komisję, która miała opracować systematycznie kwestię konwojów. Komisja ta zasiadała w ciągu trzech tygodni i zbadała całą sprawę dokładnie i z wielką starannością. Należało do niej wyznaczenie dróg dla konwojów i ustalenie liczby okrętów w każdym z nich; musiała też podzielić okręty na grupy według szybkości i omówić instrukcje, jakich należało im udzielić. Rzeczą komisji było też wydarcie Admiralicji niezbędnej liczby okrętów wojennych; była to trudna sprawa, gdyż Admiralicja uważała że jej kontrtorpedowce mają gdzieindziej ważniejsze zadania do spełnienia. Powzięcie ostatecznych wniosków ułatwiło komisji powodzenie, z jakim przeprowadzone zostały dwa eksperymenty.

Oto wyjątek ze sprawozdania Ministerstwa Żeglugi:

„W czasie posiedzeń komisji, 24 maja, z Hampton Roads odpłynął konwój, składający się z 12 statków, z okrętem wojennym *Roxburgh* jako eskortą; dwa z konwojowanych okrętów — *Ravenshoe* z ładunkiem cukru i *Highbury* z saletrą—odłączono, ponieważ nie nadążały

za resztą, i posłano do Halifaxu, skąd miały wyjść oddzielnie... Konwój przybył bez strat po 15 dniach.

Kapitan Whitehead z *Roxburghu* stwierdził w swoim raporcie, złożonym admirałowi Jellicoe, że *okręty trzymały się szyku doskonale i że jest gotów podjąć się eskortowania 30 okrętów zamiast 12*".

Równie dobrze powiodło się konwojowi z Gibraltaru. Ale te sukcesy były tylko irytującym rozczarowaniem dla admirałów, którzy zaczęli stosować cichy opór. Sprawozdanie Kontrolera Żeglugi stwierdza, że

„Chociaż władze Admiralicji udzieliły 14 czerwca aprobaty wnioskom komisji, była to aprobata raczej słowna niż faktyczna, gdyż niezbędne jednostki wojskowe nie zostały odkomenderowane".

Kontroler żeglugi zameldował mi o tym postępowaniu, i musiałem w ostrych słowach wyrazić Admiralicji moje niezadowolenie. Wtedy wreszcie admirałowie „zgodzili się wprowadzić w czyn własną aprobatę", jak głosi sprawozdanie Ministerstwa Żeglugi.

Komisja przedstawiła swoje sprawozdanie 6 czerwca, przedkładając dokładny plan organizacyjny. Po zatwierdzeniu sprawozdania, kapitan Manisty mianowany został „zarządzającym organizacją konwojów" (nie otrzymał tytułu „Dyrektora", przysługującego szefom ważnych departamentów); nie dano mu jednak ani własnego pokoju, ani personelu pomocniczego, i musiał sam „fasować" sobie wszystko, jak mógł. I chociaż sprawozdanie komisji zatwierdzone zostało 14 czerwca — musiał, jak już pisaliśmy, upłynąć pewien czas, zanim Admiralicja zdecydowała się skompletować jakoś eskortę. Regularne konwoje zaczęły wyruszać z Ameryki dopiero od 2 lipca, z Gigraltaru od 26 lipca, z Dakaru od 11 sierpnia. Ze stacjonowanych na wodach angielskich 279 kontrtorpedow-

ców, do konwojów przydzielono 20 do 30. Owe 279 obejmowały 100 kontrtorpedowców, przydzielonych do głównej floty — dla pilnowania „zwierzyny", schowanej w Scapa Flow, i admirał Jellicoe wyraża pewną dumę z tego, że pozwolił 8 czy 12 kontrtorpedowcom: na udział w konwojach, idących do Irlandii, w ciągu kilku miesięcy 1917 roku. W rzeczywistości w liczbach tych wyrażała się postawa małostkowa i niechętna, jeśli zważyć, że toczyliśmy z łodziami podwodnymi walkę na śmierć i życie i że zaatakowanie naszej o wiele liczniejszej floty głównej przez flotę niemiecką było nadzwyczaj nieprawdopodobną ewentualnością. Ale żadna furia nie może się równać z zimną wściekłością zawodowców, którym laicy dowiedli błąd, i nie ma głupstwa, którego by nie popełnili, reagując na takie poniżenie.

Mimo to wszystko — system konwojów okazał się pierwszorzędnym sukcesem. Admirałowie byli zrozpaczeni, gdyż fakty nie chciały w żaden sposób słuchać się ich zawodowej wiedzy.

Zacytujemy znów ustęp z oficjalnego sprawozdania Ministerstwa Żeglugi, poświęcony konwojom z Ameryki:

> *„Sukces tych konwojów był fenomenalny.* 14 konwojów, składających się z 242 parowców, przybyło nie utraciwszy ani jednego statku, chociaż konwoje były atakowane, a statek-cysterna *Wabasha* z czwartego konwoju z Hampton Roads trafiony został torpedą. Dzięki natychmiastowej pomocy eskadry statek doprowadzony został do portu, utraciwszy tylko część ładunku, a ofenzywne walory systemu ujawniło przeprowadzenie natychmiastowego ataku na łódź podwodną. Gdyby *Wabasha* płynął sam jeden, nawet chroniony przez kilka kontrtorpedowców, zostałby prawdopodobnie storpedowany kilka razy i w końcu zatopiony"...

Ale nie był to jeszcze koniec kłopotów z Admiralicją. Oto przykład okazywanej przez nią upartej i nie dającej się przełamać niechęci (ze sprawozdania Ministerstwa Żeglugi):

„Dopiero od 26 lipca konwoje z Gibraltaru zaczęły być regularnie wysyłane. Zawadą była z początku niechęć Admiralicji przydzielenia choćby uzbrojonych bark rybackich (w braku kontrtorpedowców); przeszkoda ta została jednak w końcu usunięta, i konwoje okazały się wielkim sukcesem—a płynęły prawie przez cały czas przez strefę niebezpieczeństwa i miały jako eskortę tylko łodzie rybackie, wraz z jednym kontrtorpedowcem i amerykańskim statkiem wojennym".

Trudności, z jakimi walczyć musiał gabinet w całej tej sprawie, cechują zasadniczo wszelkie operacje wojenne, ilekroć opinia cywilów znajdzie się w konflikcie z opinią ekspertów. Flota wojenna i strategia morska — to sprawy bardzo obce i dalekie dla laików; nic dziwnego, że naczelne dowództwo floty otoczone było aureolą szczególnego autorytetu. Ilekroć domagałem się wprowadzenia systemu konwojów, wyrastał przede mną nieprzebyty mur w postaci twierdzenia, że według opinii ekspertów Admiralicji system ten jest z technicznych względów niemożliwy; z tego rodzaju argumentem było mi oczywiście nadzwyczaj trudno walczyć.

Gdyby Admiralicja jeszcze przez kilka tygodni trwała w swoim uporze i nie chciała słuchać rad, udzielanych jej z zewnątrz—nastąpiłoby zupełne załamanie się Koalicji. Trójząb Neptuna zostałby wydarty z rąk Wielkiej Brytanii przez drapieżnego potwora głębin morskich. Nie po raz pierwszy to w ciągu tej wojny otrzymaliśmy — na szczęście jeszcze na czas — naukę, że żadne wielkie przedsięwzięcie ogólnonarodowe nie może być przeprowadzone pomyślnie, zarówno w czasie pokoju jak w czasie wojny, inaczej jak przy pomocy lojalnej, dobrowolnej i serdecznej współpracy laika i specjalisty.

Kiedy dowiadywałem się o poszczególnych wypadkach hamowania lub opóźniania niezbędnych posunięć, mogłem wywierać odpowiedni nacisk; ale powodowało to stratę czasu, a strata czasu oznaczała straty w okrętach i w ludziach. Nabrałem więc przekonania, że trzeba zmienić ludzi stojących na czele Admiralicji. Było dla mnie rzeczą oczywistą, że skoro nie mogę przychodzić do Admiralicji co dzień i kontrolować wszystkich przeszkód jej pracy, szybkie usuwanie istniejących przeszkód i przyspieszanie niezbędnych posunięć będzie dla mnie niemożliwością. Myślałem więc o mianowaniu kogoś na miejsce pierwszego lorda Admiralicji — lorda Carsona, i na miejsce Naczelnego Dowódcy Floty — admirała Jellicoe. Obydwaj cieszyli się wielkim wpływem i autorytetem i obydwaj mieli licznych zwolenników — pierwszy w parlamencie, drugi we flocie. Stwierdziłem zresztą, że we flocie istnieją dwie partie — zwolenników Jellicoe i zwolenników Beatty. Jak to jest przeważnie z partiami — człowiekowi z boku trudno było uchwycić różnicę między nimi; ale im mętniejsza jest doktryna partyjna, tym silniej działają momenty osobiste.

Co się tyczy lorda Carsona — zdawał sobie sprawę z niezbyt gorącego poparcia ze strony towarzyszy pracy w Ministerstwie. Upór ich zmęczył go w końcu i skłonił do uległości. Miał wciąż do czynienia z powolnością, niechęcią i samowolą; a nie nadawał się na poganiacza mułów. Nie była to jego rola życiowa. Miał wiele odwagi i niezależności, ale jako człowiek nieobznajmiony z zagadnieniami administracji, a zwłaszcza z pracą Admiralicji, był bardzo zależny od swoich oficjalnych doradców, a nie mógł się zdecydować na szukanie rady poza urzędem. Bez tej zaś rady był zgubiony.

Mógł ją zresztą otrzymać, nie wychodząc poza flotę, powierzoną oficjalnie jego pieczy: mógł zapytywać o zdanie ludzi z czynnej służby. Ale nie pozwalały mu na to zwyczaje zawodowe, z którymi zżył się w ciągu swojej kariery. Jako prawnik, mógł konferować w danej sprawie tylko z osobami,

wymienionymi w jego pełnomocnictwie — z zastępcą, pomocnikami itd. Zwrócenie się o radę do innego pracownika, czy zwierzanie się przed nim z kłopotów, oznaczałoby brak zaufania do przydzielonych mu kolegów, a zatem byłoby nielojalnością zawodową; konferował więc tylko z oficjalnymi przedstawicielami Admiralicji. Zmartwienia związane z tym stanowiskiem i odczuwana dobrze niemoc nadszarpnęły nawet jego zdrowie.

Nigdy nie uważałem, aby honor czy etykieta nie pozwalały ministrowi zwrócić się do kogokolwiek z pośród urzędników ministerstwa — niezależnie od jego rangi — czy też do kogoś z poza ministerstwa i prosić go o radę w sprawach, związanych z danym resortem. Jeśli minister dowiaduje się, że którykolwiek z jego podwładnych ma jakąś wyjątkową wiedzę czy specjalne kwalifikacje w jakiejś sprawie — jest rzeczą bardzo istotną, aby wszedł z nim w bezpośredni kontakt. Polityk, stojący na czele ministerstwa, ma nie tylko prawo ale i obowiązek szukania każdej rady, która pomoże mu wywiązać się lepiej z jego zadań. Dotyczy to zresztą także fachowego podsekretarza stanu w ministerstwie. Ale lord Carson nie był w stanie przyjąć tego punktu widzenia. W rezultacie, chociaż jego wrodzona bystrość i inteligencja pozwoliły mu zdać sobie sprawę, że rzeczy nie idą dobrze ani dostatecznie szybko — nie mógł jednak stwierdzić, na czym dokładnie polegają przyczyny tego niezadowalającego stanu rzeczy, a zatem nie mógł ich także usunąć i usprawnić w ten sposób pracy ministerstwa.

Przed objęciem urzędu premiera nie byłem w żadnym kontakcie z flotą i mało wiedziałem o jej sprawach. Ministerstwo Zaopatrzenia dało mi jednak bezpośredni kontakt z zagadnieniami walki na lądzie. Niezależnie od tego, rozmawiałem stale z żołnierzami i oficerami, którzy przybywali na urlop do kraju i którzy w ciągu długich miesięcy brali codziennie udział w bitwach — wielkich i małych — toczących się na polach Flandrii i Francji. Nie jest to z mojej strony prze-

chwałka, ale fakt, że miałem więcej bezpośredniej styczności z oficerami i żołnierzami, nie mającymi naszywek sztabowych ale przybywającymi wprost z okopów, niż ktokolwiek w Kwaterze Głównej czy w Ministerstwie Wojny.

Było moim zwyczajem w ciągu całego życia, że kiedy stykam się z ludźmi, mającymi jakąś specjalną wiedzę czy znającymi jakąś dziedzinę z własnego doświadczenia — rozmawiam z nimi na ten właśnie temat, który najlepiej znają i o którym najchętniej mówią. Informacje, jakie uzyskuję tą drogą, robią na mnie większe wrażenie i pozostawiają głębsze ślady w moim umyśle, niż rzeczy o których dowiaduję się jakimś innym sposobem. Długotrwałe studia książkowe osłabiają odporność fizyczną organizmu, ale rozmowy z ludźmi o pewnej wiedzy działają na umysł podniecająco i odświeżająco. Gdybym polegał tylko na urzędnikach ministerialnych, nie byłbym nigdy przeprowadził moich ustaw o ubezpieczeniu chorobowym i o emeryturach starczych. Zdaję sobie oczywiście sprawę z konieczności utrzymywania w ministerstwach należytej hierarchii urzędowej. Na czele naszych służb publicznych stoją urzędnicy, należący do najzdolniejszych i najbardziej kompetentnych ludzi nie tylko w Anglii, ale i poza nią, i dla sprawności ich pracy jest rzeczą niezbędną, aby zachowywali w całej pełni przysługujące im uprawnienia i aby prestiż ich pozostawał nienaruszony. Ale swoboda korzystania z nieurzędowych i niezależnych źródeł informacji daje się najzupełniej pogodzić z należytym respektem dla urzędowej hierarchii — jeśli minister korzysta z tej swobody w sposób rozsądny i taktowny i jeśli podwładni jego traktują tę sprawę ze zrozumieniem. Rzecz nie może wyglądać tak, jak gdyby minister odsuwał na bok swoich oficjalnych doradców; z drugiej strony, doradcy ci nie powinni stwarzać takiej sytuacji, aby minister, jeśli chce uczynić jakiś krok w tym kierunku, mógł to zrobić tylko z jawnym ich pominięciem.

Gdy jako premier zacząłem ponosić odpowiedzialność

za sprawne funkcjonowanie całej maszyny rządowej, korzystałem z każdej okazji, jaka mi się nasuwała z tytułu mojego urzędu albo niezależnie od tego tytułu, aby zapoznać się z głównymi zagadnieniami, związanymi z prowadzeniem wojny a podlegającymi kompetencji rozmaitych ministtrstw. Admiralicja i kontroler żeglugi zaznajomili mnie ze wszystkimi problemami walki na morzu. Kontroler żeglugi doszedł po krótkim czasie do niezbyt pochlebnej opinii o władzach Admiralicji; ale najlepsze informacje o sprawach morskich otrzymałem z innego źródła. Udało mi się mianowicie uzyskać do ludzi, którzy odbywali aktywną służbę na morzu, taki sam bezpośredni dostęp, jaki miałem przedtem do żołnierzy, prowadzących wojnę na lądzie. Zawdzięczam wiele kapitanowi Kenworthy, który w tym krytycznym okresie umożliwił mi zetknięcie się z młodszymi oficerami floty. Z Kenworthym zapoznał mnie sir Herbert Lewis, wówczas zastępca ministra oświaty. Po rozmowach z niektórymi z pośród tych młodych ludzi uprzytomniłem sobie, że istnieje grupa bardzo inteligentnych oficerów floty, zapatrujących się bardzo krytycznie na Admiralicję i jej metody. Oficerowie ci surowo potępiali jej cały plan obrony przeciw łodziom podwodnym i pogardliwie mówili o jej stanowisku w sprawie konwojów. Najbardziej jednak oburzała ich niechęć, jaką okazywały władze naczelne wobec wszelkiej propozycji czy sugestii, pochodzącej od ludzi, którzy brali czynny udział w walkach na morzu. Jeśli zważyć, że admirałowie sami ogłosili wobec gabinetu swoje bankructwo w dziedzinie jakichkolwiek nowych idej — ta wyniosła odmowa odświeżenia swego bagażu umysłowego była z ich strony niewybaczalna. Domagałem się od sir Edwarda Carsona, aby skorzystano z usług tych ludzi w Departamencie obrony przeciw wojnie podwodnej; Carson podzielał całkowicie mój pogląd na tę sprawę i obiecał postarać się, aby usługi ich zostały istotnie wyzyskane.

Na posiedzeniu komsji wojennej gabinetu, 20 czerwca 1917 r., zapytałem sir Johna Jellicoe, czy organizacja „sekcji

ofenzywy" w Departamencie Operacyjnym Admiralicji poczyniła jakieś postępy. Jellicoe odpowiedział, że Carson zaproponował mu utworzenie, przy pomocy grupy młodych oficerów, sekcji która zajęłaby się zbadaniem możliwości ofenzywnych. *On sam jednak nie sądzi, aby młodzi oficerowie mogli się w tej sprawie na wiele przydać. Nie ma czasu na rozpatrywanie licznych projektów, a sam już rozważył wszelkie możliwości akcji ofenzywnej.* Jako członka tej sekcji zaproponowano kapitana Richmonda, ale Jellicoe — jak nam oświadczył — po rozmowie z Richmondem nie zgodził się na tę nominację. Zamiast niego wybrał innego oficera. W końcu Jellicoe zaznaczył raz jeszcze, że jego zdaniem sekcja ta będzie prawdopodobnie tylko tracić czas, choć ma zamiar przekazać jej do szczegółowego opracowania swoje własne projekty.

Interesującą jest też rzeczą zreferować poglądy Jellicoe na ofenzywną wartość floty, mającej przewagę nad przeciwnikiem. Byłem bardzo niezadowolony z tego że nasza flota stanowiąca taką potęgę morską, nie może przedsięwziąć żadnej akcji przeciw portom belgijskim, stanowiącym bazę niemieckich łodzi podwodnych i torpedowców, i zapytałem Jellicoe czy nie sądzi, że gdyby Niemcy mieli nad nami taką ogromną przewagę, jaką my wraz z flotą amerykańską mamy nad nimi, uniemożliwiliby nam utrzymywanie baz morskich w Harwich i Duwrze. W odpowiedzi Jellicoe zaprzeczył, jakobyśmy mieli nad Niemcami ogromną przewagę, z wyjątkiem pancerników liniowych, a dalej oświadczył, że nawet gdyby Niemcy taką przewagę mieli, nie byliby w stanie wyprzeć nas ani z Harwich ani z Duwru. Harwich bronione jest przez specjalne warunki nawigacyjne w okolicy, i pod tym względem podobne jest do Zeebrugge i Ostendy. Duwr mógłby być bombardowany, ale nasze okręty mogłyby wrócić po bombardowaniu. Nie można uczynić pobytu w porcie tak niedogodnym, aby okręty nie mogły zeń korzystać. Nasza główna flota nie może podejść do Zeebrugge bliżej, jak na od-

ległość 1800 jardów, a gdyby nieuzbrojone monitory podeszły na taką odległość, zostałyby zatopione.

Takie były poglądy admirała Jellicoe na możliwości akcji ofenzywnej na morzu oraz na wartość i uzdolnienia młodych oficerów floty. Kapitan — obecnie admirał — Richmond, wzmiankowany wyżej, był jednym ze zdolnych młodych ludzi, którzy okazali się bardzo pomocni w tym trudnym okresie.

Zakomunikowałem Carsonowi informacje, uzyskane przeze mnie od owych młodych oficerów; ale Carson uznał za niemożliwe przełamać tępy i niewzruszony upór swoich admirałów. Postanowiłem więc mianować na jego miejsce kogoś, kto potrafiłby narzucić swoją wolę podwładnym.

W czasie kiedy tworzyłem rząd, przekonany byłem, że wielkie talenty sir Edwarda Carsona znajdą sobie lepsze zastosowanie, gdy będzie on wchodził w skład gabinetu; Admiralicję zaś chciałem oddać lordowi Milnerowi*). Nie mogłem tego jednak przeprowadzić na skutek uprzedzenia, jakie wobec Carsona żywiła większość przywódców konserwatywnych. Wszyscy go podziwiali, ale jednocześnie odgradzali się od niego. Curzon ani go nie podziwiał, ani nie lubił. Long, który wyolbrzymiał swoją własną sytuację i wpływy w partii konserwatywnej, zazdrosny był na myśl, że Carson mógłby zostać członkiem gabinetu, do którego on nie wchodził. W rezultacie Carson nie dostał się na miejsce, na które miał kwalifikacje, objął natomiast urząd, do którego się nie nadawał. Każdy rząd cierpi na skutek takich wymuszonych a nieodpowiednich nominacyj.

---

*) Nie wszyscy ministrowie, t. j. członkowie r z ą d u, wchodzą w skład g a b i n e t u angielskiego; do gabinetu, który decyduje o ogólnej polityce rządu, należą tylko ministrowie, stojący na czele najważniejszych resortów — a więc kanclerz skarbu, minister spraw zagranicznych, minister spraw wewnętrznych; w czasie wojny do gabinetu należał też szereg ministrów bez teki. *(Przyp. tłum.)*

Paromiesięczne urzędowanie Carsona na stanowisku, na które mianowałem go jedynie pod naciskem i wbrew własnemu zdaniu, przekonało mnie o konieczności zmiany w interesie samego Carsona. Jego własne poczucie niemocy wobec przeszkód, stawianych wszelkiej energicznej akcji, odbijało się już najwyraźniej na jego zdrowiu. Na czele Admiralicji trzeba było postawić człowieka o większym wigorze, pomysłowości i zdolności do opanowywania szczegółów. Zdecydowałem się ostatecznie na wybór pod wpływem rozmowy, jaką miałem na początku lata z sir Douglas Haigiem. Wódz Naczelny był też zaniepokojony ogromnie stratami, jakie powodowała działalność niemieckich łodzi podwodnych. Bał się, żebyśmy nie przegrali wojny na morzu, zanim on będzie w stanie wygrać ją na lądzie. Miał wielki szacunek dla wiedzy technicznej Jellicoe, ale uważał go za człowieka zbyt wąskich i konserwatywnych poglądów. Co do sir Edwarda Carsona — Haig nie miał zdaje się zbyt dobrej opinii o jego talentach administracyjnych; w każdym razie uważał, że Carson jest wyraźnie nie na miejscu w Admiralicji. Namawiał mnie bardzo gorąco, abym mianował zamiast niego sir Eryka Geddesa. Zdolności a zwłaszcza energia, jaką przejawił Geddes w reorganizacji transportu do Francji i na terytorium francuskim, uczyniły wielkie wrażenie na Naczelnym Wodzu. W owej chwili Geddes zajęty był nader ważnym zadaniem — uruchomienia w należytej skali produkcji nowych okrętów, dla zapełnienia luk, spowodowanych przez wojnę podwodną.

Bonar Law zgodził się ze mną, że zmiana byłaby rzeczą pożądaną, jeśli uda się jej dokonać bez urażenia Carsona. Obydwaj mieliśmy dla niego wielki szacunek i pragnęliśmy oszczędzić mu jakiejkolwiek przykrości. Ponieważ Carson wiedział, że zawsze uważaliśmy za pożyteczniejsze aby był w gabinecie, a nie na stanowisku raczej administracyjnym — mogliśmy zupełnie uczciwie przedstawić mu ten punkt widzenia i zaproponować przeniesienie go z Admiralicji do gabi-

netu. Ale chociaż należenie do owego Dyrektoriatu Wojny dawało większe wpływy i było uważane za stanowisko wyższe, sądzę że Carson odczuł boleśnie naszą propozycję; była to dlań przykrość mimo całej naszej argumentacji. Jednakże jego głęboki patriotyzm przemógł w nim wszelkie uczucia osobiste — i Carson wszedł do gabinetu, a Geddes objął Admiralicję. Prowadzenie wojny zyskało na tej podwójnej zmianie.

Co do zmiany na stanowisku Naczelnego Dowódcy Floty — sir Eryk Geddes, obejmując urząd Pierwszego Lorda Admiralicji, zastrzegł sobie żeby Jellicoe nie został natychmiast usunięty. Geddes wiedział, że Jellicoe cieszy się zaufaniem wyższych oficerów marynarki i że byłoby wobec tego rzeczą nader korzystną uzyskać jego współpracę. Obiecał zawiadomić mnie natychmiast, gdyby się okazało, że współpraca ta jest niemożliwa.

Po upływie bardzo krótkiego czasu Geddes stwierdził, że należytą koordynację i usprawnienie pracy Admiralicji hamują poważnie czynniki natury osobistej, do których należała wzajemna niechęć między Dowódcą Naczelnym, admirałem Jellicoe, i dowódcą głównej floty, admirałem Beatty. Nieporozumienia istniały między nimi stale od bitwy pod Jutlandią. Porozumiawszy się ze mną, Geddes postanowił stworzyć urząd Zastępcy Naczelnego Dowódcy floty, aby tą drogą ułatwić współpracę między główną flotą, siłami skoncentrowanymi w Harwich i Admiralicją. Urząd ten objął admirał sir Rosslyn Wemyss (późniejszy lord Wemyss). Chociaż dobry marynarz, Wemyss nie był człowiekiem szczególnie zdolnym: miał jednak dwie zalety, które były specjalnie cenne wobec stosunków, jakie panowały wówczas w Admiralicji. Po pierwsze — nie należał do żadnej koterii: nie był ani zwolennikiem Jellicoe, ani zwolennikiem Beatty; był w bardzo dobrych stosunkach z obydwoma. Po drugie — chętnie słuchał młodych oficerów, rozwijających własne poglądy. Nie patrzał na nich nigdy wzrokiem który mówił, że powinni jak

najprędzej wyjść z jego gabinetu; okulary jego połyskiwały ku nim przyjaznym blaskiem.

Geddes przystąpił też do utworzenia w Admiralicji Wydziału Planów, na czele którego stanął wice-admirał Keyes; wydział miał na czele planowanie działań ofenzywnych w okolicy Kanału La Manche. 17 listopada 1917 r. utworzona została „Komisja Obrony Kanału", z Keyesem na czele.

Jednakże inercja i brak spójności w pracy Admiralicji tamowały wszystkie te posunięcia organizacyjne, i 21 grudnia 1917 r. Geddes wystąpił na posiedzeniu gabinetu z wnioskiem, że opuści Admiralicję i zajmie się koordynacją całego lądowego i morskiego transportu państw sojuszniczych. Wszystkie rządy Koalicji godziły się całkowicie na to, że Geddes jest najlepszym człowiekiem do zajęcia się tą sprawą. Organizacja transportu była w tym okresie sprawą palącą i gabinet zdawał sobie sprawę, że Geddes ma najlepsze — jeśli nie jedyne — kwalifikacje do zajęcia się nią. Jednocześnie jednak uważaliśmy, że jest dla nas niezbędny w Admiralicji. Jego gotowość przejścia na inne stanowisko znalazła swe wytłumaczenie tegoż dnia, gdy po południu przybył do mnie na Downing Street i oświadczył, że — jak się przekonał — nie będzie mógł zrobić w Admiralicji tego coby chciał, dopóki admirał Jellicoe pozostaje na stanowisku Naczelnego Dowódcy Floty. Omówiliśmy całą sprawę z Bonar Law i Geddesem i Geddes wyjaśnił, że chociaż jest w najlepszych stosunkach z Jellicoe, ma dla niego wielkie uznanie i nie pragnie wcale, jako cywil, narzucać mu niczego w sprawach technicznych — czuje jednak, że z Jellicoe nie ruszy sprawy z miejsca. Wemyss natomiast jest człowiekiem,, który dopuściłby do głosu młodych, a poza tym jest w doskonałych stosunkach z Beatty. Jako zastępca Naczelnego Dowódcy, Wemyss popierał ludzi z inicjatywą w Wydziale Planów i wogóle w całej Admiralicji.

Bonar Law zgodził się ze mną, że w takich okolicznościach zmiana na stanowisku Naczelnego Dowódcy jest sprawą pożądaną. W gruncie rzeczy byliśmy już oddawna tego

zdania, ale zobowiązaliśmy się wobec Geddes'a, że damy mu możność wytworzenia sobie własnej opinii; po sześciomiesięcznym doświadczeniu Geddes nabrał tego samego przekonania co my — przekonania, które podzielał również sir Douglas Haig, orientujący się dobrze zarówno w charakterze admirała Jellicoe jak i w sytuacji w Admiralicji. Haig był w tym czasie przypadkowo w Londynie i oświadczył zupełnie otwarcie, że uważa zmianę za pożądaną.

Sir Eryk pojechał do Sandringham w pierwsze święto Bożego Narodzenia, zjadł obiad świąteczny w towarzystwie króla i rodziny królewskiej i przywiózł zgodę J. K. Mości na zmianę personalną w Admiralicji. Następnego dnia Jellicoe ustąpił ze stanowiska Naczelnego Dowódcy, na które mianowany został sir Rosslyn Wemyss; zaś admirał Keyes zastąpił admirała Bacona w Duwrze. Jednym z owoców tej reorganizacji było przeprowadzenie później przez flotę patrolującą w Duwrze, pod dowództwem Keyesa, jednego z najśmielszych i najefektowniejszych przedsięwzięć Wielkiej Wojny — ataku na Zeebruge i Ostendę.

Energia i wigor Geddesa na stanowisku Pierwszego Lorda Admiralicji dały się wkrótce wyraźnie odczuć. Wahania i obiekcje ustały zupełnie; nastąpiło przyspieszenie wszystkich czynności. System konwojów miał nareszcie możność wykazania swoich zalet i został rozszerzony, wzmocniony i ulepszony pod każdym względem. Oficerowie, którzy byli jego szczerymi zwolennikami, uzyskiwali poparcie. Udoskonalono sposoby atakowania łodzi podwodnych; statki patrolujące zaopatrzono bez zwłoki w nowy hydrofon wynalazku Nasha, zastosowano też wiele innych, pomysłowych środków walki z niebezpieczeństwem podwodnym. Najważniejszym jednak był temperament, z jakim wszystko to wprowadzano w życie. Mimo że łodzie niemieckie były coraz szybsze i caraz potężniejsze, zaczęły one — w rezultacie naszej energicznej kampanii — ponosić poważne i rosnące wciąż straty. Ilustrują je

oficjalne dane niemieckie, dotyczące strat w łodziach podwodnych; oto one:

Lata	*Liczba łodzi podwodnych, utraconych na skutek akcji nieprzyjaciela*
1914	5
1915	19
1916	22
1917	63
1918	69

Od końca lipca 1917 r. do końca listopada 1918 r. zatapialiśmy przeciętnie siedem niemieckich łodzi podwodnych na miesiąc.

W sierpniu wprowadzono również konwoje okrętów, płynących z Anglii — co zalecała już dawniej wzmiankowana wyżej komisja, ale sprawa została z początku odłożona wobec rzekomych trudności ze skompletowaniem eskorty. Od tej chwili aż do końca wojny konwojowane okręty ponosiły bardzo małe i wciąż zmniejszające się straty. Oto co mówi „Oficjalna Historia Wojny":

„Doświadczenie wykazało, że konwój miał z natury rzeczy wielkie szanse uniknięcia niebezpieczeństwa, ponieważ dla dowódcy łodzi podwodnej było rzeczą niemal niemożliwą ustawić się zgóry, o właściwej godzinie, na jego drodze, i to w dogodnej pozycji dla zaatakowania go — skoro nie znał drogi konwoju ani czasu jego przybycia. Swoje wielkie dotychczasowe sukcesy dowódcy łodzi zawdzięczali ogromnej łatwości upolowania ofiary: wystarczyło aby zajęli stanowisko tuż obok patrolowanych dróg i czekali na pojawienie się statków handlowych; po jakimś czasie musieli je dostrzec niemal na pewno. W niektórych okolicach szanse były nieco więk-

sze, w innych nieco mniejsze, ale ponieważ żegluga handlowa odbywała się wszędzie w obrębie określonej strefy — cała strefa obiecywała Niemcom sukcesy. Zastosowanie konwojów w tych strefach niebezpieczeństwa wykazało, że jeżeli system ten udałoby się rozszerzyć i rozwinąć — cały charakter wojny podwodnej musiałby ulec zmianie. Dowódcy łodzi nie mogliby podpływać po prostu do „obiecującej" z ich punktu widzenia strefy i tam czekać: musieliby wyszukiwać i atakować całe grupy okrętów, o których drodze nic nie wiedzieli — zadanie o wiele trudniejsze, a w wielu wypadkach wręcz niemożliwe do wykonania".

Wnioski te uzasadnia całkowicie statystyka konwojów. Od lata 1917 r. aż do zakończenia wojny w listopadzie 1918 r. konwojowane okręty odbyły ok. 16.700 podróży z Anglii i do Anglii. Całkowite straty, włączając 16 okrętów zatopionych w czasie burzy i 36 zatopionych w chwili, kiedy odłączyły się od konwoju — wynosiły 154 okręty, t.j. mniej niż 1% okrętów konwojowanych. Zarówno pod względem liczby zatopionych okrętów, jak pod względem ich tonażu straty, poniesione w ciągu osiemnastu miesięcy nieograniczonej wojny podwodnej były znacznie mniejsze od strat, jakie ponieśliśmy w jednym tylko kwietniu 1917 r., przed wprowadzeniem konwojów.

Pod kierunkiem wice-admirała Duffa organizacja konwojów, pod wpływem doświadczeń, polepszała się z miesiąca na miesiąc. Trudności, wynikające z różnej szybkości okrętów, zostały w sposób zadowalający pokonane. Oto wyjątki z raportu, przedłożonego w jakiś czas po wprowadzeniu systemu konwojów:

„...Strefy, w których wprowadzono konwoje na Oceanie Atlantyckim, zostały rozszerzone, do konwojów zaś przydzielano okręty mniej więcej tej samej szybkości,

jeżeli tylko nie pociągało to za sobą zbyt wielkiego nakładania drogi dla poszczególnych okrętów...

(Wrzesień): W ten sposób wszystkie okręty państw sojuszniczych i neutralnych, płynące do Anglii i do francuskich portów atlantyckich, są obecnie—niezależnie od ich szybkości — dołączane do konwojów".

Trzeba dodać, że państwa neutralne ponosiły dalej ciężkie straty. Okręty ich, wiozące ładunek dla państw Koalicji, nie były naogół eskortowane ani przez nasze, ani przez ich własne okręty wojenne. Powstała kwestia, czy nie leży w naszym interesie dawać im taką samą ochronę, jakiej udzielaliśmy naszym okrętom; przemawiała jednak przeciw temu obawa, aby statki neutralne nie wydawały nieprzyjacielowi — umyślnie lub nieumyślnie — naszych szyfrów i wiadomości o drodze, jaką mają płynąć.

Jednym z największych sukcesów systemu konwojów było znaczne zredukowanie niebezpieczeństwa, na jakie narażeni byli dzielni marynarze okrętów handlowych, ryzykujący ustawicznie swoje życie.

Oto co mówi o tym sprawozdanie Ministerstwa Żeglugi:

„Z tego punktu widzenia system konwojów dał nadzwyczajne rezultaty. Od chwili jego wprowadzenia duże parowce, płynące z ładunkiem do portów koalicyjnych, nie były naogół zatapiane; niebezpieczeństwo groziło jeszcze tylko małym statkom, kursującym wzdłuż wybrzeży, albo też statkom większym, idącym do portu dla załadowania albo dla połączenia się z innymi w konwoju. Znaczyło to, że nawet gdy okręt został storpedowany i załoga musiała szukać ucieczki w łodziach, znajdowała się ona naogół nie dalej jak o 10 lub 20 mil od brzegu, a prawdopodobnie przed upływem pół godziny przychodził jej z pomocą patrolujący statek przybrzeżny. Była to sytuacja zupełnie odmienna od tej, jaka istniała w

pierwszym półroczu 1917 r., kiedy okręty zatapiane były w odległości 200 i 300 mil od brzegu i kiedy większość marynarzy, którzy zdołali schronić się do łodzi, umierała z wycieńczenia, zanim docierała do lądu albo otrzymywała jakąś pomoc.

Ponadto, eliminowało to niemal zupełnie obawę, że kapitan albo mechanik okrętu zostaną wzięci do niewoli przez łódź podwodną. System ten stosowali Niemcy, aby osłabić *morale* załogi; trzeba z uznaniem podkreślić postawę marynarzy, którzy tak długo narażali się na to ryzyko, nie mając prawie żadnej możności odwzajemnienia się Niemcom tym samym postępowaniem. Na jak długo jeszcze starczyłoby im odwagi, gdyby system konwojów nie zmienił warunków bezpieczeństwa na morzu — to pozostaje sprawą otwartą.

Zmiana naszej taktyki na morzu wzmocniła też znacznie szanse uratowania okrętu, trafionego torpedą.

...W początkowym okresie konwojów najważniejszą sprawą było doprowadzanie statków i ładunków do portu, i chociaż Departamentowi Konwojów przedstawiono wiele mniej lub więcej dokładnych obliczeń (jedno z nich niemieckie, bardzo pracowicie sporządzone i ogłoszone w niemieckiej prasie), wykazujących jak, na skutek zachodzącej zwłoki, kurczyły się rozmiary naszego importu — było jednak rzeczą oczywistą, że istniejący okręt, choćby szedł jak najwolniej, wart jest więcej niż okręt leżący na dnie morza, choćby się tam bardzo szybko dostał.

Kiedy wartość systemu konwojów została w sposób bezsporny dowiedziona i doświadczenie nauczyło nas, gdzie i dlaczego powstaje zwłoka — przedsięwzięte zostały kroki, aby ją możliwie zredukować; pierwszym takim krokiem było utworzenie konwojów, płynących szybciej"....

Tak więc system konwojów dał nam rozwiązanie problemu łodzi podwodnych i uratował nas od śmiertelnego niebezpieczeństwa; dodatkową rolę odegrało tu jeszcze zwalczanie i pościgi łodzi. We wszelkim jednak systemie decydującą rolę odgrywają ludzie. Żadna pochwała nie może dać należytego wyobrażenia o odwadze i kompetencji tych oficerów i żołnierzy, którzy stanowili załogę eskorty wojskowej konwojów i których zadaniem było tropienie i dopadanie zwinnej łodzi, czającej się w cieniu głębin. Ale wśród ludzi, na których liczyć mogła Anglia w swojej walce z łodziami podwodnymi, nikt nie zasługuje na pochwałę wyższą niż marynarze naszych statków handlowych i rybackich. Ich odwaga i poświęcenie były czynnikiem, którego nie brały pod uwagę kalkulacje niemieckiej Admiralicji.

Niemcy liczyli niewątpliwie na to, że nasi marynarze będą się bali zapuszczać na morze. Inaczej nie można wytłumaczyć licznych wypadków gwałtów i brutalności, dokonywanych na bezbronnych ludziach — prawdopodobnie z rozkazu władz wyższych — po storpedowaniu i zatopieniu ich statków. Strzelanie do łodzi ratunkowych, tryumfalne zawiadomienia o okrętach *„spurlos versenkt"* — zatopionych bez miłosierdzia wraz z całą załogą — wszystko to miało na celu podważyć *morale* marynarzy angielskich i odebrać im ochotę do dalszych podróży. Pod tym jednak względem starania Niemców nie dały żadnych rezultatów.

Pamiętam jak na statku, na którym wracałem w czasie wojny z jakiejś konferencji międzykoalicyjnej we Francji, poznałem starego kapitana okrętowego. Zapytałem go, co tu robi, na co szpakowaty marynarz odpowiedział, że jego statek został właśnie storpedowany, co mu się zdarza po raz — zdaje się — szósty, i że jedzie teraz do Liverpoolu aby objąć nowy okręt i raz jeszcze stawić czoło łodziom podwodnym.

W liście z d. 25 października 1917 r. pisał do mnie Havelock Wilson, sekretarz związku zawodowego marynarzy i palaczy okrętowych:

„W związku marynarzy i palaczy okrętowych mamy bardzo wielu ludzi, którzy byli już pięć i sześć razy na storpedowanym statku, a jednak każdy z nich, z chwilą kiedy się znalazł na lądzie, starał się natychmiast o zaangażowanie na innym okręcie, odpływającym na morze. Słyszałem o marynarzu, który był już na siedmiu storpedowanych statkach, a teraz jest znów w podróży. Znam też wypadki, gdy ludzie ze storpedowanych statków zjawiali się w swoim macierzystym porcie; mieli wtedy prawo do otrzymania ze związku zapomogi w kwocie 4 do 5 funtów, którą w takim wypadku wypłacamy bezwarunkowo w ciągu 48 godzin. Ci ludzie jednak, zamiast czekać na pieniądze, wsiadali natychmiast na inny statek i odpływali, nie załatwiwszy swojej sprawy; często się zdarzało, że statek na który wsiadali znowu tonął od uderzenia torpedy, i kiedy ludzie ci wracali do portu, otrzymywali odrazu podwójne i potrójne zapomogi...

Wielu ludzi znosiło ubiegłej zimy niesłychane cierpienia, kiedy musieli płynąć w otwartych łodziach ratunkowych; wielu z nich trzeba było amputować ręce lub nogi. Kiedyśmy odwiedzali tych ludzi w szpitalach, każdy bez wyjątku wyrażał żal, że nie będzie mógł już więcej służyć królowi i Ojczyźnie.

Jestem w bardzo bliskim kontakcie z członkami związku, a nie spotkałem dotąd wśród nich ani jednego, który by mówił o strachu wobec czekającego nań niebezpieczeństwa; każdy zdaje sobie w pełni sprawę, jak niezbędny jest transport morski dla zabezpieczenia potrzeb ludności i dla dostarczenia ludzi i zapasów armii i flocie..."

Jak poważne niebezpieczeństwo związane było ze służbą w marynarce handlowej — wynika jasno z danych o stratach naszych w czasie wojny. We flocie wojennej, wliczając w to

piechotę morską, lotnictwo morskie i wszelkie inne służby pomocnicze, ogólna liczba oficerów i marynarzy, zabitych lub zmarłych z ran w czasie wojny, wynosiła 22,811. Wliczona jest tu również pokaźna liczba rybaków i marynarzy handlowych, którzy pełnili służbę dla floty i znajdowali się na jej listach płacy. Jeśli doliczyć wszystkich zmarłych z powodu choroby itp. — ogólna liczba wyniesie 34.654 osoby. Natomiast liczba osób, które utraciły życie w naszej marynarce handlowej i rybackiej od 4 sierpnia 1914 do 11 listopada 1918 r. wynosiła 15.313. Straty floty wyniosły więc w czasie wojny 5,41% jej składu — a straty marynarki handlowej około 7,5% jej składu. Służba na statkach handlowych była więc o wiele niebezpieczniejsza, niż na okrętach wojennych.

Ludzie nie zdają sobie na ogół sprawy z tego, jak poważną rolę odegrali rybacy i nasze statki rybackie w eskortowaniu i obronie okrętów handlowych. Korzystaliśmy oczywiście z pomocy wszystkich kontrtorpedowców, jakie mogła do konwojów przydzielić nasza flota wojenna, jak również flota amerykańska; ale zadanie obrony konwojów wykonywały w dużym stopniu uzbrojone barki rybackie. Obrońcy Admiralicji twierdzili niejednokrotnie, że jeśli system konwojów okazał się skuteczny w momencie kiedy został wprowadzony, stało się to tylko dlatego, że przystąpienie Ameryki do wojny pozwoliło nam korzystać z jej torpedowców. Trzeba jednak pamiętać, że pierwsza systematyczna komunikacja przy pomocy konwojów — zorganizowana przez kapitana Hendersona dla transportu węgla do Francji — odbywała się wogóle bez pomocy torpedowców. Niektóre konwoje płynęły bez żadnej eskorty, polegając na wzajemnej pomocy uzbrojonych statków handlowych i na manewrowaniu całą formacją po specjalnie obranej drodze. Przeważnie jednak eskorta składała się z uzbrojonych statków rybackich; kapitan Henderson dysponował ogółem 26 takimi statkami na wszystkich trzech drogach, którymi szły transporty węgla. W „Oficjalnej Historii Wojny" czytamy: „Transport węgla do Francji,

od chwili kiedy odbywał się przy pomocy tego zmodyfikowanego systemu konwojów, ponosił istotnie wyjątkowo małe straty. W ciągu pierwszego kwartału 1917 r., pod osłoną niespełna 30 uzbrojonych statków rybackich, okręty węglowe dokonały ponad 4000 przepraw przez Kanał La Manche".

Nie ulega wątpliwości, wobec tych doświadczeń, że wcześniejsze i pełniejsze wyzyskanie uzbrojonych statków rybackich do eskortowania konwojów uratowałoby znaczną część tonażu okrętowego, zatopionego w r. 1916 i na początku 1917 — zanim wprowadzony został powszechnie system konwojów i zanim flota amerykańska zaczęła współdziałać w ochronie naszego transportu morskiego.

Straty angielskiej marynarki handlowej, które na wiosnę roku 1917 dosięgły takich ogromnych rozmiarów, spadały stale w ciągu roku 1918. W poszczególnych latach wojny straty naszego tonażu okrętowego były następujące:

Rok	Tonaż brutto okrętów angielskich zatopionych przez nieprzyjaciela
1914	252700 ton
1915	885 500 „
1916	1231 900 „
1917	3660 100 „
1918	1632 200 „

Stopniowe zmniejszenie się strat widać lepiej z następujących danych w miesiącach:

Kwiecień r.	1917 r.	526 400	ton	zatopionego	tonażu	brutto
Maj	„	345 300	„	„	„	„
Czerwiec	„	398 800	„	„	„	„
Lipiec	„	359 500	„	„	„	„
Sierpień	„	331 400	„	„	„	„
Wrzesień	„	186 600	„	„	„	„

Październik	„	261 900	„	„	„	„
Listopad	„	175 200	„	„	„	„
Grudzień	„	257 800	„	„	„	„
Styczeń	1918 r.	173 400	„	„	„	„
Luty	„	213 000	„	„	„	„
Marzec	„	199 400	„	„	„	„
Kwiecień	„	214 400	„	„	„	„
Maj	„	179 400	„	„	„	„
Czerwiec	„	143 600	„	„	„	„
Lipiec	„	163 800	„	„	„	„
Sierpień	„	143 900	„	„	„	
Wrzesień	„	129 500	„	„	„	„
Październik	„	56 300	„	„	„	„
Listopad	„	15 300	„	„	„	„

Jednocześnie ze zredukowaniem strat następował wzrost produkcji naszych nowych okrętów. Tonaż angielskich okrętów handlowych, zbudowanych w latach wojny, był następujący:

Rok	Tonaż brutto okrętów nowozbudowanych (o pojemności 100 ton brutto i wyżej)
1914	1.706.000 ton
1915	664.000 „
1916	630.000 „
1917	1.229.000 „
1918	1.579.000 „

Aż do chwili wprowadzenia konwojów straty rosły z miesiąca na miesiąc. A ponieważ z każdym tygodniem Niemcy powiększali liczbę swoich potężnych łodzi nowego typu, z wiosną zaś dzień stawał się coraz dłuższy — były wszelkie podstawy do obaw, że straty będą rosnąć dalej w sposób zatrważający. Zamiast tego jednak, nastąpił ich spadek; po pewnym

czasie cyfry strat stały się mniej więcej równe cyfrom naszych nowych konstrukcyj okrętowych; jeśli zaś chodzi o światową produkcję okrętów, włączając w to wielką produkcję Stanów Zjednoczonych — przekraczała ona znacznie w ostatnim okresie wojny cyfrę strat. Poza tym reorganizacja żeglugi, mająca na celu lepsze wyzyskanie istniejącego tonażu, zaczęła dawać namacalne wyniki i sytuacja poprawiła się bardziej, niż na to wskazywałyby same cyfry posiadanego przez nas tonażu. W drugiej połowie roku 1917 przeciętna miesięczna przywozu towarów do Anglii wynosiła 2 968 000 ton; w okresie zaś od lipca do października 1918 r., z tonażem okrętowym znacznie zredukowanym, przeciętna przywozu wynosiła 3 002 000 ton.

Była to największa, najintensywniejsza i najbardziej doniosła w skutkach walka, jaką Wielka Brytania toczyła na morzu. Brały w niej udział tysiące okrętów — od wielkich pancerników bojowych do najmniejszych łodzi strażniczych, od imponujących transatlantyckich parowców do statków towarowych, zwinnych małych łodzi rybackich i nawet jachtów spacerowych. Walka toczyła się na wszystkich oceanach i na wszystkich szlakach. Nigdy jeszcze doświadczenie, odwaga i wytrwałość marynarzy brytyjskich nie były wystawione na cięższą próbę; i nigdy ich wyższość nie została stwierdzona w sposób tak dobitny. Śmiertelna sieć, mająca omotać armie Koalicji i zdać je na łaskę i niełaskę pruskiego miecza, podarta została w strzępy przez marynarzy brytyjskich.

Stopniowe ujarzmianie niebezpieczeństwa łodzi podwodnych było największym tryumfem Koalicji w r. 1917. Tu w gruncie rzeczy zdecydowany został wynik wojny — front morski bowiem okazał się decydującym skrzydłem gigantycznego pola bitwy, a na froncie tym zwycięstwo odniosła Koalicja, a raczej Anglia. Morze stało się czynnikiem decydującym od chwili, kiedy złamanie nieprzyjaciela wprost, w bitwie, przestało być realną możliwością, chodziło natomiast przede

wszystkim o wyczerpanie jego sił, aby dopiero potem móc przełamać jego opór. Do osłabienia Niemiec prowadziły tylko dwie drogi: osłabienie ich sojuszników lub spowodowanie upadku ducha wśród ich wojsk i ludności. Pierwszej metody nie potrafiliśmy użyć — natomiast Niemcy używały jej z powodzeniem przeciwko nam: nasi sojusznicy załamywali się jeden po drugim. Jeśli jednak chodzi o drugą metodę — w czasie, kiedy Niemcy zadawały naszym sojusznikom straszliwe ciosy, które w końcu zmusiły czterech z pośród nich do zaprzestania walki, długie palce floty brytyjskiej zaciskały się powoli dokoła gardła Niemiec. Na lądzie chodziło wówczas przede wszystkim o to, aby armie nasze wytrzymały nacisk armii wroga, aż nadejdzie chwila wymierzenia decydującego ciosu osłabionemu przeciwnikowi.

Odparcie ataków wojsk koalicyjnych nad Sommą, w okolicy Chemin des Dames i we Flandrii nie dało Niemcom ostatecznego zwycięstwa; nie dało go też pokonanie Rosji i Rumunii. Natomiast odparcie ofenzywy niemieckiej na żeglugę morską Koalicji prowadziło bezpośrednio do katastrofy Niemiec w r. 1918. Niesłychane wysiłki Niemiec, pragnących za wszelką cenę przeprowadzić blokadę Anglii, doznały fiaska już w r. 1917 — dzięki coraz skuteczniejszej obronie naszych okrętów, coraz lepszemu ich wyzyskiwaniu i rosnącej wciąż produkcji nowych jednostek, a także dzięki wzmożeniu przez nas wydajności naszej gleby. Straty Koalicji były wciąż jeszcze poważne, ale pod koniec roku 1917 wiedzieliśmy już, że Niemcy nie zdołają przeprowadzić blokady Anglii. Natomiast blokada, stosowana przez nas wobec Niemiec, podważała stopniowo *morale* niemieckiego narodu. Niemcy jeszcze nie głodowali, ale nie mieli już niektórych niezbędnych składników pożywienia. Odczuwali brak wielu produktów drugorzędnych i większości przedmiotów zbytku. Nawet żołnierze niemieccy w polu zaczynali odczuwać skutki blokady: ich racje żywnościowe były już niższe od racji ich przeciwników. W r. 1917 państwa centralne miały w operacjach na lądzie

przewagę: ale nie uzyskały niczego, co mogłoby dać im ostateczne zwycięstwo. Zostały natomiast pobite na morzu — i to było rzeczą decydującą. Jedyna metoda, przy której pomocy Koalicja mogła kiedykolwiek pobić przeciwnika na lądzie, polegała na rozgromie Austrii i izolowaniu w ten sposób Niemiec. Skoro to nie zostało dokonane — Koalicji pozostawało tylko trzymać się na swych pozycjach, czekając aż blokada dokona swego strasznego dzieła i aż Ameryka przyjdzie z pomocą w ostatecznym złamaniu osłabionego wroga. Generał Pétain był pierwszym wojskowym Koalicji, który rozumiał istotę problemu. W czasie gdy blokada trzymała Niemcy w swym śmiertelnym uścisku, Koalicja miała na lądzie dwa wielkiej wagi zadania: odpierać ataki niemieckie na froncie zachodnim i zorganizować na wschodzie obronę, któraby nie pozwoliła państwom centralnym wedrzeć się do rosyjskich śpichlerzy i złóż naftowych. Państwa centralne były oblężone; rzeczą naszą było odpierać ich wypady, dopóki wyczerpanie zapasów żywności nie zmusi ich do kapitulacji. Na tym polegało istotne znaczenie fiaska, jakiego doznała niemiecka kampania podwodna.

W rozdziałach następnych Autor omawia dalsze kroki, przedsięwzięte w obronie przed kampanią podwodną — mianowicie zbrojenie okrętów handlowych i poddanie kontroli państwowej całego handlu zamorskiego Anglii.

Z ROZDZIAŁU: PERSPEKTYWY MILITARNE NA ROK 1917*).

Element zaskoczenia.

W rozważaniach moich na temat perspektyw kampanii 1917 roku doszedłem do przekonania, że w swoich planach strategicznych sztaby Koalicji nie przywiązują dostatecznej wagi do momentu, który nawet w walkach pozycyjnych odgrywał kilkakrotnie rolę decydującą — mianowicie do momentu zaskoczenia przeciwnika. Można śmiało powiedzieć, że aż do owej chwili żadna ze stron nie osiągnęła nigdzie poważnego sukcesu, jeśli nie zdołała zaskoczyć armii nieprzyjacielskiej nieoczekiwanym uderzeniem albo uderzeniem o nieoczekiwanej sile. Pozostawało to zresztą prawdą aż do końca wojny.

Żadna z bitew Wielkiej Wojny nie była decydująca w tym sensie, aby odrazu zakończyła wojnę definitywnym zwycięstwem jednej albo drugiej strony. Wiele jednak bitew miało decydujący wpływ na przebieg określonych działań wojennych, i można uważać je za punkty zwrotne, od których

*) W rozdziale tym Autor omawia zamiary strategiczne sztabów Koalicji na r. 1917, oparte formalnie na uchwałach konferencji rządów sprzymierzonych, która odbyła się w listopadzie 1916 r. w Paryżu. Konferencja zatwierdziła zasadniczo wnioski przedstawicieli sztabów, którzy obradowali w tym samym czasie w Chantilly. Zdaniem Autora, już w czasie tych narad istotną intencją sztabów było przygotowanie na r. 1917 bezpłodnych akcyi ofenzywnych na froncie zachodnim i zlekceważenie innych teatrów wojny. *(Przyp. tłum.).*

zaczynał się nowy okres wojny. W rezultacie takich bitew jedna ze stron osiągała przewagę nad drugą na jakimś teatrze wojny, albo na pewnej jego części; jedna ze stron uzyskiwała zdobycze terenowe, które można było uważać za poważne w stosunku do poniesionych przez nią strat i wysiłków; często wreszcie — przerywała nawet front przeciwnika i rozbijała łączność jego wojsk. I chociaż bitwy na zachodzie — po pierwszych kilku tygodniach wojny ruchowej — miały charakter zaciętych zapasów między siłami, które posuwały się tylko nieznacznie naprzód i wtył i pozostawały zasadniczo nienaruszone i niezwyciężone, wielkie bitwy toczone na wschodnim i południowo-wschodnim teatrze wojny kończyły się zamętem i rozprzężeniem w szeregach jednej z walczących armij i zmuszeniem jej do beznadziejnego odwrotu.

Jest rzeczą interesującą stwierdzić, jaką rolę odgrywał w tych krytycznych zmaganiach moment zaskoczenia.

Po bitwie nad Marną, kiedy obie strony przyjęły ostatecznie taktykę borsuka, broniącego zaciekle dostępu do swojej nory — sądzono, że nie będzie więcej miejsca na niespodziane posunięcia w wielkim stylu. Siły i zasoby wojsk walczących na każdym odcinku były zawsze znane przeciwnikowi. Ustalone sposoby zbierania informacyj, do których dołączyły się nowe metody obserwacji i wywiadu — rekonesanse lotnicze, wypady do okopów nieprzyjacielskich, badanie jeńców, bardzo rozwinięty system szpiegostwa — wszystko to pozwalało orientować się we wszelkich poruszeniach przeciwnika. Zdawało się zatem, że żadna strona nie może przeprowadzać zamysłów strategicznych, o których odrazu nie dowiedziałby się przeciwnik, mający w ten sposób czas na przygotowanie obrony w granicach rozporządzalnych zasobów militarnych.

Ale chociaż nieoczekiwane uderzenie było w czasie Wielkiej Wojny rzeczą trudną, nie było jednak niemożliwością. Obie strony potrafiły zaskakiwać przeciwnika — co do czasu

i miejsca ataku, rozlokowania własnych sił i rodzaju używanej broni. I rzeczą godną uwagi jest, że najważniejsze zwycięskie operacje wojny odbywały się przeważnie w warunkach, w których jedna strona nie spodziewała się ataku, albo przynajmniej nie była przygotowana na ofenzywę przeciwnika w danym miejscu i czasie, przedsiębraną takimi siłami i przy pomocy takich środków technicznych, jakie właśnie przeciwnik wprowadził do akcji. W wypadkach kiedy jedna ze stron wiedziała dobrze, co może przedsięwziąć druga, i podejmowała wszystkie możliwe dla niej przygotowania do odparcia ataku — walka była bardzo krwawa, ale nie dawała wyraźnych rezultatów: atakujący nie zyskiwali w poważniejszym stopniu na terenie, a strona atakowana nie doznawała żadnej katastrofalnej porażki.

Było wiele takich krwawych bitew, które nie dawały wojskom atakującym żadnych wyraźnych korzyści. Natomiast najbardziej efektowne posunięcia i największe zwycięstwa osiągane były przy pomocy mniejszego lub większego zaskoczenia.

Nie można ukryć przed nieprzyjacielem ruchów wojsk na wielką skalę, ale pomysłowy dowódca może zarządzić przesunięcia poza swoimi liniami w sposób, który zmyli nawet inteligentnego przeciwnika. Jeżeli orientuje się trochę w psychice nieprzyjacielskiego dowódcy — a nie powinien zajmować stanowiska kierowniczego na wojnie nikt, kto nie posiada wielkich talentów psychologicznych — zadanie jego jest dość łatwe. Kiedy dowódcami na zachodnim froncie byli Joffre, Nivelle i Haig, nie trzeba było wielkiego geniuszu, aby przewidzieć koncepcje tych wąskich umysłów. Każdy z nich był stale przekonany, że nieprzyjaciel nie może obejść się bez pomocy jednego swojego batalionu dla obrony linii przed ich ciągłymi i mądrze kierowanymi atakami. Dlatego dramaty Serbii, Rumunii i Caporetto były dla nich niespodzianką. Dla przeprowadzenia tych ataków Niemcy byli w stanie ściągnąć z Francji kilka dywizyj — w chwili kiedy Joffre

i Haig byli przekonani, że prowadzona przez nich ofenzywa doprowadziła armię niemiecką do zupełnego wyczerpania. Można było być zupełnie pewnym, że nie dadzą posłuchu żadnym wieściom, które — gdyby były prawdziwe — zmusiłyby ich do osłabienia własnych armij i oddalały w ten sposób szanse tryumfalnego zwycięstwa, jakie — według ich przekonania — powinno było ukoronować wkrótce ich strategię na Zachodzie.

Zaskoczenie może być więc rezultatem niechęci do przyjmowania nieprzyjemnych ostrzeżeń — to znaczy ostrzeżeń, nie dających się pogodzić z planami głównej kwatery. Klasycznymi przykładami są: postępowanie Joffre'a na początku wojny i potem pod Verdun; obojętność Kitchenera, Robertsona i Joffre'a wobec sprawozdań o ataku armij niemiecko-austriackich i bułgarskich na Serbię w r. 1915; przekonanie Haiga, że Niemcy po Passchendaele są tak osłabieni, iż nie mogą wysłać na front włoski ani jednej dywizji; wreszcie — niezwracanie uwagi przez Pétaina i Haiga w r. 1918 na liczne objawy, świadczące o zbliżającym się ataku Niemców naprzeciw Amiens. W żadnym z tych wypadków ci wielcy dowódcy nie chcieli wierzyć ostrzeżeniom, które się potem sprawdziły.

Przypatrzmy się kilku ilustracjom mojej tezy.

(a) *Marsz Niemców przez Belgię w sierpniu 1914 r.*

Najbardziej może niespodziewany w tym wydarzeniu był fakt, że stanowiło ono dla Francuzów niespodziankę. A jednak Joffre został zaskoczony szerokim oskrzydlającym ruchem od północy, którego Niemcy dokonali przez Belgię, jak również ilością wojsk, które zgromadzili odrazu do swoich pierwszych posunięć na froncie zachodnim. W rezultacie Niemcy mogli iść naprzód niemal bez przeszkód, jeśli nie liczyć archaicznych fortyfikacyj Liège i Namur, które ich ciężka artyleria — również nieoczekiwany cios dla Koalicji —

szybko unicestwiła. Armia von Klucka przeszła przez Belgię w kierunku bardziej północnym, niż przewidywał Joffre, i nie napotkała prawie żadnego oporu po pokonaniu niewielkich sił angielskich. Potem ruszyła ku południowi i o mało co nie wykonała swego zadania — zajęcia Paryża, odcięcia armii francuskiej i zmuszenia Francji do zaprzestania wojny.

Tak więc do wielkiego powodzenia Niemców przyczyniło się kilka momentów, niespodzianych dla przeciwnika. Trzeba dodać, że sztab francuski był od lat w posiadaniu planu strategicznego Niemców i miał wszelkie dane aby przypuszczać, że plan ten będzie wykonany. Wiedział też wszystko o niemieckiej artylerii ciężkiej; niespodzianką była tylko łatwość, z jaką Niemcy ją przerzucali.

(b) *Bitwa nad Marną.*

Pierwsza bitwa nad Marną — nie ustępująca żadnej bitwie Wielkiej Wojny pod względem znaczenia, jakie miała dla dalszego biegu wypadków — sprowadzała się zasadniczo do manewrów strategicznych o charakterze ruchowym, i wynik jej spowodowany był zaskoczeniem przeciwnika. Kto był zwycięzcą z nad Marny? Kiedy zostanie on wezwany przed Sąd Ostateczny dla otrzymania zasłużonej nagrody — na wezwanie stawi się zapewne cała plejada roszczących sobie prawo do tego tytułu. Ale kimkolwiek był zwycięzca czy zwycięzcy — wszyscy komentatorzy godzą się co do faktów, które wyznaczyły wynik bitwy:

(1) Zmiana kierunku i uderzenie 6-tej Armii Francuskiej pod dowództwem Manoury i broniącej Paryża armii gen. Gallieni na prawe skrzydło sił von Klucka. Kluck nie spodziewał się tego ataku i nie był nań przygotowany aż do chwili, kiedy było już za późno.

(2) Osłabienie sił niemieckich przez posłanie dwóch korpusów do Prus Wschodnich dla odparcia ataku Samsonowa — rzeczy również niespodziewanej — oraz przez pozostawienie

dwóch innych korpusów w Belgii, dla ochrony Antwerpii przed armią rosyjską, która przybywała jakoby na Zachód przez Anglię.

(3) Nieoczekiwane pojawienie się silnej i całkowicie zdolnej do boju armii angielskiej, która była uważana za ostatecznie rozbitą i rozproszoną.

(c) *Dardanele.*

Wyprawa ta mogła być uderzeniem nieoczekiwanym. Gdybyśmy wysadzili na ląd desant jednocześnie z bombardowaniem z morza — wiemy dzisiaj, że Turcy zostaliby kompletnie zaskoczeni i że mogliśmy zająć półwysep Gallipoli niemal bez strat. Zamiast tego jednak zadaliśmy sobie wiele trudu, aby przy pomocy efektów akustycznych i pirotechnicznych ostrzec przeciwnika i dać mu wiele czasu na przygotowania do obrony. W rezultacie nie zdobyliśmy Gallipoli.

(d) *Ofenzywa Brusiłowa.*

Ofenzywa, przeprowadzona przez Brusiłowa przeciw Austriakom na początku czerwca 1916 r. była najpomyślniejszą dla Rosjan bitwą, jaką stoczyli w ciągu całej wojny. Nastąpiła ona o miesiąc wcześniej, niż była spodziewana. Brusiłow zaczął przygotowania w dwudziestu przeszło miejscach naraz, tak że nawet dezerterzy nie mogli zdradzić rzeczywistego frontu ofenzywy. Zamiast koncentrować rezerwy w jednym miejscu, rozrzucił je dość szeroko: brak jakiejkolwiek widocznej koncentracji stanowił istotny sekret jego zdumiewającego sukcesu. Austriacy byli w chwili ataku nieprzygotowani do obrony. Od czerwca do sierpnia Rosjanie wzięli do niewoli przeszło 350.000 jeńców, zdobyli prawie 400 dział i 1300 karabinów maszynowych i posunęli się naprzód o 60 mil na froncie długości 200 mil. Gdyby wyposażenie techniczne armii rosyjskiej pozwalało jej na należyte wyzyskanie zwycięstwa — ta nieoczekiwana ofenzywa mogła zadecydować o losach wojny.

(e) *Atak Mackensena pod Gorlicami,* który odrzucił armię rosyjską w r. 1915, i *pokonanie Serbii* w tymże roku stanowią przykłady uderzeń, które były niespodziewane tylko dla tego, że generałowie nie chcieli przyjąć do wiadomości informacyj, niezgodnych z ich koncepcjami. Rosjanom były znane fakty, które powinny były ostrzec ich, że Niemcy planują wielką ofenzywę w kierunku na Gorlice. Ale dowództwo rosyjskie miało własne koncepcje i własne plany, i wobec tego informacje o prawdopodobnej ofenzywie Mackensena zlekceważono. Atak więc, choć należało się go spodziewać, miał taki efekt, jak gdyby był nieoczekiwany.

(f) Tak samo *austro-niemiecko-bułgarska ofenzywa przeciw Serbii* w październiku 1915 r. była niespodzianką strategiczną w tym przynajmniej sensie, że Koalicja pozwoliła się zaskoczyć i nie poczyniła odpowiednich przygotowań obronnych, choć liczne wskazówki pozwalały przewidzieć plany austro-niemieckie, jak również fakt, że Bułgaria chce się przyłączyć do państw centralnych. Ale uwaga generałów była do tego stopnia skoncentrowana na zamierzonym przez nich wielkim uderzeniu we Francji, że nie chcieli widzieć grożącego na Wschodzie niebezpieczeństwa. Kiedy zatem atak nastąpił — był dla nich w gruncie rzeczy niespodzianką.

(g) Do pewnego stopnia przykładem „niespodzianki" tego typu jest *bitwa o Verdun.* W pierwszych swych stadiach atak na forty Verdun był nieoczekiwany dla francuskiego dowództwa — nie dlatego, aby nie miało wskazówek o przygotowaniach niemieckich, ale ponieważ nie godziło się z jego planem zwracać na te wskazówki uwagę. Dlatego atak był początkowo poważnym sukcesem; kiedy jednak przeciągany był tygodniami, przestał być niespodzianką i nie dał atakującym żadnych korzyści.

(h) *Bitwa nad Sommą.*

Bitwa nad Sommą była doskonałym przykładem poinformowania nieprzyjaciela zawczasu o naszych zamiarach: drogi zatłoczone w ciągu całych tygodni maszerującymi kolumnami wojska i ciężkimi działami, przewożonymi na ciężarówkach i gąsienicowych podwoziach; niebo upstrzone chmarami wypatrujących samolotów; liczne balony na uwięzi, unoszące się w powietrzu dokładnie wzdłuż linii przygotowywanego ataku — wszystko miało bardzo wyraźną wymowę. Przypominało to naszą dawną procedurę sporów sądowych, kiedy jedna strona informowała najdokładniej drugą o najdrobniejszych szczegółach swojej skargi, umożliwiając jej równie dokładną obronę. Prowadziło to do długotrwałego i kosztownego postępowania, w rezultacie którego ostateczna decyzja odwlekała się w nieskończoność i obie strony były rujnowane. Nasi generałowie nadawaliby się świetnie na adwokatów w owych czasach. Procedura ta była korzystna dla strony, będącej w posiadaniu spornego obiektu: w tym wypadku w posiadaniu obiektu byli Niemcy — i dlatego te długotrwałe, ostrzegające ich przygotowania były dla nich korzystne.

Atak angielski poprzedzony był ogniem artylerii na olbrzymią skalę — największym jaki kiedykolwiek zastosowano — i przeprowadzony najbardziej doborowymi siłami naszej armii ochotniczej: nie stanowił jednak żadną miarą niespodzianki. Nieprzyjaciel wiedział dokładnie jak, gdzie i kiedy atak nastąpi. Uprzedzony z góry, był też z góry odpowiednio przygotowany. W rezultacie zyski, jakie osiągnęliśmy w pierwszych dniach bitwy, były zupełnie nieznaczne w porównaniu z naszymi potwornymi stratami.

Jednakże w pierwszych stadiach bitwy nad Sommą odegrał też pewną rolę moment zaskoczenia. Pięć dywizyj francuskich atakowało na południe od armii angielskiej: Niemcy spodziewali się ataku angielskiego, ale atak francuski był dla nich nieoczekiwany, i w rezultacie Francuzi posunęli się naprzód z błyskawiczną szybkością, pierwszego zaraz dnia ode-

pchnęli Niemców o pięć mil, a w ciągu pięciu dni wzięli do niewoli 9.000 jeńców i zdobyli 60 dział — przy stratach wynoszących mniej niż 8.000 ludzi.

(i) *Pokonanie Rumunii.*

Ofenzywa, która doprowadziła do szybkiego rozgromienia Rumunii we wrześniu — październiku 1916 r. musi być uważana za jedną z najbardziej zwycięskich kampanij Wielkiej Wojny. Głównymi czynnikami zwycięstwa Niemców były okoliczności następujące:

1) Przypuszczano, że przełęcze w Karpatach są o tej porze roku niedostępne dla artylerii i transportu; przypuszczenie to okazało się fałszywe.

2) Szybkie wypowiedzenie wojny Rumunii przez Bułgarię, po którym nastąpił świetnie przeprowadzony marsz Mackensena przez Dobrudżę — były to posunięcia nieoczekiwane. Spodziewano się, że Bułgaria unikać będzie jawnych działań wojennych przeciw Rumunii, a w każdym razie nie przedsięweźmie ich odrazu — oraz, że siły niemiecko-bułgarskie będą zbyt związane obecnością armii salonickiej, aby móc interweniować.

3) Odpowiedzialne sfery Koalicji zapewniano, że Niemcy są tak osłabieni i wstrząśnięci gwałtownymi atakami nad Sommą, iż nie są w stanie posłać do Rumunii ani jednego batalionu. Było wielką niespodzianką, gdy się okazało, że w najgorętszym momencie walk nad Sommą Niemcy wycofali z frontu zachodniego kilka dywizyj i posłali je Falkenhaynowi, który wkroczył z nimi do Rumunii przez Karpaty.

Przykłady powyższe dowodzą, że wojna pozycyjna i obserwacja lotnicza nie wykluczają elementu zaskoczenia. Sztaby państw sojuszniczych powinny były rozważyć, czy na jakimkolwiek odcinku frontu nie mogą przeprowadzić uderzeń tak samo nieoczekiwanych, jak te, których dokonywali Niem-

cy. Było rzeczą oczywistą, że nieprzyjaciel oczekuje wznowienia ofenzywy na froncie zachodnim w roku 1917, gdyż przygotowywał się bardzo gruntownie do jej odparcia; tymi przygotowaniami tłumaczyć należało wycofanie się Niemców w marcu z wyżyny Sommy na krótszą linię obronną, starannie zawczasu przygotowaną. To cofnięcie się było wielką niespodzianką dla armii Koalicji; unicestwiało ono nasze plany, Niemcom zaś pozwalało wycofać z okopów całe dywizje i nagromadzić za frontem masy wojska, które mogły zapełniać ewentualne luki i stanowić rezerwę dla kontrataku. Jest rzeczą niemożliwą, aby tego rodzaju wielkie operacje dokonane zostały bez wiedzy francuskiej i angielskiej służby wywiadowczej. Samoloty przelatywały przecież ustawicznie nad liniami niemieckimi i zapuszczały się daleko poza nie; jeśli jednak zameldowały one o wznoszonych w ciągu tygodni a nawet miesięcy nowych, potężnych liniach obronnych — sztaby nie przywiązywały najwidoczniej żadnej wagi do tych meldunków. Wygląda na to, jak gdyby obserwacje lotnicze nie przyniosły żadnych wiadomości o wycofywaniu ludzi, dział, amunicji i magazynów — chociaż musiało to zająć Niemcom wiele dni. Biura wywiadu, opracowujące dla sztabów koalicyjnych plany szablonowych ofenzyw, przyzwyczaiły się wierzyć, że na ustabilizowanym froncie zachodnim niemożliwe są z żadnej strony niespodzianki na wielką skalę. My nie potrafiliśmy nigdy wymyślić niczego, co zaskoczyłoby Niemców, dlaczegóż więc przypuszczać, że Niemcy potrafią zaskoczyć nas? Był to jeden z aksjomatów strategii, mocno zakorzenionych w mózgach sztabowców koalicyjnych. Jeżeli w słuszność tego aksjomatu wątpił cywil — znaczyło to, że jest sobie po prostu amatorem; jeżeli wojskowy — uważano go za maniaka, nieszkodliwego tylko w okopach, gdzie myślenie jest naruszeniem dyscypliny. I w ten sposób wszelka niespodzianka na Zachodzie uznana została za wykluczoną.

Dlaczego jednak nie próbowano jej na froncie włoskim? Sztaby zapewniały nas, że i tam jest ona nie do pomyślenia

i że Austriacy wiedzą o zbliżającej się ofenzywie. Prawdopodobnie wiedzieli o niej istotnie, ale spodziewali się ofenzywy dotychczasowego typu — poprzedzonej przez bombardowanie wykutych w granicie pozycyj przy pomocy zupełnie nieodpowiedniej artylerii, posiadającej niedostateczne zapasy amunicji. Sztaby nasze wiedziały doskonale, że taka ofenzywa nie mogła dać nam nic, poza zdobyciem paru kilometrów terenu, który mógł być z łatwością odzyskany przez nieprzyjaciela w przeprowadzonym we właściwym czasie i odpowiednio przygotowanym kontrataku. Taka ofenzywa konwencjonalna mogła oczywiście odegrać swoją rolę z punktu widzenia planu, przyjętego na konferencji w Chantilly: utrzymywała ona pewną liczbę ogromnych dział austriackich w Trentino lub nad Isonzo i w ten sposób nie pozwalała przewieźć ich w Karpaty albo pożyczyć Niemcom we Francji. Ale w ciasnych umysłach francuskich i angielskich sztabowców nie powstała nigdy myśl, że na froncie włoskim możliwa jest ofenzywa, do której Austriacy nie byliby absolutnie przygotowani i która mogła przerwać front nieprzyjaciela, a ewentualnie nawet zadać mu cios decydujący, zanim Niemcy zdołaliby przybyć na pomoc pobitemu sojusznikowi z odpowiednimi siłami. Należy zresztą zaznaczyć że Pétain, Franchet d'Esperey i Micheler sugerowali w marcu tego typu ofenzywę na froncie włoskim, zamiast ataku na Chemin des Dames. Gdyby domagali się energiczniej przyjęcia swojej propozycji i gdyby została ona wprowadzona w życie — można by było, zamiast klęski pod Caporetto, osiągnąć zwycięstwo. Włosi mieli znaczną przewagę liczebną nad Austriakami; gdyby posiadali również odpowiednią przewagę w dziedzinie artylerii i amunicji — Austriacy mogli być pokonani. W każdym razie zostaliby niewątpliwie zaskoczeni; żołnierze ich nie przechodzili na żadnym froncie intensywnego bombardowania, takiego jakie stosowano na froncie zachodnim, i ogień tego typu wytrąciłby ich na dłuższy czas z równowagi; całych tygodni trzeba by było, aby ich uspokoić i opanować. Gdyby Włosi po-

sunęli się naprzód o tyleż kilometrów co Austriacy w swoim nieoczekiwanym ataku w maju 1916 r., albo Niemcy pod Amiens w marcu 1918 r. lub pod Château-Tierry w czerwcu 1918 r. — półwysep Istrii byłby zdobyty i Pola, ze swoją niebezpieczną bazą łodzi podwodnych, odcięta. Gdyby zaś ofenzywa dała Włochom takie zwycięstwo, jakim dla państw centralnych było Caporetto — wojska włoskie dotarłyby do Laibach i dalej, do Zagłębia Węglowego w Carnioli. Dlaczegóż nie można było tego dokonać? Austriacy nie byli lepszymi żołnierzami niż Anglicy, którzy walczyli pod Arras, albo Francuzi, odepchnięci aż do Marny w r. 1918.

Te względy kazały mi, kiedy zostałem premierem, uczynić nową próbę przekonania rządu francuskiego, aby zamiast zamierzonej ofenzywy we Francji przedsięwziął wraz z Włochami wielki kombinowany atak na Austrię. Wiedziałem, że spotkam się z oporem sztabu angielskiego i francuskiego; dla naszych wojskowych lepsza była śmierć (innych żołnierzy) na Zachodzie, niż zwycięstwo (innych generałów) na którymś z pozostałych teatrów wojny. Jedyną nadzieją było przekonanie rządu francuskiego i włoskiego, a następnie wywarcie przez rządy nacisku na sztaby. Wiedziałem, że generałowie potraktują projekt, jako jeszcze jeden przykład amatorskiej arogancji; jednakże, jak już zaznaczyłem, trzej wielcy wodzowie francuscy przekonani zostali w marcu o słuszności tej koncepcji strategicznej, zrodzonej w mózgu amatora.

PSYCHOLOGIA I STRATEGIA.

Kiedy rozmyślałem o konferencji w Rzymie*), miałem nieprzyjemne poczucie, że na strategię Koalicji mają wpływ nie tylko względy natury militarnej. Wydawało mi się że argumenty, wysuwane na konferencji, wiążą się niezbyt ściśle z bronionymi propozycjami. Istotne motywy, które nakazywały poszczególnym obradującym poparcie lub zwalczanie jakiegoś konkretnego planu, nie zostały przez nich ujawnione w toku dyskusji. Doświadczenie życiowe nauczyło mnie, że na ludzi wywierają wpływ nie tyle argumenty, ile motywy ukryte, których się nie ujawnia nigdy w czasie wymiany zdań. Dopiero kiedy nieujawnione impulsy czy przesądy zostaną przezwyciężone, człowiek staje się podatniejszy na argumenty, gdyż wtedy dopiero rozumowanie ma utorowaną drogę. Niechęć oddania do dyspozycji Cadorny dział, przy których pomocy mógłby przeprowadzić potężną ofenzywę, motywowana była na konferencji argumentami zbyt płytkimi, aby mogły być szczere. Jakież więc hamulce działały tutaj naprawdę?

Luigi Villari w swojej świetnej książce „Wojna na froncie włoskim" pisze o przyjęciu, jakiego doznały na kon-

*) Na konferencji tej (w styczniu 1917 r.) przedstawiciele rządów i sztabów Koalicji nie zgodzili się na proponowaną przez Lloyd George'a modyfikację uchwał paryskich z listopada 1916 r. w tym sensie, że zasadniczą akcję ofenzywną na wielką skalę Koalicja miałaby poprowadzić w r. 1917 na froncie włoskim. *(Przyp. tłum.)*

ferencji w Rzymie moje plany wielkiej ofenzywy przeciw Austrii.

„Projekt Lloyd George'a został ostatecznie zaniechany na skutek wrogiego doń stosunku angielskich i francuskich przedstawicieli wojskowych. Nie działały tu jakieś uczucia ambicji osobistej czy narodowej, tylko po prostu starły się ze sobą dwie doktryny wojskowe: Cadorna wierzył w konieczność skoncentrowania wszystkich sił dla pokonania najsłabszego przeciwnika, jego brytyjscy i francuscy koledzy pragnęli skoncentrować wysiłki dla pokonania najsilniejszego."

Naiwne to twierdzenie świadczy o szlachetności autora, ale nie o jego znajomości natury ludzkiej.

Czy rzeczywiście w dyskusjach rzymskich, zwłaszcza na temat ofenzywy włoskiej, nie odgrywały roli motywy i ambicje osobiste, uniemożliwiające wydanie obiektywnego sądu? Czy ludzie na wysokich stanowiskach, które zajmują dzięki zaletom umysłu i charakteru oraz dzięki osiągniętym w życiu rezultatom, nie podlegają zupełnie działaniu tych zakłócających czynników? Dam przykład, zaczerpnięty ze źródeł nieprzyjacielskich. Wódz austriacki, Konrad von Hoetzendorff, był strategiem nadzwyczaj utalentowanym; słyszałem i czytałem zdanie wielu kompetentnych krytyków wojskowych, którzy uważali go za największego stratega wojny. W r. 1916 Hoetzendorff opracował plan ofenzywy, skierowanej od Trentino i mającej na celu zupełne wyeliminowanie Włoch jako strony wojującej: opór włoski miał być złamany przy pomocy przewagi artylerii, wspieranej przez odpowiednie siły piechoty. Była to operacja możliwa do przeprowadzenia. Włochy cierpiały stale na brak artylerii ciężkiego kalibru i miały niedostateczne zapasy amunicji. Poza tym oficerowie włoscy nie mieli jeszcze w tym momencie należytego wyszkolenia i doświadczenia w operowaniu wielkimi masami wojska. Dopóki

armia włoska zajmowała silne i ufortyfikowane pozycje w górach i dopóki nie była zaatakowana znienacka, jej artyleria lekkiego i średniego kalibru wystarczała do obrony linii frontu. Z chwilą jednak, gdyby została zepchnięta na równiny, nie mając czasu na okopanie się, — jej niższość pod względem wyposażenia artyleryjskiego i zdolności manewrowania musiała się obrócić przeciw niej.

Na wiosnę 1916 r. Francja i Anglia wciąż jeszcze ustępowały Niemcom w dziedzinie artylerii ciężkiej, i wobec tego nie mogły — przygotowując wielką ofenzywę na własnym froncie — dostarczyć armii włoskiej wyposażenia technicznego, które pozwoliłoby jej na skuteczne odparcie silnej ofenzywy austro-niemieckiej. Gdyby Niemcy wzmocnili Austriaków, dodając im parę dywizyj i pewną liczbę ciężkich dział, Austriacy dysponowaliby siłami, dostatecznymi do takiej ofenzywy, i nie potrzebowaliby osłabiać swej linii obronnej w Karpatach. Hoetzendorff przedstawił swój projekt Falkenhaynowi, który jednak kategorycznie go odrzucił. Dlaczego? — Gdyż miał swój własny plan: chciał wyeliminować z wojny Francję, rozbijając *morale* jej świetnej armii straszliwym ogniem dział niemieckich pod Verdun. Z chwilą — twierdził — gdy zniszczona zostanie wartość bojowa armii francuskiej, nic nie będzie mogło jej zastąpić. Anglia jest jeszcze niegotowa: jej armia ochotnicza jest niewyszkolona, brak jej jeszcze dział i amunicji. Wiemy dziś wszyscy, jak ogromnie nie doceniał Falkenhayn odporności francuskiego żołnierza; wiemy też, że gdyby Austriacy rozpoczęli swoją ofenzywę w Trentino w marcu lub kwietniu, zamiast w końcu maja — a mogli ją zacząć wówczas, gdyby Niemcy przyszli im z pomocą — Rosjanie nie zdołaliby przeprowadzić słynnej ofenzywy Brusiłowa. Współdziałanie niemieckiej artylerii i doborowych wojsk niemieckich przekształciłoby poważną porażkę włoską w r. 1916 w zupełny pogrom włoskiej armii. Byłoby to coś więcej niż Caporetto, ponieważ uderzenie przecinałoby tyły armii włoskiej nad Isonzo; powodzenie więc tej ofenzywy ozna-

czałoby zupełne rozbicie włoskiego frontu. W roku 1916 państwa sojusznicze nie porozumiały się jeszcze między sobą tak, jak to zostało dokonane w r. 1916, w rezultacie konferencji rzymskiej, — że mianowicie przyślą pośpiesznie wojska do Włoch w razie ofenzywy austro-niemieckiej. To przeoczenie spowodowałoby zwłokę kilku tygodni — decydujących tygodni — w otrzymaniu przez Włochy niezbędnej pomocy. Nawet przybywszy na miejsce, wojska angielskie i francuskie nie dysponowałyby odpowiednią ilością ciężkiej artylerii i nie mogłyby powstrzymać odwrotu zdemoralizowanej armii włoskiej poprzez otwarte równiny Lombardii, ani osłonić jej przed ogniem straszliwych dział, który równał z ziemią forty Verdun. Włochy nie prosiłyby jeszcze o pokój, ale poniosłyby olbrzymie straty w ludziach i w materiale wojennym. Ich zasoby materialne, przy których pomocy mogłyby zapełniać powstałe luki, skoncentrowane były głównie na północy kraju, to jest w rejonach, które w dużym stopniu wpadłyby w ręce nieprzyjaciela; zapanowałoby więc we Włoszech powszechne i głębokie rozczarowanie. Aby przyjść do siebie, potrzebowałyby co najmniej roku; a siłą ofenzywną przestałyby być już do końca wojny. Była to wspaniała koncepcja strategiczna. Dlaczego więc Falkenhayn nie chciał jej wypróbować?

Rozważenie, do jakich następstw osobistych i międzynarodowych prowadziłoby powodzenie tego planu, pomoże nam znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Całkowite fiasko planu było zupełną niemożliwością; należało liczyć co najmniej na jego powodzenie częściowe. Gdyby plan spełnił tylko umiarkowane nadzieje — największe zwycięstwo wojny odniósłby Hoetzendorff, a nie Falkenhayn. Gdyby zniszczenie armii włoskiej w r. 1916 przybliżyło tryumf mocarstw centralnych — bohaterem całego świata niemieckiego zostałby Hoetzendorff, a nie Falkenhayn. Ale z drugiej strony, gdyby ofenzywa Falkenhayna przed Verdun rozbiła armię francuską, nazwisko jego okryłoby się sławą, ja-

ka była udziałem największych wodzów w historii militarnej Niemiec. Rozważmy jednak dalsze jeszcze konsekwencje tych ewentualności. Gdyby armia włoska została rozgromiona, byłoby to dziełem armii austriackiej: wojska niemieckie stanowiłyby ledwo czwartą część ogólnych sił zwycięzców. Prestiż austriackiego oręża zaćmiłby sławę niezwyciężonych legionów pruskich. Walka Austrii i Prus o hegemonię w Niemczech rozstrzygnięta została tylko prowizorycznie w jednej bitwie w r. 1866. Było rzeczą jawnie niepożądaną, aby walory militarne Austrii okazały się wyższe niż Prus. Żaden prawdziwy Prusak nie mógł rozważać spokojnie tego rodzaju możliwości, ani tym bardziej — dopomagać z entuzjazmem do jej urzeczywistnienia; a Falkenhayn był Prusakiem od ostróg do pikielhauby. Zarówno więc z jego osobistego, jak z narodowego punktu widzenia zwycięstwo niemieckie pod Verdun było rzeczą bardziej pożądaną, niż zwycięstwo austriackie w Trentino.

Sam Falkenhayn, podając powody dla których odrzucił projekt Hoetzendorffa, jest niezbyt daleki od przyznania się do tego motywu:

> „Jeśli przejdziemy do zagadnienia, jak postępować wobec marionetek angielskich na kontynencie — Austria domaga się natychmiastowego porachunku z Włochami. Nie możemy jednak przyjąć tej propozycji. Przyjęcie jej byłoby korzystne tylko dla Austro-Węgier i ich widoków na przyszłość, a wcale nie dla perspektyw wojny jako całości.“*)

Czy Falkenhayn przedstawił te rozważania swemu sztabowi? Nie sądzę aby to uczynił. Pewien też jestem, że nigdy nie napisał ani nie wypowiedział wyraźnie swoich istotnych

*) Generał von Falkenhayn, *Sztab Generalny, 1914—1916, i jego krytyczne decyzje*, ss. 215—216.

motywów. Czy przyznał się do nich sam przed sobą? Prawdopodobnie nie; działały wyłącznie w jego podświadomości. A jednak one były korzeniami jego decyzji — korzeniami zbyt głęboko tkwiącymi w gruncie, z którego wyrosły, aby były widoczne nawet dla jego własnych oczu. Używał argumentów wyłącznie strategicznych. Motywy, dla których ofenzywę pod Verdun uważał za bardziej pożądaną od ofenzywy w Trentino, podaje w swojej książce; są one jednak jawnie niewystarczające dla ukształtowania poglądu tak rozumnego człowieka i zdolnego żołnierza. Nie znaczy to, aby Falkenhayn sam uczciwie nie wierzył, że ofenzywa pod Verdun osiągnie cel zamierzony — to jest zniszczenie armii najpotężniejszego z państw sojuszniczych: był szczerze przekonany, że jego plan jest najlepszy. Gdyby mógł się udać — byłby niewątpliwie najlepszy; ale nie było rzeczą prawdopodobną, aby mógł się udać. Falkenhayn nie zważył bezstronnie w swym umyśle wszystkich argumentów *pro i contra;* gdy bowiem człowiek waha się w wyborze między dwiema drogami, a za każdą z nich przemawiają poważne argumenty, wielki wpływ na jego decyzję mają osobiste przesądy i inklinacje. A kiedy jeszcze w grę wchodzi szersza osobowość człowieka, jaką jest patriotyzm — rzadcy zaiste (i niepopularni) są ludzie, umiejący zachować sąd obiektywny.

Falkenhayn nie był człowiekiem mniej uczciwym od innych wodzów obu stron walczących. Patriotyzm jego nie był ani mniej intensywny, ani ciaśniejszy niż patriotyzm Joffre'a, Nivelle'a, Focha, Cadorny, Haiga i Robertsona. Dlaczegóż więc przypuszczać, że w ich decyzjach militarnych motywy osobiste odgrywały mniejszą rolę, niż w decyzjach Falkenhayna?

Zastąpmy tylko Falkenhayna przez Nivelle'a, a Hoetzendorffa przez Cadornę; zamiast Prus wyobraźmy sobie Francję, a zamiast Austrii — Włochy. Analogia będzie wówczas kompletna, i wnioski narzucą się z nieodpartą siłą. Jeśli Nivelle był pewien, że przełamie linie niemieckie, a następnie swy-

mi zwycięskimi wojskami oswobodzi Alzację — dlaczegóż miałby zrezygnować z takiego tryumfu tylko po to, aby umożliwić Cadornie oswobodzenie Triestu? Gdyby, dzięki jego planom, na Francję spadł zaszczyt przełamania w najsilniejszym punkcie największej fortecy wojskowej, jaką kiedykolwiek świat widział — dlaczegóżby Francja miała wyrzec się blasku tej sławy, powiększyć natomiast prestiż armii włoskiej, która w owej fortecy miała dokonać jeszcze większego i rozumniejszego wyłomu?

Postawa Francji wobec Włoch zawierała pewien element, którego nie było w postawie Prus wobec Austrii. Francja uważała samo powstanie zjednoczonych Włoch za wydarzenie bardzo niedawne, w którym rolę decydującą odegrała dzielna armia francuska. Włochy były wciąż jeszcze dla Francji krajem, traktowanym protekcjonalnie — krajem do którego jak gdyby mówiła: „Gdybyśmy nie walczyli i nie przelewali krwi o waszą wolność, bylibyście wciąż jeszcze austriacką prowincją". Mówiąc prywatnie o włoskich żołnierzach i marynarzach, Francuzi nie mogli nigdy powstrzymać się od pewnej ironii. Postawę Francji wobec Włoch charakteryzuje cyniczny komentarz francuskiego polityka, uczyniony w chwili gdy Włochy wahały się, czy przystąpić do Koalicji, czy też sprzedać swą neutralność Austrii za koncesje terytorialne. Zapytany, co Włochy jego zdaniem postanowią, odpowiedział: *Voler au secours du vainqueur*. Znakomite osiągnięcia armii włoskiej, która zdobywała szturmem niemal niezdobyte szczyty górskie, dokonywała cudów sztuki inżynieryjnej, wypierała wroga z umocnionych wąwozów, bronionych przez przeważającą artylerię, i ponosiła ciężkie straty, głównie z powodu niedostatecznego wyposażenia technicznego — wszystko to było we Francji całkowicie ignorowane, a każda wzmianka o tych sprawach spotykała się z szyderstwem i lekceważeniem.

Następujący wyjątek z poufnego raportu, jaki otrzymałem od dobrze poinformowanego urzędnika angielskiego,

przebywającego we Włoszech, w kilka tygodni po konferencji rzymskiej, charakteryzuje tą stronę stosunków francusko-włoskich:

„...Kiedy zastanawiam się nad przyszłością, rzeczą która mnie najbardziej niepokoi w tym kraju są jego stosunki z Francją. Mimo zewnętrznej serdeczności i gromkich słów o bratnich narodach i jedności rasy romańskiej, jest dla mnie rzeczą pewną, że Włosi traktują Francuzów z głęboką nieufnością, Francuzi natomiast Włochów — z głęboką pogardą. Wydawałoby się, że nasza rola, jako sojusznika obu państw, powinna polegać na jednakowym traktowaniu ich i łagodzeniu tych nastrojów; ale nasze zupełnie oczywiste uleganie Francji w takich sprawach, jak pertraktacje co do Azji Mniejszej, polityka grecka i stosunek do Venizelosa, blokada i t. d. prowadzi, obawiam się, do tego że Włosi nie mają wielkiego zaufania do nas — nie tyle co do szczerości i lojalności naszych uczuć, o ile co do rozwagi naszego rządu i jego poczucia proporcji. Nie mogę oprzeć się myśli, że w ich przekonaniu dajemy się przez Francuzów wodzić za nos — i nie jestem pewien, czy do pewnego stopnia nie mają racji. Włosi są tak trzeźwi w sprawach, w których zaangażowane są ich interesy, że muszą — stosując do nas swoje własne kryteria — krytykować naszą skłonność do szlachetnego sentymentalizmu w wypadkach, gdy zasady nie dają się pogodzić z wymaganiami polityki..."

Briand i Thomas, dotychczasowi zwolennicy zaatakowania Niemiec poprzez Austrię, stali się zdecydowanymi i niemal nieprzytomnymi stronnikami ofenzywy na Zachodzie, gdy usłyszeli propozycję, nadającą Włochom główną rolę w zamierzeniach Koalicji na rok 1917. Thomas był ze mną w wielkiej przyjaźni — a jednak wybuchnął wielkim gniewem

na konferencji rzymskiej, gdy omawiano projekt kampanii r. 1917, w którym pierwsze miejsce zajmować miały Włochy.

Opozycji tej nie można było wytłumaczyć całkowicie pragnieniem polityków francuskich, aby nie osłabiać ofenzywy Nivelle'a odciąganiem wojsk na inne fronty. Zarówno Briand jak Thomas dowodzili z wielką elokwencją potrzeby wzmocnienia naszych sił w Salonikach — pod względem stanu liczebnego i artylerii; kiedy jednak zaproponowano takie samo wzmocnienie frontu włoskiego, okazało się, że ofenzywa Nivelle'a nie pozwala na udzielenie takiej pomocy. Zetknąłem się wówczas po raz pierwszy z tą zawistną i butną postawą generałów, polityków i dyplomatów francuskich wobec Włoch; ale nie było to bynajmniej moje ostatnie doświadczenie w tym względzie. Tłumaczy ona i usprawiedliwia w dużym stopniu agresywny i arogancki ton przemówień Mussoliniego w pierwszych latach jego rządów. Trzeba sprawiedliwie przyznać, że Francuzi byli gotowi natychmiast pospieszyć z pomocą Włochom, gdy zostali oni pobici przez Austriaków pod Caporetto: to bowiem godziło się zupełnie z historyczną rolą Francji wobec Włoch. Kiedy jednak chodziło o to, aby Włochy wkroczyły pierwsze do świątyni zwycięstwa i pierwsze ozdobiły swą skroń wieńcem laurowym — takiej perspektywy nie mógł znieść spokojnie żaden francuski patriota, a wszyscy Francuzi są patriotami. Lepiej było — w ich przekonaniu — zdecydować się na niepewną co do wyniku, ale może zwycięską bitwę we Francji, niż na pewny sukces i prawdopodobny tryumf we Włoszech.

Robertson był w nieco innej sytuacji niż Nivelle. Nie istniały żadne względy, dla których miałby faworyzować raczej Nivelle'a niż Cadornę; obaj byli cudzoziemcami, a zatym na obu trzeba było dawać pilne baczenie. Chroniczna ksenofobia Robertsona działała pod tym względem z zupełną bezstronnością. Nivelle'a wyraźnie nie lubił, Cadornę zaś traktował w owym czasie z pewną pogardliwą wyższością. Ale

główne siły angielskie znajdowały się we Francji — i wobec tego Robertson uważał pewne zdobycze terenowe na tym froncie (najlepiej we Flandrii) za ważniejsze, niż decydujące nawet posunięcia gdzieindziej.

Później Robertson motywował swoją opozycję wobec projektu kombinowanej ofenzywy na froncie włoskim tym, że jeśli Austria zostałaby w wyniku takiej ofenzywy rozgromiona, Włochy zawarłyby z pobitym wrogiem oddzielny pokój, zostawiając nas na koszu z Niemcami i Austrią na karku. Była to nieuzasadniona i niegodna insynuacja w stosunku do tego wielkiego narodu; ale samo powstanie tej koncepcji w umyśle Robertsona wskazuje, że nie wykluczał możliwości zwycięstwa na włoskim froncie.

Sztaby francuski i angielski sprzeciwiały się kierowaniu najsilniejszych uderzeń w najsłabszy punkt przeciwnika, twierdząc że zasady strategii wymagają ataku na najsilniejszego wroga i to na najbardziej przezeń umocnionych odcinkach frontu. Zadziwiająca doktryna! Gdyby Francja i Flandria stanowiły we froncie nieprzyjaciela odcinek najsłabszy, a Włochy i Bałkany najsilniejszy — Joffre, Nivelle, Haig i Robertson przystosowaliby bez trudu swoje zasady strategii do wymagań sytuacji. W tym wypadku kpiliby sobie napewno z pomysłu, że trzeba bić w najsilniejsze miejsce wroga.

GENERAŁ JOFFRE.

Zmiana w naczelnym dowództwie francuskim nie spowodowała zasadniczej zmiany metod strategicznych; zmieniły się tylko nazwy wsi francuskich, na których terenie ta sama stara strategia miała być dalej kontynuowana. Kiedy stanąłem na czele rządu angielskiego, Joffre był najwyraźniej bliski upadku. Przed dwa i pół roku był faktycznym dyktatorem Francji. Rząd wykonywał tylko —a raczej dawał mu środki do wykonania — dekretów, które wydawał ze swej Kwatery Głównej. Joffre nie tolerował żadnej ingerencji ani kontroli cywilów w sprawie metod prowadzenia wojny. Wystarczała groźba rezygnacji z jego strony, aby uspokoić sceptycznych polityków i dziennikarzy i uciszyć wszelkie narzekania. Joffre uważał, że zadaniem każdego ze zmieniających się rządów francuskich jest wyłącznie dostarczanie ludzi, sprzętu wojennego i zapasów, umożliwiających przeprowadzenie działań, które on, Wódz Naczelny, zadecydował. Na tym funkcje rządu kończyły się. A ponieważ wszystkie siły Francji ześrodkowane były w walce z najeźdźcą, Joffre rządził faktycznie krajem. Arogancja, z jaką potraktował ludzi, którzy ostrzegli go o zbliżającym się ataku na Verdun, podważyła jego autorytet i zachwiała tronem, na którym siedział. Autorytet ten osłabł jeszcze bardziej na skutek rozczarowania, wywołanego przez krwawe fiasko ofenzywy nad Sommą, która nie osiągnęła zamierzonego celu. Nieprzedsięwzięcie przezeń żadnych kroków pomocy dla Rumunii, zagrożonej przez mocarstwa centralne, pozbawiło go resztki prestiżu. Jak podkreśla Ludendorff, Koalicja wzywała Rumunię

do przyłączenia się do niej, ale „nie ustalono żadnego planu współpracy"; i chociaż generałowie angielscy zawinili tu tyleż co Joffre, on jeden odpowiedzialny był wobec opinii francuskiej. W rezultacie w Anglii nastąpił upadek rządu, we Francji potępiano powszechnie Naczelnego Wodza; mimo wysiłków Brianda, który starał się go osłaniać, pozbawiano go stopniowo władzy, i 12 grudnia 1916 r. ustąpił ze swego stanowiska.

Ponieważ Joffre był w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za strategię państw sojuszniczych w ciągu pierwszych trzech lat wojny — jego poglądy decydowały również o strategii armii brytyjskiej — chciałbym podać tutaj moją ocenę jego wad i zalet. Nikt, kto się z nim zetknął, nie mógł mieć wątpliwości, że jest to człowiek bardzo wybitny. W wyglądzie i w usposobieniu miał coś z chłopa: był silnie zbudowany, odważny i bezwzględny, opanowany i uparty, zręczny a nawet przebiegły. Gdyby jego zalety intelektualne dorównywały walorom moralnym, byłby bez wątpienia najwybitniejszą postacią wojny. Jego patriotyzm, prawość, siła woli i poczucie obowiązku były bez zarzutu. A jednocześnie był to człowiek o pospolitym umyśle; miał nieograniczoną pewność siebie, ale ograniczoną inteligencję. Pierwsza cecha dawała mu spokój i opanowanie w niebezpieczeństwie, druga natomiast pozbawiała go szerokości poglądów i wyobraźni, niezbędnej na niesłychanie odpowiedzialnym stanowisku, jakie zajmował. Miał do rozwiązania problemat militarny o wiele większy niż te wszystkie, z jakimi miał do czynienia Napoleon, a rozwiązywać go musiał umysłem jakiegoś Wellingtona czy Granta w pośledniejszym wydaniu. Podobnie jak oni, był świetnie wyszkolonym i zdolnym zawodowym żołnierzem; jak oni, uparcie dążył w walce do postawionych sobie celów i znał się na taktyce wojskowej — i gdyby miał do dyspozycji niewyczerpane zasoby, mógłby, jak oni, doprowadzić w końcu do porażki przeciwnika. Ale umysł jego — tak

jak umysł jego partnera, Haiga — pracował dobrze, podobnie jak pierwsze czołgi, tylko wobec ograniczonego zadania, kiedy cel był określony i dobrze widoczny. Z chwilą gdy cel ten został osiągnięty, obaj musieli zastanawiać się na nowo nad następnym posunięciem. Kiedy mieli do czynienia z czymś bardziej odległym i mniej widocznym — coś się w nich psuło; intelekt ich był niedość potężny i niedość sprawnie funkcjonujący do tego rodzaju zadań.

Kiedy zasoby — w ludziach, materiale i pomysłowości intelektualnej — nie są zbyt wielkie, uparte trzymanie się kosztownej i marnotrawnej taktyki może doprowadzić do katastrofy. To właśnie przygasiło na jakiś czas gorący patriotyzm Francji w r. 1917; to ostatecznie złamało ducha armii rosyjskiej, i omal nie zdemoralizowało wojsk angielskich w r. 1917. Koncepcje Joffre'a, które kształtowały strategię Koalicji w ciągu czterech lat (bo i za plan kampanii 1917 r. Joffre ponosił współodpowiedzialność), oparte były na szczerej i zabobonnej wierze w magiczną siłę „planu", choćby plan ten nie był wcale przystosowany do zmienionych okoliczności i nie brał ich zupełnie pod uwagę. Obmyślony starannie plan kampanii jest oczywiście rzeczą konieczną; ale dla Joffre'a plan oznaczał coś, czego należało się trzymać za wszelką cenę, niezależnie od warunków i okoliczności. Uparta wola, będąca na usługach giętkiego i płodnego umysłu, jest rzeczą nieocenioną we wszelkim wielkim przedsięwzięciu; jeśli się jednak łączy z umysłowością wąską i sztywną — musi nieuchronnie prowadzić do wielkich błędów. Potykając się o nowe fakty, wpada zawsze w jakąś niedostrzeżoną pułapkę. Plan jest nieomylny tylko w wypadku, jeśli nieprzyjaciel chce się doń całkowicie dostosować; ale nie zawsze tak bywa. Z perfidią, którą generał Joffre powinien był przewidzieć w tak zdradzieckim wrogu, Niemcy odmawiali zawsze odegrania roli, jaką plan im przeznaczał. Generałowie koalicyjni popełniali błąd bardzo pospolity—zakładali mianowicie, że inteligencja przeciwnika równa jest ich własnej; w rzeczywistości

jednak zdarzało się, że przeciwnik był pod tym względem górą.

Plan Joffre'a przeciwdziałania inwazji niemieckiej w roku 1914 oparty był na przypuszczeniu, że nawet jeśli Niemcy naruszą neutralność Belgii — maszerować będą przez Ardeny, a nie przez terytoria położone dalej na zachód. Błąd ten nie byłby jeszcze niczym tragicznym, gdyby Joffre przystosował swój plan do posunięcia, którego nie przewidział. Ale cóż wtedy zostałoby z wielkiego planu? Niepodobna było przecież wyrzucać odrazu całego, zdawna obmyślonego projektu obrony, tylko na skutek jakichś kapryśnych, przypadkowych okoliczności! Nawet kiedy okazało się, że Niemcy chcą otoczyć armię francuską i angielską, kierując swoje wojska na Maubeuge, nie należało bynajmniej wyrzekać się planu. W rezultacie — wielka porażka i przeszło czteroletnia okupacja północno-zachodnich prowincyj francuskich. W ciągu całych trzech lat wojny Joffre przeprowadzał z uporem swoje ofenzywy, choć każdy inteligentny żołnierz oddawna widział, że nie dają one nic prócz strat, które pozbawiają stopniowo armię francuską jej najlepszych oficerów i żołnierzy. Poświęcił Bałkany na rzecz jednej ze swoich szablonowych ofenzyw, ponieważ uparcie nie chciał przerwać ataku, który był całkowitym fiaskiem. Był najlepszym wzorem owych bożków wojskowych, których narody oKalicji czciły z takim oddaniem, choć cierpiały tak bardzo na skutek ich nieudolności — owych generałów, których porażki nie uczyły nigdy niczego, poza przygotowaniami do nowych, jeszcze krwawszych porażek.

Joffre, Haig i Robertson byli do siebie pod wielu względami podobni; i chociaż Joffre był z pośród nich człowiekiem najwybitniejszym i miał największe doświadczenie w operowaniu wielkimi masami żołnierzy—jednak wszyscy trzej mieli naogół te same zalety i te same defekty. Byli szczerymi patriotami: pod tym względem nie wyróżniali się niczym z pośród milionów swoich rodaków; w samej tylko Anglii ponad 4 miliony młodych ludzi zgłosiło się dobrowolnie, aby ryzykować

zdrowie i życie w służbie dla kraju, nie mając w perspektywie żadnych szarż ani odznaczeń. Byli pilnymi pracownikami, spełniającymi uczciwie swój obowiązek tak jak go rozumieli: to także, na szczęście dla ludzkości, jest cechą pospolitą—posiada ją większość pracowników we wszystkich dziedzinach, do których Bogu podobało się ich powołać. Byli też, w swoim zawodzie, ludźmi wiedzy, zdobytej długimi studiami i pewnym niewielkim doświadczeniem. Pod tym względem ustępowali rzemieślnikom i zawodowcom we wszelkich innych dziedzinach, gdyż doświadczenie ich było aż do wojny — szczęściem dla ludzkości — bardzo ograniczone: żaden z nich nie brał udziału w wojnie nowoczesnej, ani nawet nie widział takiej wojny. To doświadczenie, które mieli, było bardzo nieprzewietrzane, i zupełnie nie dawało się zastosować do zadania, jakie przypadło im w udziale. Patriotyzm, uczciwość, pracowitość, wykształcenie i pewna doza doświadczenia — wszystko to były cechy niezbędne na stanowisku, jakie zajmowali, ale bynajmniej nie wyczerpywały tego, co powinni posiadać wodzowie w tak olbrzymich zapasach. Inicjatywa, pomysłowość, giętkość, wyobraźnia, umiejętność korzystania z doświadczeń i odwaga przyznawania się do błędów, zamiast uporczywego trwania w nich — oto czego brakowało w bardzo poważnym stopniu tym czcigodnym ludziom, i świat dziś jeszcze cierpi na skutek ich braków.

Francuscy politycy zdawali sobie już od dłuższego czasu sprawę z wad Joffre'a. Istniały precedensy historyczne, które powinny były skłonić ich do szybszej decyzji w pozbyciu się go. Rewolucję francuską uratowała szybkość, z jaką usuwano nieudolnych generałów. W Wielkiej Wojnie natomiast sojusznicy przegrywali dziewięć bitew na dziesięć na skutek powolności i niechęci do usuwania ludzi nieudolnych i nieodpowiednich. Sam Joffre dał doskonały przykład, jak trzeba postępować z generałami, którzy nie dorośli do swego zadania, kiedy pousuwał całe ich masy po wielkim odwrocie. Pozbył

się ich jednak, zanim osiągnęli jakąkolwiek reputację w oczach publiczności.

Podobnie jak społeczeństwo angielskie w stosunku do Kitchenera, społeczeństwo francuskie — nie wyłączając wojskowych — zachowało wiarę w Joffre'a jeszcze wtedy, kiedy ludzie stykający się z nim na terenie fachowym oddawna już nie mieli złudzeń co do jego kwalifikacyj. Jego zdecydowanie i pewność siebie budziły zaufanie — tego bowiem szukają zawsze ludzie, udręczeni spadającymi na nich ciosami: skłonni są błędnie sądzić, że energiczny podbródek oznacza inteligencję. A wielcy generałowie, dyktatorzy i zabijaki mają zawsze zdecydowanie i ponurą zaciętość, która budzi zaufanie zwolenników. Dlatego Joffre był postacią popularną.

Dlaczego go nie usunęli? Zwycięstwo nad Marną uratowało go od konsekwencyj jego największego błędu; na skutek tego tryumfu, zamiast kary spotkały go najwyższe zaszczyty. Potym jednak nastąpiła długa seria wielkich niepowodzeń, które w myśl wszelkich kryteriów historii militarnej należało uznać za krwawe porażki. Dlaczego nie usunęli go wtedy?

Czy był jednak wówczas ktoś, kto wykazał większe kwalifikacje na wodza i kto mógłby go zastąpić? Foch współodpowiedzialny był za większość niepowodzeń Joffre'a od Artois aż do Sommy i wobec tego nie wchodził w grę jako ewentualny następca. Poza tym, zarówno on jak Castelnau byli zdecydowanymi i żarliwymi katolikami, a wiara ta stała się we Francji — na skutek podejrzliwości, zrodzonej z gorzkich wspomnień — dyskwalifikacją, jeśli chodziło o stanowisko Naczelnego Wodza. Z pośród generałów francuskich Pétain, Mangin i Franchet d'Esperey mogli wykazać się sukcesami, ale żaden z nich nie dał dotąd dowodów tych wielkich zdolności, jakimi musi odznaczać się wódz w wojnie światowej. Sam Joffre wskazał na Nivelle'a, jako na swego zastępcę, kiedy zdał sobie sprawę że nie utrzyma w swych rękach dowódz-

twa armii francuskiej w polu. I Joffre otrzymał buławę Marszałka Francji, którą zawiesił sobie w salonie swojej willi paryskiej — a miejsce jego zajął Nivelle.

OFENZYWA NIVELLE'A.

Z Rosją czy bez Rosji, sojusznicy zachodni musieli walczyć dalej aż do chwili, w której możliwe byłoby osiągnięcie honorowego pokoju. Kłopoty więc wewnętrzne Rosji nie zakłócały ani nie opóźniały przygotowań do wznowienia walki na froncie zachodnim. Wprowadzono dokładnie w życie plan opracowany na konferencji w Chantilly, jak gdyby nie zaszło nic, coby skłaniało do zmiany ówczesnych kalkulacyj. Wszyscy wodzowie w polu, jak również wszyscy wojskowi doradcy rządów przyjmowali, że armia rosyjska odegra wyznaczoną jej w planie rolę, może nawet z nową, większą energią. Jeden Castelnau wypowiadał co do tego wątpliwości, ale nie włączył ich do swego oficjalnego sprawozdania .

Wielu spodziewało się, że z odejściem Joffre'a nastąpi zaniechanie marnotrawnych metod strategicznych,które polegały na rzucaniu mas wojska przeciw ogromnym labiryntom okopów, najeżonych karabinami maszynowymi i bronionych przez najpotężniejszą artylerię i najlepiej wyszkoloną piechotę — w nadziei, że któraś część atakujących zdoła jakoś przedrzeć się przez linie nieprzyjaciela.

Następca Joffre'a, generał Nivelle, miał opinię dobrego żołnierza, który w ciężkiej walce o Verdun odznaczył się rozumnym, zręcznym i udanym prowadzeniem operacyj. O jego kwalifikacjach jako stratega na szerszą skalę nic nie było wiadomo. Ale jego osiągnięcia pod Verdun oraz jego wysoki poziom intelektualny kazały nam się spodziewać, że nastąpi świeże spojrzenie na całokształt frontów wojennych ze strony świeżego umysłu, niezwiązanego dawniejszymi decyzjami czy

tradycjami. Myśleliśmy że w murze obronnym, wzniesionym przez państwa centralne, uda się znaleźć jakiś odcinek mniej niedostępny od tego bastionu, którego nie udało się dotąd osłabić ani zburzyć najsilniejszym armiom i najpotężniejszym maszynom wojennym Koalicji. Jednakże nadzieje nasze zostały zawiedzione. Nic nie wskazuje na to, że generał Nivelle interesował się jakimkolwiek frontem poza tym, na którym dowodził. Na nieszczęście rząd francuski, zamiast powierzyć mu kierownictwo całej wojny — które faktycznie należało do Joffre'a — powierzył mu tylko dowództwo armij francuskich, operujących we Francji. Położenie i operacje na innych frontach nie należały już do niego. Kiedy mu proponowano, aby rozpatrzył i te sprawy, krótko i kategorycznie odmówił wszelkiego angażowania się w dyskusję na ten temat. Nie była to jego sprawa i obchodziła go tylko o tyle, że operacje na innych teatrach wojny mogły pociągać za sobą uszczuplenie zasobów, którymi rozporządzał na swoim froncie. Uważał więc, że trzeba przeciwstawiać się wszelkim planom strategicznym, które wymagały odciągnięcia z frontu zachodniego ludzi i artylerii. Egoizmu, ukrytego za mundurem generalskim, nie da się przekonać żadnymi argumentami. Wojna jest tam, gdzie dowodzi Wódz Naczelny; wszelkie inne fronty i terytoria — to zjawiska drugorzędne. Jak to zaślepienie doprowadziło armię francuską w r. 1917 na skraj ostatecznej katastrofy, a najlepszym siłom brytyjskim wykopało grób błotnisty — o tym opowiem szczegółowo później. Kiedy jednak powstała kwestia zrewidowania taktyki, ustalonej na konferencji w Chantilly — Nivelle zgodził się na to bardzo chętnie. Trzeba było usprawiedliwić zmianę dowództwa; a jak inaczej można to było osiągnąć?

Trzeba oddać Nivelle'owi sprawiedliwość, że miał pewne nowe koncepcje, które wyzyskali jego następcy i przeciwnicy w późniejszym stadium wojny. On jednak sam nie zdołał wprowadzić ich w życie — na skutek okoliczności, za które nie był wyłącznie odpowiedzialny. W rezultacie rzeź konty-

nuowana była dalej — przy pomocy metody uderzania głową o mur, stosowanej przez poprzednika Nivelle'a. Zmienił się tylko teren rzezi; morze krwi przeniesione zostało z płaskowzgórza Sommy do Chemin des Dames. To był faktycznie jedyny efekt zastąpienia Joffre'a przez Nivelle'a.

Jak się to stało, że sojusznicy stoczyli się z powrotem w wyżłobione dawniej krwawe koleiny? Mam zamiar opowiedzieć całą historię, nie zwracając uwagi na następstwa, jakie może ona mieć dla reputacji zamieszanych w nią polityków i wojskowych — ze mną włącznie. Czas najwyższy aby wszystkie fakty dotyczące ofenzywy Nivelle'a i bitwy pod Passchendaele, opowiedziane zostały wiernie i bez upiększeń, mogących być w czyimkolwiek interesie.

„Obejście" nieprzyjaciela na Wschodzie było na razie zupełnie niemożliwe. Mówiłem już, że operacja na Bałkanach w ciągu tego roku nie wchodziła w rachubę; droga przez Włochy została również zamknięta. Brak zdecydowania Cadorny i słabość rządu włoskiego umożliwiły Francuzom zamknięcie tej drogi z największą łatwością. Inna jeszcze okoliczność spowodowała nawrót zachodniej gorączki ofenzywnej. Aż do grudnia w armii francuskiej i wśród ludności Francji — a było to jedno i to samo, gdyż każda prawie rodzina miała swego przedstawiciela w armii — panowała zupełna niewiara w możność przedarcia się przez front nieprzyjacielski we Francji. Żołnierze francuscy, którzy bronili się w lejach od pocisków pod Verdun, albo w ruinach jego uszkodzonych fortów, jak również żołnierze, którzy brali udział w ataku na błota ciągnące się nad Sommą — wiedzieli że niesłychanej odwadze atakujących przeciwstawia się niemniejsza odwaga obrońców, i że ani Niemcy ani Francuzi nie mogą zdobyć okopów przeciwnika — nawet zburzonych bombardowaniem — tak szybko, aby w międzyczasie nie powstawała przed nimi druga linia obrony, równie trudna do zdobycia. Gdyby Joffre pozostał na czele armii, wątpię czy jakikolwiek rząd francuski zgodziłby się na drugą kampanię

nad Sommą, i czy zgodziłby się na to naród. Joffre który miał wyczucie nastroju swoich rodaków, zdawał sobie z tego całkowicie sprawę i zakomunikował tę swoją opinię Haigowi, chąc go skłonić, aby armia angielska wzięła na siebie w ofenzywie 1917 roku trudniejsze i bardziej krwawe zadanie. Haig, który stał się fanatykiem Sommy, chętnie zgodził się na to. Miał do dyspozycji wspaniałą armię wyszkolonych ochotników — kwiat młodzieży angielskiej; miał też poważne ilości dział najnowszych modeli. Tak doszła do skutku umowa, zawarta w Chantilly.

W tym momencie nastąpiła jedna z owych nagłych zmian, częstszych u Francuzów niż u ich flegmatycznych sąsiadów z za Kanału La Manche: Joffre odszedł, na jego miejsce przyszedł Nivelle, który od pięciu miesięcy bronił z powodzeniem wzgórz otaczających Verdun. To samo już uczyniło go drogim sercu każdego Francuza i każdej Francuzki. Anglikom trudno jest uświadomić sobie, co oznaczała bitwa o Verdun dla Francji. Przez dziesięć miesięcy — od lutowych mgieł do grudniowych śniegów — Teuton i Gall toczyli ze sobą na tych wyżynach walkę, która była dalszym ciągiem nienawiści rasowej, istniejącej od tysięcy lat. Przez dziesięć miesięcy skondensowana nienawiść stuleci szalała tutaj, zabijając i siejąc zniszczenie, w jednej nieustającej bitwie, która nie ma w sobie równej w annałach ludzkiego barbarzyństwa. Droga po której szły posiłki, działa i pociski na obronę Verdun jest po dziś dzień dla Francuzów *Via Sacra* ich ojczyzny.

Generał, który przeprowadził organizację tej obrony i z powodzeniem nią kierował, budzić musiał szczególnie gorące uczucia i podziw swych rodaków. Nowy blask i nowe nadzieje złączyły się z jego nazwiskiem pod wpływem niedawnego epizodu, który stworzył mu opinię generała, zdolnego nie tylko do uporczywej obrony, ale i do zręcznej ofenzywy. Przypisywano mu mianowicie mądry plan, w rezultacie którego jednym dramatycznym uderzeniem Francuzi odebrali Niemcom fort Douaumont. Upadek tego fortu w lu-

tym wywołał głębokie echo we Francji. Niemcy zdobyli fortecę, która była cudem sztuki inżynierskiej, z której Francuzi byli dumni i którą uważali za niezdobytą. Człowiek więc, który odebrał Douaumont z powrotem, musiał być bohaterem. Zdobycie Douaumont stanowiło *coup de main*, ale było także rezultatem planu, dokładnie przemyślanego i wykonanego we wszystkich szczegółach. Zaś w trzy dni niespełna po mianowaniu go Wodzem Naczelnym, Nivelle przeprowadził pod Verdun drugi, równie dobrze pomyślany atak, zaskakując przeciwnika krótkim ale skoncentrowanym przygotowaniem artyleryjskim i pchając zaraz potym masy piechoty, osłaniane skutecznym ogniem zaporowym. W ciągu 48 godzin wojska francuskie posunęły się poważnie naprzód i wzięły 11.000 jeńców. Sama liczba wziętych jeńców przewyższała całkowitą liczbę strat, poniesionych przez Francuzów w tym zwycięskim ataku. Oto był nareszcie długo oczekiwany przez krwawiącą Francję wódz — umiejący wygrywać bitwy, a jednocześnie chronić życie swoich żołnierzy.

Wobec późniejszego stosunku sir Wiliama Robertsona do Nivelle'a, jest rzeczą ciekawą podać tutaj jego raport, przedłożony rządowi angielskiemu na temat pomyślnych operacyj z dnia 16 grudnia 1916 roku — wraz z komentarzami Robertsona o strategii tego ataku:

21 grudnia 1916 r.

„Atak francuski pod Verdun był jak się zdaje zupełną niespodzianką dla Niemców. Przez cały prawie poprzedzający tydzień trwał silny ogień artyleryjski na obu brzegach Mozy, co prawdopodobnie zmyliło nieprzyjaciela co do miejsca ataku. W rezultacie szybkiego zdobycia Côte de Poivre znacznym siłom nieprzyjacielskim został odcięty odwrót... Straty nieprzyjaciela, niezależnie od żołnierzy wziętych do niewoli, były prawdopodobnie nadzwyczaj wielkie. Siły walczące po obu stronach były mniej więcej równe... Zarówno 24-go paź-

dziernika, jak 15-go grudnia pod Verdun, nieprzyjaciel został zaskoczony i opór jego łatwo przełamany przy po mocy sił, równych niemieckim albo nawet niższych od nich, przy czym wzięto niezwykłą ilość jeńców i dział. W ataku z 15 grudnia Francuzi wzięli do niewoli około jednej trzeciej ogólnej liczby walczących żołnierzy nieprzyjacielskich; takiego stosunku nie udało się osiągnąć nawet w przybliżeniu żadnej ze stron od początku obecnych walk na froncie zachodnim...

Sukces Francuzów pokazuje raz jeszcze, co można osiągnąć małym kosztem, i nawet stosunkowo nieznacznymi siłami, jeżeli atak jest dokładnie przygotowany i zorganizowany, *i zwłaszcza jeżeli przedsięwzięte zostały kroki dla zaskoczenia przeciwnika.* W tym wypadku Niemcy musieli wnosić o zbliżającym się ataku z przygotowania artyleryjskiego, ale zaskoczenie osiągnięto, atakując w sposób odmienny; bombardowanie odbywało się na znacznie szerszym froncie, niż odcinek wybrany do ataku, na tym odcinku intensywne bombardowanie zaczęło się przed świtem, a kolumny piechoty ruszły do ataku wcześniej, niż się tego spodziewał nieprzyjaciel...

Prasa pisze dużo o „metodzie Nivelle'a", którą stawia czasem wyżej od taktyki angielskiej nad Sommą. Tak zwana „metoda Nivelle'a" polega przede wszystkim na bardzo starannym przygotowaniu artyleryjskim, oraz na pewnym systemie ognia zaporowego artylerii, którego jedna linia porusza się naprzód tuż przed frontem atakującej piechoty. Niezbędnym warunkiem powodzenia tej metody jest, aby piechota miała całkowite zaufanie do dokładności ognia artylerii..."

Te dwa imponujące zwycięstwa wywołały radość i wzbudziły nadzieje w całej Francji; ale największe wrażenie wy-

warł na Francuzów fakt, że dzięki szybkości swoich ataków i zaskoczeniu nimi przeciwnika Nivelle osiągnął te tryumfy przy niewielkich stratach. Kraj, pogrążony w głębokiej i mrocznej żałobie po straszliwych rzeziach Artois, Szampanii i Sommy witał nowego wodza, jak wybawiciela. Powszechna radość dochodziła do egzaltacji, i opinia francuska gotowa była powitać każdy projekt, opracowany przez takiego generała. Kiedy więc rozeszły się — usilnie szerzone — pogłoski, że Nivelle ma nowy plan i nową metodę przedarcia się przez szańce niemieckie i wypędzenia znienawidzonego najeźdźcy z ziemi francuskiej — żądanie, aby plan ten natychmiast wprowadzić w życie, stało się żądaniem nie do odparcia. Zauważyłem już tę zmianę pod koniec grudnia, kiedy na konferencji londyńskiej spokałem się z ostrożnym zazwyczaj Ribot. Gdy w parę dni później jechałem z delegacją francuską do Rzymu, stwierdziłem że nastrój ten udzielił się już również Briandowi i Thomasowi, którzy do tej chwili byli zawsze zdecydowanymi zwolennikami atakowania najsłabszego miejsca przeciwnika. Obydwaj mówili zawsze z ironią o oczekiwaniu sztabów, które zawsze uważały, że „tym razem przerwanie frontu przeciwnika nastąpi niewątpliwie". Z tych względów byłem zdziwiony zmianą, jaka nastąpiła w ich postawie—teraz bowiem występowali jako gorący zwolennicy wielkiej ofenzywy na froncie zachodnim, mającej na celu przedarcie się przez linie niemieckie. Z przemówienia Brianda na konferencji rzymskiej wynikało jasno, że zmiana poglądów nastąpiła w nim na skutek sukcesu pod Verdun i wiary w geniusz militarny nowego wodza, jaką ten sukces wytworzył. Briand podkreślał różnicę między tym nowym rodzajem ofenzywy i wszystkimi poprzednimi ofenzywami, jakie Francja przeżyła, oraz między ostrożnością nowoodkrytego stratega i lekkomyślną pewnością siebie jego poprzednika. Albert Thomas, który dotąd na konferencjach i w rozmowach prywatnych wypowiadał się zdecydowanie ujemnie o ofenzywach na froncie zachodnim, teraz równie zdecydowanie popierał plany Nivelle'a

i protestował przeciw wycofywaniu choćby jednego działa z frontu, na którym miała być przeprowadzona tyle obiecująca operacja. Było rzeczą widoczną, że obaj ci wybitni politycy dali się unieść fali entuzjazmu dla nowej metody i nowego człowieka.

Po konferencji rzymskiej uświadomiłem sobie, że bezwzględna opozycja wobec tego eksperymentu mogła mieć katastrofalne skutki dla Koalicji. Gdyby Cadorna i ministrowie włoscy przejawili więcej inicjatywy, można było nawet jeszcze wtedy uniknąć tego biegu wypadków, który — jak zaznaczyłem na konferencji rzymskiej — napełniał mnie niepokojem. Ale z chwilą gdy projekt kampanii włoskiej został odrzucony na skutek opozycji Francuzów i obojętności Włochów, jedyną możliwą alternatywą wobec planu Nivelle'a było bezczynne siedzenie w okopach w oczekiwaniu niewiadomo na co. Ameryka nie wypowiedziała jeszcze wojny Niemcom — i na horyzoncie nie widać było żadnego jaśniejszego skrawka nadziei. Na wschodzie ukazywały się ciężkie chmury, zwiastujące burzę; na zachodzie niebo było beznadziejnie szare. Gdybyśmy w takiej sytuacji odmówili współdziałania w planach francuskich — wywarłoby to na opinię francuską fatalne wrażenie; nastroje ludności we Francji były bardzo niepomyślne i mogły łatwo wyładować się w formach, które trudno byłoby opanować. Mimo olbrzymich wysiłków i straszliwych ofiar, kilka najbogatszych prowincyj francuskich pozostawało w ręku najeźdźcy; trzy lata krwawych bojów zdołały wyrwać z okrutnego uścisku wroga tylko parę kilometrów ziemi francuskiej! Każdy milimetr odzyskanego terytorium doświadczył na sobie ostrych kłów wojny i czerwienił się krwią francuskich żołnierzy. Setki miast i wsi, tysiące kilometrów urodzajnych pól uległo zniszczeniu. Francja krwawiła wszystkimi arteriami; stała jeszcze naprzeciw wroga, ale chwiała się już na nogach. I oto zaświtała przed nią nowa nadzieja szybkiego zwycięstwa. Gdyby została pozbawiona zgóry tej nadziei — mogła wpaść w rozpacz. Jak zawsze w takich

wypadkach, obwiniano by polityków; główne ich zadanie polega przecież na tym, aby stanowić przedmiot ataków. Biurokraci rządzą, a politycy dzielą z nimi pochwały, ale monopolizują całkowicie nagany. Briand i jego ministrowie odeszliby napewno. Kto zastąpiłby ich? Mógł to być Clemenceau, ale mógł być i Caillaux! Pokój w tym momencie równałby się przyznaniu do porażki, i mógłby być zawarty tylko na warunkach, które by z uznania porażki wynikały.

W czasie pierwszej konferencji koalicyjnej, która odbyła się na Boże Narodzenie w Londynie, ta nowa nadzieja rozrosła się już do takich rozmiarów, że nic nie mogło jej przytłumić — nic prócz gorejących szańców na Chemin des Dames. Miała wszystkie cechy braku krytycyzmu i przesady, łączące się zwykle z przypływem nastrojów patriotycznych czy religijnych. Briand nie przybył na konferencję z powodu choroby, i w jego nieobecności Ribot domagał się w sposób niezwykle kategoryczny, aby rząd angielski zaakceptował natychmiast plan Nivelle'a, który — jak podkreślał — przewiduje że siły angielskie współdziałać będą w atakach na linie niemieckie w sposób odmienny od tego, jaki ustaliła konferencja paryska w listopadzie. Trzeba dodać, że Nivelle był w tej chwili Wodzem Naczelnym wszystkiego od dwóch tygodni; kiedy zebrała się konferencja londyńska, atrament ledwo wysechł na jego zwycięskim rozkazie do wojsk. Po raz pierswzy usłyszałem o zmianie planu wieczorem w przeddzień konferencji; zawiadomiono mnie wówczas w głównych zarysach o proponowanej operacji.

Jak się zdaje, sir Douglas Haig zawiadomiony został o nowym planie w liście z dnia 21 grudnia 1916 r., w którym zarysy operacyj przedstawione były z prawdziwie francuską jasnością:

„Szanowny Panie Generale!

W związku z wczorajszą naszą rozmową, mam zaszczyt

wyłożyć Panu poniżej moje poglądy w sprawie naszej ofenzywy w r. 1917, oraz mian, jakie moim zdaniem należy poczynić w pierwotnym projekcie tych operacyj.

Zadanie ofenzywy. W ofenzywie 1917 r. armia francusko-angielska musi zmierzać do zniszczenia zasadniczego *gros* armij nieprzyjacielskich na zachodnim teatrze wojny. Cel ten może zostać osiągnięty jedynie w wyniku decydującej bitwy, w której będziemy mieli poważną przewagę liczebną nad wszystkimi siłami, będącymi do dyspozycji nieprzyjaciela.

Zadaniem naszym jest więc:

Związać możliwie największą część sił przeciwnika;

Przełamać front nieprzyjacielski w takich warunkach, aby wyłom ten mógł być natychmiast wyzyskany;

Rozbić wszystkie siły, jakie nieprzyjaciel może przeciw nam ściągnąć;

Wyzyskać wszystkimi dostępnymi środkami wynik tej decydującej bitwy.

Niezbędne środki. Aby zrealizować to zadanie, musimy dysponować — niezależnie od wojsk, przeznaczonych od razu do związania sił przeciwnika i do przerwania jego frontu — masą manewrową wojska, dostatecznie potężną na to, aby pokonać wszystkie siły jakimi dysponuje nieprzyjaciel.

Uważam, że ta masa manewrowa składać się może tylko z sił jednolitych, przyzwyczajonych do współdziałania ze sobą i odpowiednio wyszkolonych przez tych samych dowódców, którzy mają nimi dowodzić. Wynika z tego, że nie można jej utworzyć z części armij, których zadaniem będzie związanie sił przeciwnika lub przełamanie jego frontu.

Obliczam, że ta masa manewrowa musi stanowić grupę w składzie trzech armij, po trzy korpusy w każdej armii i po trzy dywizje na korpus.

Ogólny szemat operacyj. Wychodząc z tych założeń, wyobrażam sobie w sposób następujący rozwój operacyj naszych armij.

Siły nieprzyjacielskie *związane będą na odcinku Arras-Bapaume* i na odcinku między Oise i Sommą przy pomocy ataków, przeprowadzonych na pierwszym odcinku przez siły pod Pana rozkazami, na drugim — przez siły francuskie.

W tym czasie nagły atak, przeprowadzony na innym odcinku frontu francuskiego, dokona wyłomu w liniach nieprzyjacielskich. Wyłom ten zostanie natychmiast rozszerzony i operacja przekształcona w bitwę decydującą.

Bitwa ta, której skutki dadzą się odczuć na całej przestrzeni naszego frontu, przerodzi się w operacje na szeroką skalę, w których wezmą udział armie francuska i angielska wszystkimi rozporządzalnymi siłami.

Skład masy manewrowej. W ten sposób powodzenie naszych operacyj zależeć będzie przede wszystkim od masy manewrowej.

Dla względów, które wyżej wyłożyłem (kwestia jednolitości, spójności, wyszkolenia, dowództwa) — uważam że siła ta musi być zupełnie odrębna od wielkich jednostek, których zadaniem będzie przeprowadzenie ataku na północ od Oise i przerwanie frontu nieprzyjaciela.

Jednakże przy obecnym obsadzeniu frontu przez armie sojusznicze, jest dla mnie rzeczą niemożliwą utworzenie tej rezerwy w składzie 27 dywizyj.

Abym mógł to uczynić, jest rzeczą konieczną aby armie angielskie zwolniły poważną część sił francuskich, zajmujących front między Sommą i Oise, i w ten sposób pozwoliły mi dysponować dywizjami francuskimi, zajmującymi odcinek między *Bouchavesnes i drogą Amiens-Roye*. Obliczam, że ten odcinek może być z łatwością utrzymany przez siedem lub osiem dywizyj, co odpowiadałoby liczebności zgromadzonych na nim wojsk niemieckich.

Trzeba aby to zwolnienie sił francuskich zostało przeprowadzone bez żadnej zwłoki, inaczej bowiem opóźnią się bardzo przygotowania do ofenzywy; proszę więc o dokonanie tej zmiany najpóźniej do 15 stycznia.

Rola armij angielskich. W ogólnych zarysach rola armij angielskich w czasie naszej wspólnej ofenzywy byłaby następująca:

1. Pozwolą mi one na utworzenie bez zwłoki masy manewrowej, niezbędnej do decydującej bitwy.

2. Przedsięwezmą na froncie, przez Pana wybranym, ofenzywę dość silną i zakrojoną na dość wielką skalę, aby mogły zaabsorbować poważną część rezerw niemieckich.

Sądzę że wasz front ataku powinien wynosić 30 do 40 kilometrów — w zależności od tego, czy przewiduje Pan w nim odcinki pasywne.

3. Wezmą udział w operacjach ogólnych, jakie nastąpią w rezultacie decydującej bitwy, stoczonej na innym odcinku — dezorganizując siły nieprzyjaciela, zajmujące wasz front ataku i uczestnicząc w pościgu za nieprzyjacielem na terytorium, które ustalimy później wspólnie.

Określając w ten sposób zadania armij brytyjskich, chcę wyjaśnić, że biorę również pod uwagę możliwość użycia mojej masy manewrowej na prawym skrzydle naszego frontu.

Gdyby więc nieprzyjaciel próbował zaatakować nas przez Szwajcarię, nie będę potrzebował dla odparcia go zwracać się do Pana o danie mi do dyspozycji części Pana sił.

Z drugiej strony jest rzeczą jasną, że ta rezerwowa grupa armij działać będzie w ogólnej bitwie w interesach zarówno Pana wojsk, jak moich.

Poza tym, rozszerzenie frontu o które Pana proszę uwolni do pewnego sopnia Pana armie od operacyj ofenzywnych, jakie miały przedsięwziąć w zimie w myśl planu, ustalonego na konferencji w Chantilly 15 listopada.

Wreszcie, plan który Panu przedstawiłem nie wyklucza możliwości przedsięwzięcia — w razie potrzeby — operacyj, zmierzających do zdobycia Ostendy i Zeebruge, ponieważ te operacje nie mogą odbyć się przed latem.

Mogą być one obecnie studiowane we wszystkich szczegółach na podstawie powziętych już decyzyj; sądzę nawet że

nasi belgijscy sojusznicy powinni już teraz przygotowywać się do roli, jaką w tych operacjach mają odegrać.

Jeśli nasza wielka ofensywa powiedzie się, jest rzeczą pewną, że wybrzeże belgijskie wpadnie w nasze ręce w wyniku odwrotu armij niemieckich; atak bezpośredni nie będzie wówczas potrzebny.

Jeśli zaś ofenzywa nasza nie uda się, będzie zawsze rzeczą możliwą przeprowadzić proponowane operacje we Flandrii.

Kończąc te wyjaśnienia, proszę aby Pan zechciał łaskawie dać mi możliwie najszybciej odpowiedź co do objęcia frontu między Bouchavesnes i drogą Amiens-Roye. Wobec różnych możliwych ewentualności, utworzenie mojej masy manewrowej jest doprawdy zagadnieniem zasadniczym, które pragnę rozwiązać bez żadnej zwłoki. Oddany Panu

Nivelle".

Zarówno armia francuska jak angielska miały prowadzić, każda na swoim froncie, ofenzywę dotychczasowego mniej więcej typu; ale za frontem francuskim miała być utworzona potężna „masa manewrowa", która po rozpoczęciu ataku przez obie armie uderzyłaby nagle i bez przygotowania na nieprzyjaciela na innym odcinku frontu francuskiego.

Trzeba podkreślić, że plan ten różnił się zasadniczo od planu ustalonego w Chantilly. Powodzenie zależało tu od nagłości przeprowadzonego ataku i od zmylenia nieprzyjaciela co do odcinka, na którym należało oczekiwać głównego uderzenia. Nadzwyczaj ważna zmiana dotyczyła również roli, jaką plan wyznaczał armii brytyjskiej; ta zmiana przede wszystkim spowodowała wrogi stosunek do projektu ze strony sir Douglasa Haiga. W szemacie ustalonym w Chantilly główny ciężar ataku spoczywał na Anglikach, i Haig odgrywałby główną rolę w projektowanej ofenzywie. Według projektu Nivelle'a zasadnicze natarcie miały przeprowadzić wojska francuskie; armii angielskiej przypadałaby rola drugorzędna, co

mocno uraziło Haiga. Uraza ta przebija w odpowiedzi udzielonej przez Haiga na cytowany list Nivelle'a:

„Montreuil, 23 grudnia 1916 r.

W odpowiedzi na zakomunikowany przez Pana list generała Nivelle'a, generał Haig oświadczył dziś rano co następuje:

1. Aby zadośćuczynić żądaniom francuskiego dowództwa, musimy oddać dziesięć dywizyj angielskich; pozostawałoby tylko do naszej dyspozycji osiem dywizyj, z których sześć ma niewielką wartość.*)

2. Generał Haig nie może w dzisiejszych warunkach zgodzić się na kroki, które pozbawiłyby jego armię wszelkich możliwości ofenzywnych.

3. Wobec tego przekazał sprawę do rozpatrzenia Komisji Wojskowej gabinetu angielskiego, domagając się przysłania do Francji dywizyj, które umożliwiłyby spełnienie żądania francuskiego dowództwa.

4. Generał Haig żąda z naciskiem wycofania dywizyj, znajdujących się obecnie w Salonikach.

5. Zastępowanie wojsk francuskich mogłoby się zacząć za piętnaście dni; w jakim stopniu i w jakim czasie zostałoby przeprowadzone — to by zależało od tempa, w jakim przybywać będą nowe dywizje; zakładam tutaj, że zostaną one przysłane.

6. Należy się spodziewać, że brytyjski Sztab Generalny podniesie obiekcje przeciw wydłużeniu linii naszych wojsk aż do drogi Amiens — Peronne, ponieważ będzie chciał dysponować wojskami dla akcji ofenzywnej."

---

*) Ta obiekcja jest charakterystyczna. Kiedy później Haig nakłaniał rząd do zgodzenia się na ofenzywę pod Passchendaele — miał do dyspozycji, jak twierdził, czterdzieści dwie wyśmienite dywizje. Teraz jednak nie może wydzielić dziesięciu dywizyj dla realizacji planu, który mu się nie podoba.

Propozycja Haiga, aby zajęcie przez Anglików części linij francuskich, co było rzeczą konieczną dla utworzenia „masy manewrowej" i dokonania ofenzywy, uzależnić od wycofania dywizyj brytyjskich z Salonik i w ten sposób wyrównać deficyt siły ofenzywnej w armii angielskiej — była zupełnie nierealna; jeśli zaś zważyć okoliczności, które musiały być dobrze znane Naczelnemu Dowództwu angielskiemu, propozycji tej nie można było w ogóle traktować poważnie. W tym właśnie momencie sztaby: francuski, angielski i włoski spodziewały się potężnego ataku na pozycje pod Salonikami ze strony zwycięskich armij państw centralnych, skoncentrowanych na północy. Była też podstawa do obaw, że armia grecka ma ochotę przyłączyć się do tego ataku. Generał Joffre zażądał od nas wysłania jeszcze dwóch dywizyj dla wzmocnienia naszych sił na tym froncie; żądaliśmy od Włochów, aby zrobili to samo. Sir Wiliam Robertson przygotowywał właśnie wysłanie do Salonik 15 000 ludzi. Sir Douglas Haig musiał o tym wszystkim wiedzieć, i propozycję swoją wysuwał tylko po to, aby obalić cały plan Nivelle'a. Musiał też zdawać sobie sprawę, że nawet gdyby można było wycofać dziesięć dywizyj z Salonik, nie mogłyby one przybyć do Francji przed połową albo końcem lutego. Wiedział wreszcie, że motywem naszej odmowy na propozycję Joffre'a, abyśmy wysłali do Salonik dwie nowe dywizje, był brak wolnych okrętów do przewiezienia takiej ilości wojska. Skąd zatem wzięlibyśmy okręty do przewiezienia dziesięciu dywizyj?

Natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi Haiga, Nivelle depeszował do francuskiego ministra wojny:

„24 grudnia 1916 r.

Osobiste.

Mam zaszczyt przesłać Panu kopie:

1. Listu, który posłałem do generała Haiga, Naczelnego Dowódcy sił brytyjskich we Francji, aby porozumieć się z nim co do planu operacyj na rok 1917.

2. Depeszy przysłanej mi przez generała des Vallières, kierownika francuskiej misji wojskowej przy armii brytyjskiej, i zawierającej poglądy generała Haiga w tej materii.

Z depeszy powyższej wynika, że generał Haig przekazał sprawę angielskiej Komisji Wojskowej i że uzależnił swą zgodę od wzmocnienia sił angielskich we Francji.

Niezależnie od tego, mówiłem dziś u mnie w sztabie z generałem Davidsonem, naczelnikiem Wydziału Operacyjnego armii brytyjskiej, który powtórzył mi w imieniu generała Haiga, że ten ostatni *godzi się całkowicie na proponowany przeze mnie plan operacji*, a więc i na konieczność zluzowania i zastąpienia sił francuskich, niezbędnych do wykonania planu, i że uczyni wszystko co będzie mógł, aby spełnić wszystkie moje dezyderaty.

Uczynić to może połączeniem trzech metod:

a) Wydłużeniem frontu, zajmowanego przez dywizje angielskie.

b) Czasowym zredukowaniem swoich rezerw — co nie utrudni wcale armiom angielskim wzięcia udziału w ofenzywach wiosennych, na warunkach jakie zostały uzgodnione;

c) Wzmocnieniem swoich sił przy pomocy nowych dywizyj z Anglii.

Nie ulega wątpliwości, że współpraca jakiej domagamy się od armii angielskiej wymaga znacznie mniejszych wysiłków, niż zadanie, jakie my sami podejmujemy. Poza tym współpraca ta daje się doskonale pogodzić z dalszymi projektami angielskiego dowództwa, które i tak nie mogą być wprowadzone w życie przed wiosną.

Rozwiązanie wszystkich tych zagadnień jest sprawą szczególnie pilną, ponieważ w myśl postanowień, po-

wziętych na konferencji sztabów koalicyjnych w Chantilly, powinniśmy być przygotowani na wszelkie ewentualności w drugiej połowie lutego. Poza tym obawy, jakie zarysowały się w sprawie granicy szwajcarskiej, każą nam możliwie szybko utworzyć naszą grupę manewrową.

Sądziłbym więc, że Pan może uznać za wskazane — jako krok przedwstępny — powierzyć jednemu z członków rządu, jeżdżących stale do Londynu, misję poparcia swoim autorytetem mojego planu wobec premiera i generała Robertsona. Przedstawiciel rządu powinien kłaść nacisk na konieczność dania Haigowi odpowiednich instrukcyj oraz domagać się przyspieszenia wysyłki z Anglii dywizyj terytorialnych przeznaczonych na front francuski, tak aby zluzowanie naszych dywizyj nastąpiło możliwie blisko daty, przeze mnie wymienionej.

Pozwalam sobie podkreślić wyjątkową wagę planu operacyj na r. 1917, jak również poważne trudności które wynikną, jeśli operacje te przedsięweźmiemy bez dostatecznych środków. R. Nivelle."

Treść tych dokumentów została zakomunikowana rządowi angielskiemu na dzień przed konferencją francusko-angielską 26 grudnia. Nie mieliśmy czasu porozumieć się w tej sprawie ani z szefem sztabu, ani z Wodzem Naczelnym. Tym tłumaczy się przebieg konferencji.

Z fanatyzmem i z niecierpliwieniem człowieka, głoszącego słowa jakiejś nowej ewangelii, Ribot domagał się od nas w imieniu rządu francuskiego, abyśmy natychmiast, nie pytając nawet o zdanie naszych doradców wojskowych, zadecydowali sprawę, wynikłą w trakcie korespondencji między Naczelnym Wodzem francuskim i angielskim. My jednak kładliśmy nacisk na to, że musimy mieć możność porozumienia się z sir Douglasem Haigiem. Na jednym z posiedzeń konferencji oświadczyłem, że i moim zdaniem sprawa jest

bardzo pilna, ale generał Nivelle jest dopiero od dwóch tygodni na czele armii francuskiej; rząd angielski dowiedział się po raz pierwszy o projekcie dopiero poprzedniego dnia; projekt wprowadza ogromne zmiany do planów dawniejszych, i wobec tego rząd angielski musi niewątpliwie porozumieć się nie tylko z generałem Robertsonem, ale i z generałem dowodzącym w polu — Haigiem. Rząd angielski uważa, że należy odłożyć sprawę na krótki czas celem stwierdzenia, czy sir Douglas Haig i generał Nivelle nie mogą we dwójkę dojść do ostatecznej decyzji. Wygląda na to, że mogą — ale jeśli to się nie uda, rząd francuski zwróci się wtedy powtórnie do rządu J. Kr. Mości, który zgadza się zupełnie na konieczność bardzo szybkiej decyzji i bardzo szybkiego działania.

Po dalszych nierozsądnych namowach ze strony delegatów francuskich odpowiedziałem, że nie spodziewałem się tego, aby p. Ribot żądał od nas decyzji bez wysłuchania przez nas tego, co nasz Wódz Naczelny ma w tej sprawie do powiedzenia. Rząd jest usposobiony przychylnie do planu, ale musi najprzód wysłuchać sir Douglasa Haiga. *„Nie ma obiekcyj ze strony szefa Sztabu Imperialnego, który jest pewien, że sprawę da się załatwić w sposób zadowalający.“*

To ostatnie zdanie dowodzi, że na tym posiedzeniu sir Wiliam Robertson nie wypowiadał się osobiście przeciwko planowi Nivelle'a. Istotnie, Robertson nie krytykował planu ani nie wysuwał żadnych wątpliwości; podkreślał tylko, że trzeba uzyskać zgodę Haiga. Według listu Nivelle'a z d. 21 grudnia, Haig zakomunikował z początku swoją aprobatę projektu. Ale w czasie konferencji Robertson wiedział już, że Haig jest zirytowany i rozczarowany przekazaniem armii francuskiej głównej roli w ofenzywie, podczas gdy według uchwał konferencji w Chantilly tę rolę miał odegrać on. Dopóki jednak decydująca walka miała być stoczona na froncie zachodnim, Robertson nie protestował i sądził, że uda się również ułagodzić Haiga.

Oto zaprotokułowane wnioski, do jakich doszła konferencja:

„Propozycja delegatów francuskich, zmierzająca do natychmiastowego wydłużenia odcinka, jaki zajmuje na froncie zachodnim armia angielska, przyjęta została z całą przychylnością przez gabinet angielski, ale gabinet był jednocześnie zdania, że zanim powzięta zostanie ostateczna decyzja, określająca dokładnie tę zmianę, należy zapytać o opinię w tej sprawie Naczelnego Wodza brytyjskich sił ekspedycyjnych. Gabinet polecił szefowi Sztabu Imperialnego podać do wiadomości generała sir Douglasa Haiga, że pragnie aby generał Haig poszedł w tej sprawie na rękę rządowi francuskiemu do najdalszych możliwych granic.

Ustalono, że jeśli w najbliższej przyszłości nie nastąpi między generałem sir Douglasem Haigiem i generałem Nivelle uzgodnienie poglądów, zadowalające dla francuskiego rządu, rząd ten podniesie znowu tę sprawę."

Nie mam zamiaru dawać tu szczegółowego sprawozdania z trudnych pertraktacyj, które poprzedziły ostateczne przygotowania do ofenzywy Nivelle'a. Zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Przejrzałem z wielką uwagą całą masę korespondencji, memoriałów i protokułów, zawierających pełny obraz tego co nastąpiło przed kwietniem 1917 roku, to jest przed rozpoczęciem operacyj, i postaram się streścić cały ten materiał w sposób lojalny i bezstronny.

Na czym więc polegał plan Nivelle'a i czym różnił się od wszystkich dotychczasowych ofenzyw, które zmierzały do przerwania frontu niemieckiego, a dawały w rezultacie tak oburzające i ponure fiasko?

Zasadnicza zmiana polegała na wprowadzeniu momentu zaskoczenia. Nivelle podkreślał ten moment, jako decydują-

cy w jego pojęciu dla pomyślnego przeprowadzenia ofenzywy o charakterze strategicznym. Nieprzyjaciel musi być zaatakowany w nieoczekiwanym miejscu i w chwili, kiedy nie spodziewa się na danym odcinku żadnych operacji; nie będzie więc miał pod ręką żadnych rezerw, przy których pomocy mógłby odeprzeć atak. Przełamanie frontu w taki sposób musi być łatwiejsze, mniej kosztowne i da się łatwiej uzyskać. Poprzedzający atak ogień artylerii będzie na obranym odcinku silny ale krótki, i urwie się nagle. Cała ofenzywa podjęta będzie na froncie o wiele szerszym, niż wszystkie natarcia dotąd podejmowane. Zasadniczym jednak jej rysem pozostanie to, że Niemcy nie zorientują się co do miejsca głównego ataku, a wobec tego zostaną zaskoczeni.

Była to znakomita koncepcja strategiczna. Dlaczego skończyła się tak katastrofalnym fiaskiem? Przede wszystkim — jeśli nie jedynie — dlatego, że w trakcie przygotowywania jej element zaskoczenia przeciwnika, który stanowił zasadniczy warunek jej powodzenia, zupełnie zniknął. Czyja to była wina? Stwierdzanie, komu i w jakim stopniu należy się potępienie, jest rzeczą niewdzięczną, a w danym wypadku trudno byłoby to zrobić sprawiedliwie. Nie mam jednak wątpliwości co do jednego: winę ponoszą Anglicy tak samo jak Francuzi, choć z powodów, które niżej podam, fakt że Niemcy dowiedzieli się o planie przypisano niedbalstwu Francuzów. Niespodzianka polegać miała na dwóch momentach: pierwszym był front ataku. Niemcy spodziewali się powtórzenia ataku — głównie przez siły brytyjskie — na płaskowzgórzu Sommy: na tym polegał projekt ustalony w Chantilly, i Niemcy widzieli w tym rejonie normalne przygotowania do wielkiej ofenzywy. Tymczasem „grupa manewrowa" Nivelle'a miała atakować w zupełnie innym rejonie, gdzie Niemcy nie przewidywali żadnego ataku; armia angielska miała tylko pozorować atak. W tej sytuacji rezerwy niemieckie byłyby po-

rozrzucane po całym froncie, a w miejscu prawdziwego natarcia nie byłoby w ogóle żadnych rezerw.

Nowy odcinek, wybrany przez Nivelle'a dla głównego ataku, nadawał się szczególnie dobrze do przygotowań, niewidocznych dla nieprzyjaciela. Przyznaje to Ludendorff:

„Dzięki obfitości rąk roboczych, Koalicja mogła zaopatrzyć nie tylko odcinek pod Verdun, ale znaczną część całego swego frontu w środki komunikacji i amunicję, niezbędne do przeprowadzenia natarcia. W tych okolicznościach wojska koalicyjne mogły w nadzwyczaj krótkim czasie i w rozmaitych punktach frontu przejść do ofenzywy, nie zdradziwszy uprzednio swoich planów przygotowaniami. Fotografie okopów i umocnień polowych nieprzyjaciela, sprawdzane wciąż przy pomocy nowych zdjęć lotniczych, mogły dać tylko zupełnie ogólne wskazówki co do jego zamierzonych posunięć.

Front francuski między Vailly nad rzeką Aisne, a Argonnami był dobrze umocniony i zorganizowany, tak że specjalne przygotowania do ofenzywy nie były tu potrzebne. Widzieliśmy umocnienia, wzniesione na południe od Chemin des Dames, gdy zajęliśmy te linie w czasie naszej ofensywy w r. 1918. Jak się zdaje, zostały one skonstruowane w latach 1915—1916. Możliwe, że Francuzi chcieli rozpocząć tu ofenzywę w r. 1916, ale nie pozwolił im na to atak niemiecki na Verdun."*)

Nie ulega wątpliwości, że teren, który miał być zaatakowany, był terenem szczególnie trudnym: było to płaskowzgórze, nadające się z natury do obrony; Niemcy wyzyskali w pełni te naturalne właściwości terenu i zbudowali na nim system umocnień, będących najsilniejszą fortecą z całego frontu. Ale generał Nivelle obliczał, że nawet ten fakt jest

*) General Ludendorff: *Moje wspomnienia wojenne* t. II. s. 419.

czynnikiem działającym na jego korzyść, kiedy chodzi o zaskoczenie Niemców. Niemcy — sądził — nie będą oczekiwali ofenzywy na tym swoim najsilniejszym odcinku, skoro front z jednej i z drugiej strony ma tyle słabszych punktów; nie poczynią więc tutaj żadnych specjalnych przygotowań, w postaci wzmocnienia linii i zgromadzenia z tyłu dział i rezerw. To pozwalałoby Francuzom zająć wzniesienia i najmocniejsze pierwsze pozycje, zanim Niemcy zdołają wznieść nowe albo zgromadzić dostateczne rezerwy dla kontrataku. Tego spodziewał się Nivelle; ale nadzieje jego opierały się całkowicie na domniemanym zaskoczeniu przeciwnika.

Drugim decydującym momentem był czas. Niemcy przyzwyczajeni byli do ciężkich i głośnych poruszeń Joffre'a i Haiga — do długich i hałaśliwych przygotowań, które przy pomyślnym wietrze słyszało się z odległości kilku mil. Wiedzieli, że nie odezwie się ani jeden wystrzał, dopóki ostatni pocisk nie zostanie złożony w magazynie frontowym i ostatnia kładka drewniana przeprowadzona w ostatnim rowie komunikacyjnym. Takie przygotowania prowadziły do tego, że atak był zawsze odkładany, a nigdy przedsiębrany przed czasem, i że Niemcy mieli dość wskazówek i czasu, aby poczynić ze swej strony wszelkie przygotowania. Dlatego tego rodzaju ofenzywy nigdy się nie udawały. Czas pracował na rzecz obrony, która zyskiwała na nim czterokrotnie więcej niż atak. Nivelle zdawał sobie z tego sprawę. Ostatni swój sukces zawdzięczał zaskoczeniu przeciwnika — na zaskoczeniu opierał i tym razem swoje nadzieje. Gdyby plan Nivelle'a był przeprowadzony w całej rozciągłości, wierzę dziś jeszcze, że odnieślibyśmy ogromne zwycięstwo. W momencie, kiedy proponował rozpoczęcie ofenzywy, na liniach niemieckich które miał zaatakować, oraz poza nimi, znajdowało się tylko osiem dywizyj niemieckich, wliczając w to i rezerwy. W chwili jednak kiedy atak rozpoczął się istotnie—to jest mniej więcej w dwa miesiące później—dywizyj niemieckich było na tym odcinku czterdzieści. Ostrzeżeni, Niemcy zgromadzili w tym miejscu

za frontem swoje rezerwy. Wycofawszy się już w tym czasie na linię Hindenburga, oswobodzili sobie w ten sposób kilka dywizyj, którymi wzmocnili rezerwy. Na odcinku spodziewanego ataku wznieśli, poza pierwszymi liniami okopów, nowe umocnienia i zgromadzil całe masy artylerii i amunicji. Zwłoka więc zmieniła zasadniczo sytuację. Wszystkie specyficzne cechy strategii Nivelle'a stopniowo znikały, i cała operacja upodobniła się do militarnych wzorów Joffre'a i Haiga — z tą tylko różnicą, że teren jej był trudniejszy. Motywem wyboru tego terenu nie była przecież bynajmniej jego dogodność — jedynym motywem było to, że atak w tym punkcie miał być niespodzianką dla nieprzyjaciela. Z chwilą gdy ten wzgląd upadał — pozostawały tylko dwie drogi do wyboru: albo należało szukać do ataku na froncie zachodnim innego odcinka, albo też porzucić zupełnie pomysł wielkiej ofenzywy we Francji i Flandrii i skupić wysiłki na innym teatrze czy teatrach wojny. Ostateczny i fatalny błąd, popełniony przez Anglię i Francję, polegał na tym, że żadna z tych alternatyw nie została wybrana. Drugą z nich — ofenzywę połączonych sił sojuszniczych przeciw Austrii na froncie włoskim — proponowało trzech wybitnych generałów francuskich, w tej liczbie generał Pétain, ale dopiero w chwili, gdy artyleria angielska zaczęła już swe bombardowanie. Był to jeden z powodów — choć nie jedyny powód — dlaczego propozycja ta nie została zakomunikowana rządowi angielskiemu.

Cóż spowodowało zwłokę, która pozbawiła nas szans zwycięstwa? Główną winę ponosiła tu niejednolitość dowództwa. Były to moje pierwsze wysiłki wprowadzenia dowództwa jednolitego; ale wysiłkom tym przeciwstawiali się Haig i Robertson przy pomocy metod tak niedopuszczalnych, że konieczność usuwania podejrzeń i łagodzenia różnic zajęła bardzo wiele czasu i pozbawiła plan całej jego wartości. Po starannym rozważeniu faktów i dokumentów można śmiało powiedzieć, że gdyby obydwie armie sojusznicze podlegały wówczas całkowicie jednemu dowódcy, tak jak to nastąpiło potem.

po decyzji powziętej w kwietniu 1918 r. w Beauvais — strategia Nivelle'a, choć zapewne nie doprowadziłaby jeszcze do decydującego zwycięstwa, osiągnęłaby jednak poważne powodzenie. W istniejących jednak warunkach walczącym armiom nie dano szans, jakich miały prawo się spodziewać. Uparty umysł Haiga skoncentrowany był przez cały czas na Sommie. Kiedy zaproponowano inną linię ataku, trzeba było długiego czasu, aby wyciągnął w myślach swe buty z błota nad Sommą. Robił wszystko wolno i ciężko, gdy właśnie konieczna była szybkość i zręczność poruszeń. Zmarnowano najprzód całe tygodnie na przykrych i zajadłych dyskusjach na temat rozszerzenia frontu brytyjskiego, co było niezbędne dla utworzenia owej grupy manewrowej, stanowiącej zasadniczą część planu. Potem nastąpiła nowa poważna zwłoka, spowodowana przez dyskusję nad zagadnieniami transportu i koordynacji. Trzeba było zwołać konferencję ministrów i generałów, aby osiągnąć porozumienie w tych sprawach. Konferencja odbyła się w Calais 26 lutego — *a już 14 lutego, według pierwotnego planu, miał się zacząć atak.* Atak niemiecki na Verdun zaczął się o tydzień przed ustaloną datą: dlatego w swych stadiach początkowych udał się tak dobrze. Joffre nie chciał wierzyć, że Niemcy mogą być tak wcześnie gotowi do ataku.

Na konferencji w Calais Briand i generał Lyautey reprezentowali rząd francuski, ja zaś — rząd angielski. Obecni byli też Haig i Nivelle, jak również Robertson. Najwięcej czasu zajęły nam zagadnienia transportu; w dyskusjach ujawniło się, jakiego rodzaju sprawy powodują zwłokę. Były to sprawy, które nie powinny były w ogóle powstać, skoro czas odgrywał tak decydującą rolę w powodzeniu ofenzywy. Armia angielska domagała się do swej dyspozycji 250 pociągów — o 120 więcej, niż jej przydzielono. Koleje francuskie nie mogły dać razem więcej, niż 200 pociągów — i to tylko na dwa tygodnie, poczynając od 1-go kwietnia; w ciągu tych dwóch tygodni miały wstrzymać dowóz produktów dla ludności cywilnej. Jak wskazywali ministrowie francuscy, armia angiel-

ska domagała się dwa razy więcej lokomotyw i wagonów niż francuska — i to dla liczby wojsk o połowę mniejszej. Generał Ragenau oświadczył w Calais, że jest bardzo zdziwiony ilością i wielkością pociągów, potrzebnych dla armii angielskiej — w porównaniu do potrzeb armii francuskiej, która przygotowywała się do podobnych operacyj. Francuzi, których efektywy walczące wynosiły 70 dywizyj, potrzebowali 2.800 wagonów dziennie dla dwóch grup armii, Anglicy natomiast, dla sił wynoszących nie wiele więcej ponad połowę tej liczby, żądali 8000 wagonów dziennie. Generał Ragenau nie mógł w żaden sposób zrozumieć, dlaczego Anglicy potrzebują o tyle więcej wagonów od Francuzów, skoro siły ich są o tyle mniejsze.

Generał Nivelle podzielał pogląd generała Ragenau Gdyby wszystkie operacje — oświadczył — kalkulowane były na podstawie obliczeń angielskich, żadna operacja nie byłaby w ogóle możliwa. Nivelle dodał, że jeżeli ofenzywa nie powiedzie się w ciągu piętnastu dni, nie będziemy jej kontynuowali; jeśli nam się od razu nie uda, zatrzymamy się. Jeśli natomiast powiedzie nam się od razu — nastąpi wojna ruchowa, i wobec tego potrzeba będzie mniej materiału niż do wojny pozycyjnej. Jako generał, odpowiedzialny za całą operację, Nivelle zobowiązał się do tego, że piętnaście dni wystarczy.

Ani jednak Nivelle, ani ministrowie angielscy nie zostali zawiadomieni, że — jak się potem okazało—owe nadliczbowe lokomotywy i wagony potrzebne były nie dla przeprowadzenia planu Nivelle'a, lecz dla długich przygotowań, czynionych już wówczas do tragicznej ofenzywy pod Passchendaele.

Po dyskusjach na temat lokomotyw i wagonów pojawiły się nowe trudności, związane z zagadnieniem naczelnego kierownictwa operacji i wykonywania rozkazów tego kierownictwa. Później, w czasie ofenzywy pod Passchendaele, sir Douglas Haig mianowany został naczelnym wodzem połączonych

sił angielskich i francuskich; teraz jednak zarówno Haig jak Robertson sprzeciwiali się koncepcji jednolitego dowództwa na czas ofenzywy. Trzeba była aż trzech konferencyj—dwóch w Londynie i jednej w Calais — zanim sprawa została załatwiona.

Na konferencji w Calais w dniach 26 i 27 lutego osiągnięto ostatecznie kompromis, zaakceptowany i podpisany przez obu Wodzów Naczelnych, jak również przez generałów Lyautey'a i Robertsona w imieniu obu Ministerstw Wojny.

Oto tekst podpisanego dokumentu:

„1. Francuska komisja wojenna i rząd brytyjski akceptują plan operacji na froncie zachodnim, wyłożony przez generała Nivelle'a i feldmarszałka sir Douglasa Haiga w dn. 26 lutego 1916 r.

2. Dla osiągnięcia całkowicie jednolitego dowództwa w czasie wymienionych wyżej operacyj, francuska komisja wojenna i rząd brytyjski postanawiają wspólnie co następuje:

a) Ponieważ głównym zadaniem operacyj, wymienionych w punkcie pierwszym, jest usunięcie nieprzyjaciela z ziemi francuskiej, i ponieważ armia francuska dysponuje większymi efektywami niż brytyjska, rząd brytyjski godzi się na to, aby ogólne kierownictwo kampanii spoczywało w rękach francuskiego Naczelnego Wodza.

b) Wobec tego rząd brytyjski zobowiązuje się polecić feldmarszałkowi — dowódcy brytyjskich sił ekspedycyjnych, aby zastosował swoje plany operacji do ogólnych planów strategicznych Naczelnego Wodza armii francuskiej.

c) Rząd brytyjski zobowiązuje się dalej do tego, że

od chwili podpisania niniejszego dokumentu aż do zakończenia operacyj, omówionych w punkcie 1, feldmarszałek - dowódca brytyjskich sił ekspedycyjnych będzie w swych przygotowaniach działał zgodnie z poglądami Wodza Naczelnego armii francuskiej, z wyjątkiem wypadków, w których postępowanie takie zagrażałoby, jego zdaniem, bezpieczeństwu lub powodzeniu jego armii; we wszystkich wypadkach, kiedy feldmarszałek sir Douglas Haig uważałby za swój obowiązek z powyższych względów nie zastosować się do instrukcji generała Nivelle'a, zawiadomi rząd brytyjski, przez szefa Imperialnego Sztabu Generalnego, o poczynionych przez siebie krokach, oraz o motywach, które go do nich skłoniły.

4. Rząd brytyjski zobowiązuje się również polecić feldmarszałkowi — dowódcy brytyjskich sił ekspedycyjnych, aby od chwili rozpoczęcia operacyj, wymienionych w p. 1, aż do ich zakończenia, stosował się do rozkazów Naczelnego Wodza armii francuskiej we wszystkich sprawach, związanych z prowadzeniem tych operacyj — z tym jednak, że dowódca brytyjski będzie miał swobodę wyboru środków oraz metod użycia swych wojsk na odcinku, wyznaczonym mu przez francuskiego Naczelnego Wodza na zasadzie ogólnego planu operacji.

5. Rząd brytyjski i rząd francuski określą, każdy w zastosowaniu do swojej armii, daty, kiedy operacje wzmiankowane w p. 1. będą uważane za zakończone. Od tej chwili przywrócone zostaną stosunki, jakie były w mocy przed rozpoczęciem operacji.

A. Briand *D. Lloyd George*
Lyautey *W. R. Robertson, Szef Imp. Szt. Gen.*
D. Haig, Feldm."

Kiedy umowa ta została sporządzona i podpisana, sądziłem że usunięte zostały wszelkie powody do nieporozumień,

i że odtąd obie armie działać będą wspólnie, jako siły zjednoczone. Nie trzeba jednak nigdy zbytnio wierzyć porozumieniu, zawartemu przez ludzi upartych, zwłaszcza jeżeli ci ludzie sądzą, że stała im się krzywda. Niesłusznie więc byłem zdziwiony, kiedy w trzy dni po zawartym w Calais porozumieniu otrzymałem memoriały od sir Wiliama Robertsona i od sir Douglasa Haiga, w których obaj protestowali przeciwko podpisanej przez siebie umowie! Trzeba było zwołać nową konferencję, tym razem w Londynie, aby po raz drugi pochować zmartwychwstałe pretensje, o których sądziłem, że zostały już z honorami pogrzebane. W tym okresie Haig i Robertson zdążyli już wzbudzić w sobie niechęć osobistą do Nivelle'a i umocnić się wzajemnie w tej niechęci; obawiam się, że Nivelle odpłacał im wzajemnością. Łatwiej jest zawrzeć pokój niż zapomnieć o urazach, a zadawnione urazy znajdą sobie zawsze nowe powody naruszenia pokoju.

Robertson oponował głównie na tej zasadzie, że jeśli ustanowiona zostanie jednolitość dowództwa w nadchodzącej bitwie, może to posłużyć jako precedens późniejszych bitew, w których obie armie brałyby udział. Robertson był zajadłym przeciwnikiem koncepcji jednolitego dowództwa — nawet dla jednej bitwy, w której miały brać udział obie armie — jeśli dowództwo naczelne mieli sprawować Francuzi. Kiedy jednak potem precedens został powtórzony pod Passchendaele — nie otrzymałem już od Robertsona żadnego protestu.

Memoriał Haiga był długim dokumentem, wyliczającym wszelkie możliwe trudności i proponującym liczne zastrzeżenia i ograniczenia władzy generała Nivelle'a. Wszystkie te sprawy powinny były być podniesione i załatwione o parę miesięcy wcześniej. Trzeba zresztą przyznać, że część podejrzeń i obaw jakie wyłożone były w memoriałach Haiga i Robertsona, spowodowana została przez szorstkie i dość impertynenckie pismo, posłane do dowódcy brytyjskiego przez jakiegoś francuskiego sztabowca; pismo utrzymane było w tonie kategorycznego rozkazu, komunikowanego podwładnemu

pozostawiłem żadnych wątpliwości co do tego, że gabinet angielski czuje się urażony tonem pism, skierowanych przez sztab francuski do Haiga. Oto moje oświadczenie według brzmienia protokułu; cytuję je jako jeden z wielu przykładów poparcia, jakiego zawsze udzielałem naszemu Naczelnemu Wodzowi, kiedy w grę wchodził jego prestiż i autorytet:

„P. Lloyd George powiedział, że w toku jego rozmów z obu Naczelnymi Wodzami wyłoniła się jeszcze jedna sprawa. Jego zdaniem bez dobrej woli żadne porozumienie nic nie da; jednakże dwa pierwsze pisma, przesłane przez generała Nivelle'a do sir Douglasa Haiga, utrzymane były w tonie dość kategorycznym. Jak się jednak spodziewał, okazało się że dokumentów tych nie pisał generał Nivelle, ale ktoś z jego podwładnych. Przypomniał generałowi Nivelle, że feldmarszałek sir Douglas Haig dowodzi armią, liczącą ponad 1.500.000 ludzi — większą niż jakakolwiek armia brytyjska, która dotąd istniała. Podkreślił też, że feldmarszałek sir Douglas Haig cieszy się zupełnym zaufaniem gabinetu brytyjskiego i otoczony jest powszechnym szacunkiem w Anglii — a jak sądzi, również we Francji. Powiedział więc generałowi Nivelle, że jego zdaniem te dwa listy były dość niegrzeczne. Generał Nivelle oświadczył w odpowiedzi, że nic nie było dalsze od jego intencyj, niż okazanie najmniejszej nieuprzejmości wobec feldmarszałka sir Douglasa Haiga. P. Lloyd George sam uważa generała Nivelle'a za najuprzejmiejszego w świecie człowieka — każdy kto się z nim zetknął w Anglii uderzony był jego wielką uprzejmością. W rezultacie p. Lloyd George pragnie podnieść wobec rządu francuskiego niebezpieczeństwo polegające na tym, że urzędnicy są czasem nietaktowni. Chce też podkreślić, że ważna jest nie tylko litera umowy, ale i duch, w jakim będzie ona wprowadzona w życie".

W dyskusji która się potem wywiązała generał Lyautey oświadczył, że zanim jeszcze ja podniosłem tę sprawę, on sam uważał pisma generała Nivelle'a za nieco niegrzeczne w tonie.

Thomas zaznaczył, że cała Komisja Wojenna rządu francuskiego zgodna jest pod tym względem.

Generał Lyautey powiedział, że zwrócił uwagę generałowi Nivelle, aby wysyłając jakiekolwiek pismo do dowództwa brytyjskiego upewnił się, iż ułożył je ktoś kto nie tylko jest dobrym oficerem, ale ponadto liczy się ze słowami, kiedy pisze do brytyjskiego sztabu.

Admirał Lacaze oświadczył, że ministrowie francuscy podzielają najzupełniej wypowiedziany przeze mnie pogląd. Od siebie pragnąłby dodać, że jeśli którykolwiek z Wodzów Naczelnych otrzyma pismo, układane zbyt pośpiesznie i obraźliwe w tonie — powinien niezwłocznie, zamiast żywić głuchą urazę, porozumieć się z drugim Wodzem w celu wyjaśnienia sprawy.

W konferencji brało udział czterech ministrów francuskich. Po długich rozmowach sprawa została załagodzona: potępiono niezręczne wyrażenia w listach i przyłożono kojące okłady na zbolałe głowy. O ile mi wiadomo, nie było już później osobistych tarć i nieporozumień, które przeszkadzałyby skutecznej współpracy obu generałów. Ale wszystkie te kłopoty powodowały zwłokę. Zarówno plan ustalony w Chantilly, jak plan Nivelle'a przewidywały ukończenie wszelkich przygotowań ze strony armij sojuszniczych na pierwszą połowę lutego. Mieliśmy już pierwszą połowę marca, a dowódcy nasi spierali się jeszcze wciąż o sprawy, związane z przygotowaniami przedwstępnymi. W tym okresie zarówno ministrowie, jak generałowie francuscy byli zupełnie przekonani, że Naczelne Dowództwo angielskie i angielskie Ministerstwo Wojny przeszkadzają świadomie skutecznej realizacji planu Nivelle'a. Jeśli chodzi o nasze Ministerstwo Wojny, nie ukrywało ono istotnie swojej niechęci wobec całego projek-

tu; wolało ofenzywy w dotychczasowym stylu, a prócz tego rozdrażnione było tym, że główne uderzenie, a zatem i główna ofiara, przypadały w udziale nie armii angielskiej, lecz francuskiej. Generał Nivelle zdawał sobie doskonale sprawę z tego antagonizmu i był głęboko przekonany, że zwlekanie Anglików w nim ma właśnie swoje źródło; wyraził się też wprost, że sytuacja nie może ulec polepszeniu, dopóki sir Douglas Haig pozostaje na czele armii brytyjskiej. Gdy zawiadomiono mnie o tym oświadczeniu, dałem zaraz do zrozumienia komu należy, że o dymisji Haiga nie może być mowy. Cały ten nastrój jednak wskazuje na brak sympatii między ludźmi, od których serdecznej i lojalnej współpracy tyle zależało.

Po załatwieniu tej sprawy, nastąpiła nowa zwłoka: tym razem spowodowali ją Niemcy, który postanowili skrócić swoją linię frontu w rejonie Sommy. Zyskiwali tym posunięciem potrójnie: nowe ich pozycje były silniejsze od starych; mogli ich bronić mniejszymi siłami i wobec tego powiększyć o kilka dywizyj rezerwę, którą gromadzili za frontem, przygotowując się do odparcia nadchodzącej — jak wiedzieli — ofenzywy wojsk koalicyjnych; wreszcie — dezorganizowali wszystkie skomplikowane plany naszych generałów właśnie w chwili, kiedy miało się zacząć ich wykonywanie.

Nie świadczy to dobrze o sztabie francuskim i angielskim, że Niemcy zdołali przeprowadzić wszystkie kroki, jakich wymagało tak poważne przesunięcie frontu, nie wywołując żadnych podejrzeń wśród przeciwników.

Ciągłe odkładanie ofenzywy dało Niemcom zupełnie dosyć czasu do zbudowania „linii Hindenburga" i do spokojnego wycofania się na nią według z góry opracowanego planu. Całą operację przeprowadzili do najdrobniejszych szczegółów bez żadnych przeszkód. Czy wobec zmienionej sytuacji nie należało zaniechać wogóle wykonania planu Nivelle'a — to sprawa sporna; cofnięcie się Niemców zmieniało nowy plan znacznie słabiej, niż zmieniałoby dawniejszy, przewidujący

wznowienie ofenzywy nad Sommą, ponieważ w tym ostatnim wypadku terenem bitwy miało być właśnie terytorium, opuszczone przez Niemców. Terytorium to, przez które w razie ataku musiałyby przechodzić nasze wojska z całym ich złożonym ekwipunkiem, było teraz tak zryte i zrujnowane — ze zniszczonymi drogami, mostami i szynami kolejowymi — że trzeba było całych tygodni aby doprowadzić je do stanu, umożliwiającego istotny kontakt między oddziałami. Atak zatem na froncie Sommy nie mógłby być dokonany przed kwietniem.

Mniej więcej w połowie lutego zaszedł incydent, który dał Niemcom ogólną wskazówkę nie tylko o przygotowującym się ataku, ale i o jego miejscu i czasie. Oto jak ten dziwny przypadek — jeśli był to istotnie tylko przypadek— opisuje Ludendorff:

> „W połowie lutego 1917 r. trzecia armia, aby uzyskać lepszą linię frontu, przedsięwzięła lokalną operację na terytorium Szampanii, w miejscu w którym w r. 1915 toczyła się bitwa; operacja ta powiodła się. Wśród materiału jaki wpadł w nasze ręce znaleziono rozkaz do 2-ej dywizji piechoty francuskiej, datowany z d. 29 stycznia, z którego wynikało jasno że Francuzi szykują na kwiecień wielką ofenzywę nad rzeką Aisne. Dało nam to do ręki klucz całej sytuacji; mogliśmy teraz nie zwracać uwagi na pogłoski, przewidujące atak wojsk koalicyjnych w Lotaryngii lub w Sundgau".*)

Żeby dokument tak poufny i o takiej doniosłości znajdował się w pierwszej linii okopów, gdzie tak łatwo mógł się dostać w ręce nieprzyjaciela — oznaczałoby to tak niewiarogodne niedbalstwo, że trudno tutaj wyeliminować hipotezę zdrady. Sprawa nie została nigdy wyświetlona, i może

*) Gen. Ludendorff, *op. cit.*, t. II, s. 410.

nigdy wyświetlona nie będzie. Choć dokument nie ujawniał Niemcom zamiaru niespodziewanego ataku na prawym skrzydle — informował ich jednak, gdzie powinni spodziewać się głównego natarcia; cały incydent osłabiał więc znacznie szanse naszego sukcesu.

Drugi incydent nastąpił później i miał jeszcze poważniejsze następstwa. Jest on stwierdzony ponad wszelką wątpliwość i opisany w sprawozdaniu komisji śledczej, wyznaczonej przez rząd francuski po bitwie dla zbadania celowości całej ofenzywy i zastosowanej w czasie jej taktyki. Sprawozdanie brzmi:

> „Zachowanie w tajemnicy nadchodzących operacyj zostało naruszone przez pożałowania godne niedyskrecje i przez znalezienie przy wziętym do niewoli podoficerze francuskim rozkazu, wyznaczającego 3-ej armii jej zadania operacyjne".

Podoficer ten wzięty został do niewoli 4-go kwietnia; dokument, który miał przy sobie, zawierał rozkaz operacyjny dla wojsk działających na północ od rzeki Aisne, oraz wymieniał zadania szeregu korpusów. Tu już nieprzyjaciel poinformowany został o całym szemacie ofenzywy. Rzeczą zastanawiającą jest, że aż do owej chwili nic podobnego nie wydarzyło się żadnej ze stron walczących, i trudno uwierzyć, że działał tu czysty przypadek. Faktem jest, że przez pewien czas przed owym incydentem generałowie i sztabowcy francuscy prowadzili między sobą zajadłą dyskusję na temat zalet i wad projektowanej ofenzywy. Zanim jeszcze armia francuska zaatakowała przeciwnika, wśród niej samej toczyła się jak gdyby „wojna o rzeki" — zwolennicy ofenzywy nad rzeką Aisne walczyli ze zwolennikami ofenzywy nad Sommą. Wiele rozgoryczenia wywołała też nominacja generała Nivelle'a na Naczelnego Wodza, dokonana z pominięciem kompetentnych i zasłużonych starszych generałów. W trakcie tej wojny domo-

wej między zwolennikami rywalizujących ze sobą osób i rejonów, dokumenty krążyły jak się zdaje swobodnie i w dużych ilościach między rozgorączkowanymi uczestnikami walki. Łatwość, z jaką najdonioślejszy z tych tajnych dokumentów utorował sobie drogę do nieprzyjaciela nasuwa podejrzenia, którym trudno się całkowicie oprzeć.

Niemcy zastosowali się do otrzymanego ostrzeżenia i poczynili wszelkie niezbędne kroki.

Gdyby ofenzywa odbyła się w czasie pierwotnie wyznaczonym, to albo uprzedziłaby ona ów lokalny atak niemiecki, albo też — wobec tego, że przygotowania do niej byłyby już w tym momencie ukończone — można by ją było przyspieszyć, tak że nieprzyjaciel nie miałby czasu przeprowadzić swoich planów obronnych. Niemcy zajmowaliby dalej swoje dawne pozycje nad Sommą, i dywizje które potem zwolnili, wycofując się na „linię Hindenburga", byłyby dalej zaangażowane w obronie tej bezużytecznej linii frotu. Nie byłoby czasu na sprowadzenie wojsk z Rosji i Rumunii; wymęczone dywizje frontowe nie miałyby kiedy odpocząć. Ofenzywa zaczęłaby się jeszcze przed wybuchem Rewolucji Rosyjskiej, i wobec tego zmęczone wojska niemieckie nie mogłyby być zastąpione przez wyborowe dywizje ze Wschodu.

Zanim jeszcze ofenzywa się zaczęła, zwłoka i nieutrzymanie tajemnicy skazały ją już na fiasko; było ono tak oczywiste, że niektórzy najwybitniejsi generałowie, podwładni Nivelle'a — Pétain, Franchet d'Esperey i Micheler — próbowali, jak to już wyżej zaznaczałem, skłonić go do zupełnego zaniechania ofenzywy i obmyślenia zamiast niej jakiejś innej odpowiedniej operacji. Rzeczą interesującą i stanowiącą pewne pocieszenie dla tych, których oskarżano o zbrodnię „amatorskiej strategii", jest że jedyną alternatywą, o jakiej pomyśleli ci wybitni generałowie, była ofenzywa na froncie włoskim. Jak pisze Painlevé, ówczesny minister wojny, Pétain, Franchet d'Esperey i Micheler „twierdzili jednogłośnie, że skoro dotąd nie rozpoczęliśmy ofenzywy, powinniśmy

niezwłocznie posłać armię do Trentino". Powodem, dla którego nie wywierali w tym kierunku nacisku na rząd było, że armia angielska miała już polecenie atakowania Arras (a nawet atak faktycznie już się rozpoczął). Nie można było już wtedy wycofywać się z porozumienia z Anglikami; było za późno, aby otwierać kwestię na nowo. Ponadto, generałowie ci wiedzieli, że francuska opinia publiczna od trzech miesięcy wiązała z nadchodzącą ofenzywą, wielkie nadzieje, i że gdyby ją nagle przerwano i wysłano wojska do Włoch — nastąpiłoby ogromne rozczarowanie.

Smutno pomyśleć, że gdyby ofenzywa nie została odłożona na skutek trudności, które były w dużym stopniu sztucznie stwarzane i które prawdziwa dobra wola potrafiłaby szybko usunąć — atak armij sprzymierzonych zastałby Niemców w trakcie „przeprowadzki", z całym zamieszaniem, towarzyszącym tradycyjnie tego rodzaju wydarzeniom domowym. Ale na długo przed rozpoczęciem ataku Niemcy usadowili się wygodnie na swoich nowych pozycjach; i już przed atakiem wiedzieli dokładnie gdzie, w jakim kierunku i z jaką siłą uderzą na nich armie sprzymierzone. Z chwilą kiedy przygotowania do ataku przestały mieć charakter kroków, zmierzających do zaskoczenia nieprzyjaciela — Niemcy zyskali wiele czasu na przygotowanie obrony. Zapanował duch, który wyraził się w owym żądaniu „250 pociągów": wszystko odbywało się wolno, metodycznie i w sposób zgoła niedwuznaczny. Poświęcono czas na to, aby przy pomocy szeregu gwarancyj usunąć podejrzenia Haiga, obawiającego się że w razie wprowadzenia jednolitego dowództwa jego autorytet zostanie osłabiony; ale ten sam czas pozwolił Niemcom przygotować się świetnie do odparcia ofenzywy. Przed jej rozpoczęciem i wrogowie i przyjaciele wiedzieli o niej wszystko; pierwsi o niej gadali, drudzy przygotowywali się aby ją unicestwić. Zamiast zaskoczenia, nastąpił najdłużej przygotowywany i najbardziej rozreklamowany atak z pośród wszystkich, przedsiębranych na Zachodzie.

Jak się zdaje, w chwili rozpoczynania ataku Francuzi nie wiedzieli, że już w lutym Niemcy zdobyli o nim informacje. Natomiast o drugim incydencie — o pochwyceniu kompletnych planów 4-go lutego — francuski Sztab Generalny wiedział dokładnie, ale nie szepnął o tym ani słówka rządowi francuskiemu, ani — o ile wiem — sztabowi brytyjskiemu. Painlevé oświadczył, że o tych doniosłych wydarzeniach, które powinny były stanowić najistotniejsze momenty decyzji, rząd francuski dowiedział się dopiero po zakończeniu bitwy. Wydarzenia te jednak zmieniły cały charakter operacji, której sukces zależał całkowicie od zaskoczenia przeciwnika. Nivelle bowiem atakował faktycznie najpotężniejszy bastion niemieckiego frontu, chociaż nieprzyjaciel miał dokładne i wyczerpujące informacje o jego zamiarach i przygotował się bardzo skutecznie do ich unicestwienia.

Postępy, jakie poczynił atak w pierwszej chwili, mimo że był przewidywany, dowodzą że koncepcja Nivelle'a — atakowania na tym właśnie odcinku — nie była pozbawiona podstaw. Gdyby owa forteca została zdobyta, Nivelle mógł łatwo zająć Laon, i w ten sposób zaszedłby Niemcom na tyły. Co jednak skłaniało Nivelle'a do trzymania się dalej swego planu, po tym gdy tajemnica została wydana Niemcom i gdy element zaskoczenia, na którym polegał, zniknął zupełnie? Na to jest tylko jedna odpowiedź. Wielka ofenzywa, z chwilą gdy raz rozpłomieniła wyobraźnię dowódcy, przestawała być metodą odnoszenia zwycięstwa, — stawała się natomiast namiętnością, której dowódca nie mógł się oprzeć. Jak wszystkie namiętności, i ta pozbawiała człowieka rozwagi, ostrożności i obaw. Im bardziej krytykowano Joffre'a, Nivelle'a i Haiga i im bardziej sprzeciwiano się im, tym namiętniej pragnęli urzeczywistnienia swoich ukochanych planów. Nie zauważali trudności, ukrywali nieprzyjemne dla siebie fakty — nawet przed sobą samym. Zobaczymy raz jeszcze działanie tego obłędnego zaślepienia, gdy w opowieści mojej dojdę do opisu walk o Passchendaele. Plan działa jak narkotyk, a nar-

kotyk prowadzi w końcu do delirium. Kiedy jest pod wpływem swego narkotyku — „maniak planu" staje się człowiekiem ślepym. Generał Nivelle był w grudniu zimnym i świetnym rachmistrzem; w kwietniu stał się niepoczytalnym graczem hazardowym. Obserwujemy nie raz ten proces u szanowanych ludzi interesu, którzy w długiej i pomyślnej karierze zdobyli sobie opinię ludzi rozważnych i ostrożnych. Kiedy jednak w przeprowadzeniu jakiego dawno przemyślanego projektu, po którym mieli prawo obiecywać sobie wielkie zyski, natykają się na nieoczekiwaną przeszkodę—tracą nagle całe swoje opanowanie, zapominają o gromadzonym latami doświadczeniu i rwą naoślep do celu, nie licząc się z żadnym ryzykiem. W ten sposób stopniał niejeden wielki majątek i załamał się niejeden mocny charakter.

Nivelle wiedział, że Niemcy znają jego plan, że przygotowują się do przeciwdziałania, że Rewolucja Rosyjska uwolniła niektóre z ich najlepszych rezerw, zatrzymywane dotąd na wschodzie, i że rezerwy te dodane zostały do wojsk, mających unicestwić francuską „niespodziankę". Te fakty, o których wiedział i na które z naciskiem wskazywali jego najzdolniejsi pomocnicy, nie odchyliły jak się zdaje ani o włos decyzji tego generała, upojonego aż do odurzenia długim, powolnym sączeniem z niewyczerpanego dzbana marzeń o zwycięstwie. Był w stanie nieprzytomnej egzaltacji, która pozbawiła go zupełnie zwykłego opanowania. Cichy, skromny człowiek stał się gadatliwy, chełpliwy i agresywny. Tego rodzaju nastrojem tłumaczy się wiele niemądrych ofenzyw Wielkiej Wojny; tłumaczy się nim zwłaszcza fakt, że generałowie nie chcieli się wyrzec swoich planów nawet wtedy, kiedy ich nieuniknione fiasko stawało się rzeczą oczywistą dla każdego bezstronnego i trzeźwego obserwatora.

Zgodnie z planem, najprzód nastąpił atak angielski; poprzedzony był długim bombardowaniem, które trwało pięć dni. Piechota przypuściła atak 9-go kwietnia; w swych stadiach początkowych natarcie było wielkim sukcesem. Grzbiet

Vimy został zdobyty, linie niemieckie przełamane na froncie 18 kilometrów, na którym Anglicy posunęli się o 6 kilometrów naprzód; zdobyto 150 dział i wzięto do niewoli 12.000 jeńców. Według świadectwa samego generała Ludendorffa, który dowodził armią niemiecką, „sytuacja pod koniec pierwszego dnia bitwy była nadzwyczaj krytyczna i mogła mieć poważne konsekwencje, gdyby nacisk nieprzyjaciela trwał dalej". Warto zacytować jego uwagi o tym zwycięstwie angielskim z d. 9. kwietnia, ponieważ pokazują one, jak bliscy byliśmy osiągnięcia rezultatów, może nie decydujących, ale takich które pociągnęłyby za sobą w każdym razie odepchnięcie Niemców daleko poza linie, zajmowane przez nich przed ofenzywą:

„Bitwa pod Arras w d. 9. kwietnia stanowiła zły omen dla decydujących walk owego roku.

Dzień 10. kwietnia i następne były dniami krytycznymi. Niełatwo było zaradzić konsekwencjom przełamania frontu i zajęcia terenu o 12—15 kilometrach długości i 6 czy więcej kilometrach szerokości. Wobec ciężkich strat w ludziach, działach i amunicji, jakie ponosi się w rezultacie takiego przerwania frontu, potrzebne są kolosalne wysiłki, aby straty naprawić. Zadaniem Kwatery Głównej było sprowadzenie znacznych rezerw; jednakże wobec ówczesnej sytuacji miliarnej, i wobec sił jakie mieliśmy do dyspozycji, było absolutną niemożliwością aby bezpośrednio za każdą dywizją, którą nieprzyjaciel może odepchnąć, stała dywizja rezerwowa. Dzień taki jak 9-go kwietnia zburzył wszystkie nasze kalkulacje. Wiele dni musiało minąć, zanim można było utworzyć i należycie skonsolidować nową linię obronną. Gdybyśmy nawet mieli dość wojska, wynik bitwy zależał głównie — jak zwykle w podobnych wypadkach — od tego, czy nieprzyjaciel po swym pierwszym zwycięstwie ma zamiar atakować w dalszym ciągu i bardziej jeszcze

utrudniać dalszymi sukcesami zadanie utworzenia nowej linii obronnej. Wobec osłabienia naszej pozycji, sukcesy takie mogły być osiągnięte z dużą łatwością. Anglicy atakowali istotnie na tym samym odcinku, poczynając od 10-go kwietnia, dużymi siłami — nie był to jednak atak naprawdę na wielką skalę."*)

Pochwycenie przez Niemców dokumentu, odsłaniającego plan operacyj Nivelle'a nad rzeką Aisne, pomogło Anglikom, ponieważ spowodowało skoncentrowanie rezerw niemieckich poza Chemin des Dames. Dlatego mogliśmy nie tylko przerwać linię nieprzyjaciela, ale w jednym punkcie posunąć się nawet o 6 kilometrów. Pewien oficer opowiadał mi, że doszedł ze swoją kompanią o milę dalej po za miejsce, w którym batalion jego miał się zatrzymać, nie napotkał jednak w ogóle Niemców prócz kilkunastu błądzących w pojedynkę żołnierzy, którzy poddali się bez walki.

Następnego dnia jednak ten ewakuowany teren został z powrotem zajęty przez nieprzyjaciela. Niepodjęcie odrazu ataku wszystkimi rozporządzalnymi siłami brytyjskimi spowodowane było prawdopodobnie przez obsesję kawaleryjską; obsesja ta wypełniała serca i mózgi oficerów jazdy, dowodzących armią brytyjską w walkach, w których sztuka inżynieryjna i taktyka artylerii i piechoty stanowiły o wszystkim, a szarże kawalerii były gorzej niż bezcelowe. W odpowiednim punkcie za frontem zgromadzono wiele tysięcy kawalerzy-

*) Gen. Ludendorff, *Moje wspomnienia wojenne*, t. II, s. 421—422. — Że taki był ogólny pogląd niemieckiego dowództ. na pierwszy dzień bitwy pod Arras, potwierdzają słowa Hindenburga: „Atak angielski pod Arras w d. 9. kwietnia 1917 r. odebrał nam pierwsze trzy linie obronne. Sprawozdanie wieczorne dawało ponury obraz sytuacji. Pojawił się jednak promień nadziei: Anglicy nie wiedzieli, w jaki sposób wyzyskać całkowicie swoje zwycięstwo. Mieliśmy szczęście — jak już nieraz przedtem. Uścisnąłem rękę mego szefa sztabu ze słowami: Przeżywaliśmy już krytyczniejsze chwile".

stów, gotowych ruszyć poprzez otwór, uczyniony we froncie niemieckim. Nie wyszło z tego nic prócz śmiertelnej szarży kawaleryjskiej pod monchy, gdzie konie i ludzie zostali skoszeni ogniem kilku karabinów maszynowych z chwilą, kiedy ukazali się w ich polu widzenia. Do zdobycia wsi trzeba było sprowadzić piechotę; w posuwaniu się naprzód kawaleria stanowiła tylko ciężar. Dowództwo tak długo ociągało się z wykonaniem posunięć, istotnie niezbędnych, aż było na nie za późno. Przy pomocy kawalerii nie można było stosować taktyki „przenikania", którą Niemcy operowali tak skutecznie w r. 1918: polegała ona na wyszukiwaniu w linii przeciwnika punktów słabszych, stawiających mniejszy opór; w tych punktach piechota, wspomagana przez karabiny maszynowe, posuwała się odrazu naprzód. Otaczała ona oddziały, broniące się wytrwalej, i zmuszała je do cofnięcia się lub poddania. Kawaleria natomiast musi mieć przed sobą wyłom dość szeroki na to, aby mogła atakować wielkimi masami, które pokonają wszelką przeszkodę. Oficjalna australijska historia wojny opisuje, jak australijczycy chcieli atakować zaskoczone siły niemieckie od prawego skrzydła, musieli jednak czekać całymi dniami na wykonanie w liniach nieprzyjacielskich wyłomu, którym będzie mogła przejść kawaleria. Kiedy wreszcie pozwolono im iść naprzód — rezerwy niemieckie już przybyły, opór niemiecki wzrósł i nieprzyjaciel przywrócił swoją dawną linię obronną. Taka była geneza krwawych i bezpłodnych ataków na Bullecourt. W końcu Australijczycy, dzięki niezwykłemu męstwu i uporowi, zdobyli jakieś żałosne ruiny i utworzyli jeszcze jeden wysunięty naprzód odcinek frontu, ale nie zyskali w ten sposób absolutnie żadnej przewagi taktycznej. Utracona została wielka okazja — odniesienia nadzwyczaj efektownego zwycięstwa, które mogło mieć łatwo poważne następstwa, zmuszając Niemców do dalszego osłabienia swych rezerw w rejonie Aisne.

Na skutek tego niewyzyskania przez nas sytuacji, wytworzonej przez odwagę i rozmach naszych wojsk i niedostatecz-

ną czujność naszych przeciwników, Niemcy uznali za niepotrzebne przeprowadzenie operacji, którą 9-go kwietnia przez chwilę rozważali — cofnięcia się o kilkanaście kilometrów, aż na t. zw. linię Wotana. Linia ta nie była jeszcze w tej chwili wykończona i mogła być wobec tego zdobyta za jednym zamachem przez nasze wojska, ścigające rozbitego nieprzyjaciela — tak jak zdobyte zostały nasze pozycje przed Amiens w katastrofalnych dniach marca 1918 roku. Zamiast tego jednak dano Niemcom aż nadto czasu na skonsolidowanie obrony i ściągnięcie rezerw; zdołali potem, przy pomocy kontrataków, skonsolidować swe linie obronne, nie tracąc już zbyt wiele terenu.

Bitwa przeistoczyła się w końcu w serię bezpłodnych i krwawych ataków i kontrataków na poszczególne wsie i pozycje.

16-go kwietnia Francuzi rozpoczęli swoje wielkie natarcie na płaskowzgórze nad rzeką Aisne. Czy natarcie skończyło się zwycięstwem, czy porażką? Niemcy nie mają wątpliwości, że odnieśli w tej bitwie zwycięstwo. Wielu generałów i polityków koalicyjnych podzielało ich zdanie; z drugiej strony wybitni generałowie, nie odpowiedzialni w najmniejszym stopniu za strategię czy taktykę tej bitwy, uważali ją za pewien w każdym razie sukces. Oto jak Foch, Gouraud i Bruyère, wyznaczeni przez francuską Izbę Deputowanych dla zbadania okoliczności bitwy i metod jej prowadzenia, reasumują swoją analizę:

> „Był to sukces, ale nie było przełamania frontu przeciwnika... Reasumując: między 17-ym a 23-im kwietnia, to jest w okresie którego dotyczą badania komisji, generał Nivelle porzucił zupełnie zamiar szybkiego i gwałtownego przedarcia się ku Laon i ograniczył swoje zadanie do zdobycia grzbietu Dames.
>
> Wszystkie kroki które przedsięwziął miały na celu oczyszczenie Reims od nieprzyjaciela; chciał osiągnąć

ten wynik przy pomocy połączonych operacyj IV-ej i V-ej armii. Pierwsza miała starać się posuwać stopniowo ku północy poprzez masyw Moronvillers; druga — ku północo-wschodowi, zająwszy uprzednio wszystkie wyniosłości w okolicach Brimont Spin i Sapegneuil. Bitwa, której zadaniem było początkowo przedarcie się przez linie niemieckie, stała się stopniowo długotrwałą walką, mającą na celu zużycie sił przeciwnika. Ten proces postępował szybko w armii nieprzyjacielskiej. 1-go kwietnia Niemcy mieli na froncie zachodnim 50 świeżych dywizyj w rezerwie, t. j. trzecią część całych swoich sił na tym froncie: pod koniec kwietnia wszystkie te rezerwy zostały zaabsorbowane. Nieprzyjaciel musiał ściągać wojska ze spokojniejszych odcinków frontu ,aby móc kontynuować walkę. Z początku dywizje, wycofywane z pierwszych linij walki, miały po kilka dni odpoczynku przed powrotem na swoje dawne odcinki; wkrótce jednak stało się to niemożliwe. Nieprzyjaciel tracił siły w tempie, które rosło w sposób niewiarogodny. Pozostałości wojsk, wycofywane z linii frontowej, były natychmiast posyłane na spokojniesze odcinki, takie jak okolice Argonów lub wyżyny nad Marną. Tak np. 25-go maja stwierdzono obecność drugiej dywizji gwardii, zdziesiątkowanej w walkach pod Harazoe między 5-ym a 16-ym maja, jak również dywizji dwudziestej ósmej, na wzgórzach pod Talon.

Jedynym odpoczynkiem tych wojsk był czas transportowania z jednego odcinka frontu na drugi.

Te same rezultaty zauważono na froncie angielskim."

Brzmi to bardzo podobnie, jak oficjalne wyjaśnienia porażki pod Passchendaele: przerwanie frontu nie nastąpiło, ale zdobyta została część bardzo cennego grzbietu górskiego, a poza tym nieprzyjaciel poniósł ogromne straty.

Warunki, w jakich zakończono ostatecznie przygotowania do ofenzywy, oraz atmosfera otaczająca jej rozpoczęcie, nie świadczyły o spokoju i opanowaniu, z jakim powinny być przeprowadzane tego rodzaju doniosłe posunięcia.

Poglądy rządu francuskiego na postępy i wyniki ofenzywy Nivelle'a nie zostały zakomunikowane formalnie rządowi angielskiemu; doszły nas jednak wieści o coraz większych wątpliwościach, otaczających ofenzywę.

W czasie toczących się walk gabinet brytyjski zwrócił uwagę na sytuację. 16-go kwietnia zawiadomiłem kolegów z gabinetu, że dowiedziałem się od Thomasa dalszych szczegółów w sprawie postawy, jaką rząd francuski zajął ostatnio wobec generała Nivelle'a; informacje te uzupełnił Szef Sztabu Imperialnego. Okazało się że generał Nivelle zwołał naradę dowodców armij, na której jego projekt dalszych operacyj został skrytykowany przez Pétaina — starszego odeń rangą, ale obecnie podwładnego. W rezultacie Pétain zreferował sprawę bezpośrednio rządowi francuskiemu; rząd zawezwał Nivelle'a na konferencję, na której Nivelle odmówił tłumaczenia się czy usprawiedliwiania swego planu wobec jednego ze swoich podwładnych. Następnie część ministrów francuskich udała się na front dla dalszego omówienia sprawy.

Szef Sztabu Imperialnego podkreślił wobec brytyjskiego gabinetu, że rząd francuski zaaprobował z początku plan swego Naczelnego Wodza, potem jednak zaczął wyrażać powątpiewania co do jego słuszności, choć w międzyczasie nie zaszło nic, co usprawiedliwiałoby tego rodzaju zmianę postawy; zdaniem Robertsona nie było to postępowanie zbyt lojalne wobec człowieka, do którego należało wykonanie postanowionych operacyj.

Powiedziałem wówczas, że moim zdaniem rządowi francuskiemu było bardzo trudno ignorować argumenty, wysuwane przez oficera o tak wysokim autorytecie jak generał Pétain.

Z drugiej strony było niewątpliwie rzeczą bardzo przykrą dla Nivelle'a, gdy w przeddzień ataku konwentykle polityków i podwładnych mu generałów dyskutowały, wyrażały wątpliwości i poddawały krytyce wydane przezeń dyspozycje. Debaty odbywały się częściowo w sztabie Nivelle'a, częściowo w Paryżu, dokąd musiał się udawać dla tłumaczenia i obrony swoich dyspozycyj. Dyskusje te denerwowały nietylko Naczelnego Wodza, ale również generałów którzy mieli wziąć udział w ofenzywie, i atmosfera sporów i zamieszania musiała udzielić się wszystkim, odpowiedzialnym za przeprowadzenie ataku na potężnie ufortyfikowane pozycje przeciwnika.

Bitwie przypatrywała się na miejscu delegacja parlamentu francuskiego, i nie ulega wątpliwości, że wstrzymanie ofenzywy — będące konsekwencją niemożliwości przerwania frontu — przypisać należy jej interwencji. Członkowie delegacji zobaczyli na własne oczy niektóre z okropności, towarzyszących każdej wielkiej bitwie; widok ten wywołał wśród nich wielkie wzburzenie i kazał im podać w sprawozdaniu bardzo przesadne liczby poległych.

Generałowie, wyznaczeni przez rząd francuski dla przeprowadzenia dochodzeń w sprawie ofenzywy, w następujących słowach zreasumowali swój pogląd na skombinowany atak, do którego sprowadzał się plan Nivelle'a:

„Jednakże, chociaż ofenzywa nie osiągnęła zupełnie spodziewanych rezultatów, prawdą jest tym niemniej, że zakończyła się prawdziwym sukcesem naszych armij. Na skutek przygotowań do niej, przeciwnik wyrzekł się walki na cześci swego frontu i ewakuował 2000 kilometrów kwadratowych terenu, to znaczy jedną ósmą całego okupowanego terytorium. W rezultacie zaś samego ataku w ręce nasze wpadło 55 000 jeńców, 800 dział i 1000 karabinów maszynowych.

Niezależnie od tych zdobyczy, ofenzywa doprowa-

działa do szybszego zużycia rezerw nieprzyjacielskich, a dzięki temu ułatwiła operacje Włochów pod Trentino, usunęła wszelkie niebezpieczeństwo na froncie włoskim i oddała inicjatywę strategiczną w nasze ręce".

Parlamentarzyści francuscy, jak już mówiłem, przesadzali bardzo poważnie, mówiąc o stratach armii francuskiej. Ich fantastyczne obliczenia spotkały się z bardzo krytycznymi uwagami komisji, która przeprowadziła dochodzenie; oto co mówi na ten temat jej sprawozdanie:

„Co się tyczy strat, które w przekonaniu opinii publicznej miały być szczególnie wielkie, nie były one większe niż straty, poniesione w poprzednich bitwach. Walki w kwietniu 1917 r. można porównać do walk w Szampanii we wrześniu 1915 r.; obie bitwy miały na celu przerwanie frontu nieprzyjacielskiego. Otóż straty w Szampanii — na froncie długości 40 kilometrów — wynosiły 125 000 ludzi; straty nad rzeką Aisne w takim samym mniej więcej czasie, na froncie długości 80 kilometrów, nie przekraczały 117 000 ludzi"*)

„Aby zrozumieć doniosłość rezultatów ofenzywy, trzeba tylko wyobrazić sobie wrażenie, jakie zapanowałoby we Francji, gdyby podobne rezultaty osięgnął nieprzyjaciel. Łatwo domyślić się, jakim tonem przemawiałyby jego komunikaty; całe Niemcy byłyby udekorowane flagami".

Sprawzdanie komisji przyszło za późno aby rozwiać pogłoski, szerzone częściowo z kuluarów porlamentu i podtrzymywane przez niezrównoważonych posłów, którzy przy-

*) Podobnie można by było zestawić straty i zyski tej bitwy i bitwy nad Sommą, i zestawienie takie przemawiałoby bardzo na korzyść ofenzywy Nivelle'a. W dalszym ustępie Komisja potępiała wysiłki nieprzyjaciół Nivelle'a, aby przedstawić bitwę pod Chemin des Dames jako wielką porażkę.

glądali się bitwie. Fama podwajała i nawet potrajała rzeczywiste liczby strat, i szerzone wieści wstrząsnęły głęboko wyobraźnią mas. Reakcja uczuciowa była tym silniejsza, że wstrząs ten zrzucił odrazu Francję ze szczytów nadziei w przepaść rozpaczy.

Mówiłem już, że kiedy Nivelle zajął miejsce Joffre'a, każdy Francuz — żołnierz i cywil — pomyślał sobie: „Oto nareszcie jakaś zmiana". Kiedy zaś okazało się, że całą zmianę można było scharakteryzować przysłowiem: „Nie kijem go, to pałką" — rozpacz zamieniła się we wściekłość, a wściekłość zrodziła jawny bunt w okopach i parlamencie.

Pogłoski, jakie rozeszły się wśród ludności cywilnej na tyłach, przedostały się wkrótce do obozów, w których żołnierze oczekiwali momentu pchnięcia ich na rzeź. W rezultacie szerzyć się zaczęło bardzo szeroko niezadowolenie, a tu i ówdzie w oddziałach wybuchały bunty, które w pewnym momencie były tak groźne, że zdawały się grozić rewolucją. Izba Deputowanych buntowała się przeciw Naczelnemu Dowództwu — rząd zażądał ustąpienia generała Nivelle'a. Na jego miejsce mianowany został generał Pétain, kóry nadawał się specjalnie do opanowania sytuacji. Był człowiekiem o wielkim spokoju i poczuciu zdrowego rozsądku, i w tym czasie cała armia wiedziała już prawdopodobnie, że sprzeciwiał się atakowi, który się załamał z tak ciężkimi stratami. Dla żołnierzy francuskich zatem nominacja generała Pétaina stanowiła gwarancję, że nie będzie już więcej owych krwawych ofenzyw, które w ciągu trzech lat tak okrutnie trwoniły życie młodzieży francuskiej — że nastąpił koniec eksperymentów i planów, układanych przez sztabowców, którzy najczęściej nie widzieli nigdy w życiu prawdziwej walki w okopach czy na przedpolach.

Takt, zdecydowanie i rozum Pétaina przywróciły zaufanie w armii francuskiej. Ale jednocześnie stało się rzeczą jasną, że armia ta przestała być co najmniej na przeciąg roku siłą, na którą można było liczyć w przeprowadzeniu jakiejkolwiek akcji ofenzywnej na większą skalę.

PRZEWRÓT W ROSJI*)

Jaki był stan armii rosyjskiej na początku roku 1917? Mimo okropnych doświadczeń przez jakie przeszła, była to wciąż jeszcze siła liczebnie potężna i rozporządzająca świetnym materiałem ludzkim. Słabością jej były głównie tyły. Na froncie brakowało jej przede wszystkim amunicji — choć w żywności i umundurowaniu miała też poważne braki. Sir Henry Wilson notował w swoim dzienniku:

„Zasadnicze pozycje rosyjskie są bardzo silne, a na licznych odcinkach również dobrze osłonięte zasiekami drucianymi. Całe mile chodników drewnianych, ułożonych na błotach; kilka kolejek wąskotorowych; piękny most przez rzekę, długości 2000 jardów. Naogół stan frontu i organizacja podobały mi się znacznie bardziej, niż się spodziewałem. Ludzie są dobrze odżywieni i ubrani**) — małe koniki w doskonałym stanie...

Armia, która zdołała zupełnie przyjść do siebie po katastrofach z przed 18 miesięcy — może zrobić jeszcze wiele. Ani nasza armia ani francuska nie mogłyby dokonać takiej przemiany. Poza tym, Niemcy mają bardzo szczupłe siły naprzeciw linij rosyjskich, i doskonale sobie wyobrażam, że front niemiecki może pęknąć — a wtedy

*) Część rozdziału p. t. „Konferencja w Petrogradzie", opisującego podróż misji koalicyjnej, która była w Rosji na kilka tygodni przed upadkiem caratu. *(Przyp. tłum.).*

**) Pod tym względem Wilson był w błędzie.

ruszą masy kozaków. Rosjanie mają 52 dywizje kawalerii. Moim zdaniem, jeśli będą mieli szczęście, Rosjanie mogą jeszcze dokonać wielkich rzeczy..."

W swym sprawozdaniu dla gabinetu brytyskiego Wilson pisze:

„Materiał ludzki jest znakomity. Przeważnie duże, silne, wesołe dzieci; nadzwyczaj odważni i wytrzymali. Jednocześnie są ciemni i głupi, pozbawieni zupełnie pomysłowości i inicjatywy. Są dobrze ubrani (z wyjątkiem rumuńskiego frontu), mają dobre buty, dobre pożywienie i opiekę — oczywiście według kryteriów rosyjskich, a nie angielskich. Żołnierze rosyjscy salutują staranniej, niż żołnierze jakiejkolwiek innej armii z tych, które widziałem w czasie wojny...

O ile mogłem zobaczyć i dowiedzieć się, sądziłbym że *morale* armii rosyjskiej jest dobra, i oficerowie i żołnierze są mniej przygnębieni brakiem armat, amunicji i samolotów, niż byłaby jakakolwiek inna armia Koalicji w podobnej sytuacji".

Gdzie jednak widział sir Henry Wilson jakąkolwiek inną armię w „podobnej sytuacji"? W czasie zwiedzania przezeń frontu wydarzył się incydent, o którym nie wspomniał w swoim sprawozdaniu, ale o którym później często opowiadał. Przy pomocy tłumacza rozmawiał z rozmaitymi grupami żołnierzy w okopach i był zdziwiony że pytaniem, które mu najczęściej zadawali, było: „Czy żołnierze angielscy na zachodnim froncie muszą rozrywać zasieki z drutów kolczastych gołymi rękami?"

Lord Milner widział wyraźnie niedostateczność pomocy, jaką według czynionych przygotowań mieliśmy okazać Rosji. W swoim sprawozdaniu oświadczył:

„Z tym wszystkim zakres pomocy, jaką ofiarujemy Rosji — nawet jeżeli wszystko istotnie wykonamy — jest z pewnością znacznie mniejszy od jej niewątpliwych potrzeb".

Jeżeli jednak żołnierzom brakowało broni i amunicji, misja nasza stwierdziła, że ludności cywilnej brak entuzjazmu do długiej wojny. Lord Milner donosił:

„Nastrój ludności rosyjskiej jest w tej chwili niedobry; ludzie są zupełnie zniechęceni, z powodów wewnętrzno-politycznych jak również na skutek zmęczenia wojną. W wyobraźni mas na zachodzie Rosjanie — to nieczuły na przeciwności i nie dający się niczym odstraszyć „walec parowy"; a tymczasem są to ludzie bardzo wrażliwi, łatwo poddający się nastrojowi, niestałego usposobienia. Mam poczucie, że ogólne niezadowolenie może łatwo przejść w wyraźną niechęć do wojny. Krótko mówiąc, sądzę że w tej właśnie chwili z Rosjanami trzeba postępować bardzo ostrożnie; zwłaszcza dotyczy to Anglii... Taka postawa jest tym bardziej pożądana, jeśli się weźmie pod uwagę kłopoty wewnętrzne Rosji. W gruncie rzeczy są one ściśle związane z niepowodzeniami wojennymi, ale nie jestem pewien, czy sami Rosjanie zdają sobie z tego zawsze sprawę... Kiedy zaczyna się analizować te sprawy, staje się rzeczą oczywistą, że zasadniczą przyczyną — nawet niezadowolenia w polityce wewnętrznej — jest niezadowolenie ze sposobu prowadzenia wojny i głębokie rozgoryczenie z powodu niedbalstwa, które doprowadziło do tylu klęsk i za które czyni się odpowiedzialnym rząd".

Nieudolność rządu była niewątpliwie rzeczą ogólnie uznaną.

Depresja, jaka ogarnęła lorda Milnera, gdy zetknął się

z fatalnymi warunkami panującymi w Rosji — udzieliła się i innym przedstawicielom Koalicji. Generał Wilson notuje w swoim dzienniku że kiedy 14-go lutego, po powrocie z frontu, spotkał się z generałem Castelnau, francuskim delegatem wojskowym, znalazł generała.

„w bardzo złym nastroju. Castelnau nie widział, aby Rosjanie mogli przejść do ofenzywy w bieżącym roku; nie wierzył, aby mogli w ogóle cokolwiek przedsięwziąć przed majem, a i w maju nie liczył na nic poważniejszego. Ani żołnierze, ani oficerowie, ani sztabowcy rosyjscy nie zrobili na nim dobrego wrażenia; nie był też zachwycony tymi okopami, które widział, ale zaznaczył że nie oglądał pierwszej linii okopów. Uważał, że na kolejach panuje beznadziejny zamęt; krótko mówiąc nie sądził, aby Rosjanie mogli stawić opór tym dywizjom niemieckim, które stoją na wschodnim froncie, i wobec tego nie wierzył w powodzenie naszej ofenzywy".

Po dwóch dniach Wilson spotkał się z Milnerem, i pisał o tym w dzienniku:

„Znalazłem Milnera w stanie depresji; jest zmęczony, zmartwiony i zobojętniały na wszystko... Rozmowa z Castelnau wpłynęła na niego w okropny sposób".

Wilson próbował pocieszyć Milnera, ale najwidoczniej bez powodzenia, gdyż po dyskusji z Milnerem, Castelnau i innymi, kiedy członkowie misji porównywali swoje notatki i wrażenia, wracając z konferecji, Wilson pisze:

„Milner sądzi, że pokonanie Niemców w polu jest niemożliwe, i uważa wobec tego za pożądane rozważyć sprawę warunków pokojowych".

Przygnębienie lorda Milnera wobec stanu rzeczy, jaki

znalazł w Rosji, musiało być rzeczywiście wielkie, skoro wypowiedział tak ponure myśli.

Wybuch Rewolucji Rosyjskiej, który nastąpił w tak krótkim czasie po zakończeniu konferencji koalicyjnej, unicestwił wszystko czego konferencja dokonała. Cień zbliżającego się szybko przewrotu politycznego ciążył nad obradami przedstawicieli Koalicji. Protokóły zebrań, a bardziej jeszcze memoriały i poufne raporty delegatów brytyjskich dają obraz ogólnego chaosu i dezorganizacji, jawnej korupcji i nieudolności władz; większość zadań, jakie pragnęła wykonać konferencja, była w tej sytuacji tak samo niemożliwa do przeprowadzenia, jak próba uprawy jakichś piasków ruchomych.

Dnia 31 grudnia 1916 roku, na miesiąc przed przybyciem misji koalicyjnej do Petrogradu, nastąpiło zamordowanie Rasputina; nie tylko jednak nie doprowadziło do zbliżenia między dworem cesarskim i narodem, ale wzmogło jeszcze istniejące niezadowolenie, które zaczęło się wyrażać coraz śmielej i głośniej. Podczas swego pobytu w Rosji delegaci nasi słyszeli zupełnie jawnie prowadzone rozmowy — nawet w najwyższych sferach towarzyskich stolicy — w których wyrażano pogląd, że car i caryca zostaną prawdopodobnie zamordowani. Okazało się zresztą, że główne nadzieje wiązane były w pewnych sferach z konferencją koalicyjną z tego właśnie względu, iż spodziewano się po niej postanowień, które pod tym czy innym pretekstem usuwałyby z Rosji cara i carycę i oddawały władzę regentowi, zdolnemu do poprawy stosunków.

Recz dziwna jednak, delegaci angielscy nie byli skłonni brać zupełnie na serio wszystkich tych rozmów. A niezależnie od rozmów, ambasador brytyjski sir George Buchanan poinformował delegację angielską, że car waha się między nadaniem konstytucji liberalnej a rozwiązaniem Dumy, przy czym skłania się wyraźnie do tej drugiej alternatywy. Z drugiej strony Rodzianko, przewodniczący Dumy, zawiadomił Milnera, że większość posłów postanowiła kategorycznie

nie podporządkować się ewentualnemu dekretowi carskiemu, rozwiązującemu Dumę. Groził więc konflikt między carem i przywódcami ludowymi.

Jeszcze cenniejsze wiadomości otrzymała delegacja od pułkownika Knoxa — oficera który nie obwijał swoich słów w bawełnę i nie tylko widział rzeczy takimi jakimi istotnie były, ale i meldował o nich wiernie swoim zwierzchnikom. Według informacyj Knoxa car, przewidując kłopoty w razie rozwiązanie Dumy, rozkazał dwum wyborowym pułkom (w tym pułkowi gwardii) opuścić front i przybyć natychmiast do Petrogradu, aby utrzymać porządek i zastraszyć spiskowców. Wszyscy oficerowie tych pułków podpisali petycję, w której prosili o pozostawienie ich na froncie. I wiedząc o tym wszystkim, nasza delegacja nie spodziewała się jednak szybkiego przewrotu!

Otrzymała zresztą jeszcze jedno ostrzeżenie. Duma miała się zebrać w tydzień po zakończeniu konferencji. Delegacja prosiła o pozwolenie pozostania w Rosji, aby móc być na pierwszym posiedzeniu. Urzędnik dworski zawiadomił delegatów poufnie, że jeśli zostaną, zwołanie Dumy będzie odłożone o dalsze dwa tygodnie. Wyglądało to już wyraźnie niepokojąco; delegaci powinni byli zrozumieć tę wiadomość jako wskazówkę, że car postanowił stłumić wszelkie próby porozumienia z liberalnymi przywódcami (socjaliści nie pojawili się jeszcze na arenie politycznej), i że tego rodzaju kurs musi doprowadzić do anarchii. A jednak delegaci nasi wrócili głęboko przekonani, że nie będzie rewolucji przed zakończeniem wojny. Wyjątkiem był może tylko sir Walter Layton; zapytany po powrocie: „Czy bardzo są przejęci wojną?" — odpowiedział: „Nie, zbyt są zajęci myślami o nadchodzącej rewolucji". Ale oficjalne sprawozdanie Laytona zajmowało się tylko — zgodnie z jego zadaniem — sprawą zaopatrzenia armii rosyjskiej, i wobec tego gabinet angielski nie został poinformowany o wnioskach, do jakich doszedł on osobiście.

Kierownik delegacji angielskiej, lord Milner, był z wy-

kształcenia i temperamentu biurokratą. Nie wiedział nic o tłumie, zapełniającym ulice pod oknami jego biura. Nie pogardzał tym tłumem — ale po prostu nie brał go pod uwagę w swoich obliczeniach. Znajomość nastrojów i sposobu myślenia tłumu nie wchodziła w zakres kwalifikacyj, jakich wymagano od człowieka wstępującego na służbę państwową; nie była też potrzebna do dalszej kariery. Przeciwnie — im bardziej człowiek interesował się takimi sprawami, tym mniej miał szans na awans. Od tego byli politycy; a lord Milner nie był wówczas i nigdy nie został politykiem. Henry Wilson był w każdym calu żołnierzem zawodowym — a liczył sobie znacznie więcej cali od przeciętnego śmiertelnika. Żołnierz zaś nie miał wogóle obowiązku brać pod uwagę ludzi — z wyjątkiem osobników, znajdujących się w armii. Jeśli chodzi o tych ostatnich — Wilson interesował się nimi wyłącznie z punktu widzenia dyscypliny. Najwyższym kryterium dyscypliny jest salutowanie oficerów — a Wilson widział na własne oczy, że żołnierze rosyjscy wywiązywali się wspaniale z tego zadania. Z tego względu bunt w armii rosyjskiej na razie nie groził, a jeżeli można było polegać na armii — „magowie" (jak zawsze nazywał polityków), gadający w Dumie, nie mieli znaczenia. Wilson sam nie pozbawiony był przesądów politycznych, ale były to przesądy o charakterze sekciarskim i nie miały nic wspólnego z zagadnieniami rosyjskimi; nienawidział „papistów" i patriotów irlandzkich, a wśród cywilów i żołnierzy rosyjskich nie spotykał ani jednych, ani drugich. Dlatego też Wilson zupełnie niezależnie od Milnera i z innego punktu widzenia popierał jego wniosek, że w najbliższej przyszłości żaden przewrót nie grozi. Tak więc wszyscy główni członkowie komisji godzili się co do tego, że chociaż rewolucja jest nieunikniona, nie wybuchnie jednak przed zakończeniem wojny. Porównawszy po powrocie do domu swoje notatki, członkowie komisji upoważnili lorda Milnera do złożenia w ich imieniu raportu, w którym czytamy:

„Co się tyczy czysto politycznej strony zagadnienia, doszedłem do wniosku, że jest wielka przesada w tym co się mówi o rewolucji, a zwłaszcza o rzekomym wrogim nastroju armii. Że armia jest bardzo niezadowolona — to rzecz zupełnie naturalna; ale jest wielka różnica między niezadowoleniem w armii i wśród ludności, a nawet między wyraźnym, publicznym wypowiadaniem tego niezadowolenia (gdyż w Rosji panuje zadziwiająca wolność słowa) — a istnieniem prawdziwie rewolucyjnego ruchu. Jeśli zaś na chwilę przyjąć, że rewolucja odniosłaby zwycięswo, wpływ jej na prowadzenie wojny napawałby mnie wielkim niepokojem. Bo chociaż despotyzm jest złą formą rządów, trzeba będzie niemal całego pokolenia, aby wprowadzić coś na jego miejsce".

Jeśli wziąć pod uwagę ostrzeżenia, które członkowie delegacji otrzymywali ze wszystkich stron, ich ślepota i głuchota jest rzeczą wprost niezrozumiałą. Stanowi ona jeszcze jeden dowód, że najinteligentniejszy umysł da się wprowadzić w błąd na widok zasłony, reprezentującej ustalony porządek rzeczy, jeśli nie zainteresuje się stanem muru, który zasłona zakrywa i na którym wisi. Wszystko przecież co widzieli nasi emisariusze, i większość tego co słyszeli, wskazywało na rewolucję, na bardzo bliską rewolucję; nawet sir Henry Wilson pisał w swoim prywatnym pamiętniku:

„Wydaje się rzeczą najpewniejszą na świecie, że cesarz i cesarzowa staczają się ku katastrofie. Wszyscy tutaj — oficerowie, kupcy, panie z towarzystwa — mówią otwarcie o konieczności pozbycia się ich.... Para cesarska utraciła sympatie ludu i szlachty, a teraz traci sympatie armii; nie widzę dla niej żadnej nadziei. Będą tu się jeszcze działy okropne rzeczy".

G. R. Clerk — obecnie sir George, ambasador angielski w Paryżu, a wówczas doświadczony urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który towarzyszył misji — przedłożył lordowi Milnerowi raport o swoich wrażeniach; oto cytata z tego raportu:

„Kiedy w d. 21-go stycznia misja opuszczała Anglię, wydawało się że najważniejszym czynnikiem w sytuacji rosyjskiej są możliwe następstwa zamordowania Rasputina. Po przybyciu jednak do Petrogradu stwierdziliśmy tylko ogólne poczucie ulgi, że na świecie jest o jednego szkodliwego i antypatycznego osobnika mniej; po za tym nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło — jedynym rezultatem morderstwa był panujący nastrój powątpiewania, czy despotyzm może być złagodzony przy pomocy mordów. Ten nastrój jest charakterystyczny dla całej obecnej sytuacji w Rosji. Każdy członek misji słyszał ze wszystkich stron, od Rosjan i od cudzoziemców, że jakieś poważne wydarzenia są nieuniknione; chodziło tylko o to, czy usunięty zostanie cesarz, cesarzowa, czy p. Protopopow — czy wszyscy troje. Poza tym wszyscy się zgadzali, że podczas wojny nie powinno być rewolucji, ale nikt nie mógł powiedzieć jak bez rewolucji, albo dalszych zabójstw, można położyć tamę zgubnemu wpływowi cesarzowej. Każdego, kto orientował się choć trochę w sprawach rosyjskich, uderzyć musiała otwartość z jaką ludzie wszystkich warstw społecznych — nie wyłączając osób najbliższych tronu i oficerów, zajmujących wysokie stanowiska wojskowe — mówili o cesarzowej i jej ślepych narzędziach — cesarzu i p. Protopopowie. Dla mnie rzeczą jeszcze bardziej zadziwiającą było zupełne pozbawienie misji kontaktów, które pozwoliłyby jej usłyszeć jakąś obronę czy poważniejsze wytłumaczenie polityki cesarza. Do pewnego stopnia spowodowali to niewątpliwie reakcjoniści, którzy nie chcieli dać misji

żadnego pretekstu do dyskutowania wewnętrznych zagadnień Rosji; moim zdaniem jednak ta postawa reakcjonistów wywołana była z kolei przede wszystkim postawą koterii liberalnej i antyrządowej, starającej się — sądzę, że z pewnym powodzeniem — użyć misji jako narzędzia w walce o swoje zasady. Na razie jednak pozostaje faktem, że dopóki obecny minister spraw wewnętrznych nie wypadnie z łask cesarza, pozostanie najpotężniejszym człowiekiem w Rosji; z nim też, albo z jakimś człowiekiem podobnych tendencyj, będziemy się musieli liczyć aż do zakończenia wojny.

Nie wierzę aby rewolucja wybuchła, zanim wojna się skończy, chyba żeby niedbalstwo i niedołęstwo rządu doprowadziło do jakiejś żakerii, co jest bardzo nieprawdopodobne. Muszę jednak zaznaczyć, że pod tym względem większość opinii nie podziela prawdopodobnie mojego zdania; nie podziela go napewno większość opinii w Rosji. (Patrz załączone sprawozdanie z rozmów lorda Milnera z p. Czełnokowem i księciem Lwowem w Moskwie)..."

Rozmowa, na którą powołuje się Clerk, powinna była przekonać lorda Milnera, że niebezpieczeństwo przewrotu jest bliskie. Ci którzy dalej są zdania — p. Churchill jest najbardziej elokwentnym wyznawcą tego poglądu — że reżim carski pokonał właśnie w owej chwili, dzięki heroicznym wysiłkom, większość trudności z jakimi Rosja walczyła, i obalony został w przeddzień ostatecznych sukcesów w tej dziedzinie — powinni przeczytać poufny raport o rozmowie lorda Milnera z tymi dwoma ludźmi, należącymi do najbardziej umiarkowanych przywódców Dumy. Rozmowa odbyła się 11-go lutego. natychmiast po przyjeździe lorda Milnera.

„P. Czełnokow, dzięki swemu stanowisku burmistrza Moskwy, oraz dzięki czynnej i pożytecznej roli, jaką odegrał na tym stanowisku w czasie wojny, jest dziś jedną z najbar-

dziej znanych osobistości w Rosji; zaś książę Lwow zyskał sobie, jako prezes Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw, powszechne uznanie jako najlepszy może dziś w Rosji organizator.

Rozmowa była traktowana przez obie strony całkowicie poufnie i prowadzona z wielką otwartością. Dwum wybitnym Rosjanom chodziło w niej przede wszystkim o to, aby przekonać lorda Milnera, że obecny stan rzeczy nie może w żaden sposób trwać dłużej. Niedołęstwo władz — oświadczyli — doszło do tego, że chociaż w kraju nie ma istotnego braku pożywienia, a opału jest pod dostatkiem, jednak niektóre rejony są bardzo bliskie głodu. Dotąd rząd — zawsze co prawda z opóźnieniem — dawał pieniądze, kóre pozwoliły Związkowi Ziemstw i Związkowi Miast na ich działalność, tak niesłychanie pożyteczną dla walczącej armii rosyjskiej. Są jednak oznaki że minister spraw wewnętrznych, w swym ślepym dążeniu do zniszczenia wszelkiej organizacji, w której mogłyby się ukrywać jakieś zalążki tendencyj liberalnych, będzie się starał o cofnięcie niezbędnych obu związkom funduszów. Uczynienie tego miałoby dla armii następstwa dosłownie katastrofalne, i być może że ta okoliczność uratuje istnienie związków; ale napotykają one już teraz na wszelkiego rodzaju obstrukcję i trudności, choć dostają dalej pieniądze.

Innym przykładem zupełnej nieudolności jest chaotyczny sposób powoływania do szeregów: setki tysięcy ludzi poodrywano od rozmaitych pożytecznych zawodów i wcielono do armii — i w rezultacie ludzie ci są na przykład tysiącami skoszarowani w Moskwie, bez broni i bez żadnego militarnego pożytku; jednocześnie zaś brak rąk roboczych, wraz z brakiem opału i t. p., prowadzi w tej samej Moskwie do zamykania fabryk; nawet w wypadku, kiedy fabryka pracuje, nie ma kto transportować materiału na kolej i z kolei. *Siedemnaście milionów ludzi powołano do szeregów, nie licząc się z żadnymi warunkami osobistymi: przeszło połowa tych ludzi nie ma broni i wałęsa się, nic nie robiąc.*

Parę miesięcy temu jedno słowo cesarza do narodu, dowodzące że zdaje on sobie sprawę z sytuacji i chce ją naprawić, zmieniłoby zupełnie nastrój i zjednoczyło całą Rosję w entuzjastycznym wysiłku przeprowadzenia wojny aż do końca — z całą energią, na jaką stać naród rosyjski; dziś jednak pozycja cesarza, jako ojca swego narodu, jest zachwiana do tego stopnia, że żaden Rosjanin nie uważałoby takiej zmiany za możliwą. Nie można nawet powiedzieć, aby cesarz był nielubiany albo niepopularny, ale dla ludu rosyjskiego osoba cesarza stała się zupełnie obojętna. Charakteryczny dla tego nastroju jest fakt, powszechnie dziś obserwowany, że chłopi wychodzą z cerkwi, kiedy zaczyna się modlitwa za cesarza.

Książę Lwow obawia się, że jeśli nie przedsięwzięte zostanie coś co zmieni obecny stan rzeczy, nic nie zdoła zapobiec grożącej rewolucji. Z każdym dniem sytuacja staje się trudniejsza i dezorganizacja rośnie; położenie wymaga wobec tego stosowania coraz bardziej drastycznych środków. Książę Lwow miał osobiście poważną nadzieję, że uda się bez rewolucji przeprowadzić jakąś zmianę na lepsze, wystarczającą przynajmniej do tego, aby zapewnić krajowi jako tako przyzwoitą administrację na czas wojny; z każdym dniem jednak nadzieja jego maleje — i chociaż nie powiedział tego wyraźnie, lord Milner miał wrażenie, że książę uważa obecność misji koalicyjnej za ostatnią może sposobność do otworzenia oczu cesarzowi, zanim będzie za późno. Jedyną wyraźną aluzją ze strony księcia co do kroków, jakie należałoby uczynić w tym kierunku, była uwaga, że Koalicja powinna udzielić dalszych dostaw tylko pod warunkiem, iż będą one — albo przynajmniej ich część — oddane do dyspozycji organizacjom do kórych Sojusznicy mają zaufanie, takim jak Związki Ziemstw i Miast...

Lord Milner powiedział.... że misja koalicyjna nie przybyła tutaj dla dyskutowania wewnętrznych spraw rosyjskich, lecz dla omówienia spraw związanych z prowadzeniem wojny,

i przedstawiciele Koalicji mogą — choćby pośrednio — omawiać zagadnienia polityczne tylko o tyle, o ile wewnętrzne warunki Rosji wpływają ujemnie na prowadzenie wojny. Zarazem jednak lord Milner nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, że całkowicie podziela stanowisko księcia Lwowa i p. Czełnokowa; oświadczył że poinformuje przy okazji cesarza o dodatnim wrażeniu, jakie wyniósł, zaznajomiwszy się z ich pracą w czasie pobytu w Moskwie; i chciałby też — dodał — powiedzieć cesarzowi, choć nie powinien tego robić, że Jego Cesarska Mość dobrze uczyni jeśli zamianuje księcia Lwowa ministrem spraw wewnętrznych. Książę Lwow odpowiedział zaraz, że nie mógłby objąć takiego stanowiska, ale rozumie zupełnie punkt widzenia lorda Milnera. Wszystko — dodał — czego on i p. Czełnokow pragnęli i na co liczyli — to aby lord Milner znał dokładnie sytuację w Rosji; obecnie są pewni, że ten cel został osiągnięty."

Tak więc najwybitniejsi przywódcy Dumy apelowali do lorda Milnera, aby misja koalicyjna użyciem całego swego wpływu skłoniła cara do zapoczątkowania niezbędnych reform i do harmonijnej współpracy z przedstawicielami ludności; podobny apel uczyniony został wobec delegacji francuskiej. Jest coś dramatycznego w tym zwróceniu się do p. Doumergue'a i jego kolegów z prośbą, aby ratowali Rosję od nadciągającej katastrofy. Milukow, wybitny historyk rosyjski, i Makłakow, wielki mówca Dumy, zaprotestowali gorąco w czasie tej rozmowy przeciw radom, zalecającym im cierpliwość:

„Na sam dźwięk słowa „cierpliwość" Makłakow wybuchnął: „Mamy dosyć cierpliwości!... Nasza cierpliwość wyczerpała się ostatecznie! A poza tym, jeśli nie przejdziemy szybko do czynów, masy przestaną nas słuchać."

Potem Makłakow przypomniał uwagę Mirabeau:

„Nie proś nigdy o zwłokę! Katastrofa nie zgadza się nigdy jej udzielić!"*)

Delegaci rozumieli jednak pewną trudność wywarcia nacisku na cara w sprawie wewnętrznej administracji kraju, którego był despotycznym władcą. Sir George Buchanan mówił z nim bardzo szczerze. Szczerość ta wywołała odpowiedź, której arogancja będzie zawsze cytowana jako przykład wielkiej zarozumiałości, poprzedzającej żałosny upadek.**) Nie ma jednak w sprawozdaniach żadnych śladów tego, aby którakolwiek z delegacyj koalicyjnych zdobyła się na taką odwagę, ryzykując podobną reprymandę. Jak się zdaje, delegacja francuska interesowała się bardziej rozszerzeniem granic Francji po zwycięstwie, niż wytworzeniem warunków, niezbędnych do osiągnięcia zwycięstwa.

Paléologue opisuje w swoim zachwycającym pamiętniku pierwszą rozmowę, jaką miał z Doumergue'iem. Doumergue zapytał najprzód, jaka jest wewnętrzna sytuacja Rosji; usłyszał w odpowiedzi: „Rosja idzie prosto ku katastrofie — musimy się spieszyć!" Wówczas, idąc za radą ambasadora, zażądał aby Paléologue postarał się jak najszybciej wydostać od cara piśmienną obietnicę, że Rosja poprze w czasie pertraktacyj pokojowych żądania Francji, domagając się lewego brzegu Renu. Premier francuski dał misji w tej sprawie — zdaje się, że tylko w tej — określone instrukcje. Car wydał oficjalne przyjęcie na cześć delegatów Koalicji. Gdy w trakcie wieczoru pojawiła się okazja rozmowy z carem, Doumergue skorzystał

---

*) M. Paléologue, *Pamiętniki Ambasadora*, s. 188.

**) Sir S. Buchanan: „Wasza Cesarska Mość, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ma tylko jedną drogę przed sobą — mianowicie zburzenie przeszkody, oddzielającej Go od Jego narodu, oraz zdobycie znów zaufania tego narodu". Cesarz: „Czy Pan uważa, że to ja mam odzyskać zaufanie narodu — a nie, że naród ma odzyskać moje zaufanie?" (Sir S. Buchanan, *Moja misja w Rosji*, t. II, s. 46).

z niej z iście francuską przytomnością umysłu. Zaczął rozmowę od nic nie mówiącej sentencji na temat doniosłości jednoczesnej ofenzywy na wschodzie i zachodzie. Car zaaprobował ten postulat. Wówczas delegat francuski przeszedł do rzeczy, „przystępując do sprawy lewego brzegu Renu". Francja musi otrzymać z powrotem Alzację i Lotaryngię — przy czym chodzi o Lotaryngię w starożytnych granicach, z dziewiątego stulecia. Resztę terytoriów lewego brzegu Renu należy oddzielić od Niemiec i poczynić kroki dla zapewnienia im odpowiedniej administracji. Doumergue omówił każdą z tych spraw „jak najbardziej szczegółowo", i uzyskał bezwarunkową zgodę cesarza na wszystkie swoje propozycje. Nie miał już oczywiście czasu na rozmowę o wewnętrznych trudnościach Rosji — o brak żywności i opału w wielkich miastach i wynikającym stąd wrzeniu rewolucyjnym, ani o niedostatecznym wyposażeniu technicznym armii rosyjskiej, uniemożliwiającym Koalicji przedsięwzięcie jednoczesnej ofenzywy na wszystkich frontach. Car obawiał się — jak pisze przedstawiciel Francji — „że delegaci będą mu dawać nieproszeni rady co do polityki wewnętrznej". Został pod tym względem uspokojony. Nie można przecież wyzyskiwać za bardzo kurtuazji cesarza, który na oficjalnym przyjęciu zgodził się na odbycie tak długiej rozmowy; wyzyskiwanie zaś tej kurtuazji dla poruszenia nieprzyjemnych tematów — zwłaszcza po tym, kiedy cesarz udzielił przychylnej odpowiedzi na główną petycję delegatów — byłoby przecież rzeczą w najwyższym stopniu niegrzeczną i nietaktowną!

Jak opowiadają, wobec tej wstrzemięźliwości francuskiej car z wielką ulgą zapalił papierosa i przeszedł do innych grup gości. Nie był jednak zupełnie pewien, czy konwersacja z delegatami angielskimi i włoskimi byłaby równie przyjemna; postanowił więc nie ryzykować. Czytamy w sprawozdaniu, że „każdy usłyszał od cara jakieś grzeczne słówko, ale nic więcej; nie rozmawiał już z nikim."

W tym właśnie czasie „Rosja kroczyła prosto ku przepa-

ści", a po paru tygodniach stoczyła się w nią — pociągając za sobą uprzejmego i zgodnego cara wraz z daną Francji obietnicą.

W tym czasie wszyscy byli pewni, że rewolucja poprzestanie na złożeniu z tronu cara Mikołaja i zastąpieniu go przez syna; obietnice więc cara wiązać będą jego następcę. Stąd pragnienie francuskiego rządu, aby uzyskać umowę, zanim car Mikołaj zniknie z widowni. Regent i jego doradcy mogliby być przecież mniej uprzejmi.

Aby w najważniejszej dla Francji sprawie — otrzymaniu lewego brzegu Renu — nie pozostawić żadnej niejasności, Briand polecił ambasadorowi francuskiemu w Petrogradzie przedstawić raz jeszcze żądania francuskie na piśmie. Oto co pisze Paléologue o poczynionych przez siebie krokach:

„Środa, 14-go lutego, 1917 r.

Działając w myśl instrukcji otrzymanych od Brianda, wysłałem właśnie następujący list do Pokrowskiego:

Mam zaszczyt zawiadomić rząd Jego Cesarskiej Mości, że rząd francuski pragnie włączyć do warunków pokoju, które mają być narzucone Niemcom, następujące gwarancje i postanowienia terytorialne:

1) Alzacja i Lotaryngia mają wrócić do Francji;

2) Granice tych prowincyj mają sięgać co najmniej do granic dawnego księstwa Lotaryńskiego; przeprowadzone zostaną tak, aby uwzględnione były konieczności strategiczne i aby całe zagłębie węglowe w dolinie Saary należało do Francji;

3) Pozostałe terytoria na lewym brzegu Renu, należące obecnie do Rzeszy Niemieckiej, mają być od Niemiec zupełnie oddzielone i uwolnione od wszelkiej politycznej i gospodarczej zależności od nich;

4) Terytoria na lewym brzegu Renu, które nie zostaną przyłączone do Francji, tworzyć mają autonomiczne i niezależne państwo; będą one okupowane przez wojska francuskie, dopóki państwa nieprzyjacielkie nie spełnią wszystkich warunków i nie dadzą wszystkich gwarancyj, przewidzianych w traktacie pokojowym.

Rząd Republiki Francuskiej byłby szczęśliwy, gdyby w realizacji swoich zamiarów mógł liczyć na poparcie rządu cesarskiego..."*)

Dobrą wiarę i braterskie stosunki między państwami Koalicji charakteryzuje fakt, że rząd „perfidnego Albionu" utrzymany był w zupełnej niewiedzy co do tych tajnych pertraktacyj i obietnic, dotyczących treści przyszłego traktatu pokojowego. Obietnice uzyskane zostały w Petrogradzie w obecności delegacji angielskiej i włoskiej, ale bez ich wiedzy, i ani razu nie uczyniono wobec nich nawet żadnej aluzji co do toczących się pocichu rozmów... Gdy później rewolucjoniści ujawnili istnienie tego tajnego układu między dwoma sojusznikami, rząd francuski oświadczył prywatnie naszemu ambasadorowi, że w tym wypadku Doumergue wykroczył poza otrzymane instrukcje.

Główna uwaga delegacji francuskiej ześrodkowana była na zagadnieniu, nie związanym ze skutecznym prowadzeniem wojny; dlatego delegaci francuscy nie przedsiębrali żadnych kroków w doniosłej dla wszystkich sprawie — przekonania cesarza i jego rządu, że trzeba położyć kres panującemu w Rosji chaosowi. Nawet zresztą odważny Buchanan musiał się pilnować, aby nie posuwać swojej dyplomatycznej szczerości za daleko. Po znanej rozmowie, w której powiedział wprost cesarzowi, że może utracić zaufanie narodu, nastąpił obiad wydany na cześć delegacji koalicyjnej, na którym sir George — jako dziekan korpusu dyplomatycznego — siedział obok cesa-

*) Paléologue, *Wspomnienia*, s. 192.

rza. Opisał ten obiad w interesującym liście, który widziałem. Był niespokojny o sposób, w jaki car potraktuje go po ostatniej audiencji, ale stwierdził „z zadowoleniem, że cesarz nie okazuje najmniejszych śladów urazy o to co usłyszał." I Buchanan pisze dalej: „Ponieważ bardzo pragnąłem utrzymania się na dawnej stopie z Jego Cesarską Mością, starannie unikałem wszelkich niebezpiecznych tematów." Tak paraliżująco działa majestat tronu na najodważniejszych i najbardziej z nim obytych ludzi! Jeśli ambasador obcego — i wielkiego — państwa nie mógł mówić swobodnie z cesarzem, jak można było spodziewać się że biedni ministrowie, „którzy dziś są, a jutro rzuceni zostają wilkom na pożarcie", narażą się na jego gniew? Ciemne chmury, osłaniające tron, mogą budzić przestrach, — ale nie pozwalają również widzieć zbliżających się niebezpieczeństw.

Starania misji, aby wpłynąć na cara i skłonić go do oczyszczenia najwyższych stanowisk i do współpracy z patriotyczną ale niezależną inteligencją rosyjską, były sporadyczne, nieśmiałe, i w rezultacie — nie wywarły wrażenia. Dlatego zadanie to skończyło się fiaskiem. Gdyby Milner, Doumergue i Scialoia wystąpili wspólnie i oświadczyli z naciskiem, że sojusznicy zachodni nie udzielą Rosji dalszej pomocy, jeśli car i jego ministrowie nie będą lojalnie współpracowali z Dumą — sytuacja mogła być uratowana.

W tydzień po powrocie delegatów angielskich do Londynu w Rosji wybuchły poważne zaburzenia — demonstracje na ulicach i bunty na okrętach wojennych. Chociaż sir George Buchanan przewidział nadchodzącą burzę swoim trzeźwym i przenikliwym umysłem — nie poznał jednak w rozgrywających się wydarzeniach początku tego, czego nadejście przepowiadał. Codzień donoszono o nowych zaburzeniach, strajkach i rozruchach głodowych; z każdym dniem sytuacja się pogarszała. Ulice pełne były robotników, którzy strajkowali, ponieważ nie mieli chleba. Urządzano zamachy na pociągi; wybuchały starcia z policją i trzeba było wzywać kozaków. aby

przywrócić spokój. Później przyszły strzały i ofiary — ale ambasada donosiła uspakajającym tonem: „Jeśli uda się utrzymać jaki taki porządek dziś i jutro bez poważnych ofiar w ludziach, radca ambasady skłonny jest przypuszczać, że niepokój minie, jak to się już nieraz dawniej działo". Dalej było, co prawda, zastrzeżenie co do konieczności „rozwiązania sprawy aprowizacyjnej" i co do tego, że nie należy zapominać o istniejącym antagonizmie politycznym — chociaż jest on mniej ważny.

Pierwszego dnia rewolucji — kiedy nasz attaché wojskowy telegrafował, że cała gwardia w Petrogradzie zbuntowała się, pozabijała oficerów, wtargnęła do arsenałów artylerii i zaopatrzyła się w armaty; kiedy zbuntowane oddziały panowały całkowicie nad sytuacją, przy czym nie było przywódców, którzy kierowaliby wypadkami — nasz ambasador donosił: — „Wzburzenie zapewne na razie ucichnie, jeżeli dziś nie będzie jakiejś wyraźnej prowokacji ze strony rządu". Dlaczgóżby, w samej rzeczy, nie miało nastąpić uspokojenie? Zajścia tego rodzaju zdarzały się już dawniej — może nie w takiej ostrej formie, ale też dość poważne — i przechodziły po pewnym czasie w martwy spokój.

W pewnym momencie jednak stało się rzeczą oczywistą, że wybuch ma inny charakter i odbywa się w zupełnie innej skali, niż to co się dotąd zdarzało. Garnizon Petrogradu odmówił carowi posłuszeństwa. Wszystko zależało teraz od armii na froncie. Czy armia pozostawała wierna carowi? Gdyby tak było, sytuacja byłaby jeszcze do opanowania. Dzień za dniem mijał, a sprawa wydawała nam się wciąż niejasna. Ale, jak się okazało później, nawet wyżsi oficerowie nie odczuwali żadnego przywiązania do cara. Nikt w Petrogradzie nie wiedział, co się z carem stało. W dwa dni po wybuchu rewolucji minister spraw zagranicznych wypowiedział pogląd, że „uśmierzenie powstania nie będzie rzeczą trudną, gdyż powstańcy zmęczą się wkrótce, a poza tym zabraknie im amunicji". Nawet Guczkow, członek Komitetu Wykonawczego

Dumy, oświadczył Buchananowi, że „nie uważa sytuacji za rozpaczliwą, jeśli tylko cesarz pójdzie za udzieloną mu radą i zgodzi się na rekonstrukcję rządu".

Jednakże 15-go marca sir George Buchanan telegrafował do Balfoura, że „nie wiadomo zupełnie, gdzie jest w tej chwili cesarz i kiedy może przybyć do Carskiego Sioła". Podkreślał dalej, że „zwłoka może mieć jak najpoważniejsze następstwa, gdyż skrajna partia socjalistyczna z każdym dniem rośnie na siłach". Agituje ona za republiką i ma w swych szeregach licznych zwolenników pokoju. Nastąpiło utworzenie Rządu Tymczasowego z jednym tylko socjal-demokratą, Kiereńskim; rząd postanowił żądać abdykacji cesarza.

Najpoważniejszym czynnikiem rewolucji był konflikt między carem a Dumą. Od samego niemal początku żołnierze i marynarze opowiedzieli się za przedstawicielstwem ludowym. Z chwilą kiedy Duma wyłoniła Rząd Tymczasowy — panowanie Romanowych było skończone.

ANGLIA WOBEC PRZEWROTU I SPRAWA BYŁEGO CARA.*)

Kiedy rewolucja stała się faktem, gabinet angielski omówił sprawę swego stosunku do Rządu Tymczasowego i postanowił zaproponować Izbie Gmin powzięcie rezolucji z wyrazami serdecznego pozdrowienia dla Dumy. Pozostawała postawa wobec byłego cara. Nie ma dla człowieka sprawy trudniejszej i bardziej bolesnej, niż zagadnienie: co zrobić z przyjacielem, który swym postępowaniem zabagnił zupełnie interesy jakiegoś wspólnego przedsiębiorstwa? Jeśli odwrócę się od niego — będę miał poczucie, że porzucam lojalnego kolegę w trudnej sytuacji; jeśli go poprę — utracę napewno resztę majątku, która tkwi jeszcze w przesiębiorstwie. Na szczęście, w danej sytuacji dylemat taki nie istniał: car abdykował, i wobec tego nie mogło być mowy o nielojalności dla człowieka, który w złych i dobrych okresach wojny stał wiernie u boku swoich sojuszników. Dnia 22-go marca Bonar Law, jako przywódca większości rządowej, zaproponował Izbie Gmin następującą rezolucję:

„Izba Gmin przesyła Dumie braterskie pozdrowienie i wyraża serdeczne gratulacje narodowi rosyjskiemu, który wprowadził u siebie ustrój oparty na wolności; Izba jest głęboko przekonana, że dzięki temu ustrojowi Rosja nie tylko pójdzie szybko drogą szczęścia i postępu,

*) Zakończenie rozdziału „Rewolucja rosyjska", opisującego przebieg i charakter rewolucji do abdykacji Mikołaja II. *(Przyp. tłum.).*

ale również prowadzić będzie z nowym wigorem i zdecydowaniem wojnę przeciw twierdzy despotycznego militaryzmu, zagrażającego swobodzie Europy".

W przemówieniu, motywującym rezolucję, Bonar Law wypowiedział uczucia wszyskich partyj, reprezentowanych w Izbie Gmin i w kraju, wobec zmian jakie nastąpiły w ustroju wielkiego państwa sojuszniczego.

„Nie jest jak sądzę naszą sprawą sądzić, a tym bardziej potępiać ludzi, którzy wchodzili do rządu jednego z państw sojuszniczych; mogę jednak, mam nadzieję, dać wyraz przekonaniu, które — jak wierzę — podziela znaczna większość członków Izby Gmin, a które w każdym razie ja odczuwam bardzo silnie: pragnę mianowicie wyrazić współczucie dla byłego cara, który przez trzy lata, — albo prawie trzy lata — był naszym lojalnym sojusznikiem. Urodzenie nałożyło na cara ciężar, który okazał się dlań za ciężki. Jednocześnie nie możemy zapomnieć że jedną ze spraw, o które toczy się wojna — najważniejszą z tych spraw—jest zagadnienie, czy ustroje oparte na wolności mogą się obronić przed napaścią despotyzmu militarnego. Z tego względu możemy tylko się cieszyć w nadziei, że w ostatnich stadiach tego światowego konfliktu we wszystkich państwach sojuszniczych u władzy będą rządy, reprezentujące lud. Rząd zdaje sobie dobrze sprawę że wniosek, jaki składa pod rozwagę Izby Gmin, może być uważany za przedwczesny; złożyliśmy go jednak w przekonaniu i w nadziei, że jeśli proponowana rezolucja przyjęta zostanie już obecnie, może ona wzmocnić pozycję rządu rosyjskiego w oczekującym go trudnym zadaniu."

Asquith, który poparł wniosek, słusznie oświadczył:

„Rezolucja zaproponowana przez mego szanownego przyjaciela wyraża w moim przekonaniu pogląd nie tyl-

ko Izby Gmin, ale całego narodu Zjednoczonego Królestawa i wszystkich ludów Imperium Brytyjskiego... Autokracja, która mimo dziwnych kolei swojej historii i mimo losów poszczególnych jej przedstawicieli, wydawała się integralną częścią życia rosyjskiego i instytucją, niemożliwą do obalenia — została obrócona w nicość w ciągu kilku dni, nie okazawszy żadnego prawie oporu, nie broniąc się prawie. Przyszła forma ustroju w Rosji ustalona zostanie — jak się z przyjemnością dowiadujemy — swobodną decyzją całego narodu. Jakkolwiek ta decyzja wypadnie — już teraz, na skutek tego właśnie odwołania się do narodu, Rosja zajmuje miejsce obok wielkich demokracyj świata. My tutaj, jako ojczyzna — jak nam przypomniał mój szanowny przyjaciel — instytucyj parlamentarnych i głosowania ludowego, uważamy nie tylko za nasz szczególny przywilej, ale za przysługujące nam specjalne prawo, że pierwsi dajemy wyraz naszej radości z powodu emancypacji ludu rosyjskiego i pierwsi witamy go w rodzinie wolnych narodów."

24-go marca wysłałem następującą depeszę do księcia Lwowa, nowego rosyjskiego premiera:

„Naród angielski i narody dominiów brytyjskich dowiedziały się z uczuciem najgłębszego zadowolenia, że ich wielki sojusznik — Rosja — znajduje się odtąd w liczbie narodów, których ustrój oparty jest na instytucjach parlamentarnych. Aczkolwiek cenimy sobie wysoko współpracę z nami byłego Cesarza i armii rosyjskiej w ciągu ostatnich dwóch i pół lat, uważamy jednak że Rewolucja, przy której pomocy Rosjanie oparli swoją przyszłość na niezawodnym fundamencie wolności, jest największą przysługą, jaką naród rosyjski oddał dotąd sprawie, o którą narody Koalicji walczą od sierpnia 1914 roku. Rewolucja ta ukazuje zasadniczą prawdę — że w

gruncie rzeczy wojna dzisiejsza jest walką o wolność i o ustrój, oparty na przedstawicielstwie ludowym. Pokazuje ona, że na skutek wojny zasada wolności, będąca jedyną istotną gwarancją pokoju światowego, odniosła już jedno wielkie zwycięstwo. Daje nam ono pewność że militarny despotyzm pruski, który wojnę wywołał i który jest dalej jedyną zaporą na drodze do pokoju, zostanie wkrótce obalony. Wolność jest jedyną gwarancją pokoju, i nie wątpię, że na skutek wprowadzenia u siebie trwałego ustroju konstytucyjnego naród rosyjski umocniony będzie w swym postanowieniu prowadzenia dalej tej wojny, dopóki ostatnia twierdza tyranii na kontynencie Europy nie zostanie zburzona i dopóki wszystkie ludy świata nie będą mogły zjednoczyć swoich wysiłków, aby zapewnić sobie i swoim dzieciom błogosławieństwo braterstwa i pokoju."

I dziś podpisuję się pod każdym słowem tej deklaracji. W kilka dni później sir George Buchanan depeszował do Balfoura:

„Deklaracja premiera, przesłana przez Pana premierowi rosyjskiemu, wywołała doskonałe wrażenie; zwrot dotyczący cara nie spowodował żadnych trudności. Przykro mi jednak że sympatia, jakiej dał wyraz w swej mowie p. Bonar Law, wywołała nieprzychylne komentarze w rozmaitych pismach, zwłaszcza w oficjalnym organie Partii Pracy..."

Mimo to uważaliśmy wszyscy, że Bonar Law musiał wypowiedzieć słowa sympatii dla cara i że uczynił to w formie rozumnej i odpowiedniej.

Nie ulegało wątpliwości, że Rewolucja Rosyjska jest faktem dokonanym; nie była ona jednak bynajmniej zakończona. Już po kilku dniach stało się rzeczą jasną, że ta rewo-

lucja potoczy się zwykłą koleją wszystkich rewolucyj. Rząd mógł sobie wydawać dekrety, ale bieg wypadków wyznaczony był przez Jakobinów. Reakcja przeciw dawnemu reżimowi musiała iść bardzo głęboko — i zaczynało być widoczne, czym się to skończy.

Zanim zamknę ten rozdział o tragicznym końcu caratu, muszę wskazać na przyczyny, które nie pozwoliły rodzinie cesarskiej znaleźć schronienia w Anglii i uniknąć w ten sposób strasznej śmierci w Jekaterynburskiej piwnicy. Niejednokrotnie wypowiadano twierdzenie, że decydującym czynnikiem była tu odmowa rządu angielskiego, który nie chciał zgodzić się na przybycie cara. Jest to nieprawda. Faktem jest natomiast, że od chwili abdykacji aż do śmierci car nie miał możności opuścić Rosji. Zaproszenie do Anglii uczynione zostało w imieniu korony i rządu brytyjskiego. Car nie mógł skorzystać z zaproszenia, nawet gdyby chciał to uczynić — a co do tego nie mieliśmy żadnych danych.

Teza moja znajduje całkowite potwierdzenie w dokumentach oficjalnych. Nie wszystkie z nich — nawet po takim okresie czasu — mam prawo opublikować. Zacytuję z nich jednak wyjątki, które dadzą czytelnikowi dokładne pojęcie o przebiegu tej smutnej sprawy.

19-go marca 1917 r. nasz ambasador w Rosji, sir George Buchanan zawiadomił nas telegraficznie, że p. Milukow zapytywał go, czy wiadomo mu o jakichkolwiek przygotowaniach, związanych z podróżą cara do Anglii. Buchanan odpowiedział przecząco. Po dwóch dniach depeszował znów co następuje (w depeszy poczyniłem pewne opuszczenia):

„Petrograd, 21-go marca 1917 r.

Bardzo pilne.

Dziś rano interpelowałem Ministra Spraw Zagranicznych w sprawie podanych w gazetach informacyj, że car został oddany pod straż. Jego Ekscelencja poinfor-

mował mnie, że nie jest to zupełnie dokładne. Rzeczywiście jednak cesarz nie może dalej korzystać ze swobody ruchów, i do Carskiego Sioła towarzyszyć mu będą osoby mianowane przez Dumę, wraz z eskortą wyznaczoną przez generała Aleksiejewa.

Oświadczyłem ministrowi, że ponieważ car jest bliskim krewnym naszego króla i stosunki między nimi są bardzo przyjazne, chciałbym móc uspokoić Jego Królewską Mość, że bezpieczeństwo cesarza jest całkowicie zapewnione. Pytałem, czy rząd rosyjski przyjąłby — jako dalszy środek zapobiegawczy — propozycję, aby carowi towarzyszył nasz przedstawiciel wojskowy. Otrzymałem odpowiedź, że do takiej ostrożności nie ma żadnych powodów i że rząd wolałby stanowczo, żeby tego nie robić. Jego Ekscelencja dalej pytał mnie, czy robimy jakiekolwiek plany związane z pobytem cara w Anglii, a kiedy odpowiedziałem, że nie, oświadczył że osobiście pragnie bardzo, aby car opuścił Rosję, i byłby bardzo szczęśliwy, gdyby nasz król i rząd zaprosili cara do Anglii. Gdyby takie zaproszenie nastąpiło, powinno zawierać warunek, że car pozostanie w Anglii aż do końca wojny. Prosił o odpowiedź w możliwie jak najkrótszym czasie."

Następnego dnia, 22-go marca, sprawa przyjazdu rodziny cesarskiej do Anglii omawiana była na posiedzeniu gabinetu, z udziałem przedstawicieli dominiów; zdecydowano, że ze względu na bezpieczeństwo osobiste cara jest sprawą pierwszorzędnej wagi, aby opuścił Rosję możliwie jak najprędzej. Omówiliśmy wiążące się z tą sprawą względy polityczne; w szczególności podkreślano, że jest rzeczą pożądaną, aby nie zamieszkał w którymś z krajów neutralnych, ponieważ w tym wypadku groziłoby niebezpieczeństwo, że może stać się narzędziem jakiejś wrogiej intrygi. Ostatecznie doszliśmy do przekonania, że najlepiej będzie, jeśli car wraz z cesarzową i rodziną zaproszony zostanie do Anglii, jednakże pod wy-

raźnym warunkiem, że nie opuszczą tego kraju przed zakończeniem wojny inaczej, jak za zgodą rządu angielskiego.

W myśl tej decyzji gabinet „upoważnił ministra spraw zagranicznych wysłać depeszę w tym duchu do ambasadora brytyjskiego w Petrogradzie."

Depesza Balfoura do Buchanana brzmiała (tekst ze mianami):

„Ministerstwo Spraw Zagranicznych, 22-go marca 1917 roku.

Podejmując sugestię uczynioną przez rząd rosyjski, J. Kr. Mość i rząd brytyjski zapraszają uprzejmie Cara i Carycę na pobyt w tym kraju aż do zakończenia wojny. Przekazując to oświadczenie rządowi rosyjskiemu niech Pan wyraźnie pokreśli, że musi on wziąć na siebie odpowiedzialność za dostarczenie Ich Cesarskim Mościom, na czas pobytu tutaj, odpowiednich środków utrzymania."

Na to odpowiedział sir George Buchanan: (Tekst ze zmianami)

„24 marca.

Zakomunikowałem wczoraj Ministrowi Spraw Zagranicznych treść Pana depeszy z d. 22-go, dzisiaj zaś przesłałem mu jej tekst i podkreśliłem, że zaproszenie uczynione zostało jedynie jako odpowiedź na sugestię ze strony jego rządu.

Zależy mu bardzo na tym, aby ten fakt nie przedostał się do wiadomości publicznej, ponieważ skrajna lewica wpływa na opinię w kierunku niewypuszczania cara z Rosji. P. Milukow ma nadzieję, że opór opozycji uda się pokonać, ale rząd nie powziął jeszcze ostatecznej decyzji. W każdym razie car nie może wyruszyć, zanim nie skończy się odra dzieci. Kiedy uczyniłem aluzję do środków utrzymania cara, usłyszałem w odpowiedzi, że według informacyj Ministra Spraw Zagranicznych car ma znaczny majątek prywatny. W każdym razie sprawa finansowa byłaby załatwiona w należyty sposób...

Minister stwierdził kategorycznie, że nie ma żadnych powodów do obaw o bezpieczeństwo J. C. Mości."

W depeszy powyższej jest już mowa o opozycji przeciw wyjazdowi cara z Rosji, która jest tak silna, że decyzja w tej sprawie uległa odroczeniu. Depesza Buchanana z dnia następnego znowu kładła nacisk na tę sprawę.

26-go marca ambasador poruszył znów w swojej depeszy sprawę wyjazdu cara do Rosji; gdyby — dodawał — podróż cara została postanowiona, zrówno on jak generał Hanbury-Wiliams są zdania że generał Headlam mógłby z nim pojechać. Dalej Buchanan donosi:

„Jak się dowiedziałem dziś od Ministra Spraw Zagranicznych, rząd nie zwracał się jeszcze w tej sprawie do Jego Cesarskiej Mości, ponieważ chce najprzód pokonać opór lewicy, która jest przeciwna projektowi".

2-go kwietnia sir George Buchanan pisał do ministra spraw zagranicznych co następuje:

„*Nic jeszcze nie zostało postanowione w sprawie podróży cesarza do Anglii.* Cesarz przebywa wraz z cesarzową i dziećmi pod silną strażą w Carskim Siole; wolno mu spacerować po parku, ale jest cały czas pilnie strzeżony. Z prywatnego i poufnego źródła dowiaduję się, że cesarz jest w doskonałym usposobieniu i używa ruchu, oczyszczając ścieżki parkowe ze śniegu. Nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że nie będzie mógł — jak miał zamiar — jechać do Liwadii, ale utrata tronu wcale go jak gdyby nie zmartwiła. Cesarzowa natomiast, jak się zdaje, głęboko odczuwa swoją obecną upokarzającą sytuację. *Jak się dowiaduję, niechętna jest pomysłowi wyjazdu do Anglii.* Prasa opublikowała właśnie niektóre jej depesze do cesarza, wysłane przed i po zamordowaniu Rasputina; z depesz wynika jasno, że robił wszystko, co mu zalecała. Opublikowano też histeryczny list cesarzowej do Rasputina, w którym traktuje go jak świętego, pisząc, że znajduje pocieszenie tylko wtedy, kiedy może się oprzeć o je-

go ramię, i błagając aby pobłogosławił „swoje dziecię." Była złym duchem cesarza od chwili kiedy się z nią ożenił, i nikt jej nie żałuje...."

Wobec choroby wielkich księżniczek (miały odrę, dwie były przez jakiś czas poważnie chore), nic nie można było na razie przedsięwziąć w sprawie wyjazdu rodziny cesarskiej. Ale zanim jeszcze dzieci wyzdrowiały, pojawiła się nowa przeszkoda. 9-go kwietnia Buchanan zreferował nam telegraficznie treść rozmowy, jaką miał z Kiereńskim; w trakcie rozmowy zapytał, czy w sprawie cesarza coś zostało postanowione, na co Kiereński odpowiedział,

„że następnego dnia wybiera się sam do Carskiego Sioła, ale *jest zdania, że car nie będzie mógł wyjechać do Anglii w ciągu najbliższego miesiąca. Dopóki nie zakończone zostało badanie dokumentów, które znaleziono, rządowi trudno byłoby pozwolić na jego wyjazd, i p. Kiereński prosił mnie abym nie wywierał żadnego nacisku na rząd, żeby pozwolono mu jechać wcześniej.* Zapewniłem go, że nie mam zamiaru tego czynić, chociaż oczywiście pragniemy bardzo, aby uczynione zostało wszystko możliwe dla zapewnienia bezpieczeństwa cesarza..."

W późniejszej depeszy ambasador zawiadomił nas, że chciał prosić o pozwolenie doręczenia cesarzowej Marii listów jej siostry, królowej Aleksandry, ale Kiereński perswadował mu, żeby tego nie robił, bo gdyby rząd zgodził się, grupy skrajne oskarżałyby go o popieranie intryg.

Z depeszy tej wynikało, że sieć dokoła rodziny cesarskiej zaciska się i że w Rosji wzmaga się opozycja przeciw wyjazdowi cara. Kiereński w każdym razie nie chciał w tym okresie brać na siebie odpowiedzialności za pozwolenie na wyjazd.

Po otrzymaniu depeszy Buchanana gabinet obradował nad tą sprawą. Utrzymywanie w mocy naszego zaproszenia stawało się coraz trudniejsze. Opinia we Francji przeciwna była pobytowi cara w którymkolwiek kraju koalicyjnym; uważano tam, że mogłoby to wywołać podejrzenia wśród rosyjskich sfer rewolucyjnych, których poparcie było niezbędnym warunkiem skutecznego współdziałania armii rosyjskiej w prowadzeniu wojny. Dla zilustrowania i poparcia powyższej tezy mogę zacytować list, wysłany w d. 22-go kwietnia przez lorda Bertie, naszego ambasadora w Paryżu, do ministra spraw zagranicznych; autor listu wyrażał zadowolenie, że projekt przyjęcia eks-cesarza i jego rodziny w Anglii nie został urzeczywistniony, i ciągnął dalej:

„....Niemcy twierdziliby, — a skrajni socjaliści rosyjscy mogliby uwierzyć temu twierdzeniu — że Anglia trzyma eks-cesarza w rezerwie, aby móc użyć go do restauracji monarchii w Rosji, gdyby w przyszłości samolubnym celom polityki angielskiej odpowiadało sianie w Rosji zamętu i niezgody.

Nie sądzę aby eks-cesarz i jego rodzina znaleźli przyjazne przyjęcie we Francji. Cesarzowa jest nietylko *Boche* z urodzenia, ale i z nastrojów, i zrobiła co mogła, aby doprowadzić do porozumienia z Niemcami. Uważają ją tutaj za typ kryminalny, albo psychopatyczno-kryminalny, a eks-cesarza za człowieka zdolnego do zbrodni na skutek słabości i ulegania jej namowom.

Zawsze oddany, Bertie".

W Anglii również zaczęły szerzyć się nastroje dowodzące, że w sferach robotniczych istnieje silny prąd wrogi przyjazdowi cara. Mimo to wszystko — zaproszenie nie zostało cofnięte. Sprawę zdecydowało ostatecznie postępowanie rządu rosyjskiego, który w dalszym ciągu stawiał rozmaite przeszkody.

15-go kwietnia 1917 r. sir George Buchanan przysłał depeszę, omawiającą obszerniej całą sytuację. Wypowiadał poważne wątpliwości co do tego, czy przyjazd cara do Anglii byłby rzeczą pożądaną, i komunikował że poprzedniego dnia zapytywał premiera, dlaczego rząd nie pozwala carowi jechać do jego pałacu w Liwadii na Krymie, gdzie byłoby przecież łatwo izolować go a jednocześnie zapewnić mu bezpieczeństwo. Premier

„odpowiedział, że taka podróż byłaby połączona ze zbyt wielkim ryzykiem; pragnąłby natomiast wysłać cara z Rosji w niedługim czasie, gdyż dopóki car jest tutaj — zawsze istnieje możliwość jakiegoś ruchu, domagającego się restauracji monarchii, a przy pojawieniu się jakichkolwiek oznak kontrrewolucji car znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Premier jest w dalszym ciągu zdania, że powinniśmy pozwolić carowi na przyjazd do Anglii..."

Ambasador jednak dodał, że

„partie skrajnej lewicy, które w najmniejszym stopniu nie są przyjaźnie do nas usposobione, oraz ajenci niemieccy, wyzyskaliby z pewnością jego pobyt w Anglii do podburzenia opinii publicznej przeciw nam..."

W zakończeniu Buchanan sugerował, że byłoby lepiej gdyby cesarz pojechał do Francji.

Następnego dnia ambasador przysłał nam list, w którym donosił, że proponował premierowi aby pozwolić carowi jechać do Liwadii; książę Lwow wyraził jednak obawę, że pociąg może być zatrzymany przez robotników, co zagrażałoby życiu cara.

Było niewątpliwie rzeczą jasną, że rząd rosyjski nie może się zdecydować — ponieważ powoduje się sprzecznymi tendencjami: z jednej strony chciałby się pozbyć odpowiedzialności za cara, z drugiej — boi się wrogiej postawy skrajnej

lewicy, gdyby usiłował usunąć go w bezpieczne miejsce. Rząd nie mógł się odważyć nawet na przewiezienie cara na Krym — a cóż dopiero na wysłanie go z kraju! Nic nie można było na to poradzić, dopóki rząd rosyjski zajmował tego rodzaju stanowisko.

KONFERENCJA W SZTOKHOLMIE I ARTUR HENDERSON

Rewolucja Rosyjska wywołała potężny i szeroki oddźwięk w nastrojach i tendencjach politycznych innych krajów. W gruncie rzeczy wywołuje go aż do tej chwili — i w wielu państwach stała się czynnikiem, przyciągającym lub odpychającym, przewrotów rewolucyjnych i kontrrewolucyjnych, które doprowadziły do wielkich przemian ustrojowych. Kiedy lawa rewolucji nie może szerzyć się coraz dalej i dalej — zastyga, a wtedy rodzi się z niej reakcja.

Warunki wojenne, w których ferment wywołany przez przewrót rosyjski był szczególnie niebezpieczny, sprzyjały jednocześnie szerzeniu się tego fermentu. Konwencjonalne normy i więzy, które obowiązywały w ciągu wielu dziesięcioleci pokoju, obecnie zachwiały się i rozluźniły. Ludzie, oderwani od domu i pracy, od normalnych przyzwyczajeń i całego dotychczasowego trybu życia, znajdywali się nagle w towarzystwie kompanów z innych zupełnie, nieznanych im sfer społecznych, i wspólnie z nimi uczyli się dzieła zniszczenia, albo pełnienia całkiem nowych obowiązków — w fabrykach amunicji czy w urzędach państwowych. Kobiety i dziewczęta uwolnione zostały za jednym zamachem od długich sukien i starych opiekunek ery przedwojennej i posłane — często w męskim przebraniu — na pracę, wykonywaną dotąd tylko przez mężczyzn. Rząd decydował z natury rzeczy o życiu, majątku i interesach obywateli w skali dotąd niepraktykowanej: określał płace, zyski, sposoby użytkowania urządzeń fabrycznych i organizację produkcji. Zerwanie z przeszłością wydawało się rze-

czą definitywną, i każdy teoretyk społeczny odczuwał potrzebę rozważań na temat, jakie kształty przybierze — czy też przybrać powinien — nowy porządek rzeczy.

Kiedy Rosja obaliła nagle swój stary carski reżim i zaczęła wprowadzać w życie wielki eksperyment socjalistyczny, wielu ludzi w Anglii pragnęło iść za jej przykładem. Że dzieło oswobodzenia, które Rosja rozpoczynała wówczas z tak wielką nadzieją i w atmosferze tak szczerej sympatii, doprowadzi wkrótce do Czerwonego Teroru i do zupełnego przewrotu w stosunkach gospodarczych i społecznych—tego jeszcze wówczas nie przewidywano. I oto w roku 1917, niezależnie od naszych rosnących trosk wojennych, znaleźliśmy się w polityce wewnętrznej wobec poważnego fermentu politycznego i ekonomicznego, zaostrzonego bardzo silnie przez czynniki, które zyskały na znaczeniu na skutek Rewolucji Rosyjskiej.

Sytuacja wymagała rozumnej polityki, łączącej umiarkowanie ze stanowczością. Wstrząs, idący z Petrogradu, odezwał się echem w każdym warsztacie, fabryce i kopalni i zrodził nerwowy niepokój, który utrudniał agitację werbunkową i hamował normalny bieg produkcji wojennej. Dla utrzymania jedności narodowej i stanowczego kontynuowania wysiłków w ogólnonarodowej sprawie było rzeczą konieczną, aby ministrowie zachowali spokój—i wobec sytuacji w sferach robotniczych zastosowali politykę rozumną, ale i zdecydowaną. Nie była to sprawa łatwa; ofiarą walki jaka się tutaj wywiązała, padł Artur Henderson — który w ten sposób dostał się na listę „strat wojennych".

Rewolucja jest zwykle rezultatem współdziałania wielu sił, bardzo różnorodnych i często gwałtownie się zwalczających; również Rewolucja Rosyjska była sprawą bardzo skomplikowaną. Istniała więc partia generałów, która pragnęła abdykacji cara i ustanowienia regencji, by uwolnić się od intryg i przeszkód ze strony dworu. Dalej byli demokratyczni przywódcy Dumy, pragnący odpowiedzialnego konstytucyjnego rządu. Byli wreszcie nihiliści i anarchiści, buntujący się prze-

ciw istniejącemu porządkowi rzeczy — oraz międzynarodowi komuniści, dążący do utworzenia trzeciej międzynarodówki i marksowskiego państwa. Nie można było przewidzieć, który z tych prądów ostatecznie zwycięży i ujmie w swe dłonie ster rewolucji. Szerokie masy narodu rosyjskiego pragnęły po prostu poprawy ciężkich warunków bytu; potrzebowały żywności, opału, sprawnych i uczciwych rządów. Przede wszystkim jednak — miały dosyć rozlewu krwi i pragnęły pokoju; gotowe były poprzeć każdą grupy, która mogła urzeczywistnić ich dążenia. Zwycięstwo w tej sytuacji musiało przypaść grupie, która miała najlepsze kierownictwo i najsprawniejszą organizację.

15-go marca 1907 r. nasz ambasador w Petrogradzie, sir George Buchanan, przysłał nam depeszę, która stanowiła odbicie niepewności i niejasności sytuacji:

„Wkrótce zapewne zaznaczy się jawny konflikt między partiami, domagającymi się rewolucji społecznej, i Dumą. Duma jest za wojną, i jeśli uda jej się szybko zwyciężyć, Rosja będzie silniejsza niż była w przeszłości. Druga strona natomiast dąży do pokoju za wszelką cenę, i objęcie przez nią władzy oznaczać będzie katastrofę militarną. Czy nie możnaby skłonić przywódców angielskiej Partii Pracy, aby wysłali depeszę do robotniczych przywódców w Dumie (Kiereńskiego i Czcheidze), wyrażającą przekonanie że Kiereński, Czcheidze i ich towarzysze okażą pomoc wolnym narodom, walczącym z niemieckim militaryzmem i wskazującą, że bezczynność grozi katastrofą ich braciom, walczącym w okopach, oraz że zwycięstwo Niemiec oznaczałoby katastrofę dla wszystkich klas ludności krajów koalicyjnych? Depesza mogłaby też wskazać na zjednoczenie wysiłków wszystkich klas w Anglii i specjalnie podkreślić postawę angielskiej klasy robotniczej. Ze względu na to że w obecnej chwili

rada idąca z Anglii miałaby szczególną wagę, uważam natychmiastowe wysłanie tego rodzaju depeszy za rzecz pierwszorzędnej doniosłości."

Zgodnie z powyższym Henderson, przedstawiciel Partii Pracy w rządzie, wysłał następującą depeszę do przywódców robotniczych w Dumie:

„Zorganizowana klasa robotnicza Wielkiej Brytanii śledzi z najżywszą sympatią wysiłki ludu rosyjskiego, zmierzające do uwolnienia się z pod wpływów elementów reakcyjnych, przeszkadzających jego zwycięskiemu pochodowi. Klasa robotnicza w Anglii i we Francji uświadomiła sobie już dawno, że dla swobodnego i pokojowego rozwoju narodów europejskich niezbędne jest obalenie niemieckiego despotyzmu. Przekonanie to skłoniło klasę robotniczą do ponoszenia wysiłków i ofiar, nie mających precedensu; ufamy też, że rosyjska klasa robotnicza pomoże nam w osiągnięciu celu do którego dążymy. Wierzymy że potraficie wyjaśnić waszym zwolennikom, do jakiego stopnia wszelka zwłoka w podejmowanych wysiłkach oznacza katastrofę dla towarzyszy w okopach i dla wspólnych nam nadziei na przebudowę społeczną".

W kilka dni później, 26-go marca, Henderson zawiadomił gabinet że przedstawiciele francuskiej Partii Socjalistycznej — zwolennicy wojny *à outrance* — przybywają wkrótce do Anglii po drodze do Petrogradu, dokąd udają się — za zgodą i aprobatą Komisji Spraw Zagranicznych Izby Deputowanych — w specjalnej misji do rosyjskich partyj socjalistycznych; celem misji jest przekonanie socjalistów rosyjskich, aby użyli całego swego wpływu dla doprowadzenia wojny do pomyślnego zakończenia. Gabinet zadecydował prosić p. Hendersona, aby postarał się o wyłonienie odpowiedniej robotni-

czej delegacji angielskiej, która towarzyszyłaby delegacji francuskiej i współdziałała w jej wysiłkach. Tak się też stało — i Will Thorne oraz James O'Grady przyłączyli się do Francuzów. —

Do powodzenia misji w Rosji nie przyczyniła się działalność niektórych działaczy robotniczych w kraju. Wśród socjalistów angielskich istniały wówczas dwa prądy: większość popierała wojnę, natomiast pacyfistyczna mniejszość, mająca wielkie wpływy w Niezależnej Partii Pracy, której głównym przywódcą był Ramsay Mac Donald, zajmowała się krytykowaniem, stwarzaniem trudności i w ogóle osłabianiem ducha narodu. Kiedy delegaci Partii Pracy byli w Rosji, jeden z członków I. L. P. (Niezależnej Partii Pracy) przesłał do pewnego socjalisty rosyjskiego oświadczenie, stwierdzające że delegaci są płatnymi emisarjuszami rządu angielskiego, a nie prawdziwymi reprezentantami angielskiej klasy robotniczej. To dało powód do gwałtownych ataków na delegację w socjalistycznej prasie rosyjskiej — ataków bardzo niebezpiecznych w kraju, w którym dyscyplina przestała istnieć, a mordy dokonywane przez wburzony tłum były zjawiskiem powszechnym. Jak pisze Buchanan w swojej książce „Moja Misja w Rosji": „Sprawa została potem naprawiona przez p. Hyndmana, który wezwał telegraficznie Kiereńskiego do „kategorycznego zdementowania kłamliwych twierdzeń I. L. P."

W tym czasie toczyły się pertraktacje, mające na celu zwołanie międzynarodowej konferencji socjalistycznej w Sztokholmie. Geneza tego projektu była następująca: związek organizacyj socjalistycznych rozmaitych krajów, zwany Drugą Międzynarodówką i mający aż do wojny swoją centralę w Brukseli, został chwilowo rozbity na skutek inwazji niemieckiej do Belgji. Biura jego pozostawione były na łasce losu, a główni przedstawiciele centrali zbiegli do Hagi. Socjaliści holenderscy i skandynawscy starali się wskrzesić Międzynarodówkę, i w kwietniu 1917 r. komitet skandynawsko-holenderski,

pod przewodnictwem szwedzkiego polityka socjalistycznego Brantinga, wysłał do wszystkich partyj socjalistycznych zaproszenie na międzynarodową konferencję socjalistyczną w Sztokholmie, mającą omówić sposoby osiągnięcia pokoju.

Propozycja nie miała wielkich widoków powodzenia. Rządy państw wojujących nie mogły oczywiście zgodzić się na to, aby warunki pokoju dyktowała im jakakolwiek konferencja partyjna; to samo dotyczyłoby wypadku, gdyby chodziło o międzynarodową konferencję liberałów lub konserwatystów. Większość socjalistów w krajach wojujących popierała swoje rządy w ich polityce wojennej. Egzekutywa francuskiej Partii Socjalistycznej postanowiła w końcu kwietnia, 13 głosami przeciw 11, nie brać udziału w konferencji sztokholmskiej, a jednocześnie skrajne żywioły rosyjskie pod wodzą Lenina powzięły podobną decyzję z przeciwnych motywów — traktowały mianowicie z pogardą burżuazyjne tendencje Drugiej Międzynarodówki. 11-go maja Henderson zawiadomił gabinet, że Komitet Wykonawczy Angielskiej Partii Pracy postanowił również, iż partia w konferencji sztokholmskiej udziału nie weźmie. Wydawało się zatem, że cała propozycja upadła; wiadomo było jednak, że w obozie socjalistycznym rosyjskim istnieje poważna różnica zdań w sprawie, czy należy kontynuować wojnę czy też zawrzeć oddzielny pokój z Niemcami, i Henderson zawiadomił nas, że Komitet Wykonawczy Partii Pracy ma zamiar wysłać do Petrogradu delegację, składającą się z niego, posła G. Robertsa i p. Purdy, i mającą na celu wzmocnienie wśród socjalistów rosyjskich kierunku pro-wojennego. Postanowiliśmy, że wobec problemów związanych z ruchem robotniczym w Anglii lepiej byłoby aby p. Henderson nie jechał, gotowi jednak byliśmy pozwolić p. Robertsowi na udział w delegacji. W tym momencie rządził w Rosji Rząd Tymczasowy, popierany przez Dumę — ale realną władzę posiadała Petrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich — „Sowiet". Rada ta postanowiła zaprosić przedstawicieli obu kierunków socjalistycznych — większości i mniej-

szości — z krajów Koalicji dla wspólnego omówienia sytuacji. Dowiedzieliśmy się o tym z następującej depeszy, wysłanej 10-go maja przez Milukowa, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych i doręczonej nam przez ambasadę rosyjską w Londynie:

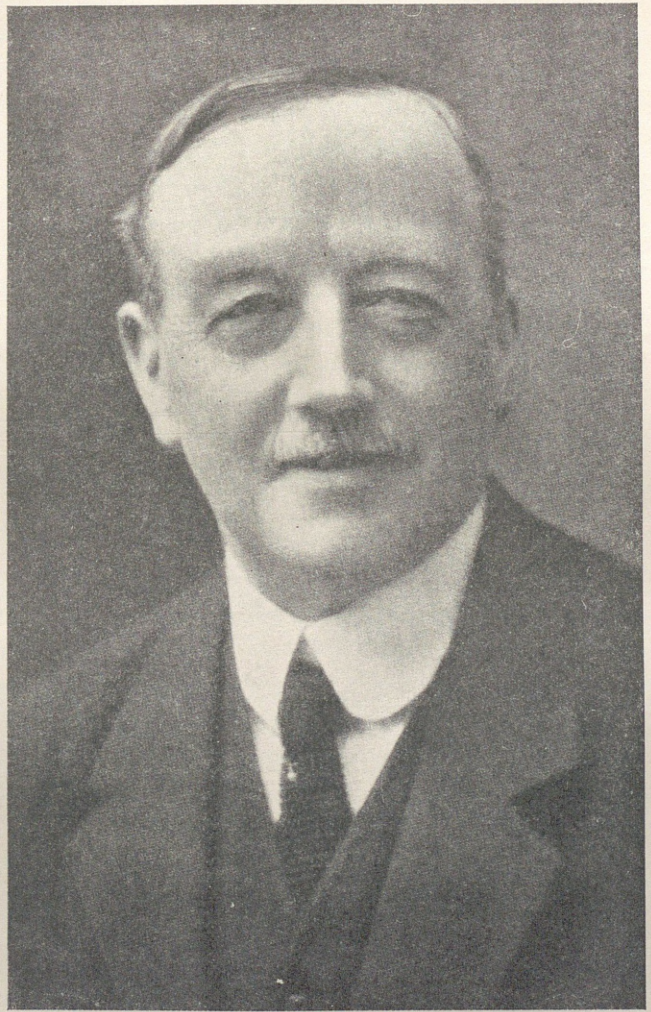
„Komitet Wykonawczy Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich prosił mnie o doręczenie rządom Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch następującej depeszy:

Komitet Wykonawczy wyraża nadzieję że rządy W. Brytanii, Francji i Włoch nie odmówią udzielenia ułatwień w podróży do Rosji delegacjom: Włoskiej Partii Socjal-Demokratycznej, Angielskiej Niezależnej Partii Pracy i Angielskiej Patrii Socjal-Demokratycznej, oraz Frakcji opozycyjnej Francuskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, które zostały zaproszone do Rosji. Komitet Wykonawczy będzie wdzięczny za pomyślną odpowiedź.

Proszę o zakomunikowanie niniejszego rządowi J. Kr.Mości."

Przed udzieleniem odpowiedzi na to wezwanie postanowiliśmy wysłać do rządów: francuskiego i włoskiego depesze następującej treści:

Rząd J. Kr. Mości otrzymał przez tutejszą ambasadę rosyjską formalną prośbę Komitetu Wykonawczego Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, by udzielić ułatwień w podróży do Rosji przedstawicielom Niezależnej Partii Pracy i Partii Socjal-Demokratycznej. Partie te reprezentują drobną część angielskiego obozu socjalistycznego i mają światopogląd pacyfistyczny. Jak Rządowi J. Kr. Mości wiadomo podobna prośba skierowana została do rządu francuskiego (włoskiego). Odpowiedź wyraźnie odmowna rozdrażniłaby ekstremistów rosyjskich i być może zniechęciła ich umiarkowanych towarzyszy. Z dru-



ARTUR HENDERSON

giej strony, wobec ustąpienia p. Guczkowa i sprawozdań o wzrastającym nieładzie w Rosji, wydaje się rzeczą niemożliwą zgodzić się na prośbę bez zastrzeżeń. Rząd J. Kr Mości ma zamiar wobec tego odpowiedzieć, że na skutek wojny podwodnej środki komunikacji między Zachodnią Europą i Rosją są bardzo ograniczone, i na podróż w tym kierunku mogą uzyskać pozwolenie tylko osoby, które jadą załatwiać sprawy o znaczeniu ogólnonarodowym. Rząd J. Kr. Mości nie otrzymał dotąd od żadnej grupy osób w Partii Socjalistycznej zawiadomienia, że osoby te pragną udać się do Rosji. Jest jednak rzeczą niemożliwą dla rządu J. Kr. Mości udzielenie w tej sprawie definitywnej odpowiedzi, dopóki rząd nie wie, kto pragnie jechać do Rosji i jaki jest cel zamierzonej podróży.

Rząd J. Kr. Mości będzie wdzięczny za poinformowanie, czy rząd francuski (włoski) godziłby się na udzielenie podobnej odpowiedzi."

Następnego dnia, 16go maja, Henderson zawiadomił nas że Partia Pracy nie ma zamiaru wysyłać swoich delegatów w odpowiedzi na zaproszenie Sowietu, dopóki rosyjska Partia Socjalistyczna nie udzieli dodatkowych informacyj co do charakteru proponowanych narad.

Socjaliści holenderscy i skandynawscy nie porzucili jeszcze całkowicie swojej koncepcji. Przystąpili teraz do całej serii oddzielnych rozmów, prowadzonych z przedstawicielami poszczególnych partyj socjalistycznych państw wojujących. Vandervelde, przywódca socjalistów belgijskich, brał udział w jednej z takich rozmów w Sztokholmie w początkach maja; dowiedzieliśmy się, że spodziewany jest tam wkrótce przyjazd delegacyj niemieckiej i rosyjskiej. Angielska Partia Pracy wysunęła propozycję zwołania w Londynie narady socjalistów z państw koalicyjnych; ale socjaliści rosyjscy nie wyrazili jeszcze swojej zgody na projekt, ponieważ byli zwolennikami konferencji międzynarodowej w jakimś kraju neu-

tralnym. W tej sytuacji nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych poczyniło kroki, aby delegaci Partii Pracy, znajdujący się w Rosji, zatrzymali się w drodze powrotnej w Bergen; — byliby w ten sposób w pogotowiu w razie, gdyby udział delegatów angielskich w którejkolwiek z rozmów sztokholmskich został postanowiony.

Sprawa omawiana była na posiedzeniu gabinetu brytyjskiego w d. 21 maja 1917 r. Wobec możliwości, że do Sztokholmu udadzą się socjaliści niemieccy i będą tam bratać się z socjalistami rosyjskimi, podnoszono w dyskusji że byłoby rzeczą pożądaną wysłanie tam poważnej delegacji angielskiej, może nawet z Hendersonem na czele. Ewentualnie mogło być rzeczą wskazaną wysłanie Hendersona ze specjalną misją do Petrogradu — podobną do tej, jaką Francuzi powierzyli Albertowi Thomas. Zakomunikowano nam jednocześnie, że Ramsay Mac Donald i Jowett z Niezależnej Partii Pracy, oraz Inkpin z Partii Socjal-Demokratycznej zwrócili się o wydanie im paszportów do Petrogradu, i chcą prawdopodobnie zatrzymać się po drodze w Sztokholmie. Było to konsekwencją zaproszenia, skierowanego przez Sowiet Petrogradzki do socjalistów „mniejszościowych".

W tym stadium sprawy nie było rzeczą jasną, czy po toczących się w Sztokholmie rozmowach nastąpi formalna konferencja. Gdyby taka konferencja miała się odbyć — gabinet uznał, że przydałby się na niej przedstawiciel brytyjski, który przysłuchiwałby się obradom i przedstawił brytyjski punkt widzenia; Hendersonowi jednak, jako członkowi gabinetu angielskiego, trudno by było brać udział w takiej konferencji. Skoro jednak udawał się na nią MacDonald i jego pacyfistyczni przyjaciele — uważaliśmy że powinna także bezwzględnie pojechać poważna delegacja Partii Pracy.

Postanowiliśmy depeszować do Alberta Thomasa w Petrogradzie, podkreślając że uważamy konferencję rosyjskich i

niemieckich socjalistów w nieobecności delegacji angielskiej za rzecz niebezpieczną i prosząc o jego zdanie w tej sprawie.

W dwa dni później, 23-go maja, omawialiśmy w dalszym ciągu sprawę naszego przedstawicielstwa w Rosji. Nasz ambasador, sir George Buchanan, oddał na tym stanowisku bardzo poważne usługi, ale sam fakt że łączyły go doskonałe stosunki z rządem carskim, a potym z Rządem Tymczasowym, czynił go przedmiotem podejrzeń i nieufności ze strony nowego rządu, utworzonego pod przewodnictwem Kiereńskiego i przy poparciu Sowietu. Ministerstwo Spraw Zagranicznych domagało się zastąpienia go lub przynajmniej dodania mu do pomocy kogoś, kto byłby znany ze swoich sympatyj robotniczych i socjalistycznych i wobec tego cieszył się zaufaniem rządu rosyjskiego.

Bardzo dobre wrażenie wywarła na gabinecie angielskim działalność Alberta Thomas, francuskiego przywódcy socjalistów; oddane przezeń usługi podkreślił w opublikowanym właśnie wywiadzie Tereszczenko, nowy minister spraw zagranicznych. Ponieważ dalsza współpraca Rosji w prowadzeniu wojny była dla nas oczywiście rzeczą wielkiej doniosłości, postanowiliśmy prosić Hendersona, aby uczynił osobistą ofiarę i pojechał do Petrogradu, gdzie zadanie jego byłoby analogiczne do zadania Alberta Thomas.

Nie uważaliśmy za konieczne decydować od razu, jak długo miał trwać pobyt Hendersona w Rosji, ale poradziliśmy mu aby sprawy związane z działalnością polityczną ułożył sobie w przewidywaniu, że pobyt ma być czasowy. Postanowione zostało również, że jeśli Henderson przyjmie propozycję, sir George Buchanan ma pozostać jeszcze przez krótki czas w Petrogradzie, aby wprowadzić Hendersona w szczegóły bieżących zagadnień. Po kilku tygodniach — ale dopiero w momencie, kiedy Henderson wyrazi na to zgodę — Buchanan byłby odwołany do Londynu „dla odbycia narad". Poza tym uznaliśmy, że wyjazd Hendersona pożądany byłby możliwie jak najszybciej.

Henderson odczytał nam depeszą Thomasa, donoszącą że Rada Delegatów oczekuje przyjazdu delegacji angielskiej i że jego zdaniem obecność samego Hendersona miałaby wielkie znaczenie.

Istniały niewątpliwie bardzo poważne motywy, przemawiające za wysłaniem Hendersona do Rosji z misją specjalną, a nawet za mianowaniem go na krótki czas ambasadorem w Petrogradzie. W Rosji panowało wielkie zamieszanie i niepewność, i było rzeczą bardzo ważną aby w chaosie sprzecznych tendencyj, oddziaływających na rząd, wzmocnić elementy pragnące dalszego kontynuowania wojny. Wydawało się rzeczą coraz bardziej wątpliwą, czy Rosja wytrwa aż do końca wojny po stronie Koalicji. Żądanie zawarcia pokoju było coraz bardziej stanowcze; słyszało się je na wszystkich niezliczonych wiecach, odbywających się na ulicach miast rosyjskich. Albert Thomas opisywał mi te wiece po swoim powrocie. Opowieść ta przypominała mi mityngi z czasów ruchu odrodzeniowego w Walii. Robotników rosyjskich opanowała jedna emocja, bardziej może religijna niż polityczna; nie było to gwałtowne podniecenie, lecz raczej głębokie uczucie. W takim nastroju mas wszystko było możliwe, ale nastrój ten nie mógł w żadnym razie przyczynić się do skutecznego prowadzenie wojny. Mogliśmy mieć co najwyżej nadzieję na to, że armia rosyjska bronić będzie swoich pozycyj, a wobec tego utrzyma na froncie wschodnim milion czy dwa miliony Niemców i Austriaków aż do chwili, kedy Ameryka będze gotowa do wojny. W tym kierunku Albert Thomas, mogący przemawiać do socjalistów jak towarzysz do towarzyszy, osiągnął poważne sukcesy. Takiej roli nie mógł jednak odegrać sir George Buchanan, który nigdy nie ukrywał, że nie ma dla socjalizmu najmniejszych sympatyj. Buchanan opowiada w swojej książce, jak pewnego dnia w Petrogradzie byli u niego na obiedzie Thomas, Henderson i dwaj przywódcy rosyjscy, z których jeden był także socjalistą.

„Po obiedzie — pisze Buchanan — Thomas zapytał mnie: Coby Pan zrobił pięć lat temu, gdyby ktoś powiedział Panu, że będzie Pan gościł przy swoim stole mnie i jeszcze dwóch socjalistów? — Samo wyobrażenie sobie czegoś podobnego — odpowiedziałem — byłoby dla mnie okropne." Rosjanie musieli oczywiście wyczuwać ten ukryty antagonizm, maskowany grzecznością i wyrobieniem wytrawnego dyplomaty — i wobec tego rady Buchanana traciły dla nich wszelką wartość. Należał przecież w sposób tak widoczny i niewątpliwy do owego starego świata, który mijał — który już minął bezpowrotnie w Rosji.

Artur Henderson pojechał do Rosji. Kiedy jednak zapoznał się z różnorodnymi i trudnymi funkcjami sir George'a Buchanana, uznał że nie może się podjąć zastępowania go nawet czasowo. Henderson był doświadczonym organizatorem politycznym — okazał się nawet największym organizatorem politycznym swoich czasów; ale stanowisko w Petrogrodzie wymagało innych kwalifikacyj, które nie były jego najmocniejszą stroną — a miał dosyć zdrowego rozsądku, aby zdawać sobie z tego sprawę. Przebywał w Rosji sześć tygodni, i na początku lipca postanowił wrócić do Anglii.

W międzyczasie zaszły nowe fakty w sprawie konferencji sztokholmskiej. Wobec zaproszenia przez Sowiet Petrogradzki przedstawicieli mniejszości socjalistycznej, postanowiliśmy wydać paszporty Mac Donaldowi i jego zwolennikom na podróż do Rosji, wiedząc o możliwości zatrzymania się ich w Sztokholmie i wzięcia udziału w prowadzonych tam rozmowach. Nieco później jednak dowiedzieliśmy się, że rząd francuski odmówił podobnego zezwolenia swoim socjalistom i że rząd amerykański wprawiony jest w zakłopotanie naszą decyzją, umożliwiającą naszym działaczom pacyfistycznym wyjazd do Sztokholmu. Podnoszono, że rozmowy sztokholmskie odbić się mogą ujemnie na nastroju żołnierzy — był to jakoby pogląd generała Pétain — i zmusić Koalicję do zawarcia przedwczesnego i niezadowalającego pokoju.

Decyzja nasza wywołała też nieprzychylne nastroje w kraju, spowodowane wrogim stosunkiem do elementów rewolucyjnych. Do wzmocnienia tej wrogiej postawy przyczyniła się Konferencja Socjalistów i Demokratów, która odbyła się w Leeds 3-go czerwca; celem konferencji było utworzenie w Anglii — na wzór Rosji — Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Bezpośrednim skutkiem wygłoszonych tam przemówień i przyjętych rezolucyj było wielkie oburzenie przeciw agitatorom pacyfistycznym i rewolucyjnym, którzy wywoływali niepokój w wielu ośrodkach przemysłu amunicyjnego w kraju. Czy prowodyrzy konferencji rozważali istotnie możliwość rewolucji? Sądzę, że uzależniali swoje zamiary od przyjęcia, z jakim spotkają się ich wezwania i od ogólnego poparcia ich polityki. Gdyby robotnicy zaaprobowali ich projekt wprowadzenia w Anglii sowietów na wzór rosyjski — konferencja w Leeds zainaugurowałaby rewolucję angielską, i Mac Donald zostałby nowym Kiereńskim. Dlatego też opinia została zaalarmowana. W szczególności Związek Marynarzy i Palaczy okrętowych, oraz Brytyjska Liga Robotnicza zaprotestowały kategorycznie przeciw pozwoleniu Mac Donaldowi i jego towarzyszom na wyjazd do Rosji i Sztokholmu.

Uznaliśmy jednak, że cofnięcie im paszportów mogłoby urazić socjalistów rosyjskich. Ogromna większość społeczeństwa angielskiego reprezentowała zupełnie zdrowe poglądy, i sądziliśmy że jeśli Mac Donald przyjmie w Sztokholmie niemiecki punkt widzenia, zdyskredytuje go to zupełnie w kraju. Z drugiej strony, jeśli w sprawie Belgii oraz Alzacji i Lotaryngii i przyjmie punkt widzenia koalicyjny — Niemcy zobaczą, że nawet skrajne skrzydło socjalistów jest przeciw nim. W jednym i drugim wypadku mogliśmy tylko wygrać. Zapytaliśmy telegraficznie o zdanie przebywającego w Rosji Hendersona, który opowiedział się za pozwoleniem Mac Donaldowi na wyjazd do Rosji.

Jednocześnie jednak uznaliśmy, że nie możemy — zwła-

szcza wobec postawy Francji — pozwolić mu na konferowanie w Sztokholmie z poddanymi państw nieprzyjacielskich. Stanowisko nasze zadeklarował w Izbie Gmin w d. 8-go czerwca lord Robert Cecil, który w odpowiedzi na zapytanie oświadczył:

„Gabinet, po bardzo starannym rozważeniu sprawy, uznał za wskazane wydać te paszporty, o ile zainteresowane osoby zażądają ich, ponieważ rząd rosyjski kilkakrotnie z naciskiem podkreślił swe życzenie, aby pozwolić na wyjazd do Petrogradu przedstawicielom zarówno większości, jak mniejszości opinii robotniczej, oraz specjalnie wymienił Niezależną Partię Pracy jako jedną z organizacyj, z którymi chciałby się zetknąć. Osoby najbardziej w tej materii miarodajne — w ich liczbie ambasador sir George Buchanan oraz p. Henderson — wyraziły wobec rządu pogląd, że odmowa wywoła w sojuszniczej Rosji zupełnie fałszywe wrażenie i zniechęci te sfery, którym najbardziej zależy na prowadzeniu dalej z całą energią walki o wolność.

Jeżeli paszporty zostaną wydane, będą one ważne na wyjazd do Petrogradu. Nie mają one umożliwiać brania udziału w jakiejkolwiek konferencji międzynarodowej w Sztokholmie, a tym bardziej bezpośredniego czy pośredniego komunikowania się z poddanymi państw nieprzyjacielskich w Sztokholmie czy gdzieindziej, i wydane zostają z tym wyraźnym zastrzeżeniem. Jak się dowiaduję, przedstawiciele poglądów ogromnej większości klasy robotniczej zwrócą się zapewne także o wydanie im paszportów, i w tym wypadku również paszporty otrzymają."

Po tym oświadczeniu Mac Donald zapytał, czy wolno mu będzie rozmawiać z ludźmi takimi jak p. Branting, i lord Robert Cecil odpowiedział, że p. Branting jest bardzo po-

ważnym szwedzkim mężem stanu, nie usposobionym bynajmniej wrogo do sprawy sojuszniczej; zakaz dotyczy komunikowania się — bezpośrednio czy pośrednio — z nieprzyjacielem.

Za dalszy przebieg sprawy ponosi już odpowiedzialność nie rząd, lecz Związek Marynarzy i Palaczy okrętowych, który postanowił nie zgodzić się na przewiezienie Mac Donalda i Jowetta do Rosji.

Pewnej niedzieli po południu Mac Donald zatelefonował do mnie z Aberdeen. Telefon międzymiastowy jest jeszcze dziś szkołą cierpliwości; wówczas był narzędziem tortury. Głos jego słyszałem słabo i niewyraźnie, rozmowa była przerywana i chaotyczna. Ostatecznie zrozumiałem, że Mac Donald ma trudności z dostaniem się na okręt, który miał go zawieźć do Rosji, i że marynarze dają mu pewien przedsmak tego, jak wygląda strajk generalny — którego zwolennikiem był potem w r. 1926. Obiecałem że postaram się coś w tej sprawie zrobić. Poleciłem p. Barnes'owi porozumieć się w imieniu rządu z Havelock Wilsonem i starać się go przekonać, aby interweniował w Związku Marynarzy i uzyskał cofnięcie uchwały, odmawiającej przewiezienia Mac Donalda. Ale Havelock Wilson — którego głos, jak wiedziałem, był w Związku decydujący — nie chciał się zgodzić na zmianę swego stanowiska.

Na początku lipca otrzymałem list Snowdena, który zwracał się do rządu z prośbą o umożliwienie w jakiś sposób podróży Mac Donalda i Jowetta — i znów p. Barnes podjął się pośrednictwa w tej sprawie. Jednakże 17-go lipca doniósł rządowi, że jego zdaniem trzeba zrezygnować z całego projektu: opozycja Związku Marynarzy okazała się nie do przezwyciężenia, a wytoczenie mu sprawy sądowej mogłoby nas naradzić na wielkie trudności. Próba zastosowania wobec marynarzy przymusu byłaby gorzej niż bezcelowa, gdyż kraj aprobował bez zastrzeżeń ich postępowanie. Powstał projekt

wysłania delegatów na krążowniku wojennym, ale to mogło doprowadzić do wybuchu poważnego buntu. Mieliśmy bez tego zbyt wiele kłopotów, byśmy mogli narażać się na nowe. Związki zawodowe w całym kraju nie okazywały żadnego oburzenia na skutek tego, że Mac Donald nie może dostać się do Rosji. Jego własni towarzysze z ruchu robotniczego nie pozwolili mu urzeczywistnić jego planów — mimo gotowości rządu wypuszczenia go i mimo wszelkich możliwych perswazyj z naszej strony, aby mu pozwolili wyjechać.

Henderson wrócił z Rosji 24-go czerwca. Nie było mnie w tym momencie w Anglii, gdyż 23-go wyjechałem do Paryża na konferencję międzysojuszniczą w towarzystwie Balfoura, generała Smutsa, admirała Jellicoe i sir Wiliama Robertsona. Muszę wyrazić żal że nie byłem na miejscu w chwili jego przyjazdu, gdyż gdybym mógł omówić z nim natychmiast całą sprawę, nie dopuściłbym może do nieszczęśliwego konfliktu, jaki wywiązał się między nim a jego kolegami z gabinetu.

Z Hendersonem przyjechało do Londynu czterech członków sowietu rosyjskiego, wysłanych dla nawiązania kontaktu z partiami socjalistycznymi w krajach Koalicji. Zanim jeszcze zobaczył się z kolegami z gabinetu, którzy poinformowaliby go o postawie rządu wobec zagadnień bieżących, Henderson udał się na zebranie Komitetu Wykonawczego Partii Pracy, której był dalej sekretarzem. Komitet omawiał pismo socjalistów francuskich, którzy prosili, aby przedstawiciele Partii Pracy towarzyszyli delegatom rosyjskim do Paryża, gdzie miała być omawiana sprawa konferencji socjalistów z państw koalicyjnych, oraz międzynarodowej konferencji socjalistycznej w Sztokholmie. Ta ostatnia sprawa została wznowiona przez Brantinga oraz holendersko-skandynawski komitet socjalistyczny z inicjatywy rosyjskich socjalistów lewicowych. Kiedy Henderson był w Rosji, Kiereński oświadczył mu że całkowicie popiera ten projekt. Było to zro-

zumiałe wobec ówczesnej sytuacji Kiereńskiego: nie stał jeszcze na czele rządu, ale był jego wpływowym członkiem, a jednocześnie członkiem sowietu — zachowując w ten sposób wpływy w obu obozach. Ta dwoista polityka, która w tym momencie pozwalała mu odgrywać tak wybitną rolę, stała się w końcu przyczyną jego upadku i zapanowania bolszewizmu w Rosji, Kiereński bowiem nie umiał nigdy zdobyć się na dostatecznie energiczne kroki wobec skrajnej lewicy, nawet wtedy, gdy ta dla osiągnięcia swoich celów uciekała się do gwałtu. Był mistrzem elokwencji, umiejącym porywać masy, ale za bardzo ufał swoim wybitnym talentom w tej dziedzinie i nie zdawał sobie sprawy z faktu, że są momenty, kiedy słowa muszą zamieniać się w czyny. Umiejąc odnosić tryumfy porywającymi mowami w Dumie, w Sowiecie i na wiecu, polegał na swojej sztuce oratorskiej. Do człowieka o istotnym znaczeniu — Lenina — głos jego nie docierał, a gdyby nawet docierał, nie wywierałby żadnego wpływu na tego bezwzględnego fanatyka, który pogardzał ludźmi typu Kiereńskiego.

Lenin był także wielkim mówcą. Ale istnieją mówcy dwojakiego rodzaju: dla jednych dobra mowa jest sama w sobie celem; miarą powodzenia są emocje, jakie mowa wywołuje w audytorium. Dla mówców drugiego typu sztuka oratorska jest środkiem przekonywania słuchaczy i skłaniania ich do określonej akcji, którą mówca kieruje. Fakt, że Kiereński wahał się między pierwszym typem a drugim, Lenin natomiast był mówcą drugiego typu — zadecydował o całej rewolucji bolszewickiej.

Pod wrażeniem atmosfery emocji i egzaltacji, jaką budzi wielka rewolucja, Henderson oddalił się nastrojem od surowej ale zimnej atmosfery odpowiedzialności i opanowania, panującej w Anglii. To co widział w Rosji wywarło magnetyczny wpływ na jego stalowy charakter. Był w nastroju nienormalnym; znać było na nim poważne ślady rewolucyjnej gorączki. Miał podnieconą temperaturę i nastrój bardzo nie-

skłonny do kompromisów. Komitet Wykonawczy Partii Pracy wybrał go, jako sekretarza Partii, w skład delegacji, do której wchodził poza tym przewodniczący Partii, Wardle, oraz skarbnik — Mac Donald, i która miała udać się do Paryża wraz z emisariuszami sowieckimi. Henderson przyjął wybór. Był to z jego strony poważny błąd: jako członek rządu angielskiego nie miał prawa — nie poradziwszy się nawet swych kolegów z gabinetu — jechać do Paryża w towarzystwie Mac Donalda, który był jawnym przeciwnikiem wojny, zwalczał wszystkie metody jej skutecznego prowadzenia i organizował kampanię pacyfistyczną: tym bardziej, że celem wyjazdu było omówienie z socjalistami francuskimi przygotowań do konferencji międzynarodowej, której rząd angielski nie aprobował, a której inne rządy sojusznicze — francuski, włoski i amerykański — były wyraźnie przeciwne.

Henderson nie zjawił się na posiedzeniach gabinetu 25-go i 26-go lipca. Na tym ostatnim posiedzeniu podniesiona została sprawa jego zamierzonego wyjazdu do Paryża, o czym Ministerstwo Spraw Zagranicznych dowiedziało się z pisma Partii Pracy, proszącego o paszporty dla jej delegatów. Henderson nie zawiadomił o swoich zamiarach gabinetu, choć depeszował do mnie do Paryża — gdzie byłem w tym czasie — komunikując, że przyjeżdża do Francji z czterema delegatami sowieckimi, oraz pp. Wardle i Mac Donaldem; nie podał jednak celu tej wizyty.

Gabinet był oczywiście poważnie zaniepokojony wieścią o podróży Hendersona, i postanowił prosić go tegoż wieczoru, o g. 7.30, na rozmowę z członkami gabinetu; celem rozmowy miało być wyjaśnienie, jak dalece jego zamierzona akcja angażuje rząd Jego Królewskiej Mości w sprawie spotkania przedstawicieli socjalizmu angielskiego z delegatami socjalistycznymi państw nieprzyjacielskich w Sztokholmie, oraz czy z włączenia p. Ramsay Mac Donalda w skład delegacji, mającej udać się do Paryża, miałoby wynikać uznanie

przez rząd brytyjski p. Mac Donalda, jako przedstawiciela socjalizmu angielskiego.

Konferencja ta odbyła się z udziałem Hendersona, i członkowie gabinetu powiedzieli mu wyraźnie, że całkowicie dezaprobują akcję, którą postanowił przedsięwziąć. Henderson odpowiedział, że powziął już w tej sprawie postanowienie, poczynił przygotowania do podróży i ani nie może ani nie chce się cofnąć. Bonar Law i jego koledzy z gabinetu byli w trudnej sytuacji — nie mogli bowiem zabronić Hendersonowi wyjazdu, ani też domagać się od razu, aby w razie wyjazdu ustąpił z rządu; było jednak rzeczą jasną, że parlament i kraj potępi ich za zaangażowanie gabinetu — w osobie Hendersona, który był jego członkiem — w dyskusję między Mac Donaldem i socjalistami francuskimi i rosyjskimi na temat przygotowań do światowej konferencji socjalistycznej, na której Niemcy omawiać będą z pacyfistami angielskimi sprawę zakończenia wojny i warunków pokoju. Henderson był w nastroju agresywnym i zawiadomił gabinet, że to za jego radą Komitet Wykonawczy Partii Pracy postanowił obecnie wysłać delegatów do Sztokholmu. To wywołało jednomyślną dezaprobatę gabinetu, na co Henderson oświadczył, że jeżeli członkowie gabinetu tego się domagają — gotów jest ustąpić z rządu. Gabinet nie mógł oczywiście domagać się tego, gdyż wiedział, że ja przywiązuję wielką wagę do jego współpracy, i wysoko cenił usługi, jakie Henderson oddał rządowi w dziedzinie stosunków z klasą robotniczą. Ostatecznie więc, w atmosferze dezaprobaty, Henderson wyjechał do Paryża.

Tu zajął postawę, która nie mogła przyczynić się do uspokojenia opinii publicznej. Wraz z Mac Donaldem wybrany został do małej podkomisji, która miała rozważyć i zrewidować tezy, dotyczące konferencji szkokholmskiej. Do podkomisji należeli poza tym: prawicowy i lewicowy socjalista francuski, oraz Ehrlich — przedstawiciel prawego skrzyd-

ta. i Goldenberg — lewego skrzydła socjalistów rosyjskich. W podkomisji Henderson starał się bardzo usilnie o uzyskanie zgody na to, aby konferencja sztokholmska ograniczyła się do wzajemnej wymiany zdań na temat celów wojennych poszczególnych krajów wojujących oraz warunków, na jakich byłyby one gotowe zawrzeć pokój — sprzeciwiał się natomiast przyjmowaniu przez konferencję wiążących rezolucyj na ten temat, gdyż w tym wypadku przedstawiciele krajów neutralnych i nieprzyjacielskich mogliby przegłosować socjalistów angielskich w sprawach, związanych z żywotnymi interesami Anglii. W usiłowaniach tych osiągnął pewien sukces, jednakże i w tym momencie i później sprawa pozostała jak się zdaje niezdecydowana, wiele zaś grup socjalistycznych, udających się do Szkokholmu, miało stanowczy zamiar przeprowadzić na konferencji uchwały o charakterze obowiązującym; okoliczności te wskazują, jak głęboko i bezapelacyjnie zaangażował się Henderson w popieranie całego projektu.

Wrócił do Anglii 1-go sierpnia; mieliśmy rozmowę, w czasie której zreferował mi przebieg obrad. Nie mogłem ukryć wrażenia, że postępowaniem swoim wytworzył sytuację bardzo przykrą; jednocześnie jednak zależało mi niesłychanie na utrzymaniu go w rządzie. Był kolegą lojalnym i odważnym. Oddał wielkie usługi krajowi, jako minister w rządzie moim i w rządzie Asquitha, pomagając nam utrzymać kontakt z klasą robotniczą i zapewniając współpracę związków zawodowych z rządem w dziedzinach związanych z wojną. Poza tym miałem dla niego głęboki osobisty szacunek. Postanowiłem więc przedyskutować całą sprawę z pozostałymi kolegami z gabinetu i postarać się uzyskać ich zgodę na zatrzymanie go w rządzie, jeśli to się w ogóle okaże praktycznie możliwe; Hendersona zaś prosiłem, aby przyszedł pomówić z nami o wpół do piątej.

Było rzeczą oczywistą, że pozostali członkowie rządu zechcą wypowiadać swoje poglądy z całą otwartością, i chcieliś-

my zakończyć tę część dyskusji, zanim poprosimy do nas Hendersona. Gdy więc przybył, proszono go, aby zaczekał chwilkę w pokoju mego sekretarza. Tak wyglądał słynny incydent „przedpokojowy". Niestety jednak zwłoka — mająca na celu wyłącznie oszczędzenie mu przykrości — trwała około godziny, i gdy po upływie tego czasu Barnes wyszedł do Hendersona, aby go zawiadomić o czym była mowa na posiedzeniu — zastał go w stanie bardzo podrażnionym. Nie zgłaszał już dobrowolnie swojej dymisji, jak to czynił na posiedzeniu gabinetu przed moim wyjazdem do Paryża; przeciwnie, domagał się, abyśmy zażądali jego dymisji — a tego, jak już zaznaczyłem, chcieliśmy bezwzględnie uniknąć. Następnie przypomniał okoliczności, w jakich powziął decyzję w sprawie wyjazdu do Paryża, oraz dowodził, że w rozmowach paryskich zajmował słuszne stanowisko, zwłaszcza w sprawie charakteru konferencji sztokholmskiej, która miała służyć tylko wymianie zdań i nie uchwalać żadnych rezolucyj. Co się tyczy sprawy, czy on sam ma zamiar udać się do Sztokholmu, jeśli Partia Pracy zamianuje go swoim delegatem—odmówił udzielenia konkretnej odpowiedzi. „Zdawał sobie zawsze sprawę, że będzie dlań rzeczą bardzo trudną udać się do Sztokholmu, pozostając członkiem gabinetu brytyjskiego. Gdyby więc wybrano go na delegata. będzie musiał rozważyć całą sprawę z uwzględnieniem całokształtu okoliczności".

Wyjaśniliśmy Hendersonowi, że pragniemy utrzymać go w gabinecie, i omówiliśmy wraz z nim, jak należy postawić sprawę tegoż wieczoru. Zgodziliśmy się, że Henderson może odpowiedzieć na krytykę ze strony Izby Gmin, wskazując, iż trudności powstają na skutek łączenia przezeń dwóch stanowisk — członka Rządu i sekretarza Komitetu Wykonawczego Partii Pracy. Można przyznać otwarcie, że w danej sprawie sytuacja ta dała powód do pewnych nieporozumień. trzeba jednak z drugiej strony pamiętać, że ma ona i wielkie zalety. Dzięki tej sytuacji, Henderson mógł być dotąd w jak naj-

ściślejszym kontakcie z opinią partii i w ten sposób — posiadając tego rodzaju informacje z pierwszej ręki — pomagać rządowi w przeprowadzaniu prac, związanych z wojną, w sposób zyskujący aprobatę klasy robotniczej. Ponadto, stanowisko Hendersona w partii pozwalało mu brać udział z dodatnim skutkiem w konferencjach socjalistów krajów koalicyjnych. Na przykład, nie dalej jak na Boże Narodzenie uczestniczył w konferencji socjalistycznej w Paryżu, gdzie mimo silnej opozycji udało mu się w końcu przeprowadzić swój pogląd na sprawę prowadzenia wojny — zgodny z poglądem rządu angielskiego. Wreszcie Henderson mógł wskazać na to, że w rządzie francuskim i w innych rządach koalicyjnych są ministrowie w sytuacji podobnej; w rezultacie więc jego podwójna pozycja daje więcej plusów niż minusów.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że w tej chwili Izbę Gmin niepokoi nie tyle konferencja szkoholmska, ile fakt że Henderson, będąc członkiem rządu, udał się do Paryża w towarzystwie Ramsay Mac Donalda, który dopiero przed paru dniami, w czasie debaty w Izbie na temat celów wojny, wystąpił jako przywódca pacyfistów, a w manifeście wydanym przez konferencję w Leeds — w której zwołaniu odgrywał wybitną rolę — oświadczył, że konferencja dąży do przekształcenia Anglii na wzór Rosji. Henderson jednak — i na to mu wskazaliśmy — mógł przypomnieć Izbie, że konferencja w Paryżu nie była pierwszą, na którą udał się w towarzystwie Mac Donalda: związek ich w tego rodzaju okazjach jest nieunikniony, skoro jeden jest sekretarzem, a drugi skarbnikiem Partii Pracy. Jeśli więc Henderson potwierdzi jeszcze swoją postawę wobec wojny — zgodnie ze swymi ostatnimi przemówieniami — Izba uzna jego wyjaśnienia za wystarczające.

Kiedy tego wieczoru w Izbie Gmin Henderson wezwany został do zdania sprawy ze swego postępowania, panował nastrój niezbyt dlań przychylny. W obronie swojej Henderson podkreślił, że jednym z ważnych celów jego wyjazdu do

Paryża było przygotowanie konferencji socjalistów państw koalicyjnych; że socjaliści rosyjscy — jak stwierdził w czasie pobytu swego w Rosji — są zdecydowanymi zwolennikami konferencji sztokholmskiej, a wobec tego on chętnie udał się do Paryża z polecenia Partii Pracy, aby tę konferencję przygotować; że anomalia tego rodzaju działalności ze strony członka rządu tkwi w samym fakcie zajmowania przezeń podwójnego stanowiska. Towarzyszył p. Ramsay Mac Donaldowi do Paryża i został z nim razem członkiem podkomisji, ponieważ chciał utrzymywać jego wystąpienia w pewnych granicach. „Uważałem za rzecz nadzwyczaj ważną, aby zostać członkiem podkomisji i czuwać nad moim szanownym przyjacielem, posłem z Leicester... Jeśli miał tam być przedstawiciel mniejszości, i jeśli przedstawiciel ten wybrany został przez Komitet Wykonawczy partii, nie miałem zamiaru wyłamywać się. Uznałem za wskazane przyjąć sytuację, jaka się wytworzyła, i zrobić wszystko co mogłem, gdyby uczynił jakiś błędny krok..." Dalej Henderson podkreślił, że poza czuwaniem nad Mac Donaldem i zapobieganiem jakimś szkodliwym krokom z jego strony, było również jego obowiązkiem, skoro konferencja sztokholmska ma się odbyć, starać się o to, aby odbyła się w terminie umożliwiającym przyjazd delegatom amerykańskim — jeśliby ci pragnęli przyjechać — jak również o to, aby polegała na rozmowach informacyjnych i nie podejmowała wiążących uchwał. Zaznaczył też, że jego zdaniem konferencja tego rodzaju przynieść może poważny pożytek, ale jednocześnie stwierdził niedwuznacznie, że nie zmienił swoich poglądów na cele wojny i na konieczność walki aż do zwycięstwa.

W dalszym ciągu debaty wystąpiłem gorąco w obronie Hendersona. Złożyłem hołd usługom, jakie oddał rządowi w dziele prowadzenia wojny, i usprawiedliwiałem jego nienormalną sytuację — członka Rządu i sekretarza Partii Pracy — tym, że okazała się ona w praktyce pożyteczna. Albert Tho-

mas we Francji był w analogicznej sytuacji. Obiecałem, że Rząd rozważy dokładnie to zagadnienie i przedsięweźmie na ten temat wymianę zdań z Francją. Rząd jako taki — stwierdziłem — nie jest zupełnie zaangażowany w popieraniu konferencji szokholmskiej; konferencja socjalistów państw koalicyjnych w Londynie jest całkiem inną sprawą, i rząd uważa ją za bardzo pożądaną. W konkluzji prosiłem Izbę, aby nie poszła w kierunku, mogącym przysporzyć kłopotów rządowi rosyjskiemu, który ma w tej chwili i tak niezwykłe trudności do pokonania.

Mowa moja odniosła pożądany skutek, uspokajając nastrój Izby. Votum nieufności nie było głosowane, i minęliśmy szczęśliwie niebezpieczny zakręt. Ale cała sprawa pozostawiła Hendersona w nastroju zawziętym i nieufnym, co wkrótce wywołało nowe kłopoty. Wojowniczość, połączona z wrażliwością osobistą, nie łatwo daje się ułagodzić.

W tym okresie sytuacja w Rosji bardzo nas niepokoiła. Już od dłuższego czasu rząd rosyjski miał charakter nadzwyczaj nieokreślony i niepewny: oficjalnie głosił konieczność dalszego prowadzenia wojny, ale jednocześnie tolerował zupełny brak dyscypliny wśród ludności cywilnej i w wojsku. Komisarze bolszewiccy, reprezentujące lewe skrzydło Sowietów, wzywali żołnierzy do zaprzestania wojny i zabijania oficerów, a robotników w fabrykach amunicyjnych — do porzucania pracy. Nie wiadomo było w gruncie rzeczy, kto rządzi w Rosji. Na początku sierpnia cała administracja kraju popadła w zupełny chaos, a 4-go sierpnia sir George Buchanan depeszował: „Jesteśmy w tej chwili bez rządu i nie ma nikogo, z kim mógłbym rozmawiać." W wysłanej tegoż dnia depeszy nasz attaché wojskowy donosił:

„Tak jak rzeczy stoją obecnie, kraj ten idzie prosto ku ruinie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie zostały przedsięwzięte żadne środki, aby przywrócić wśród wojsk na tyłach autorytet oficerów czy dyscyplinę w szeregach;

Dopóki zaś na tyłach dyscyplina nie będzie przywrócona i dopóki wojsko nie stanie się zdolne do walki, nie ma najmniejszej nadziei na poprawę w postawie armii na froncie. A dopóki nie ma dyscypliny w armii, nie zmusi się też do pracy ludzi w warsztatach kolejowych czy kopalniach.

Jeśli obecny stan rzeczy nie ulegnie zmianie, w zimie nastąpi zupełne załamanie się transportu, to zaś doprowadzi do głodu w Petrogradzie i w armii. Jedynym człowiekiem wśród ministrów, posiadającym w obecnej chwili wpływ osobisty na masy, jest Kiereński który jest rozumie dotąd konieczności dyscypliny. Wśród jego bezpośrednich doradców wojskowych nie ma ani jednego człowieka z charakterem. Socjaliści woleliby prowadzić wojnę klasową niż wojnę narodową, a do masy żołnierskiej to przemawia, ponieważ wydaje się rzeczą mniej niebezpieczną"...

Po kilku dniach Kiereński utworzył rząd koalicyjny, w którym Sowiety były tylko jedną z reprezentowanych grup; wpływy ich zostały do pewnego stopnia opanowane i ograniczone przez inne grupy.

Na posiedzeniu gabinetu w dn. 8. sierpnia omawialiśmy raz jeszcze sprawę konferencji sztokholmskiej. Rządy: włoski i amerykański zakomunikowały nam, że nie pozwolą przedstawicielom z ich krajów udać się do Sztokholmu. My również — podobnie jak Francja — byliśmy przeciwni Konferencji. Poprzedniego dnia Prokurator Generalny rozesłał członkom gabinetu swoją oficjalną opinię, że prowadzenie przez jakiegokolwiek poddanego brytyjskiego rozmów z poddanymi państw nieprzyjacielskich jest sprzeczne z obowiązującym prawem — chyba że odbywa się to z upoważnienia rządu. Henderson skłonny był z początku domagać się natychmiastowego opublikowania tej decyzji, ale po porozumieniu ze swymi kolegami z Partii Pracy stwierdził, że są

jednomyślnie przeciwni ukazaniu się takiej publikacji przed konferencją partyjną, która zbierała się 10-go sierpnia — i poinformował mnie, że podziela ten punkt widzenia. Zaproponował też, aby zamiast publicznego wypowiedzenia się przeciw konferencji sztokholmskiej, Rząd przeczekał naradę Partii Pracy, gdyż jeśli narada odrzuci projekt — żadne oświadczenie rządu nie będzie już potrzebne. Propozycję tę omawialiśmy wraz z Hendersonem na posiedzeniu gabinetu 8-go sierpnia i uznaliśmy, że będzie rzeczą o wiele wygodniejszą dla rządu rosyjskiego i o wiele bardziej pożądaną z punktu widzenia dobrych stosunków między rządem angielskim a Partią Pracy, jeśli sami robotnicy odmówią udziału w konferencji sztokholmskiej — ogłoszenie bowiem decyzji Rządu wyglądałoby na dyktowanie Partii Pracy jej polityki. Drogą porozumienia ustnego ustalono, że taki bieg wypadków odpowiadałby także intencjom rządu francuskiego. Uznano więc za najbardziej wskazane poczekać z decyzją ostateczną, aż zbierze się konferencja partyjna w dn. 10. sierpnia.

Postanowiliśmy, że w odpowiedzi na wszelkie zapytania w tej materii w Izbie Gmin, Bonar Law ograniczy się do następujących oświadczeń:

a) Udział w konferencji delegatów brytyjskich byłby sprzeczny z prawem;

b) delegaci brytyjscy nie mogliby być obecni na konferencji tego rodzaju bez pozwolenia rządu;

c) rząd rozważa całą tę sprawę;

d) jest rzeczą widoczną, że sprawa dotyczy nie tylko rządu angielskiego;

e) rząd złoży oświadczenie 13-go sierpnia.

Henderson obecny był na posiedzeniu gabinetu i brał udział w dyskusji, która doprowadziła do przyjęcia powyż-

szych postanowień. Poza nim i mną, na posiedzeniu obecni byli pozostali członkowie gabinetu — lord Curzon, lord Milner, Bonar Law i generał Smuts, a ponadto: Balfour, lord Robert Cecil, lord Derby i sir Wiliam Robertson. Mieliśmy wszyscy wówczas wrażenie — a mówiąc to, opieram się nie tylko na mojej pamięci, ale na wspomnieniach wszystkich tych odpowiedzialnych mężów stanu, — że Henderson w czasie dyskusji uznał za niemożliwe domagać się dalej zwołania konferencji sztokholmskiej i zgodził się z nami, że należy ten projekt porzucić. Zapewnił nas nawet, że według jego przewidywań narada Partii Pracy odrzuci projekt „dość znaczną większością".

Łatwo sobie wobec tego wyobrazić naszą niespodziankę, gdy nazajutrz przeczytaliśmy w porannych dziennikach, że Henderson jest w dalszym ciągu zwolennikiem wysłania delegatów angielskich do Sztokholmu i będzie bronił tego punktu widzenia na konferencji, rozpoczynającej się tego dnia. Wiedzieliśmy oczywiście, że zdaniem Hendersona — którego w dalszym ciągu bronił — konferencji sztokholmskiej życzą sobie bardzo Rosjanie, a zwłaszcza Kiereński; ale akurat w ciągu ostatnich kilku dni sytuacja w Rosji uległa poważnej zmianie. Wpływy sowietów zostały na jakiś czas znacznie osłabione, i wobec tego potrzeba ułagodzenia ich ze strony Kiereńskiego przez popieranie ich żądań w sprawie Sztokholmu stała się o wiele mniej paląca. Ta okoliczność, oraz fakt, że rząd rosyjski przestał domagać się zwołania konferencji, zostały nam zakomunikowane w liście ambasady rosyjskiej, który otrzymaliśmy poprzedniego dnia — w czwartek i którego kopie natychmiast rozesłaliśmy członkom gabinetu. List był więc w posiadaniu Hendersona w czwartek wieczorem, w chwili kiedy — jak sam potem przyznał — przygotowywał swe przemówienie na piątkową naradę Partii Pracy. List ten, mający decydujące znaczenie dla całej sprawy, podaję w całości: —

„Ambasada Rosyjska,

Londyn, 8-go sierpnia 1917 r.

Wasza Ekscelencjo!

W depeszy, którą posłałem do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych trzy czy cztery dni temu, zreferowałem mu oświadczenie, złożone Izbie Gmin przez premiera i przez p. Hendersona w sprawie wyjazdu tego ostatniego do Paryża, jak również oświadczenie p. Bonar Law, dotyczące Konferencji Sztokholmskiej i dyskusyj, toczących się w rozmaitych organizacjach robotniczych w Anglii na temat wysłania delegatów do Sztokholmu. Zwróciłem także uwagę rosyjskiego ministra spraw zagranicznych na odpowiedź, jakiej udzieliła Amerykańska Federacja Pracy francuskiej Confédération Generale du Travail.*) W konkluzji oświadczyłem co następuje: „Uważam za rzecz absolutnie niezbędną, dla utrzymania naszego niewzruszonego i bliskiego związku z Anglią, gdzie większość opini publicznej jest przeciwna Konferencji, abym mógł oświadczyć najzupełniej kategorycznie p. Balfourowi, że rząd rosyjski — tak samo jak rząd Jego Królewskiej Mości — uważa tę sprawę za zagadnienie partyjne a nie państwowe, i że ewentualne decyzje Konferencji — gdyby została ona zwołana — nie będą w żadnym stopniu wiążące dla polityki Rosji i dla jej stosunków z sojusznikami."

W odpowiedzi na to otrzymałem w tej chwili następującą depeszę: „Aprobuję całkowicie tekst deklaracji, jaką pragnie Pan uczynić wobec rządu Jego Królewskiej Mości; upoważniam Pana niniejszym do oświadczenia brytyjskiemu Ministrowi Spraw Zagranicznych, że chociaż rząd rosyjski nie uważa za możliwe

*) Delegacja amerykańska odmówiła wysłania delegatów do Sztokholmu.

przeszkodzić wyjazdowi na Konferencję delegatów rosyjskich, jednakże traktuje tę Konferencję jako sprawę partyjną i stwierdza, że jej decyzje nie mogą żadną miarą ograniczać w przyszłości swobody działania rządu".

Spieszę zakomunikować Panu powyższą informację, obawiam się bowiem że do tej chwili w Anglii panowało wrażenie, iż — mówiąc słowami jednego z dzienników londyńskich — „Rosja gorąco pragnie Konferencji Sztokholmskiej", i przy pomocy tego argumentu starano się wytworzyć w angielskiej opinii publicznej nastrój, przychylny dla udziału w konferencji angielskich organizacyj socjalistycznych i robotniczych.

Pozostaję itd.

C. Nabokow."

Doniosłość tego oświadczenia była rzeczą oczywistą, ponieważ najpoważniejszym argumentem dla Hendersona był ujemny efekt, jaki nieudzielenie przez nas pozwolenia na wyjazd delegatów miało wywrzeć na rządzie rosyjskim — i na ten argument Henderson chciał położyć największy nacisk na naradzie piątkowej. Okazało się jednak, że rząd rosyjski uwolnił się z pod nacisku skrajnego skrzydła sowietów, od którego wyszła powtórna inicjatywa konferencji sztokholmskiej, i pragnie jeszcze bardziej uniezależnić się od tych wpływów; w tej sytuacji konferencja sztokholmska, zwołana na skutek starań tych właśnie sfer, nie wzmocniłaby Kiereńskiego w walce z nimi.

Wiedząc o tym — wiedząc ponadto, że gabinet angielski którego jest on członkiem sprzeciwia się kategorycznie konferencji, i że udział w niej poddanych angielskich byłby sprzeczny z prawem — Henderson udał się na naradę Partii Pracy w piątek, 10-go sierpnia, i wygłosił na niej namiętne przemówienie za wysłaniem delegatów do Sztokholmu. Kiedy mi o tym doniesiono, posłałem mu natychmiast drugą

kopię listu Nabokowa z prośbą, aby zakomunikował zebraniu jego treść. Nie uczynił tego jednak, uważając widocznie, że uwzględnił już w sposób wystarczający tę okoliczność w swoim przemówieniu, w którym stwierdził, że sytuacja w Rosji zmieniła się ogromnie od czasu jego pobytu i że „według posiadanych przez nas informacyj — choć są one bardzo skąpe — rząd rosyjski zmodyfikował swój stosunek do konferencji."

Po zakończeniu rannego posiedzenia narady, przysłał mi list następujący:

„Rada Ministrów,

Londyn, 10-go sierpnia 1917 r.

Szanowny Panie Premierze!

P. Sutherland wręczył mi z Pana polecenia depeszę p. Nabokowa. Czytałem ją już przed tym, i skorzystałem z okazji, aby w trakcie mojego przemówienia zaznaczyć że nowy rząd, w porównaniu ze starym, zmodyfikował swoją postawę wobec Konferencji Sztokholmskiej.

Posiedzenie zostało przerwane do drugiej po południu, aby różne grupy mogły naradzić się co do ostatecznego stanowiska, jakie zajmą po wznowieniu obrad.

Sądzę, że powinienem Pana zawiadomić, iż po najgłębszym rozważeniu sprawy uznałem za niemożliwe zmienić stanowisko, jakie zająłem nazajutrz po powrocie z Rosji Starałem się opisać zebranym sytuację w Rosji — w czasie mojego tam pobytu i obecną — i przedstawić im wszystkie *pro* i *contra*. Jest rzeczą absolutnie niemożliwą przewidzieć, jaka będzie decyzja narady. Jeśli Pan chciałby zobaczyć się ze mną po zakończeniu obrad, będę do Pana dyspozycji.

Szczerze oddany

Artur Henderson."

Skutek przemówienia Hendersona był taki, że na posiedzeniu popołudniowym Partia Pracy zmieniła swoją dawniejszą decyzję i większością przeszło trzech czwartych głosów postanowiła wysłać delegatów do Sztokholmu.

Gabinet omawiał sytuację tegoż wieczoru. Henderson nie był obecny; unikał on posiedzeń gabinetu od zebrania z dn. 8-go sierpnia, o którym już pisałem i na którym dowiedział się, że delegaci angielscy nie mogą legalnie wyjechać do Sztokholmu i że gabinet przeciwny jest udziałowi delegacji angielskiej w konferencji. Wobec rezultatów głosowania na naradzie Partii Pracy gabinet ponowił swoją decyzję niepozwolenia na wyjazd delegacji do Sztokholmu i postanowił poinformować o tym rządy: francuski, włoski i Stanów Zjednoczonych.

Na tym posiedzeniu gabinetu odczytane zostało pismo Alberta Thomas, zawiadamiające o otrzymaniu depeszy z Petrogradu, która stwierdzała że Rząd Tymczasowy zgłosił swoje désinteressement w sprawie konferencji sztokholmskiej i że Kiereński nie życzy sobie jej zwołania.

Pozostawała do rozważenia sytuacja Hendersona. Fakt, że wzywał on publicznie Partię Pracy do postępowania, któremu rząd był zdecydowanie przeciwny i które uważaliśmy, wraz z naszymi sojusznikami, za szkodliwe dla naszych zadań wojennych, wywołał wielkie oburzenie wśród członków gabinetu. Chociaż domaganie się ustąpienia Hendersona było całkowicie sprzeczne z moimi intencjami, jednak okoliczności wymagały przedsięwzięcia kroków stanowczych. Postanowiliśmy, że wyślę doń list z wymówkami, przy czym tekst listu zaaprobowany został przez gabinet; na razie zaś nie będziemy zawiadamiać go o posiedzeniach gabinetu ani przesyłać mu dokumentów oficjalnych. Przed wysłaniem jednak listu mieliśmy jeszcze upewnić się w ambasadzie rosyjskiej co do możliwości zużytkowania listu Nabokowa z dn. 8-go sierpnia.

Kiedy zebraliśmy się w sobotę rano, 11-go sierpnia, stanęliśmy wobec nowych faktów. Henderson zgłosił swoją rezygnację, zawiadamiając mnie jednocześnie, że w dalszym ciągu podziela moje pragnienie prowadzenia wojny aż do pomyślnego zakończenia; ma nadzieję — pisał — że nie wchodząc w skład rządu, będzie jednak mógł udzielić nam swego poparcia w tym zadaniu.

Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że Nabokow upoważnił nas do opublikowania depeszy rządu rosyjskiego, z tym jednak zastrzeżeniem, aby nazwisko jego nie było w związku z tą sprawą ujawnione.

Na list, w którym Henderson zgłaszał swoje ustąpienie, odpowiedziałem w sposób następujący:

„1. sierpnia, 1917 r.

„Drogi Panie!

Potwierdzam otrzymanie od Pana dziś rano listu, w którym zgłasza Pan ustąpienie ze stanowiska członka gabinetu; Jego Królewska Mość, któremu przedstawiłem Pana rezygnację, upoważnił mnie do jej przyjęcia. Koledzy moi i ja przyjęliśmy z zadowoleniem zapewnienie, że pragnie Pan tak jak dotąd pomagać nam w poprowadzeniu wojny aż do pomyślnego zakończenia, i żałujemy szczerze, że nie może Pan dłużej współdziałać z nami bezpośrednio i oficjalnie. Jest jednak rzeczą ważną, aby opinia publiczna zapoznała się z pewnymi faktami, inaczej bowiem nie będzie mogła wyrobić sobie właściwego sądu o powodach tego godnego ubolewania wydarzenia.

Przede wszystkim więc — faktem jest, że koledzy Pana byli całkowicie zaskoczeni postawą, jaką Pan zajął na konferencji Partii Pracy wczoraj po południu. Pan wiedział, że w obecnych okolicznościach są oni jednomyślnie przeciwni zwołaniu konferencji sztokholm-

skiej, i przed kilku dniami sam Pan gotów był zgodzić się na oświadczenie rządu, idące w tym kierunku. Na propozycję jednak Pana i Pana kolegów z Partii Pracy postanowiono wstrzymać się z wszelkim tego rodzaju oświadczeniem aż do chwili, kiedy konferencja Partii Pracy zakończy swoje obrady. Po kilku rozmowach z Panem miałem wrażenie, że pragnie Pan użyć swojego wpływu dla obalenia propozycji, przewidującej spotkanie w Sztokholmie z delegatami państw nieprzyjacielskich. To co zaszło w Rosji w ciągu ostatnich kilku tygodni zmieniło w poważny sposób sytuację zwolenników konferencji. Zgodził się Pan ze mną, że sytuacja zmieniła się całkowicie w ciągu ostatnich dwóch tygodni, i że bez względu na to, jakimi motywami kierował się Pan przed dwoma tygodniami, popierając udział w konferencji delegacji angielskiej, wypadki ostatnich kilku dni okazały Panu całą nierozsądność takiej postawy. Tak niewątpliwie miałem prawo zrozumieć Pana słowa; takie też było wrażenie kolegów Pana w gabinecie i członków Partii Pracy, wchodzących w skład rządu. Wobec tego było niemałą niespodzianką, gdy wczoraj po południu otrzymałem Pana list, w którym Pan pisze, że „po najgłębszym rozważeniu sprawy uznał Pan za niemożliwe zmienić stanowisko, jakie Pan zajął nazajutrz po powrocie z Rosji" — i gdy potem koledzy Pana zapoznali się z treścią Pana przemówienia.

Jest rzeczą jasną że o wniosku, do którego Pan doszedł, powinien Pan był zawiadomić gabinet przed wystąpieniem na konferencji; w chwili, gdy Pan na niej przemawiał, był Pan nie tylko członkiem Partii Pracy, ale i członkiem rządu, odpowiedzialnym za prowadzenie wojny. Mimo to, nie uznał Pan za stosowne podać do wiadomości konferencji poglądów swoich kolegów, i wobec tego delegaci partii mieli prawo przypuszczać,

że poglądy Pana nie są sprzeczne z poglądami pozostałych ministrów.

Druga sprawa jest następująca. Wczoraj rano otrzymaliśmy nadzwyczaj ważne oświadczenie rządu rosyjskiego, który zawiadomił nas, że „chociaż nie uważa za możliwe przeszkodzić wyjazdowi delegatów rosyjskich na konferencję sztokholmską, jednakże traktuje tę konferencję jako sprawę partyjną i stwierdza, że jej decyzje nie mogą żadną miarą ograniczać w przyszłości swobody działania rządu". List, w którym zawiadomiono nas o tym oświadczeniu, zawierał ponadto słowa: „Spieszę zakomunikować Panu powyższą informację, obawiam się bowiem że do tej chwili w Anglii panowało wrażenie, iż — mówiąc słowami jednego z dzienników londyńskich — „Rosja gorąco pragnie Konferencji Sztokholmskiej", i przy pomocy tego argumentu starano się wytworzyć w angielskiej opinii publicznej nastrój, przychylny dla udziału w konferencji angielskich organizacyj socjalistycznych i robotniczych".

Natychmiast po otrzymaniu tych informacyj przesłałem je Panu z prośbą, aby Pan zakomunikował je konferencji; nie uczynił Pan tego. Prawdą jest, że w trakcie swego przemówienia wspomniał Pan mimochodem o „pewnej modyfikacji" w postawie rządu rosyjskiego; ale tego rodzaju niewyraźna wzmianka musiała oczywiście wywrzeć na słuchaczy zupełnie inne wrażenie, niż zakomunikowanie im oficjalnego dokumentu, wskazującego, że stosunek rządu rosyjskiego do konferencji sztokholmskiej jest zupełnie inny niż przypuszczano.

W tej sytuacji nie wydaje się, aby postępowanie Pana było lojalne — zarówno wobec rządu, jak i wobec delegatów do których Pan przemawiał; delegaci ci bowiem pozostawieni byli w nieświadomości co do ważne-

go faktu, który musiał niewątpliwie wpłynąć na ich opinię.

Kopię niniejszej korespondencji posyłam do prasy.

Szczerze oddany,

D. Lloyd George."

Dyskusja w parlamencie na temat wytworzonej sytuacji była oczywiście rzeczą nieuniknioną, i debata nad ustąpieniem Hendersona z rządu zaczęła się w Izbie Gmin w poniedziałek, 13-go sierpnia, natychmiast po przystąpieniu do porządku dziennego. Przygotowując się do tej debaty rząd omawiał raz jeszcze sytuację tegoż dnia rano i polecił Balfourowi porozumieć się osobiście z Hendersonem, zanim ten ostatni złoży w Izbie swoje oświadczenie, co do zakresu, w jakim zrobi on publiczny użytek ze znanych mu dokumentów i wiadomości oficjalnych. Uważaliśmy, że Henderson, będąc stroną broniącą się, powinien móc zużytkować wszelkie informacje, które mogą mu być potrzebne w jego obronie, a których ogłoszeniu nie sprzeciwiają się względy dobra publicznego. —

W czasie naszej dyskusji przed posiedzeniem Izby omówiliśmy okoliczności, które sprawiły, że chociaż w maju gotowi byliśmy rozważyć sprawę wyjazdu delegacji angielskiej do Sztokholmu, w lipcu zajęliśmy wobec konferencji stanowisko negatywne. Stwierdziliśmy, iż przyczyną tej zmiany poglądów był fakt, że w maju w rządzie rosyjskim decydowały Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, pod których wpływem rząd ten wypowiadał się wówczas zdecydowanie za konferencją sztokholmską; rząd zaś angielski kierował się w tej sprawie w poważnym stopniu pragnieniem podtrzymania autorytetu nowego rządu, nie mającego jeszcze mocnej pozycji w kraju. Konsekwencją jednak wpływu sowietów było rozluźnienie dyscypliny w armii rosyjskiej i dezorganizacja państwa, i w chwili obecnej rząd rosyjski — w celu

przywrócenia dyscypliny w armii — podejmuje kroki, będące w zupełnej sprzeczności z ideologią sowietów i okazujące, że polityka skrajnych rewolucjonistów została zdyskredytowana.

Pozwolenie na udział delegatów angielskich w konferencji sztokholmskiej — z którego wynikałoby, że popieramy bratanie się części społeczeństwa angielskiego z częścią społeczeństwa krajów nieprzyjacielskich — osłabiłoby bardzo politykę, którą rząd rosyjski obecnie zapoczątkował i ma zamiar w dalszym ciągu prowadzić, i której pierwszym punktem jest niedopuszczenie do bratania się żołnierzy rosyjskich z wojskami nieprzyjaciela.

Ustaliliśmy, że nie trudno nam będzie dowieść przy pomocy tego rozumowania zupełnej zmiany warunków, jaka nastąpiła od maja 1917 r. — jednocześnie jednak uznaliśmy, że bardzo trudno będzie nam to uczynić, nie stwarzając kłopotliwej sytuacji dla Kiereńskiego.

Ta ostatnia sprawa była naprawdę trudnym momentem w całej sytuacji. Kiereński walczył wciąż jeszcze z wpływami sowietów, i w pewnym stopniu zależny był od ich dobrej woli. Nie mógł odważyć się na otwarte zadeklarowanie swego wrogiego do nich stosunku bez narażenia się na największe niebezpieczeństwo — miał bowiem do czynienia z organizacją, która nieustannie podniecała tłum, ukazując mu widmo kontrrewolucji, i która niejednokrotnie nie cofała się przed użyciem bomby i rewolweru dla pozbycia się przeciwników.*) Kiereński uznał nawet za konieczne oświadczyć w wywiadzie, ogłoszonym w parę dni później w *Daily News*, że nie jest bynajmniej przeciwny konferencji sztokholmskiej, a nawet przykłada do niej wielką wagę. Wszelkie inne oświadczenie skróciłoby mu prawdopodobnie życie.

---

*) Nie jest rzeczą zupełnie jasną, co Autor ma tutaj na myśli; być może chodzi o wypadki, które nastąpiły później, po przewrocie październikowym. — *(Przyp. tłum.)*

Debata w Izbie w dn. 13-go sierpnia nie dodała wiele nowego do sprawy. Z oświadczenia Hendersona wynikało przede wszystkim jedno — że najwidoczniej postanowił on od początku uparcie dążyć do przeprowadzenia uchwały, przychylnej dla konferencji sztokholmskiej, przeciwności zaś z jakimi się spotykał — takie jak opozycja kolegów z gabinetu przed wyjazdem do Paryża, lub trzymanie go „w przedpokoju" przed salą posiedzeń gabinetu po powrocie stamtąd — umacniały go tylko w powziętym postanowieniu. Henderson nie wyjaśnił, dlaczego zachowywał się jak trusia i nie zaznaczył swego stanowiska na posiedzeniu gabinetu, na którym postanowiono wyraźnie, że delegaci nie uzyskają pozwolenia na wyjazd do Sztokholmu; zakomunikował natomiast Izbie Gmin w swoim przemówieniu, że gdyby rząd zmusił go do ustąpienia, wobec różnicy zdań w sprawie Sztokholmu, przed konferencją partyjną — zwolennicy Sztokholmu uzyskaliby na konferencji jeszcze poważniejszą większość.

W moim przemówieniu byłem bardzo wstrzemięźliwy, nie chciałem bowiem zaostrzać sytuacji. Wyraziłem ubolewanie, że Henderson nie zawiadomił kolegów z gabinetu o swojej istotnej postawie w tej materii, oraz że na konferencji uznał za wskazane prześlizgnąć się po ważnej wiadomości z Rosji, mimo że prosiłem go o zakomunikowanie tej wiadomości zebranym; uczyniłem też aluzję do poważnych motywów, związanych z sytuacją w Rosji i z postawą innych naszych sojuszników, a przemawiających za zaniechaniem projektu konferencji sztokholmskiej. Po mnie wygłosił taktowne przemówienie Asquith, wyrażając uznanie Hendersonowi za oddane przezeń usługi, ale jednocześnie godząc się ze mną, że wytworzyła się sytuacja niemożliwa do zniesienia, i wypowiadając przekonanie, że mimo chwilowej różnicy zdań, stanowisko klasy robotniczej wobec wojny pozostanie stanowiskiem zdrowym.

W tydzień mniej więcej po tym, 21-go sierpnia, konfe-

rencja Partii Pracy wznowiła swoje obrady i przeprowadziła jeszcze raz głosowanie w sprawie Sztokholmu. O braku entuzjazmu dla tego projektu w szeregach zorganizowanych robotników świadczy fakt, że podczas gdy 10-go sierpnia za udziałem w konferencji sztokholmskiej padło 1846000, a przeciw — 550000 głosów, co daje większość 1296000 głosów, obecnie — nie bacząc na nastroje, jakie mogła ewentualnie spowodować dymisja Hendersona — za udziałem padło głosów 1234000, przeciw — 1231000, to znaczy większość za Szokholmem wyniosła tylko 3000 głosów. Taki rezultat głosowania osiągnięty został mimo bardzo mocnego i agresywnego przemówienia Hendersona, który bronił swego stanowiska i podkreślał w dalszym ciągu, że Kiereński pragnie, aby konferencja się odbyła.

Cała ta historia godna jest ubolewania. O dobrej woli Hendersona i jego zdrowym patriotyzmie nikt ani przez chwilę nie wątpił. Kiedy zgłosił swoją dymisję, wszyscy jego koledzy żałowali szczerze, że uznał za konieczne ustąpić; zdawali sobie jednak sprawę, że ustąpienie jego było nieuniknione wobec skomplikowanej sytuacji w Rosji i niepożądanego wpływu tej sytuacji na nastroje klasy robotniczej w krajach Koalicji.

Prądy rewolucyjne, które pojawiły się w Anglii w roku 1917, poważnie nas wówczas zaniepokoiły; wymagały one od rządu wielkiego taktu i rozumu politycznego.

INICJATYWA POKOJOWA AUSTRII

Przystępujemy teraz do epizodu, ilustrującego prawdę historyczną — że jeśli ma się sojuszników, zawarcie honorowego pokoju jest rzeczą nie mniej trudną, niż pomyślne prowadzenie wojny. W obu wypadkach ambicje i rywalizacje osobiste i narodowościowe zaciemniają sąd i stanowią zawadę we wspólnym działaniu.

W trzecim roku przeciągającej się wojny Austro-Węgry zaczęły ją dotkliwie odczuwać w wielu dziedzinach. Ta dualistyczna monarchia z trudnością utrzymywała swą jedność już w czasie pokoju, i była bardzo źle przygotowana do znoszenia długotrwałego nacisku wojny. Nazwałem ją kiedyś „chwiejącym się imperium", i wojna wykazała jak dalece miałem rację.

Dopóki żył stary cesarz Franciszek Józef, niepokój rządu austriackiego nie mógł wyrazić się w żadnych propozycjach, które zawierałyby aluzję do jakichś ustępstw na rzecz nieprzyjaciela. Pogrążony głęboko w tradycjach swego tronu, nie wyrzekł się cesarskiej dumy aż do ostatniego tchnienia — swego i swoich niezliczonych poddanych. W ostatnim roku panowania był już zbyt słaby na ciele i umyśle, aby można mu było powiedzieć prawdę o sytuacji Austrii. W dniu 21-go listopada 1916 r. Franciszek Józef zakończył życie, i na tron wstąpił arcyksiążę Karol; prawa sukcesyjne przeszły doń na skutek szeregu tragedyj, które usunęły jednego po drugim bliższych krewnych cesarza. Karol był człowiekiem o tendencjach liberalnych i pacyfistycznych; cesarzowa była księżniczką z dofu Burbonów. Brat jej, książę Sykstus, odbywał daw-

niej służbę w armii belgijskiej i uważał się za Francuza. Cesarzowa nie lubiła Prus i napewno nie żywiła nienawiści do Francji. Była osobą o silnej indywidualności i wywierała poważny wpływ na łagodnego i uległego męża. Cesarzowa zdawała sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło dynastii Habsburgów w razie przeciągania się wojny. W przeszłości osobisty sentyment dla monarchy, który stał się w oczach swych ludów osobą legendarną, utrzymywał we wspólnym związku wrogie sobie narody i stwarzał między nimi pozory jedności. Karol jednak nie miał żadnych wybitnych cech osobistych, nie stał się też jeszcze przedmiotem ludowego sentymentu, który by mógł zapobiec rozpadnięciu się cesarstwa na wrogie sobie, a nawet wojujące ze sobą narody. Cesarzowa uświadamiała sobie ten fakt bardziej żywo niż cesarz, i nie pragnęła bynajmniej ryzykowania tronu swego męża i syna dla wątpliwych korzyści upokorzenia Francji i sprawienia satysfakcji niemieckiemu cesarzowi.

Dziedzictwo jakie przypadło w udziale Karolowi nie było godne zazdrości. Cecarstwo austriackie wleczone było przez swego potężnego portnera poprzez rujnującą wojnę, której końca nikt jeszcze nie widział. Partia wojskowa w Niemczech żywiła wielkie ambicje terytorialne, które ciągle jeszcze miała nadzieję urzeczywistnić w rezultacie wojny — ale sukcesy Niemiec musiały prawie napewno prowadzić do podporządkowania Austrii ich przemożnym wpływom. Już parę razy armia austriacka uratowana została od katastrofy przez armię niemiecką, która w odpowiednim momencie przyszła jej z pomocą. Gdyby państwa centralne miały odnieść zwycięstwo, Austria stałaby się faktycznie wasalem Niemiec. Już w czasie wojny nie była w stanie bez niemieckiej pomocy obronić swoich granic; po wojnie, bez tego potężnego poparcia, nie mogła liczyć na utrzymywanie w ryzach odśrodkowych tendencyj swoich niespokojnych poddanych. Jeśli jednak państwa centralne zostałyby pokonane — monarchię Habsbur-

gów oczekiwała nieunikniona ruina i rewolucja. Nic dziwnego zatem, że cesarz Karol wraz ze swą inteligentną małżonką tęsknili do rychłego pokoju, bez zwycięstwa i bez porażki, jedności chwiejącego się imperium, którego tron powierzyły — gdyż tylko taki pokój dawałby pewną szansę utrzymania im losy.

Pierwszym aktem Karola po wstąpieniu na tron było wydanie orędzia do narodu, w którym mówił:

> „Pragnę uczynić wszystko co jest w mojej mocy, aby jak najprędzej położyć kres ofiarom i okropnościom wojny i przywrócić moim ludom błogosławieństwo pokoju, którego są obecnie pozbawione — skoro tylko pozwoli na to honor moich armij, żywotne interesy mojego państwa i jego wiernych sojuszników, oraz złośliwość moich nieprzyjaciół".

Deklaracja ta była w wyraźnym kontraście z tonem pokojowej noty niemieckiej, ogłoszonej o trzy tygodnie wcześniej. Nie brzmiała w niej żadna nuta pychy i tryumfu; nie zawierała też wzmianki o aneksjach czy innych zdobyczach wojennych. Był to po prostu głos monarchy, który chciał jak najprędzej zakończyć wojnę — na wszelkich warunkach, na które pozwalał mu jego honor.

W następnych miesiącach szerzyć się zaczęły uporczywe pogłoski, że Austria szuka okazji, aby móc zawrzeć oddzielny pokój z Koalicją. Istotnie, dowiedzieliśmy się później, że już 5-go grudnia zwrócono się z wiedzą Karola, za pośrednictwem jego teściowej, do księcia Sykstusa Burbona, pełniącego służbę oficera artylerii w armii belgijskiej — dla wysondowania możliwości rokowań pokojowych.

Chociaż politycy austriaccy byli przede wszystkim odpowiedzialni za sprowadzenie na Europę rzezi wojennej, jednak ani w Anglii ani we Francji nie było nienawiści do Austrii. Za prawdziwego złoczyńcę uważano tu Niemcy. Jeśli

chodzi o genezę wojny — nie był to pogląd całkiem sprawiedliwy; można jednak śmiało powiedzieć, że gdyby nie zagwarantowana jej pomoc Niemiec, Austria nie uczyniłaby posunięcia, które wywołało wojnę światową. Anglia nie wojowała nigdy z Austrią, i interesy angielskie nie kolidowały jak dotąd z austriackimi w żadnej części świata. I chociaż Francuzi bili się z Austriakami w wielu sławnych bitwach — i tu z żadnej strony nie istniały zakorzenione wrogie uczucia. Austriacy byli również w ostatnich czasach ofiarami militaryzmu pruskiego — a to czyniło z nich do pewnego stopnia współtowarzyszy w nieszczęściu. Starego cesarza Franciszka Józefa uważano za dobrodusznego i łagodnego władcę, który pragnął spędzić ostatnie lata swego życia w pokoju z całym światem. Nazwiska polityków austriackich nie były znane w Europie i nic nie mówiły szerokiej publiczności poza granicami Austrii. Według koncepcji francuskiej, wojnę przygotowały Niemcy, gdy zaś nadszedł odpowiedni moment, dały czcigodnemu cesarzowi Austrii pistolet do ręki i namówiły go, aby pociągnął za cyngiel: wystrzał, który nastąpił, stał się nie tylko sygnałem, ale wysadził od razu w powietrze nagromadzone w Europie zapasy prochu. Z tych wszystkich względów Anglia i Francja gotowe były pogodzić się z Habsburgami bardzo chętnie każdej chwili, byleby Austria zgodziła się przywrócić niepodległość Serbii i oswobodzić swoich włoskich poddanych.

W styczniu 1917 r. doszło do wiadomości sir M. Findlay'a, posła brytyjskiego w Christianii (obecnie Oslo), że Austria pragnęłaby znaleźć jakąś drogę do rozpoczęcia pertraktacyj pokojowych. Mówiono, że baron Franz, który był poprzednio austriackim chargé d'affaires w Kopenhadze i w dalszym ciągu pełnił służbę w poselstwie, omawiał tę sprawę z królem norweskim, a w Kopenhadze pewne osobistości twierdziły, że są upoważnione do zaaranżowania ściśle poufnej rozmowy dyplomatycznej na temat możliwości pokoju

z Austrią. Sir M. Findlay zawiadomił o tym w szeregu depesz nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych, i ponieważ wiadomości te brzmiały dość poważnie, postanowiliśmy 1-go lutego 1917 r. wysłać sir Francis Hopwooda (obecnie lorda Southborough) do krajów skandynawskich, polecając mu zbadanie sprawy. Sir Francis był w Christianii, Sztokholmie i Kopenhadze i przeprowadził szereg rozmów z rzekomymi ajentami Austrii, ci jednak nie zdołali zaaranżować spotkania między nim i jakimkolwiek odpowiedzialnym dyplomatą austriackim.

Hrabia Mensdorff był ostatnim ambasadorem Austrii w Londynie; jego osobisty i wyraźnie przyjazny stosunek do Anglii uczyniły zeń osobistość popularną w politycznych i towarzyskich sferach Londynu. Zerwanie z Anglią sprawiło mu wielką przykrość; nie miał jednak w Wiedniu dostatecznych wpływów, aby przeciwstawić się niepoczytalnej polityce austriackiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Hrabia Mensdorff wyjechał właśnie w tym czasie do krajów skandynawskich; powody jego wyjazdu były niejasne, ale w każdym razie nie widział się z sir Francis Hopwoodem. „Ajenci" utrzymywali, że austriacka inicjatywa pokojowa została widocznie zlikwidowana przez Kajzera, który właśnie złożył wizytę w Wiedniu, i że na skutek tego misja Mensdorffa nie doszła do skutku. Prawdopodobnie jednak cesarz austriacki postanowił nie zaczynać pertraktacyj w stolicach skandynawskich, wolał bowiem użyć do tego celu swego szwagra, księcia Sykstusa. 6-go marca 1917 r. Hopwood przyjęty został na audiencji u króla norweskiego, który powiedział mu, że hrabia Mensdorff „jest smutny, bardzo się martwi i bardzo utył"; hrabia mówił z królem o tym, że Austria pragnie pokoju, i robił aluzje do możliwości propozycyj w tej materii. Zaznaczył jednak, że rząd austriacki jest bardzo rozczarowany odpowiedzią Koalicji na niemiecką ofertę pokojową, zwłaszcza tą jej częścią, w której mowa o prawach małych państw

i narodów. Hrabia Mensdorff podkreślił, że ludność Austrii składa się z małych narodów i rozmaitych ras i że Austria uznała notę Koalicji za wyzwanie, zwrócone do jej ludów i nawołujące je do buntu i rozbicia cesarstwa. Ta uwaga ukazuje nam odrazu trudności, z jakimi związane były rokowania o pokój z Austrią: w tym momencie pokój taki można było osiągnąć jedynie za cenę dalszego pozostawania czterech piątych ludności Austrii pod jarzmem niemieckim.

Sir Francis Hopwood musiał więc wracać, nie uzyskawszy żadnego bezpośredniego kontaktu z dyplomatami austriackimi i nie ustaliwszy nawet z pewnością, czy Austria istotnie okazuje jakieś inklinacje pokojowe. Chociaż jednak misja jego nie dała wyników, uważałem że nie powinniśmy lekceważyć żadnej nastręczającej się okazji, aby oderwać któreś z państw od potężnego bloku, z którym prowadziliśmy wojnę.

Wkrótce potym dowiedzieliśmy się z innego źródła, że cesarz Karol pragnie szczerze zacząć pertraktacje z Sojusznikami. Książę Sykstus Burbon, syn księcia Parmy i brat cesarzowej Zyty, należał do dawnego domu panującego Francji, w ciągu dziesięciu lat poprzedzających wojnę mieszkał w Paryżu i — jak już mówiliśmy — uważał się za Francuza. Uprzedzenie przeciw członkom dawnego rodu królewskiego było we Francji tak wielkie, że kiedy wybuchła wojna książę Sykstus nie został przyjęty do armii francuskiej; na skutek jednak interwencji kuzynki, królowej Belgii, przyjęto go wraz z bratem do armii belgijskiej — z początku do oddziałów Czerwonego Krzyża, potym do artylerii.

Księżniczka Zyta poślubiła arcyksięcia Karola w chwili, kiedy nie było szans, że zostanie on cesarzem austriackim; ale zamach w Sarajewie uczynił zeń nieoczekiwanie następcę tronu. Gdy w końcu roku 1916 Karol zasiadł na chwiejącym się tronie monarchii naddunajskiej i rozejrzał za jakimś godnym zaufania przyjacielem, któremu mógłby powierzyć tajne per-

traktacje z państwami Koalicji — wybór jego padł oczywiście na osobę szwagra.

Przede wszystkim zaaranżowane zostało spotkanie księcia Sykstusa z matką jego, ks. Parmy, która wraz z córką mieszkała w Wiedniu. Spotkanie odbyło się w Szwajcarji 29-go stycznia. Sprowadzało się ono jak się zdaje do tego, że księciu doręczono list siostry, wraz z kilku słowami od Karola, który prosił Sykstusa o pomoc w osiągnięciu pokoju. Sykstus poinformował matkę o ogólnych warunkach, na jakich jego zdaniem Francja zgodziłaby się zawrzeć pokój, i księżna zawiozła tę informację cesarzowi.

13-go lutego 1917 r. książę Sykstus był znowu w Szwajcarji i spotkał się z upoważnionym wysłannikiem Karola, który oświadczył, że cesarz pragnie bardzo pokoju i gotów byłby rozważyć jego zawarcie na następujących warunkach:

1) Tajne zawieszenie broni z Rosją, przy czym sprawa Konstantynopola nie byłaby poruszona;

2) Zwrot Alzacji i Lotaryngii;

3) Przywrócenie niezależności Belgii;

4) Utworzenie monarchii południowo-słowiańskiej, do której wchodziłaby Bośnia i Hercegowina, Serbia, Albania i Czarnogórze.

Trzeba podkreślić, że w warunkach tych nie ma zupełnie mowy o Włoszech. Cesarz najwidoczniej myślał o pokoju, który pomijałby żądania Włoch — a zatem o pokoju, zawartym bez ich udziału. To stanowisko podtrzymywał przez cały czas późniejszych pertraktacyj, które rozbiły się w poważnym stopniu właśnie z tego powodu.

Książę Sykstus odpowiedział wysłannikowi cesarza, że pertraktacje na takiej podstawie nie mogłyby toczyć się jawnie, gdyż sprzeciwiłyby im się zarówno Niemcy jak Włochy. Jeśli Karol pragnie rokowań tajnych — musi przesłać jakieś oświadczenie na piśmie, które Sykstus mógłby przekazać rzą-

dowi francuskiemu, jako podstawę do rokowań dyplomatycznych.

21-go lutego wysłannik powrócił, wioząc memoriał sporządzony przez hrabiego Czernina — mianowanego niedawno przez Karola ministrem spraw zagranicznych — oraz poufne i osobiste pismo samego cesarza.

Memoriał hrabiego Czernina był bardzo nieustępliwy i sam przez się nie ułatwiłby w najmniejszym stopniu rozpoczęcia rokowań. Oto jego tekst:

„1) Sojusz między Austro-Węgrami, Niemcami, Turcją i Bułgarią jest absolutnie nierozerwalny, i zawarcie odrębnego pokoju przez którekolwiek z tych państw jest raz na zawsze wykluczone.

2) Austro-Węgry nie miały nigdy zamiaru pozbawiać Serbii niepodległości. Muszą one jednak posiadać wszelkie możliwe gwarancje przeciw powtórzeniu się agitacji politycznej w rodzaju tej, która doprowadziła do zamachu w Sarajewie. Z tymi zastrzeżeniami Austro-Węgry pragną przywrócenia przyjaznych stosunków z Serbią i scementowania ich przy pomocy liberalnych koncesyj gospodarczych.

3) Gdyby Niemcy zgodziły się oddać Alzację i Lotaryngię, Austro-Węgry nie będą oczywiście oponować przeciw temu.

4) Niezależność Belgii powinna być przywrócona, przy czym odszkodowanie powinny jej wypłacić *wszystkie* państwa wojujące.

5) Przypuszczenie, że Austro-Węgry są politycznie zależne od Niemiec, jest najzupełniej fałszywe; natomiast w Austrii uważa się powszechnie, że Francja jest całkowicie pod wpływem Anglii.

6) Austro-Węgry nie pragną również zagłady Rumunii; muszą jednak utrzymać ten kraj jako zastaw, dopóki nie uzyskają gwarancji co do absolutnej nietykalności swoich granic.

7) Austro-Węgry oświadczyły publicznie, że prowadzą wojnę jedynie we własnej obronie i że cel ich zostanie osiągnięty z chwilą, gdy zapewniony będzie swobodny rozwój monarchii.

8) W Austro-Węgrzech nie ma żadnych różnic w traktowaniu poszczególnych narodowości. Słowianie korzystać będą zawsze z tych samych praw co Niemcy. Za granicą interpretowano mylnie nastroje narodów słowiańskich, które w rzeczywistości są zupełnie lojalne wobec cesarstwa i cesarza".

Pierwszy punkt memoriału unicestwiał jak gdyby wszelkie nadzieje na odrębny pokój z Austrią. Prawdopodobnie jednak miał on osłaniać negocjatorów w razie, gdyby Niemcy dowiedziały się o prowadzonych pertraktacjach. Austria mogła również powołać się na ten punkt w razie, gdyby miała podstawy podejrzewać, że Koalicja stara się wykorzystać rokowania nie dla istotnego zawarcia pokoju, ale wyłącznie w celu rozbicia sojuszu mocarstw centralnych.

Punkt ostatni miał być najwidoczniej odpowiedzią na uwagi o wolności i niezależności małych narodów, zawarte w odpowiedzi państw koalicyjnych na notę pokojową Wilsona. Koncepcja Karola, dotycząca utworzenia państwa południowo-słowiańskiego, została porzucona. Co zaś do Belgii — wszyscy mieliśmy ponosić koszty odszkodowania dla niej.

Zarówno ton jak treść memoriału Czernina nie wywołałyby żadnego pragnienia dalszych pertraktacyj ze strony Koalicji. Krótka notatka jednak cesarza Karola, dołączona do memoriału, komentowała jego tezy w duchu bardziej przyjaznym, choć nie posuwała sprawy o wiele dalej. Oto treść notatki:

„Poufne.

Do p. 3-go: Poprzemy Francję, i wywrzemy nacisk na Niemcy wszystkimi dostępnymi dla nas sposobami.

Do p. 4-go: Współczujemy bardzo Belgii i wiemy,

że potraktowana została niesprawiedliwie. *Koalicja wraz z nami naprawi* wyrządzoną jej poważną krzywdę.

Do p. 5-go: Jesteśmy zupełnie niezależni od Niemiec, i nawet *wbrew woli Niemiec* nie zerwaliśmy stosunków z Ameryką. Uważamy że Francja jest całkowicie pod wpływem Anglii.

Do p. 7-go: Niemcy również (walczą w obronie własnej).

Do p. 8-go: Nie ma u nas żadnych specjalnych przywilejów dla poszczególnych narodowości. Słowianie korzystają z całkowitej równości praw. Wszystkie narodowości są zjednoczone i lojalne wobec dynastii.

— *Naszym jedynym celem jest utrzymanie monarchii w jej obecnych granicach*".

Zawarta w punkcie 5-ym memoriału Czernina i powtórzona przez Karola sugestia, że Francja zależna jest od Anglii, była próbą — niezbyt coprawda subtelną — posiania niezgody i nieufności między Sojusznikami i zaapelowania do dumy narodowej Francji — aby dla zaznaczenia swojej niezależności rozważyła przychylnie propozycje austriackie. Było rzeczą jasną, że w tym okresie Austria miała nadzieję nie tyle na zawarcie oddzielnego pokoju, ile na porozumienie z Francją co do warunków pokoju — porozumienie które byłoby krokiem, ułatwiającym osiągnięcie ogólnych pertraktacyj pokojowych. Była to próba oderwania Francji od Koalicji.

5-go marca 1917 r. r. książę Sykstus przedstawił oba dokumenty Prezydentowi Poincaré. Memoriał Czernina nie zrobił dobrego wrażenia na Prezydencie; natomiast w notatce Karola dostrzegł on możliwość porozumienia co do podstawy rokowań. Poincaré porozumiał się z Briandem i obaj uznali, że przed zawiadomieniem pozostałych sojuszników o pertraktacjach trzeba uzyskać od Karola wyraźniejsze wypowiedzenie się co do warunków, na jakich gotów byłby za-

wrzeć pokój z Francją, Belgią, Rosją i Serbią; potym dopiero można było poinformować ostrożnie sojuszników o toczących się rokowaniach. Sprawy dotyczące Włoch i Rumunii można było na razie odłożyć. Zarówno Poincaré jak Briand byli stanowczo zdania, że może być mowa tylko o oddzielnym pokoju z Austrią, gdyż nie było żadnych szans na to, aby w tym stadium wojny Niemcy zgodziły się na warunki, możliwe do przyjęcia dla Koalicji.

Książę Sykstus napisał obszerny list do Karola, zawiadamiając go o postawie, jaką rząd francuski zajął wobec jego sugestyj. W dalszym ciągu książę namawiał cesarza do wystąpienia z konkretnymi propozycjami pokojowymi, sprowadzającymi się do czterech punktów, które zostały podniesione, a mianowicie:

1. Odbudowa i niepodległość Belgii.

2. Przywrócenie Francji jej wschodnich granic z r. 1814 (obejmujących Alzację i Lotaryngię oraz Zagłębie Saary).

3. Odbudowa i niepodległość Serbii.

4. Uznanie prawa Rosji do Konstantynopola.

Żądania, dotyczące Włoch, nie były w tym okresie przez Francję wysuwane.

Rezultatem tego listu była utrzymywana w tajemnicy wizyta, jaką książę Sykstus wraz z bratem Ksawerym złożyli w Wiedniu. Książęta przybyli do Wiednia 22-go marca, a 24-go marca odbyli rozmowę z cesarzem Karolem w jego zamku Laxenburg, położonym w odległości paru mil od stolicy. Przebieg tej rozmowy, opisany przez księcia Sykstusa, rzuca ponure światło na niemiecką notę pokojową i dowodzi, że sojusznicy interpretowali ją we właściwy sposób. Według słów Sykstusa cesarz oświadczył braciom, że natychmiastowe zawarcie pokoju uważa za rzecz najważniejszą. Próbował bez powodzenia skłonić swoich sojuszników niemieckich do przyjęcia kompromisowych warunków pokoju — ci jednak *„zdecydowani są zawrzeć pokój jedynie jako zwycięzcy"*. Jeśli

nie uda mu się w dalszym ciągu przekonać ich, aby zgodzili się na słuszne i sprawiedliwe warunki, gotów jest raczej zawrzeć pokój oddzielny, niż poświęcić monarchię austro-węgierską dla zaspokojenia ambicyj pruskich.

Omawiano następnie możliwe warunki pokoju, i Karol oświadczył że zgadza się zupełnie na żądania Francji, dotyczące jej granic wschodnich i demilitaryzacji lewego brzegu Renu. Zgodził się też na przywrócenie niezależności Belgii. Co do Serbii — wracał wciąż do sprawy tajnych stowarzyszeń pan-serbskich, które stanowiły przed wojną źródło ciągłego niepokoju i niebezpieczeństwa dla Austrii. Jeśli te stowarzyszenia zostałyby naprawdę rozwiązane i Serbia wyrzekłaby się na przyszłość sanowczo wszelkich prób popierania ruchów rewolucyjnych czy irredentystycznych w słowiańskich prowincjach Austro-Węgier — cesarz zgodziłby się na przywrócenie Serbii niepodległości i na oddanie jej Albanii, jako dostępu do morza. Jeśli chodzi o Rosję, rewolucja postawiła znak zapytania nad jej dalszymi wysiłkami i zamiarami wojennymi, i Karol skłonny był nie wypowiadać żadnych określonych poglądów co do Konstantynopola. Cyniczny jednak egoizm, który przeciwstawiał się zawsze wszelkim wysiłkom osiągnięcia pokoju powszechnego na sprawiedliwych, a więc i trwałych podstawach, widoczny był w postawie Karola wobec poszczególnych żądań Koalicji. Godząc się z wielką gotowością na pozbawienie Niemiec wszystkich ich zdobyczy od r. 1870 do 1917 — Karol nie godził się bynajmniej na zwrot prowincyj włoskich, zaanektowanych przez Austrię i opierał się wogóle stanowczo wszelkim ustępstwom na rzecz Włoch. Młody cesarz był bardzo oburzony na postępowanie Włoch, które odstąpiły od Trójprzymierza i przyłączyły się do jego wrogów, i traktował pogardliwie wojska włoskie, nie umiejące poradzić sobie z jego słabszą liczebnie armią i zdobyć Trentino oraz wybrzeże tryjesteńskie — chociaż Włochy domagały się tych terytoriów. Karol oświadczył

swemu szwagrowi, że podczas gdy główne siły Austrii działały na froncie rosyjskim i serbskim, wystarczyło kilka batalionów rezerwistów wspomaganych przez jego „dzielnych Tyrolczyków", aby powstrzymywać armię włoską na linii, która w pierwotnych austriackich planach kampanii miała być tylko linią najdalej wysuniętych placówek. Dlaczegóżby miał wobec tego, nie bacząc na silne nastroje anty-włoskie wśród jego ludu, oddawać Włochom terytoria, których ci — jak się okazało — nie są w stanie zdobyć.

Tego rodzaju stanowisko nie usposabiało do zbytniego optymizmu. Biorąc pod uwagę umowę, na zasadzie której Włochy przystąpiły do wojny, nie mogliśmy opuścić ich teraz, nie popełniając wielkiego oszustwa.

Po tej rozmowie z cesarzem książę Sykstus wrócił do Francji, wioząc ze sobą własnoręczne pismo Karola, które brzmiało jak następuje:

„Laxenburg, 24-go marca 1917 r.

Drogi Sykstusie!

Trzeci rok wojny, która pogrążyła cały świat w żałobę, dobiega niedługo końca. Wszystkie ludy mojego cesarstwa zejdnoczone są bardziej niż kiedykolwiek w zdecydowanej woli utrzymania całości monarchii, nawet za cenę największych ofiar. Dzięki temu zjednoczeniu, dzięki szlachetnej współpracy wszystkich narodowości cesarstwa, mogliśmy odpierać w ciągu trzech prawie lat najbardziej gwałtowne ataki. Nikt nie może negować sukcesów, osiągniętych przez moje wojska, zwłaszcza na bałkańskim teatrze wojny.

Francja również okazała wspaniały wigor i wytrzymałość. Wszyscy podziwiamy bez zastrzeżeń piękną, tradycyjną odwagę jej żołnierzy i duch poświęcenia, ożywiający naród francuski.

Z tego też względu sprawia mi szczególną przyjemność stwierdzić, że chociaż w tej chwili jesteśmy przeciwnikami, nie ma istotnej różnicy poglądów ani dążeń między moim cesarstwe ma Francją; mam też jak sądzę prawo wyrazić nadzieję, że żywa sympatia jaką darzę Francję, w połączeniu z sympatią jaką cieszy się ona w całym moim państwie, nie pozwolą na powtórzenie się kiedykolwiek w przyszłości wojny, za którą odpowiedzialność nie może być mnie przypisywana. Ożywiony takim dążeniem, i pragnąc aby uczucia te przybrały konkretną postać, proszę Cię o poufne zawiadomienie p. Poincaré, Prezydenta Republiki Francuskiej, że będę podtrzymywał słuszne żądania Francji w sprawie Alzacji i Lotaryngii przy pomocy wszelkich środków i przy użyciu całego wpływu osobistego, jaki posiadam wobec moich sojuszników.

Co się tyczy Belgii, musi być przywrócona jej całkowita suwerenność i jej wszystkie posiadłości w Afryce, niezależnie od odszkodowania, jakie mogłaby otrzymać za poniesione straty.

Co się tyczy Serbii, suwerenność jej będzie przywrócona, a jako gwarancję naszej dobrej woli gotowi jesteśmy udzielić jej sprawiedliwego i naturalnego dostępu do Adriatyku, oraz przyznać liberalne koncesje gospodarcze.

Wzamian za to Austro-Węgry domagają się spełnienia warunku, który uważają za absolutnie niezbędny i do którego przywiązują pierwszorzędną wagę — żądają mianowicie, aby królestwo serbskie rozwiązało wszelkie stowarzyszenia i federacje, których celem politycznym jest rozbicie monarchii austro-węgierskiej, w szczególności stowarzyszenie „Narodna Obrona"; aby lojalnie i wszystkimi dostępnymi mu środkami zwalczało wszelkiego rodzaju agitację polityczną, zdążającą

do tego celu, zarówno w granicach Serbii jak poza nimi, i aby za dotrzymanie przez nią tego rodzaju zapewnienia ręczyły wszystkie państwa Ententy.

Wydarzenia, które nastąpiły w Rosji, zmuszają mnie do powstrzymania się od wszelkich poglądów na jej temat, dopóki nie powstanie tam legalny i trwały rząd.

Przedstawiwszy Ci moje poglądy, będę Cię prosił, abyś z kolei porozumiał się z Francją i Anglią i zakomunikował mi przede wszystkim poglądy tych dwóch państw; w ten sposób można będzie uzyskać podstawę porozumienia, która umożliwi wszczęcie oficjalnych pertraktacyj i przeprowadzenie ich aż do końca ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

Wyrażając nadzieję, że zdołamy w ten sposób w niedługim czasie położyć kres cierpieniom milionów ludzi i ich rodzin, pogrążonych obecnie w smutku i niepokoju, proszę Cię o przyjęcie zapewnień mych braterskich uczuć.

Karol".

Niemcy miały więc przywrócić niepodległość Belgii i oddać Francji Alzację i Lotaryngię, Serbia miała być przekupiona kosztem Albanii — ale o Włoszech ani słowa. Wzamian za pokój, którego jej cesarz tak gorąco pożądał, Austria nie miała wyrzec się niczego.

Książę Sykstus przybył z powyższym listem do Paryża 30 marca; 31-go marca przyjęty został znów przez Poincaré'go w obecności Cambona; Ribot nie mógł być obecny (Briand podał się w międzyczasie do dymisji i Ribot mianowany został premierem). List cesarza, przedstawiony Poincarému, zrobił na nich dobre wrażenie.

Po pewnej wymianie zdań zarówno Poincaré jak Cambon wypowiedzieli pogląd, że książę Sykstus powinien udać się do Anglii i poinformować króla Jerzego i mnie o pro-

pozycjach, poczynionych przez cesarza austriackiego. Jednakże w dezyderatach tych nie brali pod uwagę Ribota, który — dowiedziawszy się w ciągu dnia o przebiegu wydarzeń — oznajmił, że on sam musi być pośrednikiem w komunikowaniu się z rządem angielskim. Ribot zawiadomił Sykstusa, że w najbliższych dniach zaprasza mnie do Boulogne na rozmowę, że zawiadomi mnie ściśle poufnie o liście cesarza i omówi ze mną przedwstępne przygotowania do wizyty księcia Sykstusa u króla Jerzego, w czasie której król byłby poinformowany o propozycjach cesarza.

Utrzymanie całej sprawy w tajemnicy było w tym momencie rzeczą bardzo ważną; Karol bowiem miał podstawę do obaw, że gdyby do rządu niemieckiego doszły słuchy o prowadzonych przezeń sekretnych pertraktacjach, mających na celu zawarcie oddzielnego pokoju, Niemcy położyliby bardzo szybko kres tym pertraktacjom, polecając cesarzowi wysłać wojska austriackie na front zachodni, czy rozpocząć ofenzywę przeciw Włochom, czy w jakiś inny jeszcze sposób zniszczyć atmosferę, w jakiej rokowania pokojowe z Koalicją mogłyby być prowadzone; nawet życie casarza byłoby wówczas w poważnym niebezpieczeństwie. Los Jussufa Izeddina, tureckiego następcy tronu, był bardzo dobrą poglądową lekcją niebezpieczeństw, grożących każdemu, kto okazał się niewygodny dla władz niemieckich. Było przecież rzeczą najzupełniej widoczną że wszelki pokój, osiągnięty na skutek starań Austrii, musiał być z konieczności pokojem oddzielnym, pociągającym za sobą zerwanie sojuszu Austrii z Niemcami. Między zaś Koalicją i militarną kliką pruską, która rządziła Niemcami, ne mogło dojść do zawarcia pokoju, dopóki jedna lub druga strona nie została w zdecydowany sposób pobita. Niemcy musiały zatym uważać zawarcie pokoju przez Austrię — co równałoby się izolowaniu ich i pozostawieniu niejako na lodzie — za wyraźną zdradę, i nie cofnęłyby się zapewne przed niczym, aby zapobiec takiej dezercji lub pomścić ją.

Obowiązki Ribota, jako nowomianowanego premiera, pozwoliły mu spotkać się ze mną dopiero 11-go kwietnia. W czasie spotkania, które nastąpiło według umowy w Folkestone, Ribot pokazał mi list cesarza z wyraźnym zastrzeżeniem, że muszę trzymać rzecz w ścisłej tajemnicy. Mam przed sobą pisaną ołówkiem kopię, jaką sobie wówczas własnoręcznie sporządziłem z francuskiego oryginału listu; na kopii zaznaczyłem, że list został wręczony Prezydentowi Republiki 31-go marca 1917 r. Mam też pisaną przez siebie ołówkiem notatkę, zawierającą główne punkty, które wyłoniły się z rozmowy z Ribotem na temat propozycyj austriackich. Oto tekst notatki:

„Chce oddzielnego pokoju.

Koalicja może prowadzić wojnę z Niemcami aż do zupełnego zwycięstwa.

Alzacja i Lotaryngia, granice francuskie z czasów Rewolucji, oraz wynagrodzenie pieniężne, odszkodowanie i gwarancje na lewym brzegu Renu.

Proponuje Cylicję dla Włoch zamiast Trentina".

Uważałem, że powinniśmy prowadzić dalej rokowania, że jednak powinniśmy unikać wszelkich pozorów wiarołomstwa wobec Włoch, i wobec tego — pertraktować z ich udziałem. Ribot domagał się jednak stanowczo zachowania inicjatywy cesarza w zupełnej tajemnicy; utrzymanie zaś tajemnicy stawało się jego zdaniem trudniejsze z chwilą, gdy w rokowaniach brałaby udział jeszcze jedna strona. Zdawałem sobie sprawę, że utrudniłoby to zachowanie tajemnicy, która w tego rodzaju poufnych rokowaniach była niezbędnym warunkiem powodzenia; domagałem się jednak, abyśmy starali się wysondować opinię barona Sonnino, nie naruszając okazanego nam przez cesarza zaufania. Zgodziliśmy się ostatecznie, że w niedługim czasie zaaranżujemy spotkanie z włoskim premierem i ministrem spraw zagranicznych i o-

mówimy z nimi sprawę — w granicach, jakie narzucało nam powyższe kłopotliwe zastrzeżenie.

Nazajutrz książę Sykstus widział się z Prezydentem i Ribotem i dowiedział się od nich o wyniku rozmowy w Folkestone. Zaniepokoiła go bardzo propozycja zakomunikowania baronowi Sonnino o liście cesarza, ponieważ obawiał się ze strony rządu włoskiego niedyskrecji, która miałaby niewątpliwie katastrofalne następstwa dla Karola. Najgłębszym jednak powodem jego niezadowolenia była raczej obawa, że jeśli Włochy wciągnięte będą do rokowań, cesarz austriacki nie zdoła uzyskać zgody swych ludów na zadośćuczynienie żądaniom włoskim, i rokowania zakończą się wobec tego fiaskiem.

W austriackich sferach rządzących panował wobec Włoch nastrój naprawdę wrogi. Oskarżano je o zdradę Trójprzymierza i o wyzyskiwanie trudności swego niedawnego sojusznika dla zaanektowania części jego terytorium; wytwarzało to nienawiść do Włoch, wobec której zawarcie z nimi oddzielnego pokoju byłoby rzeczą niemal niemożliwą. Dlatego właśnie list cesarza nie zawierał żadnych ustępstw na rzecz Włoch. Z drugiej strony, z chwilą gdy Włosi zdaliby sobie sprawę, że Austria nie ma zamiaru uczynić im żadnych koncesyj terytorjalnych, wydaliby umyślnie Niemcom tajemnicę tych sekretnych rokowań, chcąc w ten sposób zlikwidować posunięcie, które obracało się na ich szkodę. Sam Sonnino był godny zaufania, ale nie można było tego powiedzieć o niektórych jego kolegach, a on mógł uważać za swój obowiązek zawiadomić ich o wszystkim. Poincaré zgadzał się w tej sprawie z księciem — tegoż zdania był Juliusz Cambon i brat jego Paweł. Ribot zgodził się już — acz niechętnie — z poglądem, że biorąc wszystko pod uwagę, lepiej jest na razie nie informować Włoch o liście cesarza w czasie sondowania ich opinii w sprawie warunków pokoju z Austrią. Wyrażałem ubolewanie z powodu tej decyzji, ale ponieważ list skierowany był do Prezydenta Republiki, a

mnie zakomunikowany został pod warunkiem zachowania go w najściślejszej tajemnicy — uważałem że nie mam prawa zrobić nic więcej. Domagałem się tylko od Francuzów, aby próbowali przekonać księcia Sykstusa i uzyskać odeń pozwolenie na szczere postawienie sprawy wobec Sonnino; książę jednak nie uznał za możliwe wyrazić na to swej zgody.

Konferencja moja z premierem francuskim i z baronem Sonnino wyznaczona została na 19-go kwietnia w St. Jean de Maurienne. Książę Sykstus, który początkowo miał zamiar przybyć do Anglii, postanowił zaczekać i spotkać się ze mną w mej podróży przez Francję. Spotkanie to nastąpiło 18-go kwietnia, natychmiast po moim przybyciu do Paryża. Rozmawialiśmy bardzo obszernie o możliwościach oddzielnego pokoju z Austrią, przy czym ja podkreślałem, że jest rzeczą nader istotną, abyśmy uzgodnili z Włochami treść porozumienia, do którego mamy zamiar dążyć. Namawiałem znów księcia, aby pozwolił nam przedstawić całą sprawę włoskiemu premierowi i ministrowi spraw zagranicznych; podkreślałem, że może śmało powierzyć tajemnicę zarówno baronowi Sonnino jak premierowi Boselli — książę jednak nie chciał zwiększać swojej odpowiedzialności przez rozszerzanie liczby osób, któreby wiedziały o inicjatywie cesarza, i obiecałem mu, że uszanuje jego życzenia. Powiedział mi też, że Ribot ma zamiar podnieść sprawę na konferencji z Włochami, powołując się na niedawne oświadczenia hrabiego Czernina o pokojowych intencjach Austrii; oświadczenia te zacytowała prasa włoska. Zaproponowałem, że byłoby jeszcze lepiej nawiązać dyskusję do manewrów hrabiego Mensdorffa w Szwajcarii — gdzie, według moich informacyj, hrabia robił w rozmowach liczne aluzje pokojowe. Książę poparł gorąco ten pomysł.

Następnego dnia w St. Jean de Maurienne spotkaliśmy się z włoskim premierem i ministrem spraw zagranicznych. W dolinach nie stajały jeszcze śniegi alpejskie. Rozmowa odbyła się w wagonie kolejowym, ustawionym poza

stacją. Głównym tematem, dla którego konferencja została formalnie zwołana, były aspiracje Włoch w Azji Mniejszej oraz sprawa Grecji. Kiedy zostały omówione te kwestie, poruszyliśmy perspektywę niedalekiego pokoju z Austrią, opierając się na pogłoskach z różnych stron, według których Austria za zamiar wystąpić z jakąś inicjatywą w tej materii. W protokule naszej rozmowy zaznaczono, że dyskutowana była sprawa oddzielnego pokoju z Austrią; pewne oznaki pozwalałyby przypuszczać, że Austria skłonna jest do zawarcia takiego pokoju. Podkreśliłem, że według opinii Admiralicji angielskiej eleminacja Austrii byłaby niewątpliwie bardzo korzystna dla Koalicji z morskiego punktu widzenia. Podobnie angielskie sfery wojskowe uważają, że jeśli tylko Austria zawarłaby oddzielny pokój z całą Koalicją, a nie z samą Rosją, Koalicja zyskałaby na tym bardzo poważnie pod względem militarnym. Zaznaczyłem jednakże, że odrębny pokój, zawarty tylko między Rosją a Austrią, nie byłby korzystny z wojskowego punktu widzenia; ucierpiałyby na tym głównie Włochy, ponieważ wielkie siły austriackie mogłyby być wówczas zgromadzone na froncie włoskim. Ta ewentualność — oświadczyłem — jest o wiele bardziej prawdopodobna, niż wysłanie wojsk austriackich na front zachodni.

Baron Sonnino nie był przychylny koncepcji oddzielnego pokoju z Austrią. Jest rzeczą zrozumiałą — oświadczył — że państwa centralne chcą uwikłać Koalicję w rokowania pokojowe; byłoby jednak rzeczą bardzo trudną skłonić opinię publiczną we Włoszech do popierania w dalszym ciągu wojny, gdyby z Austrią zawarty został pokój. Sonnino nie poparł wcale uczynionej przeze mnie sugestii, że skoro Austria zostałaby wyeliminowana, Włochy mogłyby skierować swe siły ku realizacji swoich dezyderatów w Turcji. Ogólnie mówiąc, Sonnino nie uważał za wskazane, aby sojusznicy wysłuchiwali jakichkolwiek propozycyj zawarcia oddzielnego pokoju; wszystkie te propozycje miały tylko na celu —

jego zdaniem — poróżnienie sojuszników i przedstawienie poszczególnych państw Koalicji, jednego po drugim, jako zagradzających drogę do pokoju.

Sonnino był człowiekiem, który odegrał dominującą rolę w skłonieniu Włoch do zbrojnego wystąpienia po stronie Koalicji; przywiązywaliśmy więc wielką wagę do jego poglądów. Nie widzieliśmy szans na to, aby Austria zgodziła się ustąpić terytoria, dla których odzyskania Włochy przystąpiły do wojny i poniosły tak ciężkie ofiary. Cesarz Karol nie był skłonny do żadnych ustępstw na rzecz Włoch. W tej sytuacji zrozumiała negatywna postawa barona Sonnino uniemożliwiała wszelki dalszy postęp w rokowaniach z Austrią.

W rezultacie przyjęliśmy, na wniosek Ribota, następującą formułę:

„P. Lloyd George, p. Ribot i baron Sonnino omawiali propozycje, z jakimi może ewentualnie wystąpić Austria wobec jednego lub kilku państw koalicyjnych w celu zawarcia oddzielnego pokoju.

Ustalili oni zgodnie, że nie jest rzeczą wskazaną prowadzenie rozmów, które w chwili obecnej byłyby szczególnie niebezpieczne i groziłyby osłabieniem jedności, istniejącej między państwami Koalicji i bardziej niż kiedykolwek niezbędnej".

Czy Ribot i ja mogliśmy osiągnąć lepsze rezultaty, gdybyśmy wyjawili baronowi Sonnino wszystkie znane nam fakty? Wątpię. Tekst listu cesarza, w którym Włochy nie były nawet wzmiankowane, musiałby go niezwykle rozdrażnić. Był to człowiek bardzo porywczy: gdy się zirytował, trudno go było uspokoić. Parę godzin spędzonych w zaśnieżonej dolinie nie wystarczyłoby, aby ochłodzić jego gniew. Niezależnie zresztą od tego, Austria nie miała najmniejszej

ochoty zgodzić się na ustępstwa, których wymagałby najbardziej choćby umiarkowany polityk włoski.

Bülow skłonił Austrię do zaofiarowania Włochom pewnych koncesyj terytorialnych wzamian za ich neutralność w wojnie; Sonnino przekonał swoich kolegów, że należy odrzucić tę ofertę i walczyć dla uzyskania większych zdobyczy; obecnie więc, po ciężkich stratach poniesionych przez Włochy, nie mógłby nawet zgodzić się na te same warunki.

Baron Sonnino miał nadzieję, że przy pomocy wspólnego wysiłku aliantów uda mu się zrealizować szeroko zakrojone ambicje włoskie. Wiedział, że Anglia i Francja w walce z Niemcami nie ustąpią, i że Ameryka zdecydowała się obecnie na zbrojne poparcie Koalicji. Pokój z Austrią w takim momencie musiał być z konieczności kompromisem, który nie dałby Włochom wiele. Sonnino przekonany był o ostatecznym zwycięstwie Ententy; nie chciał więc słyszeć o oddzielnym pokoju z Austrią, jeśli nie miał pewności, że pokój taki dałby Włochom to wszystko, co miały nadzieję uzyskać w rezultacie zupełnego zwycięstwa — Trentino, Triest, Dalmację i wyspy na Adriatyku. Pokój któryby tego nie dawał — twierdził Sonnino — wywołałby wybuch rewolucji we Włoszech; motywem, który zdecydował o przyłączeniu się Włoch do wojny, było namiętne pragnienie odzyskania terytoriów, zwanych *terra irredenta*, i zawarcie pokoju bez realizacji tego dążenia jest rzeczą niemożliwą. Sonnino oświadczył że rząd, któryby opowiedział się za pokojem tego rodzaju, nie mógłby pozostawać ani jednego dnia u władzy; naród obaliłby go, wybuchłaby rewolucja, król zostałby wypędzony i powstałaby republika z zadaniem walki aż do końca.

Osiągnięcie tego czego pragnęły Włochy było niemożliwe w tym stadium wojny — kiedy państwa centralne wciąż jeszcze odnosiły zwycięstwa. Z drugiej strony Francja i Anglia nie mogły porzucić sojusznika, który w krytycznym momencie wojny stanął u ich boku. Z tych względów uzna-

liśmy, że z inicjatywy cesarza nic na razie wyniknąć nie może.

Dowiedzieliśmy się później, że na tydzień przed spotkaniem w St. Jean de Maurienne sztab generalny włoski wysłał do Szwajcarji emisariusza, który zaproponował posłom: niemieckiemu i austriackiemu pokój za cenę jednego tylko warunku — ustąpienia Włochom Trentino; wysłannik nie domagał się Dalmacji, ani Triestu, ani nawet Gorycji. I chociaż o ofercie tej nie wiedział Sonnino, cesarz Karol stwierdził kategorycznie — przez usta swego wysłannika, przy którego pomocy porozumiewał się z księciem Sykstusem — że oferta pochodziła od króla włoskiego i że aprobowali ją Giolitti i Tittoni

Ta sekretna próba zawarcia pokoju z Austrią uczyniona została na skutek obaw Cadorny, który uważał że armia włoska jest zmęczona wojną i że naród włoski — od samego początku niezbyt entuzjastycznie wobec wojny usposobiony — znajduje się na samym skraju rewolucji. Po paru miesiącach nastąpiła klęska pod Caporetto, która wykazała, że obawy te były częściowo usprawiedliwione. W St. Jean de Maurienne jednak nie wiedzieliśmy nic o tym, że najwyższe sfery wojskowe włoskie zwątpiły w *morale* części swoich wojsk; w swym niezłomnym optymizmie Sonnino nie miał żadnych tego rodzaju wątpliwości, i dlatego włoscy zwolennicy pokoju nie uznali za wskazane wstajemniczyć go w ich plany.

22-go kwietnia Juliusz Cambon widział się znowu z księciem Sykstusem, który w następujący sposób opisuje ich rozmowę:

„P. Juliusz Cambon oświadczył mi, że polecono mu zakomunikować mi odpowiedź rządu francuskiego na list cesarza. Przede wszystkim zapewnił mnie, że tajemnica wobec Włoch została utrzymana przez p. Ribot i p. Lloyd George'a. Szczególnie p. Lloyd George —

dodał — zachowywał się ostrożnie w tej sprawie. Wobec wagi, jaką miało dokładne powtórzenie przeze mnie odpowiedzi, prosiłem o pozwolenie zapisania jej, i p. Cambon podyktował mi co następuje:

„Żadne propozycje pokojowe Austrii nie mogą być rozważone bez należytego wzięcia pod uwagę poglądów rządu włoskiego, — propozycje zaś, które zostały nam przedstawione, pomijają całkowicie żądania Włoch. Ustaliliśmy na zasadzie rozmów, przeprowadzonych w St. Jean de Maurienne, że rząd włoski nie jest skłonny wyrzec się żadnego z celów, dla których przystąpił do wojny. Skoro tak się rzeczy mają — nie ma celu kontynuowanie rokowań, które nie mogą dać żadnego rezultatu. Gdyby w jakimś momencie, wobec zmienionych okoliczności, rząd austriacki uznał za możliwe uczynić nowy wysiłek dla osiągnięcia pokoju, musiałby wziąć wówczas pod uwagę aspiracje Włoch, obejmujące zarówno Triest jak Trentino. Przyjęliśmy z wielką wdzięcznością uczucia sympatii dla Francji i jej sojuszników, okazane przez cesarza Karola.

Książę Sykstus napisał natychmiast do cesarza, posyłając mu odpowiedź rządu francuskiego i wzywając go, aby podtrzymywał w dalszym ciągu częściowe porozumienie, osiągnięte z Francją i Anglią, jako możliwą podstawę dalszego postępu w sprawie pokoju. Książę zawiózł swój list do Szwajcarii i wręczył wysłannikowi Karola, hrabiemu Erdödy, opisując mu jednocześnie ustnie przebieg dyskusyj.

4-go maja hrabia Erdödy powrócił do księcia do Szwajcarii, przywożąc mu listy od cesarza i cesarzowej; para cesarska prosiła księcia o przyjazd do Wiednia, gdyż niektóre punkty nie są jeszcze dla nich jasne. Erdödy zakomunikował też księciu ustnie oświadczenie cesarza, zawierające między innymi zapewnienie, że jest on zupełnie zdecydowany pertraktować z Koalicją w celu zawarcia odrębngo pokoju, jeśli

tylko nie będzie się żądać od niego, aby przyłączył się do wojny przeciw Niemcom.

Książę postanowił przyjąć zaproszenie i udać się do Wiednia. Na razie posłał do Paryża oficera, który towarzyszył mu w podróży, przekazując mu ustne oświadczenie cesarza, otrzymane za pośrednictwem hrabiego Erdödy. Oświadczenie to zakomunikowane zostało Poincaré'mu i Ribotowi 9-go maja, a 12-go maja Ribot przysłał mi kopię oświadczenia wraz ze swomi listem następującej treści:

„Paryż, 12-go maja, 1917 r.

„Szanowny Panie!

Pragnę aby Pan był poinformowany o wszelkich rozmowach, jakie mają miejsce między wiadomymi Panu ludźmi w sprawie ewentualnego zamiaru Austro-Węgier zawarcia odrębnego pokoju.

W związku z tym posyłam panu notatkę, streszczającą oświadczenia, jakie przed trzema dniami uczynione zostały wobec pewnej, godnej zupełnego zaufania, osobistości. Uwagę Pana zwróci to, co tam jest powiedziane o krokach, przedsięwziętych przez Włochy w celu dojścia do porozumienia. Wydaje się rzeczą wysoce nieprawdopodobną, żeby jakiekolwiek posunięcie tego rodzaju mogło być uczynione bez milczącego choćby upoważnienia jakiejś odpowiedzialnej osoby. W każdym razie dokument, który Panu posyłam, nie jest bez znaczenia dla oceny nastroju cesarza; wskazuje on ponadto, że istnieje już gotowość oddania Trentino Włochom. Szczerze oddany,

A. Ribot".

Do listu tego dołączony był dokument z datą 9-go maja 1917 r., zawierający ustne oświadczenie cesarza Karola, które

hrabia Erdödy zakomunikował księciu Sykstusowi. Dokument brzmi jak następuje:

„Książę S. napisał swemu szwagrowi 24-go kwietnia, że Francja i Anglia nie mogą zawrzeć pokoju bez Włoch oraz że, zdaniem p. Lloyd-George'a, zasadniczym żądaniem tego państwa jest włoska część Trentino oraz wyspy Dalmacji*); cesarz napisał w odpowiedzi, że w liście księcia są rzeczy niejasne, zaś list cesarzowej wskazywał, że niejasność związana jest właśnie z postawą Włoch.

W trakcie rozmowy, która odbyła się 4-go maja, hrabia E. wyjaśnił, że Austria otrzymała już pięciokrotnie propozycję zawarcia pokoju, głównie ze strony Rosji. Co się tyczy Włoch, wystąpiły one z taką propozycją przed trzema tygodniami, przy czym nie żądały niczego prócz Trentino. Cesarz odmówił dalszych rozmów, bo nie chciał prowadzić nowych rokowań jednocześnie z tymi, które już prowadził książę S. Z żądań włoskich, wymienionych przez p. Lloyd George'a cesarz wywnioskował, że przy pomocy swoich sojuszników Włochy chcą otrzymać więcej, niż żądają bezpośrednio same.

Poza tym, żądania pozbawione są uzasadnienia etnograficznego. Na wyspach dalmatyńskich nie ma Włochów; mieszkańcy wysp pozabijaliby ich, gdyby się tam zjawili. Nawet w Trentino, w plebiscycie przeprowadzonym przez bezstronne i neutralne władze ludność opowiedziałaby się przeciwko Włochom. Cesarz zresztą nie zgodziłby się w żadnym razie na taką procedurę, która stwarzałaby precedens wobec innych narodowości.

Hipoteza rektyfikacji granicy nad Izonzo, rozważana w trakcie prowadzonych rozmów, nie jest uważana za wykluczoną a priori, stwierdza się jednak że ustąpienie Gorycji, przez którą przechodzi linia kolejowa do Triestu, jest niemożliwe.

Chociaż cesarz mógłby niewątpliwie pokonać Włochów,

*) Mówiłem niewątpliwie również o ustąpieniu Triestu.

nie chce jednak dalszej rzezi; pragnie więc w dalszym ciągu prowadzić rokowania w celu osiągnięcia pokoju. Zgadza się na zawarcie oddzielnego pokoju z Ententą, ale na razie nie chce być zmuszony do aktów wyraźnie wrogich wobec Niemiec, jak zaatakowanie ich z chwilą zawarcia pokoju z Ententą. Nie sądzi również, aby Niemcy zaatakowały Austrię; gdyby to uczyniły, uważa że potrafi się obronić.

Na razie cesarz ostrzega Ententę, że ze swoich 80 dywizyj na froncie wschodnim Niemcy przerzuciły właśnie 41 dywizyj na front zachodni. Dodaje też że żołnierze, a nawet oficerowie rosyjscy przychodzą wciąż na pozycje austriackie z zapytaniem, czy pokój już został zawarty i strzelają tylko wtedy, gdy jest przy tym jakiś generał. Austriacy unikają starannie wszczynania walki. Inaczej zachowują się Niemcy, ostrzeliwujący wciąż Rosjan z karabinów maszynowych.

Na czas ostatecznych pertraktacyj powinien być zawarty rozejm, który pozostawiałby armie na ich dotychczasowych stanowiskach. Hrabia E. sądzi, że z chwilą zawarcia rozejmu robotnicy niemieccy zastrajkują i przestaną produkować materiał wojenny. (1-go maja w Niemczech były poważne niepokoje. W Austrii postarano się o to, aby móc ogłosić o nadchodzących z Rumunii transportach żywności, i istotnie przed 1-ym maja żywność zdołano w należyty sposób rozdzielić; to zapobiegło zaburzeniom).

Cesarz sądzi, że pokój z Austrią doprowadzi również do zawarcia pokoju z Bułgarią i Turcją; uważa jednak, że nie powinniśmy teraz rokować z tymi krajami, gdyż pociągnęłoby to za sobą stratę czasu.

Z chwilą zawarcia pokoju, Austria będzie mogła przepuszczać pszenicę rosyjską przez swoje terytorium dla Francji i Anglii; będzie jednak uważała za swój obowiązek przepuszczać również pszenicę, zasianą przez armię niemiecką w Rumunii i Turcji — której ilości są ściśle określone — na potrzeby Niemiec, nie może bowiem pozbawiać Niemiec zboża, które jest ich własnością.

Wypadki wspólnego występowania wojsk niemieckich i austriackich ogranicza się coraz bardziej. Książę S. kładł nacisk na to, że cesarz nie powinien pozwalać za wiele mówić hrabiemu Czerninowi.

Austria sympatyzuje z Francją, z którą chciałaby utrzymywać bliskie stosunki w przyszłości. W związku z tym książę S. poddał cesarzowi myśl, że dla utrzymania swego prestiżu mógłby oddać Trentino Włochom nie bezpośrednio, lecz w wyniku mediacji Francji i Anglii — cesarz odpowiedział, że lepiej będzie uczynić to wprost, bo wtedy uniknie się wzburzenia opinii w Austrii przeciw nam."

Jak zaznaczył w swoim liście Ribot, dokument zawierał dwa interesujące momenty. Pierwszym była informacja o sekretnych próbach Włoch dojścia do porozumienia z Austrią — o czym przedtem nie wiedzieliśmy; Sonnino też nie mógł o tym wiedzieć w czasie rozmów z nami w St. Jean de Maurienne. Drugim ważnym momentem był fakt, że cesarz — w celu zawarcia oddzielnego pokoju z nami — jest najwidoczniej gotów rozważyć sprawę oddania Włochom Trentino.

Przesławszy nam przytoczony wyżej dokument, książę Sykstus udał się do Wiednia; przebywał tu od 5-go do 11-go maja, widział się ze szwagrem i omawiał z nim sprawę pokoju. Chociaż sam zainteresowany tylko w żądaniach Francji, książę przekonywał cesarza, że byłoby rzeczą rozsądną zgodzić się na niezbędne koncesje wobec Włoch, aby uzyskać szybki pokój; jeśli by bowiem w ostatecznych pertraktacjach pokojowych brała udział Ameryka, domagałaby się prawdopodobnie podziału monarchii austro-węgierskiej.

Cesarz zgodził się z tym poglądem i oświadczył, że Austria pragnie po wojnie zawrzeć sojusz z Francją, a poprzez Francję — z Anglią i ewentualnie z Ameryką, aby w ten sposób zabezpieczyć jednocześnie swój byt i pokój świata. Tak jak sprawy stoją, przeszkodą jest tylko kwestia włoska. Cesarz opowiedział raz jeszcze księciu o propozycjach, uczy-

nionych ze strony włoskiej ambasadorom państw centralnych w Bernie. Wysłannikiem był pewien pułkownik włoski, człowiek znany, który nie mógł być w żadnym razie działającym na własną rękę awanturnikiem.

9-go maja cesarz wręczył księciu Sykstusowi drugi list do Aliantów, wyrażając życzenie aby pertraktacje trwały nadal. Do listu dołączona było nota, sporządzona po niemiecku przez hrabiego Czernina i zawierająca punkty, które zostały wyjaśnione w rozmowach cesarza z księciem. Z tymi dokumentami książę wrócił do Neuchâtel, gdzie otrzymał jeszcze od hrabiego Erdödy, wysłannika cesarza, następującą notatkę, precyzującą oświadczenie cesarza w sprawie oferty włoskiej:

„Neuchâtel, 12-go maja 1917 r.

Cesarz stwierdza, że propozycja pokojowa włoska uczyniona została w sposób następujący.

Na tydzień mniej więcej przed konferencją w St. Jean de Maurienne do Berna przybył specjalny wysłannik Włoskiej Kwatery Głównej. Zjawił się najprzód do posła niemieckiego, a potem do austriackiego. Propozycja skierowana była przede wszystkim do Niemiec i proponowała pokój z tym jedynym warunkiem, że Austria ma ustąpić Trentino; Gorycja i Monfalcone miałvby pozostać przy Austrii, tak że linia kolejowa do Triestu nie mogła znaleźć się w polu obstrzału artylerii włoskiej. Tylko Aquilea miała być ustąpiona Włochom. Oferta wywołana była ogólnym nastrojem armii włoskiej, zmęczonej już wojną, oraz obawą rewolucji. *Sonnino nie wie nic o propozycji.* Jest jednak *rzeczą pewną, że została ona uczyniona z aprobatą* wpływowej grupy polityków (np. Giolitti i Tittoni) *oraz że autorem jej jest król włoski.*

Niemcy wzywano do wywarcia nacisku na Austrię, aby zgodziła się na te warunki."

Poza tym hrabia Erdödy dodał do dokumentów, wiezionych przez księcia, ustne wyjaśnienia w rozmaitych sprawach, które wynikłyby w związku z zawarciem oddzielnego pokoju, a więc w sprawie wymiany jeńców, sytuacji żywnościowej, stosunków z Ameryką i sytuacji na froncie rosyjskim. Niemcy — oświadczył — nie będą w stanie wyżywić swojej ludności z chwilą, kiedy Austria ich opuści; nie wystarczy im zboża i tłuszczów. „Niemcom brak przede wszystkim tłuszczów — zarówno tłuszczów do gotownia jak smarów do maszyn. A Niemcy nie rozumieją co to jest obiad bez tłuszczu". „W Niemczech były bardzo poważne zaburzenia na tle głodu. Ogólnie przypuszczają, że robotnicy niemieccy zmuszą swój rząd do zawarcia pokoju, z chwilą kiedy Austria to uczyni... Niechęć między Niemcami i Austrią wzmaga się, ponieważ Austriacy są lepiej odżywiani od Niemców."

Co się tyczy ustąpienia Trentino, cesarz mógłby to uczynić tylko wzamian za jakąś natychmiastową rekompensatę. Nie mógłby odłożyć tej sprawy w nadziei, że otrzyma Śląsk od Niemiec, ani w ogóle godzić się na rekompensatę z terytorium swego sojusznika. Możnaby rozważyć jedną z kolonij włoskich w Afryce, albo koncesje w Grecji.

Książę wrócił znów do Paryża 16-go maja, ale dopiero 20-go udało mu się uzyskać rozmowę z Prezydentem i premierem. Rozmowa była długa i nie doprowadziła do zadowalających rezultatów. Jeśli chodziło o dalsze konkretne posunięcia, Ribot widział same tylko trudności. Propozycję cesarza, dotyczącą wskrzeszenia Serbii, uznał za niewystarczającą w braku wyraźnej wzminki o Cattaro i Durazzo. Nic nie postanowiono jeszcze w sprawie Rumunii. Pozostawała też sprawa polska. Co do Włoch — niepodobna było wymagać, aby zgodziły się na mniejsze zdobycze niż te, które im obiecano, kiedy przystępowały do wojny. Propozycja pokojowa włoska pochodziła niewątpliwie od grupy Giolitti'ego oraz od generała Porro, zastępcy szefa sztabu, ale Ribot nie wierzył, aby król lub Cadorna mieli z nią coś wspólnego. W każ-

dym razie — oświadczono księciu — nie można nic przedsięwziąć, dopóki król włoski nie przybędzie, aby obejrzeć front francuski, i cała sprawa nie zostanie z nim omówiona.

Książę Sykstus oświadczył, że musi teraz udać się do Anglii i zobaczyć ze mną, ponieważ prosiłem go o zakomunikowanie mi rezultatów rozmowy i omówienie ich ze mną. Sykstus pisał, „że od 31-go marca do 22-go kwietnia premier francuski zachowywał się — wedle słów pewnej osobistości, która miała przywilej asystowania przy tych pertraktacjach — jak człowiek co to „waha się, zwleka, podejrzewa, cofa, a wreszcie nic nie robi". Kiedy książę zapytał, jaką odpowiedź przesłać ma cesarzowi, Ribot odpowiedział, że to się nie da ustalić od ręki; zaaranżowana wizyta króla włoskiego we Francji wymaga pewnej zwłoki, i wobec tego sprawa musi zaczekać; „mamy — oświadczył — dużo czasu".

Na nieszczęście, cesarz zwrócił się ze swoją propozycją do Francuzów; inicjatywa była wobec tego w ich rękach, i uchwycili się jej zazdrośnie, nie chcąc oddać jej nikomu innemu. Gdy okazywałem pewne zniecierpliwienie wobec tych wahań i zwłoki w skorzystaniu z okazji, która pozwalała nam oderwać Austrię od Niemiec i w ten sposób powalić mocarstwa centralne — oskarżano mnie o „skłonność do działania w pośpiechu"; Juliusz Cambon nazywał mnie „porywczym Celtem".

Napisałem do Ribota 14-go maja, potwierdzając odbiór jego listu i dokumentu z informacjami, nadesłanymi do Paryża przez hrabiego Erdödy 9-go maja, oraz dodawałem:

„List, którego kopię był Pan łaskaw mi przysłać, wydaje mi się dokumentem o wielkim znaczeniu; wobec krytycznej sytuacji w Rosji wzięlibyśmy na siebie, moim zdaniem — ja i Pan — bardzo poważną odpowiedzialność, gdybyśmy nie zbadali dalej możliwości rozbicia mocarstw centralnych, jakie list otwiera. W tej sytuacji uważam za rzecz bardzo pożądaną, abyśmy mogli z Panem i z Pa-

na informatorem naradzić się w jak najkrótszym czasie co do najlepszych metod dalszego zbadania sugestyj, zawartych w liście".

Ribot nie przyjął na razie mojej propozycji co do spotkania i wspólnego omówienia sprawy, ale po zobaczeniu się z księciem Sykstusem napisał do mnie 20-go maja, zawiadamiając, że książę wkrótce mnie odwiedzi.

Książę przyjechał do Londynu wieczorem 22-go maja i następnego dnia przybył do mnie na Downing Street, przynosząc ze sobą własnoręczny list cesarza.

Drugi list cesarza Karola brzmiał jak następuje:

9-go maja 1917 r.

„Drogi Sykstusie!

Stwierdzam z zadowoleniem, że Francja i Angia podzielają moje poglądy na to, co uważam za podstawę pokoju europejskiego. Jednocześnie sprzeciwiają się zawarciu pokoju, w którym nie brałyby udziału Włochy. Złożyło się tak, że Włochy zaproponowały mi właśnie zawarcie pokoju z Austro-Węgrami, odstępując od wszystkich niedopuszczalnych żądań, wysuwanych przez nie aż do tej chwili a dotyczących aneksji słowiańskich terytoriów nad Adriatykiem. Włochy żądają obecnie tylko tej części Tyrolu, w której ludność mówi po włosku. Odłożyłem na razie rozważanie tej sprawy, dopóki nie dowiem się od Ciebie, jaką odpowiedź dają Francja i Anglia na moją propozycję pokojową. Hrabia Erdödy poinformuje Cię o poglądach moich i mojego kanclerza na różne związane z tym kwestie.

Przekonani jesteśmy że porozumienie, jakie osiągnęła monarchia z Francją i Anglią w całym szeregu spraw zasadniczych, pozwoli nam przełamać pozostałe trudności, gromadzące się na drodze ku zawarciu honorowego pokoju.

Dziękuję Ci za pomoc, jaką mi teraz okazujesz w działalności, zmierzającej do pokoju, a podjętej przeze mnie we wspólnym interesie naszych krajów. Powiedziałeś mi, gdy odjeżdżałeś, że wojna nałożyła na Ciebie obowiązek wierności wobec Twego nazwiska i wobec historycznych tradycji Twego rodu, i kazała Ci najprzód ratować rannych na polach bitew, a potem walczyć samemu dla Francji. Rozumiem całkowicie Twoje motywy, i chociaż zostaliśmy rozdzieleni przez wydarzenia, za które nie ponoszę osobistej odpowiedzialności, uczucia moje dla Ciebie pozostają niezmienione. Wierzę, że za Twoją zgodą będę mógł komunikować Anglii i Francji moje poglądy osobiste, nie odwołując się do żadnego pośrednika prócz Ciebie.

Proszę Cię raz jeszcze o przyjęcie wyrazów gorących uczuć braterskich,

Karol."

Tekst memoriału hrabiego Czernina, dołączonego do listu cesarza, był następujący:

„1) Jednostronne ustępstwa terytorialne ze strony Austro-Węgier nie wchodzą w rachubę; gdyby ustępstwa te miały być skompensowane przez odstąpienie Austro-Węgrom innych terytoriów, sprawa mogłaby być wzięta pod uwagę z zastrzeżeniem, że ziemie bohatersko bronione przez nas i zroszone krwią naszych żołnierzy mają dla nas wartość nieporównanie większą, niż jakiekolwiek nowe terytoria.

2) Jakie otrzymamy gwarancje, że na konferencji pokojowej całość i nienaruszalność monarchii (poza uzgodnionymi uprzednio rektyfikacjami granic) zostanie utrzymana?

3) Definitywna odpowiedź może być udzielona po otrzymaniu odpowiedzi na dwa poprzednie punkty,

gdyż zanim to nie nastąpi, Austro-Węgry nie mogą rozpocząć dyskusji ze swymi sprzymierzeńcami.

4) Austro-Węgry są w każdym razie gotowe prowadzić pertraktacje w dalszym ciągu i działać nadal — tak jak działały dotąd — na rzecz honorowego pokoju, a tym samym torować drogę ku zawarciu pokoju powszechnego".

Przestudiowałem oba te dokumenty z wielkim zainteresowaniem, i nie wyniosłem na ich podstawie zbyt dobrego wrażenia co do możliwości skutecznych rokowań pokojowych z Austrią. Czernin był najwyraźniej przeciwny wszelkim ustępstwom na rzecz Włoch, poza tym zaś miał na myśli nie oddzielne pertraktacje z Austrią, lecz rokowania, podjęte w porozumieniu z wszystkimi sojusznikami Austrii — to zaś byłoby dla rokowań rzeczą fatalną. Co do samej Austrii — główną trudność stanowiły oczywiście w dalszym ciągu Włochy. Książę wątpił, czy Austria uważałaby, że któraś z kolonij afrykańskich Włoch jest wystarczającą rekompensatą za utratę Trentino. Opowiedział mi też wszystkie znane mu szczegóły oferty włoskiej pod adresem Austrii. Opowieść tę trudno było oczywiście sprawdzić, dopóki sfery włoskie, odpowiedzialne za to posunięcie, nie uznałyby za stosowne przyznać się do niego.

Powiedziałem księciu, że jeśli mamy w ogóle posunąć się naprzód, musimy zaaranżować dyskusję w gronie osób, upoważnionych do odpowiedzialnych decyzyj. Możnaby było coś osiągnąć, gdyby urządzić spotkanie Czernina z Ribotem i ze mną; nie uważam natomiast ze celowe spotkań dyplomatów, nie upoważnionych do wiążących oświadczeń w imieniu swych krajów.

Po rozmowie zaaranżowałem przyjęcie księcia Sykstusa wraz ze mną na audiencji u króla.

Książę złożył jeszcze wizytę Pawłowi Cambon, a potem wyjechał na wyspę Wight, aby być pod ręką do dalszych roko-

wań. Sprawozdanie o jego rozmowie z Cambonem ujawnia niesłychaną podejrzliwość tego dyplomaty wobec Włoch, oraz pozwala zrozumieć, dlaczego politycy francuscy nie spieszyli się z prowadzeniem tych rokowań. Cambon uważał za rzecz pewną, że Włochy okażą się rafą, o którą rozbiją się rokowania o oddzielny pokój z Austrią; był jednak równie pewny, że taki właśnie wynik będzie w danej sytuacji najpomyślniejszy. Uważał że z chwilą, gdy Włochy uzyskają od Austrii dostateczne ustępstwa aby zgodzić się na zawarcie z nią pokoju, zlikwidują natychmiast swój sojusz z Ententą i nie udzielą jej więcej pomocy w wojnie; skorzystają natomiast z okazji, aby zwiększyć swoją ekspansję przemysłową i handlową, podczas gdy inne państwa wyczerpywać będą swe siły w wojnie, i uzyskać jak najwięcej korzyści dla siebie kosztem interesów Francji.

Cambon uważał, że pokój między Włochami i Austrią byłby korzystny tylko dla tych dwóch państw, ale nie dla Francji, i że cios, wymierzony w ten sposób Niemcom nie zrównoważy strat, spowodowanych wycofaniem się Włoch.

Cambon był człowiekiem nadzwyczaj rozumnym i przewidującym, ale gdy wchodzą w grę silne uprzedzenia — najinteligentniejszy człowiek jest często nie lepszy od głupca. Twierdzić, iż możliwe wycofanie się Włoch nie zostałoby dziesięciokrotnie skompensowane tym, że miliony Austriaków opuściłyby szeregi naszych wrogów, że Turcja i Bułgaria zostałyby odcięte od Niemiec i zmuszone do zawarcia pokoju, że austriackie łodzie podwodne byłyby wycofane z Morza Śródziemnego, a bazy ich w tym rejonie — zlikwidowane; że armie nasze w Salonikach, Egipcie, Palestynie i Mezopotamii mogłyby być zastąpione przez garnizony; że zboże z Rosji i krajów naddunajskich szłoby do Francji, a natomiast żywność, nafta i inne materiały z Austro-Węgier i Rumunii przestałyby dochodzić do Niemiec; że militaryzm pruski, opuszczony w ten sposób przez wszystkich swoich sojuszników i mający przeciw sobie najpotężniejsze narody świata, skazany

by został na nieuniknioną klęskę — nie widzieć wszystkich tych korzyści, jakie musiałby dać oddzielny pokój z Austrią, i wyrzekać się ich wszystkich, aby tylko Włochy nie miały możności wzmocnić się pod względem gospodarczym i przemysłowym, — wydaje się jawnym brakiem równowagi psychicznej. A jednak taki był zdaje się całkiem poważnie pogląd Cambona, który miał pewien wpływ na Ribota. Podejrzenia przytępiły jego zapał, a wątpliwości jakie żywił hamowały działalność.

Obaj bracia Cambon — Juliusz i Paweł — byli wyjątkowo zdolnymi dyplomatami; ożywiał ich też gorący patriotyzm. Francja była ich wiarą, ich świętością, ich religią, ich bóstwem. Pierwsze przykazanie prawdziwego francuskiego patrioty brzmi: „Nie będziesz miał innych bogów prócz Francji". Czy Anglicy nie są również patriotami? Są również, ale dla Anglików patriotyzm jest obowiązkiem, gdy dla Francuzów jest fanatyczną wiarą. Wielcy wodzowie ukazują swoje talenty w kierowaniu ludźmi umiejętnością apelowania do tych, którzy mają pod ich dowództwem zmagać się z przeciwnościami. Nelson wzywał marynarzy angielskich, aby nie zawiedli oczekiwania Anglii i spełnili swój obowiązek; Napoleon apelował do żołnierzy w imię sławy Francji. Ta miłość ojczyzny narodziła się i wyrosła w czasie owego upalnego lata Wielkiej Rewolucji, kiedy całości i niepodległości Francji zagrażała koalicja wszystkich monarchów Europy — dojrzała zaś, gdy legiony francuskie pod wodzą Napoleona kroczyły ulicami wszystkich stolic (z wyjątkiem jednej), w których monarchowie ci królowali. Legiony te pokonane zostały ostatecznie wspólnym wysiłkiem całej Europy; ale wielkość narodu zależy nie tyle od odniesionych zwycięstw, ile od wielkości walki, podjętej przez naród. Żaden kraj nie ma takiej przeszłości jak Francja, i kiedy się ma do czynienia z politykami francuskimi, trzeba zawsze pamiętać, że ta wielka era sławy stanowi podłoże psychologiczne, z którego cała ich polityka wyrasta. Pertraktacje z nimi natykają się zawsze na ten kompleks, występujący w najbardziej nieodpowiednich momen-

tach i utrudniający poważnie osiągnięcie wszelkiego porozumienia, które uwzględniałoby interesy i innych narodów.

Mądrze, z wszelkimi pozorami postawy przyjaznej, oferta Sykstusa skierowana została na ślepy tor. Subtelny i doświadczony umysł Cambona kierował ociężałymi krokami nieorientującego się Ribota to tu, to tam — kierował je wszędzie, byle nie na prostą drogę, prowadzącą do pokoju z Austrią: pokoju który stanowiłby tryumf Włoch, uczynił je większymi i silniejszymi, Francję zaś pozostawiał, borykającą się w dalszym ciągu wśród błot ze strasznym wrogiem i krwawiącą otwartymi ranami. Żaden patriota francuski nie mógł znieść takiej myśli, nie doznając bolesnego uczucia zazdrości. To tłumaczy zachowanie się Juliusza Cambona, gromkie protesty przeciw „tajnej dyplomacji" w Izbie francuskiej i we francuskich dziennikach, a także niezdecydowanie Ribota.

Rząd nasz nie mógł na to nic poradzić. Byliśmy całkowicie w rękach Francji. Oferta uczyniona została wobec niej, i zaufany pośrednik, książę Sykstus, był Francuzem; chociaż oddany cesarzowej Zycie, kierował się głównie tym co uważał za interesy Francji. Zakomunikowanie księciu przez Pawła Cambona, że nie odda w gruncie rzeczy usługi Francji, jeśli przeprowadzi rokowania z powodzeniem do końca, musiało ostudzić jego zapał i zahamować działalność. Rojalistyczny książę francuski nie mógł narażać się na zarzut, że poświęcił interesy Francji dla krewnej, znajdującej się w obozie nieprzyjacielskim.

Sprawa zaproszenia króla włoskiego na front zachodni była także całkowicie w rękach Francuzów. Jakkolwiek brzmiało zaproszenie, wysłane do Sonnino — nie było ono w każdym razie dość przekonywające, aby go skłonić do przyjazdu wraz z jego królem. 30-go maja książę Sykstus wrócił do Londynu, pragnąc zakończyć swą misję uzyskaniem odpowiedzi na list cesarza, a potem wrócić do swojej baterii na froncie belgijskim. Na razie jednak żadnej odpowiedzi nie było. Przekonałam go, aby pozostał jeszcze przez parę dni, oczekiwałem bowiem wiadomości z Włoch w sprawie propo-

nowanego przeze mnie spotkania z Sonnino. Odpowiedź z Włoch nadeszła istotnie już po paru godzinach, ale była natury wymijającej: baron Sonnino oświadczył, że nie widzi potrzeby zwoływania konferencji w chwili obecnej. Natychmiast posłałem mu list przez specjalnego kuriera, podkreślając, że proponowana konferencja jest rzeczą istotnej wagi.

Na to nie otrzymałem odpowiedzi do 5-go czerwca, kiedy książę Sykstus przybył na ostateczną rozmowę ze mną przed powrotem na kontynent. W międzyczasie jednak, 3-go czerwca, rząd włoski ogłosił protektorat nad Albanią. Krok ten mógł być spowodowany słabym powodzeniem ofenzywy, przdsięwziętej przez Cadornę nad Isonzo 12-go maja. Wojska włoskie posunęły się nieco naprzód, ale zostały zatrzymane, zanim znalazły się w jakimkolwiek punkcie blisko od drogi do Triestu. Nie mogąc zbliżyć się do tego miasta, Włosi pocieszali się, ogłaszając aneksję Albanii. Nie był to krok, obliczony na ułatwienie rokowań z Austrią.

Kiedy książę Sykstus odwiedził mnie po raz ostatni 5-go czerwca, powiedziałem mu, że całkowicie podzielam jego niezadowolenie z powodu odwlekania sprawy przez Włochów.

Książę prosił mnie o jakąś odpowiedź, nawet jeśli Włosi nie spotkają się z nami; zapewniłem go że postaramy się bezwzględnie uzyskać odpowiedź od barona Sonnino i jego króla. „Możliwość zawarcia pokoju z Austrią jest dla nas sprawą zbyt poważną, abyśmy pozwolili ją zaprzepaścić. Na razie możemy tylko powiedzieć, że rokowania z Włochami opóźnią i utrudnią załatwienie sprawy, ale z chwilą, gdy je ukończymy, rzecz pójdzie szybciej".

Po przyjeździe do Paryża książę rozmawiał z Wiliamem Martin, z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który mu powiedział, że Sonnino nie ma zamiaru spotykać się z francuskimi i angielskimi ministrami. Sykstus prosił o jakąś wiadomość, którą mógłby przesłać Karolowi, jako odpowiedź na jego list. 20-go czerwca zawiadomiono go, że zdaniem p. Ribot „Na razie nic nie można zrobić, nie możemy

przedsięwziąć niczego bez Włoch". 23-go czerwca Juliusz Cambon miał długą rozmowę z księciem i wyjaśnił mu, jak się przedstawia sytuacja z punktu widzenia francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Mają wiele kłopotu z Włochami, ponieważ i Francja i Włochy wysuwają wielkie żądania w stosunku do Azji Mniejszej — w myśl zasady, że należy zawsze jak najwięcej żądać. W Grecji Francja i Włochy prowadzą także sprzeczną politykę. Sonnino nie chce spotkać się z premierami Ententy. Cambon oświadczył, że ja podtrzymuję energicznie propozycję rokowań z Francją, natomiast Francuzi nie są skłonni spieszyć się zbytnio z tą sprawą. W połowie lipca nastąpi jednak konferencja premierów koalicyjnych. Prezydent Francji podziela pogląd Cambona, że nie można pozwolić aby Włochy otrzymały Trentino, zanim Francja nie uzyska Alzacji i Lotaryngii — postawa taka uniemożliwiała faktycznie zawarcie pokoju z Austrią, dopóki Niemcy nie zostały definitywnie pokonane. W rezultacie tej rozmowy książę wrócił do swego pułku i zaniechał dalszych wysiłków pokojowych.

Tymczasem we Francji, gdzie utrzymanie jakiejkolwiek tajemnicy w czasie wojny wydawało się rzeczą niemal niemożliwą, jakieś pogłoski o pertraktacjach przeniknęły jak się zdaje na zewnątrz. W czasie debaty w Izbie Deputowanych w d. 5-go czerwca pod adresem premiera padły zarzuty o uprawianie „tajnej dyplomacji"; Ribot odpierał je ze szlachetnym oburzeniem: „Mówiono tu o tajnej dyplomacji; nie może być żadnej tajnej dyplomacji! Wszystko powinno być tutaj i zawsze będzie całkowicie ujawnione!" Twierdzenie Ribota było prawdziwe tylko w sensie bardzo dyplomatycznym; ale ataki odebrały mu niewątpliwie ochotę do dalszego kontynuowania rokowań.

Włosi przybyli dopiero 25-go lipca na odbywającą się w Paryżu konferencję międzykoalicyjną. Ribot uważał, że jest już za późno interpelować Cadornę w sprawie rzekomej włoskiej oferty pokojowej wobec Austrii; pokazał natomiast baronowi Sonnino całą korespondencję. Jeśli uważał, że może

ze względu na przemożny interes publiczny naruszyć w ten sposób uroczystą obietnicę, uczynioną wobec księcia Sykstusa — powinien był to niewątpliwie uczynić w kwietniu. Ja nie domagałem się nigdy, aby to uczynił. W kwietniu namawiałem księcia, żeby zwolnił rząd francuski z udzielonej obietnicy, ale gdy książę stanowczo odmówił — uważałem, że musimy dotrzymać słowa za wszelką cenę.

Rewelacja Ribota nie przełamała oporu Sonnino. W tym momencie kwestia rokowań o oddzielny pokój z Austrią stała się przedmiotem walki Sonnino z Giolittim, w której obaj starali się pozyskać dla swej koncepcji króla — i minister spraw zagranicznych urażony był naszym mieszaniem się w sprawy wewnętrznej polityki włoskiej. Oferta Austrii nie była oczywiście omawiana na posiedzenach konferencji, ale na posiedzeniu popołudniowym 26-go lipca wskazałem na możliwości akcji, która miałaby na celu wyeliminowanie Austrii z wojny.

W ten sposób rokowania, zapoczątkowane za pośrednictwem księcia Sykstusa, spełzły na niczym. Przeczekawszy jeszcze dwa miesiące, nie byłem w dalszym ciągu w stanie udzielić żadnej odpowiedzi poza stwierdzeniem, że dotąd nic nie zostało ustalone z Włochami.

Baron Sonnino mógł twierdzić w r. 1918, że jego opór okazał się usprawiedliwiony w świetle warunków pokojowych, jakie Włochy narzuciły Austrii w rezultacie swego zwycięstwa. Były one bowiem pod względem terytorialnym i strategicznym bardziej pomyślne od wszelkich warunków, jakie Włochy mogły mieć nadzieję uzyskać w r. 1917.

Dopiero 12-go października Ribot złożył oświadczenie, które mogło być uważane za odpowiedź na propozycje pokojowe Austrii. W przemówieniu, wygłoszonym tego dnia w Izbie Deputowanych, Ribot oświadczył:

„Przed niedawnym czasem Austria była stroną, która oświadczyła gotowość zawarcia z nami pokoju i zadośćuczynienia naszym żądaniom. Świadomie jednak pominęła sprawę Włoch, wiedząc że jeśli posłuchamy

tych nieuczciwych propozycyj, Włochy odzyskają wobec nas swobodę działania i staną się nieprzyjacielem Francji, która zdradziła je i zapomniała o nich. Nie zgodziliśmy się na to!"

„Nieuczciwa propozycja" nie jest zupełnie lojalnym określeniem wysiłków pokojowych młodego cesarza. Karol szczerze pragnął pokoju — podobnie jak jego francuska małżonka. W jego listach do szwagra jest jakaś nuta niemal bolesna. Przerażony był sytuacją w jakiej wstąpił na tron i wzdrygał się wobec perspektyw, grożących jemu i jego rodzinie. W niecały rok później był już wygnańcem ze swego kraju. Po kilku latach zwiedzałem skromną willę na Maderze, wypożyczoną cesarzowi przez współczującego z nim właściciela. W tej willi umarł w biedzie. Nie miał pieniędzy na opłacenie doktora, który mógł mu uratować życie, i pogrzebany został na koszt tego samego szlachetnego kupca, który udzielił mu schronienia. Przeglądając teraz moje papiery, widziałem wciąż jak gdyby cień tragedii, unoszącej się nad ostatnimi wysiłkami biednego Karola, który widział zbliżającą się katastrofę i walczył napróżno z losem, aby ją od siebie odsunąć.

W rozdziale następnym Autor opisuje bezskuteczne inicjatywy pokojowe Niemiec i Watykanu.

PLAN OFENZYWY WE FLANDRII.

Mamy teraz opisać bitwę, która wraz z walkami nad Sommą i pod Verdun uważana będzie zawsze za jedną z najbardziej gigantycznych, zaciętych, ponurych, bezpłodnych i krwawych bitew świata. Wszystkie trzy bitwy trwały miesiącami — i żadna nie osiągnęła tego, co było jej zadaniem. Wewszystkich wkrótce po rozpoczęciu walki było rzeczą widoczną dla każdego obserwatora — z wyjątkiem tylko samych autorów planu strategicznego, który doprowadził do tych straszliwych i tragicznych bojów — że cel planu nie zostanie osiągnięty. Razem w tych trzech bitwach straciło życie lub odniosło rany dwa do trzech milionów dzielnych żołnierzy. Opowieść o tych bitwach stanowi trylogię nieustępliwego bohaterstwa, które nie uzna nigdy własnej porażki, i niewyczerpanej próżności, nie uznającej nigdy własnego błędu. Jest to opowieść o milionach, które godzą się raczej umrzeć, niż zasłużyć na nazwę tchórzów — nawet wobec siebie samych, a także o paru jednostkach, które godzą się raczej na zgubę milionów, niż na przyznanie się — choćby wobec siebie samych — że jako wodzowie popełnili błąd. Stąd nieśmiertelna sława i smutna fama Verdun, Sommy i Passchendaele: sława zdobyta przez żołnierzy, których bohaterskie wysiłki nie znajdują sobie równych w annałach wojny — fama łącząca się z wąskim i upartym samolubstwem, nie mającym równego sobie w dziejach katastrof, które wywołała lekkomyślność ludzka.

Falkenhayn, Joffre i Haig byli wykształconymi wojskowymi, którzy włożyli wiele pracy w opanowanie swego zawodu. Nie ma jednak zawodu, w którym doświadczenie i

wyszkolenie byłoby rzeczą tak drugorzędną w porównaniu z rozsądkiem i intuicją, jak właśnie zawód wojskowego. Przerwy między wielkimi wojnami są na szczęście tak długotrwałe, a poważne zmiany w urządzeniach mechanicznych, a więc i w metodach, następują w naszej niespokojnej epoce tak szybko — że wyobraźnia, inicjatywa, pomysłowość i giętkość umysłu są w zawodzie żołnierza bardziej niezbędnym warunkiem powodzenia, niż w jakimkolwiek innym.

Pomysł bitwy na terenie błot Flandrii — bardziej znanej i wywołującej smutniejsze skojarzenia pod nazwą bitwy pod Passchendaele —/powstał w upartym mózgu sir Douglasa Haiga już w r. 1916. Jeśli bitwa zakończyła się niepowodzeniem — nie było to skutkiem braku odpowiednio długich i starannych przygotowań. W lipcu 1917 r. Haig oświadczył członkom gabinetu, że przygotowuje się do niej od roku. Jednocześnie niecierpliwiły go wszelkie inne plany. Konferencja w Chantilly, która odbyła się w listopadzie 1916 r., pozwalała mu uzupełnić przygotowania do tej „prawdziwej" kampanii 1917 roku. Plan Nivelle'a, przewidujący przerwanie frontu niemieckiego, rywalizował w sposób niewygodny i brutalny z operacjami we Flandrii. Zdobycie grzbietu Messines — operacja świetnie w swoim zakresie przeprowadzona — było tylko małym pożytecznym wstępem do istotnej bitwy; był to jak gdyby *aperitif*, dostarczony przez generała Plumera, aby pobudzić apetyt publiczności do wielkiej uczty zwycięstwa, jaką nam szykowała Kwatera Główna.

Odcinek frontu, na którym miał być przeprowadzony atak, oraz zadanie jakie miał osiągnąć, wyznaczyli nasi doradcy wojskowi i morscy późną jesienią 1916 roku. Celem minimalnym operacji miało być wyparcie nieprzyjaciela z flamandzkiego wybrzeża; istniała także dalsza perspektywa — przerwania frontu, które doprowadziłby mogło do usunięcia Niemców z całej Belgii. Wycieńczenie przeciwnika, jako cel bitwy, wymyślone zostało już *ex post* przez pobitych genera-

łów, aby usprawiedliwić poniesioną faktycznie porażkę, a może i uzyskać jakieś ślady uznania za złe wykonanie złego projektu.

Mniej więcej w grudniu 1916 r. sir Eric Geddes otrzymał polecenie, aby przygotować środki transportu kolejowego i kołowego, przy których pomocy można by było przewieźć z portów północno - wschodniego wybrzeża na front flamandzki wielkie ilości wojska i wszelkiego rodzaju materiałów. Otrzymał wszystkie ułatwienia i materiały, jakich potrzebował. Nie było nigdy przedtem bitwy, poprzedzonej przez tak olbrzymie i długotrwałe przygotowania; nie można więc przypisywać niepowodzenia żadnym brakom w dziedzinie niezbędnych rezerw ludzkich, czołgów, artylerii i amunicji, ani żadnym utrudnieniom w dostarczeniu tych wszystkich zasobów na front. Pogardzani cywile pracowali z energią, inteligencją i ofiarnością i robili wszystko co mogli, aby planom wodzów zapewnić powodzenie; politycy, fabrykanci, marynarze, technicy, a przede wszystkim owi prości ludzie, którzy po paromiesięcznym przeszkoleniu szli pod najstraszliwszy ogień artylerii i karabinów maszynowych, jaki świat kiedykolwiek widział — spełniając niemożliwe do wykonania rozkazy generałów, nie mających pojęcia, czym jest faktycznie wykonywanie ich rozkazów.

Jeśli w przeprowadzeniu operacji była jakaś zwłoka — powstała ona jedynie z winy Naczelnego Dowództwa. Wódz Naczelny mógł przerwać atak na Arras każdej chwili — jak tylko Francuzi zaprzestali poważniejszych wysiłków na swoim froncie. To nastąpiło już w maju; jeśli więc Haig rozpoczął swoją ofenzywę faktycznie dopiero w sierpniu, opóźnienie nie było wywołane obowiązkiem popierania ataku Nivelle'a: ten bowiem przerwany został w gruncie rzeczy już na trzy miesiące przed bitwą o Passchendaele.

Geneza tego przedsięwzięcia jest niejasna i trudna do ustalenia. Wiadomo, że obrońcy Naczelnego Dowództwa

przypisywali winę w pierwszym rzędzie Admiralicji, która domagała się wciąż od rządu uwolnienia wybrzeża Flandrii i zlikwidowania w ten sposób baz łodzi podwodnych, znajdujących się tak blisko dróg morskich o pierwszorzędnej doniosłości. Twierdzono, że ministrowie ulegli tym namowom i — jak pisze sir Wiliam Robertson — zawiadomili go, że „nie ma operacji, do której Komisja Wojenna Gabinetu przywiązywałaby większą wagę, niż odsunięcie nieprzyjaciela od wybrzeży belgijskich, i że należy poczynić przygotowania, aby tego rodzaju operacja przewidziana została w planie działań na rok następny".

Legenda, że politycy zmusili Naczelne Dowództwo do operacyj pod Passchendaele, ożyła znów późną jesienią 1917 roku, gdy dla ludzi zaangażowanych w walkach stało się rzeczą jasną, że wymaga się od nich dokonania rzeczy niemożliwej. Generał Baker-Carr, który w czasie walk miał do czynienia z czołgami, pisze w swojej interesującej i rewelacyjnej książce:

„Każdemu, obznajmionemu z warunkami terenowymi we Flandrii, wydawałoby się rzeczą prawie nie do pomyślenia, aby ta właśnie część frontu wybrana została do ofenzywy. Dokładne poszukiwania na całym froncie, od kanału La Manche aż do Szwajcarii, nie mogłyby ukazać bardziej nieodpowiedniego odcinka...

Mówiono nam oczywiście, że było to podyktowane raczej przez politykę niż przez strategię *i że Wódz Naczelny zmuszony został, wbrew swemu zdaniu, do liczenia się z pragnieniami naszych cywilnych suwerenów...*

Polityka musi naogół decydować o strategii, ale w pewnych okolicznościach dezyderaty polityczne stają się niemożliwe do urzeczywistnienia.

Gdyby kiedykolwiek istniała najsłabsza bodaj szansa osiągnięcia naszego ostatecznego celu, t. j. zdobycia

portów, stanowiących bazy łodzi podwodnych, żadne ofiary nie byłyby zbyt wielkie. Ale szansy takiej od samego początku operacyj nigdy ni było..." *).

W okresie, o którym mówi generał Baker-Carr, Kwatera Główna zaczęła starać się usilnie o przerzucenie odpowiedzialności za całe to obłąkane przedsięwzięcie na innych: na polityków, którzy wchodzili w skład rządu w Londynie, albo na Francuzów, którzy rzekomo domagali się tego, chcąc oszczędzić swoją własną armię. W rzeczywistości jednak zarówno ministrowie brytyjscy jak generałowie francuscy byli zdecydowanie przeciwni całemu planowi i zakomunikowali swoją ujemną opinię angielskiemu dowództwu.

Zbadałem starannie wszystkie istniejące dokumenty, aby wykryć tego czy tych, którzy byli odpowiedzialni za tę mętnie pomyślaną operację na błotach. Protokuły i notatki które zacytuję okażą jasno, że sprzeciwiałem się całemu projektowi przez cały czas, aż do rozpoczęcia operacyj, i że przepowiadałem stanowczo jego niepowodzenie, podając motywy mojej przepowiedni. Kiedy stało się rzeczą niewątpliwą, że operacja się nie udała, robiłem co mogłem dla przekonania generałów, aby jej zaniechać. Jedyną zatem sprawą, związaną z moją osobistą odpowiedzialnością jest zagadnienie, czy inicjatywę operacji można przypisać rządowi Asquitha, którego byłem członkiem.

Faktem jest, że projekt wyparcia Niemców z Ostendy omawiany był często jako możliwy dezyderat — zawsze jednak Anglicy i Francuzi odrzucali go, jako nierealny. Na konferencji generałów w Chantilly w listopadzie 1916 r., na której ustalono w zarysach strategię Koalicji na rok 1917, nie było mowy o wielkiej ofenzywie we Flandrii. Nie było o niej rów-

*) Gen. Baker-Carr, *Od szofera do brygadiera*, s. 226 i in.

nież wzmianki na konferencji paryskiej, która nastąpiło potem. Jednakże po dwóch tygodniach sir Wiliam Robertson wysłał następujący list do marszałka Joffre'a:

„1 grudnia 1916 r.

Son Excellence M. le Maréchal Joffre.

Szanowny Panie Generale!

Rząd mój śledzi ostatnio z pewnym niepokojem działalność, którą rozwijają Niemcy na morzu w pobliżu wybrzeży belgijskich i która ma oczywiście na celu przerwanie komunikacji między Anglią i Francją. Jest rzeczą niewątpliwą, że flota niemiecka uczy się z doświadczeń i że wypady w kanale La Manche, jakie może przedsiębrać na skutek posiadania Ostendy i Zeebruge, zaczynają coraz bardziej utrudniać utrzymanie ciągłej komunikacji.

Admiralicja brytyjska jest zdania, że w roku przyszłym musimy być przygotowani na jeszcze żywszą i śmielszą działalność Niemców w tym kierunku, i że jeżeli Ostenda i Zeebruge pozostaną w posiadaniu nieprzyjaciela — nasze linie komunikacyjne mogą być poważnie zagrożone. Jest rzeczą jasną, że utrzymanie komunikacji morskiej między Anglią i Francją stanowi konieczny warunek skutecznego prowadzenia wojny na froncie zachodnim, i wobec tego rząd mój pragnie aby zdobycie Ostendy i Zeebruge stanowiło jeden z celów kampanii nadchodzącego roku.

W związku z tym polecam sir Douglasowi Haig, aby porozumiał się z Panem *w celu włączenia tej operacji do ogólnego planu operacyjnego na rok przyszły* i w celu poczynienia niezbędnych kroków do jej wykonania.

W. Robertson."

Dlaczego sir Wiliam Robertson tak się spieszył, aby włączyć tę ofenzywę do „ogólnego planu operacyjnego na

rok przyszły"? Nie zostało to postanowione przez gabinet; nie było nawet jeszcze w tej chwili przemyślane przez sztab. Robertson widział, że zbliżają się zmiany w składzie gabinetu. Wiele przemawiało za tym że ludzie, nie będący ścisłymi wyznawcami Wielkiego Kościoła Zachodniego — Bonar Law i ja — mogą stanąć na czele rządu. Dlatego właśnie należało z góry związać rząd dokumentem, który posiadałby charakter umowy wojskowej międzykoalicyjnej. Dlatego Robertson spieszył się z dołączeniem kampanii we Flandrii do postanowień konferencji w Chantilly.

W protokółach posiedzeń Komisji Wojennej gabinetu nie ma żadnego śladu, któryby wskazywał, że sprawa została chociażby wzmiankowana w ciągu listopada i grudnia. Jeśli zaś o obradach na ten temat nie ma wzmianki w protokółach — list Robertsona musiał być wynikiem jakichś nieoficjalnych rozmów, prowadzonych z początku między premierem i sir Johnem Jellicoe, a następnie między ministrami. Absorbowało nas wtedy bardzo niebezpieczeństwo, grożące nam ze strony łodzi podwodnych, i Admiralicja nie widziała żadnych środków obronnych natury morskiej; pragnęła więc przesunięcia frontu na lądzie wzdłuż wybrzeży flamandzkich i zdobycia portów, które używane były jako bazy łodzi podwodnych — głównie łodzi mniejszego typu. Otóż gabinet postanowił zażądać od rzeczoznawców wojskowych, aby rozważyli możliwość tego rodzaju przedsięwzięcia — i *przedstawili nam swoje wnoiski:* takiego jednak raportu nigdy nie otrzymaliśmy.

Plan operacyj ofenzywnych we Flandrii o pewnym ograniczonym zakresie przedłożony został sir Douglasowi Haig przez generała Plumera, wówczas dowódcę drugiej armii. Plan ten dotyczył wyłącznie ataku na wyniosłość Messines - Wytchaete — co było od dawna koncepcją generała Plumera. Miała to być operacja izolowana, zmierzająca do opanowania wyżyny na wschód od Ypres i mająca głównie na celu osłabienie nacisku nieprzyjaciela na to nieszczęsne miasto i wy-

stęp frontu wokół niego. Gdy przedstawiono Plumerowi projekt znacznie dalej idący — ataku na wzgórze Passchendaele, Roulers i Thourout, z perspektywą ofensywy na Ostendę w celu oswobodzenia wybrzeża belgijskiego — Plumer zajął wobec projektu stanowisko negatywne. Uważał, że teren nie nadaje się do tego rodzaju operacji, która poza tym byłaby zbyt kosztowna i długotrwała.

Kwatera Główna jednak próbowała go przekonać, twierdząc że istnieje możliwość zaskoczenia przeciwnika i przełamania jego linii.

Pierwszy dokument, zawierający poglądy Kwatery Głównej na wielką ofenzywę we Flandrii, jest bardzo znaczący. Byłoby dobrze, gdyby reprezentował on nietylko początkowy, ale i ostateczny stosunek Dowództwa do całego przedsięwzięcia. Podpisany jest przez generała Kiggella, szefa sztabu armij we Francji. Oto jego tekst.

„Kwatera Główna, 6-go stycznia 1917 r.

Druga Armia.

W związku z Pana pismem z d. 12 grudnia 1916 r., dotyczącym planu operacyj ofenzywnych na północ od rzeki Lys, Wódz Naczelny poleca mi zwrócić Pana uwagę na następujące punkty i prosić o wprowadzenie do planu odpowiednich zmian.

1. Operacje na północ od rzeki Lys nie nastąpią, dopóki pomocnicze operacje angielskie na innym odcinku i główne operacje ofenzywy francuskiej nie zostaną przeprowadzone. Należy więc przewidywać, że zanim zacznie się atak na północ od Lys, nieprzyjaciel poniesie poważne straty i rezerwy jego zostaną z Pana frontu odciągnięte.

W tych okolicznościach jest rzeczą zasadniczą, aby plan polegał na szybkiej akcji i prowadził do natychmiastowego przełamania pozycyj przeciwnika.

2. *Plan przedstawiony przez Pana przewiduje wyraźną i długotrwałą ofenzywę, podobną do tej, jaka przeprowadzona była niedawno nad Sommą. W tych warunkach nieprzy-*

jaciel będzie miał czas na sprowadzenie świeżych posiłków i skontruowanie nowych linij obronnych.

3. Zadaniem tych operacyj jest zdecydowane pokonanie wroga i oswobodzenie wybrzeża Belgii.

Bezpośrednim celem jest przerwanie nieprzyjacielskich linij obronnych mniej więcej na odcinku Hooge — Steenstraate i osiągnięcie linii Roulers — Thourout, następnie zaś posunięcie się w kierunku północno - wschodnim i zagrożenie tyłom niemieckim nad morzem.

Belgijczycy i Francuzi będą współdziałać z nami, atakując od Dixmude i od Nieuport.

Operacje dzielą się w sposób naturalny na dwa etapy i przeprowadzone będą przez dwie odrębne armie:

a) Atak na wyżynę Messines—Wytschaete i Zandvoorde, mający na celu utworzenie osłony flankowej dla późniejszego głównego ataku, przeprowadzony będzie przez armię południową;

b) Atak główny, z odcinka zawartego mniej więcej na froncie Hooge — Steenstraate, z zadaniem zajęcia Roulers i Thourout, przeprowadzi armia północna. *Jest rzeczą zasadniczą, aby ten atak przeprowadzony został z możliwie najmniejszą zwłoką.* Armia belgijska okaże nam pomoc, atakując z Dixmude w kierunku Clercken i Zarren.

5. Proszę o łaskawe przedstawienie, najpóźniej do 31-go stycznia, Pana zaleceń co do przeprowadzenia tych operacyj.

Uwagi Pana powinny zawierać:

a) Zalecenia co do terenu działań obu armij i punktu stanowiącego granicę między nimi;

b) Przewidywane przez Pana zapotrzebowanie ludzi, czołgów i armat — przy założeniu, że w całej operacji weźmie udział dziesięć korpusów;

c) Ewentualne propozycje co do linij kolejowych, jakie zdaniem Pana byłyby konieczne.

L. E. Kiggell, Szef Sztabu".

15-go stycznia Kwatera Główna wysłała do drugiej armii następującą notatkę:

„Sposoby wykonywania natarcia i czas jego trwania: nasza bardzo wielka przewaga liczebna, a przypuszczalnie i jakościowa, jaką mamy prawo przewidywać, stanowi podstawę, na której opiera się główne zadanie operacji — mianowicie przerwanie nieprzyjacielskiego systemu okopów i jak najszybsze przejście do walki ruchowej, w celu pokonania sił, zajmujących w danej chwili nieprzyjacielskie pozycje, zanim mogłyby nadejść posiłki. System okopów nieprzyjacielskich nie ciągnie się tak daleko wgłąb, aby wykluczał osiągnięcie tego celu, gdybyśmy tylko mogli utrzymywać pod obserwacją tyły nieprzyjaciela. Ta ostatnia sprawa jest niewątpliwie wielką przeszkodą, jeśli chodzi o szybkie przerwanie frontu; *najlepszym sposobem pokonania tej przeszkody jest użycie czołgów w takiej ilości, w jakiej to się okaże możliwe w rezultacie przeprowadzonych obecnie wywiadów".*

Tych dokumentów nie pokazano nigdy mnie ani żadnemu z moich kolegów. Nie otrzymaliśmy też aż do lata obiecanego przez ekspertów sprawozdania na temat całego projektu, choć projekt został już — bez naszej wiedzy — włączony do planu kampanii na rok 1917, ustalonego w Chantilly.

Należy z naciskiem podkreślić, że w świetle powyższych dokumentów Kwatera Główna we Francji ustaliła w tym czasie pewne zasadnicze warunki, które uważała za niezbędne do powodzenia projektu — mianowicie:[1]) że musi

istnieć nie tylko wielka, ale „bardzo wielka" przewaga liczebna, a może i jakościowa po naszej stronie; 2) że zanim jeszcze zacznie się operacja — t.j. przed rozpoczęciem ataku na północ od Lys — siły nieprzyjaciela powinny zostać odciągnięte od brytyjskiego frontu; 3) że operacja musi mieć charakter zaskoczenia przeciwnika; nie powinien on spodziewać się ataku, wtedy bowiem sprowadzi swoje rezerwy, zanim armia angielska zdoła przerwać jego linie obrony; 4) że musi to być prawdziwe przerwanie frontu od jednego zamachu, a nie długotrwałe walenie we front przeciwnika, jak to było nad Sommą; 5) że operacja związana jest z użyciem wielkiej liczby czołgów, które pozwolą przezwyciężyć napotkane trudności. Od takich warunków uzależniało dowództwo powodzenie ofenzywy.

Kiedy ją następnie rozpoczęto, żeden z warunków nie był spełniony, i o żadnym nawet poważnie nie myślano. W lipcu sytuacja stała się tego rodzaju, że cały charakter ofenzywy uległ zmianie; przestały istnieć wszystkie warunki, których spełnienie sir Douglas Haig uważał w styczniu za niezbędne. Na nieszczęście, zanim jeszcze nastąpiły te zmiany, plan został przyjęty i stał się dla Kwatery Głównej świętością; wątpić w jego nieomylność mogły odtąd tylko niedowiarki.

Sir Wiliam Robertson utrzymywał zawsze, że rząd Asquitha polecił mu wyraźnie przeprowadzić operację, która miałaby na celu oswobodzenie wybrzeża Flandrii. Był to jego sposób zwalania odpowiedzialności za wszystko, co się stało, na innych — najchętniej na polityków; znajdował tą drogą jakąś dziedzinę, w której politycy mogli być pożyteczni. Dostarczali oni generałom ludzi, uzbrojenia i pieniędzy — a potem odpowiadali za złe użycie tego wszystkiego.

Komisja Wojenna gabinetu ustaliła w r. 1916, że rzeczoznawcy wojskowi powinni złożyć raport po rozważeniu koncepcji ofenzywy, mającej uwolnić wybrzeże belgijskie. „Polecenie", wydane przez rząd Asquitha, było jedynie poleceniem przygotowania takiego raportu. Fakt, że aż do

czerwca 1917 r. raport ten nie został przedstawiony, mógł być spowodowany tym, że aż do tej chwili ostateczne plany nie były gotowe. To jednak nie powstrzymało przygotowań, które czynione były na ogromną skalę, już poczynając od grudnia 1916 r. Plany poddawano ciągłym modyfikacjom, ale żadne propozycje czy poprawki nie zostały zakomunikowane Komisji Wojennej aż do czerwca.

Gdyby jednak nawet było rzeczą możliwą (a jest to niewątpliwie nie do pomyślenia), aby mój poprzednik, bez wyraźnego porozumienia z kolegami, bez zakomunikowania im bodaj w najogólniejszej formie o swojej decyzji, bez przedstawionego mu planu a nawet bez jakichkolwiek przedwstępnych wniosków ze strony rzeczoznawców wojskowych, dał jakieś nieprzemyślane instrukcje Szefowi Sztabu, upoważniające do przedsięwzięcia kampanii na wielką skalę w najzupełniej nieodpowiednim terenie — okoliczności od tej chwili uległy tak zasadniczej zmianie, że powtórne rozważenie całego tego lekkomyślnego projektu narzucało się w sposób nieodparty. W lecie nie istniał już żaden z warunków, od których Sztab Generalny uzależniał powodzenie ofenzywy. Dwa ważne wydarzenia zmieniły sytuację militarną i uczyniły wielką ofenzywę Koalicji na froncie zachodnim przedsięwzięciem znacznie trudniejszym: Rewolucja Rosyjska i poważne zaburzenia w armii francuskiej dokonały kompletnej metamorfozy w perspektywach wielkiej ofenzywy przeciw Niemcom. Nikt nie mógł przewidzieć, czy Rosja zawrze oddzielny pokój —czy też może nawet prowadzić będzie wojnę z większą niż dotąd energią. Niemcy znali sytuację na froncie rosyjskim lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż żołnierze obu armij komunikowali się ze sobą. Trudno jednak przewidzieć postępowanie ludzi, znajdujących się pod wpływem nastrojów rewolucyjnych: dziś są usposobieni przyjaźnie, jutro mogą być usposobieni bardzo wrogo. Niemcy nie mogli więc mieć zupełnej pewności, że ci chorzy na rewolucyjną gorączkę żołnierze, na razie siedzący spokojnie w swoich okopach, nie dostaną nagle ataku

delirium — a w takim ataku mogli rzucić się równie dobrze na swoich dawnych oficerów, jak na swoich dotychczasowych wrogów. Dopóki zatem pokój nie został zawarty, Naczelne Dowództwo niemieckie nie mogło zlikwidować zupełnie swoich linij obronnych na froncie rosyjskim, ani ogołocić ich zbytnio z żołnierzy. Mogło natomiast zmniejszyć znacznie swoje efektywy na tym froncie i zgromadzić tam gorsze oddziały: istotnie Niemcy przesunęli część swoich najlepszych i najbardziej wypoczętych wojsk na front zachodni, zastępując je przez przetrzebione dywizje z tego frontu, których nie potrzebowali uzupełniać. Najlepsze wojska i rezerwy można było skupić na froncie zachodnim. Sytuacja na froncie rosyjskim była tak niepewna, że byłoby szczytem lekkomyślności rozpocząć przy pomocy armii angielskiej długą ofenzywę, licząc na to, że armia rosyjska zwiąże skutecznie siły niemieckie na wschodzie.

Komisja Wojskowa gabinetu, rozważywszy dokładnie pozycję militarną, doszła do następujących wniosków w związku z wydarzeniami w Rosji:

a) Nie byłoby rzeczą rozsądną opierać nasze plany na przypuszczeniu, że w tym roku Rosja wzmoże swoje wysiłki w dziele prowadzenia wojny;

b) Nie można wykluczyć możliwości, że Rosja nie będzie prowadziła wojny przez następną zimę — bądź dlatego że rząd zapragnie zawrzeć oddzielny pokój, bądź też na skutek opuszczenia okopów przez żołnierzy.

Stan armii francuskiej był czynnikiem jeszcze bardziej niepokojącym.

ROZPRZĘŻENIE W ARMII FRANCUSKIEJ.

W dwa tygodnie po rozpoczęciu ofenzywy Nivelle'a napór atakujących wyraźnie osłabł. To pozwoliło Niemcom wzmocnić ich siły, powstrzymujące armię angielską, która atakowała w dalszym ciągu bez przerwy i z zaciekłością, pozbawioną — jak dziś wiemy — sensu. To co można było osiągnąć, osiągnięte już zostało od paru tygodni. Skoro Francuzi z takich czy innych względów postanowili osłabić napór swoich wojsk, powinni byli zawiadomić swoich sojuszników o tym zamiarze i jego motywach. Tłumaczy ich jednak chaos, jaki zapanował w istniejących planach, ustalonych w Chantilly i w Paryżu, po wielkim rozczarowaniu, spowodowanym ofenzywą Nivelle'a. Na usilne żądanie sir Douglasa Haiga udałem się wraz z nim i sir Wiliamem Robertsonem do Paryża, aby domagać się od Francuzów kontynuowania ataku na ich odcinku, dopóki my — zgodnie z planem francuskim — atakujemy na naszym. Odbyłem konferencję z ministrami francuskimi i z generałem Pétain, który zastąpił faktycznie Nivelle'a na czele armii francuskiej. Nie podawali oni żadnych motywów nagłego ustania wysiłków francuskich. Na wszystkie nasze wezwania, aby kontynuować wspólną ofenzywę, ministrowie odpowiadali potakująco. Pétain jednak był dziwnie wstrzemięźliwy. W czasie przerwy w obradach podszedł do mnie na korytarzu i powiedział tonem pół żartobliwym: „Pan pewno myśli, że ja nie mogę walczyć". Odpowiedziałem: „Nie, panie Generale, wobec Pana przeszłości nie popełniłbym takiej omyłki, ale jestem pewien że z jakichś powodów Pan nie chce walczyć". Pétain nic nie odpowiedział

— uśmiechnął się tylko dobrodusznie. Słowa moje malują wrażenie, jakie wywarła na mnie cała konferencja.

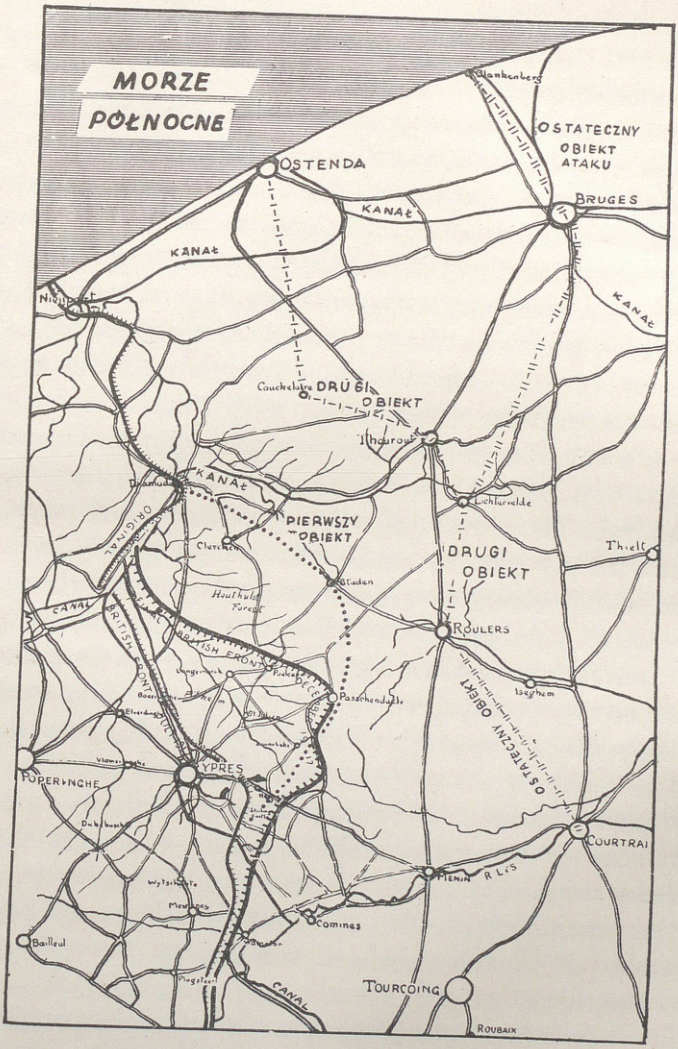
Co się tyczy stanu armii francuskiej, straszliwe naprężenie w jakim znajdowała się od trzech lat — ciągłe męczarnie, przekraczające wszelkie granice wytrzymałości ludzkiej — złamały w końcu dyscyplinę tej najświetniejszej armii, zorganizowanej przez jeden z najodważniejszych narodów na świecie. Żaden naród europejski nie miał tak długotrwałych walk w swojej historii; żaden też nie jest bardziej patriotyczny od Francuzów. Nie można więc było tłumaczyć nagłego załamania się armii francuskiej jakąś chwilową porażką czy upadkiem ducha. Po raz pierwszy od trzech lat w zwartym murze, jaki wznieśli Francuzi wobec swego strasznego wroga, odezwało się głuche pęknięcie. Nie było to tchórzostwo, lecz rozgoryczenie. Żołnierze francuscy oburzeni byli do żywego fatalnymi metodami dowództwa. Posyłano ich na śmierć — gdy szereg nieprzewidzianych okoliczności powinien był przemówić do rozsądku wodzów i powstrzymać ich od wydania rozkazów.

Prawdą jest, że w trakcie beznadziejnych ofenzyw Joffre'a straty francuskie były większe, a zyski — w postaci zdobytego terenu, liczby wziętych jeńców i dział — mniejsze; tym razem jednak pewne specjalne okoliczności wyróżniały doznaną porażkę z pośród wszystkich innych. Nastąpiła ona po całej serii niedorzecznych ofenzyw, przeprowadzanych w sposób zupełnie identyczny i odpieranych zawsze z tym samym rezultatem — istnej rzezi, dokonywanej przez Niemców wśród atakujących. Ci, którzy uszli z życiem z owych ataków, oraz nowopowołani żołnierze, zapewniani byli niejednokrotnie przez swoich dowódców, że plan Nivelle'a różni się zasadniczo od planów operacyj dawniejszych, które kończyły się bezpłodną masakrą ludzi w Artois, Szampanii i nad Sommą. To samo zapewnienie dawał lordowi Milnerowi i mnie Briand, gdy na konferencji w Rzymie namawiał nas do przyjęcia planu Nivelle'a. Briand twierdził, że — jak donosił mu generał Ni-

velle — Niemcy ponieśli już bardzo poważne straty i ich linie obronne są o wiele słabsze, niż były dawniej. Podkreślał, że charakter wojsk niemieckich uległ — w porównaniu z pierwszym okresem wojny — poważnej zmianie: dawniej były to istotnie „bataliony szturmowe", teraz zaś tylko nieznaczną część wojsk niemieckich możnaby tak nazwać. W tej sytuacji na większości odcinków nasz atak napotka na wojska pośledniejszego gatunku. Poza tym nowa ofenzywa będzie miała charakter zupełnie inny, niż wszystkie dotąd podejmowane. Tego rodzaju uroczyste zapewnienia dawał Nivelle i jego sztab — i wszyscy bardzo pragnęliśmy w to wierzyć. Żołnierze, którzy mieli ryzykować w ofenzywie własnym życiem, ufali całkowicie tym zapewnieniom, dodającym im otuchy.

Z chwilą jednak, gdy wojska wybiegły z własnych okopów, przekonały się że mają przejść dokładnie to samo, co przechodziły w zdyskredytowanych ofenzywach ostatnich paru lat: karabiny maszynowe, trzebiące i rozrywające ich szeregi ze stanowisk, nie dotkniętych ogniem artyleryjskim; kilka kilometrów zdobytej pustej przestrzeni, usianej ciałami zabitych i rannych towarzyszy; przerwanie frontu tak samo nieosiągalne jak dawniej — nieprzyjaciel zajmujący w dalszym ciągu niezdobyte pozycje. To samo było już za Joffre'a. Przyrzekano im kategorycznie, że więcej się nie powtórzy — i oto powtórzyło się znowu. Do tego trzeba dodać jeszcze fakt, że liczba strat — choć istotnie wielka — została tu jednak przesadzona w idących z frontu trwożnych wieściach, i że pomoc dla rannych była bardzo źle zorganizowana. Po załamaniu się natarcia wojska były oszołomione i niezadowolone, nie było jednak jawnej niesubordynacji. Stopniowo jednak do okopów dochodziły niepokojące wieści o warunkach, w jakich ofenzywa została przedsięwzięta. Stało się rzeczą wiadomą, że były na jej temat poważne różnice zdań wśród generałów; że niektórzy doświadczeni dowódcy byli jej zdecydowanie przeciwni i twierdzili, że w danych warunkach osiągnięcie powodzenia jest niemożliwe. Stało się wiadome również, że na

OPERACJE WE FLANDRII
w r. 1917



Początkowa linia frontu brytyjskiego (lipiec 1917)

Pierwszy obiekt ataku: Wyżyna Passchendaele-le-Staden

Drugi obiekt: Roulers-Thourout-Couckelaire-Ostenda

Trzeci obiekt: Bruges . . . . . .

Ostateczna linia frontu brytyjskiego (grudzień, 1917)

skutek przypadku czy zdrady plany operacji dostały się do rąk nieprzyjaciela, który miał czas poczynić przygotowania obronne, i że Naczelne Dowództwo wiedziało o tym dokładnie, a jednak domagało się z uporem przeprowadzenia operacyj, których szczegóły znane były wrogom — nie zmieniając przy tym zupełnie dyspozycyj taktycznych. Żołnierze mieli poczucie, że zostali zdradzeni i oszukani, a towarzysze ich wyrżnięci. Wśród generałów wrzały kłótnie, których odgłosy przenosiły się poprzez personel sztabów do żołnierzy w okopach. Gdy zaś do tych gwałtownych sporów wmieszali się politycy i koncepcje strategiczne rywalizujących ze sobą generałów stały się zagadnieniem politycznym — biedna piechota która padała bezpośrednio ofiarę błędów generalskich, uznała że ponieważ o nią tu przede wszystkim chodzi, ma ona również prawo wmieszać się do sporu i protestować po swojemu. W koszarach i obozach pojawiły się przybite do ścian kartki, w których żołnierze oświadczali, że nie chcą wrócić do okopów, kiedy ich towarzysze zarabiają po 15 i 20 franków dziennie, pracując bezpiecznie w fabrykach. Jeden z batalionów, mających odejść na front, odmówił wykonania rozkazu, i żołnierze rozbiegli się po lesie. Żołnierze jadący do domu na urlop śpiewali „Międzynarodówkę" w pociągach i domagali się pokoju. W 16 korpusach wybuchły bunty żołnierskie; buntownicy twierdzili, że padają ofiarą zdradzieckch albo nieudolnych generałów. 15000 Rosjan, walczących na froncie zachodnim, podniosło jawny bunt; trzeba było ognia artylerii aby zmusić ich do poddania się. Młodzi żołnierze piechoty przemaszerowali przez jedno z miast francuskich, becząc jak owce — dla pokazania, że pędzą ich, jak bydło na rzeź. Groźne objawy, które poprzedzały rewolucję rosyjską, a później niemiecką, pojawiły się w armii francuskiej w r. 1917.

Rząd francuski szybko i zręcznie poradził sobie z sytuacją, która — przy braku taktu z jego strony — mogła doprowadzić do zupełnego załamania wysiłku wojennego Francji. Generał Nivelle otrzymał dymisję, a na jego miejsce mianowany zo-

stał Wodzem Naczelnym generał Pétain, o którym wojsko wiedziało, że był przeciwnikiem znienawidzonej ofenzywy. Kroki, jakie przedsięwziął Pétain, aby uspokoić wrzenie i przywrócić dyscyplinę w armii francuskej, były pełne głębokiego rozumu. Występował szczerze wobec żołnierzy, rozmawiał z nimi, zapewniał ich, że nie będzie więcej „wielkich ofenzyw" w stylu Sommy i Chemin des Dames, i — apelując do ich patriotyzmu — wzywał, aby bronili całości i bezpieczeństwa kraju, który jest im drogi. Obiecał ulgi w sprawie urlopów i polepszenie warunków w obozach na tyłach, i przedsięwziął natychmiastowe kroki, aby obietnice zostały dotrzymane. Oddał też pod sąd wojenny niektórych przywódców buntu — ale wyroki śmierci zostały faktycznie wykonane tylko w stosunkowo nielicznych wypadkach. Tą drogą dyscyplina została przywrócona. Armia francuska, jak później dowiodła, była tak samo jak przed tym zdolna do obrony ziemi francuskiej przeciw atakom wroga — ale każdy obserwator widział jasno, że nie można liczyć na nią, przynajmniej przez czas jakiś, jeśli chodzi o jakąś zakrojoną na większą skalę ofenzywę przeciwko liniom niemieckim. Armia i naród francuski, ucierpiawszy tak dotkliwie na skutek gadulstwa i fanfaronady Naczelnego Dowództwa, oraz całej masy żołnierzy i cywilów, która za sprawą Naczelnego Dowództwa brała udział w omawianiu najpoufniejszych zagadnień — teraz narzuciły sobie wstrzemięźliwość i dyskrecję, dzięki którym udało się na jakiś czas ukryć owe niepokojące wydarzenia nie tylko przed wrogami, ale i przed przyjaciółmi. W ciągu pierwszych kilkunastu dni poza strefę wojskową francuską nie przedostały się żadne wieści o tym co się dzieje. Po jakimś czasie dopiero zawiadomiono naszą Kwaterę Główną. Niemcy nie wiedzieli o niczym przez całe tygodnie; gdyby doszły ich wtedy jakieś informacje — postaraliby się niewątpliwie wykorzystać sytuację dla powalenia swego najgroźniejszego pod względem wojskowym przeciwnika. Kiedy dowództwo niemieckie dowiedziało się wreszcie o zaburzeniach, zarządziło

szereg gwałtownych kontrataków na pozycje, zdobyte przez Francuzów, ale wtedy już dyscyplina, a w dużej mierze i *morale* wojsk francuskich były przywrócone w stopniu wystarczającym dla celów obronnych — i ataki Niemców zostały odparte z ciężkimi dla nich stratami.

Armia angielska reprezentowana była w Głównej Kwaterze francuskiej przez sir Henry Wilsona, z którym ministrowie angielscy nie byli w bezpośrednim kontakcie. Otrzymane przezeń wiadomości były starannie przesiewane w Ministerstwie Wojny, zanim dochodziły do gabinetu. Mówiono nam o francuskiej sytuacji militarnej tylko to, co uznano za wskazane nam powiedzieć. Ambasador nasz w Paryżu był chory, nie otrzymywaliśmy więc również dokładnych informacyj z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Kiedy widziałem się z Pétain'em w maju, nie powiedział mi nic o swoich kłopotach z wojskiem; ministrowie francuscy nie okazywali też najmniejszego zaniepokojenia w związku z nastrojem armii. Generałowie francuscy i angielscy mieli wzajem wobec siebie poczucie lojalności, które nie pozwalało im komunikować politykom danego kraju informacyj, jakich wojskowi tego kraju nie chcieli im udzielić. Słyszeliśmy echa rozmów, prowadzonych we wszystkich *estaminetach* francuskich — ale powiedziano nam, byśmy nie zwracali uwagi na te szkodliwe plotki.

Naczelne Dowództwo angielskie we Francji i w Londynie starannie utrzymywało uzyskane informacje przy sobie, i kiedy już sir Douglas Haig i sir William Robertson wiedzieli o istniejącym stanie rzeczy, pewien czas upłynął zanim wiadomości te doszły do ministrów angielskich; ale i wtedy nie orientowaliśmy się jeszcze w rozmiarach buntu. Dowództwo angielskie opatrywało znakiem zapytania informacje, otrzymane oficjalnie z Naczelnego Dowództwa francuskiego, ponieważ wraz z tymi informacjami otrzymało stamtąd oświadczenie, że nie należy liczyć na możliwość wielkich ofenzywnych operacyj armii francuskiej aż do roku 1918. Wobec tego nasi generałowie utrzymywali wobec nas, że Fran-

cuzi przesadzają rozmiary buntu, chcąc aż do przybycia wojsk amerykańskich przerzucić ciężar walki na Anglików, albo też skłonić armię angielską, aby zajęła większy odcinek frontu. Było to nielojalne i dość krzywdzące oskarżenie wobec ludzi, zasługujących na szacunek. Zarówno Foch jak Pétain byli ludźmi wielkiej uczciwości, odważnymi i prostolinijnymi pod każdym względem; obaj sprzeciwiali się zasadniczo ofenzywie we Flandrii, wypowiadali swój pogląd przed jej rozpoczęciem i w żadnym momencie nie udzielili jej swojej aprobaty.

Poza plotkami, ministrowie angielscy wiedzieli tylko tyle, że w armii francuskiej były jakieś nieporządki. Co wiedział sir Douglas Haig i sir Wiliam Robertson? Wiedzieli z pewnością że generał Pétain, Naczelny Wódz armii francuskiej, oraz generał Foch, główny doradca wojskowy rządu, po dokładnym rozważeniu wszystkich elementów sytuacji, doszli w sprawie strategii koalicyjnej na rok 1917 do wniosków całkowicie odmiennych od tych, jakie ustaliła konferencja w Chantilly, i byli obecnie zwolennikami czekania na armię amerykańską i ograniczenia się w międzyczasie na froncie zachodnim do akcyj ofenzywnych o ograniczonym zakresie. Jednakże Haig swym wystąpieniem na Komisji Wojennej gabinetu wywołał wrażenie, że Francuzi aprobują w dalszym ciągu wielką kampanię wzdłuż wybrzeży Flandrii — której przecież nie można było uważać za akcję o zakresie ograniczonym. A jednak opinia generałów francuskich była wręcz odwrotna — i nasi doradcy wojskowi wiedzieli o tym. Pod tym względem istniejące dokumenty nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Na czym polegał nowy plan, kategorycznie zdecydowany przez Naczelne Dowództwo francuskie z całkowitą aprobatą francuskiego rządu? Jest on wyłożony w interesującej książce Painlevé'go, ówczesnego ministra wojny, p. t. *„Comment j'ai nommé Foch et Pétain"*. Painlevé stara się przemilczeć zaburzenia w armii: patriotyczni Francuzi pragnęli zawsze zmazać ślady tej słabości, której uległ chwilowo niezłomny duch młodzieży francuskiej. Nie ma jednak powodów do tego rodzaju

wstrzemięźliwości. Armia, która obroniła Verdun przeciw atakom przeważającej artylerii niemieckiej i przez osiem miesięcy walczyła o utrzymanie w rękach francuskich każdego leju od granatu i każdego metra poszarpanego terenu, ma reputację zbyt ustaloną, aby mógł ją zachwiać usprawiedliwiony wybuch rozpaczy, spowodowany partactwem generałów, którzy nie umieli wykorzystać wartości swoich żołnierzy. Niezależnie od tego pozostaje faktem że głównym powodem, dla którego plany strategiczne zostały zmienione, było zupełne wyczerpanie nerwowe wojska; w ciągu najbliższych kilku miesięcy nie można było powierzać mu wykonania żadnego planu, który wymagałby dłuższego atakowania umocnień niemieckich we Francji.

Painlevé przypisuje zmianę koncepcyj strategicznych francuskiego Naczelnego Dowództwa trzem czynnikom: niepewnej sytuacji w Rosji — gdzie w najbliższym czasie groziło zupełne załamanie frontu; obietnicy Ameryki, że w lecie 1918 roku na froncie francuskim walczyć będzie milion żołnierzy amerykańskich (jak mówi Painlevé: „siły Rosji słabły, a Ameryka nie walczyła jeszcze po naszej stronie"); wreszcie — konieczności ulepszeń w wyekwipowaniu armii francuskiej przed rozpoczęciem nowego szturmu do niemieckiej fortecy.

Ten ostatni punkt, wskazujący na zmianę poglądów w wojskowych kołach francuskich w sprawie niezbędnych warunków skutecznej ofenzywy, jest szczególnie interesujący dziś, gdy dyskutuje się sprawy rozbrojenia. Interesował też specjalnie mnie, ponieważ ten rodzaj zaopatrzenia artyleryjskiego, jaki posiadała armia angielska, był moim dziełem: ja zwróciłem główną uwagę na działa cięższe, typu haubicy — podczas gdy Francuzi reprezentowali odmienny punkt widzenia.

Spóźnione porównanie sił armij, walczących na froncie zachodnim, pokazało Francuzom, że pod względem liczebności wojsk Koalicja miała tylko nieznaczną przewagę, pod

względem zaś ilości dział cięższego kalibru, samolotów bombowych i gazów trujących wyraźną przewagę mieli Niemcy.

Aż do bitwy pod Chemin des Dames, która potwierdziła jeszcze nauki Verdun, Francuzi produkowali o wiele za dużo amunicji, zwłaszcza mniejszych kalibrów, a za mało dział ciężkich. Zabawna próżność kazała im wznosić z niepotrzebnych w takiej ilości pocisków całe piramidy, których widok sprawiał wielką przyjemność komisjom parlamentarnym, lubującym się w ucztach statystycznych. Albert Thomas, który dobrze znał swoich komisyjnych kolegów, karmił ich olbrzymimi cyframi produkcji. Dzięki niemu każdy z nich stawał się miliarderem — jeśli chodziło o amunicję do dział polowych; ale kapłani słynnej *soixante-quinze* nie pozwalali Thomasowi na produkowanie dostatecznej liczby dział ciężkich i haubic, chociaż on osobiście byłby to chętnie robił. Produkcja tego rodzaju zmniejszyłaby ogólne cyfry produkcji, ale pod względem mocy zrównałaby artylerię francuską z niemiecką. O przewadze Niemców w tej dziedzinie dowództwo angielskie i francuskie bądź nie wiedziało, bądź też starannie ukrywało tę informację przed obu rządami. Czym wytłumaczyć to postępowanie? Czy tym, że dowódcy wojskowi nie uświadamiali sobie jeszcze dostatecznie, do jakiego stopnia wojna 1914—1918 r. była wojną mechanizmów? Czy może tym, że ludzie, posiadający swój „plan" i pragnący wprowadzić go w życie, skłonni są nie dostrzegać faktów, nie dających się pogodzić z jego wykonaniem — a ludzie ci wiedzieli, że stwierdzenie przewagi Niemców w dziedzinie artylerii wywołałoby odłożenie ofenzywy?

Joffre, w czasie bitwy nad Sommą, zwrócił uwagę na niedostateczną liczbę haubic w armii francuskiej, i po odwiedzeniu mnie we wrześniu 1916 r. w sztabie Cavana oświadczył, że pragnąłby otrzymać 50 nowych haubic sześciocalowych dla użycia ich na froncie francuskim. Była to jednak liczba zupełnie niewspółmierna do istotnych potrzeb.

Utrzymywano, że różnica w mocy artylerii ciężkiej

niemieckiej i francuskiej, stwierdzona w czasie bitwy pod Verdun, została potym wyrównana; badania jednak, przedsięwzięte po Chemin des Dames, ujawniły niepokojący fakt, że niemiecka artyleria ciężka ma w dalszym ciągu przewagę. To odkrycie osłabiło w pewnym stopniu ową tendencję do atakowania, która stanowiła główny rys strategii francuskiej. Zarówno Foch jak Pétain uważali teraz — według Painlevégo — „że wobec stanu armii byłoby niebezpiecznym szaleństwem próbować nowej generalnej ofenzywy w kilka miesięcy po próbie z 16-go kwietnia"; Francja — dodaje Painlevé znaczącą uwagę — „powinna być wdzięczna swoim dwum wielkim dowódcom, którzy swoim opanowaniem i cierpliwością uchronili armię francuską od losu, jakiemu uległy w r. 1918 armie Ludendorffa".

Według świadectwa Painlevégo, generałowie Foch i Pétain, po dokładnym rozważeniu wszystkich istotnych momentów sytuacji militarnej na początku lata 1917 roku, ustalili następujące wytyczne swojej strategii (cytuję słowa Painlevégo):

„Obiecany milion żołnierzy amerykańskich gwarantował nam zdecydowaną przewagę efektywów na dzień 1 lipca 1918 roku.

Wielki plan, dotyczący czterech działów produkcji wojennej, miał nam gwarantować na ten sam termin przewagę techniczną — mianowicie:

1. Produkcja samolotów myśliwskich oraz bombardujących, mająca zapewnić nam panowanie w powietrzu;

2. Produkcja dział ciężkiego kalibru, która miała podwoić posiadaną przez nas liczbę tych dział;

3. Zamówienie 2500 małych czołgów (oraz później dodatkowo jeszcze 500 czołgów): zamówienie to spowodowane zostało przez dalekowzroczność Pétaina, któ-

ry zdecydował się na nie wbrew opozycji wielu oficerów sztabowych;

4. Zamówienie olbrzymich ilości gazu trującego i pocisków dymnych, które miały tworzyć chmurę przed czołgami. Co do pocisków gazowych — Niemcy pokazali nam w czasie bitwy pod Verdun potężne i długotrwałe działanie pocisków z iperytem, wzmacniających ogromnie efekt zarówno przygotowania artyleryjskiego, jak obronnej akcji artylerii...

Program ten wynikał z bolesnych doświadczeń 16-go kwietnia i dążył do opanowania powietrza, do posiadania środków, umożliwiających niszczenie umocnień i schronów podziemnych, do zwalczania karabinów maszynowych przy pomocy czołgów, do dania nam możności podejmowania szybkiej kontrakcji w razie niespodziewanego ataku i t. d....“

Do tych zarządzeń, które Painlevé nazywa polityką militarną „na długą metę“, miały być dołączone zarządzenia gospodarcze, zmierzające do podziału posiadanych zapasów zboża między poszczególne państwa sojusznicze, do zaopatrzenia Francji w surowce mineralne oraz do stosowania „hermetycznej blokady“ wobec nieprzyjaciela. Miała być zwrócona uwaga na front na Bałkanach, który uznano za „decydujący czynnik zwycięstwa“. Generał Pétain proponował w maju wspólną ofenzywę we Włoszech, jako alternatywę wobec dalszego kontynuowania ofenzywy Nivelle'a; później koncepcja ta została zarzucona z powodów, które jeszcze omówię. Tezy militarne Focha i Pétaina przedłożone zostały komisji wojskowej Senatu, której przewodniczył Clemenceau. Po rozważeniu tez przez komisję, Clemenceau zreasumował jej poglądy w słowach: „Musimy więc utrzymać się na miejscu przez rok. Za rok we Francji będzie milion żołnierzy amerykańskich i wtedy możemy iść naprzód“. Clemenceau był zdecydowanie przeciwny ofenzywie we Flandrii; wobec tego jednak, że nasi

generałowie tak gorąco jej pragnęli, nie wtrącał się do tej sprawy. Tak więc Francuzi wyrzekli się wielkich ofenzyw i przyjęli strategię, która według obrazowego wyrażenia Henry Wilsona polegała na „przycupnięciu i pokazywaniu języka Niemcom" — aż do nadejścia wojsk amerykańskich.

Sir Henry Wilson był oficerem łącznikowym między Główną Kwaterą francuską i naszą. Szef Sztabu Generalnego Imperium przedstawił jego raport Komisji Wojennej gabinetu. W swoim pamiętniku Wilson przyznaje, że zostały mu zakomunikowane plany Pétaina i Focha, jak również poglądy obu generałów na projektowaną ofenzywę we Flandrii; w raporcie jednak, przygotowanym przezeń dla Komisji Wojennej gabinetu w porozumieniu z sir Douglas Haigiem, nie ma wzmianki o uzyskaniu tych ważnych informacyj. Według pamiętnika Wilsona, Foch był zdecydowanie przeciwny strategii Haiga we Flandrii. Generał Charteris, biograf Haiga, który był wówczas szefem wydziału wywiadowczego jego sztabu, podaje że zdaniem Pétaina należało na cały rok wyrzec się nadziei na przełamanie zachodniego frontu przeciwnika; „zarówno armia francuska jak angielska powinny ograniczyć swą działalność do niewielkich operacyj o ograniczonym znaczeniu" *). Poglądy te zostały ukryte przed gabinetem angielskim.

Gabinet otrzymał wszystkie fantastyczne raporty Charterisa, dotyczące strat Niemców i ich *morale*, rozbitych dywizyj niemieckich i odczuwanego przez nieprzyjaciela braku amunicji — słowem wszystkie wiadomości, mające świadczyć o stopniowym topnieniu siły niemieckiej: nie dowiedział się jednak nigdy o przytoczonych wyżej poglądach Pétaina. Zakomunikowano gabinetowi, że francuski dowódca zaaprobował plan operacyj we Flandrii; ukryto jednak fakt zasadniczy, znany naszemu dowództwu — że Foch i Pétain są przeciwnikami planu.

*) Gen. Charteris, „Field Marshall Earl Haig", s. 269.

Mimo przekonania, że ofenzywa we Flandrii jest posunięciem fałszywym, Pétain — gdy Haig upierał się przy swoim planie — dał mu w końcu swoją aprobatę; okazał lojalne poparcie w granicach, na jakie pozwalało mu poczucie obowiązku wobec własnej armii, osłabionej i wymagającej troskliwej opieki. Zgodził się więc przejąć mały odcinek frontu brytyjskiego i współdziałać w dwóch atakach mniejszego znaczenia pod Verdun i Chemin des Dames, a ostatecznie polecił nawet nielicznym oddziałom francuskim pod dowództwem generała Anthoine wziąć udział wraz z Anglikami w operacjach we Flandrii.

Naogół lokalne akcje ofnzywne, przedsiębrane przez Pétaina, dały bardzo dobre rezultaty. Były one niespodzianka dla Niemców i osiągały zamierzone cele. Nie zmierzały do przerwania frontu; miały charakter lokalny i stawiały sobie zadania lokalne; Niemcy ocenili słusznie ich charakter i nie ściągali żadnych większych rezerw dla kontrofenzywy na atakowanym odcinku frontu. Z wyjątkiem tych akcyj, cała walka na froncie zachodnim w ciągu roku 1917 sprowadzała się do rozpaczliwego pojedynku między Anglikami i Niemcami, w który Niemcy zaangażować musieli niemal wszystkie dywizje, jakimi na tym froncie rozporządzali. Front niemiecki nie został jednak przełamany, a atak angielski nie osiągnął nawet pierwszego ze swoich obiektów.

W początkach czerwca armia angielska we Francji otrzymała poglądową lekcję trudności, na jakie napotykał Pétain, chcąc przyjść jej z pomocą w wielkiej akcji ofenzywnej. Dowódcy francuski i angielski ustalili poprzednio, że kiedy generał Plumer będzie miał rozpocząć swój atak na grzbiet Messines, Francuzi — dla odciągnięcia uwagi i rezerw niemieckich — przedsięwezmą atak na którymś z odcinków swojego frontu. Operacja ta miała się rozpocząć 10-go czerwca; ale generał Debeney odbył konferencję z Haigiem, w trakcie której zawiadomił go, że na skutek niedostatecznej

morale wojsk francuskich akcja z ich strony musi być zaniechana.

Wilson, komentując tę decyzję, pisze w swym dzienniku pod datą 4-go czerwca:

> „Jest to potwierdzenie i podkreślenie wszystkiego, co mówiłem w ciągu ostatnich kilku tygodni; sądzę i mam nadzieję, że zlikwiduje to ostatecznie plany Haiga — zajęcia Ostendy i Zeebruge" *).

Dlaczegóż poglądy, wypowiadane przez Wilsona, jako oficera łącznikowego wobec jego zwierzchników „w ciągu ostatnich kilku tygodni", nie były nigdy zakomunikowane członkom rządu? I dlaczego zostały pominięte w raporcie, przygotowanym przezeń w porozumieniu z Haigiem i mającym na celu skłonić gabinet do przyjęcia planu, który Wilson — wraz z Fochem — uważał za „bezpłodny, fantastyczny i niebezpieczny"?

Wyjątek z owego raportu generała Wilsona pokaże, do jakiego stopnia pomniejszał on świadomie rozmiary buntu w armii francuskiej:

> „Stan armii jest w dalszym ciągu dobry, niezwykle dobry, jeśli wziąć pod uwagę wszystko co ta armia przeszła; są jednak tu i ówdzie oznaki niepokoju, które — *choć nie są jeszcze niczym poważnym* — wywołują we mnie pewną troskę o dalszą przyszłość..."

Nie ma w raporcie Wilsona ani słowa o buntach i rewolucyjnych demonstracjach. Czy nie były one poważne? Słyszeliśmy tylko od niezależnych obserwatorów niewyraźne pogłoski o zajściach w wojsku i o obietnicy Pétaina, danej żołnierzom, że nie będzie więcej ofenzyw takich jak w Szampanii, nad Sommą lub pod Chemin des Dames.

*) Sir C. E. Callwell, „Field Marshall sir Henry Wilson", t. I., s. 359.

W swoim raporcie Wilson pisze w dalszym ciągu:

„Komisja otrzymała informacje o poważnym nieposłuszeństwie w jednym z pułków armii francuskiej, choć o ile wiemy generał Pétain jest pewien, że sytuację opanował. Najbardziej jednak niepokojącym objawem osłabienia armii francuskiej jest fakt, że generał Pétain zmuszony był wbrew swym intencjom odwołać operację ofenzywną, jaką przed tym zgodził się przeprowadzić w połączeniu z atakiem angielskim na wyżynę Messines..."

Słowa te nie mogły dać nam żadnego pojęcia o rozmiarach i charakterze zaburzeń — o tym na przykład, że objęte nimi było 16 korpusów armii.

„Każdy, kto obserwuje dzisiejszą armię francuską— mam na myśli młodych żołnierzy, tych z których składają się głównie efektywy walczące — musi stwierdzić, że jej znakomita wartość bojowa uległa obniżeniu w porównaniu z jesienią ubiegłego roku..."

Twierdzi jednak, że istotne powody słabości tkwią nie tyle w samej armii, co w nastrojach na tyłach:

„Załamanie się Rosji jest dla Francji potężnym ciosem. Od wielu lat przed wojną Francja pokładała w Rosji wielkie nadzieje, pożyczała jej wielkie sumy, aby uczynić ją zdolną do wojny — i dlatego upadek Rosji podziałał na Francję o wiele silniej, niż na nas...

Francja jest zmęczona; kraj rządzony jest przez grupę ludzi, w której moim zdaniem nie ma ani jednego człowieka o wybitnych zdolnościach, o szerszych i sięgających dalej poglądach, charakteryzujących prawdziwego męża stanu, ani jednego człowieka, który posiadałby dostateczny autorytet i prestiż osobisty w skali ogólnonarodowej.

Wieśniaczki francuskie — istotna podpora kraju — są zmęczone wojną. Boją się dalszych ciężkich strat, boją się większych podatków; nie mogą uprawiać swoich ferm i prowadzić swoich małych przedsiębiorstw, tak jak mogły w pierwszych trzech latach wojny, częściowo dlatego że są zmęczone i zniechęcone, a częściowo wobec tego, że rąk roboczych jest coraz mniej, a o pieniądze coraz trudniej...

Krótko mówiąc, Francja zaczyna upadać na duchu. Wiemy, że jeśli my wraz z Amerykanami potrafimy odpowiednio ją traktować, kraj wytrzyma jeszcze wojnę aż do zwycięskiego końca, a w pomyślniejszym okresie będzie jeszcze zdolny do wyczynów wojennych, których w tej chwili nie jest absolutnie w stanie przedsięwziąć. Stan Francji, choć bynajmniej nie rozpaczliwy, jest jednak poważny; zasługuje ona na najdalej idącą sympatię i na wszelką możliwą pomoc, i musi ją otrzymać..." *)

Wilson przytoczył te fakty nie po to, aby okazać Komisji Wojennej gabinetu bezpłodność ofenzywy we Flandrii bez aktywnego poparcia ze strony Francuzów, lecz tylko dla przekonania nas, że dla utrzymania Francji w obozie wojennym Koalicji konieczne są jakieś wielkie nasze sukcesy militarne. Nie czyni jednak żadnej wzmianki o tym, że jego zdaniem sukcesy takie nie dadzą się osiągnąć na drodze proponowanej przez Haiga, i starannie przemilcza przekonanie dowódców francuskich, że plan Haiga skazany jest na niepowodzenie. Nie ulega wątpliwości, że raport Wilsona sporządzony był — w porozumieniu ze sztabem angielskim — w celu przekonania Komisji Wojennej, że należy wykonać plan wielkiej kampanii na północy, opracowany przez naszą Kwaterę Główną, mimo zmienionej pod wielu względami sytuacji. Raport był tak zręcznie sformułowany, że komunikował nam tylko tyle.

*) Raport złożony Szefowi Sztabu Gen. Imperium, z d. 6 lipca 1917 r.

ile trzeba było, aby usprawiedliwić ogólnie przedsięwzięcie silnej akcji ofenzywnej przez armię angielską — nie podając przy tym żadnych faktów, które mogłyby skłonić nas do odrzucenia projektu ofenzywy we Flandrii.

Jakże to się stało że ten wybitny żołnierz, którego specjalnym obowiązkiem było zbieranie informacyj o wszelkich posunięciach, nastrojach i warunkach w armii francuskiej, mogących mieć wpływ na naszą akcję wojnną, uznał za wskazane, nie bacząc na swoje wysoce odpowiedzialne stanowisko, ukryć przed rządem — w przededniu powzięcia przezeń ważnej decyzji — zasadnicze fakty, które zostały mu zakomunikowane, jako oficerowi łącznikowemu armii angielskiej? Biograf Wilsona opowiada o wydarzeniach, które poprzedzały ostateczne zredagowanie przezeń raportu dla Komisji Wojennej gabinetu.

Po drodze do Anglii Wilson zaproszony został do Blondecques, gdzie była główna kwatera Haiga. Zanim się tam znalazł, „miał pewne wątpliwości": „odczuwał niepokój co do wyników sporu". Jak się zdaje jednak, jego niepokój wewnętrzny minął za sprawą Haiga. Wilson pisze:

> „Był dla mnie nadzwyczaj miły, prosił abym wyzyskał do czegoś moją „pierwszorzędną głowę" i oświadczył, że w jego sztabie znajdzie się dla mnie zawsze łóżko i gościnne przyjęcie".

Wilson napomknął wtedy, że rozgląda się za jakimś przydziałem. Haig odpowiedział

> „że wie o tym, że ufa mi całkowicie, że byłem dlań człowiekiem nieocenionym i tak dalej. Z tym rozstaliśmy się".

Tak mówił Haig, który — jak wszyscy wiedzieliśmy — traktował Wilsona z największą nieufnością.

Usunąwszy tego rodzaju sposobami wątpliwości Wilsona, Haig opowiedział mu, że gabinet sprzeciwia się planowanej przez Kwaterę Główną ofenzywie we Flandrii i prosił o poparcie tych planów wobec Komisji Wojennej w Londynie.

Jak pisze cytowany biograf, Wilson wrócił po tej rozmowie do Anglii z przeświadczeniem, że włożony nań został specjalny obowiązek w stosunku do projektu wielkiej ofenzywy, którą miał przedsięwziąć brytyjski korpus ekspedycyjny. Rezultaty tej niebezinteresownej wizyty w Głównej Kwaterze angielskiej znalazły swój wyraz w raporcie Wilsona; wywiązał się on ze swego obowiązku w ten sposób, że zatuszował niektóre fakty, pominął zaś zupełnie te, które mogły przestraszyć Komisję Wojenną i skłonić ją do przeciwstawienia się planowi ataku. Dodać trzeba przy tym, że w przekonaniu samego Wilsona atak musiał skończyć się niepowodzeniem.

Tak więc, chociaż poglądy Francuzów zakomunikowane zostały naszym dowódcom — ci ostatni nie poinformowali o nich rządu.

PRZYGOTOWANIA DO OFENZYWY. OBRADY RZĄDU.

W maju sir Douglas Haig przedsięwziął lokalną akcję ofenzywną, mającą na celu zdobycie wyżyny Messines. Nazywał to pierwszą fazą swojej operacii. Cała operacja miała być przeprowadzona dopiero „w kilka tygodni później; nie zostanie wogóle rozpoczęta, jeśli w danej chwili nie będą istniały dostatecznie pomyślne warunki".

Atak na Messines powierzony został generałowi Plumer, który przygotował go, jak wszystko co robił: starannie, gruntownie i ostrożnie. Sam pomysł ataku — jak już zaznaczyłem — wyszedł od niego. Cały teren został dokładnie zbadany; sporządzono odpowiednie mapy. Badania te przeprowadzone były pod kierunkiem generała Haringtona, jednego z najwybitniejszych oficerów sztabowych Wielkiej Wojny. Można śmiało powiedzieć, że gdyby Harington był w Kwaterze Głównej — bitwa pod Passchendaele nie stałaby się nigdy jedną z największych okropności, jakie zna historia. Jedną z okoliczności, które specjalnie wyróżniały atak na Messines, było staranne podminowanie wysuniętych pozycyj nieprzyjacielskich: całymi miesiącami kompanie żołnierzy podkopywały się pod te pozycje. Nic nie było zdane na łaskę losu. Plumer wierzył nie tylko w możliwość skutecznego zaatakowania wyżyny Messines, ale widział również wyraźną korzyść dla wojsk, zgromadzonych w Ypres, ze zdobycia wyniosłości na prawym skrzydle, z której artyleria niemiecka obrzucała codzień śmiercionośnymi pociskami nasze okopy i linie komunikacyjne, znajdujące się całkowicie pod obserwacją nieprzyjaciela.

Plumer chciał jednak traktować ten atak jako operację izolowaną, a nie jako część ogólnej ofenzywy na terenie Flandrii. Ofenzywie tej był przeciwny, chociaż Komisja Wojenna gabinetu nie została poinformowana o jego stanowisku. Z motywów, które w świetle wypadków okazały się słuszne, nie wierzył w możliwość przeprowadzenia ataku na wielką skalę w danym rejonie i w danym czasie. Chociaż później przeprowadził powierzoną mu część operacji, mającej na celu zajęcie linii Passchendaele—Staden, zręcznie i z powodzeniem, w dalszym ciągu uważał całą kampanię za nierozsądną; co więcej — im bardziej dokładnie poznawał teren, tym głębsza była jego niechęć wobec całego planu. Kiedy w listopadzie spotkałem go w Paryżu, jadącego do Włoch, aby objąć dowództwo nad armią angielską na tym froncie, był zachwycony że się wydostał z tego „okropnego błota". Atak na Messines miał jego zdaniem zupełnie inny charakter. Operacja dawała armii angelskiej w tym rejonie poważne korzyści taktyczne: była to operacja ratownicza, gdyż występ frontu wokół Ypres stał się po prostu śmiertelną pułapką dla armii angielskiej. Ponadto, wyżynę można było całkowicie zająć w rezultacie jednego ataku, a straty — poważnie zmniejszyć dzięki elementowi zaskoczenia, jakim był wybuch min pod okopami niemieckimi.

Atak na Messines skończył się zdecydowanym zwycięstwem, zwycięstwem bez żadnych zastrzeżeń. Obiekty — prawdziwe obiekty ataku — zostały wszystkie osiągnięte aż do ostatniej ruiny i ostatniego schronu betonowego z karabinami maszynowymi. Straty były stosunkowo nieznaczne. Operacja przeprowadzona była z wielką zręcznością i precyzją, i Plumerowi wraz z jego sztabem należy się wielkie uznanie za jej obmyślenie i wykonanie.

Wkrótce po tym zwycięstwie, Wódz Naczelny przedłożył gabinetowi po raz pierwszy całkowity plan wielkiej ofensywy. 8-go czerwca 1917 roku gabinet wyłonił specjalną komisję do rozpatrzenia posunięć wojennych na wszystkich frontach — na lądzie i na morzu. Komisja składała się z lorda Curzona.

lorda Milnera i generała Smutsa, pod moim przewodnictwem jako premiera. Aż do owej chwili projekt ofenzywy we Flandrii nie był przedstawiony rządowi ani przez Szefa Sztabu Imperialnego, ani przez Naczelnego Wodza. Wiadomo było, że Kwatera Główna rozważa projekt tego rodzaju, ale — według słów naczelnego Wodza — projekt nie miał być wprowadzony w życie „jeśli w danej chwili nie będą istniały dostatecznie pomyślne warunki".

19-go czerwca komisja zebrała się dla przedyskutowania całej sprawy. Sir Douglas Haig został sprowadzony, aby mógł zreferować swoje plany; sir Wiliam Robertson był również obecny, jako Szef Sztabu Generalnego Imperium.

Jak stwierdza protokół posiedzenia, komisja rozpatrywała mapę, którą sir Douglas Haig przywiózł ze sobą i przy pomocy której wyłożył swój plan ze wszystkimi szczegółami.

Cytuję niżej zarys tego planu, sporządzony przez Haiga i rozesłany przez niego wszystkim dowódcom armij. Aby umożliwić czytelnikowi zorientowanie się w poszczególnych fazach projektowanej ofenzywy, załączam mapę, sporządzoną na zasadzie dyspozycji Haiga. Oto zarys planu w sformułowaniu Kwatery Głównej:

„1. Sytuacja ogólna sprzyja obecnie osiągnięciu poważnych rezultatów w akcji, którą mamy przedsięwziąć.

Rosja rozpoczęła znów operacje aktywne, podjęte naiwidoczniej na dużą skalę i uwieńczone doskonałymi wynikami. Jak donoszą, efekt odniesionych sukcesów i ich wpływ na ludność jest tego rodzaju, że po armii rosyjskiej można się spodziewać jeszcze większych, długotrwałych wysiłków.

Przed tą ofenzywą rosyjską wytrzymałość i cierpliwość mocarstw centralnych i ich sojuszników opierała się na trzech głównych czynnikach: na nadziei, że Rosja zawrze pokój, albo przynajmniej zachowywać się będzie biernie, na zaufaniu do armii niemieckiej, że potrafi utrzymać swoje „niezdobyte" pozycje, i wreszcie na przekonaniu, że Anglia zostanie zagłodzona i zmuszona do poddania się, zanim wojska

Stanów Zjednoczonych przybędą na front w dostatecznej ilości.

Wiemy, że wkrótce Niemcy będą musieli porzucić zupełnie swoją wiarę w kampanię podwodną. Przekonanie o tym, że armia niemiecka jest niezwyciężona, zostało już tak poważnie zachwiane, że nie może już ono przeżyć wielu nowych porażek. Teraz zaś rozwiała się też nadzieja na bierność armii rosyjskiej.

W chwili, kiedy silne ataki niemieckie na froncie francuskim załamały się i kiedy nieprzyjaciel oczekuje z poważnym niepokojem wznowienia ofenzywy przez Anglików, jak również możliwych nowych ataków ze strony Francuzów i Włochów — to nagłe podjęcie niebezpiecznej ofenzywy na froncie wschodnim jest dla Niemców poważnym ciosem.

Mieliśmy prawo spodziewać się powodzenia naszej najbliższej ofenzywy — z możliwością osiągnięcia przy jej pomocy rezultatów niezwykle doniosłych — nawet wówczas, gdy nie posiadaliśmy jeszcze tego przekonywającego dowodu, że Rosja chce i może spełnić do końca swój obowiązek wobec sojuszników. Tym bardziej nadzieja ta jest usprawiedliwiona obecnie, i musimy ułożyć nasze plany tak, aby wyzyskać całkowicie możliwości sytuacji.

Mając to na widoku, wydaje się następujące instrukcje, potwierdzające i rozszerzające polecenia, wydane dawniej dowódcom armij:

2. Armia piąta, wspomagana na prawym skrzydle przez armię drugą i współdziałająca na lewym z oddziałami francuskimi i belgijskimi, *ma najprzód zająć wyżynę Passchendaele-Staden*. Zepchnięcie nieprzyjaciela z tej wyżyny od Zamku Stirling na południu aż do Dixmude na północy* wymagać będzie zapewne zaciętych walk, które trwać mogą przez całe tygodnie; ale w rezultacie tych walk możemy mieć nadzieję, że dalsze postępy będą szybsze.

*) Patrz załączoną mapę.

3. Z zastrzeżeniem zmian, jakich wymagać może rozwój sytuacji. *następny wysiłek* piątej armii, wraz z oddziałami francuskimi i belgijskimi — *po zajęciu wyżej wymienionej wyżyny* — skierowany będzie na północno - wschód, celem zajęcia *(w przybliżeniu) linii Thourout - Couckelaere.*

4. Jednocześnie z posunięciem się w kierunku linii Thourout-Couckelaere armia czwarta, współdziałając z siłami morskimi, zaatakuje nieprzyjaciela w okolicy Nieuportu i na wybrzeżu na wschód od tej miejscowości.

5. Czwarta armia oraz siły, atakujące linię Thourout-Couckelaere, złączą się *następnie* na całej liniii *Thourout-Ostenda i atakować będą w kierunku Bruges.*

6. Niezbędne będą operacje w kierunku wschodnim, oraz w kierunku Lichtervelde, przedsiębrane z wyżyny Paschendaele-Staden, aby zabezpieczyć prawe skrzydło atakujące na Thourout; ważne będzie również później *posiadanie wzniesienia między Thourout i Roulers* dla zabezpieczenia *skrzydła ataku na Bruges.*

7. W operacjach, które nastąpią po zajęciu wyżyny Paschendaele - Staden, możliwe będzie prawdopodobnie użycie dużych mas kawalerii.

8. Druga armia będzie osłaniać prawe skrzydło piątej armii i współdziałać z nią zgodnie z wyżej podanymi dyspozycjami, oraz przygotuje się do stopniowego przejęcia od piątej armii obrony głównej wynosłości — możliwe że aż do Paschendaele, albo nawet do dalej położonego punktu.

Dowódca *drugiej armii* przygotuje również plany natarcia w kierunku linii Warneton-Menin, lub też — na prawo od armii piątej — *ku linii Courtrai-Roulers* (wysuwając na skrzydle zabezpieczenie wzdłuż rzeki Lys), jeżeli istniejące okoliczności uczynią tego rodzaju operację pożądaną.

9. O ile można przewidzieć obecnie główne operacje po zajęciu wyżyny Zamek Striling Passchendaele Dixmude skierowane będą ku Ostendzie i Bruges.

Wobec tego wszystkie nasze efektywy — do najdalszych

granic — użyte będą do tych operacyj; i jeżeli będzie to usprawiedliwione stopniem osiągniętego powodzenia, musimy przygotować się do zredukowania obsady naszych linij na pozostałych odcinkach do samych tylko placówek z rezerwami, ześrodkowanymi w paru punktach.

Dowódcy armij, stojących na południe od rzeki Lys, przygotują wobec tego plany wydzielenia z ich armij największych możliwie sił dla zapewnienia sukcesu głównym operacjom. Plany te powinny przewidywać, w miarę rozwoju sytuacji, stopniowe wydzielanie i kierowanie wojsk na północ.

Jednocześnie na froncie, na którym ograniczymy się do obrony, rozwiniemy możliwie największą aktywność, aby związać siły nieprzyjaciela, nie pozwolić mu zorientować się co do miejsca ataku i zapobiec w ten sposób przerzuceniu jakichkolwiek jego sił z tej części frontu.

10. Powyższy zarys możliwych operacyj sporządzony jest po to, aby dowódcy armij mogli przewidzieć i przygotować swoje ewentualne posunięcia. Przebieg wypadków może powodować od czasu do czasu modyfikacje czy zmiany w planie; wobec zaś stosunkowo krótkiego okresu dobrej pogody, na jaki możemy liczyć, nasze postępy przed nadejściem zimy mogą być mniejsze niż te, jakie moglibyśmy zasadniczo osiągnąć w tym roku.

Sytuacja ogólna jest jednak tego rodzaju, że stopień osiągniętego powodzenia i jego rezultaty mogą przewyższyć ogólne oczekiwania; musimy być przygotowani do wydarzeń o wielkiej doniosłości i do pełnego wyzyskania ich.

11. Stopień osiągniętego sukcesu zależeć będzie w poważnej mierze od koncentracji i ciągłości wysiłków w odpowiednim czasie i miejscu; niezbędna zaś koncentracja musi być osiągnięta przez śmiałe zredukowanie sił w innych punktach i przez wydanie zarządzeń, w których wyniku każdy żołnierz zdolny do noszenia broni zajmie miejsce w szeregu. Dowódcy armij upewnią się, że w ciągu nadchodzącej ofenzywy żaden żołnierz, który może zająć miejsce w szeregu, nie

będzie użyty w inny sposób bez jakichś wyjątkowo ważnych i zniewalających motywów.

12. Rezerwy, przeznaczone do uzupełnienia powstałych w szeregach luk, będą liczebnie bardzo ograniczone, i w czekającej nas wielkiej walce jest rzeczą zasadniczej wagi, abyśmy — nie osłabiając w najmniejszym stopniu intensywności i ciągłości naszych wysiłków — oszczędzali jednocześnie energię oficerów i żołnierzy, niezbędną do osiągnięcia decydującej przewagi nad wrogiem. W tym celu musimy wyzyskać do ostatecznych granic wszystkie środki ataku i obrony, jakimi rozporządzamy. Wszelki zdobyty teren musi być utrzymany — przy pomocy samych bagnetów, jeśli nie można uzyskać pomocy innych broni. W atakach — szczególnie w początkowych atakach — każdy krok musi być gruntownie przygotowany i zorganizowany. Każde posunięcie się naprzód musi być przeprowadzone metodycznie, ale jednocześnie z należytą energią, przy całkowitym współdziałaniu i poparciu operujących wojsk. Należy przeciwdziałać tendencji izolowanych oddziałów do parcia naprzód poza linię, na której mogą liczyć na poparcie. Tendencja ta, wynikająca z najpiękniejszych motywów, ma wielką wartość, jeśli zostaje opanowana i wyzyskana w sposób należyty, jeżeli natomiast stosowana jest bez kontroli i w nieodpowiednim kierunku — powoduje straty wśród najdzielniejszych oficerów i żołnierzy, nie dając żadnych korzyści, którymi te straty byłyby okupione.

Przeprowadzając nasze operacje w myśl powyższych zasad, stosowanych niejednokrotnie z takim powodzeniem w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, możemy w najbliższej przyszłości oczekiwać ze spokojem jeszcze większych sukcesów".

Trzeba podkreślić, że nie chodziło w tej ofenzywie o zdobycie wsi Passchendaele: tego rodzaju posunięcie samo przez się pogorszyłoby tylko sytuację armii angielskiej, tworząc nowy i jeszcze węższy występ frontu zamiast tego, który kosztował nas już tak drogo pod Ypres. Nie chodziło tu nawet

o zdobycie całej wyniosłości wokół Passchendaele, od Messines do Dixmude. Wyżyna ta była tylko „pierwszym obiektem" ataku, po czym nastąpić miała okazja do użycia „mas kawalerii"; mieliśmy wówczas ruszyć na zdobycie Roulers i Thourout oraz wyżyny czy wyżyn między nimi położonych — i w rezultacie armia angielska przysunęłaby się niemal aż do morza. Na prawym skrzydle mieliśmy iść aż do Courtrai. Potem nastąpić miał, od Thourout i Nieuport, ruch dośrodkowy wzdłuż wybrzeża w kierunku Ostendy. Ale i to nie było celem ostatecznym — gdyż po zajęciu Ostendy nasze zwycięskie wojska miały zdobyć Bruges, a potem iść jeszcze dalej ku jeszcze większym obiektom. Projekt zawierał nie tylko aluzję, ale wyraźną wskazówkę, że osiągnięte powodzenie może przekraczać powszechne oczekiwania i że musimy być przygotowani do jeszcze większych wydarzeń.

Wzmianka o „masach kawalerii" świadczyła, że przewiduje się bezładny i całkowity odwrót rozbitego wroga. Gdzież odwrót taki miał się zatrzymać?

Kiedy sir Douglas Haig wykładał swój projekt cywilom, rozłożył na stole wielką mapę i w sposób dramatyczny, ilustrując rzecz obiema rękami, pokazywał jak będzie pędził przed sobą wroga: po powierzchni mapy poruszała się najprzód niepowstrzymanym ruchem prawa ręka, potem dołączyła się lewa, której mały palec dochodził w końcu do granicy niemieckiej — z paznogciem sięgającym po przez linię graniczną. Musiał być w świetnym nastroju, kiedy wyjaśniał ten gigantyczny „ordre de bataille" generałom, którzy dowodzili razem półtoramilionowym wojskiem — kwiatem młodzieży imperium brytyjskiego.

Komisja wojenna została następnie zamieniona na wieżę powietrzną, zbudowaną w ciągu ubiegłych sześciu miesięcy przez pracowitą fantazję Kwatery Głównej, aby móc oglądać stamtąd dramatyczny przebieg wypadków. Nic dziwnego że niektórzy z nas, porwani zachwycającym widokiem jaki roztaczał się przed naszymi oczami, zatracili swe zdolności kry-

tyczne. Bonar Law, lord Milner i ja pozostawaliśmy w dalszym ciągu sceptykami.

Wydając sąd o sprawach tego ambitnego ale nierozumnego przedsięwzięcia trzeba pamiętać, że Kwatera Główna znała wszystkie istotne czynniki sytuacji, zanim jeszcze przystąpiła do układania swoich planów. Teraz zdajemy sobie wszyscy sprawę z szaleństwa tego projektu — kiedy bierzemy pod uwagę wszystkie znane nam fakty: a fakty te były już znane w owej chwili Kwaterze Głównej. Najważniejsze jednak z nich ukryte zostały przed członkami gabinetu.

Jestem w posiadaniu notatek, streszczających dyskusje na komisji, oraz zaprotokułowanych oświadczeń moich przy końcu obrad*). Mam również kopię memoriału, który przedłożyłem w trakcie obrad Robertsonowi i Haigowi, i kopie ich odpowiedzi. Wódz Naczelny opierał swoją obronę projektu na następujących rozważaniach.

Przede wszystkim zapewniał nas, że nie miała to być operacja izolowana, w trakcie której całe brzemię natarcia na pozycje niemieckie na Zachodzie ponosiłaby armia angielska. Zaczął obrady od stwierdzenia, że zarówno Francuzi jak Belgowie aprobują projekt i obiecali istotne współdziałanie z nami. Kiedy podnoszono, że wobec stanu armii francuskiej jest rzeczą nieprawdopodobną, aby mogła ona przedsięwziąć ofenzywę w takiej skali, która uniemożliwiłaby Niemcom przerzucanie dywizyj z francuskiego frontu na nasz, Haig odpowiedział, że — jak miał go zapewnić Pétain — ofenzywa francuska zapobiegnie właśnie tej ewentualności.

Następnie Haig kładł wielki nacisk na „wyczerpanie" armii niemieckiej i upadek jej *morale*.

Armię niemiecką poddał dokładniej analizie. Jego zdaniem, Niemcy mieli w rezerwie tylko 13 dywizyj „świeżych", a 35 „zużytych". Ich linie komunikacyjne ustępowały naszym.

*) Mam nadzieję, że dosłowny protokuł dyskusji zostanie kiedyś ogłoszony.

Duch ich wojsk poważnie się obniżył. Na dowód tego twierdzenia odczytał następujący wyjątek z raportu:

„*Morale:* Oto są wrażenia pewnego Amerykanina, członka amerykańskiego komitetu pomocy, który wyjechał z Belgii w maju:

Morale żołnierzy niemieckich jest zła; zdają sobie sprawę, że są pobici, żyją jednak nadzieją, że coś stanie się nagle, co uchroni ich przed katastrofą.

W ostatnich czasach umundurowanie i wyekwipowanie wojsk niemieckich pogorszyło się znacznie; nie mają już swego dawniejszego eleganckiego wyglądu.

Racje wojsk, nie znajdujących się na linii bojowej, zostały poważnie zredukowane, co powoduje liczne zażalenia.

Środki transportu są bardzo zużyte.

Nastrój cywilnej ludności belgijskiej jest świetny".

Jako na dalsze potwierdzenie swojej tezy o niskiej *morale* wojsk niemieckich Haig powołał się na to, że pod Messines Niemcy spodziewali się naszego ataku i poczynili wszelkie przygotowania obronne, a pomimo to zostali kompletnie pobici.

Kiedy wskazywano Haigowi, że według informacyj Ministerstwa Wojny Niemcy mają na całym froncie zachodnim przewagę jeżeli chodzi o artylerię, zwłaszcza artylerię cięższych kalibrów, mającą największe znaczenie w tego rodzaju walkach — Haig utrzymywał w odpowiedzi, że Niemcy odczuwają brak amunicji, a armaty ich działają brdzo niedokładnie. Sir Wiliam Robertson poparł go twierdząc, że jego zdaniem informacje Wydziału Wywiadowczego Ministerstwa Wojny co do artylerii niemieckiej są przesadzone. Kiedy komisja wyraziła obawę, że tego rodzaju wielkie operacje pociągną za sobą prawdopodobnie ciężkie straty, które wobec

naszych ograniczonych rezerw ludzkich trudno nam będzie wyrównać — Wódz Naczelny odpowiedział, że nie widzi podstaw do takich obaw. Zwracał uwagę na to, jak niewielkie straty ponieśliśmy przy zdobywaniu wyniosłości Messines i Rimy, i podkreślił że w tym odstatnim wypadku przeniknęliśmy daleko wgłąb linij niemieckich w ciągu jednego tylko dnia, ponosząc małe stosunkowo straty. Jedna z atakujących dywizyj, jak twierdził, posunęła się o pięć mil wgłąb frontu niemieckiego. Jeśli projektowany atak byłby równie skuteczny, pozwoliłoby to osiągnąć nasz pierwszy obiekt — część wyżyny Passchendaele — w ciągu jednego dnia bez żadnych poważniejszych strat.

Co do efektywów, amunicji i dział, sir Wiliam Robertson nie przewidywał żadnych trudności. Sądził, że będzie mógł wysłać na front 150.000 żołnierzy dla skompletowania efektywów armii we Francji (co wymagało 20.000 do 30000 ludzi) i *dla wyrównania strat, jakie poniesiemy w trakcie ataku.* Wyśle również 67-ą dywizję. Robertson uważał, że sytuacja jest dostatecznie pomyślna i usprawiedliwia podjęcie operacyj w sposób, proponowany przez Naczelnego Wodza.

Co do oczekiwanych rezultatów natarcia, Wódz Naczelny powiedział komisji zupełnie wyraźnie, że przewiduje nie tylko zdobycie wyżyny Passchendaele, ale — w ostatecznym wyniku ofenzywy — również uwolnienie od nieprzyjaciela wybrzeży flamandzkich.

Admirał Jellicoe został sprowadzony, aby potwierdzić nieuchronną konieczność uwolnienia wybrzeża przed zimą: Jellicoe oświadczył kategorycznie, że jeśli tego nie zrobimy, sytuacja stanie się nieznośna; jeżeli jeszcze tego roku nie usuniemy Niemców z Zeebruge, w roku następnym nie będziemy już mogli prowadzić wojny wobec braku okrętów. Z oburzeniem wystąpiłem przeciw temu zdumiewającemu i kategorycznemu oświadczeniu, ale Dowódca Floty podtrzymał swoją opinię.

Zakończyłem dyskusję na tym posiedzeniu, apelując do Robertsona i Haiga, aby uświadomili sobie nasze trudności w dziedzinie rezerw ludzkich:

„Musimy już teraz wyłuskiwać ludzi z fabryk amunicyjnych, kopalni i ferm rolnych, oraz z pośród tych, którzy zostali początkowo odrzuceni ze względów zdrowotnych. Wzburzenie w masach przeciw tym posunięciom jest coraz silniejsze. Pragniemy jak najusilniej okazać poparcie sir Douglasowi, zwłaszcza wobec jego świetnych zwycięstw pod Vimy i Messines, ale nie chciałbym aby nasza armia wciągnięta została do jakichkolwiek operacyj militarnych, zanim będzie do nich przygotowana; wywołałoby to w kraju poważny niepokój wobec powoływania nowych ludzi, a tego nie warto ryzykować, jeśli ma nas spotkać niepowodzenie. W tej chwili my dźwigamy cały ciężar wojny, bo Ameryka nie jest jeszcze gotowa do odegrania swojej roli, i wolałbym zachować nasze siły do następnego roku. Chociaż rozumiem całkowicie punkt widzenia sir Douglasa Haiga, komisja musi zastanowić się czy nie byłoby lepiej powstrzymać się od ofenzywy aż do chwili, kiedy pod wpływem interwencji Ameryki armia francuska znów odżyje".

Po zakończeniu pierwszego dnia obrad uważałem za wskazane wyłożyć moje obiekcje wobec projektu na piśmie, tak aby Robertson i Haig mogli je szczegółowo rozważyć, zanim wznowimy naszą dyskusję. Na początku memoriału starałem się podać resumé niektórych argumentów, wysuwanych na poparcie proponowanej ofenzywy; argumenty te już wyżej streściłem. Następnie wyłożyłem moje argumenty przeciw planowi.

Argumenty przeciw planowi ofenzywy.

1. Wielka ofenzywa, która nie osiąga swego celu a okupiona zostaje ciężkimi stratami, musi z konieczności wywołać zniechęcenie w szeregach naszej armii i pogorszyć w ten sposób panujący w niej obecnie wspaniały nastrój; może to również prowadzić do katastrofalnych następstw, jeżeli chodzi o opinię publiczną we Francji i Anglii.

2. Rząd musi uważać się za opiekunów, których pieczy powierzone zostały losy naszych dzielnych żołnierzy. Nie uchylają się oni od żadnego niebezpieczeństwa i stawiają czoło niebezpieczeństwu bez szemrania, ufają jednak przywódcom narodu, że życie ich nie będzie marnowane bez potrzeby i że nie zostaną poświęceni w ryzykownych imprezach, przedsiębranych wyłącznie dlatego, że ludzie prowadzący wojnę nie umieją wymyślić żadnego lepszego sposobu wyzyskania żołnierzy, będących pod ich rozkazami.

3. Zanim więc zdecydujemy się na gigantyczną ofenzywę, która musi z konieczności pochłonąć wiele tysięcy cennych egzystencyj ludzkich i może bardzo łatwo wywołać nastrój zniechęcenia, a w konsekwencji zmusić nasze narody do zawarcia przedwczesnego pokoju — jest rzeczą zasadniczej wagi, abyśmy byli pewni, że tego rodzaju ofenzywa ma poważne szanse powodzenia. Ryzykowanie byłoby tutaj zarówno szaleństwem jak zbrodnią.

4. *Jakie są szanse powodzenia?* Nasza przewaga na froncie zachodnim, zakładając nawet, że można brać pod uwagę niezmniejszoną siłę armii francuskiej, wynosi 15% w efektywach. Pod względem dział istnieje równość stron walczących. Amunicji każda armia ma dosyć dla swoich celów. My mamy jej dosyć dla celów ofenzywnych — wszystko też przemawia za tym, że Niemcy mają jej dosyć dla celów obronnych. Jeśli chodzi o dowództwo, dyscyplinę, jakość wojsk — można powiedzieć, biorąc obie armie w całości, od Nieu-

portu do Milhuzy, że poziom jest jednakowy. Pod względem rezerw jednak — a to jest rzecz zasadnicza — Niemcy mają w tym roku przewagę nad Koalicją Front rosyjski nie zaabsorbuje zapewne żadnych rezerw niemieckich, można więc przyjąć, że wszystkie one będą do dyspozycji na froncie zachodnim. Francuzi nie mają w gruncie rzeczy żadnych rezerw: te które mają nie wystarczają nawet na zapełnianie luk, powstających w czasie wolnym od walk. Co się tyczy rezerw angielskich — z przedstawionego na komisji raportu wynika aż nadto jasno, jaka jest nasza sytuacja pod tym względem. Szef Sztabu Imperialnego powiedział w jednym ze swoich przemówień, że naród gotów jest uczynić wszystko, z chwilą kiedy mu się jasno powie, czego się od niego wymaga. Niestety, jest to tylko częściowo prawdziwe. Powiedzieliśmy narodowi, że potrzebujemy młodych ludzi z fabryk amunicyjnych: nasze wysiłki zmobilizowania ich doprowadziły do strajku, który pozbawił nas setek dział i samolotów, a koniec końców nie dał i ludzi. Przypuśćmy że chcielibyśmy dokonać podobnej próby i zmobilizować ludzi z kopalń: któż może nam ręczyć, że nie będzie strajku górników? Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie utrzymywał, że powinniśmy odciągać jeszcze ludzi, zatrudnionych na roli i przy budowie okrętów, dopóki niebezpieczeństwo wojny podwodnej nie zostanie całkowicie opanowane: na to zaś nie zanosi się w najbliższej przyszłości. Superrewizja odrzuconych pierwotnie przy badaniu lekarskim wywołała w całym kraju gwałtowną kampanię, która poważnie pomogła propagandzie pacyfistycznej. Czy może ktoś wskazać na jakąkolwiek grupę mężczyzn, zdolnych do służby wojskowej, której przymusowe wcielenie do szeregów nie wywołałoby tego samego niepokoju, wrzenia i zatargów z robotnikami, jakie wywoływały wszystkie nasze dotychczasowe wysiłki rekrutowania ludzi do armii?

5. Nawet nasza piętnastoprocentowa przewaga w ludziach istnieje tylko przy założeniu, że w nadchodzącej ofenzywie na każdego żołnierza francuskiego liczyć można tak

samo, jak na Anglika albo Niemca. Jednakże wobec licznych ostrzeżeń, jakie otrzymaliśmy ze strony kompetentnych i dobrze poinformowanych obserwatorów, byłoby z naszej strony szaleństwem przyjmować założenie tego rodzaju. Nasi dwaj przedstawiciele wojskowi przy armii francuskiej uważali za swój bolesny obowiązek oświadczyć nam w sposób jak najwyraźniejszy, że nie możemy w tym roku liczyć na to, aby ta armia wzięła pełny udział w tego rodzaju przedsięwzięciu, jakie projektujemy. W danej chwili nastrój bojowy armii francuskiej jest podminowany; panuje w niej nieufność, podejrzliwość i zniechęcenie. Obawiam się, że nie zawsze należycie oceniamy straszliwe ofiary, jakie poniósł już naród francuski. Z szeregów jego armii ubyło już dwa miliony młodych ludzi — licząc zabitych, rannych, chorych i wziętych do niewoli.*). Żaden naród nie poniósł w ciągu tej wojny nawet w przybliżeniu takich strat, jakie znosił heroicznie naród francuski. Myślał on, że rok bieżący uwolni go od jego cierpień: mówiono mu, że Rosjanie otrzymali nowe wyposażenie techniczne, że armia angielska zwiększyła w ogromnym stopniu swój skład liczebny, artylerię i amunicję, że poziom armii włoskiej podnosi się również; i Francuzi czekali na wielką, prowadzoną z kilku stron ofenzywę, która złamie opór państw centralnych i doprowadzi wojnę do zwycięskiego końca. Załamanie się Rosji było dla nich gorzkim rozczarowaniem; niepowodzenie własnej ofenzywy pogłębiło jeszcze to rozczarowanie, i w tej chwili przez armię i naród francuski przechodzi fala niechęci do wojny. Cudem jest jeszcze, że wobec tych ciągłych niepowodzeń, jakie towarzyszyły ich wysiłkom w ciągu ostatnich trzech lat, przygnębienie nastąpiło tak późno. Nawet najodważniejsi zachwieją się w tych warunkach. Od pewnego czasu jest rzeczą widoczną, że wodzowie francuscy są zdecydowanie przeciwni przedsiębraniu w tym roku

*) Cyfra ta została otrzymana przez odjęcie od całkowitej liczby strat tych rannych żołnierzy którzy powrócili do szeregów.

operacyj na wielką skalę. Jeżeli nawet przekonamy ich na jakiejś konferencji, instynkt armii francuskiej nie da sie zagłuszyć, i im dalej od konferencji, tym mniej będzie inklinacji do wykonania jej postanowień. Tak właśnie dokładnie się stało po ostatniej konferencji paryskiej. Porozumienie osiągnęliśmy zupełne — nie było lepszego w ciągu całej wojny; ale wykonanie całkowicie zawiodło. Nie możemy wciągać do najbardziej gigantycznej bitwy, jaka była kiedykolwiek prowadzona, wojska które bitwy nie chce, dowódców którzy się wahają i narodu który jest zniechęcony.

Propozycja sprowadza się więc do tego, abyśmy rozpoczęli największą bitwę tej wojny z armią nieprzyjacielską niemal równą nam pod względem liczebnym, a zupełnie równą pod względem wyposażenia — z armią, która jest w dalszym ciągu, z punktu widzenia swej efektywnej wartości bojowej, najlepszą w Europie, która dla zapełnienia luk w szeregach dysponować będzie w ciągu tego roku większymi od nas rezerwami i która zajmuje potężne pozycje obronne umacniane i ulepszane przez nią w ciągu trzech lat; mamy w dodatku rozpocząć ten atak przy wątpliwym poparciu ze strony naszego najsilniejszego i najpoważniejszego sojusznika — poparciu tak słabym, że Niemcy mogą sobie z nim w gruncie rzeczy poradzić, nie gromadząc za atakowanym frontem żadnych większych ilości wojska i artylerii. Pozwoli im to sprowadzić posiłki na swe linie nawprost frontu brytyjskiego; w rezultacie, zamiamiast posiadanej przez nas nieznacznej przewagi w ludziach i działach, przewagę uzyskają Niemcy.

Wiem doskonale, że ludzie pragnący tej bitwy mogli przekonać siebie samych, iż uzyskane od Francuzów obietnice są wszystkim czego potrzeba w danej sytuacji. W głębi duszy jednak ludzie ci muszą wiedzieć, że to nie wystarcza. Nawet jeśli armia francuska wystąpiłaby z całą swoją siłą, sojusznicy mieliby na froncie zachodnim nieznaczną tylko przewagę; jeśli zaś nie wystąpi z całą siłą — będziemy atakowali

najsilniejszą armię na świecie, ukrytą za najpotężniejszymi umocnieniami obronnymi i posiadającą w dodatku przewagę liczebną. *Nie mam pretensji do jakichkolwiek wiadomości z dziedziny strategii, ale dziwne zaiste musi być sumienie wojskowe, które usprawiedliwiałoby atak, przedsięwzięty w takich warunkach.*

6. Aczkowiek wielki sukces może dodać otuchy Francuzom i skłonić ich do większych jeszcze wyczynów — niepowodzenie mogłoby mieć bardzo łatwo katastrofalny wpływ na opinię francuską. Generał Wilson ostrzegł nas, że nawet powtórzenie takiej operacji jak zdobycie wyżyny Messines nie będzie uważane we Francji za poważny sukces i nie wywrze żadnego dobroczynnego wpływu na umysły Francuzów. Zapytuję, czy według przewidywań Szefa Sztabu Imperium operacje te mogą dać coś więcej, niż nowe Messines i Vimy? *Znakomite sukcesy początkowe, a potem tygodnie rozpaczliwych i krwawych walk — które nie dadzą niczego, prócz może odepchnięcia przeciwnika o kilka mil, za cenę potwornych ofiar!* Z całym naciskiem wzywam naszych doradców wojskowych, jak również członków gabinetu, aby raz jeszcze namyślili się, zanim ostatecznie polecą armii brytyjskiej wykonanie ataku, który w razie niepowodzenia może doprowadzić do tego, że zniechęcone narody Koalicji zgodzą się na wszelkie możliwe warunki pokoju, zaofiarowane im przez równie zmęczonego przeciwnika.

Od chwili naszych ostatnich obrad na temat sytuacji militarnej, przy których był obecny Wódz Naczelny, otrzymaliśmy z poważnego źródła nowe informacje co do stanu armii francuskiej. Postąpilibyśmy wbrew wyraźnym nakazom obowiązku, gdybyśmy nie potraktowali z należytą uwagą bardzo niepomyślnych raportów, przedstawionych przez generała Wilsona, pułkownika Spears'a i attaché morskiego, jak również *bardzo ważnych informacyj, jakie otrzymaliśmy co do sprawozdania, złożonego ambasadorowi francuskiemu przez p. Abel Ferry.* W świetle tych sprawozdań żywione przez nas

dawniej obawy zostały więcej niż potwierdzone, i nie mamy prawa ryzykować życia wielu tysięcy obywateli brytyjskich, opierając się jedynie na założeniu, że możemy nie zwracać uwagi na kategoryczne ostrzeżenia, zawarte w tych dokumentach".

W dalszym ciągu swego memoriału Lloyd George przedstawia swoją koncepcję wielkiej ofenzywy na froncie włoskim, która jego zdaniem ma znacznie większe widoki powodzenia, niż projektowana ofenzywa we Flandrii.

Kiedy zebraliśmy się znowu w południe dnia następnego, zarówno sir Wiliam Robertson jak sir Douglas Haig odczytali przygotowane przez siebie oświadczenia, będące odpowiedzią na mój memoriał. Według nich, przed ofenzywą nad Sommą Niemcy mieli przewagę prawie 600 dział w samych tylko działach kalibru 5,9 cali i cięższych, podczas gdy obecnie Koalicja ma o siedem takich dział więcej od Niemców. Liczebność natomiast armii niemieckiej wzrosła od tego czasu prawie o 160000 ludzi.

Sir Wiliam Robertson oświadczył, że osobiście wątpi w zawarcie przez Austrię oddzielnego pokoju, ponieważ cała przyszłość Austrii zależy od jej stosunków z Niemcami, z którymi łączą ją wszelkiego rodzaju więzy — gospodarcze, przemysłowe, polityczne i t. d. Jeśli nawet przyjąć, że Austria zawarłaby pokój, gdyby poniosła poważną porażkę — Robertson wątpił, czy Koalicja może taką porażkę spowodować. *Artyleria nie może być przetransportowana na front włoski i ustawiona na pozycjach w czasie krótszym niż sześć tygodni.* Transportu takiej liczby dział przez Włochy nie można by było ukryć, i wobec tego nieprzyjaciel miałby niemal cały miesiąc czasu na przygotowania obronne*). Poza tym Niemcy,

*) Nasz przedstawiciel wojskowy na froncie włoskim, generał Delmé-Radcliffe, był zdania że można przetransportować działa i amunicję na ten front bez zwracania uwagi nieprzyjaciela.

gdy się tylko dowiedzą o naszych zamiarach, będą tam przed nami, mają bowiem krótsze linie komunikacyjne i wobec tego mogą szybciej od nas przerzucać wojska*).

Ofenzywy Sprzymierzonych na froncie zachodnim uniemożliwiły Niemcom przedsięwzięcie jakichkolwiek operacyj ofenzywnych przeciwko Włochom. Gdyby Niemcy przestały odczuwać poważny nacisk na siebie na froncie zachodnim, miałyby takie same możliwości akcji ofenzywnej przeciw Włochom, jak te które posiadały w marcu — z dodaniem jeszcze tych korzyści, jakie dać im mogło osłabienie Rosji; gdyby więc postanowiły wzmocnić front anty-włoski w takim stopniu, w jakim uważa to za możliwe Cadorna — Włosi nie tylko nie byliby w stanie pobić Austriaków, ale sami potrzebowaliby pomocy.

Tyle co do widoków na pokonanie Austrii. Co do sytuacji wojsk koalicyjnych — gdybyśmy posłali na front włoski 75 bateryj, *musielibyśmy faktycznie przejść do defenzywy* i przygotować się na takie same straty, jakie ponosili tego lata Niemcy. Musimy również porzucić *wszelką nadzieję umocnienia naszej pozycji na morzu i w powietrzu* od strony wybrzeża belgijskiego, *a nawet Niemcy mogą zadać nam cios, zdobywając Dunkierkę;* gdyby im się to udało, sytuacja stałaby się jeszcze gorsza niż jest obecnie. Jak zaznaczył Robertson, „nie twierdzi, że im się to uda, ponieważ do pewnego stopnia zależeć to będzie od posiłków, jakie zdołają ściągnąć z frontu rosyjskiego, oraz od mocy ich artylerii. *Ostatnio skuteczność artylerii niemieckiej nie jest zbyt wielka,* a ponieważ Niemcy mają na froncie zachodnim mniej więcej tyleż dział co Alianci — trzeba to przypisać jakimś innym przyczynom, naprzykład niższej *morale,* naszej przewadze w powietrzu, nieumiejętnemu obchodzeniu się z działami, albo brakowi amunicji. Nie podejmuję się powiedzieć, który z

*) Niemcy wielokrotnie przerzucały wojska z jednego frontu na drugi, a my o tym nic nie wiedzieliśmy.

tych czynników gra tu rolę; być może, że zachodzi tu połączenie wszystkich".

W plastycznym ale ponuro brzmiącym zdaniu Robertson oświadczył:

„Powinniśmy postępować jak gracz, który ma więcej pieniędzy i zmusza przeciwnika, żeby wydawał i wydawał — aż zrobi z niego nędzarza".

Niemcy — zdaniem Robertsona — sprowadzą sobie poważne siły z frontu rosyjskiego, jeżeli Rosja pozostanie w dalszym ciągu bierna albo zupełnie wycofa się z wojny. Najlepsze co możemy uczynić, aby utrzymać ją w linii bojowej — to kontynuować naszą ofenzywną taktykę; jeżeli się od niej powstrzymamy, Rosja może pomyśleć, że przyznajemy się do porażki. Mówi się zresztą o tym, że Rosjanie przygotowują się sami do ofenzywy na początku przyszłego miesiąca, i prosili nas o nieosłabianie naszego nacisku na Niemców.

Ostatecznie Robertson dochodził do wniosku — biorąc pod uwagę możliwie wszystkie elementy sytuacji — że nasze szanse na uzyskanie pomyślnych rezultatów nie są większe we Włoszech niż na froncie zachodnim, ale ryzyko w pierwszym wypadku byłoby o wiele większe niż w drugim. *Potępia on najzupełniej kategorycznie ponoszenie ciężkich strat bez równoważących je korzyści, ale jego zdaniem plan przedstawiony przez Naczelnego Wodza zabezpiecza nas przed popełnieniem tego rodzaju błędu.* Dowiodłem, mówił Robertson, i o ile mi wiadomo gabinet zgodził się z tym poglądem, że *na jakimś odcinku naszego frontu musimy w dalszym ciągu zachowywać się agresywnie; jest rzeczą oczywistą, że powinniśmy to robić tam, gdzie mamy widoki na osiągnięcie największych rezultatów.* Plan spełnia właśnie ten postulat i pozwala na prowadzenie akcji, dopóki wobec osłabienia nieprzyjaciela będzie ona dawała nam korzyści — *a jednocześnie*

umożliwia zwolnienie naszego nacisku, jeśliby sytuacja tego wymagała. Trudne sytuacje, podobne do obecnej, powstają zawsze na wojnie, i popełniano *wielkie błędy, chcąc jakoś obejść trudności z chwilą, gdy zaczynały być poważnie odczuwane. Musimy wystrzegać się tego błędu.*

Z tych względów Robertson był zwolennikiem kontynuowania dotychczasowych wysiłków, zmierzających do osiągnięcia powodzenia na północy — nie tylko w związku z sytuacją na lądzie, ale również na skutek sytuacji na morzu i w powietrzu, która wymagała bezwzględnie poprawy; w konsekwencji Robertson był przeciwny uszczuplaniu jakichkolwiek naszych zasobów na froncie zachodnim i kierowaniu ich do Włoch. Powinniśmy natomiast — jego zdaniem — zrobić wszystko co można, aby dostarczyć Włochom niezbędnych środków dla powiększenia ich zapasów amunicji — gdyż już obecnie Włochy mają o wiele więcej armat, niż mogą wykorzystać. Robertson przypominał gabinetowi, że nie ma powodów aby Włochy miały pozostawać bierne w ciągu zimy — operacje bowiem na Isonzo trwać mogą aż do końca stycznia.

Zapytany, czy w tej ostatniej uwadze miał na myśli, że będziemy mogli — jeśli zechcemy — pomóc Włochom później, Robertson odpowiedział, że moglibyśmy rozważyć tę sprawę.

Sir Douglas Haig podkreślił, że pytano go o zdanie w sprawie odłożenia planowanej przezeń zasadniczej ofenzywy do roku 1918, aby aż do tego roku armia brytyjska mogła zachować swe siły. Otóż sytuacja obecna jest mu znana — nie może natomiast przewidzieć tego, co będzie w przyszłości. *Moment obecny uważa za pomyślny. Zgadza się całkowicie z komisją, że nie powinniśmy podejmować ataków, które nie mają dostatecznych widoków powodzenia, lecz posuwać się krok za krokiem. Nie ma sam zamiaru rozpoczynać jakiejś olbrzymiej ofenzywy, którą trzeba by było okupywać cięż-*

kimi stratami. Plan jego ma charakter agresywny, nie angażując nas jednak za daleko.)*

Następnie sir Douglas Haig odczytał swój memoriał „na temat ogólnej sytuacji strategicznej, ze szczególnym uwzględnieniem korzyści, jakie dałaby ofenzywa w północnej Belgii w porównaniu z ofenzywą na froncie włoskim przeciw Austrii".

Oto wyjątki z memoriału Haiga:

„Sieć kolejowa Belgii północnej wystarcza dla utrzymywania na północ od rzeki Lys około 40 — a nawet więcej — dywizyj niemieckich.

„Na skutek jednak naszej przewagi w powietrzu, możemy niemal z pewnością, rzucając bomby na ważne punkty węzłowe, spowodować dużą dezorganizację i zamieszanie w transporcie kolejowym, unicestwiając wszelkie kalkulacje. W każdym razie możemy uważać za maksymalną obecną liczbę dywizyj niemieckich, a nie tę liczbę, dla której istnieje wystarczająca zdolność przewozowa kolei.

„17-go czerwca Niemcy mieli na froncie zachodnim 156 dywizyj. Z tej liczby 25 należało do armij, broniących północnej Belgii, a 131 dywizyj broniło pozostałych odcinków frontu...

„Z tych 131 dywizyj, zajmujących front długości około 400 mil, od rzeki Lys do Szwajcarii, tylko 43 dywizje były „świeże"...

„Dywizje niemieckie mają niskie efektywy; poza tym, do podanych wyżej cyfr wchodzi conajmniej 17 dywizyj Landwehry o małej stosunkowo wartości bojowej. Na odcinkach, na których Niemcy spodziewać się będą naszego ataku, nie potrzebujemy przewidywać więcej, niż jednej dywizji niemieckiej na każdą milę frontu; przyjmując pod uwagę tereny zalane wodą, można przyjąć, że Niemcy wystawią najwyżej

*) To zobowiązanie — w połączeniu z podobną obietnicą, uczynioną przez sir Wiliama Robertsona — miało poważny wpływ na decyzję komisji.

14 dywizyj między rzeką Lys i morzem. Rezerwy zgromadzone odrazu tuż za frontem nie będą prawdopodobnie wynosić więcej niż 10 dywizyj; poza tym dwie lub trzy dywizje mogą być zgrupowane na samym wybrzeżu...

„Jeżeli Niemcy zdołają sprowadzić świeże dywizje z Rosji, możemy liczyć na to, że umieszczą je w jakimś centrum w pewnej odległości od frontu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni; mogą też użyć ich do zluzowania w pewnych specjalnych punktach dywizyj wyczerpanych, a wtedy te ostatnie przeszłyby do rezerwy centralnej.

„W tej chwili korzyść, jaką mają Niemcy z sytuacji na froncie wschodnim sprowadza się do tego, że ściągają stamtąd świeże dywizje, a posyłają wzamian dywizje wyczerpane z frontu zachodniego. *Ale liczba dobrych dywizyj niemieckich na froncie wschodnim jest ograniczona, a ponadto — według istniejących obliczeń — zdolność przewozowa ich kolei pozwoli na przewożenie tylko 10 dywizyj miesięcznie.*

„Z tych wszystkich względów możemy przyjąć, że sojusznicy będą mieli na froncie ataku znaczną przewagę piechoty, — przewagę prawdopodobnie conajmniej dwukrotną. Będziemy zaś mogli zastępować dywizje wyczerpane świeżymi dywizjami z pozostałych odcinków frontu w stopniu nie mniejszym, niż Niemcy.

„W działach i amunicji, sądząc z dotychczasowego doświadczenia, przechwyconych rozkazów niemieckich i t. d., przewaga nasza będzie większa niż w piechocie, a jeszcze większą przewagę zapewnioną mamy w powietrzu. Ten ostatni czynnik ma olbrzymie znaczenie z punktu widzenia skutecznego działania artylerii, uzyskiwania informacyj, szkód na tyłach nieprzyjaciela i ogólnej *morale* jego wojsk.

„Jeśli chodzi o zastąpienie ofenzywy w Belgii przez ofenzywę przeciw Austrii na froncie włoskim — argumenty przeciw tej ostatniej ofenzywie są znacznie poważniejsze, niż argumenty przemawiające za nią."

Dalej następuje *passus*, w którym w formie niezwykle

zwartej wyłożone jest stanowisko, propagowane przeze mnie, poczynając od grudnia 1914 roku.

„Uznawane było zawsze, że najskuteczniejszą formą wojny jest możliwie najszybsze zaatakowanie i zniszczenie głównych sił nieprzyjaciela, jeśli atak taki ma rozsądne szanse powodzenia. Jeśli takie szanse nie istnieją, najlepszym sposobem postępowania jest powstrzymywanie głównych sił przeciwnika z jednoczesnym atakowaniem jego miejsc słabych — jeśli to jest możliwe. Możliwość ta zależy jednak po pierwsze od tego, czy możemy powstrzymać jego główne siły, i po drugie — czy możemy pokonać jego siły pomniejsze.

„Jeśli byśmy wysłali poważne siły na front włoski, jest rzeczą prawdopodobną, że moglibyśmy w dalszym ciągu powstrzymywać Niemców na froncie zachodnim, *nie jest to jednak pewne,* i w dużym stopniu zależałoby od Francuzów.

„Co zaś do możliwości pokonania Austrii — jest ona conajmniej wysoce problematyczna...

„Decyzja przerzucenia wojsk na front włoski oznaczałaby wyrzeczenie się ofenzywy w Belgii, odpowiednie zyskanie na czasie przez Niemcy, bardzo niebezpieczne rozczarowanie we Francji, a do pewnego stopnia i w Rosji; dawałaby niewielkie widoki powodzenia przeciw Austrii, której według wszelkiego prawdopodobieństwa przyszłyby z pomocą wojska niemieckie, mogłaby natomiast prowadzić do niepowodzeń na froncie zachodnim i jeszcze poważniejszych niepowodzeń — na froncie włoskim.

„Z drugiej strony mamy rozsądne szanse na powodzenie w Belgii, które może mieć poważniejsze skutki, niż większe nawet powodzenie na froncie włoskim, i które daje conajmniej pewną nadzieję osiągnięcia w następstwie rezultatów zasadniczych.

„Nie jest rzeczą wykluczoną, że Niemcy chcą skłonić nas do odciążenia zachodniego frontu — jest to w czasie wojny bardzo zwykła polityka, stosowana często z doskonałym skutkiem. Czy jednak Niemcy świadomie do tego dążą, czy nie —

wydaje się rzeczą niewątpliwą, że najrozumniejszym i najpewniejszym sposobem postępowania jest dalsze wyczerpywanie sił niemieckich na froncie zachodnim, co leży stanowczo w naszej mocy."

Lord Curzon zapytał, czy mówiąc o „rozsądnych szansach powodzenia", sir Douglas Haig ma na myśli osiągnięcie *tylko pierwszego z obiektów ofenzywy.*) Sir Douglas Haig odpowiedział, że ma na myśli całość operacyj, które zreferował komisji poprzedniego dnia.* Ja zaznaczyłem, że nie mam żadnych wątpliwości co do tego, iż wykonanie planu sir Douglasa Haiga jest pożądane — jeśli istnieją rozsądne szanse powodzenia, a sam plan jest wykonalny.

Generał Smuts oświadczył, że miał długą rozmowę z Naczelnym Dowódcą floty, aby dowiedzieć się, jaką wagę przywiązuje admirał Jellicoe do proponowanych operacyj. Admirał *Jellicoe odpowiedział, że w swoim raporcie jeszcze być może nie dość stanowczo podkreślił ich znaczenie;* nie zdawał sobie aż do ostatnich czasów sprawy z tego, do jakiego stopnia bazy na wybrzeżu belgijskim mogą być wyzyskane przez Niemców. W tej chwili właśnie admirał Jellicoe przybył na posiedzenie komisji; w odpowiedzi na żądanie lorda Curzona, aby rozwinął poglądy zawarte w jego dwóch memoriałach, rozesłanych członkom komisji, Jellicoe zaznaczył, że chodzi mu o podkreślenie dwóch punktów. Po pierwsze — chce zwrócić uwagę na olbrzymie trudności, jakie mieć będzie flota, jeśli do zimy Niemcy nie zostaną usunięci z wybrzeża Belgii. Motywów tego poglądu nie może wyłożyć lepiej, niż to uczynił w swoich memoriałach. *Sytuacja stanie się niemal niemożliwa do zniesienia, jeśli Niemcy uświadomią sobie, jakie możliwości daje im posiadanie wybrzeża.*

Po drugie — oświadczył Jellicoe — jeżeli nie usuniemy Niemców z Zeebruge przed nadejściem zimy, będzie nam bardzo trudno usunąć ich wojska kiedykolwiek; jako motyw

*) Należało doń zdobycie Ostendy i Zeebruge.

tego poglądu podał, iż *uważa za nieprawdopodobne, abyśmy mogli kontynuować wojnę w roku następnym — wobec braku tonażu okrętowego.*

W ciągu popołudnia komisja gabinetu rozważała szczegółowo odpowiedź, jakiej rząd powinien udzielić dowódcom wojskowym. Uwydatniła się wyraźna różnica zdań. Generał Smuts sądził stanowczo, że argumenty wojskowych są dość przekonywające, aby im pozwolić przynajmniej na próbę w projektowanym przez nich kierunku; uważał osobiście, że widoki powodzenia są bardzo pomyślne. Lord Curzon skłaniał się w tym samym kierunku— choć nie tak wyraźnie. Lord Milner, Bonar Law i ja uważaliśmy projekt za błędny, w chwili kiedy armia brytyjska — jedyna faktycznie armia Koalicji, zachowująca całą swoją odporność — stoi na posterunku, powstrzymując Niemców aż do nadejścia wojsk amerykańskich; byliśmy zdania, że projekt nie zawiera niczego, co by pozwalało wróżyć mu powodzenie, że będzie nas bardzo drogo kosztował i że z tych względów należy go zaniechać. Bonar Law uważał jednak, że nie jesteśmy upoważnieni do podejmowania decyzji o charakterze strategicznym wbrew opinii specjalistów wojskowych i morskich. Lord Milner i ja wahaliśmy się również, czy należy posunąć się tak daleko, zwłaszcza wobec faktu, że główny doradca wojskowy rządu popiera stanowisko Naczelnego Wodza, a w razie gdybyśmy chcieli sprzeciwić się ofenzywie — nie mielibyśmy za sobą gabinetu. Widziałem się z lordem Balfourem i omówiłem z nim całą sprawę. Był pod wrażeniem poparcia, jakiego udzielił projektowi gen. Smuts, i uważał także, że należy pozwolić generałom na próbę. Postanowiliśmy wreszcie, że ja przedstawię raz jeszcze Robertsonowi i Haigowi wątpliwości, jakie większość z nas żywi, pozostawiając im powzięcie ostatecznej decyzji — z tym jednak, że jeśli postępy operacji nie usprawiedliwią ich oczekiwań, ofenzywa zostanie przerwana, okażemy natomiast wydatną pomoc Włochom dla działań ofenzywnych na ich froncie.

Trzeba tu przypomnieć, że nie znaliśmy wówczas wszystkich faktów, które uprawniałyby do zajęcia bardziej stanowczej postawy z naszej strony. Aby przekonać nas o pomyślnych widokach ofenzywy w danym momencie, Wódz Naczelny powiedział nam, że mamy dwa razy więcej piechoty, niż nieprzyjaciel — była to nieprawda; że Niemcy nie rozporządzają odpowiednimi rezerwami — nie zgadzało się to z rzeczywistością; że *morale* niemiecka jest złamana, i wobec tego nieprzyjaciel będzie stawiał o wiele mniejszy opór niż dotychczas — wprowadzało to w błąd; że Niemcy mają niedokładnie działające armaty i niedostateczną ilość amunicji — okazało się, że tak nie jest. Haig nie docenia rezerw ludzkich Niemiec i oświadczył wobec gabinetu, że „jeśli walka trwałaby z tą samą intensywnością jeszcze w ciągu sześciu miesięcy, zasoby ludzi jakimi rozporządzają Niemcy zostałyby wyczerpane". Walka w ciągu następnych sześciu miesięcy była z pewnością o wiele bardziej intensywna niż wszystkie działania dotychczasowe, a jednak zasoby ludzkie Niemiec nie okazały się po tym bynajmniej wyczerpane.

Rozważmy teraz sprawę terenu projektowanej ofenzywy. Nie wiedzieliśmy nic o tym, że teren ten nie nadawał się szczególnie do operacyj, w których odgrywać miał poważną rolę ogień artylerii ciężkiej. To okazało się jednym z głównych powodów niepowodzenia. Obrane przez nas pole bitwy było dawniej zupełnym trzęsawiskiem; utrzymywano je w stanie, umożliwiającym uprawę, jedynie przy pomocy całego skomplikowanego systemu rowów i kanałów odwadniających, bezustannie naprawianych i utrzymywanych z wielką pieczołowitością przez rolników. Każde bombardowanie tego rodzaju terenu musiało zablokować i zniszczyć wszystkie kanały i zamienić znów całą okolicę w bagno nie do przebycia. Cały teren poprzecinany był licznymi małymi strumykami, i nawet gdyby w czasie operacyj panowała dobra pogoda — strumyki te musiały zamieniać się w stawy i rozlewiska.

z chwilą kiedy pociski rozbijały ich sztuczne ocembrowania i blokowały ich normalne ujście. Do użycia czołgów grunt taki był beznadziejny — a właśnie czołgi miały odgrywać zasadniczą rolę w planowanym początkowo niespodziewanym ataku. Na specjalne warunki, które wyróżniały tę okolicę z pośród innych terenów Flandrii ze względu na łatwość, z jaką mogła być zalana wodą, zwrócił uwagę Kwatery Głównej jeszcze na kilka tygodni przed bitwą korpus czołgów. Z chwilą kiedy dowództwo korpusu dowiedziało się, że czołgi mają operować na tym terenie, przprowadziło samo badania gruntu, i wkrótce ustaliło jego charakter — dawnego trzęsawiska, które odwadniane jest przy pomocy wielkiej sieci rowów i kanałów. Dowództwo czołgów zrozumiało, że w takich warunkach długie bombardowanie, które poprzedza zawsze w wielkich ofenzywach ataki piechoty, uczyni teren najzupełniej nieodpowiednim do działania czołgów. Rezultaty tych badań posłane zostały do Kwatery Głównej, nie wywołały tam jednak żadnego efektu. Pa jakimś czasie sztab Korpusu Czołgów—dla wykazania że pociski artyleryjskie, niszcząc kanały, muszą z konieczności doprowadzić do tworzenia się stawków i rozlewisk — sporządził mapy, na których zaznaczył dokładnie miejsca, gdzie te rozlewiska powstaną. Jedyną reakcją, jaką wywołała ta próba uratowania armii od katastrofy, był szorstki rozkaz, aby „nie przysyłać więcej tych śmiesznych map". Mapy muszą stosować się do planów, a nie plany do map; fakty które przeczą planom — to po prostu impertynencja.

Szef Wydziału Wywiadowczego sir Douglas Haiga stwierdził, że Wódz Naczelny interesował się sam bardzo

„warunkami klimatycznymi, jakich należało oczekiwać. Dokładne badanie sprawozdań meteorologicznych z ostatnich 80 lat wykazało, że we Flandrii pogoda psuje się na początku sierpnia z regularnością monsunu;

z chwilą zaś gdy zaczną się deszcze jesienne, operacje będą ogromnie utrudnione" *).

Komisja Wojenna nie została poinformowana o tym „dokładnym badaniu" sprawozdań meteorologicznych i o „ogromnych trudnościach", jakie z owych sprawozdań dawały się przewidzieć; w ciągu całej dyskusji w komisji nie powiedziano nam ani jednego słowa o sytuacji meteorologicznej i o szczególnych okolicznościach, na skutek których projektowany teren bitwy nie nadawał się zupełnie do długotrwałych operacyj.

Zatajeniem jednak, godnym największego potępienia, było ukrycie przed rządem faktu że wszyscy generałowie, których radził się sir Douglas Haig, mieli poważne wątpliwości co do całego projektu i zakomunikowali mu o tym. Fakt ten — gdyby był znany członkom Komisji — miałby dla nich wielkie znaczenie, a ponieważ i tak cały plan budził w nich przeważnie wielkie obawy, moment ten odegrałby rolę decydującą. Nie uczyniono wobec nas najmniejszej aluzji co do tego że generałowie, którym powierzono przeprowadzenie działań ofenzywnych, podzielają nasze wątpliwości. Obecnie wiemy, że ekspert artyleryjski głównej atakującej armii wypowiadał się przeciw planowi, ponieważ jego zdaniem nie dawał on artylerii dostatecznej swobody ruchów i uniemożliwiał jej skuteczne działanie. Opinię swoją zakomunikował Kwaterze Głównej; ale my nic o tym nie wiedzieliśmy.

Rozważyliśmy plan sir Douglas Haiga nie tylko nie znając całkowicie zasadniczych elementów sytuacji, ale zasugestionowani wręcz wyraźnie w ten sposób, że decydujące fakty w wyżej przytoczonych i innych sprawach ukazane nam zostały wręcz sprzecznie z rzeczywistością.

*) Generał Charteris: *Field Marshal Earl Haig* (s. 272), autor pisze dalej w swoim dzienniku: „Nie sądzę, abyśmy mogli się spodziewać więcej niż dwóch, najwyżej trzech tygodni naprawdę dobrej pogody."

Nie mam zamiaru roztrząsać tutaj granic odpowiedzialności i uprawnień rzeczoznawców wojskowych i rządu w sprawach, dotyczących strategii. Poprzestanę na stwierdzeniu że jeśli wojskowi, z jakichś swoich motywów, chcą skłonić rząd do przedsięwzięcia takiej czy innej operacji wojskowej całkowita szczerość i ujawnienie wszystkich faktów i wzlędów, znanych bądź wojskowym bądź politykom, a mających znaczenie dla powzięcia decyzji, jest nie tylko obowiązkiem honoru, jaki winni są wzajem wobec siebie — ale ponadto obowiązkiem wobec kraju, którego interesów mają bronić. Prospekt finansowy, wydany w celu skłonienia publiczności do inwestowania kapitałów w jakimś przedsięwzięciu, musi ujawniać wszystkie istotne fakty, na których przedsięwzięcie się opiera. Rząd był w tym przypadku stróżem interesów publiczności, i miał zainwestować w tej fantastycznej spekulacji militarnej nie tylko setki milionów z kasy publicznej, ale również życie setek tysięcy dzielnych ludzi, których powołał do szeregów. Co więcej — miał zaryzykować losy Anglii w przedsięwzięciu, które sam sir Wiliam Robertson nazwał później „grą" — i w tej sytuacji istotne fakty zostały przed nim świadomie i zręcznie ukryte. Jest to poważne oskarżenie, i z pewnością nie uważałbym się za uprawnionego do formułowania go w ten sposób, gdyby współczesne dokumenty nie potwierdzały moich twierdzeń. Gdyby cała prawda, tak jak była znana sztabom wojskowym, została wówczas przedstawiona członkom Komisji Wojennej, — Komisja odrzuciłaby projekt ofenzywy we Flandrii.

W rzeczywistości jednak musieliśmy opierać nasz sąd na informacjach, w których świetle zasadnicze fakty były fałszywie oświetlone, zniekształcone lub ukryte. Nie dziwi mnie zatym w najmniejszym stopniu, iż niektórzy z moich kolegów — na podstawie przedstawionych im informacyj — doszli do wniosku, że ofenzywa we Flandrii ma szanse powodzenia i że warto w każdym razie uczynić próbę w tym kierunku. Komisja przywiązywała wielką wagę do oświadczenia

sir Wiliama Robertsona i sir Douglasa Haiga, że ofenzywa zostanie wsrzymana z chwilą, gdy stanie się rzeczą oczywistą, że nie ma poważnych szans na osiągnięcie zamierzonego celu. Nawet na zasadzie faktów, znanych nam, ja byłem przeciwny ofenzywie, podobnie jak większość komisji — ale z wymienionych już względów nie uważaliśmy się za uprawnionych do kategorycznego sprzeciwienia się planom, zanim możliwość zrealizowania ich nie została w praktyce zbadana.

Zaznaczyłem już również, że upoważniono mnie do przedstawienia raz jeszcze sprawy naszym doradcom wojskowym. Uczyniłem to 21-go czerwca, usiłując po raz ostatni skłonić Robertsona i Haiga do porzucenia lekkomyślnego projektu.

Fakt, że mimo tego apelu z mojej strony nasi wodzowie pozostali jednak przy swoim zdaniu co do ofenzywy we Flandrii — należy już oczywiście do historii. Czy mogłem, wobec tego optymizmu dowódców, obejść ich i poza ich plecami przeprowadzić na miejscu na własną rękę badania, dotyczące istniejących warunków i okoliczności? Jest to zagadnienie bardzo poważne, i gdybyśmy kiedykolwiek mieli nieszczęście prowadzić znowu wojnę, problemat taki stanie znów przed nami. Wracam jeszcze do tej sprawy niżej, kiedy zadaję sobie pytanie, czy rząd nie powinien był po prostu kategorycznie zakazać prowadzenia dalszej walki. Nie miałem żadnego fachowego doradcy wojskowego, którego opinię mógłbym był przeciwstawić poglądom naszych dowódców — a nie wiedziałem wówczas że generałowie francuscy, jak również niektórzy generałowie angielscy, przeciwni są ofenzywie. Nie wiedziałem też, że Pétain i Micheler wypowiadali się za proponowaną przeze mnie alternatywą — ofenzywą na froncie włoskim. Nie mogłem więc na poparcie mojej tezy przytoczyć żadnej opinii wojskowej. I chociaż obawiałem się bardzo, że poniesiemy porażkę — byłem laikiem, nie posiadającym w dziedzinie strategii wiedzy ani doświadczenia, które pozwalałyby mi przeciwstawić się w sposób zdecydowany wykształ-

conym wojskowym o tego rodzaju autorytecie. Jedną z najbardziej gorzkich ironij wojny jest fakt, że w książkach, w prasie i w przemówieniach atakowano mnie gwałtownie za „wtrącanie się do decyzyj wojskowych" — we mnie zaś osobiście najboleśniejsze wyrzuty wywołuje wspomnienie, że w tym wypadku postępowaniem swoim *nie* usprawiedliwiłem krytyki tego rodzaju.

CZTEROMIESIĘCZNA BITWA NA BŁOCIE.

Operacje powierzone zostały piątej armii, dowodzonej przez sir Huberta Gough. Otrzymane przezeń od Naczelnego Wodza instrukcje polecały mu zająć „wyżynę Passchendaele-Staden i linię kolejową Roulers-Thourout". Celem operacyj miało być „ułatwienie desantu między Izerą i Ostendą, następnie zaś—w połączeniu z siłami, które wylądują—zdobycie wybrzeża Belgii". Instrukcje te kończą się niezwykłym zdaniem: *„Pozostawiam do uznania Pana...* zwiedzenie terenu operacyj". W świetle późniejszego przebiegu wypadków „pozwolenie" to nabiera niesamowitego wyrazu.

Pierwszy atak poprzedzony został długim i gwałtownym bombardowaniem, które przeorało zupełnie bagniste tereny. Gwałtowny deszcz nie poprawił sytuacji. Na lewym skrzydle osiągnięte zostały dwie pierwsze linie umocnień, nie zdobyto jednak tak zwanej „zielonej linii", która stanowić miała ostateczny obiekt działań pierwszego dnia walki. Na prawym skrzydle posunięto się niewiele naprzód, i straty były niewątpliwie ciężkie. To niepowodzenie na prawym skrzydle było sprawą poważną. Znaczyło ono, że odpychając Niemców coraz dalej na lewym skrzydle, stwarzamy coraz głębszy i niebezpieczniejszy występ, znajdujący się pod obostrzałem artylerii ustawionej na wyżynach na prawo. Trzeba oddać sprawiedliwość generałowi Gough, że wskazał na to niebezpieczeństwo, kiedy po raz pierwszy zapoznał się z planem ataku; domagał się wówczas, aby druga armia zaatakowała te wyżyny jednocześnie z jego atakiem w kierunku Pilkem. Propozycja jego nie została przyjęta — i konsekwencje były dokładnie takie,



Oddział przechodzący po kładce bagna pod Passchendaele

jak przewidywał. Im dalej generał Gougth szedł naprzód, tym bardziej narażał swoje wojska na ogień artylerii niemieckiej, ustawionej na wzgórzach na prawo od Passchendaele. W tej sytuacji armia Gougha poniosła bardzo poważne straty; poza tym trudności dalszego posuwania się naprzód wzrosły ogromnie na skutek ciągłego ognia artylerii, ustawionej na wyżynie i obserwującej doskonale każdy ruch wojsk angielskich w bagnistym terenie. Po kilku tygodniach ciężkich walk w tej sytuacji — której niedogodność widoczna była dla biorących udział w walce, ale nie dla Kwatery Głównej — druga armia otrzymała we wrześniu polecenie atakowania na prawym skrzydle, i stopniowo wyparła wroga z tego wzniesienia.

Raporty jednak Kwatery Głównej z 31-go lipca nie dawały powodu do niezadowolenia. Nieprzyjaciel odrzucony został przynajmniej o milę na znacznej części frontu, niektóre zaś bataliony przedostały się na odległość pięciu mil w głąb linij niemieckich. Był to w każdym razie sukces większy niż ten, jaki osiągnęliśmy w rezultacie pierwszego ataku nad Sommą. Nie było to powtórzenie zwycięstwa z pod Vimy, co przewidywał sir Douglas Haig w swoim oświadczeniu wobec Komisji Wojennej, ale w każdym razie Naczelne Dowództwo mogło utrzymywać, że jeszcze dwie takie bitwy — a zajęlibyśmy przynajmniej część wyżyny Passchendaele-Clerken, która stanowiła pierwszy obiekt ofenzywy. Kwatera Główna utrzymywała, że zajęcie pozostałej części tego półkolistego wzniesienia da nam dominującą pozycję wobec równin, położonych po jego drugiej stronie: ruszymy wtedy naprzód łatwiej, przy pomocy „znacznej ilości kawalerii", w kierunku ważnego węzła kolejowego Roulers. Niestety jednak — w dalszych walkach nie osiągnęliśmy powodzenia. Drogo opłacone ataki sierpniowe nie dały nam w gruncie rzeczy żadnych korzyści. Nie zostały one uznane za porażki — ale niewątpliwie były to porażki, jeśli opierać się na wszelkich możliwych kryteriach, przy których pomocy odróżniamy zwycięstwo od niepowodzenia. Brak postępów w sierpniu

przypisywano niepogodzie: jak gdyby był to pierwszy deszcz w tym dżdżystym klimacie! Istnieje znana legenda o słońcu, które zatrzymało się w biegu, aby umożliwić zwycięstwo w dolinie Ajalonu — nie ma jednak legendarnego precedensu, który uprawniałby naszych nowoczesnych Jezajaszów do oczekiwania, że słońce rozpędzi chmury nad nizinami Flandrii. Oto opady atmosferyczne, zanotowane w tym kraju w latach wojny, do r. 1917 włącznie, w okresie od lipca do września:

	lipiec	sierpień	wrzesień	Razem
1914	124 mm.	40 mm.	75 mm.	239 mm.
1915	74 „	107 „	65 „	246 „
1916	98 „	71 „	65 „	246 „
1917	104 „	106 „	16 „	226 „

Cyfry te wykazują, jakim szalonym hazardem było ryzykowanie losów armii angielskiej, opierające się na nadziei, że jesień na wybrzeżu flamandzkim będzie sucha! *). Ale nawet gdyby opady okazały się tej jesieni nie powyżej, lecz poniżej przeciętnej, zniszczenie drenów wystarczyłoby, aby uczynić grunt nie nadającym się do operacyj militarnych. Ulewne deszcze pomogły tylko porozwalanym kanałom w uczynieniu z całej okolicy grzęzawiska nie do przebycia.

Oto jak kompetentny obserwator opisuje to pole bitwy:

„Po naszym przygotowaniu artyleryjskim, które trwało — ze wzmagającą się wciąż siłą — przez szesnaście dni, i po odpowiedzi artylerii niemieckiej, na całej powierzchni terenu nie było nic prócz zachodzących na siebie lejów od pocisków, wypełnionych do połowy żółtawą, błotnistą wodą. *Setki i tysiące żołnierzy, idących*

*) Charteris notuje w swym pamiętniku pod datą 4-go sierpnia: „Gdyby nie to, że sprawozdania z ubiegłych lat były dla nas ostrzeżeniem, możnaby przypuszczać, że Opatrzność opowiedziała się przeciw nam."

do ataku, tonęło w tych lejach — choć nie odnieśli żadnych ran. Samo poruszanie się po tym rozwalonym bagnie — nawet bez sześdziesięciofuntowego ciężaru, który dźwiga żołnierz w akcji — wymagało poważnego wysiłku, chociażby można było posuwać się dowolnym krokiem i wybierać sobie najdogodniejsze przejścia. Normalne drogi przestały niemal istnieć, i dla umożliwienia transportu kołowego — nawet poza frontem — trzeba było układać drewniane pale lub kładki, niszczone bezustannie ogniem działowym. Ponadto, w tym okresie Niemcy osiągnęli wyraźną przewagę w powietrzu, i wszystkie te kładki i przejścia były codziennie ostrzeliwane z karabinów maszynowych przez latających nisko lotników niemieckich. Każdy metr gruntu był dokładnie ostrzeliwany przez artylerię nieprzyjaciela, który stosował szczególnie skuteczny rodzaj pocisków gazowych, zawierających gaz musztardowy..." *)

Kiedy obserwator ten opowiedział w sztabie, niczego nie ukrywając, swoje wrażenia na temat terenu bitwy, został surowo skarcony przez jednego z wybitnych sztabowców za swoją nietaktowną szczerość; opisana przezeń następująca rozmowa da pojęcie nie tylko o postawie, jaką zajmowała Kwatera Główna wobec nieprzyjemnych faktów, ale i o panującej tam ignorancji.

„Pan zapytał mnie, jak rzeczy naprawdę się mają, i odpowiedziałem Panu całkiem otwarcie".

„Ale to co Pan mówi — to niemożliwe!"

„A jednak tak jest. Nikt nie ma pojęcia o tym, co się tam dzieje".

„Nie może być jednak tak źle jak Pan mówi".

„Czy Pan tam był?"

„Nie".

*) Gen. Baker-Carr, r. XIV.

„Czy był tam ktokolwiek z Wydziału Operacyjnego?"

„Nie".

Autor dodaje:

„Jestem zupełnie przekonany że wydział, który opracowywał plany ofenzywy pod Ypres, nie miał najsłabszego pojęcia o istniejących warunkach terenowych, i wobec tego opierał swoje plany na najzupełniej fałszywych podstawach..."

Autor tych słów był oficerem w Korpusie Czołgów — a akcja czołgów uważana była przez Kwaterę Główną za jeden z zasadniczych warunków powodzenia. Teren jednak nie nadawał się absolutnie do tego rodzaju akcji.

Sprawozdanie generała Baker-Carra potwierdza kapitan Liddell-Hart w swojej „Historii Wojny Światowej":

„Najsurowsze może potępienie tego planu, który pogrążył armię angielską w istną kąpiel błota i krwi, zawarte jest w wypowiedzianych mimowoli słowach jednego z tych, którzy ponoszą główną odpowiedzialność za całe przedsięwzięcie. Ten wysokiej szarży oficer z Kwatery Głównej, zwiedzał właśnie po raz pierwszy pole bitwy — po czteromiesięcznych walkach. Kiedy auto szło błotnistym brzegiem terenu, który stanowił pole bitwy, był coraz bardziej zdenerwowany — wreszcie wybuchnął płaczem, wołając: „Boże, czy naprawdę kazaliśmy żołnierzom w tym walczyć?" Na co towarzysz jego odpowiedział, że dalej teren jest jeszcze o wiele gorszy. Jeżeli okrzyk oficera świadczy o jego szlachetności, wskazuje jednocześnie, na jakich złudzeniach i niewybaczalnej ignorancji oparty był jego „ofenzywny" nastrój" *).

*)Generał Charteris notuje w swoim opublikowanym dzienniku pod datą 9-go sierpnia: „Teren walk przedstawia teraz widok nie do opisania... Jest to po prostu morze błota przeorane ogniem artyleryjskim".

Mógłbym zacytować setki świadectw, pochodzących od osób zasługujących na zaufanie i potwierdzających najzupełniej powyższe opisy. Jest to jednak niepotrzebne, ponieważ sir Douglas Haig potwierdza je sam w sposób bardzo obrazowy w swoim ostatecznym raporcie:

„Nisko położony, gliniasty grzbiet, porozrywany pociskami i zmoczony deszczem, zamienił się w zbiór dużych, błotnistych rozlewisk. Strumienie wylały ze swoich porozrywanych łożysk i stały się wkrótce długimi pasami błota, dającymi się przejść tylko w określonych miejscach, które stanowiły cel dla artylerii nieprzyjacielskiej... Oddalenie się od tych przejść groziło utonięciem, i w czasie operacyj ginęli w ten sposób ludzie i juczne zwierzęta. W tych warunkach wszelkie operacje na większą skalę stały się niemożliwe".

Zostało to coprawda napisane dopiero w grudniu 1917 r. Ale oficer sztabowy, od którego pochodził powyższy opis, zwiedził teren dopiero po zakończeniu całej bitwy.

Artyleria grzęzła w błocie, czołgi zatrzymywały się wśród bagien, ranni żołnierze tysiącami, a nie ranni — setkami tonęli bez ratunku w gliniamej mazi. O inteligencji, z jaką cały plan został pomyślany i przygotowany, świadczy zamiar użycia — po osiągnięciu wyżyny — mas kawalerii, która miała cwałować poprzez te nieprzebyte błota i wykończyć ostatecznie uciekającego wroga. A zamiar ten był jednym z istotnych składników planu!

W ciągu długich miesięcy setki tysięcy żołnierzy angielskich przedzierało się, walcząc, przez te trzęsawiska. Szukali osłony i spali w lepkich bajorach. Kiedy wypełzali z nich — trafiały ich kule i zapadali się z powrotem w bagno; ranni tonęli w lepkim mule; ale ci co zostali przy życiu czołgali się dalej przez cztery miesiące, od leja do leja, z karabinami i mitraliezami oblepionymi flamandzką gliną — posuwając się

w ciągu miesiąca mniej więcej o milę naprzód. Była to tragedia bohaterstwa i wytrwania, dokonywająca się wśród błota, i prasa angielska zabrzmiała hymnami pochwalnymi na cześć niezachwianej odwagi, nienaruszonego spokoju i niezłomnego uporu — Naczelnego Wodza! Nie była to wina prasy. Prawda była starannie omijana w komunikatach oficjalnych i w korespondencjach prasowych z frontu, poddawanych sprytnej i bezwzględnej cenzurze.

Dowódca atakującej armii, generał Gough, dał sam wierny opis warunków, w jakich żołnierzom jego kazano walczyć. Uważał sytuację za tak beznadziejną, że w połowie sierpnia doradzał Naczelnemu Wodzowi przerwanie bitwy.

„Stan gruntu był w tym czasie okropny. Podwożenie zapasów żywności i amunicji, ustawianie na pozycji i strzelanie z dział, które zapadały się często po osie — wszystko to wymagało nadludzkich wysiłków oficerów i żołnierzy, nawet w okresach, kiedy nie posuwaliśmy się naprzód, a zadanie polegało tylko na utrzymywaniu linii frontu. Kiedy zaś piechota miała przechodzić do ataku poprzez zapełnione wodą leje od pocisków, posuwanie się naprzód było tak męczące, że musiało odbywać się niesłychanie powoli. *Wobec tego zakomunikowałem Naczelnemu Wodzowi, że w takich warunkach powodzenie taktyczne jest niemożliwe do osiągnięcia — lub też kosztowałoby nas zbyt drogo — i doradzałem przerwanie ataku. Miałem w tym czasie wiele rozmów z Haigiem i powtarzałem swój pogląd niejednokrotnie, ale Haig odpowiadał, że atak musi być kontynuowany*“ *).

*) Generał sir H. Gough, „Piąta Armia“, s. 205. W tym samym czasie Haig komunikował rządowi: „Zbliża się szybko moment, kiedy nieprzyjaciel nie będzie w stanie utrzymać swoich pozycyj.“

Gough stara się usprawiedliwić opór Haiga twierdzeniem, że Wódz Naczelny miał istotne powody kontynuowania tych desperackich wysiłków — na przykład stan armii francuskiej i konieczność zaabsorbowania sił niemieckich, aby nie mogły one zadać ostatecznego ciosu Rosji. Haig wskazywał też na możliwość zwrócenia się Niemców przeciw Włochom. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że można było osiągnąć te same rezultaty, atakując przeciwnika na dogodniejszym terenie. Późniejsza operacja pod Cambrai wykazała, że na innych odcinkach jego własnego frontu istniały większe możliwości.

Gough, otrzymawszy rozkaz kontynuowania ofenzywy, przeprowadził nowy generalny atak 22-go sierpnia, ograniczył jednak zadanie ataku do osiągnięcia obiektów, położonych jak najbliżej dotychczasowych linij. Oto jak motywuje to zredukowanie rozmiarów operacji:

„Było rzeczą niemożliwą, aby żołnierze posuwali się naprzód na jakąś dalszą odległość; dążyłem do tego, aby ich możliwie jak najbardziej oszczędzać, stosując się jednocześnie do instrukcyj Kwatery Głównej, które nakazywały kontynuowanie bitwy".

Ludziom którzy nie wiedzą, jak tyranizująco działa na najuczciwszych ludzi etykieta zawodowa, musi wydać się rzeczą nie do wiary, że o wniosku Gougha, wzywającym Haiga do zaprzestania ofenzywy, gabinet nie został nigdy poinformowany. Czy wiedział o nim sir Wiliam Robertson — nie mam możności stwierdzić; nie wiem, do jakich granic sięga obowiązek dyskrecji wojskowych w tych sprawach. Czy zakazuje on tylko udzielania informacyj cywilom, czy też zakaz rozciąga się również na innych wojskowych, choćby ci zajmowali takie stanowiska, że bez posiadania prawdziwych informacyj nie mogą spełniać należycie swych obowiązków? Sir Wiliam Robertson powinien był o tym wiedzieć — a jeśli wiedział, obowiązek i honor nakazywał mu zakomunikować

tak ważny fakt rządowi. On i Haig zobowiązali się wobec gabinetu, że zaprzestaną ofenzywy z chwilą gdy stanie się rzeczą jasną, iż osiągnięcie zwycięstwa jest niemożliwe. W tym okresie domagałem się od Robertsona wykonania tej obietnicy — z zupełnie tych samych powodów, jakie wysuwał dowódca armii atakującej. Nie udało mi się go przekonać, że nadszedł moment powstrzymania ofenzywy, ale omawiając ze mną sprawę Robertson z pewnością nie powiedział mi ani słowa o tym, że generał który przeprowadzał całą operację zgadza się ze mną. Czy o tym wiedział? Jeśli nie wiedział, jest rzeczą słuszną aby ludzie, z którymi był wówczas na intymnej stopie, stwierdzili to dzisiaj. Haig w każdym razie wiedział o wszystkim.

W myśl rozkazów Kwatery Głównej Gough parł w dalszym ciągu naprzód, chociaż było już rzeczą najzupełniej oczywistą, że cel operacji jest niemożliwy do osiągnięcia. Jak się zdaje, Gough nie ukrywał swego punktu widzenia wobec Naczelnego Wodza, jednakże — jak opisuje Gough —

> „28-go (września) Haig zwołał konferencję, na której wypowiadał dość optymistyczne poglądy, twierdził że pod wpływem naszych ciągłych ataków rezerwy nieprzyjaciela zużywają się i że być może będziemy mogli wkrótce ruszyć naprzód, nie zadowalając się ograniczonymi, nieznacznymi posunięciami, jak dotąd. Uważał że czołgi —*a może nawet i kawaleria—pójdą naprzód*... Tej optymistycznej opinii nie usprawiedliwiała sytuacja taktyczna, jeśli brało się pod uwagę stan gruntu, zmęczenie naszych żołnierzy oraz odważne serca, które mimo wszystko wciąż jeszcze biły pod bluzami Niemców.
>
> List Plumera do Kwatery Głównej, który nadszedł w jakieś dwa dni później, ochłodził nieco te nadzieje..."

Mamy tu portret Naczelnego Wodza, który całkowicie utracił swoją równowagę umysłową. Generał Gough nie po-

trzebował zatym wcale czekać na zdobycie wzgórz ze swymi „masami kawalerii"! Nadszedł już moment wielkiej szarży, która miała pędzić przed sobą z niepowstrzymanym impetem rozbitego wroga, rozsypującego się po równinach Belgii — tak jak szwadrony pruskie ścigały niedobitków pokonanej armii Napoleona po Waterloo...

Jestem bardzo ciekaw, czy kiedy ukażą się wspomnienia sir Douglas Haiga, zostanie do nich włączony ów ważny list generała Plumera, zlewający zimną wodą te nieprzytomne nadzieje. O liście tym rząd nie został zawiadomiony. Czy Robertson wiedział o jego istnieniu? Haig wiedział o nim w każdym razie.

Obecnie wiem że wszyscy generałowie, którzy brali udział w tej bitwie, przeciwni byli jej kontynuowaniu i uważali za rzecz pewną, że cele jej są niemożliwe do osiągnięcia. Tylko sir Douglas Haig zachował wiarę w wartość swego projektu i w jego ostateczny tryumf. Jego zdaniem generałowie, prowadzący operacje, zniechęcali się zbyt szybko napływającymi raportami o trudnościach terenu. Haig był również w posiadaniu raportów, które podkreślały bardziej radosne nuty w sprawozdaniach, nadchodzących z pola bitwy. Co prawda, raporty te pochodziły od ludzi, którzy na polu bitwy nigdy nie byli; ich godnego podziwu spokoju i opanowania nie mógł wobec tego naruszyć widok okropnej rzeczywistości.

Sir Douglas Haig miał do wyboru dwie drogi. Mógł zwrócić się do gabinetu i przyznać, że ofenzywa okazała się całkowitym fiaskiem i że plan jej oparty był na absolutnie fałszywych przesłankach zasadniczych; w tym wypadku musiałby przyznać, że fakty potwierdziły krytyczną postawę premiera wobec projektu. Mógł też — była to druga możliwość — kontynuować z uporem natarcie, wiedząc że w najgorszym razie zdobędzie nieco terenu, a istnieje możliwość że pewnego dnia załamie się *morale* nieprzyjaciela, i będzie miał wtedy okazję wyzyskania jego porażki. Haig wolał kontynuować tę hazardowną grę, niż odważyć się na okropny krok — przyznania

się do błędu wobec polityków, którzy pozbawili dowództwa lorda Frencha za mniejszy błąd, popełniony przezeń pod Loos.

Gdyby Robertson i Haig powiedzieli mi wtedy że wszyscy generałowie, prowadzący operacje, uważają iż ofenzywa udać się nie może — gabinet wydałby katgoryczny nakaz przerwania jej; ale członkowie gabinetu nie byli przygotowani na tego rodzaju postępek, nie mający precedensu, bez poparcia jakichkolwiek poważnych czynników wojskowych. Jedyną odpowiedzią Robertsona i Haiga na moje żądania, aby przerwać ofenzywę, było powoływanie się na to, że sierpień okazał się wyjątkowo deszczowy; kiedy pogoda się poprawi — twierdzili — grunt będzie suchszy i posuwanie się naprzód łatwiejsze. Pogoda poprawiła się istotnie we wrześniu, ale teren stawał się — jeśli to było jeszcze możliwe — coraz gorszy i mimo, że walki toczyły się w czasie pogody, jakiej we wrześniu nie było od wielu lat — generał Gough pisze o tych walkach:

„Stan terenu był okropny w ciągu całego sierpnia, ale teraz stawał się zupełnie niemożliwy. *Najsilniejsi fizycznie ludzie posuwali się naprzód z największą trudnością i stanowili bardzo dogodny cel dla strzelców nieprzyjacielskich. Przedzierali się mimo to naprzód jak mogli*, ale karabiny ich były tak umazane i oblepione błotem, że nie nadawały się do użytku".

To był teren, na którym Haig kazał posuwać się czołgom i szarżować kawalerii — przy czym trwanie tego pochodu nie było ograniczone żadnym określonym obiektem! Piechota mogła się tylko „przedzierać", ale kawalerzyści mieli galopować! Resumé Gougha, poświęcone tej bitwie, jest bardzo obrazowe. Oto jedno zdanie:

„Wiele piór starało się opisać straszliwe błota, jakim pokryły się całe te niskie tereny — ale niewielu zdołało oddać ten obraz z należytą wyrazistością".

W czasie wyjątkowej pogody we wrześniu osiągnięto pewne ograniczone sukcesy; parę razy posuwaliśmy się po parę-set metrów i braliśmy trochę jeńców. Nie ulega wątpliwości, że aż do połowy września nieustające zacięte walki, połączone ze straszliwym ogniem artyleryjskim oraz zupełne nieliczenie się ze stratami ze strony atakujących, wywarły poważne wrażenie na armii niemieckiej. Nigdy jeszcze nie było takiego potopu pocisków. Ogień trwał przez 40 dni i 40 nocy, nie ustając ani na chwilę. Obliczają że w ciągu tego czasu wystrzeliliśmy ponad 25 milionów pocisków. Nigdy jeszcze nie okazywano tak bezwzględnej obojętności wobec strat, jakie ponosiły atakujące wojska. Ludzie nasi szli naprzód pod najstraszliwszym ogniem karabinów maszynowych, jaki zastosowany był w jakiejkolwiek bitwie, i padali tysiącami w każdym ataku. Ale dywizje za dywizjami posyłane były na tę rzeź, i żołnierze walczyli bohatersko, wykonywając niedorzeczne rozkazy dowództwa. Zdziesiątkowane i wyczerpane dywizje zastępowane były przez nowe. Ludendorff przyznaje w swej książce, że na skutek popełnionych przez Niemców błędów taktycznych sytuacja aż do połowy września napawała go poważną troską, i że na niektórych odcinkach wojska niemieckie nie stawiały takiego oporu, jakiego się po nich spodziewał. Zmienił wówczas taktykę, i wkrótce potym uznał, że niebezpieczeństwo minęło. My jednak atakowaliśmy w dalszym ciągu, posuwając się pozornie nieco naprzód, ale w gruncie rzeczy nie odnosząc żadnych sukcesów; jedynie w depeszach z frontu brzmiał nieprzerwanie ton tryumfu i zwycięstwa.

DOWÓDZTWO UKRYWA KLĘSKĘ.

W czasie kiedy trwały te walki, o których okropności opis mój nie może dać jeszcze właściwego pojęcia, i nasi dzielni żołnierze poświęcani byli z uporem fantastycznym koncepcjom Naczelnego Dowództwa, społeczeństwo w kraju — zarówno sfery oficjalne jak szeroka publiczność — karmione było dzień po dniu tendencyjnymi sprawozdaniami o odniesionych zwycięstwach i postępach, poczynionych na drodze ku jeszcze większym i donioślejszym tryumfom. Upadek ducha nieprzyjaciela stał się rzekomo tak głęboki, a nastrój jego tak niepewny, jak błota Passchendaele. Zapewniano nas, że manewry pokojowe Niemców są oznaką panującej wśród nich rozpaczy. W strachu przed nadchodzącą katastrofą, Niemcy apelują to do socjalistów, to znów do Kuhlmanna, wreszcie do papieża, aby tylko uzyskać jak najprędzej pokój. Sprawozdania jakie otrzymywał rząd nie odpowiadały zupełnie prawdzie; to uświadomiliśmy sobie wszyscy, gdy już było za późno. Akcje zwycięskie przedstawiane były w sposób bardzo przesadny, akcje które stanowiły w gruncie rzeczy naszą porażkę — przedstawiano jako „lokalne" zwycięstwa; pomniejszano liczby naszych strat, straty nieprzyjacielskie natomiast miały być rzekomo kolosalne. W ten sposób władze wojskowe przedstawiały sytuację rządowi; w tym też duchu prowadziły aktywną propagandę w prasie. Wszystkie fakty przykre i mogące usposobić nas pesymistycznie były ukrywane przed nami — każde natomiast źdźbło sukcesu było rozdymane. Na początku października zakomunikowano nam oficjalnie, że straty angielskie aż do 5-go października wynosiły 148.470 ludzi, niemieckie natomiast — 255.000. Obecnie wiemy, że w owej chwili

straty angielskie były niemal dwa razy większe od podanej liczby, a straty niemieckie na całym froncie naprzeciw linii brytyjskich wynosiły ogółem, od początku sierpnia aż do końca roku — 270.701 ludzi.

Każdy niepokojący fakt władze wojskowe umiały odpowiednio interpretować. Jeśli ktoś wskazywał na to, że bierzemy niewielu jeńców, i to przeważnie rannych, Szef Sztabu Obrony Imperialnej dawał natychmiast wyczerpujące wyjaśnienie: oto na skutek właściwości terenu Niemcy nie są obecnie — jak byli pod Vimy — odpowiednio okopani, i wobec tego nasz straszliwy ogień artylerii masakruje ich, zanim nasze oddziały mogą ich otoczyć. Jako dowód podawano olbrzymie (według naszych obliczeń) straty Niemców. Kiedy wskazywaliśmy, że w porównaniu z bitwą pod Arras liczba zdobytych dział niemieckich jest niewielka, mówiono nam, że Niemcy ustawiają swoje działa na wyżynie, znacznie poza swymi podziemnymi gniazdami oporu, i że zdobędziemy te działa, kiedy wyżyna wpadnie w nasze ręce.

Twierdzenia o upadku ducha wśród Niemców były czasem dowodem groteskowej łatwowierności. Szef Sztabu Imperialnego zakomunikował nam pewnego dnia, że „w okolicy Lille zauważono pożary; Niemcy palą niektóre wsie na północ od miasta, co jest być może wstępem do odwrotu na tym odcinku, nad którym dominuje wyżyna Messines".

Kiedyindziej opowiedziano nam inną fantastyczną historię, jako dowód przygotowań ze strony Niemców do wycofania się na innym odcinku; sir Wiliam Robertson uważał to za „dowód, że spodziewają się wszelkich ewentualności". Armie niemieckie pękają najwidoczniej pod uderzeniami młota Haiga; musimy wytrwać — osłabnięcie czy wahanie nasze w takiej chwili byłoby zaprzepaszczeniem możliwości ostatecznego zmiażdżenia wroga, a możliwość ta z każdym dniem rośnie...

Ktoś mógłby powiedzieć, że musieliśmy być bardzo naiwni, jeżeli daliśmy się nabrać tego rodzaju bezwartościową

gadaniną. Politycy narażeni są na wszelkiego rodzaju zarzuty na raz: są podejrzliwi, sprytni i snują swoje tajne zamysły, a jednocześnie są łatwowierni, naiwni i niemądrzy. W tym wypadku nie daliśmy się nabrać, lecz po prostu byliśmy pozbawieni wszelkiej możności dowiedzenia się o faktycznym stanie rzeczy na skutek całkowitego współdziałania Ministerstwa Wojny z Naczelnym Dowództwem. Jeśli chodzi o liczby strat naszych i nieprzyjacielskich — musieliśmy polegać na raportach, otrzymywanych i odpowiednio przesiewanych przez Ministerstwo Wojny, które starało się dowieść, że kontynuowanie ofenzywy jest konieczne. Raporty te przedstawiane były bezpośrednio nie nam, lecz Szefowi Sztabu, który uważał że powinien popierać Haiga za wszelką cenę i że — cokolwiek mógłby mówić o tym prywatnie — ofenzywa na froncie zachodnim nie może być dyskredytowana wobec jej przeciwników. Czyż mogliśmy wtedy okazać nieufność wobec tych dygnitarzy i w trakcie trwającej bitwy przeprowadzić własne dochodzenie co do taktyki Naczelnego Dowództwa, wzywając oficerów i żołnierzy aby powiedzieli nam, co myślą o swych przełożonych? Mieliśmy przed oczami przykład takiej napół jawnej interwencji rządu francuskiego w sprawie ofenzywy Nivelle'a. Niektórzy z pośród najwybitniejszych generałów francuskich byli przeciwnikami tej ofenzywy; podobnie niektórzy z pośród najzdolniejszych naszych generałów przeciwni byli wszczynaniu i kontynuowaniu ofenzywy pod Passchendaele. Ale między tymi dwoma wypadkami zachodziła istotna różnica: generałowie francuscy, którzy byli przeciwni proponowanej akcji, zakomunikowali rządowi szczerze swoje wątpliwości. Nasi generałowie wypowiedzieli swoje poglądy wobec Naczelnego Wodza, ale nie uczynili na ten temat najmniejszej aluzji wobec któregokolwiek z polityków. Jeden z nich powiedział mi później, że gdybym zapytał go wówczas o zdanie, uważałby że obowiązuje go przede wszystkim lojalność wobec wodza. Interwencja w sprawie ofenzywy Nivelle'a miała swoje strony ujemne: powstrzymała

ona ofenzywę, ale o mało co nie wywołała ogólnego buntu w armii francuskiej. Rezultaty jej mogły okazać się fatalne dla spójności i nastroju armii i pozbawiły ją na całe miesiące zdolności do jakiejkolwiek skutecznej akcji. Nie mogliśmy w owym momencie ryzykować powtórzenia tego eksperymentu. Armia brytyjska była w tej chwili jedyną armią w polu, na której można było bezwzględnie polegać w każdym przedsięwzięciu — nawet najbardziej ryzykownym i niebezpiecznym. Nie mogliśmy więc igrać z tą sprawą. Istnieje pogląd, że powinienem był wziąć na siebie to ryzyko i nie dopuścić do dalszej rzezi. Muszę wyznać że były — i są jeszcze— chwile, kiedy sam jestem tego zdania. Niech jednak ci, którzy potępiają mnie i cały gabinet za to, że nie podjęliśmy wówczas tego ryzyka, wezmą skrupulatnie i lojalnie pod uwagę wszystkie ówczesne okoliczności.

Bitwy pod Passchendaele nie można było przerwać bez dymisji sir Douglas Haiga. Sir Wiliam Robertson ustąpiłby również. Gdyby obydwaj odeszli bez żadnych uprzednich scysyj, które mogły denerwować armię, wywołałoby to uczucie ulgi wśród wszystkich walczących w okopach na całej długości naszego frontu. Nie mogłem jednak zrobić tego bez zgody rządu. W oddzielnych rozmowach z poszczególnymi członkami gabinetu starałem się wybadać ich pogląd na tę sprawę; mówiłem też z niektórymi przedstawicielami dominiów. Wszyscy — albo prawie wszyscy — z którymi mówiłem byli pod wrażeniem „zwycięstw", preparowanych w Naczelnym Dowództwie.

Nigdzie zresztą wiara w te imaginacyjne zwycięstwa nie była bardziej ekstatyczna niż w pałacu i wiosce, gdzie zakwaterowany był Feldmarszałek ze swoim sztabem.

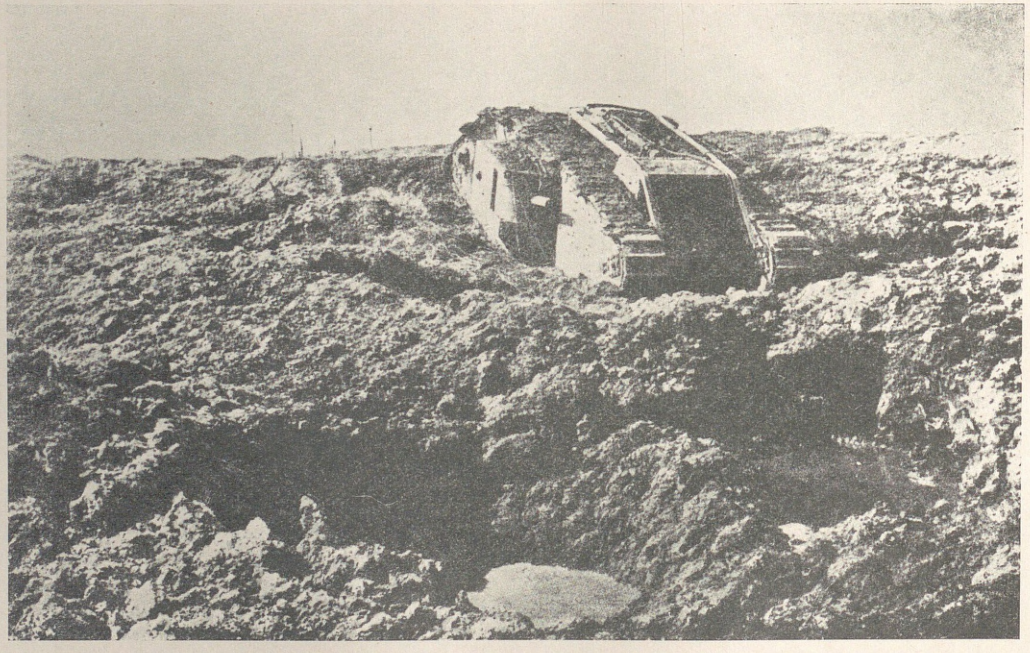
Byłem w Kwaterze Głównej pod koniec września. Panowała tam atmosfera egzaltacji. Nie było w tym żadnego udawania; Haig nie był aktorem. Promieniował. Nie znaczy to, aby zachowywał się chełpliwie — przeciwnie, był zupełnie spokojny i opanowany; chełpliwość nie należała wogóle do

jego wad. Biła odeń jednak satysfakcja i pewność siebie wodza, który prowadzi swoją armię powolnym, ale pewnym i niezachwianych krokiem, pokonywając wszystkie przeszkody — w tej liczbie również rady Plumera, Gougha i szefa rządu — ku przedostatniemu tryumfowi wojny. Tym razem tryumf należał wyłącznie do niego samego. Politycy próbowali wszak przeszkodzić mu w jego akcji; jego własni generałowie próbowali nieśmiało odciągnąć go od tej wielkiej imprezy. Wielkodusznie przebaczył nam wszystkim. Przyjął mnie życzliwie i gościnnie, nie dając mi odczuć żadnych upokorzeń Kanossy. Francuzi nie mogli pretendować do udziału w tym zwycięstwie, które łamało stos pacierzowy potężnej armii niemieckiej i pozostawiało, jako zadanie na rok 1918, tylko ostateczne załatwienie się z tą ruiną nerwową. Coś przecież trzeba zostawić Amerykanom — inaczej byliby rozczarowani.

Generał Charteris, będący sam wcieleniem tej „inteligencji" *) którą kierował, nie ukrywał także swego entuzjazmu. Wszystkie informacje, jakie otrzymywał, uważał za pomyślne. Jeśli było w nich coś, co mogło wywoływać pewne wątpliwości w bardziej krytycznych umysłach, generał Charteris tego nie dostrzegał. A gdyby nawet dostrzegał, zabezpieczony był przed ich zgubnym wpływem. Nic nie mogło zachwiać optymizmu, jakiemu dawał wyraz w swoich sprawozdaniach — będących raczej płodem temperamentu, niż chłodnych wyliczeń matematycznych. Z całej masy informacyj, jakie napływały do jego biura, dokonywał wyboru swoich „faktów", kierując się sympatią, a nie drogą namysłu. Pociągały go tylko zjawiska dodatnie — i tymi karmił siebie i nas.

Dla Haiga było naturalnie rzeczą przyjemną otrzymywać starannie dobrane i odpowiednio przyrządzone kąski „informacyj" o rozbitych niemieckich dywizjach, ciężkich niemieckich stratach i upadającym niemieckim duchu — poda-

*) „Intelligence Service" — służba wywiadowcza.



Teren bitwy pod Passchendaele w r. 1917

wane co dzień i przez cały dzień od rana do wieczora. Biło więc od niego zadowolenie i pewność siebie. Jego wielki plan rozwijał się znakomicie. Cała atmosfera tej małej, zamkniętej w sobie zbiorowości przepojona była owym optymizmem podwładnych pochlebców, który stanowi przekleństwo władzy despotycznej we wszelkiej jej postaci. Ta sama atmosfera w Chantilly stępiła wrodzoną bystrość Joffre'a i przewróciła w głowie Nivelle'owi. Oślepiła ona również cara, nie pozwalając mu dostrzec groźnych gór lodowych, które zbliżały się ze wszystkich stron do jego złotej łodzi i zmiażdżyły ją w końcu jak łupinę.

Kiedy potem nadszedł czas krytycznej oceny Passchendaele, sir Wiliam Robertson przypisywał główną winę tym optymistycznym raportom. Co się tyczy Szefa Sztabu, generała Kiggella—robił on wrażenie milczącego i kompetentnego fachowca, którego plany — obmyślone i opracowane w umiejętny sposób w ciszy pracowni — zdawały teraz pomyślnie egzamin praktyczny i prowadziły nieuchronnie do zamierzonego celu.

W czasie mego pobytu w Kwaterze Głównej Haig i jego sztab podkreślali niejednokrotnie upadek sprawności fizycznej i zapuszczenie zewnętrzne żołnierzy niemieckich, widoczne rzekomo wśród jeńców. Wyraziłem chęć obejrzenia ich. Propozycja przyjęta została bez żadnego entuzjazmu. Czy nie wolałbym zwiedzić wyżyny Vimy, skąd mógłbym obejrzeć pozycje niemieckie? Nie, wolałem jednak zobaczyć ostatnią partię jeńców. Pokazano mi ją — i uznałem że przedstawiają żałosny widok. Nie można było ich porównać do tych licznych grup, jakie oglądałem w pierwszych stadiach wojny. Dopiero w kilka lat po wojnie dowiedziałem się ze źródła, którego wiarogodność nie ulega żadnej wątpliwości, że z Naczelnego Dowództwa zatelefonowano wówczas do Piątej Armii z zawiadomieniem, że wkrótce przybędzie premier i pragnie udać się do sztabu korpusu, aby zobaczyć jeńców niemieckich. Polecono poinformować o tym dowództwo korpusu —

nie pamiętam o który korpus chodziło—i dać mu instrukcję, aby z pomieszczeń gdzie przebywali jeńcy usunąć wszystkich o dobrym fizycznym wyglądzie.

Czy to polecenie zostało przekazane odpowiednim władzom — o tym nie mam żadnych bezpośrednich informacyj; mogę jednak stwierdzić na pewno, że wśród jeńców których widziałem nie było ludzi, stanowiących dobry materiał wojskowy. Pewien jestem, że Wódz Naczelny nie brał udziału w tym niegodnym chwycie, mającym na celu oszukanie pierwszego ministra Korony. Chwyt jednak harmonizował zupełnie z wszystkimi wysiłkami, dążącymi do wywołania wrażenia, że chociaż nie posunęliśmy się bardzo w stronę belgijskiego wybrzeża — jednak drogę do naszego obiektu zagradzali nam żołnierze nie posiadający kwalifikacyj do okazywania zbyt długiego oporu przeciw naszym potężnym atakom.

Moje odwiedziny w Kwaterze Głównej miały na celu uzyskanie poglądu Naczelnego Wodza na sytuację w związku z propozycjami pokojowymi Kuhlmanna. Parę cytat z przed stawionego wówczas sprawozdania Haiga da pojęcie o przesadnym optymizmie, z jakim traktował rezultaty toczącej się jeszcze bitwy.

„W chwili obecnej na tym froncie znajduje się 147 dywizyj niemieckich, z których 135 musiało się cofnąć z zajmowanych pozycyj albo też zostało wycofanych na skutek rozbicia i ciężkich strat, poniesionych w okresie od 1 kwietnia; wiele z tych dywizyj wycofywano już po dwa razy, niektóre — po trzy razy. Co najmniej 77 dywizyj zostało pobitych w tym okresie w walce — niektóre kilkakrotnie — przez armię brytyjską. Podaję to żeby wykazać, do czego nasze wojska są zdolne.

„Ofenzywa nasza nawprost Ypres rozwija się w dalszym ciągu pomyślnie. Nieprzyjaciel jest niewątpliwie poważnie zachwiany, a teren jaki już zdobyliśmy daje nam poważne korzyści i zmniejsza naszą zależność od pogody w dalszym posuwaniu się naprzód. Wojska nasze są w dobrym nastroju

i pewne zwycięstwa; natomiast wojska nieprzyjacielskie muszą być przygnębione, i mamy dowody że tak jest.

„W takich okolicznościach nie ulega kwestii, że musimy prowadzić naszą ofenzywę możliwie jak najdłużej. Wszelkie dane przemawiają za tym, że będę mógł ją prowadzić jeszcze przez kilka tygodni, powiększając znacznie straty nieprzyjaciela i osłabiając nastrój jego wojsk, oraz uzyskując dla naszej armii o wiele korzystniejszą pozycję, z której podjąć będziemy mogli dalszą ofenzywę na wiosnę.

„Z pośród korzyści jakie już osiągnęliśmy wymienić należy fakt, że pod koniec tegorocznej kampanii wszystkie niemal punkty obserwacyjne, jakimi dysponował nieprzyjaciel, będą w naszych rękach — co ma poważne znaczenie.

„Można się spodziewać że na skutek poważnych strat, jakie nieprzerwana ofenzywa powoduje w szeregach nieprzyjacielskich, z obecnych jego rezerw, wynoszących 500.000 ludzi, pozostanie mu pod koniec roku co najwyżej bardzo nieznaczna część — nowy zaś rok rozpocznie zapewne z rezerwami, wynoszącymi 500.000 do 600.000 ludzi, włączając już w to cały rocznik 1899, który — sądząc według rocznika 1897 — będzie miał niewielką wartość bojową. Przy normalnych więc stratach — jeśli przyjąć pod uwagę, że rocznik 1900 nie będzie jeszcze w roku przyszłym gotów do walki — rezerwy ludzkie nieprzyjaciela zaczną topnieć w maju lub najpóźniej czerwcu 1918 r. Jest to czynnik pierwszorzędnego znaczenia; nieprzyjaciel nie uzyska przy tym żadnej ulgi, jeśli zawarty będzie pokój z Rosją i jeńcy niemieccy wrócą z Rosji do kraju — gdyż dopływ ten nie zdoła nawet zrównoważyć utraty wielkiej liczby jeńców rosyjskich, z których pracy korzystają obecnie Niemcy".

Po tym następowała zwykła porcja „informacyj" z biur Charterisa o niskiej jakości i rozkładzie dywizyj niemieckich:

„Dziewiętnaście dywizyj niemieckich, znajdujących się obecnie na tym froncie, ma bardzo małą wartość i na-

daje się tylko do operacyj obronnych na spokojnych odcinkach frontu; z pozostałych dywizyj, 135 doznało już ciężkich porażek w tym roku — a liczba takich dywizyj pobitych wzrośnie jeszcze w najbliższych paru tygodniach. Z ogólnej więc liczby 179 dywizyj niemieckich wartość co najmniej 154 (135 plus 19) należy uznać za poważnie obniżoną.

Siły niemieckie zastępowane są obecnie w poważnym stopniu przez uzupełnienia bardzo pośledniej jakości, i odsetek tych oddziałów o niewysokiej jakości w szeregach niemieckich będzie szybko rósł; w maju lub czerwcu rezerwy niemieckie będą wyczerpane".

Jeśli ktoś chce zrozumieć warunki, w jakich mieliśmy wtedy decydować o dalszej akcji, niech zapozna się z numerami któregokolwiek dziennika z owego okresu.

Starano się wówczas konsekwentnie i wytrwale o wytworzenie nastroju zbliżającego się epokowego zwycięstwa. Sprawozdania z frontu, oficjalne i nieoficjalne, zabarwione były coraz jaskrawszym optymizmem. Naczelne Dowództwo nie było w stanie zdobyć wyżyny Passchendaele, postanowiło jednak za wszelką cenę zdobyć Fleet Street *), i tutaj zastosowało wspaniałą strategię i taktykę. Korespondenci na froncie, jak również wybitni publicyści i właściciele dzienników zostali zupełnie opanowani. Lord Northcliffe był już od 1916 r. wiernym echem sir Douglas Haiga i rzecznikiem poglądów sir Wiliama Robertsona.

Sprawozdania *Times'a* były wobec tego pełne ekstazy We wrześniu wywiązała się zacięta bitwa, w czasie której posunęliśmy się na niezbyt wielkim odcinku o jakieś 1000 jardów wgłąb przyfrontowej strefy nieprzyjacielskiej. Wzięliś-

*) Ulica, na której mieszczą się redakcje dzienników w Londynie. *(Przyp. tłum.)*

my około 3000 jeńców, nie ma jednak żadnych śladów, abyśmy zdobyli jakieś działa. Ponieśliśmy poważne straty. Sprawozdanie specjalnego korespondenta *Times'a* zatytułowane było sensacyjnie:

Opór obronny Niemiec przełamany.

W swoim sprawozdaniu korespondent pisze:

„W bitwie tej przełamaliśmy skomplikowany system umocnień obronnych, który był tryumfem strategów niemieckich. Na tym polega największe znaczenie strategiczne tego ataku. Nie chodzi tu tylko o zdobycie nadzwyczaj ważnego terenu, ani o szereg rozbitych przez nas pułków niemieckich; chodzi o to, że *przełamaliśmy, i to przełamaliśmy od jednego uderzenia,* w ciągu trzech czy czterech godzin, cały system umocnień niemieckich".

W rzeczywistości cały sukces sprowadzał się do tego, że za cenę ciężkich strat odepchnęliśmy nieprzyjaciela o niespełna dwie trzecie mili na niedużym odcinku frontu. Wyżyna, której zdobycie było pierwszym celem bitwy, znajdowała się — po tygodniach krwawych walk — w dalszym ciągu w rękach nieprzyjaciela, i większa jej część pozostała w jego rękach w momencie, kiedy Wódz Naczelny przerwał ostatecznie bitwę. Musieliśmy więc odnosić nowe „druzgocące zwycięstwo", odpychając nieprzyjaciela o dalszy kilometr i zbierając dalsze 3000 rannych żołnierzy niemieckich ze zdobytego terytorium. Ta nowa pozycja stała się w początku października punktem wyjścia nowego z kolei oszołamiającego tryumfu, polegającego na posunięciu się o paręset jardów naprzód.

Ta ostatnia bitwa, która nie dała nam żadnych istotnych korzyści taktycznych, nie mówiąc już o strategicznych, sławiona była w *Timesie* jako „najpoważniejsze zwycięstwo angielskie w ciągu roku". Dziennik ten pisał:

„Krótko mówiąc, konkretne zadanie jakie wyznaczył sir Douglas Haig swoim armiom, zostało niemal całkowicie wykonane".

Zdobyliśmy dwa czy trzy kilometry wyżyny, która, *według oświadczenia sir Douglas Haiga, stanowiła dopiero pierwszy obiekt bitwy.*

W rzeczywistości całe dziesięć tygodni straszliwych walk — włączając już i tę ostatnią bitwę — nie dały nam nawet jednej szóstej tego pierwszego obiektu.

Times poświęcił dzień po dniu dwa wstępne artykuły „zwycięstwu pod Broodseinde", jak to wówczas nazwano. Kto dziś pamięta tę nazwę? W każdym z artykułów *Times* omawiał osiągnięte rezultaty w nastroju zgoła lirycznym. Zapewniał swoich czytelników że „osiągnięcie naszego celu jest już niewątpliwe". Społeczeństwu angielskiemu kazano się cieszyć, że wreszcie wojska nasze widzą już Bruges. Nie powiedziano nam jednak, że byliśmy jeszcze o 15 mil od tego miasta; nie przypomniano i tego, że Niemcy widzieli Ypres — oddalone tylko o dwie mile od ich linij — przez trzy lata z górą. Artykuł wychwalał metodę, przy której pomocy sir Douglas Haig odzyskiwał z powrotem to, co utraciliśmy w czasie pierwszej bitwy pod Ypres; Naczelny Wódz, czytamy,

„działa powoli, konsekwentnie i z uporem, który zjednywa mu podziw całego świata...

Z każdym kolejnym uderzeniem organizacja staje się bardziej precyzyjna, nasze straty mniejsze, osiągnięcie zamierzonych rezultatów bardziej pewne..."

Ale *Times nie* stanowił jszcze całej orkiestry. Byli w niej i inni, pomniejsi muzykanci.

Sir Philip Gibbs, w przedmowie do wydanego powtórnie zbioru jego korespondencyj z frontu, rzuca pewne światło na trudności, na jakie napotykał w swej pracy korespondent

wojenny. Gibbs wyraża się tu bardzo powściągliwie, ponieważ w czasie kiedy książka wychodziła był jeszcze w dalszym ciągu korespondentem:

„W książce tej nie ma żadnych uwag krytycznych, żadnych opinij o postępowaniu ludzi, żadnych szczegółowych wniosków, dotyczących sukcesów czy niepowodzeń. Te sprawy nie wchodzą w zakres moich możliwości ani obowiązków, jako korespondenta na froncie".

Jednakże jego poczucie obowiązku wobec społeczeństwa i wobec rodzin, które oczekiwały odeń prawdziwego opisu tego co przeżywali na froncie ich bracia, synowie i mężowie, nie przeszkadzało mu pomijać milczeniem wszelkiego niepowodzenia czy odwrotu, ani przesadzać w niesłychany sposób wszelkiego najdrobniejszego posunięcia się naprzód, okupionego straszliwymi stratami (które również zatajał). Sprawozdania jego wywierały nawet wrażenie, że seria odniesionych we Flandrii zwycięstw może wkrótce doprowadzić do zawarcia zwycięskiego pokoju. Oto próbka tego rodzaju entuzjastycznego reportażu, na jaki byliśmy skazani:

„Jeden z jeńców, pewien profesor... sądzi że wkrótce już Niemcy wystąpią z wielką propozycją pokojową, wyrażając gotowość oddania Belgii. W zimie gotowi będą oddać Alzację i Lotaryngię; Rosja pozostanie w swoich przedwojennych granicach — choć Polska otrzyma autonomię; Włochy zatrzymają to co zdobyły, a Niemcy dostaną z powrotem część swoich kolonij — tak sądzi profesor" *).

Nie wiem, czy Gibbs mówił sam z owym usłużnym profesorem, czy też tego smakołyku informacyjnego dostarczył

*) Sir Philip Gibbs, *From Bapaume to Passchendaele*, s. 320.

mu Wydział Wywiadowczy. Wiemy tylko tyle, że w rezultacie kolejnej „straszliwej porażki wroga" nie stało się nic poza zdobyciem przez nas ruin jakiejś wioski i przygotowaniami do dalszych zwycięstw tego samego rodzaju — ogłaszanych potem znów jako „tryumfy bez precedensu". A w czasie gdy tak tryumfalnie czołgaliśmy się poprzez błota, Ludendorff wysyłał dywizje do Rosji dla zdobycia Rygi i na front włoski z pomocą Austriakom.

Walki trwały aż do pierwszych dni grudnia. W momencie kiedy się ostatecznie skończyły, ofenzywa nie osiągnęła żadnego z zamierzonych pierwotnie celów. Nie odepchnęliśmy nieprzyjaciela od wybrzeża Belgii. Nie przedarliśmy się przez umocnienia niemieckie w otwarte pole. Szarża kawaleryjska nie nastąpiła. Ani jeden koń kawaleryjski nie dotknął swymi kopytami błota pod Passchendaele. Jeśli czytelnik obejrzy sobie raz jeszcze mapkę, zrozumie lepiej, jak kompletnym fiaskiem skończyła się ta straszliwa bitwa. Zobaczy oznaczone na mapce poszczególne stadia, jakimi zdążać mieliśmy do ostatecznego celu. Wyżyna Passchendaele-Staden stanowiła tylko pierwsze stadium — a w tym jej miejscu, w którym posunęliśmy się najdalej naprzód, byliśmy teraz dopiero o pięć mil od punktu wyjścia ataku. Od ostatecznego obiektu ofenzywy dzieliło nas jeszcze 25 mil. Wyżyna stanowiąca pierwsze stadium miała 18 mil szerokości. Po przeszło czteromiesięcznych straszliwych walkach, w których straty nasze sięgały 400.000 ludzi i w których zużyliśmy olbrzymie zapasy amunicji i obrzuciliśmy nieprzyjaciela potopem pocisków wybuchowych, jakiego nie widziało jeszcze żadne pole bitwy — posunęliśmy się tylko o pięć mil wgłąb wyżyny, to znaczy wykonaliśmy tylko jedną czwartą mniej więcej tego posunięcia, jakie mieliśmy wykonać w pierwszym stadium ataku. Aby wykonać całkowite zadanie, musielibyśmy atakować jeszcze szereg linij i przełamać je. W ciągu całej bitwy zajęliśmy mniej nowego terenu, wzięliśmy mniej jeńców i zdobyliśmy mniej dział, niż w czasie pogardliwie traktowa-

nej ofenzywy Nivelle'a (dział wówczas zdobyliśmy cztery razy więcej), — i to pomimo że straty nasze pod Passchendaele były prawie trzykrotnie większe od strat poniesionych w trakcie tej operacji, o której w sztabie naszym mówiono zawsze jako o „fiasku".

Kiedy we wrześniu stało się rzeczą jasną, że przerwanie frontu nieprzyjacielskiego jest nie do przeprowadzenia i że o uwolnieniu wybrzeży Flandrii w ciągu roku 1917 nie ma mowy, Naczelne Dowództwo zmieniło cele swojej strategii, oświadczając że dąży do „wyniszczenia wroga". Jakże przedstawiała się ta sprawa? W czasie naszych głównych i pomocniczych ataków utraciliśmy 400.000 ludzi; nieprzyjaciel nie stracił nawet w ciągu tego okresu na całym froncie brytyjskim 250.000 ludzi. Stosunek naszych strat do strat niemieckich wynosił 5 : 3. W swojej ofenzywie przeciw Verdun Niemcy mieli to usprawiedliwienie, że na każdych trzech żołnierzy których sami tracili, pięciu żołnierzy francuskich ubywało z szeregów. My nie mieliśmy nawet takiego usprawiedliwienia dla szaleństwa, z jakim kontynuowaliśmy ofenzywę pod Passchendaele. Bilans walki o wyniszczenie, który już przed tym był bardzo dla nas niekorzystny, zmienił się po bitwie jeszcze bardziej na naszą niekorzyść. Francuzi i Anglicy utracili od początku wojny przeszło pięć milionów ludzi; Niemcy — trzy miliony. Wiadomo mi że czynione są wielkie wysiłki, aby odpowiednio „obrobić" listy strat — zarówno angielskich jak niemieckich — i otrzymać w ten sposób bardziej pomyślny dla nas bilans całej tej imprezy. Jest to postępowanie nieuczciwe, zarówno w przedsiębiorstwie handlowym jak w pracy historycznej, niezależnie od tego, kto i w jakim celu je inspiruje. Nie może być żadnym usprawiedliwieniem dla historyka fakt, że takie preparowanie dokumentów odbywa się w duchu, zgodnym z ówczesnymi raportami Kwatery Głównej, które donosiły o serii wielkich zwycięstw, podczas gdy koniec końców ponieśliśmy katastrofalną porażkę — tak jak nie byłoby usprawiedliwieniem dla buchaltera,

gdyby tłumaczył swoje manipulacje z zapisami w księgach tym, że chciał w ten sposób uzgodnić je ze sprawozdaniami dyrektora przedsiębiorstwa. Jest to znana procedura; stosuje ją się wtedy, kiedy chodzi o wprowadzenie w błąd publiczności co do istniejącego deficytu. Redukuje się wówczas straty, a wyolbrzymia zyski — tak aby przedsiębiorstwo wykazywało w rezultacie czysty dochód.

Tyle o krwawej i nieludzkiej walce „na wybijanie się" na froncie zachodnim. Na froncie wschodnim kończyła się ona opuszczaniem pola bitwy przez miliony Rosjan i setki tysięcy Rumunów.

Cała ta koncepcja była fatalnym błędem. Ludzie, odpowiedzialni za obmyślenie planu operacyj i za uporczywe trzymanie się go wtedy, gdy okazał się już fiaskiem, pozbawieni byli wyobraźni. Cała wyobraźnia skoncentrowana była w Wydziale Informacyjnym; natomiast Wydział Planów nie posiadał jej w najmniejszym stopniu. W braku tego rzadkiego daru należało zbadać skrupulatnie warunki terenowe i zanalizować uczciwie i starannie stan rezerw ludzkich i zapasów amunicji nieprzyjaciela. Ale niestety ani sztabowy oficer, który opracowywał jeden za drugim plany ataków po nieprzebytym bagnie, ani generał który stał na czele instytucji, zwanej dla ironii „Intelligence Service", i którego zadaniem było sprawdzać krytycznie nadchodzące informacje i przygotowywać odpowiednie raporty, stanowiące podstawę planów operacyjnych — nie byli nigdy sami dostatecznie blisko pola bitwy, aby móc na własne oczy przekonać się, jak ono wygląda. Pracowali pod dachem dalekiego zamku, opierając się na optymistycznych raportach, nie widząc błota i nie słysząc śmiercionośnego terkotania karabinów maszynowych. Kiedy plany były przedstawione i zaaprobowane, fatalny atrament — z którego po kilku dniach rodziła się krew ludzka — tworzył instrukcje i rozkazy; na papierki te nie padała ani jedna kropla owego straszliwego deszczu, który zatapiał rannych wojowników, padających w daremnym wy-

siłku zrealizowania tych papierowych marzeń. Jeśli Kwatera Główna otrzymywała jakiekolwiek raporty, dotyczące warunków, w jakich ludzie nasi mieli walczyć — nie przekazała w każdym razie nigdy tych raportów rządowi. Czy widział je Wódz Naczelny? Gough poinformował go nieco o istniejącym stanie rzeczy. Ale Haig nie był człowiekiem, który zachęcałby do przedstawiania zniechęcających raportów.

Katastrofa spowodowana była w dużym stopniu przez zmiany, jakie wywołała technika wojny współczesnej w możliwościach, a wobec tego i w osobistym ryzyku i odpowiedzialności dowódców. Pod Waterloo Napoleon i Wellington mogli obejmować wzrokiem całe pole bitwy, a przy pomocy lornetek — widzieć dokładnie każde wzniesienie i wgłębienie trenu. I mimo to Napoleon nie zauważył położonej w głębi drogi.

We współczesnej jednak wojnie, im wyższy dowódca — tym mniej uważa za swój obowiązek oglądać samemu teren bitwy. Generałowie Wellingtona byli razem z wojskiem w polu. W ostatniej wojnie nie oczekiwało się od żadnego generała — ta uwaga dotyczy wszystkich armij po obu stronach frontu — że znajdzie się osobiście na „ziemi niczyjej" — chyba że nieprzyjaciel odszedł już daleko i pole bitwy stało się bezpieczne dla wysokich szarż. Byli generałowie, którzy narażali swe życie, aby dać przykład żołnierzom i osobiście zobaczyć pole bitwy — i niektórzy z nich w trakcie tego polegli; regułą jednak było, że generałowie nie prowadzą, lecz wysyłają swoje wojska do boju. Być może że przemiana ta stała się nieunikniona wobec charakteru i skali, w jakiej prowadzone są dziś operacje wojenne, oraz wobec zakresu działania nowoczesnej broni; nie można jednak przemiany tak rewolucyjnej usprawiedliwiać zwiększonym ryzykiem osobistym. Admirałowie w czasie bitwy morskiej narażają się tak samo, jak marynarze. Odstąpienie od tradycyjnych pojęć, wymagających od dowódców obserwacyj osobistych, wywołane jest bądź przez przesądną ocenę znaczenia każdego poszczególnego

generała, bądź też przez niedocenianie kwalifikacyj innych wyższych oficerów, którzy mogą zastąpić swych przełożonych. W ostatniej wojnie za bezpieczeństwo generałów zapłacona została cena olbrzymia. Nikt nie twierdzi, że obowiązkiem generałów jest prowadzenie żołnierzy aż do nieprzyjacielskich drutów kolczastych, poprzez bagna i pod ogniem karabinów maszynowych; gdyby jednak wyżsi oficerowie mieli obowiązek z chwilą, gdy wydają rozkazy rozpoczęcia czy kontynuowania ofenzywy, zapoznać się przed tym osobiście z rodzajem terenu, na którym ma się odbyć atak, i z charakterem operacyj jakie polecają wykonać swoim podwładnym — bezpłodne ataki nad Sommą, pod Monchy, Bullecourt, Chemin des Dames i Passchendaele nigdyby nie nastąpiły; co najwyżej wystarczyłoby jedno tego rodzaju doświadczenie.

Nie do mnie należy wypowiadanie opinii, czy zmiana w obowiązkach generałów i w grożącym im niebezpieczeństwie wywołana została przez czynniki, które ją w dostateczny sposób uzasadniają. Mam jednak prawo uczynić następującą uwagę: jeśli generałowie nie mają już dziś potrzeby iść razem ze swoimi żołnierzami do ataku, ani nawet znajdować się w strefie ognia — w takim razie powinni z większą niż kiedykolwiek skrupulatnością zbadać rodzaj zadania, jakie polecają wojsku wykonać. Niezależnie od kwalifikacyj, jakie powinny cechować dowódcę, wymaga tego koleżeństwo i prosta przyzwoitość. Ludzie którzy kazali z uporem kontynuować ataki pod Passchendaele nie mogli znać warunków, w jakich ich rozkazy musiały być wykonywane. Przypuszczenie że było inaczej przynosiłoby ujmę ich inteligencji, nie mówiąc już o ludzkich uczuciach. Przytaczałem wiarogodne świadectwa na dowód, że niektórzy z dowódców nie mieli pojęcia o istotnym stanie terenu, na którym kazali posuwać się ludziom i czołgom. Gough wiedział o istniejących warunkach i zakomunikował swoje wrażenia Haigowi; ale Wódz Naczelny tak był pochłonięty swoją obsesją, że nie zrobiło to na nim zdaje się wrażenia. Apologeci Haiga wskazują na je-

go upór, jako na dowód najwyższej odwagi, nie cofającej się przed żadnym niebezpieczeństwem ani żadną przeszkodą. To że przeszkody i niebezpieczeństwa oczekiwały tylko innych, a nie jego samego, nie wpływało — jestem tego pewien — na jego decyzję; gdyby był oficerem niższego stopnia, poszedłby naprzód bez szemrania. Nikt nie podawał nigdy w wątpliwość jego odwagi osobistej. O wiele większej jednak odwagi wymagało od niego przyznanie się, że popełnił poważny błąd, że operacja którą planował była niemożliwa do przeprowadzenia, że krótko mówiąc on się mylił, a rację mieli podlegający mu generałowie i wtrącający się doń politycy.

Tak więc Naczelne Dowództwo nie obserwowało nigdy — nawet przez lornetkę polową — ataków, które polecało przeprowadzać; widziało je tylko na starannie rysowanych mapach, na których atakujące bataliony reprezentował ołówek, posuwający się z łatwością przez bagniska i zaznaczający tryumfalnie osiągane postępy, nie ponosząc przy tym żadnych strat. Co się tyczy błota — nie hamowało ono nigdy poruszeń tego niepowstrzymanego ołówka.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nic nie mogło wytrącić z równowagi sztabu, pracującego w takich warunkach. Oficerowie sztabowi mogli sobie pozwolić na to, aby być wcieleniem bezwzględności i cudzego bohaterstwa: byli to bogowie wojny, przebywali jednak nie na polu bitwy, lecz w swojej świątyni.

W czasie gdy trwały te straszliwe walki, miałem możność rozmawiania z jednym z najwybitniejszych doradców wojskowych Haiga, który potem wyznał, że nie miał pojęcia o istotnych warunkach, w jakich toczyła się walka. Poprosiłem go wówczas, aby rozważył raz jeszcze sensowność całej ofenzywy, biorąc pod uwagę jej rzeczywisty przebieg. Ale i on przejął się wigorem swego szefa; mnie traktował jako głupiego cywila, który nic o wojnie nie wie. Kiedy wzmiankowa-

łem o naszych okropnych stratach, odpowiedział mi, że nie można prowadzić wojny bez zabitych i rannych. Kiedy wskazywałem na podjęcie operacyj w okresie deszczów, kiedy rozmokły grunt uniemożliwiał posuwanie się czołgów, artylerii i ludzi, odpowiedział: „Bitew nie można przerywać z powodu deszczu, jak partyj tenisa". Sam Mars przemawiał przez niego — chociaż, pomyślałem sobie, jest to Mars z otwartym parasolem.

Co do wpływu ofenzywy na nastrój wojsk niemieckich— nie ulega wątpliwości, że w tej długiej walce ponosiły one ciężkie straty. Obrońcy Passchendaele twierdzą, że straciły w niej wielu oficerów; w rzeczywistości jednak ich straty pod tym względem nie dają się porównać z naszymi. My utraciliśmy 17.000 oficerów — to jest siedmiu na każdych dwóch, utraconych przez nich. Strata była dla nich poważna — ale dla nas utrata oficerów i podoficerów był rzeczą o wiele poważniejszą niż dla nich, ponieważ Niemcy mieli znacznie większą od nas liczbę ludzi, posiadających dłuższe wyszkolenie wojskowe i mogących zapełnić powstałe luki. Co do strat wśród podoficerów — oficerowie dobrze wiedzą, w jakim stopniu zależni są od bystrości i doświadczenia swoich pomocników; nasze straty wśród podoficerów były nie do powetowania. Na twierdzenie, że wyczerpaliśmy rezerwy nieprzyjaciela i osłabiliśmy jego ducha, najlepszą odpowiedzią jest fakt, że w czasie najgorętszych ataków, kiedy chwaliliśmy się, że rezerwy niemieckie już niemal nie istnieją, Ludendorff wysłał kilka dywizyj dla zdobycia Rygi. Kiedy tryumfowaliśmy z powodu tak zwanego „decydującego zwycięstwa" pod Broodseinde, odpowiedzią Ludendorffa na nasze peany było posłanie pięciu dywizyj do Austrii dla wszczęcia potężnej ofenzywy przeciw Włochom. A kiedy myśleliśmy, że już ostatnie rezerwy niemieckie zostały wysłane na rachunek Austrii, Niemcy znaleźli jeszcze na froncie zachodnim czternaście dywizyj, aby całkowicie zahamować naszą ofenzywę pod Cam-

brai. Jak wynika z tego, w chwili kiedy twierdziliśmy, że udało nam się przerwać pierścień umocnień niemieckich, Naczelne Dowództwo niemieckie uznało już naszą ofenzywę za zdecydowane fiasko,i postępowało w myśl tej oceny.

KONSEKWENCJE PASSCHENDAELE.

Żaden wojskowy, posiadający choć odrobinę inteligencji, nie broni już dzisiaj tej bezsensownej kampanii— chyba że w pewnym stopniu ponosi za nią odpowiedzialność.

Jak już podkreśliłem, nie osiągnęliśmy nawet tego, co miało być pierwszym obiektem ofenzywy. Kampania znana jest obecnie pod nazwą „bitwy pod Passchendaele", ale po zajęciu tej wsi mieliśmy w ręku dopiero czwartą część pierwszej wyżyny, która miała być punktem wyjścia dalszego ataku. W rezultacie front nasz tworzył tu teraz występ jeszcze węższy, niż fatalny występ pod Ypres, który tyle już nas przed tym kosztował. Linie nasze były otoczone przez nieprzyjaciela z trzech stron, przy czym umocnienia nieprzyjacielskie podchodziły w niektórych punktach bliżej do naszych pozycyj, niż to było pod Ypres przed rozpoczęciem bitwy. Wkrótce po zaprzestaniu ataków dowództwo uświadomiło sobie, że poniósłszy straty, wynoszące 400.000 ludzi, armia brytyjska zmuszona została w dodatku do zajęcia pozycyj bardziej niebezpiecznych, niż te jakie zajmowała przed bitwą. 13-go grudnia Kwatera Główna ogłosiła jeden z najbardziej zastanawiających dokumentów, jakie zostały kiedykolwiek ogłoszone przez sztab zwycięskiej armii. Dokument ten rzuca takie światło na odniesione wielkie tryumfy, że zacytuję go dosłownie:

„... wydaje się następujące specjalne instrukcje, dotyczące postępowania, jakie należy zastosować na odcinkach frontu w okolicy Flesquières i Passchendaele.

Te wybrzuszenia frontu nie nadają się do tego, aby

na ich linii toczyć decydującą bitwę. Jest jednak rzeczą pożądaną utrzymać je w naszych rękach, chyba że byłyby atakowane wielkimi siłami; w tym zaś wypadku należy wykorzystać je do spowodowania możliwie największych strat w szeregach nieprzyjaciela, zanim osiągną one naszą strefę obronną — ta zaś przebiegać będzie w przybliżeniu wzdłuż cięciwy, stanowiącej podstawę każdego wybrzuszenia.

W myśl powyższego, wzmiankowane linie będą bronione z całą zaciętością, dopóki strefy obronne za nimi nie zostaną przygotowane. Linie obecne przekształcone będą wówczas w wysunięte naprzód, umocnione „placówki"; w miarę organizowania tych umocnień obsadę ich będzie można redukować odpowiednio do powierzonych im zadań".

Nie potrzebuję chyba dodawać, że dokument ten nie został pokazany gabinetowi. Nie można się temu dziwić — gdyż stanowi on stwierdzenie na piśmie ze strony Naczelnego Dowództwa, że jedynym strategicznym i taktycznym rezultatem, osiągniętym po straszliwych walkach, które o mało nie spowodowały załamania się armii brytyjskiej — było zajęcie linij, które „nie nadają się do toczenia na nich decydującej bitwy" i których nie można byłoby utrzymać, jeśli zostałyby „zaatakowane wielkimi siłami". Poza tym mamy tu polecenie stosowania taktyki, przejętej od Niemców i polegającej na takim zorganizowaniu linij obronnych, aby nieprzyjaciel płacić musiał za każdą zdobycz terenową. W rzeczywistości zresztą, gdy w kwietniu 1918 r. przewidywany atak nastąpił, nieprzyjaciel odzyskał cały utracony pod Passchendaele teren po parogodzinnej walce i z nieznacznymi stosunkowo stratami.

Fiasko bitwy pod Passchendaele osłabiło szanse naszego ostatecznego zwycięstwa. Gdyby nie upadek nastroju ludności w Niemczech na skutek blokady, połączony z niepowo-

dzeniem kampanii podwodnej i z rosnącą szybko liczbą wojsk amerykańskich, przybywających do Francji — nasza ofenzywa we Flandrii w r. 1917 mogła odbić się na przebiegu operacyj wojennych w r. 1918 w sposób fatalny dla Koalicji.

Odpowiedź Wellingtona, kiedy namawiano go do ryzykownych operacyj, brzmiała: „To jest jedyna armia, jaką ma Anglia". Z trudnością rząd dał mu wówczas do dyspozycji 30.000 ludzi. W wojnie jednak 1914—1918 r. generałowie wiedzieli, że każdy mężczyzna zdolny do noszenia broni — nie wyłączając ludzi w średnim wieku — może być powołany do szeregów. Bolał ich każdy mężczyzna, pozostawiony w kraju w związku z wykonywaniem jakiejś niezbędnej pracy; nie przestawali na ten temat wyrzekać i zrzędzić. Trwonili życie ludzi, którymi dysponowali, w bezsensownych atakach na niezdobyte pozycje — nie bacząc na doświadczenia wszystkich wojen, toczonych przy użyciu nowoczesnej broni; potem zaś posyłali do kraju zapotrzebowania na nowe oddziały, aby zapełniać powstałe luki przy pomocy niewyczerpanych zasobów ludzkich Anglii. Jeśli zapotrzebowania te nie były natychmiast wykonywane, nadchodziły skargi, wyrzuty i pełne irytacji oświadczenia, że bez zapełnienia luk osiągnięcie zwycięstwa jest niemożliwe. Większość tych luk spowodowana była nieudolnością i brakiem inteligencji dowództwa. Marnotrawstwo zasobów wszelkiego rodzaju było okropne. W czasie kiedy setki tysięcy ludzi ginęło na skutek obłędnej obsesji pod Passchendaele, Haig podkreślał w każdym swym piśmie konieczność przysłania mu posiłków dla zapełnienia luki po tych, których posłał na śmierć w bagna. Każdy, kto ośmielał się zapytać w imieniu Anglii: „Gdzie są moje zmarnowane legiony?" — był zdrajcą wobec armii i „napadał na żołnierzy". W prasie, sprzyjającej Ministerstwu Wojny, słowo „żołnierz" oznaczało zawsze tych, którzy pełnili służbę zdala od linii frontowych. Aby przeszkodzić amatorom przekręcania cudzych myśli, gotowym zawsze „źle zrozumieć" dane słowa, powtórzę raz jeszcze co już mówiłem: nie ulega dla mnie wąt-

pliwości, na zasadzie tego co wiem o wyższych oficerach, że gdyby w skład ich obowiązków wchodziło prowadzenie żołnierzy i narażania się na takie same jak oni niebezpieczeństwa — uczyniliby to bez żadnego wahania. Nie mam zamiaru ustalać czy doszukiwać się jakichś rozróżnień między żołnierzami liniowymi i tymi, którzy nie brali bezpośredniego udziału w walce; chodzi mi wyłącznie o to, że ludzie którzy podjęli się dobrowolnie tak zwanej „obrony żołnierzy przed politykami" ograniczali się zawsze do obrony tej drugiej grupy żołnierzy. Nie przypominam sobie ani jednego artykułu, w którym domagaliby się obrony żołnierzy liniowych przed strategią, skazującą ich na bezpłodną rzeź w imię źle pomyślanych planów.

Nie pozostało to bez wpływu na nastrój armii. Buchan w swojej „Historii Wojny" — książce całkowicie przychylnej dla dowództwa — mówi o skutkach bitwy pod Passchendaele:

> „Po raz pierwszy niemal od początku wojny uczucie zniechęcenia ogarnęło nasz front. Ludzie uważali, że poświęca ich się bez zastanowienia, że walczą w gruncie rzeczy tylko żołnierze i że takie „walenie młotem" jest taktyką zbyt prostacką, aby można nią było osiągnąć zamierzone rezultaty. Była chwila, kiedy zaufanie do dowództwa w armii brytyjskiej stajało. Nie ma znaczenia, jeśli taki nastrój panuje wśród dziennikarzy i polityków; ma jednak wielkie znaczenie, jeżeli istnieje wśród wojsk na froncie" *).

P. Buchan pisał to, gdy był jeszcze w mundurze, ale nawet jak na oficera sztabowego ta pogarda wobec dziennikarzy i polityków jest dość lekkomyślna i bezpodstawna. W długotrwałej wojnie nastrój społeczeństwa na tyłach jest rzeczą istotną; podtrzymując ten nastrój wbrew rozczarowa-

*) John Buchan, *A History of the Great War*, t. III, s. 592.

niom, dziennikarz i polityk do czegoś się jednak przydają. Politycy odpowiedzialni są ponadto za zorganizowanie zasobów kraju. Ale chociaż mają oni znaczenie — p. Buchan miałby rację, gdyby powiedział, że upadek ducha wśród wojsk ma znaczenie największe.

Według cytowanego autora, główne ostrze krytyki skierowane było przeciw generałowi Gough:

> „Dobra opinia, jaką się dawno cieszył, doznała teraz pewnego zaćmienia; wśród podwładnych żołnierzy uchodził za generała, który zbyt wiele wymaga od swych wojsk i używa ich jako taranu przeciw najmocniejszej części murów. Pogląd ten, niezupełnie sprawiedliwy, był jednak szeroko rozpowszechniony" *).

Jak dalece krytyka ta była niesprawiedliwa — wiemy obecnie; okazało się bowiem, że gen. Gough protestował już w sierpniu przeciw kontynuowaniu bitwy. Obiekcje jego nie zostały wysłuchane, Naczelny Wódz kazał mu kategorycznie kontynuować beznadziejną walkę.

Nastrój, panujący wśród żołnierzy, opisany został w godnej uwagi książce— „Cztery lata na froncie zachodnim". Anonimowy autor brał udział w bitwie pod Passchendaele, i dywizja do której należał została niemal kompletnie wybita, nie osiągnąwszy poważniejszych rezultatów. Autor pisze:

> „Ogarnęło nas coś w rodzaju oburzenia — że marnuje się całe dywizje, jak gdyby nasze reezrwy ludzkie były nieograniczone, i że życie ludzkie nie znaczy nic. Jeden atak za drugim dawał w rezultacie tylko rozczarowanie i ciężkie straty — a bardzo niewielkie zyski"**).

*) *Ib.* t. IV. s. 189.

**) *Four Years on the Western Front*, s. 273.

Nie ulega wątpliwości że kiedy walki zostały przerwane, bojowy nastrój wojsk, które brały udział w tym długim pasmie okropności, opadł do najniższego poziomu. Było nieszczęściem, nieprzewidzianym przez Naczelne Dowództwo, że poszarpane nerwy tych samych żołnierzy wystawione zostały znowu na ciężką próbę, zanim jeszcze zdołali przyjść do siebie. Przeciw tej samej bowiem 5-ej armii, pod dowództwem tego samego generała, skierowane było główne uderzenie wielkiego ataku Ludendorffa naad Oisą w marcu 1918 r. Nie ma żołnierzy, którzy w tych warunkach wytrzymaliby uderzenie tego rodzaju; i nie może przynosić im ujmy, że załamali się.

Tyle o twierdzeniach apologetów Passchendaele, że bitwa ta osłabiła nastrój jedynie wojsk niemieckich. Jak gdyby wojsko angielskie nie składało się także z ludzi, posiadających ciało, nerwy i krew!

Passchendaele było niewątpliwie jedną z największych katastrof wojny, i nie mogę nigdy myśleć o tej operacji, nie uświadamiając sobie jednocześnie że tylko szczęście, w połączeniu z umiejętnością operowania na morzu, pozwoliło nam przetrzymać i naprawić skutki tego niesłychanego szaleństwa. Jak fatalne były te skutki — to zilustruje nam najlepiej przebieg bitwy pod Cambrai.

Bitwa pod Cambrai.

Kiedy twierdzenia oficerów z korpusu czołgów, którzy przepowiadali do czego doprowadzi bombardowanie osuszonych bagien, sprawdziły się całkowicie — doszli oni do wniosku, że ich maszyny nie mogą w tych warunkach oddać żadnych istotnych usług. Byli zresztą również przekonani, że żadną inną bronią nie podobna osiągnąć zwycięstwa na tego rodzaju terenie. Zaczęli więc studia nad całą linią frontu brytyjskiego, dążąc do opracowania planu ataku na takim odcinku, na którym czołgi miałyby szanse okazania, do czego są zdolne. Nad Sommą osiągnęły one niewiele, ponieważ mi-

mo protestów wszystkich, którzy mieli jakiekolwiek pojęcie o działaniu tego pomysłowego wynalazku, sir Douglas Haig domagał się z uporem rzucenia w bój kilku posiadanych maszyn — nie czekając na wyprodukowanie takiej ich liczby, która umożliwiłaby mu pchnięcie przeciw nieprzyjacielowi masy czołgów, niemożliwej do powstrzymania. Marzeniem oficerów korpusu było przeprowadzenie wielkiego ataku czołgów na nieprzygotowanego nieprzyjaciela. Dowódcy korpusu czołgów domagali się możności wykazania, jak wielką wartość ma ten wynalazek. W odpowiedzi dano im, jako teren, bagna Passchendaele. Skoro generał Gough uznał, że po tym terenie nawet piechota może się ledwo poruszać — nic dziwnego że sztab korpusu czołgów był przekonany, że jego „ciężka kawaleria" nie mogłaby tu atakować. Wobec tego pułkownik (obecnie generał) Fuller, główny oficer sztabowy korpusu, przedstawił odmienny projekt. W przedmowie do swego planu pisał:

> „Z punktu widzenia czołgów Trzecią Bitwę pod Ypres należy uważać za skończoną. Używanie w dalszym ciągu czołgów w obecnych warunkach doprowadzi nie tylko do marnowania dobrych maszyn i jeszcze lepszego personelu, ale również — wobec nieuniknionego fiaska — do upadku *morale* wśród piechoty i załogi czołgów. Z punktu widzenia piechoty, Trzecia Bitwa pod Ypres może być uważana za wygasającą. Kontynuować ją można tylko kosztem kolosalnych strat, osiągając niewielkie zyski".

Fuller uważał, że „dla odbudowania prestiżu W. Brytanii" należy zorganizować jeszcze przed zimą jakieś — jak pisał — „teatralne uderzenie" na linie niemieckie. Proponował przygotowania do ataku w kierunku St. Quentin. Taka operacja jednak wymagałaby współudziału wojsk francuskich, uznano zaś za bardziej wskazane przeprowadzić atak na fron-

cie angielskim, i St. Quentin zastąpione zostało przez Cambrai. Generał Byng, któremu przedstawiono projekt, potraktował go przychylnie, ale Dowództwo Naczelne kategorycznie zaprotestowało — gdyż, jak twierdziło, Rzymianie już sformułowali zasadę wojskową, że nie można wygrać decydującej bitwy w dwóch miejscach jednocześnie, i Naczelny Wódz nie mógłby przydzielić wojsk, niezbędnych do przeprowadzenia planu, gdyż każdy żołnierz którym może dysponować potrzebny mu jest teraz na odcinku Ypres. W miarę tego jednak, jak fiasko ofenzywy w błocie stawało się widoczne nawet dla jej projektodawców, Naczelne Dowództwo zaczęło traktować bardziej przychylnie pomysł odrębnej operacji, dokonanej przy pomocy czołgów, bardziej na południe. Nawet wtedy jednak nie godziło się na zupełne przerwanie ataków pod Passchendaele. Generałowie z Kwatery Głównej ugrzęźli w błocie i nie mogli się z niego wydostać inaczej, jak dobrnąwszy do wyżyny. Musieli zająć jakieś lepsze pozycje — inaczej groziło im, że będą wypchnięci z tego pięknego bagna, które zaanektowali za taką cenę. Kiedy więc atak pod Cambrai został zdecydowany, musiał być przeprowadzony bez żadnych rezerw. Ani jednego batalionu nie można było odciągnąć od fascynującego trzęsawiska.

Pierwszy atak czołgów, przeprowadzony 20-go listopada, dał nam w rezultacie efektowne zwycięstwo. W ciągu kilku godzin potężne maszyny przełamały linię Hindenburga, i wojska nasze posunęły się daleko wgłąb linij nieprzyjacielskich, zdobywając od razu teren nie mniejszy niż ten, jaki zajęliśmy po miesiącach straszliwych walk — i z olbrzymimi stratami — nad Sommą i pod Passchendaele. Obecnie panuje zgodna opinia, że atak był fatalnie pokierowany przez generała Bynga, który mógł — nawet przy pomocy tych sił jakimi dysponował — wykonać go o wiele lepiej. Tym jednak, co zamieniło nasze zwycięstwo w klęskę, był zupełny brak rezerw. Dla podtrzymania i wyzyskania ataku świeże oddziały były niezbędne — a tymczasem nie mieliśmy w rezerwie ani

jednego plutonu. Wszystkie walczyły we Flandrii z oblepiającym je błotem. Niemcy, którym wielkoduszny przeciwnik pozostawił masę czasu na skonsolidowanie się po doznanej nagle porażce, przygotowali się do kontrataku; wykonali go po tygodniu starannych przygotowań. Armia niemiecka, którą — jak nas zapewniano — nasza wielka ofenzywa pozbawiła zupełnie świeżych rezerw, zdołała skupić czternaście dywizyj, które uderzyły na nasze zmęczone i porozrzucane oddziały. Pięć z tych dywizyj Niemcy przesunęli z Flandrii, a dziewięć z innych odcinków frontu zachodniego. Mogli je zebrać, mimo że już przed tym wysłali sześć dywizyj do Włoch i pięć — na zdobycie Rygi. Jakimże to sposobem zdołali zmobilizować trzy odrębne grupy, liczące w sumie 25 pełnych dywizyj, po bitwie która trwała 14 tygodni i która — jak nas zapewniano — zachwiała dyscypliną całej ich armii na froncie zachodnim i pozbawiła ich zupełnie reezrw?

Gdy nastąpił kontratak niemiecki, za naszymi liniami nie było żadnych sił, które mogłyby przyjść z pomocą naszym zbyt słabym liczebnie i wyczerpanym dywizjom. Niemcy nie tylko odebrali z powrotem większą część zdobytego przez nas terenu, ale w jednym punkcie przedostali się nawet o 1500 jardów poza nasze pozycje pierwotne. Z całej naszej zdobyczy pozostał nam tylko nie nadający się do obrony występ frontu około Flesquières. Wielkie zwycięstwo zamieniło się w katastrofalną klęskę. Bezpośrednią przyczyną tego była bitwa pod Passchendaele. Gdyby armia nasza ni zaczynała tej fatalnej kampanii, bitwa pod Cambrai w roku 1917 mogła stać się jedną z decydujących bitew całej wojny. Był to jedyny wypadek, kiedy armii brytyjskiej udało się kompletnie zaskoczyć Niemców. Ich najsilniejsze linie obronne zostały przełamane; po raz pierwszy wojska nasze przedostały się w otwarte pole poza nimi. Gdyby można było rzucić do walki odpowiednie posiłki — Cambrai zostałoby zdobyte, cały system obronny niemiecki zdezorganizowany i wojska niemieckie zmuszone do dalszego jeszcze odwrotu. Czas i energię, jaką

zużyli Niemcy na przygotowanie ofenzywy marcowej, musieliby poświęcić na reorganizację swej obrony. Czwarta część tych ludzi, którzy zostali roztrwonieni pod Passchendaele, wystarczyłaby do osiągnięcia tego poważnego zwycięstwa i do wyzyskania go.

Kiedy pierwsze wiadomości o naszym wielkim tryumfie nadeszły do Londynu, Ministerstwo Wojny poleciło bić w dzwony we wszystkich kościołach. Po kilku dniach jednak, zaledwie echa dzwonów umilkły w pamięci mieszkańców stolicy, nadszedł kontratak, i wojska nasze cofnęły się w nieładzie — te z nich, które nie dostały się do niewoli. Sztab, który wydał polecenie bicia w dzwony, wstydził się teraz ogłosić wiadomość o porażce. Nawet rząd utrzymywany był w nieświadomości. Z Kwatery Głównej nadeszły sprawozdania, wysyłane w chwili, kiedy nieprzyjaciel przedostał się już poza nasze linie, a głoszące że ataki nieprzyjaciela na tym odcinku zostały całkowicie odparte; dziesięć takich ataków „załamało się pod ogniem karabinów ręcznych i maszynowych oraz artylerii". Ale komponowanie fałszywych wiadomości, które udawało się sztabowie tak dobrze w czasie walk pod Passchendaele, zawiodło zupełnie tym razem — między innymi dlatego, że pod Cambrai ponieśliśmy ostatecznie straty terenowe. W kilka dni po porażce prawdziwe wiadomości przedostały się do opinii publicznej. Generał Maxse, członek mianowanej później komisji śledczej, obwiniał rannych o rozsiewanie alarmujących wieści. Według niego, ranni czynią to zawsze; jest to postępowanie bardzo szkodliwe i godne potępienia. Wiadomości z frontu powinny polegać wyłącznie na oficjalnych depeszach, pisanych przez ludzi, którzy nigdy nie byli w ogóle na polu walki i którym wobec tego nie grozi niebezpieczeństwo, że się zirytują czy przejmą widokiem ran!

W kilkanaście dni po klęsce gabinet wyraził swoje niezadowolenie, że o tego rodzaju porażce — „jeśli wiadomości o niej są prawdziwe" — nie poinformowano rządu; podkre-

ślił też, że gdyby porażkę taką poniósł nieprzyjaciel, wiadomości o naszym sukcesie zakomunikowanoby rządowi w ciągu kilku godzin.

Pragnęliśmy także dowiedzieć się, w jaki sposób siły nasze zostały tak znienacka zaskoczone, jeśli współudział naszego lotnictwa był tak doskonały jak to przedstawiano, i jeśli obrona była zorganizowana należycie.

Jedyna odpowiedź, jakiej mógł nam udzielić minister wojny, brzmiała że Wódz Naczelny prawdopodobnie sam „nie zna przyczyn porażki". Było to mniej więcej w tydzień po bitwie.

Powstałe w armii zamieszanie podawano jako powód skąpych informacyj; Szef Sztabu porównał panujący w owej chwili stan rzeczy do chaosu, jaki wytworzył się w czasie odwrót z pod Mons — gdzie on sam nie mógł zupełnie zorientować się w sytuacji, choć znajdował się na miejscu. Robertson nie zawiadomił jednak ministrów, że atak przedsięwzięty został bez żadnych rezerw; sir Douglas Haig nie uznał również za potrzebne, w złożonym przez siebie raporcie, poinformować rządu o tej ważnej okoliczności. Gabinet zwracał też uwagę na

> „rozbieżność między sukcesem niemieckim a raportami, otrzymywanymi stale ze źródeł oficjalnych i podkreślającymi słabość Niemców i upadek ducha wśród ich wojsk".

Gabinet zarządził szczegółowe zbadanie okoliczności, które spowodowały porażkę. Wiadomości o niej wywołały bardzo ujemny efekt w opinii publicznej, która uprzednio doprowadzona była do stanu radosnego podniecenia przez picie ciężkich win, pochodzących z niewyczerpanych piwnic Wydziału Wywiadowczego przy Kwaterze Głównej.

Times, który dotąd upajał się tryumfami Haiga bardziej niż którykolwiek inny dziennik, otrzeźwiał nieco po tym szoku i napisał cierpki artykuł na temat

„niepowodzenia na froncie, o którym prawda stopniowo przenika poprzez opowiadania korespondentów o heroizmie naszych wojsk".

Autor artykułu pisał w dalszym ciągu:

„Nie mogą już nas zadowolić bezwartościowe wyliczenia, dotyczące np. strat i upadku ducha wśród wojsk niemieckich — wyliczenia, które stanowiły punkt wyjścia zbyt wielu publikowanych korespondencyj z Francji".

Artykuł nie przypisuje sir Douglas Haigowi żadnej winy za klęskę — poza tym, że był odpowiedzialny za taki a nie inny dobór swoich podwładnych i że żywił zbyt wielkie przywiązanie do towarzyszy broni, którzy długo walczyli pod jego rozkazami. Nie ma w artykule żadnej wzmianki o bezskutecznych wysiłkach, jakie czynili ci podwładni, aby skłonić go do zaprzestania bezpłodnych ataków na wyżynę Passchendaele — ataków, które spowodowały bezpośrednio niepowodzenie pod Cambrai. Być może że lord Northcliffe nie był poinformowany o tych próbach perswazji. Artykuł *Timesa* wskazywał dalej, iż

„najlżejszą nawet krytykę jakiejkolwiek operacji wojennej stanowczo zbyt często zbywa się powiedzeniem, że jest to „intryga przeciw Naczelnemu Wodzowi".

oraz domagał się „szybkiego, szczegółowego i wszechstronnego śledztwa".

Stanowiło to całkowitą zmianę frontu w porównaniu z hymnami pochwalnymi w momencie walk o Broodseinde;

ale zmiana nastąpiła za późno, aby uchronić nas od znacznie bardziej katastrofalnych skutków kampanii o Passchendaele. Wszczęte zostało dochodzenie, które jednak okazało się zupełną fikcją. Generał Byng, który był odpowiedzialny za przeprowadzenie operacyj pod Cambrai, nie został wogóle wezwany. Przy całej jednak swojej niedostateczności, dochodzenie ujawniło w pewnym stopniu przyczyny porażki. Raport, zawierający rezultaty dochodzenia, nie mówi konkretnie o brak rezerw ani o niedostatecznym wyposażeniu technicznym wojsk, które miały przeprowadzić i podtrzymać atak; w ten sposób przemilcza on pewne fakty. Można się zeń jednak zorientować co do niektórych popełnionych błędów. Jeżeli chodzi o nasze trzy dywizje, które zostały rozgromione, nie stawiając żadnego niemal oporu, raport stwierdzał, że były „słabe liczebnie". Czytamy w raporcie, iż dywizje te

> „nie cofnęły się ani nie pierzchły. Zostały one do tego stopnia zaskoczone przez nieprzyjaciela, że z lewoskrzydłowego batalionu 55-ej dywizji uratowało się przed wzięciem do niewoli tylko dwóch żołnierzy, a z wiek szości batalionów wszystkich trzech dywizyj zdołało się wycofać niespełna po 100 ludzi".

Bataliony te brały udział w akcji ze stanem liczebnym, zredukowanym do połowy.

Aroplany niemieckie

> „latały bardzo nisko — według zeznań świadków na wysokości poniżej 100 stóp — i ostrzeliwały naszych żołnierzy zarówno w okopach pierwszej linii, jak i na dalszych pozycjach. Miało to wielki efekt moralny i niewątpliwie ułatwiło nieprzyjacielowi osiągnięcie powodzenia".

Aeroplanów angielskich nie było; ponadto komisja prowadząca dochodzenie stwierdziła, że w wojskach naszych „dał się odczuwać brak armat" i że to

„ułatwiło koncentrację wojsk niemieckich i wykonanie ataku na nasze linie".

Gdzie były wówczas nasze aeroplany? Prawdopodobnie krążyły nad bagnami Passchendaele. Gdzie były nasze działa? Wierciły swoimi pociskami nowe leje w tych bagnach, utrudniając posuwanie się naprzód własnych naszych oddziałów.

Mimo to Naczelne Dowództwo, które sporządziło i zaaprobowało plan operacji, wiedząc że nie dysponuje dostateczną liczbą żołnierzy, dział i aeroplanów, aby móc plan ten zrealizować — nie ponosiło, według opinii komisji, żadnej winy za porażkę.

Główną winę komisja przypisała żołnierzom i oficerom, którzy tak dzielnie i z takim powodzeniem walczyli, którzy nie mieli żadnych informacyj o wielkich przygotowaniach niemieckich do kontrataku i którzy, kiedy atak przeważających sił nastąpił, mieli mu się opierać, nie uzyskawszy żadnego poparcia.

Szczególnie odznaczył się pod tym względem jeden z członków komisji, generał Maxse. Oburzenie jego nie było kierowane w stronę wyższego dowództwa, odpowiedzialnego w rzeczywistości za porażkę, ale w stronę niższych szarż, które zbyt pochopnie wierzyły słuchom o katastrofie. Publiczność w kraju otrzymywała fałszywe informacje

„nietylko z prasy i od członków parlamentu, ale także za pośrednictwem 400.000 oficerów i żołnierzy, przebywających w kraju na urlopie".

Specjalnie irytują generała Maxse ranni:

„Najobfitszym źródłem bezpodstawnych wieści są

ranni. Ponadto, przybywają oni do kraju wcześniej niż depesze z frontu, i zaraz zaczynają szerzyć niemądry pogląd, że gdyby oni kierowali operacją — wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej".

Dla przeciwdziałania temu fatalnemu stanowi rzeczy generał Maxse proponuje, aby najstarszy szarżą oficer, który przeprowadzał daną konkretną operację w terenie, komunikował publicznie o jej przebiegu z najmniejszą możliwie zwłoką.

A oto szczególnie wymowny ustęp przeciw gadatliwości rannych:

„Jeśli nie wynajdziemy jakiejś tego rodzaju metody komunikowania prawdy — to w miarę przedłużającej się wojny i rosnącego rozdrażnienia ludzi, publiczność w kraju będzie coraz bardziej na łasce i niełasce fałszywych słuchów; to zaś jest rzeczą szkodliwą zarówno dla armii, jak i dla ducha narodu".

Dążenie autora do wynalezienia jakiejś nowej metody „komunikowania prawdy" nie jest pozbawione swoistej ironii, jeśli wziąć pod uwagę tryumfalne opisy zwycięstw, rozsyłane przez Kwaterę Główną w czasie walk we Flandrii. Tę samą uwagę nasuwa następująca propozycja generała Maxse:

„Byłoby dobrze, gdyby Kwatera Główna wyznaczyła jakiegoś wojskowego, który pomagałby korespondentom gazet zrozumieć treść depesz, nadchodzących w trakcie poważnej bitwy. Może wtedy korespondenci prasowi nie napełnialiby całych kolumn swoich gazet głupstwami".

Mówiąc o panującej w Anglii opinii, że bitwa pod Cambrai zakończyła się „nie zwycięstwem Anglików, lecz sukcesem Niemców", Maxse zauważa:

„Mam wrażenie że my żołnierze, z naszą nadzwyczajną wstrzemięźliwością i niechęcią do wszelkiej reklamy, jesteśmy nieco winni temu, że taka opinia panuje".

Wyrażenie „my żołnierze" nie obejmuje oczywiście tych którzy zostali ranni w bitwie, ani tych 400.000, którzy uszli cało z pod Passchendaele i Cambrai i otrzymali krótki urlop z frontu. U tych próżnobyśmy szukali wstrzemięźliwości albo prawdy.

W raporcie jest jednak część, która ma pewną wartość z historycznego oraz z wojskowego punktu widzenia, a ponadto zawiera pośrednie i zapewne nieumyślne potępienie kampanii we Flandrii. Stwierdzając, że porażka pod Cambrai spowodowana została nieumiejętnością stosowania taktyki obronnej przez naszych oficerów i żołnierzy, generał Maxse przypisuje taki stan rzeczy temu, że oddziały nie miały możności otrzymać należytego wyszkolenia. Uwaga ta jest tym cenniejsza, iż w owym momencie generał Maxse był prawdopodobnie najwybitniejszym specjalistą w dziedzinie szkolenia żołnierzy, jakiego posiadała armia brytyjska. Swoje spostrzeżenia opisuje generał Maxse w sposób następujący:

„Autor niniejszego obznajmiony jest ze stanem rzeczy w jednym z korpusów, do którego w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy wchodziło 30 dywizyj. Z tych trzydziestu dwie były znakomicie wyszkolone, z tuzin miał jeszcze jakie takie wyszkolenie, a reszta nie miała żadnego albo prawie żadnego. Mogły natomiast powołać się na bardzo liczne powody, dla których wyszkolenia nie przechodziły. Dowódca korpusu nie mógł domagać się ulepszonych metod wyszkolenia, ponieważ dywizje te wchodziły w skład jego korpusu zbyt krótko, aby mógł orientować się dokładnie w ich poziomie. Na

zasadzie rocznego doświadczenia zdołał sobie tylko wytworzyć ogólne pojęcie, że połowa dywizyj ma wyszkolenie częściowe, a połowa — żadnego".

Przyczyna tego stanu rzeczy była oczywista. Ciągłe ofenzywy nie pozwalały żadnemu dowódcy na należyte przeszkolenie podległych mu oddziałów. Każda dywizja po kolei szła do okopów. Kiedy wycofywano ją na odpoczynek, była wyczerpana i osłabiona liczebnie; najczęściej traciła w okopach swoich najlepszych oficerów i podoficerów. Z 64 dywizyj brytyjskich we Francji, 57 brało udział w walkach we Flandrii. Jak mógł którykolwiek dowódca w takich warunkach szkolić swoich żołnierzy?

Raport komisji potwierdzał całkowicie słuszność stanowiska Pétaina, który ograniczał się do ataków o ograniczonych obiektach i przygotowywał kampanię 1918 roku. Jakim jednak potępieniem były jego wnioski dla strategii, z której zrodziły się bezsensowne walki we Flandrii!

Zagadnienie Naczelnego Dowództwa.

Skoro w sierpniu stało się dla mnie rzeczą jasną, że ofenzywa we Flandrii załamie się, nie osiągnąwszy żadnego z celów dla których została podjęta, uczyniłem szereg wysiłków dla powstrzymania bezcelowej rzezi. Gough doszedł do tego samego przekonania, i czynił — o czym nie wiedziałem — wszystko co mógł, aby zakończyć operacje, z których bezpłodności zdawał sobie sprawę najlepiej. Tryumfalne opisy druzgocących zwycięstw we wrześniu i październiku, inspirowane przez Kwaterę Główną, zostały skwapliwie pochłonięte przez publiczność, spragnioną jakiejś zachęty do wytrwania. Ministrowie nie mogli wszcząć akcji prasowej, która by budziła wśród publiczności rozczarowanie. W większości krajów Koalicji nastrój na tyłach załamywał się. Rosja, zmęczona i rozdzierana walkami wewnętrznymi, przestawała wojować;

Francja była rozczarowana, zniechęcona i skłonna do buntu; Włochy chciały skończyć z wojną, jeżeliby tylko dało się to zrobić ze względnym honorem. Stany Zjednoczone nie walczyły jeszcze — i nie spieszyły się. Anglia walczyła dalej z determinacją: i w tej sytuacji nie można sobie było pozwolić na to, aby powiedzieć jej bez ogródek, że wszystkie wychwalane sukcesy były tylko drogo okupywaną fikcją.

Na tym polegała przewaga Naczelnego Dowództwa nad politykami — i tę swoją uprzywilejowaną pozycję Dowództwo wyzyskiwało całkowicie. Publiczność w Anglii zdołano przekonać, że tocząca się walka zamienia powoli, ale nieuchronnie potężne legiony nieprzyjaciela w zdemoralizowaną i rozbitą bandę; i rozkaz z Downing Street, polecający wstrzymanie tej walki, spotkałby się ze zdecydowanym sprzeciwem społeczeństwa.

Kiedy powstało niebezpieczeństwo, że rząd wyda taki oficjalny rozkaz powstrzymania ofenzywy, wydawcy dzienników, redaktorzy i wszelkiego rodzaju dziennikarze zostali zaproszeni na front — jeśli przyjąć, że Kwatera Główna znajdowała się w tej niebezpiecznej strefie — aby przekonali się sami, jak pomyślny przebieg mają operacje. Sprowadzono ich tam jednak nie po to, aby im pokazać rzeczywistą walkę, ale po to, aby w przyzwoitym od niej oddaleniu mogli mieć poczucie, że przy niej asystują — będąc jednocześnie gośćmi sławnych dowódców, którzy planowali atak. Pole bitwy widzieli tylko na mapie, na której teren wydawał się mocny i solidny; przesunięcia wojsk mogły tu być efektownie uwidocznione, nie zalewało ich bowiem lepkie bajoro, a masa czerwonych punkcików — reprezentująca straty — nie psuła efektu. Dziennikarze wrócili do Anglii pod należytym wrażeniem niepowstrzymanego pochodu naprzód. Sami widzieli na miejscu, że Ostenda jest już niedaleko — na mapie. A Bruges było nawet faktycznie w polu widzenia naszej zwycięskiej armii.

Dlaczegóż przerywać bitwę, skoro jesteśmy już blisko ostatecznego zwycięstwa?

Jakie kroki powinienem był przedsięwziąć, aby się upewnić że błędy władz wojskowych, które wyczerpały rezerwy ludzkie w państwach Koalicji i poderwały ducha ludności, nie powtórzą się w r. 1918? Miałem przed sobą kilka dróg. Najbardziej narzucającą się drogą było udzielenie dymisji naszemu głównemu doradcy wojskowemu, który tak bardzo zawiódł, oraz Naczelnemu Dowódcy, który okazał się strategiem nie dorosłym do swego gigantycznego zadania. Zacznijmy od sprawy sir Douglas Haiga. Łatwo jest powiedzieć teraz: „Powinien pan był dać mu dymisję". Nie ma dziś nikogo, wśród osób wojskowych i cywilnych, kto nie żałowałby że przedsięwzięliśmy ofenzywę we Flandrii w r. 1917 — przy czym nie traktuje się jej już nawet, jako dobrego pomysłu który został źle wykonany, ale uważa po prostu za lekkomyślną i nieprzemyślaną imprezę, niemożliwą do wykonania w warunkach, które były znane, albo w każdym razie powinny były być znane dowództwu. W owej jednak chwili kampania ta miała swoich zwolenników wszędzie — nie miała ich tylko wśród ludzi, którzy brali w niej udział. Wychwalano ją w prasie i w przemówieniach — i nagłe usunięcie zwycięzcy musiałoby wywołać wybuch oburzenia. Niezależnie jednak od tego, musiałem odpowiedzieć sobie na inne jeszcze pytanie. Kto mógł go zastąpić? Jest smutną prawdą, że nikt z pośród znanych wyższych dowódców nie byłby lepszy. Było wśród nich wielu dobrych żołnierzy, znających swój zawód i obdarzonych pewną inteligencją; ale te cechy miał i Haig, i pod tym względem był prawdopodobnie lepszy od któregokolwiek z ewentualnych kandydatów. Haig był dobrym dowódcą korpusu. Dowodzenie jednak całą grupą armij, liczących razem 2,000.000 ludzi, na froncie długości ponad 100 mil, wymagało już nie zwykłych kwalifikacyj, ale szczególnych zdolności i wyjątkowego intelektu. Najlepsi przyjaciele Haiga nie mogą twierdzić, że był człowiekiem tego typu.

Haig był sumiennym zawodowym wojskowym o przeciętnej, drugorzędnej inteligencji. Miał odwagę i upór swojej rasy, a także w dużym stopniu cechujące ją zdolności organizacyjne. W czasie wojen napoleońskich w Hiszpanii zdobyłby sobie reputację, jako dobry generał — pod rozkazami Wellingtona. W tej wojnie pełniłby z powodzeniem funkcje dowódcy korpusu czy armii, gdyby zasadnicze wytyczne strategii ustalone były przez człowieka większego pokroju. Wywiązał się dobrze ze swego zadania w ostatniej fazie wojny w r. 1918 — pod naczelnym dowództwem Focha. Nie miał jednak dostatecznie szerokiego horyzontu ani wyobraźni, aby móc kierować wielką kampanią przeciw generałom, wśród których znajdowali się najzdolniejsi dowódcy tego okresu. Nie widziałem nigdy człowieka na wysokim stanowisku, który wydawałby mi się tak absolutnie pozbawiony imaginacji.

Haig miał dar starannego opracowywania szczegółów; nie było rzeczy tak małej, która uszłaby jego uwagi. Stanowiło to zaletę nieocenioną. Te rzeczy, które można było zobaczyć przez zwykłe zawodowe okulary, Haig dostrzegał wyraźniej, niż większość wojskowych; nie miał jednak intuicji ani żadnych błysków geniuszu — zbyt mały był na to jego bagaż intelektualny. Kto jednak z naszych generałów posiadał te cechy? Gdybyśmy usunęli Haiga, mogliśmy dostać na jego miejsce tylko człowieka, który gorzej od niego opanował swój zawód, a nie posiadał żadnych innych większych uzdolnień, mogących ten brak zrównoważyć. Kiedy rozważałem całą tę sprawę, posłałem generała Smutsa i sir Maurice Hankey'a z misją objechania całego frontu i przedstawienia rządowi ogólnego raportu o sytuacji; poufnie prosiłem ich też o zorientowanie się, czy wśród generałów z jakimi się zetkną nie ma kogoś, kto ich zdaniem nadawałby się do zajęcia pierwszego miejsca. Kiedy wrócili, okazało się że wynik ich badań był pod każdym względem bardzo niezadowalający. Już po wojnie słyszałem od ludzi, których zdanie cenię, że jedynym wojskowym we wszystkich armiach brytyjskich, w którym

wojna ujawniła zdolności, niezbędne do zajęcia takiego stanowiska, był oficer jednego z dominiów. Kompetentni wojskowi zawodowi, z którymi o tym mówiłem, zgadzali się wszyscy że ten człowiek prawdopodobnie istotnie okazałby się na wysokości zadania. Wówczas jednak nie miałem o tym pojęcia. Nie otrzymałem nigdy, ani jako minister wojny ani jako premier, żadnego raportu który przypisywałby temu wybitnemu oficerowi jakieś specjalne zasługi. Gdy wojna wybuchła, był on w cywilu, i fakt ten tłumaczy może, dlaczego jego wyjątkowe zdolności i odniesione sukcesy zostały tak późno ocenione.

Byli w armii brytyjskiej generałowie, którzy wykazali wybitne kwalifikacje w swoim ograniczonym zakresie działania, ale żaden z nich nie nadawał się do dowodzenia armią, pięciokrotnie przewyższającą największe siły, jakie miał pod swymi rozkazami Napoleon — i do kierowania kampanią wojenną, której nawet geniusz Napoleona ledwo by sprostał.

Jeśli chodzi o sir Wiliama Robertsona — nie był on strategiem i nigdy nie żądał dla siebie roli wodza, opracowującego plany kampanii. Nigdy też nie sądziłem, aby się do tego nadawał. Był dobrym administratorem; w sprawach strategii akceptował koncepcje Haiga i podporządkowywał im wszystko inne. Rola, jaką dla siebie obrał, polegała na dostarczaniu Haigowi ludzi i środków technicznych, niezbędnych do realizacji planów Naczelnego Wodza. Aby zaspokoić jego zapotrzebowania, Robertson ograniczył do ostatecznego minimum zaopatrzenie wszystkich pozostałych teatrów wojny. Była to jedyna koncepcja z dziedziny strategii, jaką w czasie wojny reprezentował. Opowiadają że Asquith, w jednym z rzadkich momentów ekstatycznego uniesienia, nazwał kiedyś Robertsona „największym żyjącym strategiem". Była to śmieszna ocena, ale ponieważ Asquith nie miał większych skłonności strategicznych od Robertsona, nadawał się więc akurat tak samo na autora komplementu, jak Robertson — na to, aby stać się tego komplementu przedmiotem.

W książce, napisanej w kilka lat po wojnie, sir Wiliam Robertson opisuje trudności, na jakie się natknął, gdy chciał ustalić istotną prawdę o koszmarnych walkach we Flandrii.

Podaje tu też powody, dlaczego operacje były tak długo kontynuowane. Głównym powodem było „przekonanie Kwatery Głównej, że pod wpływem ataków nieprzyjaciel jest bliski załamania się". On sam i jego sztab uważali ten pogląd za „nieco zbyt pochopny". Jak się zdaje, Robertson zakomunikował swoje wątpliwości Naczelnemu Wodzowi. Sir Douglas Haig zaproponował mu wówczas, aby porozmawiał z dowódcami poszczególnych armij i przekonał się sam, czy zgadzają się z poglądami Naczelnego Dowództwa. Tu sir Wiliam Robertson dodaje: „To oczywiście było mi bardzo trudno zrobić". Wówczas Haig zaproponował Robertsonowi uczestniczenie w konferencji, jaką miał właśnie odbyć z dowódcami armij. Dalej Robertson pisze:

„Nie miałem zamiaru posuwać mojego sceptycyzmu tak daleko, aby jawnie wystąpić przeciw jego koncepcji i przeszkadzać w ten sposób w wywarciu na nieprzyjaciela tego niewielkiego dodatkowego nacisku, który — jak uczy doświadczenie — może często wystarczyć, aby bitwę o nieokreślonych rezultatach zamienić w zdecydowane zwycięstwo.

Trudno przeczyć, że kampanię kontynuowano dłużej niż należało, ale powzięcie wówczas słusznej decyzji nie było takie łatwe, jak się to dzisiaj wydaje".

Robertson przytacza znany urywek z książki Ludendorffa o niepokoju, jaki ogarnął Niemców w połowie września; poza tym dodaje:

„Trzeba pamiętać, że warunkiem powodzenia było od pierwszej chwili, aby stan liczebny armii brytyjskiej pozostawał przez cały czas operacyj na niezmniejszonym

poziomie; tymczasem, na skutek niedostatecznego wyzyskiwania rezerw ludzkich w kraju, efektywy jej spadły bardzo poważnie".

Robertson zapomniał, że kiedy na posiedzeniu gabinetu omawiany był projekt ofenzywy we Flandrii, wystąpiłem przeciw projektowi między innymi właśnie dlatego, iż — jak stwierdziłem — wyczerpaliśmy już niemal nasze rezerwy ludzkie i nie możemy zwiększać tempa przypływu rekrutów, jeśli nie chcemy zdezorganizować poważnie innych dziedzin pracy, niezbędnych do prowadzenia wojny, i narazić się na silny brak rąk roboczych. Odpowiedziano mi wówczas, że straty nie będą wielkie. Sir Wiliam Robertson wiedział dokładnie o trudnościach, jakie mieliśmy w dziedzinie rąk roboczych w związku z tym, że musieliśmy bezwzględnie przeciwdziałać akcji łodzi podwodnych — i już w maju ostrzegał na ten temat listownie Haiga.

Chociaż sir Wiliam Robertson oświadcza w swojej książ- Naczelnego Wodza, gdyż miał za sobą poparcie rządu — uważał że nie może zadawać dowódcom armij pytań, z których wynikałoby, że ma jakiekolwiek wątpliwości co do panującej w Kwaterze Głównej oceny przebiegu operacyj. Zresztą, gdyby nawet zadał tego rodzaju pytania, generałowie nie wypowiedzieliby prawdopodobnie żadnej opinii, sprzecznej z poglądami Naczelnego Wodza. Wiemy dziś, że kilkunastu z pośród wyższych wojskowych, którzy brali udział w walce, miało poważne wątpliwości co do tego, czy należy ją kontynuować; jednakże ani jeden z nich nie uczynił na ten temat najlżejszej nawet aluzji, która doszłaby do mnie lub do któregokolwiek z ministrów. Tak wysoki jest poziom dyscypliny wśród generałów! „Pytać dlaczego — to nie ich rzecz; ich rzecz — posyłać na śmierć"*) — jeśli taki jest rozkaz Naczelnego Wodza.

Chociaż sir Wiliam Robertson był faktycznie w sytuacji

*) Trawestacja znanego wiersza Kiplinga. *(Przyp. tłum.)*

ce, poświęconej krytyce działaczy politycznych, że raporty Kwatery Głównej budziły w nim wątpliwości i że jego zdaniem „kampanię kontynuowano dłużej niż należało" — muszę stwierdzić że o wątpliwościach tych nie uczynił nigdy najmniejszej wzmianki wobec ludzi, którzy polegali na jego opinii.

Jaki efekt wywołałoby w opinii publicznej, gdybyśmy wówczas interweniowali w tej sprawie? Powiedzianoby: „Oto wielki żołnierz, sir Douglas Haig, cieszący się zaufaniem swojej dzielnej armii, bije Niemców, pędzi ich przed sobą z okopu do okopu, czyni w ich szeregach wyrwy dwukrotnie większe od naszych strat i rozbija ich dywizje tak, że niewiele im już zostało jednostek zdolnych do boju. Już błagają o pokój, — a przyczyna tego jest oczywista: są wyczerpani do utraty tchu. Niebawem uwolnimy od nich upragnioną wyżynę, i wtedy droga do wybrzeża stanie przed nami otworem. Legowisko łodzi podwodnych zostanie zdobyte — i uwolnimy się od tego koszmaru. Ale właśnie w chwili, kiedy Haig ma wykończyć Niemców i odnieść największe w tej wojnie zwycięstwo — występują niespokojni i nerwowi politycy, nie mający pojęcia o prowadzeniu wojny, i wytrącają zwycięstwo z rąk naszych dzielnych żołnierzy, marnując w ten sposób wszystkie poniesione ofiary". Opinię można było uświadomić co do istotnego stanu rzeczy tylko wówczas, gdyby jej się opowiedziało całą ponurą prawdę o bezpłodnej rzezi. Musielibyśmy wówczas ujawnić również, jak wszyscy zostaliśmy wprowadzeni w błąd przez sprawozdania i depesze, sporządzane i inspirowane w Kwaterze Głównej. Jaki efekt wywarłoby to we Francji, we Włoszech, w Rosji? Co działoby się u nas w kraju? Po majowym kryzysie francuskim, spowodowanym przez ujawnienie klęski na froncie, nastąpiłby na jesieni kryzys angielski, wywołany przez ujawnienie jeszcze gorszej klęski. Znikłoby zaufanie do dowódców wojskowych i wiara w ich prawdomówność. W przededniu ostatecznego wycofania się Rosji, wobec opadających z sił Włoch i chwie-

jącej się Francji — nie mogliśmy pozwolić sobie na tego rodzaju rewelacje. Nastrój Aliantów upadłby, może w sposób niepowetowany — mocarstwa centralne nabrałyby nowego ducha i wigoru. Uznałem, że ryzyko jest zbyt wielkie i że lepiej jest przedsięwziąć zawczasu kroki, nie pozwalające na powtórzenie się w roku 1918 błędów, które były konsekwencją zaakceptowanych przez nas postanowień konferencji w Chantilly z listopada 1916 r. Być może, że popełniłem błąd; podaję fakty, aby inni mogli wydać o tym bezstronny sąd.

Uważałem że sir Wiliam Robertson wykazał zupełne niezrozumienie swoich obowiązków, jako niezależnego doradcy wojskowego rządu. Nie był podwładnym Haiga i wobec tego nie obowiązywało go żadne posłuszeństwo wobec Naczelnego Wodza. Żadna wojskowa dyscyplina nie stała na przeszkodzie temu, aby wypowiedział swój pogląd, sprzeczny z poglądem dowódcy wojsk we Francji.

Gdyby gabinet postanowił zrezygnować z usług Robertsona, musiałby też postanowić, czy ma zastąpić go przez kogoś, kto nadaje się do planowania i prowadzenia kampanii wojskowej Koalicji, czy też — gdyby takiego człowieka udało się znaleźć — powinno się raczej dać mu stanowisko, na którym mógłby w sposób bardziej stały i bezpośredni współpracować z innymi mózgami wojskowymi Ententy. Gdyby gabinet zdecydował się na tę drogą alternatywę, można było zostawić w Ministerstwie Wojny Robertsona, który nadawał się zupełnie do skutecznego kierowania całą maszyną administracyjną, niezbędną do realizowania powziętych ogólnych decyzyj.

Kiedy bitwa pod Passchendaele została definitywnie przerwana, gabinet omówił jej rezultaty i stwierdził w sposób jednomyślny i kategoryczny, że należy ją uznać za okropne fiasko. Sir Wiliam Robertson był obecny na tej dyskusji, i jeśli nie przyłączył się wyraźnie do sformułowanych zarzu-

tów, to w każdym razie napewno nie wypowiadał żadnego stanowiska odrębnego. Popełnione błędy przypisywał przede wszystkim przesadnie optymistycznym raportom, które wprowadziły w błąd Haiga, a poza tym brakom generała Kiggella, jako szefa sztabu. Skłonny był też zarzucać generałowi Gough kontynuowanie ofenzywy, kiedy było już rzeczą jasną, że nie może ona się udać. Z tego stanowiska Robertsona wnoszę, że nie wiedział wówczas o protestach Gough'a. Postanowiliśmy wezwać Naczelnego Wodza, aby uwolnił tych trzech generałów z zajmowanych przez nich stanowisk. Robertson i lord Derby udali się natychmiast z naszego polecenia do Kwatery Głównej, aby zakomunikować Naczelnemu Wodzowi nasze decyzje. Wódz Naczelny zgodził się udzielić dymisji Charterisowi i Kiggellowi, ale oparł się dymisji Gough'a. W tej sprawie nie chciał ustąpić, choć nie ujawniał istotnej przyczyny swego stanowiska. Zarówno lord Derby jak sir Wiliam Robertson namawiali gabinet, aby zgodził się na kompromis; zapewniano nas, że armia Gough'a będzie wycofana z zajmowanych pozycyj i przeniesiona na spokojny odcinek frontu. W rezultacie Charteris i Kiggell odeszli, a Gough pozostał. Krokami swymi w tej sprawie Robertson stwierdzał faktycznie, że uważa bitwę pod Passchendaele za wielki błąd. Historia zadecyduje, czy winę za ten błąd przypisywał tym, którzy istotnie zawinili. Przytaczałem już wyżej pogląd sir Douglas Haiga, że jego wielki plan zakończył się fiaskiem, niebezpiecznym w dalszych skutkach.

Kiedy rozważałem, czy powinniśmy posunąć się dalej i udzielić dymisji Haigowi i Robertsonowi, musiałem zawsze liczyć się z tym, że tego rodzaju krok spowoduje niechybnie komplikacje polityczne. Obydwaj mieli poważne poparcie w prasie, w Izbie Gmin i w samym rządzie; stała za nimi zdecydowanie opozycja, kierowana przez Asquitha; popierał ich też bardzo mocno Northcliffe. Mogli wreszcie liczyć na poparcie szeregu wpływowych konserwatystów, z których niektórzy wchodzili do rządu. Czynniki te nie stanowiły kom-

binacji zbyt spójnej — były jednak zbyt silne, aby można było w tej chwili rzucać im wyzwanie. Nie wierzyłem nigdy — ani w wojnie ani w polityce — w kosztowne ataki frontowe, dopóki istniała możliwość drogi okrężnej. I w tym wypadku znalazłem w końcu drogę, która doprowadziła mnie do zamierzonego celu.

Koniec Tomu Drugiego

SPIS RZECZY:

PRZEDMOWA — — — — — — — — — str. 5

PROPOZYCJA POKOJOWA WILSONA — — „ 11

Nota Wilsona — „Podobieństwo" celów wojennych stron walczących. — Charakter wspólnej odpowiedzi państw Koalicji — Niezbędne warunki pokoju — Pismo Balfoura — Zwycięstwo Koalicji konieczne dla uzyskania trwałego pokoju. — Zasadnicza treść Traktatu Wersalskiego przewidziana. — Wrażenie w Ameryce. — Reakcja Wilsona. — List Bernstorffa do pułk. House. — Niemiecka koncepcja warunków pokoju. — Zapowiedź nieograniczonej kampanii podwodnej.

NIEBEZPIECZEŃSTWO WOJNY PODWODNEJ — „ 20

Groźba dla panowania Anglii na morzach. — Blokada angielska dusi Niemcy. — Łódź podwodna i jej możliwości. — Niemądry atak „U. 53" oburza Amerykę. — Rosnące sukcesy łodzi niemieckich nowego typu. — Zapowiedź bezwzględnej kampanii.— Rosnący brak tonażu okrętowego w Anglii. — Runciman ostrzega nas. — Brak tonażu przeszkadza w wyekwipowaniu armii. — Powody przemawiające za utrzymywaniem armij w Mezopotamii. Egipcie i Salonikach. — Stan tonażu w końcu 1916 r.. — Memoriał admirała Jellicoe. — Pogląd Admiralicji: Nie ma żadnego sposobu obrony. — Łatwość prowadzenia nieograniczonej kampanii podwodnej. — Perspektywa nadchodzącej klęski. — Fiasko przedsiębranych przez nas środków obronnych. — Liczby zatapianych miesięcznie okrętów: perspektywy na r. 1917. — Niemcy koncentrują swe wysiłki na budowie łodzi. — Postawa nowego rządu angielskiego. — Proponowane nowe metody. — System konwojów: sprzeciw Admiralicji. — Jellicoe wypowiada się przeciw konwojom. — Treść jego obiekcyj. — Decyzje Komisji Wojennej. — Zalecone zbrojenie statków handlowych. — Straty wśród okrętów norweskich. — Oficjalny pogląd Admiralicji. — Oszukały ją własne cyfry. — Brzmienie oświadczenia niemieckiego o nieograniczonej kampanii podwodnej. — Sukcesy niemieckie. — Beznadziejny nastrój w Admiralicji. — Rządowi trudno interweniować w działania na morzu. — Sir Edward Carson bezsilny.— Moje narady z Jellicoe i Duffem. — Memoriał Hankey'a. — Zale-

ty systemu konwojów. — Dwa eksperymenty z konwojami. — Sukces konwojowanych transportów węgla do Francji. — Kapitan Henderson bada sprawę. — Współpraca z Ministerstwem Żeglugi. — Konferencja z kapitanami statków handlowych. — Konwojowanie statków do Norwegii. — Admirał Sims opowiada o swej rozmowie z Jellicoe. — Memoriał Jellicoe z 22. kwietnia 1917 r. — Admirał Sims popiera system konwojów. — Dyskusje w gabinecie. — Moja wizyta w Admiralicji. — Przyjęcie systemu konwojów. — Domagam się konwoju z Gilbraltaru. — Pierwsze eksperymenty. — Powołanie specjalnej komisji do spraw konwojów. — Eksperymenty udają się. — Utworzenie departamentu konwojów. — Konwoje zapewniają bezpieczeństwo żegludze przez Atlantyk. — Wartość opinii cywilów. — Zmiany w Admiralicji. — Żywe umysły młodszych oficerów marynarki. — Mój bezpośredni kontakt z oficerami i żołnierzami, który brali udział w walkach. Pomoc komandora Kenworthy. — Pogarda Jellicoe dla młodszych oficerów. — Jellicoe nie wierzy w ofenzywne możliwości naszej floty. Carson zajmuje nieodpowiednie dla siebie stanowisko. — Haig poleca Geddes'a na Pierwszego Lorda Admiralicji — Carson przechodzi do gabinetu. — Działalność Geddes'a w Admiralicji. — Straty wśród niemieckich łodzi podwodnych. — Zorganizowanie konwojów dla statków, płynących z Anglii. — Statystyka konwojów. — System konwojów rozwija się coraz lepiej: wyjątki z raportu. — Zwiększone bezpieczeństwo marynarzy. — Odwaga marynarzy brytyjskich. — Niemcy chcą ich steroryzować. — Świadectwo Havelock Wilsona. — Porównanie strat w marynarce handlowej i we flocie wojennej. — Statystyka strat naszego tonażu. — Wzrost budownictwa okrętowego w Anglii. — Łódź podwodna pokonana: doniosłość tego zwycięstwa. — Skutki blokady, stosowanej wobec Niemiec przez Anglię. — Przeprowadzamy z powodzeniem oblężenie Niemiec.

4. ROZDZIAŁU: PERSPEKTYWY MILITARNE NA R. 1917. — str. 85

Element zaskoczenia. Bitwy o znaczeniu decydującym dla rezultatów wojny. — Rola jaką w tych bitwach odgrywało zaskoczenie przeciwnika. — Trudność zaskoczenia na froncie zachodnim. — Bitwy bez zaskoczenia nie dają wyraźnych wyników. — Generałowie koalicyjni w niewoli własnych koncepcyj.. — Informacjom niewygodnym nie daje się wiary. — Błąd Joffre'a w sierpniu 1914 r. — Zaskoczenie Niemców w bitwie nad Marną. — Zmarnowanie naszych możliwości pod Gallipoli. — Brusiłow atakuje o miesiąc wcześniej niż się spodziewano. — Ofenzywa pod Gorlicami zaskakuje Rosjan. — Odparcie ataku na Serbię

nieprzygotowane. — Angielski atak nad Sommą nie był niespodzianką. — Niespodziany natomiast atak Francuzów. — Nieoczekiwane momenty w ofenzywie Niemców przeciw Rumunii. — Niemcy niespodzianie cofają się z pozycyj nad Sommą. — Możliwość zaskoczenia nieprzyjaciela na froncie włoskim. — Motywy dla których popierałem ten plan. — Późniejsze poparcie planu przez generałów francuskich.

PSYCHOLOGIA I STRATEGIA — — — — str. 91

Ukryte motywy uczestników konferencji w Rzymie. — Pogląd Villari'ego. — Zawiści osobiste i narodowe: przykład austriacki. — Łatwość wymierzenia ciosu Włochom w r. 1916. — Falkenhayn woli atak na Verdun. — Wielka okazja utracona. — Kto ma być tryumfatorem wojny: Falkenhayn czy Hoetzendorff?. — Wyznanie Falkenhayna. — Podświadome przesądy. — Analogiczne stosunki wśród generałów koalicyjnych. — Zawiść Francji wobec Włoch. — Opinia w Rzymie. — Geneza dzisiejszej postawy Mussoliniego. — Dlaczego Robertson sprzeciwiał się ofenzywie na froncie włoskim.

GENERAŁ JOFFRE — — — — — — — str. 107

Dyktator Francji. — Upadek Joffre'a. — Jego zalety i wady. — Niegięta wola: przeciętny umysł. — Ograniczone pole widzenia. — Niewolnicza zależność od „planu". — Zbyt długie trzymanie się planu z 1914 r. — Upór w przeprowadzaniu bezpłodnych ofenzyw. — Podobieństwa z Haigiem i Robertsonem. — Wojskowi nie mieli w swoim rzemiośle doświedczenia, jakie w swoim fachu mają cywile. — Czego brakowało tym generałom. — Opinia publiczna niełatwo cofa swe zaufanie. — Trudność w znalezieniu następcy Joffre'a.

OFENZYWA NIVELLE'A — — — — — str. 114

Zasługi wojenne Nivelle'a. — Interesował się tylko frontem zachodnim. — Nowe koncepcje, niewprowadzone w życie. — Nivelle nie widzi żadnych możliwości poza zachodnim frontem. — Co osiągnął Nivelle pod Verdun. — Odebranie Niemcom Douaumont. — Raport Robertsona o taktyce Nivelle'a. — Entuzjazm Francuzów dla Nivelle'a. — Briand i Thomas stają się zwolennikami ofenzywy na zachodzie. — Niebezpieczeństwo uporczywego przeciwstawiania się ich koncepcjom. — Cierpienia Francji. — Ribot domaga się przyjęcia planu Nivelle'a. — List Nivelle'a do Haiga. — Rola Francuzów i Anglików w proponowanej ofenzywie. — Anglicy mają przejąć większy odcinek frontu. — Ofenzy-

wa we Flandrii nie wykluczona. — Drugorzędna rola dla armii brytyjskiej. — Odpowiedź Haiga Nivelle'owi. — Absurdalny projekt. — Nivelle prosi rząd francuski o interwencję. — Jak mógł Haig zareagować na propozycję Nivelle'a. — Zasadnicza rola, jaką odgrywał czas. — Pertraktacje z rządem angielskim. — Ribot popiera plan. — Ja domagam się wysłuchania opinii Haiga. — Robertson nie oponuje przeciw planowi. — Wnioski konferencji londyńskiej. — Istota planu Nivelle'a. — Element zaskoczenia. — Ludendorff o wybranym przez Nivelle'a froncie ataku. — Czynnik czasu w planie Nivelle'a. — Fatalne skutki opóźnienia. — Kto odpowiada za opóźnienie. — Konferencja w Calais na temat organizacji transportu. — Francuzi protestują przeciw ilościom pociągów, jakich żądają Anglicy. — Generałom angielskim chodziło już wtedy o przygotowania do ofenzywy we Flandrii. — Zagadnienie jednolitego dowództwa. — Tekst porozumienia zawartego w Calais. — Protesty Haiga i Robertsona. — Nietaktowny list z francuskiego sztabu. — Zasadnicze stanowisko Robertsona. — Konferencja marcowa w Londynie. — Moje wysiłki dla załagodzenia sporu. — Listy mają być ostrożniej formułowane. — Osiągnięcie porozumienia. — Nieufność Nivelle'a wobec Haiga. — Niemcy cofają się na linię Hindenburga. — Plan Nivelle'a w rękach Niemców. — Czy ktoś zdradził? — Inny podobny incydent. — W sztabach francuskich wre walka polityczna. — Odłożenie ataku powoduje katastrofę. — Ofenzywa skazana z góry na fiasko. — Generałowie francuscy proponują ofenzywę na włoskim froncie. — Przygotowania do ataku ujawniają całkowicie jego charakter. — Dlaczego Nivelle upierał się przy planie? — Psychologia gracza. — Fakty, które Nivelle ignorował. — Anglicy zdobywają wyżynę Vimy. — Ludendorff o niewyzyskaniu przez nas osiągniętego sukcesu. — Przyczyną — „obsesja kawaleryjska" naszych generałów. — Niemcy o mało co nie zmuszeni do poważnego odwrotu. — Ofenzywa nad rzeką Aisne. — Wnioski francuskiej komisji specjalnej. — Rząd angielski nie powiadomiony o wnioskach. — Spór między Nivellem i Pétainem. — Interwencja polityków francuskich. — Pozytywne rezultaty ofenzywy. — Bardzo przesadne liczby strat. — Radykalna zmiana we Francji. — Armia francuska buntuje się. — Pétain przywraca spokój i zaufanie.

PRZEWRÓT W ROSJI — — — — — — str. 162

Stan armii rosyjskiej. — Raport Wilsona. — Pesymistyczny pogląd lorda Milnera. — Niezadowolenie wśród ludności. — Cień rewolucji. — Zamordowanie Rasputina. — Optymizm delegatów angielskich. — Pułkownik Knox ostrzega. — Odłożenie sesji Du-

my. — Umysłowość Wilsona i Milnera. — Wiara w trwałość ustroju dlatego tylko, że ten ustrój istnieje. — Raport G. Clerka. — Wrogi nastrój wobec cesarzowej. — Rozmowa Milnera z Czełnokowem i Lwowem. — Brak żywności i opału. — Trwonienie rezerw ludzkich. — Niepopularność cara. — Apel liberałów rosyjskich do misji koalicyjnej. — Rozmowa Buchanana z carem. — Doumergue interesuje się tylko francuskimi planami aneksji. — Zagadnienia rosyjskie ignorowane. — Nota Palédogue'a o żądaniach Francji. — Anglicy i Włosi nie poinformowani o nocie. — Unikanie „niebezpiecznych tematów" w rozmowie z carem. — Wybuch rewolucji. — Załamanie się istniejącego porządku rzeczy. — Optymizm Buchanana. — Wynik zależy od armii.

ANGLIA WOBEC PRZEWROTU I SPRAWA BYŁEGO CARA — str. 182

Parlament angielski winszuje Dumie. — Oświadczenie Bonar Law. — Oświadczenie Asquitha. — Moje pismo do premiera rosyjskiego. — Sprawa wyjazdu byłego cara do Anglii.

KONFERENCJA W SZTOKHOLMIE I ARTUR HENDERSON — str. 194

Wielki rezonans Rewolucji Rosyjskiej. — Wojna naruszyła ustalony porządek rzeczy. — Ferment nowych idei. — Trudna sytuacja rządu angielskiego. — Złożona geneza Rewolucji Rosyjskiej. — Raport Buchanana. — Orędzie angielskiej Partii Pracy do nowej Rosji. — Delegacje robotnicze z Anglii i z Francji jadą do Rosji. — Kłopoty z Niezależną Partią Pracy. — Socjaliści krajów neutralnych proponują konferencję międzynarodową w Sztokholmie. — Opozycja w krajach Koalicji. — Nowa delegacja Partii Pracy do Rosji. — Komitet Wykonawczy Sowietów zaprasza delegacje socjalistów „większości" i „mniejszości". — Rząd angielski pyta o opinię rządu francuskiego i włoskiego. — Charakter rozmów w Sztokholmie. — Gabinet omawia sprawę konferencji sztokholmskiej. — Obecność w Sztokholmie Hendersona niepożądana. — Propozycja odwołania Buchanana. — Sukcesy Alberta Thomasa w Rosji — Henderson ma jechać do Rosji.— Zawikłana sytuacja rosyjska. — Słabnięcie wysiłków wojennych. — Niechęć Buchanana do socjalizmu. — Henderson nie może zastąpić Buchanana. — Godzimy się na wydanie paszportów do Rosji angielskim socjalistom „mniejszościowym". — Opinia w Anglii oburzona nielojalnością socjalistów. — Mac Donald ma jechać do Rosji, ale nie brać udziału w konferencji sztokholmskiej. — Związek marynarzy i palaczy okrętowych odmawia prze-

wiezienia Mac Donalda do Rosji. — Bezskuteczne próby mojej interwencji. — Henederson wraca z Rosji i naradza się z egzekutywą Partii Pracy. — Projekt sztokholmski znów wypływa. — Czego brakowało Kiereńskiemu. — Henderson w niezwykłym nastroju. — Wyjazd do Paryża fałszywym krokiem z jego strony. — Gabinet omawia wyjazd Hendersona i żąda od niego wyjaśnień. — Henderson nie liczy się z postawą gobinetu i jedzie do Paryża. — Jego wystąpienia w Paryżu. — Rozmowa ze mną. — Incydent „przedpokojowy" — Gabinet pragnie pozostania Hendersona w rządzie. — Powody wrogiego nastroju Izby Gmin. — Henderson broni się w Izbie: chciał mieć pewien nadzór nad Mac Donaldem. — Moje przemówienie w obronie Hendersona. — Incydent wyczerpany. — Sprzeczne tendencje w Rosji. — Raport z ambasady: brak dyscypliny w armii. — Kiereński zostaje premierem. — Gabinet angielski przeciwny w dalszym ciągu konferencji sztokholmskiej. — Publiczne oświadczenie na ten temat odłożone na żądanie Hendersona. — Co ma powiedzieć Bonar Law w Izbie Gmin. — Pozorna zgoda Hendersona. — Na konferencji Partii Pracy Henderson przemawia za Sztokholmem. — Pismo ambasady rosyjskiej. — Rząd rosyjski nie związany z konferencją sztokholmską. — Pismo dezawuuje argumentację Hendersona. — Upór Hendersona i jego list z wytłumaczeniem stanowiska. — Partia Pracy uchwala wziąć udział w konferencji sztokholmskiej. — Gabinet podtrzymuje swoje stanowisko. — Thomas depeszuje, że Kiereński nie pragnie konferencji. — Gabinet omawia sprawę Hendersona. — Henderson zgłasza dymisję. — Brak szczerości z jego strony. — Doniosłość pisma ambasady rosyjskiej. — Gabinet omawia raz jeszcze sytuację i ustala swoje stanowisko. — Trudności Kiereńskiego z Sowietami. — Debata w Izbie Gmin. — Asquith popiera rząd. — Partia Pracy przestaje popierać Sztokholm.

INICJATYWA POKOJOWA AUSTRII — — — str. 232

Problemat pokoju. — Śmierć cesarza Austrii; charakter jego następcy. — Smutne perspektywy dla monarchii Austro-Węgierskiej. — Karol pragnie pokoju. — Pierwsze balony próbne. — Przyjazny stosunek Aliantów wobec Austrii. — Pogłoska o inicjatywie pokojowej Austrii na terenie skandynawskim. — Hrabia Mensdorff w Norwegii. — Skład narodowościowy monarchii jako przeszkoda do zawarcia pokoju. — Książę Sykstus. — Spotkania wstępne w Szwajcarii. — Wysłannik Karola przywozi jego propozycje pokojowe. — Niewróżąca dobrze notatka Czernina. — Osobiste pismo Karola bardziej obiecujące. — Próba po-

różnienia Francji z Anglią. — Postawa rządu francuskiego wobec propozycyj austriackich. — Odpowiedź księcia Sykstusa Karolowi. — Książę Sykstus z bratem odwiedzają Karola. — Postawa Karola wobec warunków pokojowych Koalicji. — Brak ustępstw dla Włoch. — Własnoręczny list Karola. — Przyjęcie żądań Belgii i Francji. — Na rządzie francuskim robi to dobre wrażenie. — Ribot zawiadamia mnie o pertraktacjach. — Konieczność zachowania tajemnicy. — Moja konferencja z Ribotem w Folkestone. — Trudność rozmawiania z Włochami. — Wrogi nastrój między Włochami i Austrią. — Włochy nie mają być zawiadomione. — Moja rozmowa z Sykstusem. — Konferencja w St. Jean de Maurienne. — Sonnino sprzeciwia się pertraktacjom pokojowym z Austrią. — Przyjęcie rezolucji odmownej. — Porozumienie Austrii z Włochami niemożliwe. — Sonnino przedstawicielem wielkich ambicyj włoskich. — Włochy zwracają się same z propozycją pokojową do Austrii. — Cadorna boi się demoralizacji w armii włoskiej. — Odpowiedź francuska na list Karola. — Nowa oferta pokojowa Austrii. — Ribot zawiadamia mnie. — Ustne oświadczenie cesarza. — Żądania włoskie uznane za nieuzasadnione. — Cesarz komunikuje Aliantom, ile dywizyj ściągnęły Niemcy z frontu rosyjskiego na zachodni. — Bratanie się żołnierzy na froncie rosyjskim. — Skomplikowana sytuacja we Włoszech. — Szybki pokój albo podział Austrii. — Drugi list Karola. — Szczegóły oferty włoskiej. — W Niemczech nie ma tłuszczów. — Rozmowy Sykstusa z rządem francuskim nie dają rezultatu. — Postawa Ribota według Sykstusa. — Tekst drugiego listu Karola. — Cztery punkty Czernina. — Włochy główną przeszkodą. — Podejrzliwość Cambona wobec Włoch i jego niesłychana krótkowzroczność. — Patriotyzm francuski. — Usiłowania Sykstusa udaremnione. — O losie pertraktacyj decydują Francuzi, a nie Anglicy. — Włochy obwieszczają o aneksji Albanii. — Zwłoka spowodowana przez Włochy. — Konflikt polityki francuskiej i włoskiej. — Pertraktacje przedostają się we Francji do wiadomości sfer politycznych. — Ribot wypiera się tajnej dyplomacji. — Ribot pokazuje Sonnino korespondencję. — Pertraktacje kończą się fiaskiem. — Francja daje ostateczną odpowiedź odmowną. — Żałosne losy Karola.

PLAN OFENZYWY WE FLANDRII — — — str. 273

Heroizm i głupota bitew pod Passchendaele, Verdun i nad Sommą. — Bystry umysł bardziej cenny niż doświadczenie wojskowe. — Plan obmyślany oddawna. — Przygotowania w dziedzinie transportu. — Kto odpowiada za zwłokę. — Admiralicja domaga się kampanii we Flandrii. — Spychanie winy na poli-

tyków. — Politycy nie ponoszą tu odpowiedzialności. — List Robertsona do Joffre'a. — Motywy wysłania listu. — Nie było żadnej decyzji Komisji Wojennej. — Plan Plumera dotyczył tylko ataku na Messines. — Sztab przedstawia swój plan — Wybrzeże Belgii obiektem ofensywy. — Plumer ma przedstawić szczegółowe dyspozycje. — Rząd utrzymywany w niewiedzy. — Warunki, które Sztab uważał za niezbędne do powodzenia planu. — Postawa Robertsona. — Gabinet zawiadomiony dopiero po ukończeniu przygotowań. — Zasadnicze zmiany w sytuacji.

ROZPRZĘŻENIE W ARMII FRANCUSKIEJ — — str. 286

Ofensywa francuska traci impet. — Pétain traktuje ofenzywę z rezerwą. — „Morale" armii francuskiej załamuje się. — Rozczarowanie z powodu fiaska ofenzywy Nivelle'a. — Niepokojące wieści o stratach i sporach wśród dowódców. — Pétain przywraca spokój w armii. — Bunt utrzymywany w tajemnicy. — Do rządu angielskiego docierają tylko ułamkowe informacje. — Sztab angielski sądzi, że Francuzi przesadzają. — Haig informuje nas fałszywie o stanowisku dowódców francuskich. — Painlevé o zmianie planów. — Francuzi niedostatecznie zaopatrzeni w ciężką artylerię. — Decyzje Focha i Pétaina. — Opinia Clemenceau: czekać na Amerykę. — Co mówili Henry Wilson i Charteris. — Lojalność Pétaina wobec Haiga. — Raport Wilsona wprowadza nas w błąd. — Zmęczenie wojną we Francji. — Co Wilson ukrył przed nami. — Odwiedziny Wilsona u Haiga: pochlebstwo wydaje owoce.

PRZYGOTOWANIA DO OFENZYWY. OBRADY RZĄDU — str. 304

Atak na wyżynę Messines. — Staranne przygotowania Plumera. — Wyraźne zwycięstwo. — Komisja Wojenna gabinetu omawia ofenzywę pod Passchendaele. — Haig przedstawia plan. — Pierwszy obiekt bitwy: Passchendaele — Wyżyna Staden; drugi: Thourout — Couckelaere; trzeci: Bruges. — Zadania drugiej armii. — Resumé planu. — Sceptycy w gabinecie. — Argumenty Haiga. — „Morale" Niemców upada. — Mała wartość niemieckiej artylerii ciężkiej. — Przykład walki o Vimy. — Rezerwy ludzkie. — Jellicoe popiera plan. — Wzywam do zastanowienia się raz jeszcze. — Przedstawiam swoje obiekcje na piśmie. — Argumenty przeciw planowi. — Nasza nieznaczna przewaga liczebna. — Francuzi nieskłonni do atakowania. — Sytuacja nie usprawiedliwia przedsięwzięcia ofen-

zywy. — W perspektywie niewielkie powodzenie i ciężkie straty. — Odpowiedź Robertsona. — Niebezpieczeństwo ofenzywy niemieckiej na Zachodzie. — Musimy prowadzić walkę na wyczerpanie. — Ofenzywa we Flandrii musi dać nam korzyść. — Robertson przeciwny ofenzywie na froncie włoskim. — Oświadczenie Haiga: wielkie straty nie są przewidywane. Szczupłość rezerw niemieckich na Zachodzie. — Nasza przewaga w dziedzinie armat, amunicji i lotnictwa. — Podstawowe zasady strategii. — Perspektywa pomyślniejsza w Belgii niż w Austrii. — Różnica zdań w Komisji Wojennej. — Trudność powzięcia decyzji wbrew opinii specjalistów wojskowych. — Na jakim terenie miała odbywać się ofenzywa. — „Nie trzeba więcej tych śmiesznych map". — Wątpliwości co do ofenzywy wśród generałów. — „Gra". — Gabinet postanawia nie sprzeciwiać się planowi. — Mój ostatni apel do Haiga i Robertsona. — Czego w moim ówczesnym postępowaniu najbardziej żałuję.

CZTEROMIESIĘCZNA BITWA NA BŁOCIE — str. 336

Instrukcje dla piątej armii. — Błąd strategiczny naszego sztabu. — Początkowe sukcesy. — Deszcze sierpniowe. — Błota Flandrii. — Sztab nie wie o stanie gruntu. — Heroizm wojsk brytyjskich. — Gough domaga się przerwania ofenzywy. — Zwężenie zadań ataku. — Bezpodstawny optymizm Haiga. — Stan gruntu coraz gorszy: opis Gougha. — Wpływ ofenzywy na armię niemiecką.

DOWÓDZTWO UKRYWA KLĘSKĘ — — — str. 348

Narkotyki dla opinii publicznej w Anglii. — Fałszywe liczby strat. — Ukrywanie faktów. — Fantastyczne historie. — Rządowi trudno interweniować: nauki z buntu w armii francuskiej. — Zagadnienie dymisji Haiga. — Jego ufność w zwycięstwo. — Postawa Charterisa: optymistyczne raporty dla Haiga. — Przepowiednie sukcesu. — Prasa pod wpływem sztabu. — Próba opisu z „Timesa". — „Times" o „zwycięstwie pod Broodseinde". — Co przyznał Gibbs. — Ofenzywa kończy się fiaskiem. — Sztab przyjmuje doktrynę „walki o wyniszczenie": jakie ta walka dała dla nas rezultaty. — Sztab nie wie jak wygląda pole bitwy. — Generałowie powinni znać teren walk. — Odwaga Haiga. Papierowa strategia. — Moje protesty zlekceważone. — Straty wśród oficerów niemieckich i angielskich. — Niemcy mają wystarczające rezerwy do posłania wojsk pod Rygę i na front włoski.

KONSEKWENCJE PASSCHENDAELE — — — str. 368

Mizerne rezultaty ofenzywy. — Godne uwagi oświadczenia sztabu. — Passchendaele o mało nie doprowadziło do klęski Koalicji. — Marnotrawienie rezerw ludzkich. — Szczególna troska o oficerów sztabowych. — Osłabiona „morale" armii angielskiej — Jedna z największych katastrof wojny.

Bitwa pod Cambrai. — Dowództwo czołgów szuka odpowiedniego dla siebie terenu bitwy. — Generał Fuller obmyśla „dramatyczne uderzenie". — Obiekcje sztabu. — Wielki sukces początkowy ataku. — Brak rezerw powoduje porażkę. — Powodzenie kontrataku niemieckiego. — Porażka utrzymywana w tajemnicy. — Gabinet oburzony brakiem informacyj. — „Times" zmienia ton. — Dochodzenia prowadzone powierzchownie. — Wina przypisana oddziałom walczącym. — Pretensje do rannych. — Zbytnia skromność oficerów sztabowych. — Brak wyszkolenia taktycznego wojsk.

Zagadnienie Naczelnego Dowództwa. — Opublikowanie prawdy niemożliwe. — Sztab przyjmuje dziennikarzy. — Czy można było dać dymisję Haigowi? — Nie widzieliśmy nikogo lepszego. — Bezskuteczne poszukiwania ewentualnego następcy. — Ograniczone zalety Robertsona. — Jak Robertson tłumaczył kontynuowanie walk. — Argument rezerw ludzkich. — Dyscyplina wojskowa knebluje usta generałom. — Jak opinia publiczna w Anglii przyjęłaby dymisję Haiga. — Jak przyjęliby ją Alianci. — Komplikacje polityczne.



40741/2